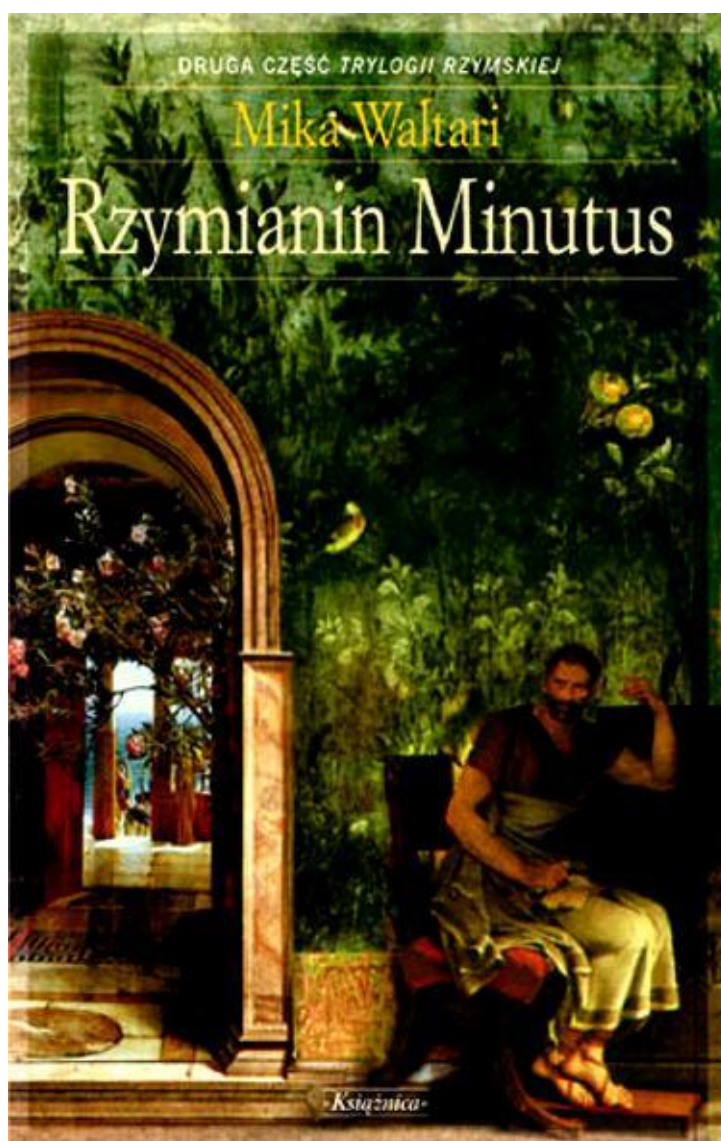




Mika Waltari



Trylogia rzymska
2. Rzymianin Minutus



Księgozbiór DiGG



2008



Księga 1

Antiochia

Miałem siedem lat, gdy weteran Barbus uratował mi życie. Pamiętam dobrze, że okłamałem Sofronię, moją niańkę, aby wyrwać się nad brzeg Orontesu. Wartki prąd i wiry rzeki tworzyły kuszący widok, więc wyciągnąłem się na przybrzeżnym pomoście i oddałem obserwacji. Barbus podszedł do mnie i przyjaźnie spytał:

- Chcesz się nauczyć pływać, chłopcze?

Odpowiedziałem, że chcę. Rozejrzał się dookoła, złapał mnie za kark i pośladki i wrzucił do wody, po czym podniósł przeraźliwy wrzask. Wzywając na pomoc Herkulesa i zwycięskiego Jupitera rzymskiego, cisnął na pomost łachman służący mu za płaszcz, i skoczył za mną.

Przybiegli zaalarmowani jego krzykiem ludzie. Wszyscy widzieli i jednogłośnie potwierdzali, że z narażeniem własnego życia wyrwał mnie z odmętów rzeki, wyciągnął na brzeg i wytarzał na ziemi, żebym wyrzygał wodę, której się opilem. Kiedy Sofronia, szlochając i rwąc włosy z głowy, dotarła na miejsce wypadku, Barbus wziął mnie w swe mocne ramiona i zaniósł aż do domu, choć się wyrywałem, bo jego brudna odzież i śmierdzący winem oddech napawały mnie obrzydzeniem.

Ojciec nie chwycił mnie w objęcia, natomiast ugościł winem Barbusa i uwierzył w jego opowiadanie, że ześlizgnąłem się z pomostu i wpadłem do rzeki. Niczego nie prostowałem, nauczyłem się milczeć w obecności ojca. Zresztą byłem oczarowany skromną relacją Barbusa jak to w czasach swej służby w legionach w pełnym rynsztunku przepływał Dunaj i Ren, a nawet Eufrat. Ojciec pił z nim wino ze zdenerwowania i sam zaczął opowiadać, że w młodości, w latach nauki w szkole filozoficznej na Rodos, wygrał zakład, przepływając z wyspy aż na kontynent. Obaj doszli do zgodnego wniosku, że nastał dla mnie najwyższy czas na naukę pływania. Ojciec podarował Barbusowi nowe szaty; wkładając je weteran miał okazję zademonstrować liczne blizny. Okazało się, że najwięcej szram znajduje się na plecach; według jego relacji powstały one w Armenii, kiedy dostał się do niewoli u Partów; najpierw go wówczas wychłostano, a potem zwyczajem rzymskim przybito do krzyża - w ostatniej chwili odratowali go wierni druhowie.

Barbus pozostał w naszym domu. Odprowadzał mnie do szkoły i przyprowadzał do domu, jeśli nie był za bardzo pijany. Przede wszystkim kształtował we mnie rzymskość, bo urodził się i wychował w Rzymie, zaś pełne trzydzieści lat odsłużył w piętnastym legionie. Co do tej ostatniej

sprawy ojciec się upewnił, bo mimo swego roztargnienia i trudnego charakteru nie chciał trzymać w swym domu jakiegoś dezertera.

Dzięki Barbusowi oprócz pływania nauczyłem się też jazdy konnej. Na jego żądanie, kiedy skończyłem czternaście lat, ojciec kupił mi konia, abym mógł wstąpić do młodzieżowej gwardii konnej Antiochii. Wprawdzie cesarz Gajusz Kaligula własnoręcznie wykreślił nazwisko mego ojca z listy stanu ekwitów w Rzymie, ale w Antiochii przysporzyło mu to więcej zaszczytu niż wstydu, bo wszyscy dobrze pamiętali, jaki zdradliwy potrafił być Kaligula, jeszcze będąc dzieckiem. Zamordowano go potem w Rzymie, w Cyrku Wielkim, kiedy usiłował podnieść do godności senatora ulubionego konia.

W tym czasie mój ojciec wbrew swej woli osiągnął taką pozycję w Antiochii, że obywatele miasta chcieli go włączyć w poczet poselstwa, które miało złożyć cesarzowi Klaudiuszowi gratulacje z powodu objęcia władzy. Niewątpliwie odzyskałby wtedy utracony tytuł ekwity. Ale ojciec kategorycznie sprzeciwił się wówczas wyjazdowi do Rzymu, oświadczył, że chce być człowiekiem cichym i pokornym i wcale nie tęskni za jakimkolwiek tytułem. Później dopiero wyszło na jaw, że miał po temu swoje ważne powody.

Z przybyciem Barbusa do naszego domu przypadkowo zbiegł się rozkwit majątku ojca. Miał on zwyczaj mówić z goryczą, że brak mu szczęścia, ponieważ wraz z moim przyjściem na świat utracił kobietę, którą naprawdę kochał. I jeszcze w Damaszku przyjął taką praktykę, że w rocznicę śmierci mojej matki szedł na targ i kupował jakiegoś słabowitego niewolnika. Przez jakiś czas trzymał go w domu, a gdy ten odzyskiwał już siły, udawał się do urzędu i opłacając odpowiedni podatek wyzwalał go. Wyzwoleńcom nie nadawał nazwiska Manilianus, ale Marcin, i wyposażał ich na tyle, żeby mogli wyuczyć się i pracować w swoim zawodzie. W ten sposób wyzwolił Marcina, handlarza jedwabiem, i innego Marcina, rybaka. Marcin fryzjer nieźle zarabiał, prowadząc wytwórnię modnych damskich peruk. Najbardziej jednak wzbogacił się Marcin górnik, który namówił mego ojca do nabycia kopalni miedzi w Cylicji.

Ojciec często się żalił, że nie może zrobić bodaj najmniejszego miłosiernego uczynku, żeby nie osiągnąć jakiegoś pożytku lub rozgłosu. Trwając przy swoim, jak sądzę, skrytym postanowieniu, udzielał najróżnorodniejszej pomocy ludziom zarówno przydatnym, jak i nieprzydatnym i był o wiele bardziej hojny dla obcych niż dla mnie, własnego syna.

Po siedmiu latach spędzonych w Damaszku osiedlił się w Antiochii. Ponieważ znał wiele języków, był człowiekiem poważanym i szanowanym, przeto przez jakiś czas pracował na stanowisku doradcy prokonsula, specjalizując się w problematyce żydowskiej, z którą zetknął się już swego czasu, gdy podróżował po Judei i Galilei. Jako człowiek z natury łagodny i dobroduszny zawsze zalecał rozwiązania ugodowe zamiast przedsięwzięć skrajnych. W ten sposób zyskał sobie przychyłność mieszkańców Antiochii. W jakiś czas po skreśleniu go przez cesarza z listy ekwitów został wybrany do rady miejskiej; stało się tak nie dzięki jego energii czy silnej woli, lecz dlatego, że każda partia spodziewała się coś skorzystać na tym wyborze.

Kiedy Kaligula zażądał, aby jego boski wizerunek postawić w Świątyni w Jeruzalem i w każdej synagodze na prowincji, ojciec szybko zrozumiał, że realizacja tego żądania grozi wybuchem zbrojnego powstania i poradził Żydom, żeby nie udzielali negatywnej odpowiedzi, która zdenerwowałaby cesarza, ale grali na zwłokę. A więc Żydzi antiocheńscy dali do zrozumienia senatowi rzymskiemu, że pragną sami ponieść koszty budowy drogiego im pomnika cesarza Gajusza w synagodze, ale że wydarzyły się nieszczęścia w trakcie prac przygotowawczych, bo znów wystąpiły złowrózne znaki. Kiedy zaś cesarz Gajusz został zamordowany, ojciec zyskał ogromne uznanie i przypisano mu dar przewidywania. Ja jednak nie sądzę, aby cokolwiek wiedział na temat przygotowywanego zabójstwa. Po prostu zgodnie ze swym zwyczajem chciał zyskać na czasie, by zapobiec zamieszkom, które przyniosłyby miastu straty.

Ale ojciec potrafił też być uparty. Jako członek rady miejskiej ostro sprzeciwiał się fundowaniu ludowi igrzysk z udziałem dzikich zwierząt i gladiatorów, a nawet przedstawień teatralnych. Korzystając z porad wyzwoleńców zbudował krużganki handlowe, które nazwano jego imieniem. Z dzierżawy tych sklepów uzyskał wysokie przychody, tak więc oprócz rozgłosu osiągnął sukces finansowy.

Wyzwoleńcy nie mogli zrozumieć, dlaczego ojciec traktuje mnie tak surowo i chce, bym się zadowolił prowadzonym przez niego prymitywnym trybem życia. Na wyścigi obdarowywali mnie pieniędzmi, pięknymi szatami, ozdabiali moje siodło i uprzęż dla konia oraz jak mogli najstaranniej skrywali przed ojcem moje wybryki. Byłem młody i głupi, chciałem przodować we wszystkim, a już szczególnie pragnąłem wyróżniać się wśród arystokratycznej młodzieży. Wyzwoleńcy uważali to za dobry prognostyk dla ich osobistych pozycji i dla sławy mego ojca.

Dzięki Barbusowi ojciec zrozumiał konieczność opanowania przeze mnie łaciny. To, czego zdołał nauczyć mnie Barbus, było raczej łaciną legionową, z pewnością niewystarczającą dla Rzymianina. Zasadził mnie więc do czytania dzieł Wergiliusza i Tytusa Liwiusza, a Barbus całymi wieczorami opowiadał o wzgórzach Rzymu, o osobliwościach i tradycjach miasta, o bogach i wodzach - aż wzbudził we mnie gorącą tęsknotę za Rzymem. Przecież nie byłem Syryjczykiem, tylko rodowitym Rzymianinem z rodu Manilianusów i Mecenasów. Moja matka była Greczynką, więc nie zaniedbałem nauki języka greckiego, a gdy miałem piętnaście lat, znałem już wielu poetów. Przez dwa lata moim nauczycielem był Timajos, którego ojciec kupił po niepokojach na Rodos. Oczywiście chciał go wyzwolić, ale Timajos kategorycznie się temu sprzeciwił, twierdząc, że nie ma żadnej różnicy między niewolnikiem a człowiekiem wolnym, ponieważ wolność jest w sercu każdego człowieka.

Do cna zgorzkniały Timajos oprócz poezji uczył mnie filozofii stoickiej, a naukę łaciny straszliwie ignorował, ponieważ jego zdaniem Rzymianie byli barbarzyńcami; nosił do Rzymu ukryty żal za odebranie wolności jego ojczystej wyspie. Rodos było państwem suwerennym do czasu, gdy jego przywódcy ukrzyżowali kilku obywateli Rzymu i w ten sposób przekroczyli granice tolerancji senatu rzymskiego.

Nie zwracałem szczególnej uwagi na filozofię Timajosa, jako że mój

mistrz nie postępował bynajmniej wedle własnych nauk i chętnie korzystał z dobrego stołu i wygodnej pościeli. W naszym domu miał tak wielkie przywileje jako niewolnik, że z pewnością nigdy by ich nie zakosztował jako wolny sofista na Rodos - przecież nie był ani natchnionym poetą, ani sławnym filozofem.

W zabawie w młodzieżową gwardię konną Antiochii uczestniczyło nas dziesięciu. Rywalizowaliśmy między sobą w dokonywaniu karkołomnych wyczynów i swawolnych wybryków. Złożyliśmy wzajem przysięgę i obraliśmy pewne drzewo jako miejsce ofiar. Pewnego razu wracając z ćwiczeń postanowiliśmy przegalopować przez miasto i dla zdenerwowania kupców każdy z nas miał zerwać jeden z wieńców, jakie zawieszano nad drzwiami sklepów. W pośpiechu zerwałem przepasany czarną wstęgą wieniec żałobny z liści dębowych. Powinienem być uznać to za zły znak wieszcy; przyznaję, że się przestraszyłem, ale mimo tego zawiesiłem ten wieniec na naszym drzewie ofiarnym.

Każdy, kto zna Antiochię, może sobie wyobrazić, jakie zamieszanie wzbudził nasz figiel. Policja wprawdzie nas nie złapała, ale musieliśmy się przyznać sami, bo zagrożono ukaraniem wszystkich młodych jeźdźców. Ze sprawy wyłgaliśmy się karą pieniężną, ponieważ sędziowie nie chcieli obrażać naszych rodziców. Później płataliśmy psoty raczej poza murami miasta...

Pewnego razu zobaczyliśmy nad brzegiem rzeki grupkę dziewcząt zajętych jakąś tajemniczą krzątaniem. Sądziliśmy, że są to wieśniaczki. Wpadło mi do głowy, aby je porwać na wzór dawnych Rzymian, którzy porwali Sabinki. Zaproponowałem to moim zaprzysiężonym przyjaciółom i strasznie im się to spodobało. Całą zgrają wpadliśmy na wybrzeże - każdy z nas porwał na swoje siodło pierwszą z brzegu dziewczynę. Łatwiej było proponować, niż zrobić! Bardzo trudno jest trzymać przed sobą na siodle wrzeszczącą i wyrrywającą się dziewczuchę! Nie wiedziałem, co miałbym zrobić z dziewczyną, więc łaskotałem ją, żeby zmusić do śmiechu. Kiedy osądziłem, że wystarczająco udowodniłem swoją władzę nad nią, pogalopowałem z powrotem. Identycznie postąpili moi towarzysze. Kiedy odjeżdżaliśmy, dziewczęta ciskały w nas kamieniami. Zaczęły mnie gnębić złe przecucia, bo już trzymając dziewczynę w objęciach zorientowałem się, że wcale nie była wieśniaczką.

I rzeczywiście. Dziewczyny pochodziły z miasta, z dobrych rodzin, a wyszły na brzeg rzeki dla dokonania obrzędu oczyszczenia i złożenia odpowiednich ofiar w związku z osiągnięciem dojrzałości płciowej. Powinniśmy się tego domyślić po kolorowych wstążkach, rozwieszonych na krzewach. Ale który z nas, młodzieniaszków, orientował się w tajnych obrzędach młodych dziewcząt?

Być może z uwagi na opinię dziewczyny trzymałyby język za zębami, ale była z nimi fanatyczna kapłanka, która uznała, że świadomie zbeczciliśmy uroczystość. Groził straszliwy skandal. Pojawiła się opinia, iż dla zadośćuczynienia powinniśmy ożenić się z dziewczynami, których czystość jakoby została naruszona. Na szczęście żaden z nas nie nosił jeszcze togi męskiej.

Timajos tak się zezłościł, że choć był niewolnikiem, smagnął mnie laską.

Barbus wyrwał mu laskę, a mnie kazał uciekać z miasta; był bardzo przesądny i bał się wszystkich bogów, nawet tych syryjskich. Timajos bogów się nie obawiał, widział w nich tylko alegorie, ale uważał, że przyniosłem mu wstyd swoim zachowaniem. A najgorsze - nie udało się ukryć całej awantury przed ojcem.

Byłem głupi i wrażliwy. Kiedy zobaczyłem zdenerwowanie i strach moich preceptorów, zacząłem uważać swoje przewinienie za większe, niż było w rzeczywistości. Timajos, człowiek stary i do tego stoik, powinien był zachować przytomność umysłu i raczej podtrzymywać mnie na duchu, skoro los mnie doświadczył. Ale on dopiero teraz odsłonił swoje właściwe oblicze:

- Za kogo ty się właściwie uważasz, zarozumiały i wstrętny łobuzie? Nie bez racji dał ci ojciec imię Minutusa, to znaczy mało ważnego. Twoja matka była gorszą od niewolnicy grecką ulicznicą i tancerką. Taki jest twój rodowód! Cesarz Gajusz zupełnie słusznie skreślił nazwisko twego ojca z listy ekwitów; przecież Poncjusz Piłat wyrzucił go z Judei za mieszanie się w żydowskie zabobony, to nawet nie jest prawdziwy Manilianus, tylko adoptowany! Uzyskał majątek dzięki haniebnemu testamentowi, był zamieszany w skandaliczne babskie intrygi i nie może wrócić do Rzymu! Jesteś zerem i będziesz jeszcze mniejszym zerem, ty bezwstydnym synu zachłannego ojca!

Pewno jeszcze by mówił dalej, ale rąbnąłem go w twarz. Przeraziłem się tego czynu, bo uczniowi nie godzi się bić nauczyciela, choćby był niewolnikiem. Ale on pierwszy uderzył mnie laską, a przede wszystkim nie mogłem znieść obelg, jakimi obrzucił moją matkę, chociaż jej nigdy nie znałem.

- Dzięki ci, Minutusie, za ten znak - rzekł Timajos, otarłszy z ust krew i złośliwie się uśmiechając. - Nigdy z krzywego proste nie urośnie, z plebejusza nie zrobisz arystokraty. Dowiedz się jeszcze, że twój ojciec po kryjomu pije krew razem z Żydami, a w swoim pokoju potajemnie wznosi toasty na cześć bogini Fortuny. Jakże inaczej osiągnąłby takie sukcesy i wzbogaciłby się bez swego udziału! Mam już dosyć i jego, i ciebie, i tego niespokojnego świata, gdzie nieprawość zwycięża sprawiedliwość, a mądrość siedzi pod drzwiami, za którymi ucztuje bezczelność.

Nie zwracałem uwagi na tę gadaninę, bo miałem dość do myślenia o własnej biedzie. Ogarnęło mnie gwałtowne pragnienie, aby jakimś odważnym czynem udowodnić, że nie jestem zerem i równocześnie zadośćuczynić za popełnione przestępstwo. Razem z moimi zaprzysiężonymi przyjaciółmi przypomnieliśmy sobie o lwie, który w odległości połowy dnia drogi od miasta rozszarpywał bydło. Bardzo rzadko lew pojawiał się tak blisko dużego miasta, toteż wiele mówiono o nim i o potrzebie schwytania go. Pomyślałem, że gdybyśmy tego lwa złapali żywcem i podarowali miejskiemu amfiteatrowi, to zmazalibyśmy swój występki i zyskali sławę bohaterów.

To była myśl idiotyczna i tylko zgryzota mogła ją spłodzić w zranionym sercu piętnastolatka, najgłupsze zaś było to, że Barbus, który był już zalany, uznał plan za wspaniały. Nie bardzo zresztą mógł się mu sprzeciwić, skoro tak wiele opowiadał o swoich bohaterskich wyczynach,

w tym o niezliczonych przypadkach łowienia lwów w sieci. W ten sposób legioniści dorabiali do marnego żołdu.

Musieliśmy niezwłocznie wyjechać z miasta, bo policja mogła już być w drodze, aby nas aresztować; pewien byłem, że następnego dnia rano zabiorą nam konie na zawsze. Było nas szczęściu, bo trzech okazali się na tyle mądrzy, że natychmiast opowiedzieli rodzicom o paskudnym zajściu i zostali wysłani z miasta.

Porządnie wystraszeni koledzy natychmiast zachwycili się moim pomysłem i znowu zaczęliśmy się chełpić między sobą. Po kryjomu wyprowadziliśmy ze stajni konie i wyjechali z miasta. Równocześnie Barbus wyłudził od Marcina (tego, co handlował jedwabiem) sakiewkę srebrnych monet, udał się do amfiteatru i wręczył ją pewnemu jakoby bardzo doświadczonemu łowcy słoni. Załadowali cały wóz sieciami, bronią i osłonami ze skóry i dopędzili nas za miastem, przy drzewie ofiarnym. Barbus nie zapomniał też o zaopatrzeniu się w mięso, chleb i kilka dzbanów wina. Wino przywróciło mi apetyt, bo ze strachu i zmartwienia dotychczas nawet kęsa nie mogłem przełknąć.

Kiedy zaświecił księżyc, ruszyliśmy w drogę. Barbus i łowca słoni dodawali nam otuchy, prawiąc o łowieckich zwyczajach w wielu krajach. O łowieniu lwów mówili jako o rzeczy tak banalnej, że podnieceni winem zaczęliśmy prosić ich, aby nie spieszyli z pomocą, bo cały splendor powinien przypaść nam. Obaj szczerze to obiecali i zapewnili, że służyć będą tylko radą i doświadczeniem. Zresztą na własne oczy w amfiteatrze widziałem, jak grupa mężczyzn zręcznie chwytала lwa w sieci i z jaką łatwością zabił go mężczyzna, uzbrojony w dwie włócznie.

O świcie dotarliśmy do wsi. Mieszkańcy rozpalali właśnie pod kuchniami. Okazało się, że nie tylko nie byli wystraszeni obecnością lwa, ale przeciwnie, bardzo z niego dumni. Jak daleko pamięć ludzka sięga, lwów tu nie było, ten zaś zamieszkał w wąwozie przy pobliskiej górze i wydeptał sobie ścieżkę do źródła. Poprzedniej nocy zabił i zjadł kozę, którą mieszkańcy wioski przywiązali do drzewa przy tej ścieżce, pragnąc w ten sposób ochronić swoje cenniejsze bydło. Ten lew wcale nie prześladował ludzi, wręcz ich przestrzegał, bo opuszczając parów wydawał kilka stłumionych ryków. Nie był też zbyt wymagający: z braku czegoś lepszego zadowalał się ściernem, o ile szakale go nie wyprzedziły. Wieśniacy zbudowali masywną klatkę, w której mieli zamiar przetransportować lwa do Antiochii, i tam go sprzedać. Klatka była konieczna, bo schwytyany do sieci lew musi być mocno skrepowany; jego członki mogłyby ulec uszkodzeniu, gdyby go szybko nie oswobodzono z więzów i nie wsadzono do klatki.

Wieśniacy nie zachwycili się naszymi planami, ale na szczęście nie zdążyli jeszcze sprzedać lwa; spostrzegłszy nasz zapał wymogli od nas dwa tysiące sesterceji za prawo schwywania lwa; za tę cenę gotowi byli teraz odstąpić przygotowaną klatkę. Kiedy już zawarliśmy transakcję i przeliczono pieniądze, Barbus zaczął nagle dygotać - jakoby z zimna - i zaproponował, żeby iść spać, a polowanie na lwa przełożyć na dzień następny; może mieszkańcy Antiochii przez noc trochę ochłoną po naszym bezwstydnym uczynku. Łowca dzikich zwierząt natomiast rozsądnie

zauważył, że właśnie teraz, o świcie, kiedy lew najadł się i napił, porusza się niemrawo i sen go morzy, przypada najlepsza pora, aby go wykurzyć z legowiska.

Obaj panowie przywdziali więc skórzane osłony i wraz z miejscowymi przewodnikami pojechaliśmy konno do podnóża góry. Tu pokazano nam ścieżkę wydeptaną przez lwa, jego wodopój, odciski wielkich łap i świeże łajno. Poczuliśmy nawet zapach lwa i konie stały się płochliwe. Im bardziej zbliżaliśmy się do wąwozu, tym ten zapach był ostrzejszy, a konie drżały, przewracały oczami i wzbraniały się przed postawieniem każdego kroku. Bardzo byliśmy tym zdziwieni, przecież nasze konie nawykły do hałasu i głosu trąb, a w czasie ćwiczeń polowych skakaliśmy na nich przez ogniska.

Ponieważ brakowało nam doświadczenia w dziedzinie łowów na grubego zwierza, sądziliśmy że bezpieczniej będzie atakować lwa konno. Musieliśmy jednak zsiąść z siodła i odesłać konie, tak były wystraszone zapachem lwa. Podchodziliśmy więc pieszo do wąwozu, z którego dobiegało chrapanie tak przeraźliwe, że ziemia drżała nam pod nogami. Chociaż możliwe, że to nasze łydki tak dygotały, przecież pierwszy raz w życiu zbliżaliśmy się do legowiska lwa!

Miejscowi chłopcy wcale się lwa nie bali i byli dobrze obeznani z jego obyczajami. Zapewniali, że będzie chrapał aż do wieczora. Zaklinali się nawet, że tak utuczyl go i rozleniwili, że największym problemem będzie obudzenie go i wypędzenie z legowiska.

Lew wydeptał sobie szeroką ścieżkę przez krzewy, ale brzegi urwiska były tak wysokie i strome, że Barbus i łowca uznali za wskazane ograniczyć się jedynie do przekazania nam wszechstronnych porad. Wskazali więc sposób rozłożenia ciężkiej sieci przy wylocie wąwozu, z obydwu stron miało ją trzymać po trzech młodzieńców. Siódmy powinien krzyzczeć i skakać, aby obudzić lwa. Oślepiiony dziennym światłem zwierz będzie uciekał przed atakiem i wpadnie prosto do sieci. Wtedy trzeba okręcić sieć wokół lwa tyle razy, ile tylko będzie możliwe, i uważać, aby nie dostać się w zasięg łap albo paszczy wyrywającego się drapieżnika. Po namyśle doszliśmy do wniosku, że nie będzie to wcale takie proste, jak wyjaśniali.

Usiedliśmy na ziemi, aby się naradzić, który z nas ma budzić lwa. Barbus uważał, że najlepiej byłoby trącić bydlaka włócznią w tyłek - nie za mocno, tyle tylko, żeby go zdenerwować, ale nie skaleczyć. Łowca dzikich zwierząt zapewniał, że sam chętnie by nam wyświadczył tę małą przysługę, ale wskutek reumatyzmu ma strasznie sztywne kolana, a zresztą nie chce nas pozbawiać honoru.

Moi towarzysze spoglądali na mnie z ukosa i zapewniali, że ten honor z całego serca mnie powierzają. Przecież cały pomysł zrodził się w mojej głowie. Zresztą to ja ich skusiłem do zabawy w porwanie Sabinek i stąd wzięła się cała historia. Czułem ostry zapach lwa, rozgorączkowany przypomniałem chłopcom, że jestem jedynym synem mego ojca. Okazało się jednak, że jedynaków było aż pięciu, szósty miał tylko siostry, a najmłodszy, Kharisios, szybko wyjaśnił, że jego brat jest jakałą i w ogóle kaleką.

Łowca dzikich zwierząt zdenerwował się i zaproponował, żebyśmy

rozgrzali żelazne pręty i zapalili pochodnie, aby dymem i ogniem wykurzyć lwa z pieczary. Ostro zaprotestowali przeciwko temu wieśniacy, ponieważ wskutek długiej posuchy wszystko dokoła było straszliwie wysuszone, użycie ognia groziło pożarem terenów aż po Antiochię, nie mówiąc o zniszczeniu okolicznych pól i wiosek.

Barbus zrozumiał, że moi koledzy stale naciskają na mnie, więc będę musiał podjąć się budzenia lwa. Przechylił dzban z winem, drżącym głosem przywołał na pomoc Herkulesa i zapewnił, że kocha mnie bardziej niż własnego syna, którego zresztą nigdy nie miał. Zadanie jest dla mnie nieodpowiednie, powiedział, przeto jako stary weteran legionów jest gotów mnie wyręczyć. Jeśli w tym przedsięwzięciu straci życie, bo ma zły wzrok i osłabione kończyny, to ma nadzieję, iż opłacę mu stos całopalny i wygłoszę pogrzebową mowę, aby jego sławne czyny stały się własnością ogółu. Swoją śmiercią choćby częściowo udowodni, że wszystko, co o tych czynach przez lata opowiadał, było prawdą.

Po czym naprawdę zaczął się gramolić ze stromego zbocza i usiłował chwycić włócznię do ręki. Bardzo tym mnie wzruszył. Zalewając się łzami mocno obejmowaliśmy się wzajem. Nie mogłem pozwolić, aby stary człowiek umarł przeze mnie! Poprosiłem więc, by opowiedział ojcu, że zginąłem jak mężczyzna i żeby to wynagrodziło mu wszystkie przykrości, jakie poniósł przeze mnie, bo przecież nawet matka umarła przy moim urodzeniu, a teraz, wprawdzie zupełnie nieświadomie, naraziłem jego imię na hańbę w całej Antiochii.

Barbus domagał się, abym wypił solidny łyk wina, bo jak zapewniał, gdy wino wypełni brzuch mężczyzny, to wszystko staje się łatwe. Piłem więc wino i zaklinałem mych kolegów, aby mocno trzymali sieć i za skarby świata jej nie popuścili. Obydwoma rękami chwyciłem włócznię, zacisnąłem zęby i skradając się, zszedłem z urwiska. W uszach dudniło mi chrapanie lwa. Spostrzegłem coś leżącego na ziemi i nie przyglądając się, niemal na ślepo, dźgnąłem to coś włócznią. Usłyszałem ryk lwa, ale sam wrzasnąłem chyba jeszcze głośniejszy i pogałem szybciej niż na zawodach w gimnazjonie prosto w sieć, którą moi towarzysze pospiesznie rozwiesili, choć mieli z tym czekać na mój powrót.

Z duszą na ramieniu szarpałem sieć, chcąc się z niej wydostać. tymczasem kulejąc i porykując nadszedł lew. Zdziwiony przyglądał się mojej szamotaninie. Koledzy nie wytrzymali nerwowo, puścili sieć i z wraskiem rzucili się do ucieczki. Z jednej strony drogi łowca zwierzyny darł się, żeby sieć natychmiast zarzucić na lwa, zanim jego wzrok oswoi się ze światłem, bo inaczej stanie się nieszczęście. Z drugiej strony Barbus krzyczał, abym wziął się w garść i pamiętał, że jestem Rzymianinem z rodu Manilianusów. Gdyby mi się coś stało, on zejdzie na dół i zabije lwa mieczem, ale wpierw muszę spróbować schwytać go żywcem. Nie wiem, czy któraś z tych rad do mnie dotarła, ale na szczęście, dzięki temu, że koledzy porzucili sieć, zdołałem się z niej wyplątać. Tchórzostwo przyjaciół tak mnie rozwścieczyło, że podniosłem sieć i stanąłem oko w oko z lwem. Patrzył na mnie majestatycznie, a zarazem ze zgryzotą i wyrzutem, skarżył się cichym pomrukiem, unosząc do góry tylną łapę, z której płynęła krew. Początkowo trzymałem sieć w uniesionych rękach, ale była zbyt

ciężka dla jednego człowieka, więc ciągnąłem ją za sobą i w pewnym momencie zarzuciłem na lwa. To go zdenerwowało; skoczył do przodu, zahaczył o sieć i przewrócił się na bok. Straszliwie rycząc tarzał się po ziemi i sam owinał sieć dookoła siebie, ale zdażył też trzepnąć mnie łapą. Siła tego ciosu wyrzuciła mnie daleko; chyba to uratowało mi życie.

Barbus i łowca grubego zwierza okrzykami wspomagali się nawzajem. Łowca przygwoździł do ziemi szyję lwa drewnianymi widłami, a Barbus nasunął sieć na jego tylne łapy. Syryjczycy byli gotowi przyjść z pomocą, ale ja krzykiem powstrzymałem ich i wezwałem moich tchórzliwych przyjaciół, aby przyszedli związać lwa, bo inaczej cały nasz plan weźmie w łeb. W końcu to zrobili, choć lew pokiereszował ich trochę pazurami. Łowca sprawdził liny i węzły kępujące lwa, ja zaś siedziałem na ziemi, trzęsąc się z gniewu; byłem tak wściekły, że aż się porzygałem.

Wieśniacy wsunęli długą żerdź między łapy lwa i ponieśli go do wioski. Gdy tak zwisał z żerdzi, nie wyglądał na tak wielkiego i wspaniałego jak wtedy, kiedy wychodził na światło dzienne. Okazało się, że był to już stary, osłabiony i nękanym przez muchy zwierzak, grzywę miał wyleniałą, a z paszczy wyzierały zepsute zęby. Bardzo się bałem, czy w czasie transportu do wioski nie udusi się w pętach.

Z emocji wprawdzie omal nie postradałem głosu, lecz mimo to zdażyłem po drodze precyzyjnie wyłożyć kolegom, co myślę o nich i w ogóle o zaprzysiężonej przyjaźni. Jeśli czegokolwiek się nauczyłem z tej całej historii, to tego, że kiedy w grę wchodzi życie - nie można polegać na nikim. Moi towarzysze ze wstydem przełknęli moje wyrzuty, przypominali naszą przysięgę i własny udział w łowieniu lwa. Chętnie przyznawali mi największą zasługę, ale równocześnie demonstrowali swoje zadrapania. Ja też pokazywałem swoje ramię, bez przerwy broczące krwią, aż z osłabienia kolana mi się uginały. W końcu uznaliśmy, iż każdy z nas w tym heroicznym starciu zyskał chwalebne szramy na całe życie.

W wiosce, gdy już lwa całego i żywego pomyślnie zamknięto w mocnej klatce, urządziliśmy ucztę. Barbus i łowca spili się na umór, natomiast miejscowe dziewczyny, aby nas uczcić, tańczyły w korowodach i ustroiły nas w girlandy kwiatów. Na drugi dzień wypożyczyliśmy wołu, który ciągnął klatkę, a sami maszerowaliśmy w triumfalnym pochodzie, z wieńcami na głowach, aż do Antiochii, mądrze dokładając starań, aby zakrwawione bandaże bardziej ukazywały niż zakrywały rany odniesione w walce z dzikim zwierzęciem.

W bramie miejskiej policja zamierzała nas zatrzymać i zabrać nam konie, ale dowódca warty okazał się człowiekiem rozsądnym i postanowił osobiście nas eskortować, jako że oświadczyliśmy gotowość dobrowolnego zgłoszenia się do urzędu miasta. Dwóch policjantów torowało nam drogę za pomocą pałek, bo - jak to zwykle bywa w Antiochii - mnóstwo wałkoni zbiegło się na wieść o wydarzeniu. Początkowo tłum wykrzykiwał przekleństwa i ciskał w nas grudkami gnoju i zgniłymi owocami, ponieważ rozpowszechniła się plotka, że zhańbiliśmy wszystkie zwierzęta i bogów całego miasta. Lew, rozdrażniony hałasem i wrzaskami tłumu, w obawie o własną skórę podniósł tak przeraźliwy ryk, że nasze konie zaczęły znów stawać dęba, pocić się i kręcić łbami. Możliwe, że łowca dzikich zwierząt

miał udział w drażnieniu bydlaka. W każdym razie tłum gorliwie zrobił nam przejście, a kilka kobiet na widok zakrwawionych bandaży zaczęło nam głośno współczuć i wylewać łzy.

Wreszcie na własne oczy ujrzeliśmy szeroką i długą główną ulicę miasta z jej nie kończącymi się kolumnadami, a nasza podróż przekształciła się w triumfalny marsz. Nie upłynęło wiele czasu, gdy zmienna w nastrojach gawieź jeła nam sypać kwiaty pod nogi. Rosło w nas poczucie własnej ważności - bardzo byliśmy jeszcze młodzi! - i zanim dotarliśmy do urzędu miasta, czuliśmy się raczej bohaterami niż przestępcami.

Dostojnicy miejsy pozwolili nam podarować sobie schwytanego lwa i w ten sposób poświęcić go bogu opiekuńczemu miasta, Jupiterowi, którego w Antiochii nazywają Baalem, potem zaś zaprowadzono nas przed oblicze sędziów. Już wcześniej rozmawiał z nimi opłacony przez mojego ojca doskonały prawnik, a i nasze dobrowolne zgłoszenie się wywarło korzystne wrażenie.

Adwokat domagał się odroczenia sprawy w celu jej wszechstronnego wyjaśnienia. Polemizował też z kwalifikacją sprawy, wywodząc, że jest ona przedmiotem sporu, jako że jego zdaniem nie miał miejsca niezaprzeczalny akt obrazy obrzędów, a tylko pomówienie. Żądał też, aby odwołać się do wyroczni w Dafne, która jest najwyższym autorytetem w odniesieniu do starych obrzędów religijnych i interpretacji sporów o ich znieważenie.

Słuchając jego donośnego głosu poczuliśmy się bezpieczni, nie wpakowano nas do więzienia, wszyscy wróciliśmy do domów leczyć rany. Konie jednak bezpardonowo skonfiskowano, czemu nie można było zapobiec, musieliśmy też wysłuchać reprimendy: o niesubordynacji młodzieży i czego można oczekiwać w przyszłości, skoro synowie najlepszych rodzin w mieście demonstrują złe wzorce ludowi i jak wszystko wyglądało zupełnie inaczej, kiedy nasi rodzice i dziadkowie byli młodzi.

Wróciłem do domu w towarzystwie Barbusa i zobaczyłem zawieszony na drzwiach żałobny wieniec. Początkowo nikt z nami nie chciał rozmawiać, nawet Sofronia. W końcu, wybuchnąwszy płaczem, opowiedziała, że Timajos poprosił wieczorem o ceber gorącej wody i podciął sobie żyły. Znalaziono go dopiero rano, już martwego. Ojciec zamknął się w swoim pokoju i nie przyjmował nawet wyzwoleńców, którzy go usiłowali pocieszyć.

Nikt nie lubił swarliwego i podejrzliwego Timajosa, który nigdy z niczego nie był zadowolony, ale śmierć jest zawsze śmiercią. Nie mogłem się uwolnić do poczucia winy. Przecież uderzyłem swego nauczyciela, a zachowanie moje okryło go wstydem! Ogarnęło mnie przerażenie, zapomniałem, że stawałem oko w oko z lwem. Pierwszą moją myślą było uciec na wieczne czasy, udać się na morze, zostać gladiatorem, zaciągnąć się do legionów w najodleglejszych lodowatych krainach albo na pustynnych granicach Partów. Wprawdzie nie wsadzono mnie do więzienia, ale przecież nie mogłem uciekać z miasta; postanowiłem więc pójść w ślady Timajosa i w ten sposób uwolnić ojca i od mojej natrętnej obecności, i od odpowiedzialności za mnie.

- Minutusie - powiedział Barbus, który także był porządnie

przestraszony - kiedy wszystko jest stracone i nie ma żadnej nadziei, wtedy najlepiej jest chwycić byka za rogi.

- Pokaż mi byka - rzuciłem z gniewem.

Barbus wyjaśnił, że powiedział to w przenośni. Jego zdaniem powinienem iść śmiało do ojca i to im wcześniej, tym lepiej. I dodał:

- Jeżeli się boisz, pójde pierwszy i przyjmę na siebie główny wybuch jego złości. Opowiem, jak sam jeden gołymi rękami poskromiłem rozwścieczonego lwa. Jeśli ma choć odrobinę ojcowskiego uczucia, to powinienem go tym ułagodzić.

- Skoro trzeba iść, to pójde zaraz - podjąłem postanowienie po krótkim namyśle. - Przecież ty też jesteś moim nauczycielem, jak był nim Timajos. Wystarczy już, że ten biedny stoik odebrał sobie życie przeze mnie. Ojciec mógłby ci tak nawymyślać, że rzuciłbyś się na własny miecz, a to byłaby głupota. A zresztą on i tak nawet w połowie nie wierzy w twoje opowieści, ja zaś nie mam zamiaru nawet wspominać mu o lwie, jeśli mnie nie zapyta, gdzie byłem.

- Gdybym ja był twoim ojcem - rzekł Barbus - kazałbym ci sprawić solidne lanie, a potem uczyniłbym dla ciebie wszystko, co tylko możliwe. Źle się stało, że nigdy nie dostałeś batów od ojca. Pamiętaj, w czasie wcirow chwyc między zęby kawałek rzemienia i przypomnij sobie moje zaszczytne blizny na plecach.

Gońco mnie uściskał i zaczął zbierać swoje manatki, bo był przekonany, że ojciec wyrzuci go z domu.

A tymczasem ojciec przyjął mnie zgoła inaczej, niż myślałem. Właściwie powinienem się był tego spodziewać, przecież on zawsze postępował odwrotnie niż wszyscy. Znużony czuwaniem i zapłakany skoczył do mnie, chwycił mnie w objęcia, przycisnął mocno do piersi, całował moją twarz i włosy, tulił mnie w ramionach. W taki sposób i tak czule nigdy mnie nie obejmował: gdy byłem mały i łaknąłem pieszczot, nie chciał mnie dotykać ani nawet patrzeć na mnie.

- Synu mój, Minutusie - wyszeptał. - Myślałem, że cię na wieki straciłem, że skoro wzięliście pieniądze, to razem z tym weteranem-pijanicą uciekliście na kraniec świata. A Timajosem się nie przejmuj. Chciał zemścić się na nas za swój niewolniczy los i słabość swojej filozofii. Przecież nie sposób wierzyć, że nigdy nie można naprawić swych czynów i otrzymać przebaczenia. Och, Minutusie, żaden ze mnie wychowawca, sam siebie nie potrafiłem wychować. Ale ty masz czoło swojej matki, jej oczy, jej prosty, krótki nos i nawet jej piękne usta. Czy kiedykolwiek przebaczysz mi srogość mego serca i zaniedbania względem ciebie?

Jego niepojęta czułość tak mnie wzruszyła, że na cały głos się rozplakałem, choć miałem już piętnaście lat. Padłem przed ojcem na kolana, objąłem jego nogi, błagałem o wybaczenie za mój postępek, który przyniósł mu hańbę i obiecywałem poprawę, jeśli tylko jeszcze raz mi daruje. Ojciec też osunął się na ziemię, ścisnął mnie i całował i przepaszaliśmy siebie nawzajem. Tak bardzo ulżyło mi na sercu, gdy ojciec brał na siebie winę za śmierć Timajosa i swoje niedopatrzania, że rozszlochałem się jeszcze głośniej.

Barbus usłyszał moje łkania i nie mógł dłużej wytrzymać. Z trzaskiem i

brzękiem wpadł do pokoju, dzierżąc w dłoniach tarczę i nagi miecz. Sądził, że ojciec mnie bije. Za nim z wrzaskiem wtoczyła się Sofronia, przemocą wyrwała mnie z rąk ojca i zamknęła w swoich obfitych i przepastnych ramionach. Oboje jeli prosić mego srogiego ojca, aby ich, a nie mnie, ukarał chłostą, bo oni są głównymi winowajcami; ja przecież jeszcze jestem dzieckiem i na pewno płatając niewinne psoty nie zamierzałem zrobić niczego złego.

Ojciec zmieszał się, wstał z kolan i gorąco zaprzeczył oskarżeniu o srogość, zapewniając, że w ogóle mnie nie uderzył. Barbus rychło zorientował się, w jakim nastroju jest ojciec: wezwał głośno bogów rzymskich i wykrzykiwał, że jedynie wbijając miecz we własną pierś może odkupić swoją winę jak Timajos. Był tak podniecony, że niewątpliwie by to uczynił, gdybyśmy wszyscy troje, mój ojciec, Sofronia i ja, wspólnymi siłami nie odebrali mu miecza i tarczy. Do czego potrzebna mu była tarcza, tego nijak nie rozumiałem. Później tłumaczył, że chciał się nią osłonić, gdyby ojciec bił go po głowie, bo jego stara głowa nie wytrzymałaby takich ciosów, jakie znosił swego czasu w Armenii.

Ojciec kazał Sofronii wysłać kogoś po zakup najlepszego mięsa i przygotować uroczysty obiad. Stwierdził, że na pewno jesteśmy głodni, a on sam kęsa nie przełknął, odkąd zobaczył, że zniknąłem z domu i poczuł, że zawiódł jako wychowawca. Zaprosił na ten obiad swoich wyzwolenców z miasta, bo wszyscy oni bardzo się martwili o mnie. Później ojciec własnoręcznie przemył moje rany, namaścił je i przewiązał lnianymi bandażami, chociaż jeśli o mnie chodzi, to chętnie jeszcze czas jakiś nosiłbym te zakrwawione przewiązki. Barbus wykorzystał okazję, aby opowiedzieć całą historię pojmania lwa, ojciec spochmurniał i bardzo miał sobie za złe, że aby naprawić skutki dziecinnych figłów jego syn wolał narażać się na śmierć w paszczy lwa, niż szukać oparcia u własnego ojca.

W końcu zmęczony długim gadaniem Barbus poszedł zaspokoić pragnienie i zostaliśmy we dwóch. Ojciec spoważniał i oświadczył, że musi ze mną porozmawiać na temat przyszłości, przecież wkrótce mam otrzymać męską togę. Ale trudno mu było zacząć tę rozmowę, bo nigdy dotąd nie rozmawiał ze mną jak ojciec z synem. Patrzył tylko na mnie zmęczonymi oczyma i na próżno szukał w myślach odpowiednich słów.

Ja też patrzyłem na niego. Dostrzegłem, że włosy mu się przeredziły, a twarz porały zmarszczki. Był bliżej pięćdziesiątki niż czterdziestki, widziałem starzejącego się, samotnego człowieka, który nie potrafił cieszyć się życiem ani bogactwem swoich wyzwolenców. Wokół leżało wiele książkowych zwojów - pierwszy raz w życiu spostrzegłem, że brak było choćby jednego wizerunku bóstwa czy bodaj ducha opiekuńczego. Przypomniałem sobie złośliwe oskarżenia Timajosa i powiedziałem:

- Ojcze, Timajos przed śmiercią obgadywał moją matkę i ciebie. Tylko dlatego uderzyłem go w twarz, choć oczywiście nie usprawiedliwia to mojego postępowania. Opowiedz mi o matce i o sobie. Mam prawo wiedzieć wszystko, choćby to było najgorsze. Bo jak inaczej będę mógł czuć nad sobą i swoimi postępkami?

- Twoja matka zmarła przy porodzie - wymijająco rzekł ojciec. Był wyraźnie zakłopotany, zacierał ręce i unikał mego spojrzenia. - Nie

mogłem tego ani sobie, ani tobie wybaczyć aż do dziś, kiedy ujrzałem, że jesteś żywym jej portretem, chociaż masz mocniejszą budowę ciała. Dopiero teraz, gdy przeżyłem strach, że mogę cię utracić, zrozumiałem, że poza tobą nie mam zbyt wiele, mój synu, Minutusie.

- Czy moja matka była tancerką, ulicznicą i niewolnicą, jak w złości twierdził Timajos? - spytałem wprost.

- Żebyś nigdy takich słów nawet nie wymawiał - zdenerwował się ojciec.
- Twoja matka była kobietą bardziej wartościową niż wszystkie, które znałem! I nie była nigdy niewolnicą, tylko przez jakiś czas poświęciła się służbie Apollina. Razem z nią wędrowaliśmy kiedyś po Galilei i Jeruzalem w poszukiwaniu żydowskiego króla i jego Królestwa.

Jego słowa umocniły moje straszliwe podejrzenie. Drżącym głosem powiedziałem:

- Timajos mówił też, że oskarżono cię wówczas o udział w intrygach żydowskich, co zmusiło namiestnika Judei do wypędzenia cię. Z tego też powodu, a nie przez kaprys Gajusza, straciłeś tytuł ekwity.

- Powstrzymałem się od relacjonowania ci tego wszystkiego do czasu, aż nauczysz się myśleć samodzielnie - głos ojca również drżał. - Nie chciałem też zmuszać cię do myślenia o tym, czego sam do końca nie rozumiem. Twoje wychowanie miało pewne dobre strony: Sofronia nauczyła cię wrażliwości, której nie byłbym w stanie ci przekazać. Barbus ocalił cię z topieli i pomógł mi zrozumieć, że masz prawo wyrosnąć na Rzymianina. Timajosa kupiłem, żebyś poznał nędzę wszystkich ziemskich bogów oraz czczość filozofii na tym kruchym świecie. Najlepiej to potwierdził swoją idiotyczną śmiercią. Pozwoliłem ci uczęszczać do szkoły publicznej, abyś przywykł do towarzystwa innych dzieci. Dałem ci konia, bo prawnie należysz do starego rzymskiego rodu. Ale teraz znalazłeś się na rozdrożu i musisz wybrać drogę, którą pójdiesz. Mogę tylko żałować z bólu ręce i żywić nadzieję, że potrafisz wybrać drogę słuszną. Nie chcę cię do niczego zmuszać, bo mam do zaoferowania tylko rzeczy, których sam nie pojmuję.

- Ojciec - przeraziłem się - chyba nie przeszedłeś po kryjomu na judaizm, chociaż zajmowałaś się żydowskimi sprawami?

- Ależ Minutusie - odparł ze zdziwieniem - przecież chodziłeś ze mną do łaźni i do gimnazjonu. Sam widziałeś, że nie noszę na ciele znaku ich religii. Nie zaprzeczam, że przeczytałem wiele świętych hebrajskich ksiąg, żeby lepiej zrozumieć Żydów. Czuję do nich raczej ukryty żal, ponieważ ukrzyżowali swojego króla. Ten żal do Żydów, również do ich króla, który trzeciego dnia zmartwychwstał i założył niewidzialne Królestwo, wzrósł po śmierci twojej matki. Żydowskie uczniowie króla naprawdę wierzą, że któregoś dnia on wróci, aby założyć Królestwo widzialne. To wszystko jest bardzo skomplikowane i nie daje się ogarnąć rozumem, więc nie jestem w stanie cię tego nauczyć. Twoja matka na pewno by potrafiła, bo rozumiała sprawy Królestwa lepiej ode mnie, ja zaś nadal nie pojmuję, dlaczego musiała umrzeć przez ciebie.

Zacząłem mieć wątpliwości co do stanu umysłu mego ojca. Przypomniałem też sobie, że we wszystkich sprawach zachowywał się inaczej niż inni ludzie. Wykrzyknąłem zapalczywie:

- A jednak razem z Żydami piłeś krew na ich zabobonnych tajnych obrzędach!

- Nie możesz tych spraw zrozumieć, skoro nie masz wystarczającej wiedzy - powiedział rozgniewany, ale tonem usprawiedliwiającym się. Po czym otworzył skrzynkę, zamkniętą na klucz, wyjął z niej drewniany kubek i delikatnie trzymając go w obu dłoniach rzekł: - To jest puchar twojej matki, Myriny. Pewnej bezkسیężycowej nocy w górach Galilei oboje wypiliśmy z niego eliksir nieśmiertelności, a kubek stale był pełny. Wtedy też objawił się Król i rozmawiał z każdym, choć było nas ponad pięćset osób. Twojej matce obiecał, że nigdy w życiu nie zazna pragnienia. Uczniowie Króla zobowiązali mnie, żebym nie mówił o tym nikomu, bo ich zdaniem Królestwo przeznaczone jest tylko dla Żydów, więc jako Rzymianin nie będę w nim miał żadnego udziału.

Zrozumiałem, że oto spoglądam na naczynie, które Timajos nazwał pucharem Fortuny, bogini Szczęścia. Wziąłem je do ręki: była to tylko zniszczona drewniana czarka, ale wzruszała mnie myśl, że posługiwała się nią i szanowała ją moja matka. Z politowaniem spojrzałem na ojca:

- Nie mogę ci wyrzucać twej zabobonnej wiary, bo czary żydowskie zamąciły w głowach wielu nawet mądrzejszym od ciebie. Niewątpliwie puchar przyniósł ci sukcesy i bogactwa, ale nie mówmy o nieśmiertelności, bo nie chcę cię obrazić. Opowiadasz o nowym Bogu, ale przecież i starzy bogowie umierali i powstawali z martwych, jak Ozyrys i Tammuz, Attis i Adonis czy Dionizos, nie wspomnę o wielu pomniejszych. Ale to są tylko bajki, alegoryczne przypowieści, którymi karmi się prostaczków w trakcie misterii. Ludzie cywilizowani nie piją krwi, a co do tajnych obrzędów, to mam ich po uszy przez te głupie dziewuchy, które rozwieszały kolorowe wstążki na krzakach.

- Och, gdybyś mógł mnie zrozumieć! - żalił się ojciec, potrząsając głową i zaciskając mocno obie ręce.

- Ależ rozumiem aż za dobrze, choć jestem tylko chłopcem! Przecież wychowałem się w Antiochii! Mówisz o Chrestosie czyli Chrystusie, ten nowy zabobon jest jeszcze bardziej zgubny i bardziej haniebnym od innych nauk żydowskich. Rzeczywiście ukrzyżowano go, ale nie był żadnym królem ani też nie zmartwychwstał, tylko jego uczniowie wykradli ciało z grobu. Zresztą nie ma sensu o tym mówić, niech się o to martwią sami Żydzi.

- On naprawdę był Królem. Nawet na krzyżu widniał trójjęzyczny napis: Jezus Nazarejski, król żydowski. Widziałem to na własne oczy. Jeśli nie wierzysz Żydom, to uwierz namiestnikowi Rzymu. Jego ciała wcale nie wykradli uczniowie, tylko żydowska Rada Najwyższa przekupiła wartowników, żeby tak świadczyli. Wiem, bo widziałem to na własne oczy. Na wschodnim wybrzeżu Morza Galilejskiego spotkałem Zmartwychwstałego, a przynajmniej wierzę, że to był On. Kazał mi odnaleźć twoją matkę, która znajdowała się wówczas w wielkich tarapatach w Tyberiadzie. Od tych wydarzeń upłynęło wprawdzie już szesnaście lat, ale teraz odżyły w mej pamięci.

- Nie będę się z tobą kłócił w sprawach boskich - wtrąciłem pospiesznie; nie mogłem sobie pozwolić na urażenie ojca. - Jest jednak sprawa, co do

której chciałbym mieć pewność: czy jeśli zechcesz, to będziesz mógł wrócić do Rzymu? Timajos twierdził, że ze względu na twoją przeszłość nigdy nie możesz przestąpić bram miasta.

- Jam jest Marek Mezencjusz Manilianus - ojciec wyprostował się, zmarszczył brwi i spojrzał na mnie surowo - i oczywiście mogę wrócić do Rzymu, kiedy tylko zechcę. Nie jestem banitą ani Antiochia nie jest miejscem mojego wygnania, sam to powinieneś rozumieć. Miałem własne powody osobiste, które powstrzymywały mnie od powrotu do Rzymu. Obecnie mógłbym wrócić, bo mam już swoje lata i nie poddaję się już tak bardzo wpływom innych, jak to miało miejsce w latach młodości. Nie dopytuj się o szczegóły. Nie zrozumiesz tego.

- Mówiłeś o rozdrożu i mojej przyszłości, którą sam wybiorę. Co miałeś na myśli? - spytałem, ogromnie ucieszony jego zapewnieniem.

- W obecnych czasach, tutaj w Antiochii - ojciec niepewnie pocierał czoło i dobierał słowa - wśród tych, którzy idą właściwą drogą, stopniowo wyjaśnia się, że Królestwo przeznaczone jest nie tylko dla Żydów. Podejrzewam - gwoli pełnej uczciwości rzeknę: - wiem - że chrzcili i brali na uroczystą wieczerzę również nie obrzezanych Greków i Syryjczyków. Ta praktyka wzbudziła wiele sporów. Obecnie działa w Antiochii pewien Żyd z Cypru, którego osobiście spotkałem w Jeruzalem, gdy Duch spłynął z niebios na jego głowę. Ten Cypryjczyk zaprosił pewnego Żyda imieniem Szaweł, którego swego czasu poznałem w Damaszku. Szaweł stracił wzrok od mocy boskiego objawienia, ale potem z powrotem go odzyskał. Nie znam dokładnie okoliczności tego wydarzenia, ale na pewno jest to człowiek, którego warto zobaczyć. Otóż moim gorącym życzeniem jest, abys poszedł i wysłuchał nauki tego męża. Jeśli uda mu się ciebie przekonać, ochrzci cię na poddanego Królestwa Chrystusowego i będziesz mógł uczestniczyć w ich tajnym posiłku. Obejdzie się bez obrzezania, nie musisz się bać, że będziesz podlegał prawu żydowskiemu.

- Czy naprawdę chcesz, żeby mnie wyświęcili na tajnych żydowskich obrzędach? - krzyknąłem nie wierząc własnym uszom. - Żebym służył jakiemuś ukrzyżowanemu Królowi i Królestwu, którego nie ma!? Bo jak inaczej można nazwać coś, czego nie widać?

- To moja wina, na pewno nie znajduję odpowiednich słów, aby cię przekonać. W każdym razie nic byś nie stracił, gdybyś wysłuchał tego, co ci mężowie mają do powiedzenia.

- Nigdy nie pozwolę Żydom polać się wodą święconą! - wrzeszczałem przerażony taką ewentualnością. - Nie zgodzę się też pić krwi razem z Żydami! Straciłbym te resztki dobrej opinii, które mi jeszcze zostały!

Jeszcze raz ojciec próbował cierpliwie wytłumaczyć mi, że przecież Szaweł jest wykształconym Żydem, który studiował retorykę w Tarsie. Poza niewolnikami i rzemieślnikami przychodzą go słuchać potajemnie niewiasty ze sfer arystokratycznych. Lecz ja zatkałem uszy, tupałem nogami i zupełnie wyprowadzony z równowagi przeraźliwie się darłem: - Nie, nie, nie!

Ojciec się opanował i chłodno powiedział:

- Niech będzie, jak chcesz. Cesarz Klaudiusz, który jest człowiekiem wykształconym, dokładnie obliczył, że najbliższej wiosny minie osiemset

lat od założenia Miasta. Wprawdzie już boski August urządził uroczystości jubileuszowe, uczestniczyło w nich wielu obecnie żyjących, i to jeszcze krzepkich ludzi. Jednak nowy jubileusz daje wspaniałą okazję podróży do Rzymu.

Nie skończył jeszcze mówić, a już rzuciłem mu się na szyję. Całowałem go, krzychałem z radości i biegałem po pokoju, przecież byłem jeszcze chłopcem! Zaczęli właśnie nadchodzić wyzwoleńcy, zaproszeni na uroczysty posiłek, więc musiał udać się do przedsionka, aby przyjmować gości i prezenty od nich. Kazał mi stanąć obok siebie na znak, że popiera mnie we wszystkim. Wyzwoleńcy bardzo się z tego ucieszyli, głaskali mnie po głowie, zachwycali bandażami i pocieszali z powodu straty konia.

Kiedy już wszyscy usadowili się na sofach, a ja usiadłem na taboreciku u nóg ojca, ten wyjaśnił, że celem zgromadzenia jest narada rodzinna i podjęcie decyzji co do mej przyszłości, ale z uśmiechem dodał:

- Nie pozwólcie, aby to źle wpłynęło na wasze apetyty. Na początku ożywimy nastrój winem. Dobre wino daje dobrych przyjaciół, a rady przyjaciół są mi bardzo potrzebne.

Ojciec nie prysnął winem na podłogę, lecz Barbus nie dał się zastraszyć jego ateizmem. Oddał ofiarę bogom i głośno ich pozdrowił, ja też poszedłem w jego ślady. Podobnie uczynili wyzwoleńcy, koniuszkami palców strzepując w milczeniu kroplę wina na posadzkę. Gdy tak na nich patrzyłem, serce rozpieła mi miłość, bo wszyscy oni rozpieszczali mnie i każdy życzył gorąco, abym wyrósł na czcigodnego człowieka, bo przecież moja pozycja w świecie będzie dodawała im splendoru. Po ojcu za wiele się już nie spodziewali, znali go i przywykli do jego obyczajów.

Najpierw roztrząsano nieszczęście, jakie mnie spotkało, gdy nieświadomie dopuściłem się obrazy tajnych obrzędów dojrzewających płciowo dziewcząt. Prawnik uzyskał już odroczenie sprawy. Jeśli uda mu się przekazanie orzekania o sprawie do wyroczni w Dafne, to nie trzeba się już niczego obawiać, tego wszyscy byli pewni, bo potrzebne będą tylko pieniądze. Zresztą w tę sprawę zamieszanych jest dziewięciu innych młodocianych jeźdźców, a wszyscy oni mają rodziców o niebagatelnym prestiżu.

Gdy tak dyskutowaliśmy, dostarczono kosz jabłek i pięknie spleciony z fiołków wianek dla mnie. Do przesyłki dołączona była tabliczka, na której koślawymi literami napisano:

Admete pozdrawia władcę Iwa Minutusa jest mi smutno że przeze mnie straciłeś konia piękny Minutusie wcale nie było mi źle w twoich objęciach jeśli będzie takie życzenie bogini żebyś mnie znowu wziął w objęcia to nie będę się sprzeciwiać ani moi rodzice.

Zdumiony przeczytałem list na głos. Wyzwoleńcy zakrzyczeli z gniewu i kategorycznie zabronili mi zakładania wianka na głowę, ponieważ gest taki mógł być zinterpretowany jako zgoda na propozycję zawartą w liście. Uznali ów list za dowód bezczelnej intrygi - oto rodzice jakiejś nic nie wartej dziewczuchy chcą ją wydać za męża za chłopaka z najlepszej rodziny w mieście. Ojciec zaś powiedział:

- Wszyscy wiecie, że mocno wierzę w przeznaczenie. Człowiekowi nie przydarzy się nic, co by nie miało się przydarzyć. Wiele doświadczeń potwierdza tę moją wiarę i przemawia na jej korzyść. Wielokrotnie widziałem, jak zło przemienia się w dobro, a to, co na pierwszy rzut oka wydaje się dobrem, zmienia się w zło. Gwoli bezstronności jednak powiem, że są aspekty przemawiające przeciwko moim przekonaniom. Jednak nie sędzę ani nie wierzę, aby przeznaczeniem Minutusa był ślub z zupełnie obcą dziewczyną tylko dlatego, że wciągnął ją na siodło i przez moment trzymał w objęciach. Dziewczyna zresztą może szczerze uważa, że porwał ją, aby ją poślubić. W żadnym wypadku nie chcę mówić źle ani o niej, ani o postępowaniu jej rodziców. Co do mnie - wierzę, że cała sprawa miała na celu wywarcie na mnie nacisku, abym podjął decyzję. Zrobiłem to. Minutus wybrał drogę, która prowadzi do Rzymu - a skoro tak, to musi dokładnie zastanowić się przed podjęciem decyzji o małżeństwie.

Kiedy wyzwoleńcy usłyszeli, że wybieram się do Rzymu, podnieśli z radości taką wrzawę, że aż ojcu zrobiło się przykro. Westchnął i rzekł:

- To wasza wygrana, nie moja. Dobrze wiecie, z jakim entuzjazmem rozmawiałem z każdym z was na temat nowej drogi. Każdy z was błagał mnie, abym z tym skończył, a Marcin górnik nawet wysłał mnie na kurację wodną w nadziei, że kąpiele i zimne okłady wypłoszą moje szalone myśli.

Marcin górnik zmieszał się, ale Marcin handlarz jedwabi pospieszył zapewnić, że kuracja wodna jest dobra na wszystko, a szczególnie na kaca po przepiciu winem.

- Po wykupieniu każdemu z was laski wyzwoleńczej częstowałem was eliksirem nieśmiertelności z drewnianego pucharu mojej nieboszczki żony - kontynuował ojciec. - Lecz wy nie zaczęliście gromadzić innych skarbów, jak tylko te ziemskie, których kres w każdej chwili może nastąpić. Tak widać być musiało, żeby mnie kusić przesytem, rozkoszą i czczymi honorami, które nie przedstawiają dla mnie najmniejszej wartości. Nie chcę bowiem niczego innego, jak być cichym i pokornego serca.

Wyzwoleńcy pospiesznie jęli zapewniać, że oni też, najlepiej jak potrafią, starają się być cisi i pokorni, na ile tylko dobrym kupcom to się udaje. Bo jeśli człowiek popisuje się swym bogactwem, to sam prowokuje władze, by wymierzały wyższe podatki i musi płacić większe łapówki urzędnikom. A przeszłością, która doprowadziła ich do niewoli, nie mają się co chełpić, więc najlepiej, gdy siedzą cicho.

- Przez was i przez krnąbrność mego syna Minutusa - powiedział ojciec - nie mogę śledzić nowej drogi, która otworzyła się szeroko dla gojów, zarówno dla Greków, jak i Rzymian. Gdybym uznał się za chrześcijanina, a tę drogę nazwał oderwaniem od ortodoksyjnego żydostwa, to wy i wszyscy domownicy musielibyście iść za mym przykładem, a z przymusu nie ma żadnego pożytku. Nie, naprawdę nie wierzę, żeby Duch oświecił na przykład Barbusa, choćby nie wiem kto położył rękę na jego głowie i tchnął nań. Nie mówiąc już o Minutusie, który już na samą myśl o tym zaczął wrzeszczeć. Dlatego najwyższy czas, bym powrócił do mego rodu. Jeśli coś zaczynam, robię to konsekwentnie. Wyjeżdżam razem z Minutusem do Rzymu i wraz z jubileuszową amnestią odzyskam tytuł ekwity. Minutus przywdzieje męską togę w Rzymie, w obecności

członków rodu. Otrzyma też w Rzymie konia na miejsce tego, którego utracił.

Była to dla mnie niespodzianka, o której nie ośmieliłem się nawet śnić. Miałem tylko nadzieję, że kiedyś w przyszłości, dzięki swej odwadze i zdolnościom, zdołam pomóc ojcu w odzyskaniu czci utraconej przez kaprys cesarza. Ale dla wyzwolenców nie była to żadna nowina. Z ich zachowania wywnioskowałem, że od dawna naciskali ojca, by starał się o przywrócenie tytułu rycerskiego, bo spodziewali się z tego powodu korzyści i zaszczytów dla siebie samych. Teraz więc gorliwie przytakiwali i wyobrażali sobie, że już mają dojście do wyzwolenców cesarza Klaudiusza, którzy piastowali ważne funkcje w administracji państwowej. Ojciec posiadał domy czynszowe na Awentynie i posiadłości ziemskie w Cerei. Z nawiązką osiągał takie dochody roczne, jakich wymagano od członków stanu rycerskiego.

- To wszystko są sprawy drugorzędne - oświadczył ojciec, uciszając gwar. - Ważne, że w końcu otrzymałem wszystkie papiery metrykalne Minutusa. Wymagało to ogromnie dużo kunsztu prawnego. Początkowo zamierzałem go po prostu adoptować, ale mój adwokat przekonał mnie, że to nie byłoby najlepsze rozwiązanie, bo dopuszczałoby możliwość zakwestionowania jego rzymskiego rodowodu.

Rozwinął cały stos dokumentów, czytał je na głos i wyjaśniał:

- Najważniejszy jest akt zawartego między mną a Myriną ślubu, potwierdzony przez urząd rzymski w Damaszku. Jest to bez wątpienia oryginalny, rzetelny i prawnie ważny dokument. Gdy przed laty dowiedziałem się, że moja żona spodziewa się dziecka, byłem bardzo szczęśliwy i chciałem zapewnić memu spadkobiercy jak najlepszą pozycję. - Zapatrzył się w sufit i mówił dalej: - Wyjaśnienie rodowodu matki Minutusa było dużo trudniejsze, ponieważ w swoim czasie nie przywiązywaliśmy do tego wagi i nawet o tym nie rozmawialiśmy ze sobą. Po żmudnych dociekaniach okazało się, że jej rodzina wywodzi się z miasta Myrina, leżącego w prowincji Azja w pobliżu miasta Kyme. Za poradą prawników wziąłem to miasto jako punkt wyjścia z uwagi na zbieżność jego nazwy i imienia mojej żony. Dowiedzieliśmy się, że po utracie majątku rodzina Myriny przesiedliła się na archipelag, ale pochodzenie rodu jest bardzo wysokie. Dla potwierdzenia tego faktu kazałem postawić pomnik mojej żony przed ratuszem w Myrinie, a także przesłałem miastu różne dary dla utrwalenia jej pamięci. W gruncie rzeczy moi specjaliści zbudowali od nowa cały ratusz, zresztą niezbyt duży, a rada miejska podjęła się wyprowadzenia genealogii Myriny od czasów najdawniejszych, nawet od boga jakiejś rzeki, ale nie uważałem tego za potrzebne. Mój człowiek odnalazł na wyspie Kos starego, szanowanego kapłana świątyni Eskulapa, który dobrze pamiętał rodziców Myriny i podobno przysięgał, że jest cielesnym wujkiem Myriny. Po śmierci szanowanych, choć ubogich rodziców, Myrina i jej brat poświęcili się Apollinowi i opuścili wyspę.

- Och, jakbym chciał spotkać tego dziadka-wujka, przecież jest on jedynym moim żyjącym krewnym ze strony matki - zawołałem.

- To zbędne - szybko odrzekł ojciec. - On stoi już nad grobem i w

dotatku ma kiepską pamięć. Zadbalem, żeby miał dach nad głową, jedzenie i opiekę aż do śmierci. Zapamiętaj tylko, że ze strony matki należysz do starego greckiego rodu. Kiedy wyrośniesz na mężczyznę, będziesz mógł odpowiednim darem wspomóc pamięć mieszkańców biednego miasteczka Myrina. Jeśli chodzi o mnie, to przez adopcję należę do rodu Manilianusów. Mój przybrany ojciec, a więc twój prawny dziadek był słynnym astronomem. Napisał dzieło, które nadal jest czytane we wszystkich bibliotekach całego świata. Ale z pewnością dziwi cię moje drugie imię: Mezencjusz. Jest ono pamiątką mego prawdziwego rodowodu. Słynny Mecenas, przyjaciel boskiego Augusta, który był moim dalekim krewnym i za życia opiekował się moimi dziadkami, chociaż zapomniał o nich w testamencie, pochodził z rodu władców Caere, którzy byli królami długo przed ucieczką Eneasza z Troi. Tak więc początek twojej rzymskiej krwi dała krew starodawnych Etrusków. Ale prawnie trzymajmy się rodu Manilianusów. W Rzymie lepiej jest nie chwalić się Etruskami, bo Rzymianie niechętnie wspominają czasy, kiedy Etruskowie rządili nimi jako królowie.

Ojciec mówił tak uroczyście, że wszyscy słuchali w napięciu i absolutnej ciszy. Tylko Barbus nie zapomniał od czasu do czasu popić trochę wina.

- Mój przybrany ojciec Manilianus był człowiekiem biednym. Zamiast zarabiać pieniądze na sztuce przepowiedni, wydawał majątek na książki i na badanie gwiazd. Raczej przez roztargnienie boskiego Tyberiusza aniżeli dzięki jego przychylności mógł nosić tytuł rycerski. Za długo byłoby opowiadać, jak w młodości tu, w Antiochii, głodowałem, zarabiając jako kancelista. Nie miałem wierzchowca z powodu ubóstwa Manilianusa. Po powrocie do Rzymu szczęśliwym przypadkiem spotkałem się z przychylnością pewnej arystokratycznej niewiasty, przemilczę jej nazwisko. Ta mądra i doświadczona kobieta przedstawiła mnie pewnej starej, schorowanej, lecz szlachetnej wdowie, która zostawiła mi w spadku cały swój majątek. Dzięki temu testamentowi umocniłem prawo do noszenia złotego pierścienia. Miałem wówczas już prawie trzydzieści lat i nie chciałem ubiegać się o urzędy. Poza tym rodzina wdowy kwestionowała testament, a nawet składała oszczercze oskarżenia, jakoby mój otrucie moją dobrodziejką. Sprawiedliwość była po mojej stronie, ale z uwagi na przykrą sprawę sądową - i jeszcze z innych powodów - wyjechałem z Rzymu i udałem się na studia do Aleksandrii. Rzym wprawdzie słynie z plotek, ale nie sądzę, aby ktokolwiek jeszcze pamiętał te stare dzieje i intrygi złośliwych i chciwych ludzi. Opowiadam to tylko dlatego, aby udowodnić Minutusowi, że z moim wyjazdem z Rzymu nie wiążą się żadne wstydlive kwestie i nie ma żadnych przeszkód, bym wrócił do miasta. Myślę, że należy wyjechać niezwłocznie, bo to okres najlepszy dla żeglugi. Dzięki temu będę miał całą zimę na uporządkowanie wszystkich spraw przed uroczystością jubileuszową.

Wyzwoleńcy zaczęli gorączkowo projektować powołanie bogatej świty, aby zarówno w podróży, jak i w Rzymie wszyscy widzieli naszą zamożność i wysokie pochodzenie. Ale ojciec z dezaprobatą odrzucił wszelkie tego rodzaju propozycje i powiedział:

- Chcę podróżować bez szumu i fanfaronady; podobnie będę się ubiegał

o zwrot tytułu ekwity nie przez bogactwo czy znajomości, ale z racji mego pochodzenia. Cesarz ma kłopoty z zaspokojeniem pretensji starych rodów rzymskich, ale szanuje senat, a w mojej sprawie głos decydujący ma cenzor. Na pewno będę więc potrzebował pieniędzy. Wezmę ze sobą Barbusa, żeby pilnował mojej sakiewki. On zawsze marzył, aby bodaj przez jeden dzień być panem w małej gospodzie rzymskiej. Przed wszystkim skontaktuję się z ostatnimi żyjącymi Manilianusami i udam się pod ich opiekę. Ale nie ma żadnych powodów, aby dowiedzieli się o waszej zamożności. Sam jestem człowiekiem biednym, moje majątki ledwie osiągają poziom wymagany przez cenzora. Sądzę, że nienagannością i skromnością osiągnę więcej, niż gdybym pozorował przymioty, których nie posiadam.

Wyzwoleńcy stwierdzili, że ojciec nadal nie zna świata, ale on oczywiście postanowił załatwić tę sprawę po swojemu, a oni już przywykli do tego i mogli jedynie liczyć na jego zwykłe szczęście.

Zjedliśmy i wypili. Pochodnie przed domem dogasały i zaczęły się żarzyć, w lampach wypalał się olej. Siedziałem cicho i usiłowałem się opanować, aby nie drapać zranienia, które strasznie swędziało. Przed domem zebrało się kilku żebraków i ojciec, przestrzegając starej syryjskiej tradycji, polecił rozdzielić między nich resztki pozostałego jadła.

Wyzwoleńcy zaczęli już zbierać się do wyjścia, gdy do domu weszło dwóch Żydów, których początkowo wzięto za żebraków i chciano wygonić. Ale ojciec podniósł się szybko, powitał ich z szacunkiem i zawołał:

- Znam tych ludzi, to są apostołowie Boga. Wracajcie wszyscy i posłuchajmy, co mają nam do powiedzenia.

Jeden z nich, Barnaba, był człowiekiem postawnym i nosił siwą brodę, był kupcem z Cypru. On - czy też jego rodzina - posiadali dom w Jeruzalem i tam ojciec go spotkał jeszcze przed moim przyjściem na świat. Drugi był znacznie młodszy. Nosił płaszcz z czarnej gęsto tkanej koziej wełny. Głowę miał już nieco wyłysiałą i odstające uszy, a oczy tak przenikliwe, że wyzwoleńcy unikali jego spojrzenia i osłaniali się rękami. To był ten Szaweł, o którym mi wspominał ojciec. Szaweł ostatnio zmienił imię: nazwał się Pawłem. Powiedział, że uczynił to z pokory, a także dlatego, że z poprzednim imieniem związana była zła opinia wyznawców Chrystusa. Paweł oznacza „mało znaczący”, czyli to samo co Minutus. To skłoniło mnie do większego zainteresowania się jego osobą. Nie był przystojny, ale z jego oczu i twarzy bił taki żar, że nawet przez myśl mi nie przeszło, aby się z nim spierać. Cokolwiek bym mu powiedział, nie zrobiłoby to na nim najmniejszego wrażenia. On natomiast musiał wywierać wpływ na innych. Barnaba w porównaniu z nim, już choćby z uwagi na swój wiek, wyglądał na człowieka umiarkowanego.

Wyzwoleńcy poczuli się zakłopotani przybyciem tych nieoczekiwanych gości, ale nie chcąc obrazić ojca nie wychodzili. Początkowo Barnaba i Paweł zachowywali się powściągliwie. Opowiadali, że doznali objawienia, nakazującego im głoszenie dobrej nowiny wśród Żydów i pogan. Na tę misję otrzymali zgodę i błogosławieństwo starszych gminy chrześcijańskiej w Jeruzalem, którym zawieźli pieniądze na utrzymanie.

Wyzwoleńcy bardzo się ucieszyli i złożyli im życzenia szczęśliwej podróży: zapewnili też, że zaprawdę już najwyższy czas, aby opuścili Antiochię, jako że stale powodowali niesnaski i kłótnie między Żydami. Widocznie w objawieniach chrześcijan kryje się mądrość, chociaż dotychczas uważali ich za mącicieli. Szczerze obiecali nawet udzielić zapomogi na drogę i nie szczędzili przestróg:

- Jesteście odważni i nie w ciemię bici, ale uważajcie na siebie, gdy będziecie krytykować drewniane i kamienne wizerunki bożków Greków lub prawo żydowskie. Małe miasteczka w głębi kraju nie są tak kulturalne i tolerancyjne jak Antiochia.

Paweł odmówił przyjęcia darów i zapewnił, że przestrzega tradycji żydowskich uczonych, a utrzymuje się z uczciwej pracy. Naukę o ukrzyżowanym Chrystusie, który wkrótce ma przyjść sądzić żywych i umarłych i w którego wiara może doprowadzić do żywota wiecznego, głosi nie dla własnej korzyści.

- Przemawiaj do innych, nie do nas. Niepotrzebnie chcesz wzruszyć nasze serca - odrzekli wyzwoleńcy.

Barnaba wyjaśniał ugodowo, że już wcześniej wiele razem wędrowali i znają trudy i ryzyko podróży. Głosili o cudach Boga z taką siłą, że chorzy wracali do zdrowia.

Mieszkańcy jakiegoś miasteczka w głębi kraju przez pomyłkę wzięli Barnabę za wcielenie Jupitera, a Pawła za Merkurego i przyprowadzili im w ofierze przybranego wieńcami byka. Z wielkim trudem udało im się obronić przed tymi bezbożnymi objawami czci. Po tym incydencie Żydzi wyprowadzili Pawła z miasta i zaczęli go kamienować, ale przestraszyli się urzędników i uciekli; myśleli, że Paweł zginął, on jednak doszedł do siebie.

- Co was opętało - pytali ze zdumieniem wyzwoleńcy - że nie wystarcza wam chleb powszedni, tylko narażacie własne życie, by głosić o synu Bożym i odpuszczeniu grzechów?

Barbus parsknął głośnym śmiechem, gdy pomyślał, że ktoś mógł się pomylić i wziąć tych dwóch Żydów za bogów. Mój ojciec go zbeształ i chwyciwszy się za głowę jął wyrzekać:

- Badałem wasze drogi i próbowałem pojednać was z Żydami. Chciałbym wierzyć, że mówicie prawdę, ale Duch nie doprowadził was do jednomyślności. Przeciwnie, kłóćcie się między sobą, jedni mówią zupełnie co innego niż drudzy. W Jeruzalem wierzący sprzedali cały swój dobytek i każdego dnia oczekują powrotu Króla. Czekają tak już ponad szesnaście lat. Pieniądze się rozeszły i żyją tylko z jałmużny. Co wy na to?

Paweł zapewnił, że on sam nigdy nikogo nie namawiał do porzucenia uczciwej pracy i rozdania majątku biednym. Z kolei Barnaba powiedział, że po zesłaniu Ducha każdy postępował tak, jak mu Duch rozkazał. Kiedy w Jeruzalem zaczęły się prześladowania i tortury, wielu uciekło do innych krajów, w tym do Antiochii, gdzie zajęli się handlem lub rzemiosłem; jednym poszło lepiej, drugim gorzej.

- Jeśli rzeczywiście macie w sobie moc Boga, to zróbcie przed nam jakiś cud, żebyśmy uwierzyli - powiedziałem, bo niezależnie od mej woli Paweł zaczął działać na mą wyobraźnię.

- Milcz, Minutusi, nie bluźnij! - zawołał ojciec.

Poparli mnie wyzwoleńcy; twierdzili, że byłoby rzeczą słuszną i sprawiedliwą, aby ci mężowie jakimś cudem, bodaj najmniejszym, udokumentowali swoje wielkie słowa. Usta Pawła zaczęły drżeć, a jego oczy żarzyć się w na pół pogrążonym w mroku pokoju i zrozumiałem, że ogarnęła go silna pokusa uczynienia jakiegoś cudu na naszych oczach. To mnie przeraziło, ponieważ zauważyłem, że patrząc na niego wierzę, iż może to uczynić, a równocześnie wiedziałem, że i tak mnie nie nawróci. Przecież byle wędrowny mag albo kuglarz potrafi czynić cuda.

- Wasz Król, Jezus Nazarejski, uczynił w swych wędrówkach wiele cudów, nawet wskrzeszał umarłych, a mimo to Żydzi mu nie uwierzyli - powiedział mój ojciec. - Gorzej, bo zmusili prokuratora rzymskiego, aby go ukrzyżował. Niezbadany jest dar wiary. Ja otrzymałem go tylko w połowie i jestem niedowiarkiem i człowiekiem nieszczęśliwym.

Barnaba i Paweł wiele jeszcze mówili, aż wyzwoleńcy zdenerwowali się i zawołali:

- O Bogu już wystarczy! Żle wam nie życzymy, ale powiedzcie, czego w końcu chcecie od naszego gospodarza, skoro późnym wieczorem wtargnęliście do jego domu, aby mu przeszkadzać. Ma on przecież własne kłopoty.

Opowiadali, że ich działalność tak dokuczyła antiocheńskim Żydom, aż doszło do sojuszu partii faryzeuszy i saduceuszy! Żydzi żarliwie pracują na rzecz Świątyni jerozolimskiej i otrzymywali wspaniałe dary od sekty bojaźni bożej. Ale ochrzczeni Żydzi przekabacili ich na swoją stronę, ponieważ zapewniali przebaczenie grzechów i możliwość nieprzestrzegania żydowskiego prawa. Wtedy Żydzi zaczęli wnosić pozwy przeciwko chrześcijanom i odwoływać się do rady miasta. Teraz więc Barnaba i Paweł chcieli opuścić miasto korzystając z dobrej pogody, ale obawiali się, że rada wyśle za nimi pozew.

- Wypracowałem różne metody osiągania kompromisów umożliwiających radzie miejskiej dystansowanie się wobec konfliktów w łonie Żydów - uspokajająco wyjaśniał ojciec z wyraźnym zadowoleniem. - Żydzi muszą załagodzić spory między sektami. Rada uznała gminę chrześcijańską za jedną z wielu sekt żydowskich, chociaż gmina ta nie wymaga od swych członków ani obrzezania, ani pełnego przestrzegania prawa możeszowego. Dlatego ochrona chrześcijan, jeśli inni Żydzi ich atakują, stała się obowiązkiem władz miejskich. I odwrotnie, będą one chronić tych innych, jeśli stroną agresywną będą chrześcijanie.

- Przecież wszyscy jesteśmy Żydami - rzekł głęboko zatroskany Barnaba - a obrzezanie jest pieczęcią ortodoksyjnego żydostwa. Żydzi antiocheńscy wymyślili, że nie obrzezani chrześcijanie prawnie nie są Żydami i można ich skazać za obrazę lub profanację żydowskiej wiary.

- O ile mi wiadomo - odparł ojciec, który stawał się bardzo uparty, kiedy raz coś sobie wbił do głowy - jedyną różnicą między Żydami a chrześcijanami jest to, że zarówno ci obrzezani, jak i nie obrzezani chrześcijanie wierzą, iż w postaci Jezusa Chrystusa żydowski pomazaniec Mesjasz już przyszedł jako człowiek na ziemię, powstał z martwych i wróci wcześniej czy później założyć tysiącletnie Królestwo. Żydzi w to nie wierzą, tylko nadal oczekują mesjasza. Lecz w świetle prawa rzeczą

obojętną jest, czy ludzie wierzą w tego, który już przyszedł, czy też w tego, który dopiero ma przyjść, skoro jedni i drudzy wierzą w mesjasza. Miasto Antiochia nie czuje się kompetentne w rozwikłaniu dylematu, czy mesjasz już przyszedł, czy też nie. Żydzi i chrześcijanie muszą między sobą wyjaśnić ten problem, nie prześladować się nawzajem.

- Tak było dotychczas i mogło być dalej - zdenerwował się Paweł - gdyby obrzezani chrześcijanie nie byli tchórzami. Taki Kajfasz na przykład - najpierw jadł razem z nie obrzezanymi, a potem od nich stronił, bo bardziej bał się starszych gminy w Jeruzalem aniżeli Boga. W twarz mu wyrzuciłem to tchórzostwo, ale zło już się stało i coraz częściej chrześcijanie obrzezani spożywają swój posiłek tylko we własnym gronie, a nie obrzezani osobno. Dlatego tych ostatnich nie można już nawet nazywać Żydami. Nie, wśród nas nie ma Żydów ani Greków, nie ma wolnych ani niewolników, bowiem wszyscy jesteśmy wyznawcami Chrystusa.

Ojciec zauważył, że nie byłoby najmądrzej występować z takimi argumentami przed sądem, albowiem w takim przypadku chrześcijanie mogliby utracić przywilej, który ich osłania. Dla nich byłoby lepiej, gdyby uznali, że są Żydami i korzystali ze wszystkich państwowych prerogatyw, jakie przysługują Żydom, nawet gdyby lekceważyli obrzezanie i żydowskie prawo.

- Jeśli wystarczająco mocna grupa sekty stwierdzi, że nauka o mesjaszu stanowi sedno judaizmu, niezależnie od tego, czy on już przybył czy nie - mówił mój ojciec - wówczas rada miejska uzna obrzezanie za przestarzałą, mało ważną okoliczność i będzie mogła wspierać chrześcijan, jeśli oni ze swej strony będą wspierać radę miasta.

Zapalił się, mówił z patosem i wyjaśnił jeszcze kilka razy, jakie korzyści mogliby odnieść chrześcijanie przez wykorzystanie specjalnej pozycji w państwie i przywilejów, nie tylko w Antiochii, ale i w innych prowincjach rzymskich.

Ale tych dwóch nie udało mu się przekonać. Oni mieli swoją własną koncepcję. Według nich Żyd jest Żydem, a wszyscy inni są gojami: goj może zostać ochrzczony i tak samo Żyd może zostać ochrzczony i wówczas między nimi nie będzie żadnej różnicy, bo wtedy wszyscy będą w Chrystusie. Jednak Żyd nawet ochrzczony pozostaje Żydem, natomiast ochrzczony goj może zostać Żydem tylko przez obrzezanie, ale to nie jest potrzebne i nawet niewskazane, bo cały świat ma się dowiedzieć, że chrześcijanin nie musi być Żydem.

Ojciec rzekł cierpko, że ta filozofia wykracza poza zasięg jego rozumu. Swego czasu gotów był kornie stać się poddanym Królestwa Jezusa Nazarejskiego, ale go nie przyjęto, bo nie był Żydem. Zwierzchnicy sekty nazarejskiej nawet zabronili mu rozmawiać o Królu. Wysnuwając z tego wnioski, najmądrzej byłoby nadal czekać, aż sprawy Królestwa zostaną tak wyjaśnione, że nawet prosty człowiek będzie mógł je zrozumieć. Widać Opatrzność wysyła go teraz do Rzymu, bo w Antiochii można jedynie spodziewać się takich kłopotów, i to zarówno ze strony Żydów, jak i chrześcijan, że najlepszy rozjemca niczego tu nie wskóra.

Obiecał jednak przedłożyć radzie miejskiej wniosek, aby nie skazywać

chrześcijan za profanację wiary judejskiej, ponieważ przyjmując wymyślony przez Żydów chrzest i uznając Mesjasza za Króla, de facto, chociaż nie dosłownie de iure, byli w wiadomym sensie Żydami. Przy takim podejściu rada będzie mogła sprawę odwlekać i po jakimś czasie odrzucić powództwo Żydów.

Tym Barnaba i Paweł musieli się zadowolić, skoro nic innego nie mogli uzyskać. Ojciec zapewnił, że jego sympatia jest raczej po stronie chrześcijan niż Żydów. Wyzwoleńcy ze swej strony zaklinali mego ojca, aby niezwłocznie ustąpił z rady miejskiej, bo i tak ma dosyć swoich spraw na głowie. Lecz ojciec - zupełnie słusznie - odrzekł, że właśnie teraz nie może tego zrobić, ponieważ złożenie dymisji wszyscy by przyjęli jako potwierdzenie mojej winy w profanacji świętego obrzędu dziewcząt.

Wyzwoleńcy zaczęli się obawiać, że okazywanie przez mego ojca chrześcijanom sympatii może wzniesić podejrzenia, że do zbezczeszczenia tego obrzędu podjudzał mnie sam ojciec. Wiadome jest przecież, że tak chrześcijanie, jak i Żydzi czuli nieprzejednany wstręt do wizerunków bogów, świętych ofiar i tradycyjnych obrzędów.

- Po przyjęciu chrztu i wypiciu wraz ze współwyznawcami krwi - mówili - chrześcijanie rozbijają i palą lary i penaty; wolą raczej zniszczyć święte księgi, niż odsprzedać je tym, którzy mogliby z nich korzystać. Taki brak tolerancji sprawia, że stają się niebezpieczni. O, nasz dobry i cierpliwy panie, przestań mieć z nimi do czynienia! Bo inaczej twój syn źle skończy!

Z szacunku dla mego ojca muszę powiedzieć, że po wizycie tych dwóch Żydów przestał mnie zachęcać, bym poszedł i posłuchał ich nauk. Zresztą Paweł i Barnaba pokłócili się i wyjechali z Antiochii, każdy w inną stronę. Po ich wyjeździe prawowierni Żydzi uspokoili się, bo chrześcijanie unikali wszczynania publicznych sporów i utworzyli własne zamknięte grono.

Na wniosek mojego ojca rada miasta nie zgodziła się na przyjęcie żydowskiego powództwa przeciwko Barnabie i Pawłowi o profanację żydowskiej wiary. Oświadczyła, że Żydzi mają wyjaśnić między sobą spory odnośnie do swojej wiary. Ta sama decyzja stała się podstawą do przekazania wyroczni w Dafne rozstrzygnięcia w sprawie mojej i moich kolegów. Nasi rodzice zapłacili wysokie kary, a my spędziliśmy trzy dni i trzy noce w zagajniku Dafne na obrzędach oczyszczających. Rodzice obrażonych dziewczyn już więcej nie występowali z propozycjami matrymonialnymi. W związku z obrzędami oczyszczającymi musieliśmy złożyć pewne przyrzeczenie bogini Księżycy, ale o tym nie mogłem powiedzieć ojcu, zresztą jego to wcale nie interesowało.

Wbrew swemu zwyczajowi ojciec poszedł razem ze mną do amfiteatru, gdzie nas, siedmiu chłopców, usadowiono na honorowych miejscach, zaraz za sponsorami przedstawienia. Lew, wychudzony i rozdrażniony, zaprezentował się na piasku areny wspanialej, niż śmielibyśmy zamarzyć. Bez trudu rozszarpał skazanego na śmierć złoczyńcę, ugryzł w kolano pierwszego gladiatora i poległ, walcząc bohatersko do końca. Publiczność wyła z zachwytu i powstaniem z miejsc oraz oklaskami uczciła lwa i nas. Myślę, że ojciec był ze mnie dumny, chociaż nic nie powiedział.

Kilka dni później pożegnaliśmy zapłakaną służbę i wyjechaliśmy do portu w Seleukei, dokąd odprowadzili nas wyzwoleńcy. Tam ojciec, ja i

Barbus wsiedliśmy na statek, aby wyruszyć do Neapolu, a stamtąd do Rzymu.





Księga 2

Rzym

Czy potrafię wyrazić, co czułem, gdy w blasku jesieni, mając piętnaście lat, przybyłem do Rzymu, od dziecka karmiony legendami o tych świętych wzgórzach i dolinach? Wydawało mi się, że ziemia drży pod moimi nogami, a każdy kamień bruku opowiada swoją osiemsetletnią historię. Nawet wezbrany Tybr jawił się tak dostojnie, że doznałem zawrotu głowy.

Może był to skutek stresu, wywołanego długą podróżą, albo męczącego podniecenia, ale ogarnęło mnie radosne odurzenie, słodsze od upojenia winem. Oto miasto, które włada całym cywilizowanym światem aż po Partię i Germanię, dziedzictwo moje i moich przodków! Ode mnie samego, od moich chęci, siły i zdolności będzie zależało, czy zapiszę się w jego historii, czy też wraz ze spopielalym stosem pogrzebowym zapadnę w niepamięć. Ale czułem, że nigdy nie będę zupełnie zapomniany, bo w tych ciemnych, brunatnych, jakby malowanych barwami jesieni ścianach, w iskrzących złotem, marmurowych kolumnach, ja, Rzymianin, przetrwam wieczność.

Maszerowaliśmy do domu ciotki ojca, Lelii Manilii. Barbus głęboko oddychał, perorując:

- Ponad czterdzieści lat brak mi było zapachu Rzymu! Jest to zapach, którego się nigdy nie zapomina i który najlepiej daje się odczuć w Suburze pod wieczór, kiedy woń gotowanej stawy zlewa się z zastarzałymi zapachami ciasnych uliczek. Jest to mieszanka czosnku, przypalonej oliwy, ziołowych przypraw, defekacji, kadzideł świątynnych, a przede wszystkim pewnej podstawowej woni, której nie mogę nazwać inaczej, jak tylko zapachem Rzymu, bo nigdzie indziej go nie wyczuwałem. Ale wydaje mi się, że przez czterdzieści lat zmieniły się części składowe tej mieszanki. Może zresztą to mój nos się zestarzał, z wielkim trudem odnajduję niezapomniany aromat mego dzieciństwa i młodości.

Szliśmy pieszo, bo w ciągu dnia używanie środków transportu w Rzymie jest zabronione. I tak z powodu tłoku poruszanie się jest prawie niemożliwe. Ze względu na mnie - a może i ze względu na siebie - ojciec wybrał na Awentyn określną drogę przez Forum: wzgórze Palatynu zostało po lewej stronie, a przed nami wznosił się Kapitol. Skręciliśmy na starą drogę Etrusków, wiodącą koło Cyrku Wielkiego. Odwracałem głowę to w jedną, to w drugą stronę, ojciec cierpliwie wymieniał nazwy świątyń i gmachów, a Barbus podziwiał nowe budowle Forum, których za jego czasów jeszcze nie było. Ojciec spociał się i ciężko dyszał, pomyślałem z

załem, że jest już stary, choć jeszcze nie ukończył pięćdziesięciu lat.

Ale zatrzymać się i odsapnąć zgodził się dopiero koło okrągłej świątyni Westy. Z otworu jej dachu unosiła się nad Rzymem cienka smużka dymu, a ojciec ochoczo obiecał, że zaraz jutro będę mógł pójść z Barbusem obejrzeć pieczarę, w której wilczyca wykarmiła Romulusa i Remusa; pomnik tej wilczycy boski August kazał doprowadzić do porządku, żeby cały świat go podziwiał. Przed pieczarą nadal rosło święte drzewo bliźniaczych braci. A o woniach Rzymu ojciec tak powiedział:

- Dla mnie zapach Rzymu to niezapomniany aromat róż i wonności, czystych płócien i świeżo umytych kamiennych posadzek. Ten aromat jest niepowtarzalny, ponieważ powietrze i ziemia Rzymu dorzuca do niego swoją woń. Ale sama myśl o tym jest dla mnie tak przygnębiająca, że wolałbym umrzeć, niż wrócić tu i znowu chodzić po tych niezapomnianych ulicach. Dlatego nie zatrzymujemy się, abym się zbyt nie rozczulił i nie stracił panowania nad sobą, które usiłowałem osiągnąć przez ostatnie piętnaście lat.

- Doświadczenie życiowe poucza - oświadczył Barbus - że umysł i cała moja istota lepiej odbiera zapachy i głosy po pierwszych dwóch łykach wina niż kiedykolwiek indziej. Nic i nigdy nie smakowało mi tak bardzo, jak obsmażane małe kielbaski, które jadłem w Rzymie. Zatrzymajmy się bodaj na chwilę, abyśmy spróbowali gorącej kielbasy. Jej smak powinien być taki jak dawniej, choć zapach w nozdrzach się zmienił.

Ojciec musiał się roześmiać. Zatrzymaliśmy się na skraju targowiska bydła i weszli do maleńkiej traktierni, która była tak stara, że jej fundamenty osiadły dużo poniżej nawierzchni ulicy. Barbus chciwie wdychał powietrze: ja też je wdychałem, a przesycone było zapachem wina i gorącego jada. Zachwycony Barbus zawołał:

- Chwała Herkulesowi, że w Rzymie jest jeszcze coś z dawnych lat. Tę knajpę pamiętam, chociaż moim zdaniem była znacznie większa i przestronniejsza niż teraz. Wdychaj mocno, Minutusie, bo jesteś młodszy ode mnie. Czy nie czujesz woni ryby i szlamu, trzciny i krowiego łajna, ludzkiego potu i cyrkowego kadzidła?

Przeplukał usta winem, prysnął kroplę na podłogę, wpakował do gęby kawał gorącej kielbasy, przeżuwał i rozkoszował się, przechylając głowę z boku na bok. W końcu powiedział:

- Tak, wraca mi pamięć czegoś, co dawniej odczuwałem. Ale chyba i usta mam już za stare, bo nie ogarnia mnie taka szczęśliwość, jaką przeżywałem niegdyś, gdy zapychałem się kielbasą i trzymałem w ręku kubek wina. - Łzy pokazały się w pomarszczonych kącikach jego oczu i dopowiedział z westchnieniem: - Jestem jak mara przeszłości, która przybywa na uroczystości jubileuszowe! Nie mam tu nikogo znajomego, krewnego ani protektora. Młode pokolenie zajęło bez żenady miejsce starych, kielbasa straciła swój smak, a wino swój zapach. Miałem nadzieję że spotkam kogoś ze swych dawnych towarzyszy broni, z oddziału pretorianów albo bodaj z rzymskiej straży pożarnej, ale teraz obawiam się że raczej byśmy się nie poznali po twarzach. Czuję się jak Priam na gruzach Troi.

Przybiegł właściciel traktierni o ociekającej tłuszczem gębie. Zapewnił,

że w najbliższych dniach będziemy mogli spotkać w jego progach uczestników igrzysk cyrkowych, urzędników archiwum, aktorów i architektów, którzy przed uroczystościami osiemsetlecia będą odnawiać stare budowle i pomniki. Pod jego dachem możemy też poznać sympatyczną małą wilczycę. Lecz Barbus był niepokieszony. Rzekł ponuro, że nie chce nawet słyszeć o wilczycy, bo ona też by go nie poznała.

Potem weszliśmy na Awentyn i ojciec zaczął utyskiwać, że niepotrzebnie zaszliśmy do knajpy, bo czosnkowa kiełbasa ciąży mu na żołądku, a wino wcale nie polepszyło jego samopoczucia. Skarżył się na ucisk w piersiach i mówił, że ma złe przeczucia, do czego przyczynił się kruk, który przeleciał obok nas z lewej strony.

Mijaliśmy nowe i stare wielopiętrowe kamienice czynszowe; kilka prastarych świątyń między wysokimi domami wyglądało jakby zapadły w ziemię. Wreszcie na przeciwległym stoku wzgórza odnaleźliśmy dom rodziny Manilianusów. W porównaniu do naszego domu w Antiochii był to budynek mały i zniszczony, z nadbudowanym piętrem dla powiększenia powierzchni mieszkalnej. Otaczał go mur i zapuszczony ogród. Zauważywszy moją pogardliwą minę, ojciec powiedział ostro, że już sam ogrodzony teren i wielkość działki ogrodowej świadczą o wieku budynku i o wysokim pochodzeniu jego właścicieli.

Tragarze już dawno przynieśli z portu kufry, więc ciocia Lelia była uprzedzona o naszym przybyciu. Poczekała, aż ojciec zapłaci tragarzom i dopiero wtedy ruszyła ku nam po schodach i ścieżką między krzewami laurowymi. Była wysoką, chudą kobietą o pomarszczonych, starannie uróżowanych policzkach i czernionych powiekach. Na palcu miała pierścień, a na szyi miedziany łańcuch. Ręce jej drżały, kiedy hamując okrzyki radości, ostrożnie wyszła nam naprzeciw.

Ojciec jak zwykle skromnie pozostał w tyle, by osobiście dopilnować bagażu; ciotka stanęła więc przed Barbusem, schyliła głowę jak do modlitwy i wykrzyknęła:

- Och, Marku, cóż za radosny dzień! Niewiele się zmieniłeś od czasów młodości. Jedyne postawę poprawiłeś i figurę masz bardziej krzepką.

- Oj, ciociu Lelio! - parsknął śmiechem ojciec. - Jak zwykle niedowidzisz i jesteś roztrzepana. To ja jestem Marek. A ten tu stary szanowny weteran to nasz towarzysz podróży, Barbus, mój klient.

Ciocia Lelia bardzo się zdenerwowała swoją pomyłką. Podeszła do ojca, zlustrowała go dokładnie, drżącymi rękami dotknęła jego ramion i brzucha, a wreszcie oświadczyła:

- Nic dziwnego, że cię nie poznałam. Masz twarz opuchniętą, a brzuch obwisły, aż trudno mi uwierzyć własnym oczom! Przecież byłeś kiedyś niemal przystojnym mężczyzną!

- Dziękuję za twe słowa, kochana ciociu Lelio - ojciec nie poczuł się wcale obrażony. - Kamień spadł mi z serca, bo dawniej wygląd zewnętrzny był moją udreką. Skoro mnie nie poznałaś, to wątpię, by ktokolwiek inny rozpoznał mnie z twarzy. A ty wyglądasz jak dawniej, zgrabna, o szlachetnych rysach! Lata cię nie zmieniły! Obejmij mego syna Minutusa i bądź dla niego dobra i czuła, jak niegdyś dla mnie, w latach mojej młodości i lekkomyślności.

Ciocia Lelia ochoczo chwyciła mnie w objęcia, suchymi wargami pocałowała w czoło i oczy, drżącą ręką pogładziła po twarzy i zawołała:

- Ach, Minutusie, masz już puszek na brodzie. Nie jesteś dzieckiem, które bym mogła kołysać w ramionach. - Trzymając moją głowę rękami badawczo przyjrzała mi się i rzekła: - Bardziej przypominasz Greka niż Rzymianina, ale niewątpliwie te zielone oczy i jasne włosy są bardzo oryginalne. Gdybyś był dziewczyną, powiedziałabym, że jesteś piękny, ale i tak z pewnością dobrze się ożenisz. Twoja matka była Greczynką, o ile dobrze pamiętam.

Mówiąc zaciniała się, jakby nie była pewna swych słów - sędzę, że po prostu z przerażenia. W drzwiach domu powitali nas łysy bezzębny niewolnik i jednooka kulawa niewolnica. Oboje padli na kolana przed moim ojcem i wykrzykiwali pozdrowienia, widocznie poinstruowani przez ciotkę. Ojciec poczuł się zakłopotany, poklepał ciotkę po ramieniu i zaproponował, aby jako gospodyni poprowadziła nas w głąb domu. Ponieważ dla uczczenia naszego przyjazdu kazała zapalić ogień przed ołtarzem, ciasna sala pełna była dymu i wszyscy na wyścigi zanosili się kaszlem. Z trudem dostrzegłem wypalone z gliny wizerunki duchów opiekuńczych naszego rodu i pożółkłe maski woskowe, które w kłębach dymu wyglądały jak żywe.

Nerwowo podskakując i gestykulując ciotka jęła bardzo wylewnie tłumaczyć, że zgodnie z tradycją rodową Manilianusów powinniśmy niezwłocznie złożyć w ofierze prosię. Ponieważ jednak nie była pewna terminu naszego przyjazdu, przeto nie kupiła prosiaka i nie może poczęstować nas niczym innym, jak oliwkami, serem i zupą jarzynową. Ona sama zresztą od dawna mięsa nie spożywa.

Oglądaliśmy pokoje. Kąty zasnuwała pajęczyna, łoża prezentowały się równie żałośnie, jak kilka szpetnych gratów - w ten sposób dotarło do mnie, że ciocia Lelia żyła w głębokim ubóstwie. Z biblioteki astronoma Manilianusa pozostało zaledwie kilka nadgryzionych przez szczury zwojów; ciotka przyznała, że sprzedała też jego popiersie publicznej bibliotece, mieszczącej się u stóp Palatynu. W końcu wybuchnęła płaczem i zawołała:

- To wszystko moja wina, Marku! Jestem kiepską gospodynią, bo w młodości za dobrze mi się powodziło. Tego domu w ogóle nie mogłabym utrzymać, gdybyś mi nie przysyłał pieniędzy z Antiochii. Nie mam pojęcia, gdzie podziały się te pieniądze, choć wiem z pewnością, że nie wydałam ich na żywność, wino i pachnidła. Ciągle mam nadzieję, że któregoś dnia jeszcze mój los się odmieni. Tak mi przepowiedziano. Nie gniewaj się na mnie i nie żądaj ode mnie dokładnego rachunku z pieniędzy, które mi przysyłałeś.

Ojciec zapewniał, że wcale nie przyjechał do Rzymu w roli kontrolera finansowego. Przeciwnie, szczerze żałował, że nie przysyłał więcej pieniędzy na utrzymanie domu i jego renowację. Ale teraz - oświadczył - wszystko się zmieni, jak to cioci Lelii przepowiedziano. Kazał Barbusowi otwierać kufry i rozkładał na podłodze drogie wschodnie materiały. Wręczył cioci w prezencie jedwabną suknię i szal, założył jej na szyję naszyjnik ze szlachetnych kamieni i kazał jej przymierzyć miękkie pantofelki z czerwonej skórki. Podarował jej też wspaniałą perukę, co

doprowadziło ją do jeszcze większego płaczu.

- Och, Marku, naprawdę jesteś tak bogaty?- zawołała. - Chyba nie zdobyłeś tych cennych rzeczy przez jakieś przestępstwo? Myślałam, że popadłeś w ruinę i dostałeś się w szpony nałogów, w które wpadają Rzymianie zbyt długo mieszkający na Bliskim Wschodzie. Dlatego tak zmartwiłam się, kiedy zobaczyłam twoją nabrzmiałą twarz, ale na pewno tylko tak mi się zdawało, bo łzy zasnuły mi oczy. Teraz, gdy przyjrzałam ci się dokładnie, dochodzę do przekonania, że wcale tak źle nie wyglądasz, jak początkowo myślałam.

Ciocia Lelia nadal bała się, że ojciec przejmie dom, a ją odeśle, żeby biedowała gdzieś na wsi. Ta myśl ją tak gnębiła, że co chwila powtarzała, iż niewiasta jej pokroju nigdy nie będzie dobrze się czuła poza Rzymem. Gdy się trochę ośmieliła, przypominała, że bądź co bądź jest wdową po senatorze i nadal przyjmują ją w wielu zacnych domach Rzymu, chociaż jej mąż, Gneusz Leliusz, stracił życie i majątek jeszcze za rządów cesarza Tyberiusza.

Poprosiłem, by mi opowiedziała o senatorze Gneuszu Leliuszu. Ciocia Lelia wysłuchała mojej prośby, po czym przechyliła głowę i spytała:

- Marku, jak to się stało, że twój syn mówi po łacinie z tak strasliwym akcentem syryjskim? To zaniedbanie trzeba szybko naprawić, bo inaczej chłopiec stanie się pośmiewiskiem całego Rzymu.

Ojciec niefrasobliwie odparł, że on sam tak często mówił po grecku czy aramejsku, że jego łacina musi mieć obce naleciałości. Ale ciocia Lelia surowo ofuknęła:

- U ciebie to jest dopuszczalne, bo jesteś już stary i każdy pomyśli, że nabawiłeś się obcego akcentu w wojsku albo w trakcie pełnienia urzędów państwowych w którejś prowincji. Żeby poprawić wymowę Minutusa trzeba zatrudnić na stałe nauczyciela retoryki albo aktora. Chłopiec musi chodzić do teatru i słuchać publicznych deklamacji dzieł literackich. Cesarz Klaudiusz jest okropnie pedantyczny, jeśli idzie o czystość języka, chociaż pozwala, by zabierając głos w sprawach państwowych jego wyzwoleńcy mówili po grecku, a żonie daje też inne swobody, których ze względu na obyczajowość nie będę wyszczególniać.

Odwróciła się w moją stronę i wyjaśniła:

- Mój nieszczęśliwy mąż, senator Leliusz, nie był ani głupszy, ani bardziej naiwny od Klaudiusza. Klaudiusz swego czasu zaręczył swego nieletniego syna Druzusa z córką prefekta Sejana, a sam pojął za żonę jego przybraną siostrę Elię. Druzus był tak samo głupi jak jego ojciec, udusił się gruszką. Mój mąż nieboszczyk też pragnął zyskać przychylność Sejana, bo myślał, że to będzie z korzyścią dla państwa. Czy i ty, Marku, nie byłeś kiedyś zamieszany w intrygi Sejana? Tak nagle zniknąłeś z Rzymu tuż przed odkryciem jego spisku... Przez całe lata nic o tobie nie było słyhać. Cesarz Gajusz, ten sympatyczny chłopiec Kaligula, wykreślił cię z wykazu rycerzy po prostu dlatego, że nikt nic o tobie nie wiedział. „Ja też nie wiem” - powiedział żartobliwie i przekreślił twoje nazwisko. Tak mi opowiadano, ale być może opowiadający chcieli uszanować moje uczucia i nie wyjawili wszystkiego, o czym wiedzieli.

Ojciec powiedział stanowczym tonem, że natychmiast, zaraz jutro uda

się do archiwum państwowego, by zbadać, czemu jego nazwisko zostało skreślone z wykazu ekwitów. Ciocia Lelia nie wykazała entuzjazmu, wręcz zapytała, czy nie byłoby bezpieczniej nie wsadzać kija w mrowisko. Cesarz Klaudiusz bywa po pijanemu zły i kapryśny, chociaż naprawił wiele błędów, popełnionych przez Gajusza.

- Ale masz rację, ze względu na Minutusa musimy odzyskać honor naszego rodu - przyznała. - Najprościej byłoby ubrać chłopca w togę męską i zaprowadzić przed oblicze Walerii Mesaliny. Młoda cesarzowa lubuje się w chłopcach, którzy właśnie przywdziali męskie togi, zabiera ich do swych pokojów, by tam na osobności wypytać o rodowody i marzenia na przyszłość. Gdybym nie była tak dumna, mogłabym w imieniu Minutusa prosić o rozmowę z tą suką. Ale obawiam się, że nie przyjęłaby przychylnie mojej prośby. Dobrze wie, że w młodości byłam najlepszą przyjaciółką matki cesarza Gajusza. Byłam też jedną z rzymskich patrycjuszek, które pomogły Agrypinie i Julii po ich powrocie z wygnania w godnym pochowaniu szczątków ich biednego brata. Nieszczęsnego Gajusza zamordowano tak straszliwie! A potem Żydzi sfinansowali wysunięcie Klaudiusza na cesarza. Agrypinie poszczęściło się, dostała bogatego męża, ale biedną Julię znowu wygnano z Rzymu, bo zdaniem Mesaliny za bardzo kręciła się koło swego stryja Klaudiusza. Ach, a ilu mężczyzn wypędzono przez te dwie dziewczyny! Pamiętam pewnego Tygellina, wprawdzie nie miał żadnego wykształcenia, ale jeśli idzie o wygląd zewnętrzny, należał do najlepiej zbudowanych młodych Rzymian. Ten się wcale nie przejął wygnaniem. Założył przedsiębiorstwo rybne, a teraz podobno hoduje konie wyścigowe. Pewien filozof iberyjski, Seneka, który opublikował wiele dzieł, pozostawał w intymnym związku z Julią, chociaż był chory na gruźlicę - w rezultacie od wielu lat wzdycha na wygnaniu na Korsyce. Mesalina uważa, że bratanicom Klaudiusza nie wypada łądaczyć się, nawet gdy czynią to potajemnie. Teraz z nich trzech przy życiu została tylko Agrypina...

Tu ciocia musiała głębiej zaczerpnąć oddechu i ojcu udało się zabrać głos. Powiedział, że swego czasu spotkał Anneusza Senekę w Aleksandrii. Razem - to znaczy jednocześnie - szukali w bibliotece materiałów potrzebnych do opracowania dzieła o Indiach. O Walerii Mesalinie, młodej małżonce Klaudiusza, wiele słyszał i wolałby mnie trzymać z daleka od tej kobiety. Taktownie poprosił, żeby ciocia Lelia na razie nie podejmowała żadnych kroków dla mojego dobra. Ojciec sam pragnie zająć się tą sprawą i nie życzy sobie, żeby kobiety się do tego mieszały. Już w młodości, zapewnił z goryczą, miał babskiego wścibstwa po uszy.

Ciocia Lelia miała zamiar coś powiedzieć, ale spojrzała na mnie i wolała zamilknąć. Zaczęliśmy w końcu jeść te oliwki, ser i zupę jarzynową. Ojciec postarał się, abyśmy nie zjedli wszystkiego i zostawili kawałek sera wielkości pięści; w przeciwnym razie starzy niewolnicy prawdopodobnie zostaliby bez posiłku. Ja nigdy bym na to nie wpadł, bo w naszym antiocheńskim domu najlepsze kęsy rezerwowano dla mnie, a jedzenia zawsze wystarczało zarówno dla wszystkich domowników, jak i dla ubogich, stale kręcących się wokół mego ojca.

Następnego dnia ojciec sprowadził architekta, któremu zlecił

przeprowadzenie generalnego remontu rodzinnego domu, oraz ogrodników mających uporządkować zaniedbany ogród. Rosła w nim dwóchsetletnia sykomora, którą posadził któryś z Manilianuszy, zamordowanych później na środku ulicy przez jakiegoś Mariusza, i kilka innych starych jak świat drzew; ojciec jak oka w głowie pilnował, żeby ich nie uszkodzono. Zadbął też, aby zakonserwowano dom nie tuszując jego wiekowości. Te starania wytłumaczył mi następująco:

- Masz okazję oglądać cały przepych Rzymu, ale kiedyś, gdy już będziesz mężczyzną, zrozumiesz, że naprawdę luksusowa jest nasza posiadłość. Nawet najbogatszy dorobkiewicz nie jest w stanie posadzić wokół swego pałacu takich prastarych drzew, a starodawne kształty są cenniejsze od wszystkich kolumn i ozdób. - Wyraźnie przeniósł się myślami w przeszłość, bo zmarkotniał i powiedział: - Kiedyś w Damaszku planowałem budowę prostego domku, obsadzonego drzewami; chciałem w nim wieść spokojne życie z twoją matką, Myriną. Kiedy umarła, wpadłem w taką rozpacz, że przez wiele lat nie istniało nic, co miałoby dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Chyba targnąłbym się na swoje życie, gdyby nie obowiązek wobec ciebie. Ponadto swego czasu pewien rybak nad brzegiem Morza Galilejskiego coś mi obiecał, a ta obietnica wciąż mnie ciekawi, choć teraz pamiętam ją jak przez mgłę.

Na temat tej obietnicy nie chciał nic więcej opowiedzieć, powtórzył tylko, że jest szczęśliwy z posiadania tych prastarych drzew, bo nigdy nie zaznał radości sadzenia drzew i obserwowania ich wzrostu.

Ponieważ dom był okupowany przez architektów i murarzy, a ojciec od rana do wieczora przesiadywał w mieście, aby pilnować swoich spraw, Barbus i ja niezmordowanie krążyliśmy po Rzymie, oglądając ludzi i rzeczy godne widzenia. Z okazji jubileuszu cesarz Klaudiusz kazał odrestaurować wszystkie stare świątynie i bacznie przestrzegał, aby kapłani i badacze wyszperali związane z tymi zabytkami prastare podania, a teksty tych podań ujednolicił zgodnie ze współczesnymi wymogami. O jednym i tym samym świętym miejscu, drzewie, głazie, pieczarze, źródle czy kolumnie krążyły skrajnie różne legendy, które wprowadzały zamęt wśród przybywających do Rzymu turystów. Stali mieszkańcy miasta nie wykazali większego zainteresowania prastarymi zabytkami ani tradycjami, natomiast chętnie dyskutowali o przygotowywanych na jubileusz spektaklach teatralnych i przedstawieniach cyrkowych.

Cesarskie budowle Palatynu, świątynie Kapitolu, rzymskie łaźnie i teatry nie zachwyciły mnie, który wychowałem się w Antiochii, obfitującej w równie luksusowe albo wspanialsze budowle. Rzym ze swymi poplątanymi uliczkami i stromymi stokami wzgórz wydawał się ciasny przywykłem do przestronności i prostych ulic Antiochii. Myślę tu oczywiście o centrum Antiochii, wokół którego szeroko rozpościerają się siedliska nędzy milionowego miasta. Ale przecież żadnego porządnego człowieka żadne sprawy nie wiążą z peryferiami miasta! W Rzymie natomiast na każdym wzgórzu i w każdej dolinie nawet najwartościowsze z punktu widzenia tradycji posiadłości prywatne i świątynie sąsiadują bezpośrednio z zawrotnie wysokimi domami czynszowymi.

Tylko jeden budynek oczarował mnie swym ogromem i dziejami:

mauzoleum boskiego Augusta na Polu Marsowym. Zbudowano je w formie rotundy, ponieważ najważniejsze rzymskie świątynie są rotundami na pamiątkę minionych wieków, kiedy najstarsi mieszkańcy Rzymu mieszkali w kolistych chatach.

Prosty majestat mauzoleum był moim zdaniem godzien największego władcy wszystkich czasów. Nie znudziło mnie czytanie na brązowych tablicach tekstów, które wyszczególniały najważniejsze czyny Augusta, dokonane dla umocnienia państwa. Barbus nie zachwycał się nimi; powiedział, że kiedy służył w legionach, odnosił się podejrzliwie do wszystkich epitafiów, ponieważ często pomijają one fakty historycznie ważne, a zawierają ich interpretację. Klęska może być przedstawiona jako zwycięstwo, a błędy polityczne jako przejawy mądrości rządzących. Zapewniał, że między wierszami epitafiów boskiego Augusta ukryto zagładę całych legionów, zatopienie setek okrętów wojennych i niezliczone morderstwa, popełnione w czasie wojny domowej.

Barbus urodził się w czasie, kiedy August przywrócił już ład i porządek w cesarstwie oraz utrwalił potęgę Rzymu, ale jego ojciec, zamiast wyliczać chwalebne czyny Augusta, chętniej mówił o ukochanym przez siebie Marku Antoniuszu, który ponoć niejednokrotnie wchodził na mównicę Forum tak pijany, iż w najgorętszym ferworze musiał przerywać przemówienie, aby się wyrzygać do stojącego obok naczynia. Och, w tamtych latach odwoływano się jeszcze do uczuć narodowych! August w ciągu długich lat rządów wygrał z senatem i zdobył szacunek ludzi, ale życie w Rzymie, przynajmniej wedle opowiadań ojca Barbusa, stało się dużo gorsze. Rozważnego Augusta tak naprawdę nikt nie lubił, natomiast Antoniusza ludzie kochali właśnie za jego błędy i wspaniałą lekkomyślność.

Przyzwyczałem się już do historyjek Barbusa, ale gdyby o nich wiedział ojciec, na pewno by nie uznał ich za właściwe. Mauzoleum Augusta tak zachwycało mnie prostotą swego majestatu, że wciąż na nowo maszerowaliśmy przez Rzym, żeby je oglądać. Oczywiście, Pole Marsowe kusilo mnie również, ponieważ synowie senatorów i ekwitów ćwiczyli tam pilnie gry jeździeckie przed uroczystościami jubileuszowymi. Z zawiścią patrzyłem, jak na dźwięk trąbki formują się, rozpraszają i ustawiają w inne szeregi. Dobrze znałem te wszystkie obroty i wiedziałem, że potrafiłbym dosiadać konia równie dobrze jak oni, a nawet lepiej.

Ćwiczenia zawsze obserwowała gromadka zatroskanych matek, bo uczestniczyli w nich chłopcy w wieku od siedmiu do piętnastu lat. Chłopcy oczywiście udawali, że nie dostrzegają matek i syczeli ze złości, gdy któryś maluch spadł z konia, a przerażona matka pędziła z rozwianymi szatami, by ratować dziecko spod kopyt końskich. Najmłodszy mieli zresztą potulne i dobrze wytresowane konie, które natychmiast zatrzymywały się, aby osłaniać niesfornego jeźdźcę. Te konie patrycjuszy rzymskich nie były bynajmniej dziarskimi końmi wojskowymi. Nasze, antiocheńskie, były znacznie gorętsze.

W gronie widzów na Polu Marsowym zobaczyłem kiedyś otoczoną wspaniałą świtą Walerię Mesalinę i z zaciekawieniem się jej przyjrzałem. Oczywiście nie podszedłem zbyt blisko, a z daleka wcale nie wydała mi się

tak olśniewająco piękna, jak opowiadano. Jej siedmioletni synek, któremu cesarz Klaudiusz na pamiątkę zwycięstw osiągniętych w Brytanii i na cześć swego triumfu nadał imię Brytanik, był chłopcem bladym, wątłym i zupełnie wyraźnie bał się konia, na którym jeździł. Właściwie z racji swego pochodzenia powinien był dowodzić młodzieżą, ale to było niemożliwe; gdy tylko dosiadł konia, twarz mu puchła, a z oczu łzy płynęły strumieniem. Po treningu był purpurowy od wysypki i niewiele widział na oczy, tak były zapuchnięte. Zgraja próżniaków, która przyszła, żeby się pogapić, nawet go nie witała okrzykami, bo nie zwracał na nich uwagi. W końcu Mesalina kazała pretorianom przegonić gapiów. Mówiono w mieście, że Klaudiusz nie odważył się przyjść, by popatrzeć na ćwiczenia Brytanika, ponieważ na starość zgłupiał na punkcie swego jedyne go syna i obawiał się, że mógłby wpaść w gniew na widok jego upadku z konia. No i nic dziwnego - ani August, ani Tyberiusz czy Kaligula nie mieli nigdy syna-spadkobiercy.

Ze względu jakoby na dziecinne lata Brytanika Klaudiusz wyznaczył na dowódcę jeźdźców grupy młodzieżowej Lucjusza Domicjusza, syna swej bratanicy, Domicji Agrypiny. Lucjusz nie miał jeszcze dziesięciu lat, ale diametralnie różnił się do wydelikaczonego Brytanika. Był roslym jak na swój wiek i śmiałym jeźdźcem. Często już po zakończeniu treningu dziarsko toczył koniem, żeby zyskać poklask widzów. Po swym ojcu, Domicjuszu, odziedziczył czerwony kolor włosów i chętnie w czasie ćwiczeń zdejmował z głowy hełm, chełpiąc się znakiem rozpoznawczym swego nieposkromionego rodu. Ale ludzie wyżej cenili fakt, że był siostrzeńcem Kaliguli. Poza tym w jego żyłach płynęła krew Julii, siostry Juliusza Cezara, oraz Marka Antoniusza. Mój Barbus wielokrotnie rubasznym głosem wykrzykiwał pod jego adresem życzliwe, choć sprośne dowcipy, które ludzie kwitowali salwami śmiechu.

Twierdzono, że matka Lucjusza, Agrypina, nie ośmielała się oglądać ćwiczeń razem z innymi matkami, ponieważ obawia się chorobliwej zawiści Walerii Mesaliny i pomna na los swojej siostry unika jak tylko może publicznych wystąpień. Lucjusz Domicjusz nie potrzebował zresztą opieki matki, bo swoim zachowaniem zdobył sympatię widzów. Miał doskonale opanowane ruchy ciała, patrzył śmiało i widać było, że w trakcie ćwiczeń nawet starsi chłopcy bez zawiści chętnie podporządkowują się jego rozkazom.

Spragniony jazdy konnej, opierałem się łokciami o wygładzone od starości drewniane ogrodzenia i obserwowałem ćwiczenia. Nagle skończył się okres próżniaczego życia. Ojciec wynajął dla mnie retora. Był to ponury i gderliwy nauczyciel sztuki mówienia, który złośliwie poprawiał akcent w każdym moim słowie i specjalnie wybierał do głośnego czytania nudne utwory wzywające do opanowania, podporządkowania się losowi i pielęgnowania cnót męskich. Zdaje się, że ojciec miał bezbłędny dar wyszukiwania nauczycieli-dręczycieli.

W czasie remontu domu obaj z Barbusem mieszkaliśmy na piętrze w przesyconym zestarzałym zapachem kadzidła pokoju, którego ściany zamalowane były magicznymi znakami. Sądziłem, że pochodzą one z czasów astronoma Manilianusa i nie zwracałem na nie uwagi. W tym

pomieszczeniu zacząłem jednak źle sypiać; miałem tak koszmarne sny, że budziłem się od własnego krzyku, albo też budził mnie Barbus, bo jęczałem dręczony przez upiory. Retor szybko zniechęcił się stukotem młotków w domu i zarządził, że lekcje odbywać się będą w salkach deklamacyjnych, działających przy łaźniach publicznych. Tam ujawniła się jego brzydota - chude kończyny i okrągły żółtawy brzuch budziły obrzydzenie. Mój wstręt się pogłębił, gdy udając, że czyni to żartem, zaczął mnie głaskać po rękach i nogach; twierdził, że na pewno już w Antiochii zakosztowałem męskich pieszczot. Zaproponował, abym na czas remontu przeprowadził się do jego pokoju, a mieszkał w Suburze, na najwyższym piętrze szpetnego domu czynszowego. Do tej nory trzeba się było wspinać po drabinie, więc przekonywał, że nikt nie będzie nam przeszkadzał w studiach i wdrażaniu mnie do dorosłego życia.

Barbus rychło zorientował się co do rzeczywistych zamiarów retora i ostro go ostrzegł, a gdy to nie pomogło, solidnie przetrzepał mu skórę. Chłosta tak przstraszyła naszego mędrca, że nie miał odwagi przyjść do ojca po pieniądze. Że zaś my obydwaj nie śmieliśmy podać prawdziwej przyczyny zniknięcia retora z pola widzenia, przeto ojciec doszedł do przekonania, że mój wielce utalentowany nauczyciel dość miał mojej krnąbrności. Cała ta sprawa wywołała sprzeczkę z ojcem, w trakcie której krzyknąłem:

- Kup mi konia, to poznam w Rzymie młodych ludzi, znajdę odpowiednie towarzystwo i nauczę się dobrych manier!

- W Antiochii koń omal nie przywiódł cię do zguby - zauważył ojciec. - Klaudiusz wydał nowy mądry dekret, mocą którego w czasie przeglądu stanów starzy albo słabowici senatorzy czy ekwici nie muszą dosiadać koni, tylko mogą je prowadzić. Także karierę urzędniczą, a nawet służbę wojskową, można będzie obecnie odbywać tylko tytularnie.

- Co za czasy, co za obyczaje! - wykrzyknąłem lekceważąco. - Daj mi przynajmniej wystarczająco dużo pieniędzy, abym znalazł przyjaciół wśród aktorów, muzyków i zawodników. Za ich pośrednictwem poznam tę apatyczną młodzież, która unika służby wojskowej.

- Ciotka Lelia przestrzegała, że niedobrze, abyś nie miał towarzystwa swoich rówieśników - przyznał, ale nie zaakceptował mojej propozycji. - Co do mnie, to poczyniłem znajomości w kręgu armatorów i kupców handlujących zbożem. Po klęsce głodu cesarz Klaudiusz zlecił budowę nowego portu w Ostii i zrekompensował armatorom straty z powodu wszystkich rozbitych frachtowców. Za namową Marcina rybaka kupiłem udziały w przedsiębiorstwach żeglugowych, bo nie grozi im ryzyko strat. Kilku armatorów zbiło niezłe majątki na doprowadzeniu wycofanych z użytku łajb do stanu używalności. Ale ci dorobkiewiczze wiodą takie życie, że nie pragnę dla ciebie towarzystwa ich synów.

- Czy przyjechałeś do Rzymu, żeby się dorobić? - spytałem, bo wydało mi się, że ojciec sam nie wie, czego chce.

- Sam wiesz najlepiej, że nie szukam niczego innego, jak tylko spokoju i prostego życia. Ale wyzwoleńcy przekonali mnie, że popełnia się przestępstwo wobec państwa i społeczeństwa, jeśli gromadzi się złoto na dnie kufra. Poza tym chcę dokupić ziemi w Cerei, skąd się wywodzę.

Nigdy nie zapominaj, że Manilianusami jesteśmy tylko przez adopcję. - Spojrzał mi głęboko w oczy i dodał: - W kącie oka masz fałdkę, a jest to charakterystyczna cecha pochodzenia z etruskiego rodu. Zbadałem archiwum państwowe i na własne oczy widziałem listę ekwitów sporządzoną dla cesarza Gajusza. Przy moim nazwisku nie ma żadnego wpisu, tylko przekreśla je falista linia. Gajusz był chory i drżały mu ręce. Nie obciąża mnie wyrok sądowy ani nawet pozew. Prokurator Poncjusz Piłat popadł w niełaskę już dziesięć lat temu, stracił swój urząd i przeniesiono go do Galii. Ale w posiadaniu cesarza Klaudiusza znajduje się tajne archiwum, które może zawierać jakąś niekorzystną wzmiankę o mnie. Spotkałem cesarskiego wyzwolenca, Feliksa, w którego gestii znajdują się problemy Judei. Obiecał mi, że przy nadarzającej się okazji spróbuje wypytać osobistego sekretarza cesarza, Narcyza. Najchętniej spotkałbym się osobiście z tym wpływowym człowiekiem, ale podobno wejście do niego kosztuje dziesięć tysięcy sestercji. Wolałbym uniknąć pospolitego łapownictwa ze względu na szacunek dla samego siebie, a nie ze sknerstwa.

Ojciec mówił jeszcze, że dokładnie się przysłuchiwał i zapamiętał wszystko, co ludzie gadają o cesarzu Klaudiuszu: i dobrze, i źle. Ostateczne i definitywne przywrócenie naszego nazwiska do spisu ekwitów zależy od cesarza. A na stare lata Klaudiusz stał się taki rozkojarzony, że przypadkiem może mu coś strzelić do głowy albo uzna, że otrzymał jakiś znak wieszczcy, który uniemożliwi podjęcie nawet najlepiej uzasadnionej decyzji. Zdarza się, że zasypia na posiedzeniu senatu czy sądu i zapomina o wszystkim.

Ojciec powiedział też, że wykorzystał czas oczekiwania i przeczytał wszystkie opublikowane przez cesarza dzieła, nawet podręcznik gry w kości.

- Klaudiusz należy do tych nielicznych Rzymian, którzy jeszcze znają język etruski i umieją czytać ich teksty - wyjaśnił. - Zrób mi przyjemność, idź do biblioteki publicznej u podnóża Palatynu i przeczytaj napisaną przez niego historię Etrusków. Liczy ona sporo zwojów, ale wcale nie jest nudna. Wyjaśnia wiele rytualnych tekstów, wygłaszanych przez kapłanów przy składaniu ofiar, dotychczas były one bezmyślnie recytowane. Za jakiś czas pojedziemy do Cerei, bo trzeba zobaczyć nasze ziemie, sam ich jeszcze nigdy nie widziałem. Tam będziesz mógł jeździć konno.

Cała ta rozmowa jeszcze bardziej pogorszyła mój nastrój, miałem ochotę już tylko zaciskać zęby i płakać. Po wyjściu ojca Barbus spojrział chytrze na mnie i zauważył:

- Ciekawe, jak wielu ludzi po przekroczeniu wieku średniego zapomina, co czuli, kiedy sami byli młodzi. Pamiętam jeszcze dobrze, że gdy byłem w twoim wieku, często chciało mi się płakać bez powodu i miewałem paskudne sny. Doskonale wiem, czym można byłoby cię uspokoić, ale nie ośmielę się czegoś takiego zorganizować ze względu na twojego ojca.

Ciocia Lelia także patrzyła na mnie z troską. Wezwała mnie na rozmowę, rozsądnie rozejrzała się dookoła, czy ktoś nie podsłuchuje, i rzekła:

- Jeśli obiecasz i przysięgniesz, że nie powiesz ojcu, odkryję ci tajemnicę.

Wyłącznie przez uprzejmość obiecałem i przysiągłem, chociaż w głębi ducha śmiać mi się chciało, bo nie sądziłem, żeby mogła mieć jakieś istotne tajemnice. Jednakże myliłem się, ponieważ opowiedziała:

- W pokoju, w którym śpisz, mieszkał u mnie długo pewien Żyd, Szymon mag. Twierdził, że jest Samarytaninem, ale przecież oni są też Żydami. To na pewno jego kadzidła i magiczne znaki zakłócają ci sen. On przybył do Rzymu kilka lat temu i zyskał sławę uzdrowiciela chorych, jasnowidza i cudotwórcy. Senator Marcellus dał mu mieszkanie w swoim domu i wznosił pomnik na jego cześć, bo wierzył, że dysponuje boską mocą. Wypróbowano ją nawet. Najpierw Szymon uśmiercił młodego niewolnika, a potem go wskrzesił, choć chłopak był już zimny i nie dawał żadnych oznak życia.

- Dobrze, dobrze, cioteczko, ale ja już w Antiochii widziałem wystarczająco wielu Żydów.

- Daj mi dokończyć - gorączkowała się ciocia Lelia. - Otóż inni Żydzi, którzy mieszkają na Zatybrzu i tutaj, na Awentynie, zaczęli strasznie zazdrościć Szymonowi, który potrafił nawet stawać się niewidzialnym i unosić się w powietrzu. I ci Żydzi zaprosili innego czarownika, który też miał na imię Szymon. Obu poddano próbie. Szymon, to znaczy mój Szymon, polecił ludziom, aby wpatrywali się w małą chmurkę i nagle zniknął z pola widzenia, a potem wyleciał z tej chmury nad Forum. Wtedy ten drugi Żyd wezwał gromkim głosem swego bożka Chrestosa, a Szymon mag spadł z nieba i złamał nogę. To go bardzo zniechęciło. Pozwolił, żeby go wyniesiono z miasta i ukrył się gdzieś na wsi, gdzie leczył nogę do czasu, gdy ten drugi, który też uzdrawiał chorych, zniknął z horyzontu. Szymon mag wrócił wówczas ze swoją córką do miasta i zaprosiłam go do siebie, bo nie znalazł lepszych protektorów. Przebywał tu, jak długo miałam pieniądze, a potem wyprowadził się w pobliże świątyni Luny i tam przyjmuje klientów. Już nie lewituje ani nie wskrzesza umarłych, ale jego córka jako kapłanka Luny ma tam pełne utrzymanie i wielu patrycjuszów ucieka się do ich pomocy przy odnajdywaniu utraconych rzeczy.

- Po co mi wszystko opowiadasz? - spytałem podejrzliwie.

- Mam wyrzuty sumienia z powodu Szymona maga, ale on mnie nie przyjmie, bo nie mam pieniędzy. Zresztą ze względu na twego ojca nie miałam nawet odwagi próbować go spotkać. Sądzę, że mógłby cię wyleczyć z koszmarów sennych i złego samopoczucia. Ponadto mógłby ustalić, co powinieneś jeść, a czego unikać i które dni są dla ciebie pomyślne, a które zgubne. Mnie na przykład zabronił jeść grochu i od tego czasu na sam widok nawet suchego grochu czuję obrzydzenie.

Żeby mnie zachęcić do czytania historii Etrusków, ojciec dał mi kilka złotych monet. Pomyślałem, że ciocia Lelia jest osobą niespełna rozumu i ucieka się do zabobonów i czarów, bo poza tym niewiele ma przyjemności w życiu. Ochoczo też uznałem, że dający radość samarytański mag i jego córka może być bardziej interesujący niż zakurzona biblioteka, w której starcy bez przerwy szeleszczą suchymi zwojami. Swego czasu poznałem już jedną świątynię Księżyca, gdy składałem przyrzeczenie w wyroczni w Dafne.

Ciocia bardzo się ucieszyła, kiedy obiecałem, że pójde z nią do maga.

Włożyła jedwabne szaty, wymalowała wyschnięte policzki, założyła na głowę czerwoną perukę, a na pomarszczonej szyi zawiesiła naszyjnik ze szlachetnych kamieni. Barbus zaklinał ją na wszystkich bogów, żeby zakryła głowę, bo inaczej ludzie mogą ją wziąć za właścicielkę domu publicznego. Ciocia Lelia nie obraziła się, szturchnęła palcem Barbusa w żebra i zabroniła mu pójścia z nami. Ale Barbus przyrzekł święcie mojemu ojcu, że nigdy w Rzymie z oczu mnie nie spuści. W końcu uzgodniliśmy, że odprowadzi nas aż pod świątynię Luny, ale zaczeka na zewnątrz.

Świątynia Luny na Awentynie jest tak stara, że nawet nie ma żadnej legendy, jak młodsza od niej świątynia Diany. Król Serwiusz Tulliusz postawił tu najpierw kolistą świątynię z drewnianych bali. Obudowano ją potem płytami kamiennymi. Wnętrze świątyni jest tak święte, że nie pokryto pierwotnego klepiska kamienną posadzką. Poza nielicznymi wotami nie było tam innych przedmiotów kultowych, jedynie kamienne jajo, którego powierzchnia od ciągłego nacierania oliwą stała się czarna i gładka.

Wchodzącego do pogrążonego w mroku wnętrza przenika święty dreszcz, jak to się zdarza jedynie w bardzo starych świątyniach. Taki sam dreszcz odczułem wcześniej, gdy wszedłem do sanktuarium Saturna, które jest najstarszą, najświętszą i najbardziej przerażającą rzymską świątynią. Jej najwyższy kapłan, na ogół sam cesarz, w pierwszy dzień roku uderza w święty miedziany gong, wiszący na dębowym słupie.

W świątyni Luny nie było żadnego słupa, tylko kamienne jajo. Dlatego Barbus z przyjemnością został na dworze i nie miał ochoty wchodzić do wnętrza świątyni.

Na trójnogu obok kamiennego jaja siedziała blada jak śmierć kobieta, tak nieruchomo, że najpierw myślałem, że to posąg. Ale ciocia Lelia kwilącym pokornym głosem nazwała ją Heleną i kupiła od niej nieco święconej oliwy, aby namaścić jajo. W czasie namaszczenia mamrotała rytualne zaklęcia, które wymawiają tylko kobiety. Mężczyzna nie jest zobowiązany do składania czołobitności temu jajowi, więc kiedy Lelia składała ofiarę, ja oglądałem wota. Z zadowoleniem zauważyłem wśród nich maleńkie, okrągłe srebrne szkatułeczki. Wstydziłem się swego ślubu, złożonego w Antiochii bogini Księżycy. Pomyślałem, że najlepiej będzie przynieść kiedyś do świątyni obiecane wotum w takiej właśnie zamkniętej szkatułce.

Trupio blada, jakby stale żyła pod ziemią, kapłanka zwróciła twarz i wpiła we mnie przenikliwy wzrok czarnych oczu. Uśmiechnęła się blado i rzekła:

- Nie wstydz się swoich myśli, piękny chłopcze! Bogini Księżycy jest potężniejsza, niż sądzisz. Jeśli zyskasz jej przychyłność, będziesz miał moc, która jest bez porównania większa niż okrutna siła Marsa i bezowocna mądrość Minerwy.

Mówiła starym dialektem łacińskim, więc wydawało się, że używa jakiegoś zamierzchłego, zapomnianego języka. Nagle wydało mi się, że jej twarz powiększyła się i sączyło się z niej tajemnicze światło księżycy; gdy się uśmiechnęła, mimo bladości stała się naprawdę piękna. Ciocia Lelia wciąż mówiła do niej tym samym jęklwym głosem i nagle jakby się przekształciła w chudego kota, który snuł się wokół kamiennego jaja

pokornie stulając uszy.

- Nie, nie, to nie kot - rzekła kapłanka, nadal się uśmiechając. - To lwica. Czy nie widzisz? Co masz wspólnego ze lwicą, chłopcze?

Przeraziłem się tymi słowami, bo przez krótką chwilę zamiast ciotki widziałem chudą, smętną lwicę, która patrzyła na mnie z takim samym wyrzutem, jak ta stara lwica z wioski pod Antiochią, gdy ją dźgnąłem włócznią w tylną łapę. Ale potarłem czoło ręką i wrażenie to momentalnie pierzchnęło.

- Czy twój ojciec jest w domu? Czy zechce nas przyjąć? - spytała ciocia Lelia.

- Mój ojciec, Szymon, długo pościł i podróżował po wielu krajach, aby wreszcie wrócić i stawić się przed ludźmi, którzy go szanują i widzą w nim wyraziciela mocy bożej. Teraz właśnie czuwa i czeka na was oboje.

Tylnymi drzwiami wyprowadziła nas ze świątyni i poszliśmy do pobliskiego wysokiego domu czynszowego. Na parterze tego domu mieścił się sklep z pamiątkami - tanimi i drogimi rysunkami księżycy i gwiazd oraz miniaturowymi, oszlifowanymi do połysku kamiennymi jajeczkami. Kapłanka Helena wróciła do swej poprzedniej postaci, miała pożółkłe chude oblicze, jej biała opończa była wybrudzona i tak przesiąknięta wonią kadzidła, aż mnie zemdlilo. Nie była już młoda i wyglądała żałośnie. Jej czarne oczy straciły wyraz czujności, z roztargnieniem jedną po drugiej brała do rąk pamiątki i apatycznie próbowała którąś nam wcisnąć, chociaż musiała dobrze wiedzieć, że niczego nie kupimy.

Przez sklepik i amfiladę dziwnych pomieszczeń zaprowadziła nas do zgrzybiałego ze starości pokoju, na środku którego na podłodze siedział czarnobrody mężczyzna z grubym nosem. Podniósł na nas wzrok tak zamglony, jakby nadal przebywał w innych światach, ale wstał, aby przywitać się z ciocią Lelią. Paskudnie kulał.

- Właśnie rozmawiałem z pewną wiedźmą etiopską - rzekł stłumionym głosem. - Czemu mi przeszkadzasz, Lelio Manilio? Po twej jedwabnej chuście i naszyjniku widzę, że otrzymałaś dobra, które ci przepowiedziałem. Czego chcesz jeszcze ode mnie?

Ciocia Lelia powiedziała lękliwie, że sypiam w dawnym jego pokoju, męczą mnie nocą koszmary, zgrzytam zębami i krzyczę przez sen. Ciocia chciała by znać przyczynę tego stanu rzeczy i - o ile możliwe - prosi o środki zaradcze.

- Kochany Szymonie, w takim gniewie opuściłeś mój dom, jestem twoją dłużniczką - dodała i kazała mi wręczyć magowi trzy złote monety. Szymon nie wziął pieniędzy, tylko skinął na córkę, a ta z obojętną miną zgarnęła monety. Rozgniewała mnie ta demonstracja pychy, wszak trzy rzymskie aureusy stanowią równowartość trzystu sestercji albo siedemdziesięciu pięciu srebrnych monet!

Szymon mag ponownie usiadł na dywanie, a mnie kazał się naprzeciwko. Kapłanka Helena dosypała szczyptę kadzidła do naczynka z węglem. Długo milczał i tylko wpatrywał się we mnie, aż się odezwałem:

- Słyszałem, że złamałeś nogę, gdy uczyłeś się latać?

- Miałem wieżę w Samarii, po drugiej stronie morza - zaczął wreszcie mówić monotonnym głosem, ale ciocia Lelia przerwała mu błagalnie:

- Och, Szymonie, czy nie możesz mi rozkazać, jak to czyniłeś niegdyś?

Szymon uroczyście uniósł w górę wskazujący palec. Ciocia Lelia zastygła nieruchomo, wpatrując się w niego. On zaś nawet nie spojrzawszy na nią wydał polecenie:

- Nie wolno ci już odwracać głowy, Lelio Manilio! Nie przeszkadzaj nam, tylko idź wykapać się w źródle, które znasz. Kiedy wejdiesz do wody, ogarnie cię rozkosz i odmłodniejesz.

Ciotka nigdzie nie poszła, lecz stała w miejscu, bezmyślnie patrzyła gdzieś przed siebie i wykonywała takie ruchy, jakby się rozbierała. Mag nadal wpatrywał się we mnie i opowiadał:

- Miałem wieżę kamienną. Księżyc i wszystkie pięć planet mi służyło, miałem w sobie moc boską. Bogini Księżyca przybrała postać Heleny i stała się moją córką. Z jej pomocą przepowiadałem, widziałem przeszłość i przyszłość. Ale potem przyszli z Galilei czarownicy, których moc była większa niż moja. Wystarczyło, by położyli rękę na czyjejs głowie, a ten ktoś zaczynał mówić obcymi językami i otrzymywał ducha. Byłem jeszcze młody i chciałem poznać wszystkie tajemnice, więc prosiłem, żeby położyli dłonie i na moją głowę. Obiecałem im ogromną sumę pieniędzy, jeśli udzielą mi mocy, abym mógł czynić takie same cuda, jak oni. Lecz tamci okazali się skąpcami, rzucili na mnie przekleństwo i surowo zabronili mi nawet wymieniać imię Boga. Patrz mi w oczy, chłopcze. Jak się nazywasz?

- Minutus - odrzekłem odruchowo, bowiem jego monotony głos uspił mnie bardziej niż opowiadanie. - Przecież powinieneś bez pytania znać moje imię, skoro jesteś tak wielkim magiem - dorzuciłem ironicznie.

- Minutus, Minutus - powtórzył. - Zanim księżyc po trzykroć się wypełni, otrzymasz drugie imię. Nie usłuchałem galilejskich czarowników. Przeciwnie, uzdrawiałem chorych mocą imienia ich Boga, aż mnie zaczęli prześladować i zawiedli do Jeruzalem, oskarżając o kradzież maleńkiego złotego posążka Erosa, który z dobrej woli podarowała mi pewna bogata niewiasta. Patrz mi w oczy, Minutusie! Galilejczycy zaczarowali tę niewiastę i zapomniała, że sama mi go podarowała. Twierdzili, że ukradłem posążek stając się niewidzialnym. Zaraz uwierzysz, że kiedy chcę, mogę stać się niewidzialny. Liczę do trzech, Minutusie. Jeden, dwa, trzy. Teraz już mnie nie widzisz.

Rzeczywiście na moment zniknął mi sprzed oczu, zamiast niego widziałem żarzącą się kulę, która chyba była tarczą księżyca. Potrząsnąłem głową, zacisnąłem i ponownie otworzyłem powieki - mag siedział przede mną jak przedtem.

- Nadal cię widzę, Szymonie - rzekłem podejrzliwie. - Nie chcę więcej patrzeć ci w oczy.

- Jesteś mało podatny - roześmiał się przyjaźnie i obydwoma rękami zrobił znak wyzwolenia. - Nie będę cię zmuszać, bo nigdy nic dobrego z tego nie przychodzi. Ale spójrz na Lelię Manilię!

Obejrzałem się. Ciocia wzniosła ramiona do góry i przegięła się łukiem do tyłu z wyrazem upojenia na twarzy. Zmarszczki wokół jej ust i oczu wygładziły się, a ciało było elastyczne, jak u młodej dziewczyny.

- Gdzie teraz jesteś, Lelio Manilio? - spytał rozkazującym tonem

Szymon mag.

- Kapię się w twoim źródle - zaszczębiotała natychmiast głosiem młodej dziewczyny. - Przyjemna woda otacza mnie dokoła, drzę cała.

- Kap się dalej, Lelio - zachęcał mag i dodał zwracając się do mnie: - Takie czary to drobnostka, która nikomu nie zaszkodzi. Ciebie, ponieważ jesteś taki oporny, mógłbym z czarować w taki sposób, abyś upadł i pokaleczył ręce i nogi. Po cóż jednak marnować siły? Ale skoroś tu już przyszedł, to ci powrózimy. Heleno, zaśnij!

- Już śpię, Szymonie - odparła posłusznie kapłanka, chociaż oczy miała otwarte.

- Co powiesz o chłopcu, któremu na imię Minutus?

- Jego zwierzęciem jest lew. Ten lew rzuca się na mnie z wściekłością i nie mogę go ominąć. Z tyłu za lwem naciąga na cięciwę śmiertelnośną strzałę mężczyzna, którego rysów nie rozróżniam, bo jest zbyt daleko w przyszłości. Ale widzę wyraźnie Minutusa w ogromnym pokoju z półkami pełnymi zwojów książkowych. Jakaś niewiasta podaje mu otwarty zwój. Kobieta jest młoda, ma czarne ręce, a jej ojciec nie jest jej ojcem. Strzeż się jej, Minutusie! Teraz znów widzę, jak Minutus pędzi na grzbiecie siwego ogiera. Ma na sobie iskrzący się pancerz. Słyszę krzyk tłumu. A lew naciera na mnie. Muszę uciekać. Szymonie, ratuj mnie!

Krzyknęła i zakryła rękami twarz. Szymon prędko kazał się jej obudzić, spojrział na mnie badawczo i spytał:

- Czy ty sam nie bawisz się w czary? Bo ta lwica tak zazdrośnie cię strzeże! Nie martw się, nie będą cię więcej trapić koszmary, jeśli tylko we śnie wezwiesz na pomoc lwa. Czy usłyszałeś to, co chciałeś?

- Najważniejsze usłyszałem - przyznałem. - Było to zupełnie przyjemne, choć nie wiem, czy się sprawdzi. Z całą pewnością wdzięcznie będę wspominał ciebie i twoją córkę, gdy wśród wrzawy tłumu dosięgnę siwego ogiera.

Szymon odwrócił się w stronę cioci, zawołał ją po imieniu i rozkazał:

- Pora wyjść ze źródła. Na pamiątkę twój boski przyjaciel uszczypnie cię w rękę. To nie będzie bolało, tylko przyjemnie zapiecze. Obudź się!

Ciocia Lelia powoli budziła się ze stanu odrętwienia. Z wyrazem ekstazy na twarzy dotykała swego lewego ramienia. Z ciekawością wpatrywał się w to chude ramię i naprawdę - puchło w oczach i tworzył się wielki siniak! Ciotka przesuwała dłońmi po całym ciele i drżała z rozkoszy, aż musiałem się odwrócić. Kapłanka Helena rozchylając wargi uśmiechała się do mnie kusząco. Na nią też nie chciałem patrzeć. Czuję się zagubiony, a zarazem tak, jakby mi nakłuwali ciało szpilkami. Skwapliwie pożegnałem się, chwyciłem ciotkę za rękę i siłą wyprowadziłem ją z pokoju, bo nadal była jak zamroczona.

W sklepiu na dole kapłanka wzięła do ręki małe czarne jajeczko, podała mi je i rzekła:

- Masz to w prezencie ode mnie. Niechaj osłania twoje sny w czasie pełni księżyca.

Pomyślałem ze wstrętem, że nie chcę od niej żadnego prezentu. Dlatego powiedziałem:

- Wolę to kupić. Ile chcesz?

- Tylko jeden włos z tej jasnej czupryny - odparła i już wyciągała rękę, żeby wyrwać mi włos. Ciocia Lelia ze strachem odskoczyła w tył i szepnęła mi, żebym raczej zapłacił pieniędzmi.

Nie miałem drobnych, więc podałem jej złotą monetę; chyba dostateczna zapłata za amulet i wróżby. Obojętnie wzięła monetę i rzekła złośliwie:

- Wysoko cenisz swoje owłosienie! Ale może masz rację. Bogini to wie najlepiej.

Przed świątynią odnalazłem Barbusa, który bardzo starał się ukryć fakt, że wykorzystał czas oczekiwania na wypicie sporej ilości wina, więc włókł się za nami mocno chwiejnym krokiem. Ciocia Lelia była w swawolnym nastroju, pocierała siniaka na ręku i paplała:

- Szymon mag od dawna nie był mi tak przychylny. Naprawdę odżyłam i odmłodziłam, nie odczuwam nawet najmniejszego bólu w całym ciele. Ale dobrze, że nie dałeś wyrwać sobie włosa tej bezczelnej dziewczce. Mając go, mogłaby we śnie przyjść do twego łóżka! - Ze strachem podniosła rękę do ust, spojrzała na mnie i dodała: - Jesteś już przecież dużym chłopcem. Chyba ojciec wyjaśnił ci te sprawy. Wiem na pewno, że Szymon często zaczarowuje mężczyzn, by kładli się z jego córką. Taki chłop jest wówczas całkowicie w jego ręku, choćby w zamian uzyskał różne dobrodziejstwa. Powinnam była cię ostrzec, ale jakoś nie pomyślałam o tym, bo przecież jesteś jeszcze nieletni. Dopiero kiedy Helena chciała wyrwać ci ten włos, pojęłam, do czego zmierza.

Po spotkaniu z magiem nie miałem już sennych koszmarów. Kiedy zmory usiłowały mną zawładnąć, przypominałem sobie radę Szymona i wzywałem lwa. Przychodził natychmiast, sadowił się tuż koło mnie i wydawał się istnieć tak realnie, że mogłem głaskać jego futro: ale gdy otrząsałem się z tego pół snu, pół jawy, okazywało się, że gładzę tylko miękkie fałdy mojego okrycia.

Obecność lwa sprawiała mi tak wielką radość, że zacząłem wzywać go, gdy tylko zapadałem w sen. Także w czasie spacerów po mieście chętnie wyobrażałem sobie, że lew opiekuńczo kroczy tuż za mną. Wiele lat później zrozumiałem, że w Antiochii pędziłem aktywne życie i przebywałem stale w gronie kolegów, natomiast w pierwszych miesiącach pobytu w Rzymie byłem samotny i czułem się jak prowincjusz. Dlatego wymyśliłem sobie tego lwa, który mi towarzyszył. Przy pełni księżyca na wszelki wypadek ścisnąłem w nocy w ręku czarne kamienne jajo i choć księżyc świecił mi prosto w twarz, wcale się już nie bałem.

Kilka dni po spotkaniu z Szymonem przypomniałem sobie prośbę ojca. Udałem się do biblioteki publicznej u stóp Palatynu i spytałem nadętego bibliotekarza o historię Etrusków. Ponieważ mnie zignorował, prawdopodobnie z powodu mojego chłopięcego odzienia, więc - jako że miałem już dość rzymskiej pychy - wściekły zagroziłem skargą do cesarza, iż w bibliotece nie zezwalają czytać dzieł jego pióra. Wtedy szybko wezwał ubranego na niebiesko niewolnika i ten zaprowadził mnie do sali, w której stał duży posąg Klaudiusza, wskazał też schowki na książki i zachęcił, abym sam wyszukał potrzebne mi zwoje.

Zdumiony zatrzymałem się, aby popatrzeć na wizerunek cesarza. Klaudiusz kazał się przedstawić w postaci Apolla, lecz rzeźbiarz wcale go

nie upiększył, nie pominął ani cienkich jak patyki nóg, ani cwaniackiej gęby pijaka: w sumie wizerunek był raczej pocieszny niż dostojny. Widocznie – pomyślałem -cesarz nie jest zarozumiały, skoro zezwolił na postawienie w bibliotece publicznej tak karykaturalnego posagu.

Początkowo wydawało się, że jestem jedynym obecnym w sali; Rzymianie zapewne niezbyt cenią cesarza jako pisarza, skoro pozwalają, by mole zjadały jego dzieła. Potem jednak przy wąskim okienku zauważyłem siedzącą plecami do mnie młodą kobietę, pilnie coś czytającą. Długo szukałem historii Etrusków. Znalazłem napisaną przez Klaudiusza historię Kartaginy, natomiast schowki, w których powinny leżeć zwoje z dziejami Etrusków, były puste. Zerknąłem ponownie na czytającą i stwierdziłem, że zgromadziła koło siebie cały stos pergaminowych zwojów.

Zarezerwowałem cały dzień na czytanie, bo z uwagi na niebezpieczeństwo pożaru w bibliotece nie wolno było używać lampy, a chciałem wywiązać się z danej ojcu obietnicy jak najszybciej. Chociaż więc wstydzilem się rozmowy z zupełnie obcą kobietą, wziąłem się w garść, podszedłem do niej i zapytałem, czy czyta historię Etrusków i czy koniecznie musi używać jednocześnie wszystkich zwojów. Głos zabarwiłem ironią, chociaż dobrze wiedziałem, że wśród niewiast, które otrzymały staranne wychowanie, jest wiele prawdziwych pożeraczek książek. Zazwyczaj jednak nie rozczytują się w dziełach historycznych, ale w Owidiuszu, romansach i przygodach podróżniczych.

Zagadnięta gwałtownie drgnęła, jakby dopiero teraz dotarło do niej, że nie jest już sama, i zwróciła ku mnie głowę. Była młoda i - sądząc po uczesaniu - niezamężna. Nie była piękna, miała twarz o nieregularnych i raczej grubych rysach, gładką skórę opaloną jak u niewolnicy, duże usta o pełnych wargach i oczy o dzikim wyrazie.

- Uczę się świętych rytuałów i porównuję ich teksty, zamieszczone w różnych księgach - fuknęła ostro. - Nie ma się z czego śmiać.

Mimo jej zuchwałości odniosłem wrażenie, że jest nie mniej skrupowana niż ja. Zauważyłem na jej rękach plamy atramentu - przeciekającym piórem trzciniowym robiła notatki na tanim papirusie. Charakter pisma świadczył, że nawykła do pisania, ale przez marną jakość papirusu te notatki wyglądały niechlujnie.

- Wcale się nie śmieję - zapewniłem szybko i uśmiechnąłem się do niej. - Przeciwnie, żywię szacunek dla twoich studiów. Nie ośmieliłbym się przeszkadzać ci, ale obiecałem ojcu, że przeczytam właśnie to dzieło. Prawdą jest, że nie zrozumieję go tak dobrze, jak ty. Ale obietnica jest rzeczą świętą.

Miałem nadzieję, że spyta o nazwisko mego ojca, co umożliwi mi pytanie, jak się nazywa. Ale nie okazała żadnej ciekawości. Patrzyła na mnie jak na natrętną muchę, ze sterty zwojów wybrała jeden i podała mi pierwszą część historii.

- Proszę - rzekła. - Bierz to i przestań się do mnie przystawiać!

Zaczerwieniłem się strasznie. Dziewczyna oczywiście myliła się, jeśli sądziła, że szukałem pretekstu do poderwania jej. Wziąłem zwój, poszedłem na drugi koniec sali i odwrócony do niej plecami zabrałem się do czytania.

Czytałem możliwie jak najszybciej, nie usiłując nawet zapamiętywać całych litanii nazwisk, przytaczanych w książce. Widocznie Klaudiusz uważał za konieczne podawanie, od kogo zaczerpnął daną informację, co kto napisał o danej sprawie i co on sam o niej sądzi. Jestem przekonany, że nie czytałem dotychczas bardziej szczegółowego i bardziej rozwlekłego tekstu. Gdy swego czasu Timajos narzucał mi lekturę wielu dzieł, nauczyłem się szybkiego czytania i zapamiętywania jedynie tych wydarzeń czy opisów, które przypadły mi do gustu. Oczywiście, gdy Timajos odpytywał mnie z przeczytanej treści, zwykle płątałem się w faktach. W taki sam sposób miałem zamiar przerzucić i tę księgę.

Ale dziewczyna nie dała mi spokojnie czytać. Wrzasnęła coś do siebie i głośno zakląła, szeleszcząc zwojami papirusów. Wyraźnie sprzykrzyło się jej wciąż na nowo ostrzyć trzcinę, więc przełamała ją w rękę, po czym tupnęła i krzyknęła rozzłoszczona:

- Czy jesteś głuchy i ślepy, wstrętny chłopaku?! Idź natychmiast do bibliotekarza i przynieś mi solidne pióro. Kto cię wychowywał, że nie dostrzegasz, iż potrzebuję pióra?

Znowu się zaczerwieniłem, ale i rozgniewałem, bo zachowanie dziewczyny nie świadczyło o jej dobrym wychowaniu. Pomyślałem jednak, że po przeczytaniu pierwszego zwoju będę potrzebował następnych - a nie miałem ochoty bić się z nią. Opanowałem więc swój gniew i udałem się na poszukiwanie pióra. Bibliotekarz mruczał, że regulamin wprawdzie przewiduje gratisowe udzielanie czytelnikom papirusu i piór na notatki, ale dotychczas nikt nie był tak biedny, żeby za to nie płacić. Zdenerwowany dałem mu srebrną monetę, a wówczas skwapliwie wręczył mi cały pęk piór i rulonik nie najlepszego papirusu. Wróciłem do sali Klaudiusza i w milczeniu podałem to wszystko dziewczynie. Wyrwała mi z ręki i nawet nie podziękowała.

Kiedy skończyłem czytanie pierwszego zwoju, podszedłem do niej i poprosiłem o drugi. Zapytała zdziwiona:

- Naprawdę umiesz tak szybko czytać? Czy coś z przeczytanego testu zostaje ci w głowie?

- Zapamiętałem przynajmniej to, że kapłani etruscy mieli paskudny zwyczaj rzucania jadowitych zmij na napastników w czasie walki. Nic dziwnego, że studiujesz ich zwyczaje.

Odniosłem wrażenie, że zawstydzila się swojego zachowania. Puściła mimo uszu moją złośliwość i pokornie, jak mała dziewczynka, wyciągnęła do mnie trzcinowe pióro, prosząc:

- Czy mógłbyś naostrzyć mi pióro? Widocznie nie potrafię dobrze nacinać, bo od razu zaczyna mi zalewać.

- To wina kiepskiego papirusu - odrzekłem. Wziąłem od niej pióro i scyzoryk i na koniuszku palca rozciąłem ostrze. - Nie przyciskaj go zbyt mocno, bo inaczej zaraz będzie kleks. Jeżeli opanujesz złość, to i na takim złym papirusie będziesz dobrze pisać.

Nagle uśmiechnęła się do mnie. Było to tak porażające, jakby błyskawica zaiskrzyła między burzowymi chmurami. Jej grubo ciosane rysy, duże usta i skośne oczy stały się na moment czarujące, choć chwilę wcześniej nie potrafiłbym w to uwierzyć. Zaskoczony przyglądałem się jej,

a wówczas brzydko się wykrzywiła, wystawiła język i krzyknęła:

- Zabieraj swoją księgę i idź czytać, skoro tak to lubisz!

Za chwilę jednak znów przeszkodziła mi w czytaniu. Ciągłe podchodziła z żądaniem ostrzenia pióra, aż wreszcie moje palce stały się tak samo czarne, jak jej. Okazało się, że atrament składał się z samych grudek, aż wreszcie przeklęła cały kałamarz.

Koło południa wyciągnęła węzełek, otworzyła go i zaczęła bezceremonialnie zajadać. Wrywała kawały z bochenka chleba i gryzła ser.

- Dobrze wiem - usprawiedliwiała się spostrzegłszy mój karcący wzrok - że w bibliotece nie wolno jeść, ale co? Jeśli wyjdę na dwór, ludzie będą mnie popychać, a różni wałkonie potraktują mnie jako dogodny obiekt do świntuszenia, ponieważ jestem samotna. - Po chwili dodała, patrząc w ziemię: - Mój niewolnik przyjdzie po mnie dopiero pod wieczór, kiedy zamykają bibliotekę.

W tym momencie zrozumiałem, że nie ma żadnego niewolnika. Wobec skromności wiktuałów jasne też było, że nie miała pieniędzy na pióra i papirus - to dlatego zuchwale zażądała, bym wziął dla niej pióro od bibliotekarza. Głupio mi się zrobiło, bo w żadnym wypadku nie chciałem jej urazić. A jednocześnie gdy zobaczyłem, z jakim smakiem zajada, poczułem głód.

Widocznie nieświadomie głośno przełknąłem ślinę, bo nagle zrobiła się serdeczna i zawołała:

- Chłopcze, ależ ty jesteś głodny! - Rozerwała chleb na dwie części, zaś okrągły serek gryźliśmy na zmianę - był taki malutki, że zabrakło go, zanim zaczęliśmy jeść na serio. Młodym wszystko smakuje.

- To był doskonały wiejski chleb - chwaliłem - i serek też świeży, prosto ze wsi. Trudno takie dobre rzeczy dostać w Rzymie.

- Mieszkam za murami miasta - powiedziała, zadowolona z moich słów. - Jeśli wiesz, gdzie jest cyrk Gajusza, cmentarz i wyrocznia, to właśnie tam, za Watykanem.

Nadal nie podała swego imienia. Wróciliśmy do ksiąg. Dziewczyna notowała i mrużąc, uczyła się na pamięć starych tekstów, które Klaudiusz przepisał ze świętych zwojów, ja zaś utrwaląłem w pamięci przebieg wojen cerejskich i skład floty Cerei. Pod wieczór cień Palatynu wydłużył się, przykrył bibliotekę i w sali zrobiło się ciemno, bo niebo też pociemniało.

- Nie psujmy oczu - powiedziałem. - Jutro będzie nowy dzień, a ja mam już po uszy tej zaśniedziałej historii. Jesteś dziewczyną wykształconą, więc mogłabyś mi pomóc i w skrócie zreferować treść pozostałych ksiąg albo przynajmniej to, co w nich najważniejsze. Mój ojciec ma majątek ziemski w pobliżu Cerei. Jestem przekonany, że skontroluje moją znajomość wszystkiego, co cesarz Klaudiusz opowiada o historii tego miasta. Nie zrozum źle mojej propozycji - ciągnąłem zawstydzony - ale mam ochotę na gorącą kielbasę. Znam miejsce, gdzie ją dobrze przyrządzają i w zamian za pomoc chętnie bym cię tam zaprosił.

- Czy naprawdę mnie nie poznajesz? - zapytała z niedowierzaniem. Zmarszczyła brwi, podeszła do mnie i patrzyła mi w twarz z tak małej odległości, że poczułem jej gorący oddech. Po chwili dodała: - Nie, istotnie

nie poznajesz mnie i nie masz złych zamiarów. Jesteś młodym nieopierzonym chłopcem.

- Lada dzień mam przywdziać męską togę - zaprotestowałem obrażony. - Uroczystość odłożono tylko ze względu na sprawy rodzinne. Nie jesteś wiele starsza ode mnie.

- Kochany chłopcze - powiedziała żartobliwie - ja już skończyłam dwadzieścia lat i w porównaniu z tobą jestem starą babą. Do tego silniejszą od ciebie. Czy nie boisz się wyjść z obcą kobietą?

Mówiąc to wpychała byle jak książki do schowka, zebrała swoje rzeczy i poprawiła odzienie - tak szybko zbierała się do wyjścia, jakby się obawiała, że mogę wycofać propozycję. Przed wyjściem zrobiła jeszcze coś, co mnie niepomiernie zdumiało: podeszła do posągu cesarza Klaudiusza i zanim zdołałem temu zapobiec - splunęła na niego. Zauważyła moje przerażenie, roześmiała się i jeszcze raz opluła pomnik. Naprawdę była źle wychowana.

Bezceremonialnie wepchnęła mi rękę pod pachę i to ona mnie prowadziła; wyraźnie wyczułem jej siłę, nie przechwalała się. Wyniośle pożegnała bibliotekarza, który przyszedł zerknąć, czy przypadkiem nie schowaliśmy jakiegoś zwoju pod ubranie. Jednakże nie przeprowadził rewizji osobistej, jak to niekiedy czyniono.

O niewolniku już nie było mowy. Pod wieczór wielu ludzi spacerowało po Forum. Dziewczyna także chciała przejść się tam i z powrotem między świątyniami i kuriami. Cały czas trzymała mnie władczo pod rękę, jakby chciała wszem wobec zademonstrować, że chwyciła zdobycz. Kilku darmozjadów coś do niej wykrzykiwało, jakby ją znali, a ona bez żenady im odpowiadała, grubo się śmiejąc. Naprzeciw nas pojawił się jakiś senator, a także dwóch ekwitów, otoczonych świtą. Gdy dostrzegli dziewczynę, szybko odwrócili głowy. Ale ona wcale się tym nie przejęła.

- Jak sam słyszysz, nikt tu nie uważa mnie za osobę cnotliwą - śmiała się. - Ale nie jestem tak zupełnie zepsuta. Nie musisz się bać.

Zgodziła się wejść ze mną do traktierni przy targu bydła. Śmiało zamówiłem gorące kielbaski, wazę wieprzowego mięsa i wino. Dziewczyna jadła łapczywie jak wilk, a zatuszczone palce wycierała o poły szat. Wina nie rozcieńczała, więc i ja go nie mieszałem z wodą, przeto szybko upiłem się, bo nie byłem przyzwyczajony do mocnych trunków. Dziewucha podśpiewywała, klepała mnie po twarzy, jarmarcznym językiem wymyślała właścicielowi, a kiedy przypadkowo dotknąłem jej kolana, niespodzianie pogłaskała kułakiem moją rękę. Pomyślałem, że jest niespełna rozumu.

Traktiernia zapełniła się ludźmi. Znalazł się jakiś muzykant i śpiewak, a także wesołkowie, którzy bawili ludzi i potrząsając dzbanem zbierali drobne monety. Jeden z nich, ubrany w łachmany, stanął przed nami, brzdąknął strunami cytry i zaśpiewał - wyraźnie pod adresem dziewczyny:

*Przybywa córka wilka
o obwisłych licach;
na kamiennych schodkach na świat przyszła
ojciec pijanica, matka kurwa,
a kuzyn pozbawia dziewictwa.*

Więcej nie zdążył. Dziewczyna wstała, rąbnęła go po pysku i wrzasnęła:

- Lepsza krew wilka niż szczyzny w żyłach, jak u ciebie!

Właściciel traktierni szybko wyprowadził śpiewaka, nam zaś własnoręcznie przyniósł jeszcze wina i prosił:

- *Clarissima*, twoja wizyta jest dla mnie zaszczytem, ale chłopak jest niepełnoletni. Błagam, proszę was, wypijcie wasze kubki do dna i wyjdźcie, bo inaczej będę miał edylów na karku.

Zrobiło się późno i czułem się zażenowany zachowaniem dziewczyny. Może naprawdę jest zdeprawowaną gówniarą, a właściciel potraktował ją jak patrycjuszkę tylko przez przekorę? Ku mojemu zadowoleniu bez sprzeciwu zgodziła się na wyjście, ale na ulicy zaraz złapała mnie mocno za rękę i prosiła:

- Odprowadź mnie do mostu na Tybrze!

Niespokojne chmury pędziły nisko nad głowami, rudo mieniąc się od świateł pochodni. Spieniona jesiennym sztormem niewidoczna woda wzdychała u naszych stóp. Smród szlamu i gnijącej trzciny zatykał nozdrza. Dziewczyna wiodła mnie ku mostowi, prowadzącemu na wyspę Eskulapa. Mieścił się na niej szpital przy świątyni boga medycyny; właściciele podrzucali do niego chorych, bezużytecznych już niewolników, aby tam dogorywali. Po drugiej stronie wyspy inny most wiodł do Zatybrza, czternastej dzielnicy miasta zamieszkiwanej głównie przez Żydów. Most nie był miejscem sympatycznym w ciemny wieczór. Niebo właśnie przecierało się, między chmurami błysnęło kilka jesiennych gwiazd, prąd rzeki połyskiwał czernią, a wichura niosła od strony wyspy jęki chorych i konających jak z krainy umarłych.

Dziewczyna przechyliła się przez poręcz mostu i splunęła w największą głębię Tybru. Zachęcała i mnie, bym splunął i prowokacyjnie pytała, czy boję się boga rzeki. Wcale nie miałem ochoty obrazić Tybru, ale tak mnie podpuszczała, że splunąłem, jak to chłopiec. W tym momencie migotliwym łukiem przeleciała nad Tybrem spadająca gwiazda. Aż po godzinę śmierci zapamiętam szum rzeki, niespokojny ruch zrudziałych chmur i świetlisty lot gwiazdy nad czarnym lśniącem Tybrem.

Dziewczyna przytuliła się do mnie i wyczułem sprężystość jej ciała. Była o pół głowy niższa ode mnie.

- Gwiazda poleciała ci ze wschodu na zachód - szepnęła. - Jestem zabobonna. Zauważyłam też, że na rękę masz szczęśliwe piętna. Czy mógłbyś i mnie przynieść szczęście?

- Powiedz w końcu bodaj swoje imię. Ja przecież podałem ci swoje nazwisko i opowiedziałem o ojcu. Oj, dostanę burę w domu, że wracam tak późno.

- Tak, tak, jesteś jeszcze małym chłopczykiem - westchnęła i ściągnęła z nóg buty. - Najchętniej chodzę boso. Buty tak otarły mi nogi, że kuśtykałam i opierałam się o ciebie, teraz nie potrzebuję już oparcia. Leć więc do domu, żebyś przeze mnie nie dostał reprimendy.

Nadal dopytywałem się o jej miano. Wreszcie głęboko westchnęła i spytała:

- A czy obiecasz, że niewinnymi wargami pocałujesz mnie w usta, gdy powiem ci, jak się nazywam?

Odrzekłem, że nie wolno mi tknąć żadnej dziewczyny, póki nie spełnię przyrzeczenia złożonego wyrocni w Dafne.

- Nazywam się Klaudia Plaucja Urgulania - powiedziała.

- Klaudia? - powtórzyłem pytająco. - Czyżbyś pochodziła z rodu Klaudiuszy?

- Naprawdę nic o mnie nie wiesz? - pytała zdumiona, że nadal jej nie rozpoznałem. - No tak, urodziłeś się w Syrii. Moi rodzice rozwiedli się, a ja przyszedłam na świat pięć miesięcy później. Ojciec nie wziął mnie w ramiona, tylko kazał nagą położyć na kamiennym progu domu mojej matki. Wolałabym, aby kazał mnie cisnąć do kloaki! Sąd przyznał mi prawo do używania nazwiska Klaudiuszy, ale żaden szanowany mężczyzna nie będzie chciał się ze mną ożenić, ponieważ ojciec wbrew prawu ogłosił, że jestem dzieckiem nieślubnym. Czy już teraz rozumiesz, że czytam jego dzieła, aby się utwierdzić w przekonaniu o jego ograniczoności, i dlatego opluwam jego pomnik?!

- Na wszystkich bogów, znanych i nieznanym! - krzyknąłem osłupiały. - Twierdzisz, że jesteś córką cesarza Klaudiusza, głupia dziewczucho?!

- Wszyscy Rzymianie o tym wiedzą - odburknęła. - Dlatego ten spotkany senator nie odważył się mnie pozdrowić. Trzymają mnie w ukryciu na wsi, za Watykanem. Ale spełnij obietnicę, skoro ci odkryłam swe nazwisko, czego nie powinnam była zrobić.

Upuściła buty na ziemię i zamknęła mnie w objęciach, chociaż początkowo się wyrywałem.

Później jednak przycisnąłem ją mocno do siebie i w ciemności pocałowałem. I nic mi się nie stało, chociaż złamałem przyrzeczenie dane Lunie. Ale może bogini się nie obraziła, ponieważ nawet nie zadrżałem, gdym ją całował. Nie wiem.

Klaudia trzymała ręce na moich ramionach, gorąco oddychała mi w twarz i prosiła:

- Minutusię, obiecaj, że odszukasz mnie, gdy już przywdziejesz męską togę.

Wymamrotałem, że i po tej uroczystości będę całkowicie zależny od ojca. Ale Klaudia rzekła stanowczo:

- Skoro mnie pocałowałeś, to już jesteś związany ze mną.

Schyliła się, poszukała po ciemku butów, wzięła je w jedną rękę, drugą poklepała mnie po zimnym policzku i... uciekła biegiem. Wołałem za nią, że absolutnie nie czuję się z nią związany, ponieważ pocałowała mnie przemocą, ale Klaudia zniknęła w ciemności. Wicher donosił z wyspy jęki chorych, a woda złowieszczo szemrała, więc pospieszyłem do domu. Barbus na próżno poszukiwał mnie w bibliotece i na Forum; był wściekły, ale nie odważył się powiedzieć cioci Lelii, że zniknąłem. Ojca, jak zwykle, nie było do późna.

Nazajutrz dyskretnie wypytałem ciocię Lelię o Klaudię. Powiedziałem, że w bibliotece spotkałem Klaudię Plaucję i dałem jej trzciniowe pióro. Ciocia Lelia przeraziła się:

- Żebyś nie ważył się mieć do czynienia z tą bezczelną dziewczuchą! Uciekaj, jeśli ją znowu zobaczysz! Cesarz Klaudiusz wiele razy żałował, że nie kazał jej utopić, gdy była niemowlęciem, ale wówczas się na to nie

odważył. Matka dziewczyny była kobietą nieposkromioną i Klaudiusz bał się o własną skórę! Cesarz Gajusz na złość swemu stryjowi nazywał zawsze Klaudię kuzynką. Myślę, że wciągnął ją w swoje amoralne towarzystwo. Nieszczęsny Gajusz uznał siebie za boga i sypiał nawet ze swoją siostrą! Klaudii nie przyjmą w żadnym przyzwoitym domu. Jej matkę zabił przypadkowo pewien gladiator i nawet go nie oskarżono, ponieważ potrafił udowodnić, że bronił swojej czci. Bo z upływem lat Urgulania stawała się coraz mniej wybredna w miłostkach.

Szybko zapomniałem o Klaudii, ponieważ ojciec zabrał mnie do Cerei. Spędziliśmy tam cały miesiąc na oglądaniu naszego rodzowego majątku ziemskiego. Wstrząsające wrażenie wywarły na mnie kurhany starodawnych królów i wielmożów etruskich, bez końca ciągnące się po obydwu stronach świętej drogi. Rzymianie, którzy setki lat temu zawładnęli Cereą, dawno ograbili stare grobowce ze skarbów, ale wiele było też mogił całkiem świeżych. Zacząłem odczuwać dumę ze swego pochodzenia. Z opowiadań mego ojca wcale nie wynikało, że starożytni Etruskowie byli tak potężni. Z opisów cesarza Klaudiusza także wcale nie można było odgadnąć ponurego majestatu kurhanów królewskich. Trzeba je było ujrzyć na własne oczy.

Mieszkańcy uboższych miast omijali nocą krainę umarłych i twierdzili, że tam straszy. Natomiast w ciągu dnia przewijało się tędy mnóstwo turystów, którzy oglądali stare kopce oraz płaskorzeźby w ograbionych celach grobowcowych. Ojciec wykorzystał okazję, aby uzupełnić kolekcję miniaturowych posążków z brązu i kultowych naczynek z czarnej gliny, znajdujących przez miejscowych chłopów przy orce lub kopaniu piwnic. Najcenniejsze okazy wywieziono już za czasów Augusta, kiedy modne było kolekcjonowanie etruskich brązów. Najczęściej zaśniedziałe rzeźby odrywano od pokryw urn z prochami.

Rolnictwo nie wzbudziło mego zainteresowania. Gdy ojciec oglądał pola, sady oliwne i winnice, towarzyszyłem mu wprawdzie, ale nudziłem się setnie. Poeci wychwalają prostotę wiejskiego życia, ja jednak nie czułem powołania, aby osiąść na wsi, podobnie zresztą jak oni. W okolicach Cerei można polować jedynie na lisy, zające i ptactwo, a wcale nie pociągało mnie takie łowiectwo, do którego używa się sidła, wnyków, potrzasków czy nasmarowanych klejem żerdzi, a męska odwaga jest zbyteczna.

Obserwowałem zachowanie mego ojca w stosunku do niewolników i wyzwolenców, którzy pracowali na jego ziemi, i doszedłem do wniosku, że dla mieszczaucha rolnictwo jest drogą zabawą. Tylko ogromne latyfundia, zatrudniające masowo niewolniczą siłę roboczą, mogły być efektywne i przynosić dochód, ale taki sposób gospodarowania ojciec uważał za odrażający.

- Wolę patrzeć na podległych sobie ludzi, którzy są szczęśliwi i mają zdrowe dzieci - powiedział. - Chętnie godzę się nawet, aby bogacili się moim kosztem. Cenna jest świadomość, że gdzieś jest takie miejsce, do którego zawsze można wrócić, jeśli szczęście cię opuści.

Zwróciłem mu uwagę, że chłopci nigdy nie są zadowoleni i ciągle na wszystko się skarżą. To za dużo padało, to znowu było za sucho, raz

szkodniki zniszczyły winorośle, a kiedy indziej zbiór oliwek był tak obfity, że cena oliwy okropnie spadła. I moim zdaniem nasi dzierżawcy wcale ojca nie szanowali, tylko zauważywszy jego dobroduszość stawali się nachalni i wiecznie narzekali na nędzne mieszkania, liche sprzęty i chorowite zwierzęta.

Czasem ojciec się pieklił i stawał się nieustępliwy, ale wówczas dzierżawcy szybko nakrywali do stołu i częstowali ojca zimnym białym winem. Dzieci plotły mu wianki na głowę i tańczyły wokół niego tak długo, aż się udobruchał i szedł na nowe ustępstwa. W czasie pobytu na wsi ojciec pił tak dużo, że chyba nigdy nie trzeźwiał.

W samej Cerei spotkaliśmy jakichś brzuchatych kapłanów i kupców, którzy jak my mieli fałdkę w kącie oka i szczycili się rodowodem sprzed tysiąca lat. Przy ich pomocy ojciec opracował nasze drzewo genealogiczne, którego prakorzenie sięgały czasów, kiedy tyran Syrakuz zniszczył port i spalił flotę Cerei. Ojciec zakupił sobie także miejsce na pochówek przy świętej drodze.

Pewnego dnia nadeszła z Rzymu wiadomość, że wszystko zostało przygotowane. Cenzor zaakceptował żądanie ojca, by przywrócono mu tytuł ekwity. Sprawę można przedłożyć cesarzowi Klaudiuszowi dowolnego dnia; oznaczało to, że trzeba wracać do Rzymu. Po przyjeździe wiele dni czekaliśmy nie opuszczając mieszkania, ponieważ w każdej chwili mogliśmy być wezwani na Palatyn. Sekretarz Klaudiusza, Narcyz, obiecał wybrać moment sprzyjający audiencji.

Zima była ostra, kamienne posadzki lodowato zimne i w domach czynszowych codziennie umierali ludzie od czadu, bo opalane węglem drzewnym piecyki źle funkcjonowały. W ciągu dnia wprawdzie świeciło słońce, zapowiadając wiosnę, ale nawet udający się do kurii senatorowie bez zażenowania kazali nosić za sobą przenośne piecyki, aby je wstawiać pod wykładane kością słoniową siedziska. Ciocia Lelia narzekała, że niewiele zostało ze starych dobrych obyczajów rzymskich. Jeszcze za czasów Augusta senatorowie wybraliby raczej zapalenie płuc albo dożywotni reumatyzm, aniżeli takie babskie cackanie się z własnym cielskiem.

Ciocia Lelia chciała koniecznie zobaczyć święto luperkaliów i pochód luperków. Zapewniała, że cesarz Klaudiusz jako najwyższy kapłan będzie osobiście nadzorował przebieg uroczystości, więc z pewnością w tych dniach nie wezwie nas na Palatyn. W dzień idów lutowych o świcie podprowadziłem ją tak blisko pod stare drzewo figowe, jak tylko było to możliwe. Kapłan zabił kozła na ofiarę faunowi Luperkusowi i zakrwawionym nożem naznaczył czoła wszystkich luperków, którzy ścierali to znamię zwilżonymi mlekiem skrawkami lnianego płótna i parskali rytualnym śmiechem.

Rozchodzący się z grotty święty śmiech brzmiał tak donośnie i drażniąco, że tłum zawył żarliwie, a kilka oszołomionych kobiet pobiegło na drogę, której strzegli wartownicy, aby była wolna dla uroczystego pochodu. Tymczasem kapłani pocięli nożami ofiarnymi kozłą skórę na paski i podskakując w rytualnym tańcu wybiegli na drogę. Byli zupełnie nadzy, zanosili się grzmiącym śmiechem i siekli rzemieniami tłoczące się niewiasty, aż krwawe pręgi zboczyły ich szaty. W szalonym tańcu luperkowie

obiegli całe wzgórze Palatynu.

Ciocia Lelia była zachwycona. Zapewniała, że od lat nie słyszała tak gromkiego śmiechu! Wyjaśniła mi, że kobieta, którą by luperkowie wysiekli zakrwawionym rzemieniem, w ciągu roku zajdzie w ciążę. Był to niezawodny sposób na bezpłodność. Narzekała tylko, że niewiasty ze sfer arystokratycznych nie chcą mieć dzieci, a biczować pozwalają się tylko żony zwykłych obywateli. Na trasie pochodu luperków nie dostrzegła ani jednej żony senatora! Niektórzy widzowie twierdzili, że widzieli cesarza Klaudiusza, jak podniecony i golusieńki skakał i wykrzykiwał radośnie u wejścia do grotty. Kiedy pochód obiegł wzgórze i wrócił do grotty, by złożyć ofiarę ze szczennej suki, poszliśmy do domu i zgodnie z tradycją zjedli gotowane mięso kozła i bułeczki pszenne, wypiekane w kształcie narządu płciowego. Ciocia Lelia piła wino i cieszyła się, że wreszcie po chłodnej zimie nadchodzi cudowna rzymska wiosna.

Właśnie namawialiśmy ojca, aby zrobił sobie sjęstę, zanim zacznie mówić coś, czego moje uszy nie powinny słyszeć, gdy nadbiegł zadyszany niewolnik. Był to goniec sekretarza Narcyza, który żądał, abyśmy natychmiast, nie tracąc ani chwili, przybyli do Palatynu. Poszliśmy tam na piechotę w towarzystwie jedynie Barbusa, czemu niewolnik bardzo się dziwił. Na szczęście, w związku z luperkami, byliśmy już ubrani w uroczyste szaty, jak obyczaj nakazywał.

Odziany w biel i złoto niewolnik wyjaśnił, że wszystkie znaki wieszce były pomyślne, a uroczystości przebiegły bezbłędnie. Dlatego cesarz Klaudiusz jest w doskonałym humorze i w roli najwyższego kapłana gości luperków w swoich pokojach. W bramie Palatynu i mnie, i ojca dokładnie przeszukano, obmacując rękami; Barbusa nie wpuszczono z nami, ponieważ niósł miecz. Ojciec był zdziwiony, że i mnie zrewidowano, chociaż nie nosiłem jeszcze męskiej togi.

Narczyz, wyzwolenciec cesarza i jego prywatny sekretarz, był Grekiem, obciążonym nieprawdopodobnym brzemieniem prac. Przyjął nas nadspodziewanie przyjaźnie, chociaż ojciec nie posłał mu żadnych prezentów. Zupełnie otwarcie powiedział, że dla dobra kraju w okresie poprzedzającym różne zmiany należało ludzi godnych zaufania podnieść do stanu ekwitów, ażeby wiedzieli i pamiętali, komu mają być wdzięczni za uzyskaną pozycję. Przekartkował dokumenty mego ojca i wyciągnął z nich zmiętoszony kawałek papieru. Wręczył go ojcu i rzekł:

- Będzie najlepiej, jeśli zachowasz dla siebie tę tajną informację z czasów Tyberiusza o twoim charakterze i obyczajach. To są już sprawy zapomniane i dziś nie mają żadnego znaczenia.

Ojciec przeczytał świstek, zrobił się czerwony i szybko schował go pod szatę. Narcyz kontynuował już zgoła innym tonem:

- Cesarz dumny jest ze swej wiedzy i znajomości ludzi, ale czepia się szczegółów. Potrafi cały dzień paplać o przeszłości, aby udowodnić, jaką ma dobrą pamięć, a równocześnie zapomnieć o najważniejszych sprawach bieżących.

- A któż z nas kiedyś w młodości nie spędził nocy w krzewach róż w Bajach? - wtrącił zmieszany ojciec. - W moim przypadku to było i minęło. Jednak nie wiem, jak ci mam dziękować. Opowiadano mi wiele, że cesarz

Klaudiusz, a w szczególności Waleria Mesalina, pilnuje skrupulatnie nieskazitelnosci etycznej rzymskiego rycerstwa.

- Byc moze kiedyś ci powiem, czym bedziesz mógł mi się odwdzięczyć - rzekł Narcyz z posepnym uśmiechem. - Nazywają mnie chciwym, ale żebyś nie popełnił głupstwa, proponując mi pieniądze, Marku Manilianusie! Jestem wyzwolencem cesarza i dlatego wszystko, co posiadam, jest własnością cesarza, a wszystko co robię, robię wedle mego rozumu i doświadczenia dla dobra cesarza i państwa. Ale spieszmy, bowiem najbardziej wskazanym dla audiencji momentem jest chwila, kiedy po smacznym posiłku cesarz szykuje się na południową sjęstę.

Zaprowadził nas do sali audiencyjnej, mieszczącej się w południowym skrzydle pałacu. Ściany zdobiły malowidła przedstawiające wojnę trojańską. Narcyz własnoręcznie opuścił zasłony, przytłumiając ostry blask słońca. Wszedł Klaudiusz, podpierany z dwóch stron przez służebnych niewolników. Na sygnał Narcyza niewolnicy posadzili cesarza na tronie. Nucił sobie pod nosem hymn fauna i zerkał na nas oczami krótkowidza. Wyglądał bardziej dostojnie gdy siedział, chociaż i teraz jego głowa chwiała się z boku na bok. Był bardzo podobny do swych wizerunków - posągów i popiersi na złotych monetach, ale w czasie posiłku wino i sosy ochlapały mu szaty na piersiach. Wyraźnie podochocił sobie i postanowił - zanim ogarnie go senność - z entuzjazmem załatwić sprawy państwowe.

Narcyz przedstawił nas i powiedział:

- Sprawa jest jasna. Tu jest wykaz przodków, świadectwo stanu majątkowego i rekomendacja cenzora. Marek Mezencjusz Manilianus zasłużył się w Antiochii jako członek rady miejskiej i należy mu się pełne zadośćuczynienie za wyrządzoną krzywdę. On sam nie jest żadny sławy, ale jego syn będzie dobrze służył krajowi.

Mrucząc półgłosem tyżące astrologa Manilianusa wspomnienia z lat młodości cesarz Klaudiusz rozwinał zwoje dokumentów i przebiegł je wzrokiem. Zainteresowało go pochodzenie mojej matki i pogrążył się w naukowych rozważaniach.

- Myrina - powiedział - to królowa amazonek, która walczyła z Gorgonami, ale w końcu zabił ją niejaki Mopsos, wydalony przez Likurga z Tracji. Właściwie Myrina to było jej imię boskie, gdyż ziemskie brzmiało Batjeja. Stosowniejszym byłoby, aby twoja żona używała tego ziemskiego imienia. Narcyzie, zaznacz to w notatkach i popraw imię w dokumentach.

Ojciec z pełnym szacunkiem podziękował cesarzowi za to sprostowanie i obiecał bezzwłocznie dopilnować, aby również na pomniku, postawionym ku czci mojej matki przez jej rodzinne miasto, dopisano imię Batjeja. Cesarz musiał odnieść wrażenie, że moja matka była jedną z najznakomitszych mieszkanek Myriny, skoro miasto postawiło jej pomnik.

- Masz piękne greckie pochodzenie, chłopcze - powiedział Klaudiusz i spoglądał na mnie przychylnie zaczerwienionymi oczami. - Grecka cywilizacja, ale rzymska sztuka budowy państwa. Jesteś czysty i piękny, jak moja własna złota moneta, na której wybiłem z jednej strony tekst po łacinie, a z drugiej po grecku. Czemu tak piękny i dobrze zbudowany chłopiec nosi imię Minutus? To już przesadna skromność!

Ojciec szybko wyjaśnił, że odłożyliśmy dzień założenia męskiej togi do

czasu, aż będzie można jednocześnie wpisać mnie na listę ekwitów w świątyni Kastora i Polluksa. Za największy zaszczyt uznalibyśmy wymyślenie przez Klaudiusza dodatkowego imienia dla mnie. Po czym powiedział:

- Posiadam majątek ziemski w Cerei. Mój prawdziwy ród ma korzenie w tamtych czasach, kiedy tyran Syrakuz zniszczył potęgę morską Cerei. Ale te okoliczności są ci lepiej znane niż mnie, *clarissimus*.

- A więc nie bez powodu zauważyłem w twojej twarzy coś znajomego - krzyknął zachwycony Klaudiusz. - Znam twoją twarz i oczy ze starodawnych etruskich malowideł nagrobnych, które badałem, gdy byłem młody, chociaż zniszczyły je wilgoć i rozwydrzenie ludzi. Skoro ty nosisz imię Mezencjusza, to dla chłopca będzie odpowiednie imię Lauzusa. Czy może wiesz, kim był Lauzus, chłopcze?

Odpowiedziałem, że Lauzus był synem króla Mezencjusza, który u boku Turnusa walczył przeciwko Eneaszowi. I dodałem z udaną niewinnością:

- Wyczytałem to w napisanej przez ciebie historii Etrusków, inaczej bym tego nie wiedział. Pamiętam twoje uwagi, że to samo imię następuje w kronikach Alby jako imię syna króla Numitora. Dlatego zakładasz, że królowie Alby byli w stosunkach pokrewieństwa z królami Cerei, chociaż są to tak stare dzieje, że wiadomości o nich nie mogą być pewne.

- Czy naprawdę mimo młodego wieku przeczytałeś moje skromne dzieło, Minutusie? - zapytał Klaudiusz i aż dostał czkawki z wrażenia. Narcyz lekko poklepał go po plecach i polecił niewolnikom przynieść wina. Klaudiusz i nas kazał poczęstować, przy czym przestrzegł ojca, aby nie pozwalał mi pić nie rozcieńczonego wina, zanim nie osiągnę jego wieku. Popijając wino rozkazał, aby przyniesiono deskę i kości i zaproponował:

- Mam wrażenie, że dzisiejsze idy lutowe są dla mnie dniem pomyślnym. Nie mogę grać o wysokie stawki, bo jestem ubogi. Moi wyzwoleńcy są ode mnie dużo bogatsi, więc może Narcyz pożycz mi trochę, abym rozegrał z tobą partyjkę, Marku Mezencjuszu.

Ojciec przebiegle ostrzegał przed zmierzeniem się z nim twierdząc, że miał bardzo zdolnych nauczycieli. Ale Klaudiusz chichocząc zapewniał, że bieda i doświadczenie były mu przed laty najlepszymi nauczycielami, kiedy musiał żywić się w publicznych jadłodajniach i zarabiać na życie graniem o miedziaki.

Zaczęli rzucać kostki; miał wielką ochotę przegrać, przeszkodziła mu nadzwyczaj dobra passa. Wygrał trzy razy pod rząd, chociaż Klaudiusz usiłował zamawiać i zaczarowywać kostki. Cesarz posepniał, a głowa trzęsła mu się coraz bardziej.

- Kto cię uczył gry, przeklęty człowieku, skoro kości nie są mi dziś posłuszne?

Ojciec wyjaśnił pokornie, że to sam cesarz uczył go grać i dokładnie obliczać prawdopodobieństwo rzutów, bo gdy się liczy wyłącznie na szczęście, to traci się więcej niż wygrywa. Oświadczył że bardzo dużo skorzystał z opublikowanego przez Klaudiusza „Podręcznika do gry w kości”.

- Nie powinienem był tego wydawać - zamruczał Klaudiusz, chociaż

wyraźnie widać było, że jest zadowolony. Zaczął ziewać, a jego głowa kiwała się tak, że ojcu udało się niepostrzeżenie przewrócić kostkę na straty, dzięki czemu cesarz odbił swoją poprzednią przegraną. Narcyz wykorzystał tę okazję, aby skłonić Klaudiusza do potwierdzenia podpisem naszej przynależności do stanu rycerskiego. Cesarz chętnie złożył swój podpis, chociaż wydaje mi się, że pochłonięty grą zapomniał, o co właściwie chodziło.

- Czy rzeczywiście życzysz sobie, cesarze, abym dał memu synowi dodatkowe imię Lauzusa? Byłoby dla mnie największym zaszczytem, gdybyś sam zgodził się wprowadzić mego syna w dorosłe życie.

- Narcyzie, zapisz i to w notatniku - polecił władczo Klaudiusz i napił się wina, trzęsąc głową. - A ty, Mezencjuszu, zawiadom mnie, kiedy chłopcu będą ucinąć włosy, a przyjdę do ciebie z wizytą, o ile ważne sprawy państwowe mi nie przeszkodzą. - Nagle wstał i omal nie upadł na twarz, ale niewolnicy zdążyli ująć go pod rękę. Okropnie czkając dodał:

- Badania naukowe rozproszyły mój umysł, więc lepiej pamiętam rzeczy stare niż nowe. Dlatego każę natychmiast notować, na co zezwalam, a czego zabraniam. Teraz pójdę, żeby dokładnie się wyrzygać. Bo inaczej brzuch mnie rozboli od tego twardego mięsa koźlego.

Gdy już prowadzony przez niewolników cesarz wyszedł z sali, Narcyz poradził:

- Wyznacz termin przywdziania męskiej togi przez twojego syna w pierwszy pomyślny dla ciebie dzień i zawiadom mnie o tym. Możliwe, że cesarz zapamięta swoją obietnicę i złoży ci wizytę. W każdym bądź razie ja mu przypomnę.

Ciocia Lelia miała sporo kłopotów z zaproszeniem na moją uroczystość bodaj kilku dostojników, których można by traktować jako przynależnych do rodu Manilianuszy. Udało jej się znaleźć będącego u schyłku życia byłego konsula, który przyjaźnie trzymał mnie za rękę, kiedy składałem w ofierze prosiaka. Zjawilo się wiele kobiet w wieku cioci Lelii, które przyszły do naszego domu, żeby się najeść za darmo. Gdakały i gęgały jak stado ptactwa, gdy fryzjer strzygł mi włosy na głowie według najnowszej mody i zgolił parę kłaczków z brody. Miałem duże trudności z wyrwaniem się z rąk tych bab, bo ubierając mnie w togę głaskały i klepały po policzkach. Okazywały również nieposkromioną ciekawość, gdy zaprowadziłem fryzjera do swego pokoju, aby zgolił mi wstydlivy zarost, świadczący o mej męskości. Te włoski wraz z zarostem z brody szybko schowałem do srebrnego puzderka, gdzie znajdował się już wizerunek księżycy i lwa. Fryzjer podśmiewał się trochę, ale zapewniał, że otrzymujący męską togę młodzieńcy z wyższych sfer często te właśnie wstydlive loczki składają w ofierze Wenus, aby pozyskać sobie jej przychylność.

Cesarz Klaudiusz nie przybył, ale kazał Narcyzowi wysłać dla mnie złoty pierścień i pozwolił odnotować w wykazie ekwitów, że on sam osobiście dodał mi imię Lauzusa. Nasi goście odprowadzili nas do świątyni Kastora i Polluksa. Ojciec wniósł wymaganą opłatę rejestracyjną, po czym założył mi na kciuk złoty pierścień. Odświętna toga nie miała już wąskiego obramowania purpurowego. Z archiwum udaliśmy się do sali posiedzeń stanu rycerskiego i wykupiliśmy zezwolenie na wybranie dla mnie konia ze

stajni na Polu Marsowym.

Mogliśmy oczywiście czekać aż do uroczystości jubileuszowych, kiedy zgodnie ze zwyczajem miano przyjąć do stanu rycerskiego całą grupę nowych członków, ale ojciec uważał, że indywidualna ceremonia będzie bardziej zaszczytna, przecież to było przywrócenie dawnego tytułu, a nie nadanie nowego. Nasze nazwisko wpisano w poprzednim miejscu, a więc w środku listy, a nie na końcu. Dawało to mi prawo pierwszeństwa, gdybym sięgał po karierę urzędniczą lub gdyby stan rycerski wybierał przedstawicieli na uroczystości jubileuszowe.

Po powrocie do domu otrzymałem w prezencie od ojca ekwipunek jeździecki wraz ze zdobioną srebrem tarczą, posrebrzonym hełmem z czerwonym pióropuszem oraz długim mieczem i włócznią. Goście domagali się jeden przez drugiego, żebym natychmiast przymierzył to wszystko, a ja oczywiście me mogłem oprzeć się pokusie. Barbus pomógł mi założyć skórzany kubrak i wkrótce, dumny jak paw, maszerowałem po całym domu w butach jeździeckich, w hełmie na głowie i z obnażonym mieczem w ręku.

Był już wieczór. Nasz dom tonął w powodzi świateł, a na ulicy tłoczyli się gapie, obserwujący gości wchodzących i wychodzących. Właśnie okrzykami sympatii powitali przepięknie udekorowaną lektykę, którą wnieśli na dziedziniec czarni jak sadza niewolnicy. Potykając się o rąbek swoich szat wybiegła ciocia Lelia, aby powitać spóźnionego gościa. Z lektyki podniosła się drobna, pulchniutka kobieta, której aż nazbyt widocznie kwitnące kształty uwypuklały jedwabne szaty. Jej twarz o delikatnych rysach była pięknie wymalowana. Odsunęła na bok kwef i pozwoliła wycałować się w oba policzki. Ciocia Lelia krzyknęła przenikliwym głosem:

- Och, Minutusie, patrz! Znamienita Tulia Waleria składa ci gratulacje! Jest wdową, a jej ostatnim mężem był senator Waleriusz.

A ta olśniewająco piękna, choć już dobrze dojrzała kobieta wyciągnęła alabastrowe ręce i zamknęła mnie w ramionach razem z moim mieczem i w ogóle całym ekwipunkiem.

- Och, Minutusie Lauzusie! -zawołała. - Słyszałam, że sam cesarz dał ci drugie imię, a kiedy patrzę w twoją twarz, wcale się temu nie dziwię. Gdyby swego czasu moje szczęście nie rozwiało się przez kaprys twego ojca, mógłbyś być moim synem! Twój ojciec i ja byliśmy dobrymi przyjaciółmi, ale zapewne nadal wstydzi się swego zachowania wobec mnie, skoro po przyjeździe do Rzymu nie przyszedł się przywitać.

Dalej mocno mnie obejmowała, wyczuwałem pod jedwabiem jej miękkie piersi i mocną woń pachnideł. Jednocześnie rozglądała się dookoła. Mój ojciec zdrętwiał, kiedy ją zobaczył, zrobił się trupio blady i uczynił taki ruch, jakby chciał uciec i schować się pod ziemię. Piękna Tulia, trzymając mnie za rękę, podeszła do niego z czarującym uśmiechem i powiedziała:

- Nie bój się, Marku. W takim dniu jak dzisiejszy doprawdy wszystko wybaczam. Co minęło, nie wróci i przestańmy już nad tym rozpaczać. Choć wylałam przez ciebie morze łez, ty nieczuły głazie!

Jedną ręką nadal mnie trzymała, a drugą objęła ojca za szyję i mocno

pocałowała go w usta. Ojciec siłą zdjął jej rękę z szyi, drżał, z trudem utrzymywał się na nogach, a kiedy się odezwał, niespodziewanie okazało się, że się jąka:

- Tulio, Tulio, zrozum, pragnę tylko spokoju. Wolałbym ujrzeć głowę Gorgony niż ciebie w moim domu właśnie dzisiejszego wieczoru!

- Marek jest taki sam jak dawniej - Tulia zasłoniła mu usta ręką, zwracając się do cioci Lelii. - Ktoś powinien o niego dbać! Skoro zobaczyłam jego zmieszanie i usłyszałam, jakie plecie głupstwa, przestałam żałować, że przełamalam swą dumę i przyszedłam do niego, skoro on krępował się przyjść do mnie.

Oczarowała mnie ta piękna, odziana w jedwabie światowa kobieta i odczuwałem złośliwą satysfakcję, dostrzegając jak ojciec traci zimną krew na jej widok. Pani Tulia skierowała uwagę na innych gości, niektórych witała przyjaźnie, innych wyniośle. Stare baby pochyliły ku sobie głowy i wzięły ją na języki, ale ten dowód braku sympatii w najmniejszym stopniu jej nie obszedł.

Poczęstowała się jakimś smakołykiem i wypila odrobinę wina, ale zażądała, abym usiadł obok niej, tłumacząc:

- To jest dozwolone, bo choć już jesteś mężczyzną, to przecież mogłabym być twoją matką.

Miękką dłonią gładziła mój kark, wzdychała i zaglądała mi w oczy, aż całe ciało zaczęło mnie swędzieć. Ojciec to zauważył, podszedł do nas z zaciśniętymi pięściami i rzucił rozkazująco:

- Zostaw mego syna w spokoju! Dostyc już przeżyłem przez ciebie!

- Jeśli ktokolwiek uczynił dla ciebie coś dobrego - westchnęła pani Tulia, tęsknie potrząsając głową - i miał w stosunku do ciebie najlepsze zamiary, to tym kimś byłam ja, Marku. Pojechałam za tobą aż do Aleksandrii, ale nie myśl, że i dziś będę ci deptała po piętach. Przyszedłam, żeby cię ostrzec ze względu na twego syna. Waleria Mesalina jest wściekła, że Klaudiusz nie zapytał jej o zgodę przed nadaniem imienia i przesłaniem złotego pierścienia Minutusowi. Natomiast inne znane osobistości zainteresowane są tobą i twoim synem i mogą wam pomóc w sprawach, których nie chce akceptować ta straszna kobieta. Będziesz miał trudny wybór, Marku.

- Nawet palcem nie zamierzam ruszyć, aby udobruchać Walerię Mesalinę - zaklinał się ojciec. - Mówią o niej wiele złego. Sądzę, że te bezwstydnne historie są specjalnie preparowane - I dodał, że do końca życia ma dosyc babskich kłótni i intryg.

- Ta kobieta mimo młodego wieku jest tak absolutnie zepsuta -zapewniła Tulia, udając ziewanie - że najbardziej wyuzdane perwersje nie są w stanie jej zadziwić. Jeśli mi nie wierzysz, mogę natychmiast opowiedzieć, co robiła kilka dni temu, w czasie luperkalii, kiedy cesarza Klaudiusza absorbowały obowiązki kapłańskie.

Ojciec zasłonił uszy obiema rękami na znak, że nie chce słuchać, ale Tulia ciągnęła:

- Podoba mi się, że jesteś odważny, Marku. Wielu ludzi drży przed gniewem tej bezwstydnej kobiety. Ale przecież nawet Klaudiusz nie może być wiecznie ślepy, więc prowadząc dalekowzroczną politykę lepiej jest

być oponentem Mesaliny, niż jej sojusznikiem.

- Nie chcę się w nic mieszać, nie chcę nawet znać babskich intryg - wołał ojciec z rozpaczą w głosie. - Nigdy bym nie uwierzył, że po tylu latach zaraz na powitanie chcesz mnie wplątać w jakieś swoje sprawy, przez które mogę utracić reputację i wątplię, abym ją kiedykolwiek odzyskał. Jesteś niepoprawna, Tulio!

- Nareszcie wiem, dlaczego swego czasu tak szalałam na twoim punkcie, Marku! - zawołała Tulia, roześmiała się i trąciła ręką dłoń ojca. - Nigdy żaden mężczyzna nie potrafił tak słodko wymawiać tego imienia!

W rzeczywistości w głosie ojca, gdy wymawiał jej imię, wyczuwałem odrobinę smutku. W żaden sposób nie mogłem zrozumieć, co taka śliczna i można niewiasta mogła widzieć w mym ojcu? Ciocia Lelia podeszła do nas swawolnie chichocząc, trąciła żartobliwie mego ojca i przestrzegła z humorem:

- Żebyście się tylko nie posprzeczali, jak młodzi zakochani! Najwyższy czas, kochana Tulio, abyś się ustatkowała. Miałaś już czterech mężów, a ostatniego tak niedawno odprowadziłaś z honorami do grobu.

- Masz rację, uroczą Lelio, czas się ustatkować - przyznała Tulia. - Jestem niewypowiedzianie szczęśliwa, że odnalazłam Marka. Jego bliskość przedziwnie mnie uspokaja. - Odwróciwszy się w moją stronę ciągnęła: - A ty, nowy Achillesie, pogłębiasz mój niepokój. Gdybym była bodaj dziesięć lat młodsza, na pewno zaprosiłabym cię, abyś razem ze mną oglądał księżyc. Ale jestem już za stara. Idź więc do swoich zabaw. Mam wiele spraw do wyjaśnienia z twoim ojcem.

Zrobiło mi się nieswojo, gdy wspomniała o księżycu, więc poszedłem na górę, żeby zdjąć strój rycerski. Ręką dotknąłem krótko ostrzyżonych włosów i gładkich policzków. Nagle zrobiło mi się smutno i poczułem się oszukany. Tak długo czekałem na ten dzień, śniłem o nim i nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego! Potem przypomniałem sobie, że powinienem spełnić obietnicę złożoną wyroczni w Dafne.

Zawołałem Barbusa, ale on wypił zbyt wiele, aby móc się ruszyć i tylko mamrotał coś ze swojego wyra. Uświadomiłem sobie własną dorosłość: już nie potrzebuję opiekuna! Ponadto - myślałem - dziś tyle się wydarzyło, że z łatwością mogę zlekceważyć dane przyrzeczenie. W głębi serca nie wierzyłem, że spełnienie obietnicy może odgrywać jakąś znaczącą rolę. Szacunek dla bogów był tylko starym dobrym zwyczajem. Bogowie są jeno alegorią. Niczym nie władają. Życiem ludzkim rządzi wyłącznie ślepy przypadek. Po dłuższym rozmyśleniu doszedłem do wniosku, że jednak rozsądniej będzie spełnić obietnicę.

Wziąłem więc puzderko i tylnym wyjściem wyszedłem z domu. W kuchni przyjąłem gratulacje od spoconych i zapracowanych niewolników. Zachęciłem ich, aby jedli i pili, ile tylko mogą; żadnych więcej gości się nie spodziewaliśmy.

Przechodząc przez bramę sumiennie poprawiłem dopalające się pochodnie. Ze smutkiem pomyślałem, że może był to najbardziej uroczysty dzień mego życia; przecież jest ono podobne pochodni, która początkowo płonie jasno, a później gaśnie kopcając i dymiąc.

Z głębokiego cienia wyślizgnęła się jakaś owinięta w brązową opończę

postać, która zaszepiała:

- Minutusie, życzę ci szczęścia. Przyniosłam też prezent: ciastka, które sama upiekłam. Chciałam je zostawić niewolnikom, ale los okazał się dla mnie łaskawy i spotkałam cię.

W tajemniczej postaci poznałem Klaudię, przed którą tak przestrzegala mnie ciocia Lelia! Równocześnie jednak czułem się pochlebiony, że ta dziwna dziewczyna pamiętała o złożeniu mi gratulacji w dniu, w którym stałem się mężczyzną. Niespodziewanie ogarnęła mnie gwałtowna radość na widok jej gęstych czarnych brwi, dużych ust i ogorzalej cery. Ona była inna niż ci wszyscy starzy i skwaszeni goście, jacy zebrali się w naszym domu. Klaudia była żywa, autentyczna i niczego nie udawała. Była moim przyjacielem. Gdy doleciał mnie z jej włosów świeży zapach mięty, wówczas piękna pani Tulia wydała mi się sztuczna i mdła ze swymi wonnościami, chociaż potrafiła nieprzyjemnie mnie podniecać, gładząc ręką po karku.

- Klaudio, Klaudio! - krzyknąłem - cieszę się, że cię widzę. Naprawdę własnoręcznie upiekłaś dla mnie ciasteczka?

- Minutusie - szepnęła Klaudia, nieśmiało dotykając ręką mej twarzy. Nie była tak gwałtowna i pewna siebie jak wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. - Z pewnością wiele ci o mnie naopowiadano, ale ja nie jestem aż taka zła! Odkąd cię spotkałam, pragnę mieć tylko dobre myśli. Przyniosłeś mi szczęście.

Ramię w ramię ruszyliśmy w stronę świątyni Luny. Klaudia ułożyła fałdy mojej togi i razem jedliśmy upieczone przez nią ciasteczka, gryząc je kolejno, tak jak wtedy, w bibliotece, jedliśmy ser. Ciasteczka były przyprawione miodem i kminkiem. Klaudia opowiadała, że sama zebrała miód i kminek i własnoręcznie zmeła pszeniczne ziarno na starych żarnach.

Nie chwyciła mnie pod pachę, jakby była onieśmielona i unikała zetknięcia ze mną. Kierowany męską intuicją sam ująłem jej dłoń i prowadziłem ją, by się nie potknęła na wybojach. Ogarnięty uczuciem ufności opowiedziałem jej o złożonym ślubowaniu, polegającym na złożeniu w świątyni Luny srebrnej szkatułki wraz z zawartością jako ofiary postrzyżynowej.

- Faj, toż to jest świątynia o paskudnej sławie! - zawołała Klaudia. - Po nocach, za zamkniętymi drzwiami, odprawiają tam bezwstydną, tajną obrzęd. Jak to dobrze, że czekałam przed twoim domem! Gdybyś sam tam poszedł, straciłbyś więcej niż ofiarę postrzyżynową! Jeśli o mnie chodzi, nie mam ochoty nawet patrzeć na oficjalne ofiary. Kamienie i drzewa bogami! Błazeński staruszek na Palatynie wznawia zapomniane obrzędy, żeby ludzi związać starymi pętami. Ja mam swoje święte drzewo i przejrzysty ruczaj. Kiedy jestem przygnębiona, wchodzę na wzgórze Watykanu i obok starej wyroczni obserwuję lot ptaków.

- Mówisz jak mój ojciec. Nie chciał zaprosić augura, żeby mi powrózył z wątroby ofiarnego prosiaka! Ale moce i czary istnieją. Nawet mądrzy ludzie to potwierdzają. Dlatego wolę spełnić moje ślubowanie niż go zaniechać.

- Żydzi mają niewidzialnego Boga, który nie ma wizerunku - spojrzała

na mnie niepewnie. - Bóg to porywczy i mściwy, ale mówią o nim też i dobrze. Wiele patrycjuszek bywa w synagodze Juliusza Cezara i posyła dary pieniężne do Świątyni w Jeruzalem, żeby zyskać jego przychylność.

- To wszystko widziałem już w Antiochii! Słyszałem także, że żydowski niewidzialny Bóg posłał swojego Syna, żeby został królem Judei. Ukrzyżowano go jako buntownika, ale powstał z martwych, żeby wyzwolić ludzi spod władzy starych bogów. Mam nadzieję, Klaudio, że nie przystałaś do tych żydowskich ateistycznych bluźnierców!

- W każdym razie jest to nowa nauka, a ja popieram każdą nowość, choćby tylko na złość pijanicy z Palatynu - groźnie fuknęła Klaudia; zmarszczyła czoło i aż do bólu ścisnęła mi rękę.

Wreszcie doszliśmy do zapadłej w ziemię świątyni Luny. Drzwi były otwarte na oścież, a wewnątrz paliło się kilka kaganków olejnych, ale nikogo nie było widać. Złożyłem moje puzderko obok innych wotów. Właściwie powinienem przywołać dzwoneczkiem kapłankę, ale wcale nie chciałem oglądać jej trupio bladej twarzy. Szybciutko zanurzyłem palec w świętym oleju i grzbietem palca przejechałem po czarnym kamiennym jaju. Klaudia uśmiechnęła się figlarnie i na pustym siedzisku kapłanki położyła w darze swoje ciasteczko. Potem wybiegliśmy ze świątyni jak dzieci, które spletały figła.

Przed świątynią pocałowaliśmy się. Klaudia obiema dłońmi trzymała moje gorące policzki i zazdrośnie pytała:

- Czy ojciec cię zaręczył, czy kazał ci wybrać spośród przyprowadzonych na twoje święto małych dziewczynek? Takie sprawy załatwia się zwykle w dniu otrzymania przez młodzieńca togi męskiej.

Nawet nie zastanawiałem się, po co stare przyjaciółki ciotki Lelii przyprowadziły ze sobą kilka małych dziewczynek, które wpatrywały się we mnie z paluszkami w buziach. Sądziłem, że przyszły najeść się ciasta i słodyczy. Przestraszony zaprzeczyłem:

- Nie, nie, mój ojciec nie ma najmniejszego zamiaru zaręczać mnie z kimkolwiek.

- Och, gdybym mogła opanować swój szalony charakter i spokojnie przedstawić ci swoje myśli! Zanim nadejdzie czas, nie wiąż się z nikim! To przynosi nieszczęście. W Rzymie zbyt często zdarzają się zdrady małżeńskie. Różnica wieku między nami na pewno wydaje ci się ogromna. Przecież jestem o pięć lat starsza od ciebie! Ale kiedy już odśluzysz obowiązek trybuna wojskowego, to ta różnica znacznie się zmniejszy. Zjadłeś upieczone przeze mnie ciasteczka i z własnej woli mnie pocałowałeś! Do niczego cię to nie zobowiązuje, ale oznacza - mam nadzieję - że nie jestem ci obojętna. Czytuję poetów, a także Cynnę. Wiem, że powinnam stać się istotą trudną do zdobycia, abyś wzdychał z miłosnej tęsknoty albo biegał po leśnych ścieżkach wołając moje imię. Może powinnam dać ci do zrozumienia, że gorąco zabiega o mnie inny, wybitniejszy od ciebie mężczyzna, z którym gotowa jestem nawet bez ślubu uciec do Bajów albo wręcz do odległej Galii. Będiesz teraz miał tyle spraw na głowie, że wątpię, abyś chciał z mego powodu biegać po lasach i wzdychać. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak tylko gorąco cię prosić, abyś czasami o mnie wspomniał i nie wiązał się z nikim, zanim mi o tym nie powiesz.

Widziałem, że wcale nie była daleka od zamiarów małżeńskich, więc ta jej prośba wydała się raczej umiarkowana. Przecież z przyjemnością ją pocałowałem i rozgrzałem się, trzymając ją w objęciach. Więc powiedziałem:

- Chętnie ci to obiecuję przynajmniej do czasu, aż nie zaczniesz mówić: gdzie ty, tam i ja. Nigdy nie lubiłem dziewcząt w moim wieku, a ciebie lubię, bo jesteś dojrzała i czytasz księgi. Ale sama zaczęłaś mówić o poetach. Nie pamiętam, aby w ich miłosnych trelach była kiedykolwiek opiewana ceremonia ślubna. Przeciwnie, przedstawiają oni miłość wolną i nieokiełznaną. Nie opiewają ogniska domowego, lecz zapach róż i poświęcę księżycu.

- Sam nie wiesz, co pleciesz - rzekła oskarżająco Klaudia; wyraźnie zaniepokoiła się i odsunęła ode mnie. - Dlaczego miałabym nie marzyć o mieniącym się czerwonym welonie, szafranowożółtym peplum i związanym na dwa węzły lnianym pasie w talii? Przecież to jest marzenie każdej kobiety, gdy gładzi twarz i całuje usta mężczyzny.

Zaskoczyła mnie tymi słowami, więc przemocą zamknąłem ją w ramionach, aby całować gorące usta i szyję. Klaudia wyrwała się, uderzyła mnie w twarz, aż zapiekło i wybuchnęła płaczem, wycierając dłońmi oczy.

- Sądziłam, że inaczej o mnie myślisz - pochlipywała. - To ma być podziękowanie za to, że pohamowałam mój porywczy charakter i chciałam dobrze o tobie myśleć! A tymczasem tobie chodzi tylko o to, żeby mnie rzucić na plecy i rozewrzeć moje kolana dla zaspokojenia żądz. Nie jestem taką dziewczyną!

- Jesteś dostatecznie silna, by się obronić - powiedziałem, bo jej łzy ugasiły moje podniecenie i wzruszyły mnie. - Nie wiem nawet, czy potrafiłbym zrobić to, co mi zarzucasz. Nie zabawiałem się z niewolnicami ani nie uwiodła mnie moja preceptorka. Niepotrzebnie zalewasz się łzami, na pewno jesteś bardziej ode mnie doświadczona.

- Mówisz serio? - Klaudię tak zadziwiły moje słowa, że zapomniała o płaczu i wpatrywała się we mnie pytającym wzrokiem. - Zawsze myślałam, że chłopcy zachowują się jak małpy. Z im lepszego domu pochodzą, tym więcej prezentują małpich cech. Lecz jeśli mówisz prawdę, tym bardziej muszę uciszyć rozkołysane ciało. Gdybym zezwoliła na wszystko, otrzymalibyśmy krótką radość i długie zapomnienie, a ty zacząłbyś mną gardzić.

- Zapewne sama to wiesz najlepiej - fuknąłem, bo twarz mnie paliła i czułem się zawiedziony. Nie patrząc na nią ruszyłem w stronę domu. Po chwili wahania poszła za mną, trzymając się z tyłu, i długo nie zamieniliśmy ani słowa. Ale w końcu musiałem parsknąć wesołym śmiechem, bo mimo wszystko było mi miło, że szła tak pokornie. Klaudia zaś natychmiast wykorzystała okazję, położyła mi rękę na ramieniu i poprosiła:

- Obiecuj mi coś jeszcze, kochany. Nie idź zaraz do domu publicznego, ani nie poświęć się Wenus, jak to robi wielu chłopców, gdy otrzymują męską togę. Jeśli przyjdzie ci nieodparta chęć - a wiem, że mężczyźni są nieposkromieni - to obiecuj, że powiesz mi wcześniej, chociaż zranisz tym moje serce.

Obiecałem jej, bo tak gorąco prosiła. Nie tyle myślałem o tej obietnicy,

ile o tym, jakiego konia dostanę. Byłem taki młody, nawet Kleopatra by u mnie nie wygrała z rumakiem! Więc śmiejąc się obiecałem, co chciała, dodając, że jest kochana, ale postrzelona. Rozstaliśmy się z uśmiechem, jak przyjaciele.

Wróciłem do domu w momencie, gdy ojciec gramolił się do lektyki pani Tulii, aby ją uprzejmie odprowadzić; mieszkała po drugiej stronie miasta, na wzgórzu Wiminal, na pograniczu dzielnic Altasemita i Eskwilina. Ojciec wytrzeszczał oczy, ale nawet nie pytał, gdzie byłem, tylko kazał zaraz iść spać. Podejrzewałem, że wypił sporo wina, choć trzymał się pewnie na nogach.

Spałem mocno i długo, a po obudzeniu się doznałem wielkiego rozczarowania, bo okazało się, że ojca nie ma w domu; a ja marzyłem tylko o tym, by z samego rana udać się do stajni ekwitów i wybrać konia. Dom sprzątano po uczcie, a ciocia Lelia narzekała na ból głowy. Zapytałem, dokąd ojciec zdążył wyjść tak wcześnie; ciocia Lelia rzekła ze złością:

- Twój ojciec jest dostatecznie dorosły, żeby wiedział, co robi. Widocznie miał wiele do omówienia ze swoją przyjaciółką z lat młodości i pewnie zanocował u Tulii. Tam jest dość miejsca dla wielu panów.

Barbus i ja schroniliśmy się w ogrodzie. Ukryci w krzewach graliśmy w kości, podczas kiedy w domu szalały szczotki i cebry z wodą. Wiosna wisiała w powietrzu. W końcu gdzieś koło południa szybkim krokiem nadszedł ojciec. Wyglądał jak wściekły; był nie ogolony, oczy miał czerwone jak królik i zakrywał twarz ubrudzoną połą togi. Towarzyszył mu jurysta ze zwojem papirusów i przyborami do pisania. Barbus szturchnął mnie w bok, co miało znaczyć, żebym nie otwierał gęby.

Mój zawsze potulny ojczulek kopnął w kąt cebry i kazał niewolnikom zniknąć z oczu szybciej niż błyskawica. Po krótkiej naradzie z jurystą wezwał mnie na rozmowę. Ciocia Lelia płakała jak fontanna, co tak mnie zmieszało, że z trudem, jękając się zdołałem spytać ojca, czy wybrał mi konia.

- Ty i ten twój koń doprowadziliście mnie do zagłady - złościł się ojciec. Miał zmienioną twarz i gdy się na niego patrzyło, dawały się odczytać rozterki duchowe, jakie musiał przeżywać w latach młodości. Szybko opanował się jednak i powiedział:

- Wszystkiemu sam jestem winien! Moja własna słabość łącznie może doprowadzić mnie do zguby! Nieubłagany los zmienił wszystkie zamiary! Muszę niezwłocznie wracać do Antiochii. Przeznaczyłem dla ciebie dochód z moich posiadłości w Cerei oraz z tutejszych nieruchomości. Otrzymasz wystarczająco duży dla pozycji ekwity roczny dochód dwudziestu tysięcy sestercji. Zarząd domu powierzam cioci Lelii. Dom będzie stanowił twoją własność, cioci Lelii przyznałem rentę. I niech przestanie szlochać! Na twego opiekuna wyznaczam tego oto prawnika, który pochodzi ze starego rodu rycerskiego. Możecie iść choćby zaraz do stajni, żebyś sobie wybrał rumaka. Ja, nie tracąc ani chwili, muszę jechać do Antiochii!

Ojciec był tak zdenerwowany, że niewiele brakowało, aby wybiegł z domu tak jak stał. Jednakże prawnik i ciocia Lelia namawiali go, żeby zaopatrzył się na drogę w niezbędną odzież i żywność, chociaż on sam

niecierpliwie zapewniał, że przy bramach miasta wynajmie powóz, którym uda się do Puteoli, a po drodze może kupić wszystko, co mu będzie potrzebne. Po wczorajszym uroczystym i radosnym dniu w naszym domu zapanował przygnębiający zamęt. Niewolnicy jeden po drugim zaczęli płakać i głośno lamentować, sądząc, że spotkało nas jakieś nieoczekiwane nieszczęście.

Ojcu tak było spieszno, że nie chciał ani jeść, ani pić. Nie wyjaśniał niczego, tylko powtarzał, że jest wystarczająco dorosły, żeby mógł decydować o swoich sprawach. Obiecał też natychmiast po szczęśliwym przybyciu do Antiochii napisać do mnie list, w którym udzieli rad, jakimi powinienem się kierować. Nie mogliśmy, ciocia Lelia, Barbus i ja, pozwolić, aby uciekał z domu jak zając przed chartem, więc poszliśmy go odprowadzić. Niewolnicy szli za nami, niosąc spakowane naprędce tobołki.

Kiedy doszliśmy do bramy kapuańskiej u podnóża wzgórza Coeli, ojciec odetchnął z ulgą i zaczął się z nami żegnać, zapewniając, że widzi już za bramą świtającą złotą jutrzenkę swobody i, że nigdy w życiu nie powinien był ruszać się z Antiochii. Wtedy właśnie podszedł do nas jeden z miejskich edylów z laską urzędową w ręku i dwoma krzepkimi policjantami z tyłu.

- Tyś ekwitą Markiem Mezencjuszem Manilianusem? - zapytał. - Jeśli tak, to pewna znamienita patrycjuszka ma do ciebie ważną sprawę.

Ojciec najpierw spurpurowiał, a potem zsiniał na twarzy. Z pochyloną głową stwierdził, że nie ma żadnej sprawy do żadnej niewiasty i próbował wejść do bramy. Ale edyl go ostrzegł:

- Jeśli spróbujesz przejść poza mur miasta, to będę musiał zatrzymać cię pod zarzutem ucieczki. Mam tu dla ciebie wezwanie do prefekta policji.

Nasz jurysta stanął obok ojca, zażądał, aby edyl rozpedził tłum ciekawskich gapiów, i zapytał, o co ojciec jest oskarżony. Edyl wyjaśnił:

- To jest drobna, ale przykra sprawa. Proponuję, żeby strony doszły między sobą do porozumienia. Szanowna wdowa po senatorze, Tulia Waleria, twierdzi, iż ostatniej nocy w obecności świadków zgodnie z prawem wymieniła z obecnym tu Mezencjuszem Manilianusem ważne przyrzeczenie małżeńskie, po którym *de facto* została uwiedziona. Obawiając się, że Manilianus może nie mieć uczciwych zamiarów, rozkazała swemu niewolnikowi, by śledził go, gdy bez pożegnania opuścił jej dom. A skoro pani Tulia upewniła się, że zamierza on uciec, zwróciła się do prefekta policji. Jeśli Manilianus opuści mury miasta, zostanie oskarżony o złamanie obietnicy małżeńskiej i o zniewolenie, a ponadto o kradzież drogiego naszyjnika. To ostatnie jest bardziej haniebne niż niedotrzymanie przyrzeczenia małżeńskiego.

Zdenerwowany ojciec zaczął się szarpać z odzieniem i wyciągnął spod jego fałd naszyjnik, w słońcu zabłyśły różnobarwne szlachetne kamienie. Łamiącym się głosem powiedział:

- Pani Tulia własnoręcznie założyła mi ten przeklęty naszyjnik! W pośpiechu zapomniałem go oddać. Ważne interesy zmuszają mnie do powrotu do Antiochii. Oczywiście zwracam naszyjnik i dam dowolne poręczenie, ale muszę natychmiast wyjechać z miasta.

- Czy przypadkiem nie wymieniliście naszyjników dla przypieczonego-

wania zaręczyn i obietnicy ślubu? - spytał edyl.

- Byłem pijany i nie wiedziałem, co robię - odparł ojciec.

- Często obwinieni powołują się na filozofów, którzy jakoby twierdzą, że prawnie ważne małżeństwa mogą być zawierane na podstawie oświadczenia, złożonego w obecności świadków - odrzekł edyl. - Czy mam rozumieć, że zakpiłeś popijanemu z szanowanej niewiasty, żeby się z tobą przespała? Taki postępek jest w dwójnasób karalny. Dam ci okazję, byś załatwił sprawę polubownie, lecz jeśli przekroczysz bramę miejską, wówczas aresztuję cię i przekażę sprawę do sądu.

Nasz prawnik zaklinał ojca, aby przestał mówić, i obiecał, że będzie mu towarzyszył do domu Tulii Walerii, aby załagodzić sprawę. Wyczerpany ojciec, ciągle dręczony kaczem, wybuchnął gorzkim płaczem i prosił:

- Zostawcie mnie w spokoju! Wołałbym iść do więzienia, oddać tytuł ekwity i zapłacić karę, niż znowu oglądać tę podstępna babę. Na pewno mnie otruła, dosypała jakiegoś świństwa do wina i dlatego tak zgłupiałem. Naprawdę nie pamiętam, jak się to stało.

Wszystko można wyjaśnić, zapewniał jurysta, i obiecał bronić ojca w sądzie. Wtedy wmieszała się do sprawy ciocia Lelia, tupnęła nogą i z wypiekami na twarzy wrzasnęła:

- Nie będziesz już przynosił wstydu szacownemu imieniu Manilianusów! Taki proces sądowy byłby hańbą, Marku! Raz okaż się mężczyzną i odpowiadaj za swoje czyny!

Z płaczem przyłączyłem się do żądania cioci Lelii. Wołałem, że taka rozprawa zrobi ze mnie pośmiewisko i zniszczy moją przyszłość. Prosiłem, żebyśmy zaraz poszli do pani Tulii i obiecałem, że padnę na kolana przed tą piękną i szlachetną niewiastą i będę błagał, by mu wybaczyła.

Ojciec nie był w stanie sprzeciwić się nam wszystkim. W asyście edyla i policji poszliśmy na Wiminal, a za nami niewolnicy nieśli rzeczy ojca, ponieważ nikt nie polecił im, by wrócili do domu.

Dom i ogród Tulii Walerii imponował ogromem i luksusem. W przed-sionku na nasze spotkanie wyszedł odziany w zielono-złote szaty portier olbrzymiego wzrostu. Z szacunkiem powitał mego ojca, wołając:

- Witamy z powrotem w twoim domu! Moja pani z niecierpliwością cię oczekuje!

Ojciec rzucił ostatnie rozpaczliwe spojrzenie wokół siebie i słabym głosem poprosił, abyśmy zaczekali w atrium, a sam wszedł do środka. Cała chmara niewolników obległa nas, częstując na wyścigi owocami i winem ze srebrnych naczyń. Ciocia Lelia dyskretnie rozejrzała się dookoła i zauważyła:

- Są mężczyźni, którzy nie rozumieją własnego szczęścia. Nie pojmuję, czego Marek może jeszcze chcieć?

Minęła zaledwie chwila, a już pani Tulia przybiegła nas powitać. Miała na sobie tylko przejrystą jedwabną szatę poranną, ale włosy były już wytwornie ułożone, twarz starannie umalowana. Promieniejąc radością wołała:

- Chyba umrę ze szczęścia, bo Marek wrócił do mnie, i to z rzeczami. Już nigdy więcej nie opuści tego domu i będziemy razem do końca!

Rozkazała niewolnikowi, aby podał edylowi sakiewkę z czerwonej skóry

jako wynagrodzenie za jego starania, do nas zaś rzekła ze skruchą:

- W głębi serca ani przez moment nie zważyłam w Marka, ale samotna wdowa musi być ostrożna, a on w młodości bywał lekkomyślny. Widzę, że wziął ze sobą jurystę, więc będzie można od razu spisać akt zawarcia związku małżeńskiego. Kochany Marek! Tak swawolnie zachowywał się w łożu, że nie sądziłam, by był aż tak przewidujący!

Ojciec pokaszliwał i głośno przetykał ślinę, ale nie wykrztusił ani słowa. Pani Tulia zaprowadziła nas do wnętrza domu, gdzie w wielkich salach można było zachwycać się mozaiką na posadzkach i malowidłami ściennymi. Pozwoliła nam też zerknąć do sypialni, ale zaraz skoczyła speszona i krzyknęła:

- Nie, nie, nie wchodźcie do środka! Tam jest jeszcze straszny bałagan po ubiegłej nocy!

- W imię jedyne go wszechmocnego Boga! - to w końcu mój ojciec wydobył z siebie głos. - Zwyciężyłaś, Tulio! Poddaję się swemu losowi. Proszę, odeślij edyla, żeby dłużej nie był świadkiem mego upadku.

Wspaniale ubrani niewolnicy uwijali się wokół, wielce starając się o obsłużenie i uprzyjemnienie nam pobytu. Dwaj goluteńcy mali chłopcy biegali po całym domu, udając amorki. Zastanawiałem się, czy się nie poprzeziębują, ale wnet zorientowałem się, że kamienną posadzkę tego domu ogrzewa płynąca ukrytymi przewodami gorąca woda. Edyl i prawnik mego ojca naradzali się między sobą; doszli do wniosku, że złożone w obecności świadków przyrzeczenie małżeńskie ma moc prawną i nie wymaga publicznego potwierdzenia. Po uzyskaniu od ojca zapewnienia, że bez szemrania gotów jest podpisać akt ślubu, edyl wyszedł wraz z policjantami. Prawnik zaklinał edyla, aby o całej tej sprawie trzymał język za zębami, ale nawet ja niewielkim swym rozumem pojmowałem, że edyl nie będzie w stanie zachować tylko dla siebie tak smaczne kompromitującej historyjki.

Ale czy naprawdę była to kompromitacja? Czy ojciec nie powinien czuć się raczej pochlebiony, że znamienita i - jak widać - nadzwyczaj zamożna niewiasta koniecznie chce wyjść za niego za mąż? Mimo niewybrednych zwyczajów i skromnego wyglądu zewnętrznego ojciec krył widocznie w sobie cechy, których nie byłem świadomy, a które mogłyby wzbudzić zainteresowanie całego Rzymu zarówno jego, jak i moją osobą. Dla mnie to małżeństwo mogło być ze wszech miar korzystne. Przynajmniej zmuszało ojca do pozostania w Rzymie: nie zostawi mnie samego na pastwę losu w wielkim i ciągle nie znanym mi mieście.

Ale cóż to było takiego, co piękna i rozpieszczona pani Tulia widziała w ojcu? Przez moment błysnęło mi w duchu podejrzenie, że prowadziła rozpustne życie, zadłużyła się po uszy i teraz chodzi jej tylko o jego pieniądze. W skali Rzymu jednak ojciec wcale nie był bogaty, miał tylko licznych zamożnych wyzwolenców w Antiochii i innych miastach Wschodu. Moje obawy rozpierzchły się w czasie narad nad umową ślubną, gdy oboje w idealnej zgodzie postanowili, że każde z nich będzie samodzielnie zarządzało swoim majątkiem.

- Jak tylko znajdziesz czas i zechcesz, kochany Marku - powiedziała pani Tulia - pragnęłabym, abyś skontrolował skarbnika, przeglądnął wykazy

majątku i udzielił mi porad w interesach. Czy ja, prosta wdowa, mogę się w tym wszystkim wyznawać? Słyszałam zaś, że jesteś zdolnym przedsiębiorcą, chociaż w młodości nikt by cię o to nie posądzał!

Ojciec z irytacją stwierdził, że dzięki cesarzowi Klaudiuszowi i jego wyzwolencom w kraju panuje ład i porządek, a mądrze rozdysponowane majątki same wzrastają. Drapiąc się po brodzie dodał:

- W głowie czuję pustkę i żadnej mądrej myśli. Muszę iść do fryzjera i wykapać się, żeby odpocząć i pozbierać resztki mojej woli.

Pani Tulia poprowadziła nas przez pełen marmurowych rzeźb i fontann olbrzymi dziedzińiec na zaplecze domu i pokazała własną łazienkę z gorącym i zimnym basenem, łaźnią parową i pokojami wypoczynkowymi. Czekali tam gotowi do usług: fryzjer, masażyści i niewolnik kąpielowy.

- Nie będziesz już nigdy musiał wydawać pieniędzy na szatniarzy, dać się popychać prostakom i znosić fetoru cudzego potu - mówiła. - Jeśli w czasie kąpieli zateśkniesz za deklamacją, poezją czy muzyką, to jest tu taka specjalna salka. Jeśli zapragniesz towarzystwa, będziemy razem wybierać naszych gości. Na początek, żebyś poczuł się bardziej u siebie, pójdę wykapać się z tobą, też jestem zmęczona po twoich szaleńczych wyczynach!

- Niech Minutus się ze mną wykąpie! - zawołał strasznie skołowany ojciec. - Nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłem w łaźni w towarzystwie kobiety!

- Przed laty nie byłeś taki wstydlivy, Marku! - rzekła piękna Tulia z roziskrzonymi oczami. - Ta twoja skromność urzeka mnie. Ostatniej nocy stwierdziłam, że twoje ciało pełne jest wigoru, choć nieco zwiotczałeś i łatwo dostajesz zadyszki. Idźcie więc do kąpieli, Marku i Minutusie! Tymczasem naradzę się z moją kochaną przyjaciółką, Lelią, jak najlepiej zorganizować dalsze życie. My, kobiety, lepiej się na tym znamy niż wy, oderwani od życia mężczyźni!

Prywatne termy pani Tulii zdobyły piękne, choć bardzo frywolne marmurowe kopie greckich rzeźb. Krany miały kształt wykonanych ze srebra łabędzich główek. Niewolnicy byli umiejętnymi fachowcami i ojciec musiał przyznać fryzjerowi, że dotknięcie ostrza jego brzytwy na twarzy było lekkie jak tchnienie. Nie mógł tylko zrozumieć, po co Tulia, wdowa, trzyma w domu męskiego fryzjera?

- Takie niewiasty jak pani Tulia mają wielu konkurentów - odparł fryzjer. - Byłem w tym domu jeszcze przed tragiczną śmiercią starego senatora Waleriusza. Był srogi i kapryśny. Dlatego wszyscy ucieszyliśmy się, że ty, dobry panie, zajmiesz jego miejsce.

- Dlaczego mówisz, że jego śmierć była tragiczna? - spytałem.

- U schyłku życia stał się dokuczliwym starcem - odpowiedział ospowaty niewolnik, który mocnymi palcami masował moje ciało. - Był tak przywiązany do swojego majątku, że co tydzień chciał zmieniać testament. Poślizgnął się tutaj, w tym pokoju, uderzył głową o krawędź basenu z gorącą wodą i utonął, zanim ktokolwiek zdążył przyjść mu z pomocą.

Powiedziałem rozsądnie, że wypadki zawsze przychodzą niespodziewanie oraz że nikt nie może być wystarczająco ostrożny, by uniknąć

nieszczęścia, jeżeli jest mu przeznaczone. Masażysta przytaknął, a mój ojciec rzekł ponuro:

- W każdym bądź razie była to lekka śmierć, na pewno lepsza od rozmaitych żalonych dolegliwości trapiących starego człowieka.

W końcu ojciec zasnął, wzdychając i wzdrygając się przez sen. Fryzjer zapytał szeptem, czy ma zawołać niewolnicę, żeby mnie zabawiła, skoro nie mogę zasnąć. Odparłem, że wolałbym coś poczytać. Przyniósł z biblioteki kilka greckich romansów miłosnych, które mnie tylko znudziły. Chętniej bym poczytał o uszlachetnianiu ras koni.

Ojciec spał do zachodu słońca. Gdy już ubraliśmy się w nowe szaty, które podał nam garderobiany, okazało się, że cały wielki dom wypełniają goście. Najwięcej było młodych, wesołych i roześmianych ludzi, ale znalazło się też kilku spasionych staruchów, wyglądających na rozpustników: nie mogłem ich darzyć szacunkiem, chociaż jeden z nich nosił czerwone buty senatora. Z pewnym centurionem gwardii pretoriańskiej wszcząłem rozmowę o koniach, ale - ku mojemu ogromnemu zdumieniu - był on bardziej zainteresowany niewiastami, które nie wzdrygały się przed pić wina i bez zażenowania rozwiązywały szaty, żeby móc swobodniej oddychać.

Wnet zorientowałem się, ku czemu zaczyna zmierzać to przyjęcie weselne. Poszedłem więc po Barbusa, którego służba suto ugościła. Ten, trzymając się za głowę, powiedział:

- Okazano mi tutaj większą gościnność, niż kiedykolwiek w życiu doświadczyłem, mało brakowało, bym się ożenił, gdybym jako stary weteran nie trzymał się rozsądnie na baczności. Ten dom nie jest właściwym miejscem ani dla ciebie, Minutusie, ani dla mnie, jakem żołnierz!

Gdy rozbrzmiały instrumenty muzyczne, a nagie tancerki i akrobaci rozszaleli się po całym domu, poszukałem ojca. Leżał na sofie obok pani Tulii, przygnębiony i zamknięty w sobie.

- Być może w Rzymie są takie zwyczaje - rzekłem - że wytworne niewiasty obrzygują ściany, a mężczyźni wykonują rozpustne gesty, ale nie życzę sobie, aby wszyscy uważali, iż mają prawo dotykać mego ciała. Nie jestem niewolnikiem ani kastratem. Chcę iść do domu!

- Mam za słaby charakter i zbyt lubię wygodę, abym uniknął deprawacji - odparł ojciec - więc choć ty staraj się mieć silną wolę. Cieszę się z twojej decyzji. Muszę tu zostać, ze swoim losem nikt nie wygra! Ty nadal mieszkaj z cicią Lelią, masz już zresztą własny majątek. Pobyt w tym domu nie przyniósłby ci niczego dobrego.

Pani Tulia nie patrzyła już na mnie tak czule, jak wczoraj wieczorem. Zapytałem, czy gdybym przyszedł rano, to ojciec towarzyszyłby mi na Pole Marsowe, aby wybrać rumaka, ale pani Tulia szorstko fuknęła:

- Twój ojciec jest już za stary na jazdę konną! Zleciałby tylko z końskiego grzbietu i rozbił sobie kochaną głowę! Na uroczystościach jubileuszowych nie musi jechać, może prowadzić konia. - Do ojca zaś rzekła: - Minutus wdział już męską togę i nie powinien się dłużej chować za twoimi plecami. Jeśli nie jest na tyle mężczyzną, aby sam wybrał sobie konia, to nigdy nic z niego nie wyrośnie! Nie będziesz rankiem zrywał się i

pędził, żeby kłócić się z rotmistrzami czy koniuszymi na Polu Marsowym.

- Niech tak będzie! - zgodził się ojciec. - Nie mogę już cię osłaniać, Minutusie! Idź do domu i zabierz ze sobą ciocię Lelię. Jest za stara i zbyt przyzwoita, aby zrozumieć nowoczesny styl życia. Wyjdź, zanim ujrysz mnie zbyt pijanym. Bardzo się obawiam, że wino stanie się mym jedynym pocieszycielem.

Zrozumiałem, że utraciłem ojca. Bardzo krótko cieszyłem się jego życzliwością! Ale zrozumiałem też, że najlepiej samemu hartować charakter i samodzielnie budować życie. Wziąłem ciocię Lelię za rękę i jak tylko mogłem najmocniej, trzepnąłem w tyłek półgołą babę z zamroczonymi oczyma, która usiłowała rzucić mi się na szyję. To uderzenie tylko ją zachęciło, więc Barbus musiał siłą ją ode mnie odrywać.

Pani Tulia była zadowolona, że bez kłopotu się nas pozbyła, więc łaskawie użyczyła nam własnej lektyki. Już siedząc w lektyce ciocia Lelia poprawiała szaty i zaczęła gdakać:

- Słyszałam różne plotki na temat obyczajów w nowoczesnych domach, a jednak własnym oczom nie mogłam uwierzyć! Tulia Waleria ma przecież opinię stosunkowo przyzwoitej niewiasty! Może to małżeństwo ją tak rozzuchwaliło po dłuższym okresie wdowieństwa, chociaż wyglądało na to, że wielu panów czuło się tam jak u siebie w domu! Ojciec sporo się namęczył, żeby ją utrzymać w cuglach.

Nazajutrz rano, maczając kawałek chleba w miodzie, rzekłem do Barbusa:

- Muszę iść wybrać sobie konia. Pójdę sam, jestem już mężczyzną i nie potrzebuję opiekuna. Teraz masz więc szansę na zrealizowanie starego marzenia - zostań właścicielem jakiejś traktierni.

- Oglądałem małe przyjemne lokale w różnych dzielnicach miasta - odparł poważnie - i dzięki dobroci twego ojca mógłbym któryś kupić. Ale doszedłem do wniosku, że ta myśl już mnie tak nie pociąga jak wtedy, gdy jako legionista leżałem na twardej ziemi i piłem kwaśne wino. Jestem łasy na wino, a kiedy sobie popiję, chętnie częstuję innych. Traktiernia zawsze potrzebuje nie tylko gospodarza, ale i gospodyni, a wiem z doświadczenia, że taka kobieta musi mieć twardego charakter. Tak więc, przynajmniej na razie, najchętniej zostałbym u ciebie na służbie. To prawda, że nie potrzebujesz mnie jako obrońcy, ale każdy ceniący siebie ekwita ma asystę, która czasem składa się nawet z dziesięciu albo i stu ludzi. Myślę, że okazałbyś rozsądek, zatrzymując pokrytego bliznami weterana w charakterze przybocznego, ot tak, dla podtrzymania prestiżu. Ponadto obawiam się, że masz przed sobą ciężkie tygodnie. Dla innych ekwitów jesteś przecież nowicjuszem. Pamiętasz, opowiadałem ci o szkole, jaką dają żółtodziobom w legionie, ale chyba nie wszystkiemu wierzyłeś, a zresztą ja też trochę przesadzałem, żeby cię zabawić. Przede wszystkim trzymaj się, zaciśnij zęby i nie denerwuj swoich przełożonych. Chodźmy razem! Może będę mógł ci coś doradzić!

W czasie marszu przez miasto na Pole Marsowe Barbus powiedział:

- Gdybym po większej ilości wina nie był tak skłonny do bijatyki, dziś miałbym prawo nosić szlify młodszego setnika oraz odznakę Występu Muru. Od trybuna wojskowego Lucjusza Porcjusza, którego broczącego

krwią przeniosłem na własnym grzbiecie, przepływając Dunaj między dryfującymi krami, otrzymałem na pamiątkę piękny łańcuch. Musiałem go jednak zastawić w jakiejś traktierni i nie zdążyłem go wykupić, gdy zostaliśmy przeniesieni. Wstąpmy do sklepu z militariami i kupmy dla mnie używany pamiątkowy łańcuch. Dla ciebie też będzie zaszczytne, jeśli go będę miał na szyi.

Powiedziałem, że w jego opowiadaniach było wystarczająco dużo orderów, ale Barbus nabił sobie głowę i specjalnie zboczył, aby kupić miedzianą odznakę zwycięstwa; napis był bardzo zatarty i nie można było ustalić, który to zwycięzca ozdobił nią jakiegoś weterana. Przyczepił odznakę na ramieniu i powiedział, że teraz będzie się czuł bezpieczniejszy wśród ekwitów.

Na dużym placu około setki młodych adeptów sztuki rycerskiej ćwiczyło właśnie zabawy jeździeckie przed uroczystościami jubileuszowymi. Koniuszy, wielki i nieokrzesany chłop, przeczytał kwit upoważniający do otrzymania konia, zachichotał i zawołał:

- Zaraz znajdziemy dla ciebie odpowiedniego konia, kawalerze! Chcesz dużego czy małego, ostrego czy łagodnego, białego czy czarnego?

Zaprowadził nas do stajni. Wskazałem na kilka koni, które najbardziej przypadły mi do gustu, ale stajenny zajrzał do papierów i powiedział, iż już je zarezerwowano.

- Skoro masz zamiar wziąć udział w widowisku jubileuszowym, to powinieneś wziąć konia potulnego i takiego, który jest przyzwyczajony do cyrkowej wrzawy i reaguje na głos trąbki - powiedział. - Czy dosiadałeś już konia?

Skromnie powiedziałem, że trenowałem trochę w Antiochii, bo Barbus zabronił mi się wychwalać. Dorzuciłem też:

- Sądzę, że wszystkie konie w tej stajni przyzwyczajone są do głosu trąbki. Najchętniej wziąłbym konia nie wyszkolonego, którego mógłbym ujeździć wedle swego upodobania - ale obawiam się, że nie zdążyłbym ułożyć go przed jubileuszem.

- Nadzwyczajne, nadzwyczajne! - wykrzyknął koniuszy, krztusząc się ze śmiechu. - Odkąd to młodzieńcy biorą się za urabianie konia do swego gustu! Na Herkulesa, pęknię ze śmiechu! U nas to robią zawodowi ujeżdźacze!

Jeden taki ujeżdźacz podszedł do nas, zlustrował mnie od stóp do głów i zaproponował:

- Przecież mamy Arminię. Przyzwyczajona jest do występowania w cyrku i można jej włożyć na grzbiet nawet wór kamieni - tu wskazał na stojącą w boksie wielką gniadą klacz, która odwróciła się i patrzyła na mnie podejrzliwie.

- Nie, tylko nie Arminia! - zaprotestował koniuszy. - To zbyt dobry wierzchowiec dla takiego młodego człowieka! Prezentuje się wyśmienicie i jest łagodna jak owieczka. Trzeba ją przeznaczyć dla jakiegoś starego senatora, który w czasie pokazów będzie chciał jechać wierzchem.

Barbus szepnął zachęcająco, bym wziął tego nowego i bezpiecznego wierzchowca. Po uszach i oczach Arminii wnioskowałem, że chyba nie jest tak łagodna, jak twierdzi koniuszy.

- Wiem, że nie otrzymam dobrego konia za darmo, i kwit, który wam pokazałem, nie ma tu nic do rzeczy - oświadczyłem. - Jeśli pozwolisz, z chęcią dosiędę tej klaczy na próbę.

- On ją wypróbuje i jeszcze ci za to zapłaci - zachwycił się ujeżdżacz. Po chwilowym oporze koniuszy w końcu się zgodził:

- Klaczka jest za dobra dla takiego młodzieniaszka, ale niech będzie. Wkładaj buty z cholewami i zakładaj ekwipunek! Przyniosę ci siodło!

Powiedziałem zmartwiony, że nie wziąłem ze sobą ekwipunku, ale koniuszy spojrzał na mnie jak na idiotę i głośno ryknął:

- Chyba nie chcesz ćwiczyć w paradnym rynsztunku?! Państwo zafunduje ci ubranie do ćwiczeń.

Zaprowadził mnie do magazynu, a usłudźni niewolnicy założyli mi puklerz i tak mocno ściągnęli rzemienie, że z trudem oddychałem. Dostałem też pogięty hełm i stare buty z krótkimi cholewami. Nie dali mi tarczy, miecza ani włóczni, proponując próbną przejażdżkę.

Gniada klacz z radością wybiegła ze stajni i przepięknie zarżała; na komendę koniuszego stanęła nieruchomo. Z wodzami w garści wskoczyłem na grzbiet i poprawiłem owczą skórę na siodle. Koniuszy rzekł z aprobatą:

- Widać, że już dosiadałeś konia - a potem ryknął głosem podobnym do grzmotu: - Rycerz Minutus Lauzus Manilianus wybrał Armię i zamierza na niej jeździć!

Wszyscy ćwiczący jeźdźcy rozpierzchli się na obrzeża placu, trąbka zagrała na alarm i zaczęła się zabawa: jedynie łutowi szczęścia, a nie sztuce jeździeckiej zawdzięczam, że obyło się bez kontuzji. Zdażyłem jeszcze usłyszeć polecenie koniuszego, aby uważać na wrażliwe kąciki pyska klaczy i nie ściągać wodzy zbyt silnie. Tylko że pysk Arminii był twardy, jak z żelaza. Nic jej nie obchodziły wodze ani uzda. Najpierw podniosła zad do góry, żeby mnie zrzucić przez łeb. Kiedy się jej to nie udało, zaczęła tańczyć na tylnych nogach, nieoczekiwanie przechodziła w nieumiarkowany galop i wyczyniała wszystkie sztuczki, znane tylko wrednym i doświadczonej koniom cyrkowym, aby zrzucić z siodła początkującego jeźdźcę. Teraz zrozumiałem, dlaczego wszyscy jeźdźcy rozpierzchli się po bokach!

Nie było innego sposobu, jak tylko ściągnąć z całych sił wodze, żeby chociaż odrobinę skrócić jej łeb w lewo, bo ładowała się wprost na palisadę; tuż przed nią gwałtownie zahamowała; gdybym się tego nie spodziewał, niewątpliwie rąbnąłbym w ogrodzenie miażdżąc głowę mimo hełmu. Utrzymałem się w siodle, co rozwścieczyło klacz - pogalopowała przez pole, przepięknie biorąc przeszkody.

To była naprawdę silna i przebiegła klacz! Kiedy ocknąłem się z pierwszego szoku, zasmakowałem w tej zabawie, wydałem dziki okrzyk i wyładowałem wściekłość i zmęczenie bijąc konia piętami po bokach.

Zdziwiona odwróciła łeb; próbowała na mnie zerknąć. Na tyle poddała się wodzom, że w pełnym galopie skierowałem ją wprost na koniuszego i ujeżdżacza, którzy przestali się śmiać i przerażeni skryli się za drzwiami stajni. Koniuszy z czerwoną od wściekłości twarzą wykrzykiwał jakieś rozkazy. Trąbka zagrała nowy sygnał, jeźdźcy uformowali się w szeregi i

ruszyli naprzeciw mnie, nabierając pędu.

Arminia wcale nie miała zamiaru usunąć się z ich drogi. Bryzgając pianą i gwałtownie kołysząc łbem galopowała wprost na oddział jeźdźców. Już widziałem oczyma duszy, jak mnie roznoszą na kopytach, gdy - czy to dlatego, że tamtych zawiodły nerwy, czy też tak było umówione - w ostatniej sekundzie szeregi się rozwarły i przegalopowałem przez środek. Każdy, kto tylko mógł sięgnąć, próbował włócznią zrzucić mnie z siodła, lub choć walnąć po plecach; rozpedzona Arminia, kąsając, skacząc i wierzgając przedarła się przez watahę jeźdźców tak zręcznie, że nie odniosłem większych obrażeń.

Złośliwa i wyraźnie z góry zaplanowana próba nastraszenia tak mnie rozgniewała, że wyteżając wszystkie siły zawróciłem Arminię i ruszyłem, aby zaatakować jednego z jeźdźców. W ostatniej chwili przypomniałem sobie radę Barbusa. Opanowałem się i przegalopowałem obok niego, krzycząc, śmiejąc się i pozdrawiając ręką.

W końcu Arminia uspokoiła się i bez szemrania dała sobą powodować. Wprawdzie gdy przed stajnią zsunąłem się z siodła, chciała ugryźć mnie w ramię, ale myślę, że uważała to za żart, więc odpowiedziałem jej prztyczkiem w nos.

Ujeżdżacz patrzył na mnie jak na dziw natury, ale koniuszy był rozgniewany:

- Zmordowałeś konia, cały pokryty jest pianą, do krwi rozszarpałeś mu pysk! Tak nie wolno!

- Mój koń i moja sprawa, jak na nim jeżdżę - powiedziałem niedbale.

- Mylisz się! - odrzekł rozwścieczony. - Nie możesz na nim jechać na pokazie, bo nie trzyma się szeregu i nie słucha komendy, przyzwyczała się kłusować innym przed nosem.

- Więc będę jeździł innym przed nosem - rzuciłem śmiało. - Sam wyznaczyłeś mi to miejsce, przydzielając tego konia.

Wielu jeźdźców zsiadło z koni i otoczyło nas kołem. Dodawali mi odwagi, nazywali porządnym chłopem i jednogłośnie poświadczali, że koniuszy dał mi konia na własność przez ogłoszenie mego nazwiska.

- Ależ to był tylko żart - przyznał się wreszcie koniuszy. - Każdy nowicjusz, jeśli tylko jest dobrze zbudowany, dostaje tę klacz na próbę. Arminia jest prawdziwym koniem bojowym, a nie żadnym ułożonym wierzchowcem na jakieś pokazy jubileuszowe! Walczyła z dzikimi zwierzętami na arenie! Za kogo ty się uważasz, bezczelny młodzieniaszku?!

- Żart na stronę! - upierałem się. - Utrzymałem się w siodle, a ty wpadłeś we własnoręcznie zastawioną pułapkę. To wstyd trzymać takiego konia w ciemnym boksie na postrach nowicjuszy! Załatwmy to polubownie! Będę na nim codziennie jeździł, a jeśli go nie podporządkuję sobie, to na pokaz dasz mi innego konia.

Koniuszy ryczał, wzywając wszystkich bogów na świadków, że oto żądam od niego dwóch koni, ale jeźdźcy byli po mojej stronie i krzyczeli, że dość się już nażartował kosztem Arminii. Każdy z nich jako nowicjusz dosiadał klaczy, i chociaż zaczynał jazdę jako mały chłopiec, do dziś nosił guzy, blizny lub ślady złamania kości jako pamiątkę tego wydarzenia. Jeśli więc jestem taki głupi i sam chcę złamać kark, to mam prawo dosiadać

Arminii, która przecież jest własnością stanu rycerskiego jako całości.

Nie chciałem zadzierać z koniuszym, więc obiecałem mu suty napiwek. Obiecałem też, że postawię kilka amfor wina całemu oddziałowi, żeby mi cholewy dobrze leżały na nodze. W ten sposób wkupiłem się do grona jeźdźców i zyskałem w nich przyjaciół. Wkrótce wyznaczono mnie do grupy zaawansowanych, którzy serio przygotowywali się do występów na uroczystościach jubileuszowych. Jeden z członków tej grupy złamał nogę i zająłem jego miejsce. Przygotowywaliśmy pozorowaną utarczkę konnicy; ćwiczenie tak trudne i niebezpieczne, że jego uczestników dobierano nie spośród wysoko urodzonych lub majątnych, lecz wyłącznie na podstawie faktycznego opanowania sztuki jeździeckiej.

Nie ćwiczyliśmy jednak codziennie. Moi co bardziej sumienni koledzy, którzy chcieli w przyszłości podjąć karierę urzędniczą, wykorzystywali te wolne dni na obserwowanie przebiegu rozpraw sądowych w sprawach karnych lub cywilnych. W ten sposób szkolili się w zakresie prawa. Szedłem za ich przykładem, ponieważ jeśli zajdzie taka potrzeba, każdy ekwita musi umieć wystąpić jako sędzia, a i pełniąc służbę trybuna wojskowego może się znaleźć w składzie sądu wojennego. Dwa razy udało mi się obserwować przebieg posiedzeń sądu najwyższego, kiedy Klaudiusz rozstrzygał sprawy zastrzeżone dla cesarza. Oczywiście nie był on w stanie rozstrzygać wszystkich spraw, w których odwoływano się do niego, to byłoby absolutnie niemożliwe, przecież każdy obywatel rzymski, jeśli tylko dysponuje odpowiednią gotówką, ma prawo do takiego odwołania się w ostatniej instancji. W sprawach dotyczących mieszkańców Rzymu najczęściej prefekt miasta albo przygotowuje i przedstawia cesarzowi postanowienie końcowe, albo sam podejmuje decyzję z upoważnienia Klaudiusza. Odwołania obywateli zamieszkałych w prowincjach załatwia w ten sam sposób prefekt gwardii pretoriańskiej.

Klaudiusz chętnie zasiadał na fotelu sędziowskim, gdy tylko czas mu na to pozwalał. Ludzie zbierali się już o świcie i awanturując się wypełniali salę sądową do ostatniego miejsca, ponieważ spodziewali się, że zobaczą i usłyszą coś ciekawego. Przy okazji rozpraw sądowych cesarz udzielał bowiem porad życiowych; czasem w środku rozprawy zabierał się do jedzenia, demonstrując właściwe sobie obżarstwo, niekiedy zaś bywał tak pijany, że zasypiał, a kiedy się budził - nie pamiętał w ogóle, o co chodzi.

Odniosłem wrażenie, że Klaudiusz bardzo starał się być sprawiedliwym sędzią. Ale dobrotliwy to on nie był. W trakcie drugiej obserwowanej przeze mnie rozprawy skazał na ukrzyżowanie dwóch włóczęgów, którzy zamieszkali w Rzymie, przedstawiali się jako obywatele rzymscy i próbowali korzystać z bezpłatnych racji zbożowych. Obydwaj twierdzili, że otrzymali obywatelstwo w czasie wojny numidyjskiej za przysługi, jakie wyświadczyli naszym wojskom, ale nie potrafili tego dowieść. Mrużąc srogo oczy, Klaudiusz skierował do senatu projekt ustawy, mocą której ludzie, którzy uzurpować sobie będą obywatelstwo rzymskie, będą mogli być ukrzyżowani na podstawie samego orzeczenia policji, bez przewodu sądowego.

W czasie rozpatrywania w senacie tego projektu kilku starszych senatorów publicznie stwierdziło, że obywatelstwo rzymskie można kupić

od skarbnika cesarza, Pallasa, albo jeszcze taniej - u Walerii Mesaliny. Wymienili nawet cenę, jaką trzeba zapłacić. Klaudiusz zasmucił się, wstał, i trzęsąc głową przysięgał senatowi, że za jego rządów żadna osoba prywatna ani miasto nie otrzymało praw obywatelskich bez należytych uzasadnień. Opowiedzieli mi to synowie senatorów, którym - jak wiadomo - po osiągnięciu określonego wieku przysługiwało szerokie czerwone obramowanie togi.

Nie mogę się pochwalić swoim występem w turnieju jeździeckim w czasie uroczystości jubileuszowych. Nasze dwa młodzieżowe oddziały przeprowadziły w Wielkim Cyrku potyczkę konnicy zgodnie z wszystkimi regułami gry wojennej. To nie była tylko zabawa, chociaż z góry założono, że nie będzie w niej zwycięzców ani zwyciężonych. Utrzymałem się na grzbiecie Arminii do samego końca, ale po naszym pokazie zostałem odniesiony do domu i ominęły mnie przedstawienia w amfiteatrze i w cyrku, a powiadano o nich, że były to igrzyska najwspanialsze i najlepiej zorganizowane ze wszystkich dotychczasowych. Wielu moich kolegów także nie uczestniczyło w tych uroczystościach, woleli siedzieć przy moim łóżu; zapewniali, że beze mnie nie odnieśliby takiego sukcesu. Muszę stwierdzić, że wśród wrzasków kilkuset tysięcznego podnieconego tłumu walczyłem ofiarnie na gniadej klaczy do chwili, gdy pękły mi żebra i lewa kość biodrowa. Ale mimo tego, jak już powiedziałem,trzymałem się na grzbiecie Arminii do samego końca.

W czasie uroczystości jubileuszowych najistotniejsze znaczenie polityczne miała demonstracja powszechnej sympatii wobec siostrzeńca Kaliguli, dziesięcioletniego Lucjusza Domicjusza, który pięknie i odważnie dowodził niewinnymi igraszkami najmłodszych jeźdźców. Brytanik, jedyny syn Klaudiusza, pozostał zupełnie w jego cieniu. Cesarz wprawdzie przywoływał go do swojej łóży i usiłował go forować, ale tłum domagał się tylko Lucjusza Domicjusza, ten zaś tak ładnie i z taką bezpośredniością przyjmował składane mu hołdy, że wzbudzał przez to jeszcze większe emocje. Wydaje mi się, że okazywanie mu sympatii było swoistą manifestacją niechęci wobec Walerii Mesaliny; w czasie uroczystego pochodu cesarzowa bezczelnie zajęła miejsce w powozie westalek, jakby w ten sposób mogła oczyścić swoją reputację.

Gdyby nie zdolny lekarz wojskowy ze świątyni Kastora i Polluksa, do końca życia zostałbym kaleką. Traktował mnie surowo i cierpiałem przez niego straszliwe męki. Dwa miesiące przeleżałem w łózkach, później długo musiałem ćwiczyć chodzenie o kulach - przez kilka miesięcy nie mogłem ruszyć się z domu.

Ból, strach przed dożywotnim kalectwem i spostrzeżenie, jak bardzo ulotną rzeczą jest popularność, na pewno dobrze na mnie wpłynęły. Przynajmniej nie mogłem wziąć udziału w bójce, jaką moi najbardziej krewcy towarzysze urządzili nocą na ulicach Rzymu. W czasie uroczystości wiele wybaczano, ale dwóch kolegów wydalono z Rzymu na zawsze, ponieważ pobili na śmierć pewnego starego ekwite, który stanął w obronie napastowanej przez rozwydrzonych wyrostków młodej żony. Doszedłem do wniosku, że to los wyznaczył mi przymus leżenia i straszliwe bóle, abym mógł ukształtować swój charakter. Ponownie odtracony przez ojca w

rezultacie jego małżeństwa sam musiałem ustalić, czego oczekuję od życia.

Przeleżałem w łożu całą wiosnę aż do kanikuły i ogarnęło mnie tak głębokie zniechęcenie, że dotychczasowe życie wydało mi się zupełnie pozbawione sensu. Nie smakowały mi też dobre i pożywne potrawy, przygotowywane przez ciotkę Lelię. Nocami sen umykał mi z oczu. Wspominałem wiecznie zagniewanego Timajosa, który popełnił samobójstwo z mojego powodu. Wreszcie zrozumiałem, że dobre opanowanie konia nie może być wszystkim w życiu. Chciałem przemyśleć i ustalić, co dla mnie jest najlepsze i najodpowiedniejsze: rzetelna cnotliwość czy komfort i używanie? Nieoczekiwanie książki filozoficzne, które uważałem za nudziarstwo, nabrały dużego znaczenia. Szybko doszedłem do przekonania, że dyscyplina i opanowanie dały mi więcej zadowolenia niż dziecinna samowola.

Moim najwierniejszym przyjacielem okazał się dwa lata ode mnie starszy syn pewnego senatora, Lucjusz Pollio. Był to szczupły, słabowity młodzieniec, który z trudem opanował sztukę jeździecką. Polubił mnie, chociaż naturę miałem krańcowo różną od niego, porywczą, pewną siebie i bezczelną, ale nigdy nie powiedziałem mu złego słowa. Chyba podświadomie naśladowałem ojca w tym, że byłem bardziej uprzejmy i przyjacielski wobec słabszych niż wobec równych sobie. Bicie niewolnika, nawet bezczelnego, zawsze uważałem za rzecz odrażającą.

Rodzina mego przyjaciela tradycyjnie pielęgnowała zainteresowania literackie i naukowe. Sam Lucjusz był bardziej moim księzkowym niż jeźdźcem. Ćwiczenia konne stanowiły dla niego wyłącznie przykry obowiązek, którego należało dopełnić z uwagi na przyszłą karierę urzędniczą, ale hartowanie ciała wcale go nie nęciło. Przynosił mi pożyczone z biblioteki swego ojca książki, zapoznanie się z którymi, jak sądził, mogło być dla mnie pożyteczne. Zazdrościł mi nienagannej znajomości języka greckiego. Miał ukryte ambicje pisarskie, choć jego ojciec, senator Mummiusz Pollio, miał nadzieję, że zostanie politykiem.

- Co można osiągnąć przez marnowanie czasu na uprawianie ćwiczeń jeździeckich lub słuchanie rozpraw sądowych? - pytał zadziornie Lucjusz. - We właściwym czasie zostanę mianowany dowódcą centurii i wykorzystam doświadczenie podległego mi centuriona, potem na jakiejś prowincji będę dowodził oddziałem ekwitów, a zakończę jako trybun wojskowy sztabu legionu, który buduje drogi gdzieś na krańcu ziemi. Dopiero gdy skończę trzydzieści lat, mogę się ubiegać o stanowisko kwestora, chociaż może to nastąpi wcześniej, bo można otrzymać zwolnienie od przepisowego wieku, jeśli powołam się na zasługi własne albo przodków. Wiem, że będę złym oficerem i marnym urzędnikiem, naprawdę nie czuję najmniejszego zainteresowania tymi zawodami.

- Gdy tak leżę, to dochodzę do wniosku, że chyba pogruchotanie kości dla zyskania chwilowego poklasku nie było mądre - stwierdziłem. - Ale czego ty właściwie chcesz?

- Rzym panuje na kuli ziemskiej i nie zmierza do nowych podbojów. Już boski August rozsądnie ograniczył liczbę legionów do niezbędnych dwudziestu pięciu. Obecnie najistotniejsze znaczenie ma uszlachetnienie okrutnych zwyczajów rzymskich przez cywilizację grecką. Księgi, poezja,

teatr, muzyka, taniec, piękna kultura fizyczna są ważniejsze od krwawych igrzysk w amfiteatrze.

- Tylko nie zabraniaj wyścigów konnych w cyrku - prosiłem żałośnie. - Tam przynajmniej można oglądać dzielne rumaki!

- Hazard, rozpusta i wyuzdane hulanki to nie jest kultura i cywilizacja - ponuro ciągnął Lucjusz. - Czasem próbuję zorganizować sympozjon, aby na modłę starodawnych filozofów podyskutować po grecku, ale wszystko zwykle się kończy na ordynarnych kawałach i piciu na umór. W Rzymie nie sposób znaleźć towarzystwo, które zachwyciłoby się piękną muzyką czy śpiewem albo potrafiło docenić tragedię klasyczną. Najchętniej wyjechałbym na studia do Aten albo na Rodos, ale ojciec nie wyraża zgody. Jego zdaniem kultura grecka tylko osłabia męską cnotę młodzieży rzymskiej. Zupełnie jakby z tej dawnej rzymskiej cnoty zostało coś więcej poza obłudą i surowymi minami.

Odnosiłem wiele korzyści ze spotkań z Lucjuszem, który chętnie wyjaśniał zasady administracji państwowej. Mówił na przykład, że senat, jeśli chce, może obalić wniesiony przez cesarza projekt ustawy, a z kolei cesarz, będący wszak dożywotnio trybunem ludowym, mógł założyć weto wobec projektu senackiego. Większością prowincji rzymskich zarządzali prokonsulowie, ale niektóre stanowiły jak gdyby własność prywatną cesarza i on sam mianował ich zarządców. Najważniejszą taką prowincją cesarską był Egipt. Poza tym istniały oczywiście liczne państwa i królestwa sprzymierzone - ich władców od dzieciństwa wdrażano w obyczaje rzymskie w specjalnej szkole mieszczącej się na Palatynie. Dotychczas nie miałem pojęcia, jak przejrzysty i rozsądny, chociaż pozornie skomplikowany był ten system zarządzania.

Zwierzyłem się Lucjuszowi, że chciałbym zostać oficerem gwardii. Wspólnie zastanawialiśmy się nad możliwościami zrealizowania tego zamierzenia. Nie mogłem oczywiście marzyć o dostaniu się do gwardii pretoriańskiej - ewentualne wakaty trybunów wojskowych w tej elitarnej jednostce obsadzali synowie senatorów. Mogłem podjąć służbę w legionach: polować na lwy na pograniczu Mauretanii, uczestniczyć w ciągłych utarczkach granicznych w Brytanii albo w sporach o pastwiska w Germanii.

- Ale w ten sposób raczej nie osiągniesz sukcesu, choćby doszło do wojny - zapewniał Lucjusz. - O potyczkach granicznych nawet nie zawsze sporządza się raporty, ponieważ głównym zadaniem dowódców legionów jest utrzymanie pokoju na granicy. Zbyt ambitny i żądny walk dowódca legionu może utracić swoją pozycję, zanim się obejrzy. Największe możliwości wybicia się energiczny mężczyzna może znaleźć we flocie. Dowódca floty nie musi nawet pochodzić ze stanu rycerskiego - przecież w Rzymie nie ma świątyni Neptuna! We flocie od razu otrzymałbyś stanowisko dowódcze. Oczywiście spraw nawigacyjnych pilnowałby zdolny podoficer. Miałbyś wygodne życie i dobre dochody. Do floty nie cisną się ludzie błękitnej krwi.

- Na tyle czuję się Rzymianinem - odrzekłem - że nie uważam żeglowania z jednego miejsca na drugie za zajęcie odpowiednie dla mężczyzny teraz, gdy już nie ma na morzu piratów. Najbardziej przydatny

byłbym na wschodzie, ponieważ jak każdy, kto wychował się w Antiochii, znam język aramejski. Lecz budowanie dróg i życie w miastach garnizonowych, gdzie legionieści mogą się żenić i zajmować rękodzielnictwem, a setnicy przekształcają się w kupców, wcale mi nie odpowiada.

- A po co w ogóle miałbyś się zagrzebywać gdzieś na krańcach ziemi? Bez porównania lepiej jest trzymać się Rzymu. Tu zawsze, wcześniej czy później, człowieka zauważą. Twoje umiejętności jeździeckie, dobry wygląd i piękne oczy przy łucie szczęścia mogą w ciągu roku zapewnić ci lepsze stanowisko, niż mógłbyś osiągnąć w ciągu dziesięciu lat jako dowódca kohorty wśród barbarzyńców.

Wtrąciłem, że sukces uzyskany jedynie dzięki pięknym oczom uzależnia protegowanego i może prowadzić do gwałtownego upadku.

- Jestem tak staroświecki, że chciałbym sam się przekonać, do czego się nadaję. Rzym nie jest chyba aż tak zdeprawowanym miastem, aby kompetentny mężczyzna dzięki swoim zdolnościom nie był w stanie osiągnąć pozycji, na jaką zasługuje.

- Ale to jest powolna droga - powiedział Lucjusz, choć równocześnie przyznał, że w Rzymie zawsze brakowało zdolnych ludzi. - Nie wystarczy, że sam sobie udowodnisz swoje talenty. Muszą je jeszcze zauważyć inni. Dla Rzymianina nie na innego miasta na świecie, gdzie żyje się tak jak tu. Jeśli nawet ciągnie mnie do Aten czy na Rodos, to wcześniej czy później i tak wróciłbym do Rzymu.

- W czasie letniego skwaru Rzym jest przepoconym, śmierdzącym miastem, pełnym ohydnych much. Nawet w Antiochii jest rzeźwiej!

- To prawda, w Rzymie roi się od obrzydliwych much - przyznał Lucjusz, spoglądając na mnie w taki sposób, jakby sądził, że chciałem powiedzieć znacznie więcej, niż powiedziałem. - Prawdziwe musze ścierwa. Powinienem trzymać język za zębami, bo dobrze wiem, że twemu ojcu przywrócono tytuł rycerski jedynie dzięki butnemu wyzwolńcowi cesarza. Chyba wiesz, że Narcyzowi nadskakują delegacje miast i królów, że zebrał ponad dwadzieścia milionów sestercji ze sprzedaży praw obywatelskich i stanowisk. Ale Waleria Mesalina jest jeszcze bardziej zachłanna. Doprowadziła do zamordowania jednego z najszlachetniejszych ludzi Rzymu, Lukullusa, i przejęła po nim ogrody na wzgórzu Pincjo. Ze swoich pokoi na Palatynie zrobiła dom publiczny i nie dosyć na tym - całe noce spędza w przebraniu na Suburze wśród ulicznicy, gdzie za kilka miedziaków idzie do łóżka z każdym, kto się nawinie.

Zatkałem uszy rękoma i tłumaczyłem, że Narcyz jest nienagannie zachowującym się Grekiem i że nie mogę uwierzyć w te paskudztwa, które ludzie opowiadają o pięknej, kapryśnej małżonce cesarza.

- Przecież Mesalina jest tylko o siedem lat od nas starsza! - wołałem. - I tak dźwięcznie się śmieje! Ma dwoje uroczych dzieci, a na uroczystościach jubileuszowych siedziała obok nieskazitelných westalek.

- O hańbie łoża małżeńskiego Klaudiusza głośno nawet u naszych wrogów, Partów i Germanów - powiedział zimno Lucjusz. - Oczywiście plotki są tylko plotkami, ale znam osobiście młodych rycerzy, którzy się chępią, że spalili z Mesaliną na rozkaz cesarza. Klaudiusz nakazuje

wykonywać każde polecenie Mesaliny.

- Lucjusz, wiesz doskonale, choćby z sympozjonów, jak chłopcy potrafią się popisywać - powiedziałem po namyśle. - Im kto jest większą ofermą wobec dziewcząt, tym bardziej po winie zgrywa się, przechwała i zmyśla historyjki o swoich podbojach. Rozpowszechnianie się tych plotek aż poza granice państwa potwierdza moją tezę, że są celowo rozsiewane. Im bardziej bezczelne kłamstwo, tym łatwiej się w nie wierzy. Człowiek w ogóle ma naturalną skłonność do wierzenia w to, co mu się mówi. A już takie kłamstwa, które drażnią poczucie moralności, wydają się najbardziej wiarygodne.

- Ja mam inne wyjaśnienie - szepnął drżącym głosem zarumieniony Lucjusz. - Być może Waleria Mesalina była naprawdę niewinną dziewczyną, kiedy w wieku czternastu lat wydawano ją za pięćdziesięcioletniego pijaka i rozpustnika Klaudiusza, którym gardzili nawet jego własni krewni! Właśnie Klaudiusz zdeprawował Mesalinę, upijał ją mirrą, aż stała się nimfomanką. Teraz Klaudiusz jest już niedołęznym staruchem i nie jest wykluczone, że świadomie przymyka oczy. Jest też pewne, że żąda od Mesaliny, aby przysyłała mu do łóżka coraz to nowe niewolnice, a im młodsze, tym lepsze. Co on z nimi robi, to inna sprawa. Pewnej osobie, której nazwiska nie podam, ale której wierzę, z płaczem opowiadała to sama Mesalina, zaklinając się, że mówi prawdę.

- Jesteśmy przyjaciółmi, Lucjusz, ale ty pochodzisz ze znakomitszego niż mój rodu, więc przestańmy o tym mówić. Wiem, że po zamordowaniu cesarza Gajusza senat przywrócił republikę. Grabiący Pałacyn pretorianie przypadkowo znaleźli stryja Kaliguli, ukrytego między kotarami, i okrzyknęli go imperatorem, ponieważ był jedynym, który z racji pochodzenia miał do tego prawo. To już historia, tak stara, że nawet nie śmieszna. Ale się nie dziwię, że Klaudiusz bardziej ufa swoim wyzwolencom i matce swoich dzieci niż senatowi.

- Czy wybrałbyś raczej na wpół szalonego tyrana czy wolność? - spytał gorzko Lucjusz.

- Republika kierowana przez senat i konsulów nie oznacza wolności demokratycznej, lecz władzę arystokracji, rozboje na prowincjach i nowe wojny domowe. To są moje wnioski z nauki historii. Powinieneś się zadowolić upiększaniem Rzymu od wewnątrz i szerzeniem greckiej cywilizacji, a nie gadaniem trzy po trzy.

- Dziwne, że z mlekiem matki wyssałem idee republikańskie - przyznał ze śmiechem Lucjusz. - A może jest to naprawdę tylko krwawy strzęp przeszłości? Wracam do swoich książek. Tym nikomu nie zaszkodzę. Nawet sobie.

- I niechaj Rzym będzie sobie nadal pełen much - podsumowałem. - We dwóch i tak nie możemy ich wytrzebić.

Kiedy beczynnie leżałem, ogarnięty ponurymi myślami, spotkał mnie niespodziewany zaszczyt: wizyta dziesięcioletniego Lucjusza Domicjusza, przywódcy arystokratycznych młodzików. Całkiem zwyczajnie i bez wcześniejszych zapowiedzi przyszedł ze swoją matką, Agrypiną. Lektykę i eskortę zostawili na ulicy przed domem, bo wstąpili tylko na chwilę, złożyć wyrazy ubolewania z powodu mojego wypadku. Barbus, który pełnił

obowiązki portiera, oczywiście zdążył już sobie popić i spał jak suseł. Domicjusz dla zabawy trącił go łokciem w głowę i wydał komendę bojową, na co Barbus zerwał się na równe nogi, zasalutował i krzyknął:

- *Ave, caesar imperator!*

Agrypina z ciekawością spytała, dlaczego powitał chłopca jak cesarza? Barbus tłumaczył, że właśnie w jego śnie centurion okładał go kijem, a kiedy otworzył oczy, zobaczył w olśniewającym blasku dnia nieziemskiej wielkości boginię Junonę i cesarza, który w iskrzącym rynsztunku dokonywał przeglądu wojsk. Dopiero teraz, gdy Agrypina przemówiła do niego, rozjaśnił mu się wzrok i rozpoznał Domicjusza po wyglądzie zewnętrznym, a Agrypinę po boskiej urodzie i postawie.

- Tak bardzo się nie pomyliłem - schlebiał. - Przecież jesteś siostrą Gajusza, a cesarz Klaudiusz jest twoim stryjem. Ze strony Juliusza Cezara wywodzisz się od Wenus, a ze strony Marka Antoniusza od Herkulesa. Nic więc dziwnego, że pozdrowiłem twego syna z najwyższymi honorami!

Ciotka Lelia wpadła w absolutny popłoch z powodu tej wizyty. Z przekrzywioną peruką biegła, poprawiała mi kołdry i ubolewała, że Agrypina nie uprzedziła o swoim przybyciu, aby można było dom odpowiednio przygotować na tak wielki zaszczyt.

- Wiesz dobrze, kochana Lelio - powiedziała ze smutkiem Agrypina - że po śmierci mojej siostry Julii nie czuję się bezpiecznie i wolę nie składać żadnych oficjalnych wizyt. Lucjusz koniecznie chciał jednak zobaczyć się ze swoim bohaterem, Minutusem Lauzusem, więc - zupełnie wyjątkowo - wpadliśmy, aby życzyć mu szybkiego powrotu do zdrowia.

Żywy, bezsprzecznie ujmujący i mimo czerwonej czupryny piękny chłopak skoczył, by mnie nieśmiało ucałować i zaraz się wycofał, z podziwem wpatrując się w moją twarz.

- Ach, Minutusie - zawołał. - Właśnie ciebie, a nie kogoś innego z racji jego pochodzenia, nagrodziłbym imieniem Magnus. Żebyś wiedział, jak zachwycam się twoim niezrównanym męstwem! Nikt z widzów nie odgadł, że masz pogruchotane kości, bo do końca wytrzymałeś w siodle!

Zachowywał się doprawdy tak czarująco, że musiał wzbudzać sympatię - bardzo się o to starał. Aby odwzajemnić jego uprzejmość, powiedziałem:

- Na pewno piękniejszy i bardziej mistrzowski był twój popis jazdy na czele grupy młodzików przed rydwanami i machinami bojowymi. Sam tego, niestety, nie widziałem, bo szykowałem się do występu, ale słyszałem, jak lud skandował twoje imię i jak cię oklaskiwał, aż bałem się, że runą mury amfiteatru.

- Chyba nie było zbyt rozsądnie nadstawiać karku tylko dla zabawy - wtrąciła z uśmiechem Agrypina. - Kiedyś Rzymowi może być potrzebna twoja odwaga i sztuka w prawdziwej walce. Przyniosłam ci w darze maleńką księgę, z której możesz się uczyć opanowania.

Domicjusz wziął zwój i podał mi. Agrypina odwróciła się do ciotki Lelii i powiedziała usprawiedliwiająco:

- Tę księgę napisał na Korsyce mój przyjaciel Seneka. Mówi ona o spokoju ducha. To właściwa lektura dla młodego człowieka, który ponosi konsekwencje swojej odwagi. Jeśli równocześnie zastanowi się, dlaczego człowiek o tak szlachetnym charakterze musi żyć na wygnaniu jak potrafi

zachować spokój ducha we wszystkich próbach losu.

Moim zdaniem był to styl monotony, bo Seneka nie przytaczał zbyt wielu przykładów, i z jego wywodów niewiele zostawało w głowie.

Mój przyjaciel Lucjusz Pollio wypożyczył mi napisany przez Senekę list kondolencyjny do wyzwolenca cezara, Polibiusza, w związku ze śmiercią jego brata. W liście tym Seneka wywodził, że właściwie Polibiusz nie ma powodu do zmartwienia, skoro ma szczęście służyć cesarzowi. Wszyscy bardzo ubawili się tym listem, bo jego adresat właśnie został oskarżony o sprzedawanie praw obywatelskich i stracony. Pollio opowiadał, że na tle wysokości zysków z tej sprzedaży Polibiusz pokłócił się z Mesaliną. Cesarzowa go oskarżyła - pozostali wyzwolenicy byli tym bardzo oburzeni. Czyli filozof Seneka miał wciąż zezowate szczęście.

Dziwiło mnie, że w czasie długiej choroby Klaudia ani razu mnie nie odwiedziła. Czuję się tym dotknięty, choć byłem świadomy, że dotychczasowe kontakty z nią przyniosły mi więcej przykrości niż przyjemności. Nie mogłem jednak zapomnieć jej czarnych brwi, śmiałych oczu i pełnych warg. Kiedy już wydobrzałem, zacząłem robić długie spacery dla zdrowia i spokoju. Nastąpiła właśnie gorąca jesień. Było zbyt ciepło, aby nosić togę; zrezygnowałem też z czerwono obramowanej chlamidy, aby na obrzeżach miasta nie wzbudzać zbyt dużej uwagi.

Uciekając przed miejskim smrodem przeszedłem na drugą stronę rzeki, okrążyłem amfiteatr cesarza Gajusza, na środku którego stał obelisk przetransportowany z Egiptu nieprawdopodobnym kosztem, i wspiałem się na wzgórze Watykanu. Mieściła się tam stara jak świat siedziba wyroczni, której drewniane ściany kazał Klaudiusz obmurować ceglami. Stary augur wznosił do góry zakrzywioną laskę, aby zwrócić na siebie uwagę, ale nie trudził się, by za mną wołać. Zszedłem po zboczach wzgórza w stronę ogrodów, coraz bardziej oddalając się od miasta. Wokół widać było zamożne wiejskie domy. Stąd i z dalszych okolic co noc nie kończącym się sznurem toczyły się wózki, aby w halach targowych wyładować i sprzedawać swój ładunek hurtownikom. Przed świtem wszystkie wozy musiały wrócić poza granice miasta.

Nie miałem ochoty wypytywać o Klaudię opalonych na ciemny brąz niewolników, pracujących w skwarze dnia w ogrodach, więc szedłem na chybił trafił przed siebie. Pozwoliłem, by same nogi mnie niosły. Klaudia wspominała kiedyś o źródle i starych drzewach. Rozglądałem się dokoła i przecucie zawiodło mnie do wyschniętego koryta ruczaju. Obok dużego dworku, w cieniu prastarych drzew, stała maleńka chata. W przyległym ogrodzie warzywnym pracowała pochylona Klaudia z rękami i nogami ubranymi w ziemię. Miała na sobie tylko zgrzebną tunikę, a na głowie szeroki spiczasty kapelusz słomkowy jako osłonę przed żarem słońca. Od naszego ostatniego spotkania upłynęło wiele miesięcy, więc z początku jej nie poznałem. Była mi jednak tak bliska, że po chwili zdradziły ją figura i ruchy rąk.

- Witaj, Klaudio! - zawołałem. Wypełniła mnie pulsująca radość i kucnąłem na ziemi, aby zajrzeć jej w twarz.

Klaudia wyprostowała się i spojrzała na mnie okrągłymi z przerażenia oczami. Nagle zaalała się rumieńcem, cisnęła we mnie wiązkę zielska,

zerwała się i pobiegła do domu. Byłem zaskoczony takim przyjęciem i sam na siebie kłąłem, przecierając zaproszone ziemią oczy.

Z wahaniem wyjrzałem za dom. Rozpryskując wodę w źródle, myła sobie twarz. Gniewnym krzykiem kazała mi czekać na miejscu. Uczesała włosy, włożyła czystą chlamidę i przyszła do mnie.

- Człowiek dobrze wychowany zapowiada swoje przyjście - fuknęła gniewnie. - Ale jakiego zachowania można oczekiwać od syna syryjskiego lichwiarza? Czego chcesz?

Tak złośliwie mnie znieważyla! Zrobiło mi się gorąco, straciłem cały humor i bez słowa odwróciłem się, żeby odejść. Zaledwie postąpiłem parę kroków, pobiegła za mną, chwyciła mnie za rękę i zawołała:

- Ależ jesteś zapalczywy, Minutusie! Nie odchodź! Wybacz mi niewyparzony język! Zdenerwowałam się, bo zaskoczyłeś mnie przy codziennej robocie, taką brzydką i brudną!

Zaprowadziła mnie do swojej prostej chaty, która pachniała dymem, ziołami i czystą bielizną, i pochwaliła się:

- Popatrz, potrafię praść i tkać, co powinna umieć każda Rzymianka! Nie zapominaj, że nasi pradawni królowie sami orali pole parą wołów.

Wyraźnie pragnęła usprawiedliwić swoje ubóstwo. Powiedziałem uprzejmie:

- Właśnie taką, z twarzą obmytą źródlaną wodą, chętniej cię widzę, Klaudio, aniżeli wszystkie wypacykowane i odziane w jedwabie miejskie niewiasty!

- Przyznaję uczciwie - odpowiedziała - że wolałabym mieć skórę białą jak mleko, pięknie umalowaną twarz, włosy starannie ufryzowane w loki wokół czoła i szaty, które więcej ukazują niż kryją; pragnęłabym też roztaczać wokół wonie wschodnich balsamów. Ale żona mego wuja, Paulina Plaucja, która pozwoliła mi tu zamieszkać po śmierci matki, nie cierpi tego. Sama zawsze ubiera się w żałobne szaty, chętniej milczy niż mówi i w ogóle różni się od innych ludzi. Pieniędzy ma pod dostatkiem, ale wydaje je na cele dobroczynne i inne, bardziej wątpliwe, natomiast nigdy nie pozwoliłaby mi kupić różu do twarzy ani barwników do powiek.

Musiałem się roześmiać, bo policzki Klaudii były tak zdrowe, czyste i rumiane, że nie potrzebowała żadnych środków upiększających. Chciałem przytrzymać jej rękę, ale ona wyrwała się i burknęła, że latem ma ręce szorstkie jak niewolnica. Odniosłem wrażenie, że skrywa coś przede mną. Spytałem, czy słyszała o moim wypadku, a ona odparła wymijająco:

- Twoja ciocia nie wpuściłaby mnie do domu. Pogodziłam się z tym. Rozumiem, że moja przyjaźń nie może ci przynieść żadnej korzyści, tylko same zmartwienia. Dobrze ci życzę, Minutusie!

Zawołałem zapalczywie, że sam układam swoje życie i dobieram sobie przyjaciół wedle własnego uznania. Dodałem też:

- Już wkrótce uwolnisz się ode mnie. Obiecano mi list polecający do sławnego Korbulona i wkrótce pod jego dowództwem będę walczył przeciwko Germanom. Noga już wydobrzała, jest tylko odrobinę krótsza od drugiej.

Klaudia szybko zapewniła, że nawet nie zauważyła, bym choć trochę utykał. Po chwili posmutniała i rzekła:

- Wolalabym cię widzieć na wyprawie wojennej niż w Rzymie, gdzie w każdej chwili jakaś obca niewiasta może mi ciebie zabrać. Mniej bym bolała, gdybyś poniósł śmierć na wojnie dla głupiej żądzy sławy, niż gdyby oczarowała cię inna kobieta. Czemu jednak chcesz jechać do Germanii? Germanie są bardzo silnymi i sprawnymi wojownikami. Jeśli ładnie poproszę, to ciotka Paulina na pewno da ci list polecający do wuja Aulusa Plaucjusza w Brytanii. On tam dowodzi czterema legionami i odnosi duże sukcesy, bo Brytowie okazali się słabszymi przeciwnikami niż Germanie. Wujek Aulus wcale nie jest genialnym wodzem, ale w Brytanii nawet Klaudiusz zasłużył sobie na triumf. Stąd wnioskuję, że Brytów nie warto szanować jako przeciwników.

Mówiła rzeczy całkiem dla mnie nowe, więc zaciekawiony wypytywałem o szczegóły. Wyjaśniła, że jej matka wywodziła się z rodu Plaucjuszy. Kiedy Paulina, żona Aulusa Plaucjusza, przyjęła osieroconą siostrzenicę męża pod swoją opiekę, jej dobroduszny mąż traktował Klaudię jak członka rodziny, bo nie mieli własnych dzieci.

- Wujek Aulus nie chciał widzieć w mojej matce członka rodu Urgulanów - opowiadała - dla niego była Plaucją, więc czuł się głęboko dotknięty, gdy Klaudiusz bezpodstawnie rozwiódł się z nią, a mnie golusieńką odesłał na próg jej domu. Aulus chciał mnie adoptować, ale na to jestem zbyt dumna. Jestem i pozostanę córką Klaudiusza, mimo że jest odrażającym rozpustnikiem.

Kwestie jej pochodzenia były według mnie przykrym tematem rozmowy, natomiast zaintrygowała mnie myśl o wojnie w Brytanii.

- Twój prawowity ojciec Klaudiusz wcale nie złamał Brytów, chociaż odbył triumf z tego powodu - powiedziałem. - Przeciwnie, nadal toczy się tam bezustanna wojna. Powiadają, że Aulus w ciągu kilku lat zabił już ponad pięć tysięcy wrogów, zatem zasługuje na odbycie triumfu. Plemiona zamieszkujące wyspę są żywotne i zdradzieckie, gdy tylko spacyfikuje się jedną część kraju, natychmiast w innej wybucha wojna z nową siłą. Chodźmy zaraz do twojej cioci Pauliny!

- Ależ jesteś spragniony sławy żołnierskiej - kpiła Klaudia. - Ciocia kategorycznie zabroniła mi chodzić samej do miasta i opluwać pomniki cesarza. No, ale będę miała ciebie jako eskortę. Chętnie pójdę, bo od wielu tygodni nie opuszczałam już wioski.

Poszliśmy więc do miasta. Wstąpiłem do domu, by się odpowiednio ubrać. Klaudia, która bała się cioci Lelii, nie weszła do środka, tylko rozmawiała z Barbussem przy bramie. Kiedy wreszcie ruszyliśmy do domu Plaucjuszów na wzgórzu Coelio, oczy Klaudii iskrzyły złością.

- Ach, więc zadajesz się z panią Agrypiną i jej przeklętym synalkiem! - powiedziała ze złością. - To bezwstydne babsko jest niebezpieczne, choć mogłaby być twoją matką.

Zdumiony wyjaśniłem, że Agrypina jest piękną i skromną niewiastą, jej syna uważam za zbyt młodego i dziecinnego, aby mógł być moim przyjacielem. Ale Klaudia nie dała się udobruchać i krzyczała:

- Dobrze wiem, że wszyscy Klaudiusze są zdemoralizowani do szpiku kości! Agrypina przesypia się z kim popadnie, jeśli tylko widzi w tym swoją korzyść. Jej stałym kochankiem jest skarbnik cesarza, Pallas. Na

próżno pragnie zdobyć nowego małżonka. Znamienici mężowie są zbyt ostrożni, by dać się wciągnąć w jej intrygi, ale ciebie, niedoświadczonego młodzieniaszka, uwiedzie w Rzymie każda rozwiązła matrona-wdowa!

Tak sprzecząc się szliśmy przez miasto. Klaudia nie ukrywała radości, gdy wyznałem, że skrupulatnie dotrzymuję obietnicy, którą jej dałem, gdy w dniu otrzymania męskiej togi wracaliśmy ze świątyni Luny.

W atrium domu Plaucjuszów stały starodawne popiersia, maski pośmiertne i pamiątki wojenne. Paulina Plaucja była kobietą w zaawansowanym wieku. Jej duże oczy przenikały człowieka na wskroś. Zdaje się, że niedawno płakała. Gdy usłyszała moje nazwisko i w jakiej sprawie przychodzimy, zdziwiła się, dotknęła chudą ręką mej twarzy i rzekła:

- To coś niezwykłego, jakby znak, dany mi przez jedyne i niepojęte Boga. Być może nie wiesz, Minutusie Manilianusie, że twój ojciec i ja zostaliśmy przyjaciółmi? Po podzieleniu się chlebem i winem w czasie agapy, wieczerzy miłości, wymieniliśmy ze sobą święty pocałunek. Ale pani Tulia kazała śledzić twego ojca. Zebrała przeciwko mnie dowody i właśnie doniosła, że jestem zamieszana w bezwstydną tajną obrzędność wschodnią.

Natychmiast zrozumiałem, skąd Klaudia wiedziała o fałszywych naukach żydowskich. Osłupiałem krzyknąłem:

- Na wszystkich bogów Rzymu! Czyżby mój ojciec i tutaj uczestniczył w tajnych związkach chrześcijańskich? Sądziłem, że od wyjazdu z Antiochii uwolnił się od tych bredni!

- Minutusie, to nie są brednie, tylko droga do prawdy i wiecznego życia - stara kobieta patrzyła na mnie dziwnie błyszczącymi oczyma. - Nie wstydę się wierzyć, że Żyd, Jezus Nazarejski, był i jest Synem Boga. On objawił się twemu ojcu w Galilei, więc Marek Manilianus może nam opowiedzieć o nim więcej niż ktokolwiek inny. Małżeństwo z żadną władzą Tulią uważa za karę za swoje grzechy. Odrzucił pychę i tak jak ja przyjął święty chrzest. Oboje nie wstydzimy się tego, chociaż w gromadzie chrześcijan nie ma wielu ludzi zamożnych ani szlachetnie urodzonych.

Przerażająca wiadomość zamknęła mi usta. Klaudia, która zauważyła mój ponury, oskarżycielski wzrok, usprawiedliwiała się:

- Ja nie zostałam ochrzczona, choć słuchałam ich nauk w żydowskiej dzielnicy po tamtej stronie Tybru. Ich tajne obrzędy i święty posiłek uwalniają od wszystkich grzechów.

- To są złoczyńcy - krzyknąłem w gniewie - wieczni awanturnicy, siewcy niepokoju, warchoły! Widziałem to w Antiochii! Prawdziwi Żydzi nienawidzą ich bardziej niż dżumy!

- Nie trzeba być Żydem, żeby wierzyć, że Jezus Nazarejski jest Synem Boga - wyjaśniała Paulina.

Ale ja nie miałem ochoty na podejmowanie teologicznych rozważań. Wprost ślepiłem z gniewu na myśl, że ojciec ostatecznie upadł, stając się zwolennikiem godnych pogardy chrześcijan.

- Ojciec zwykle w pijanym widzie użala się nad sobą - powiedziałem surowo. - Wystarczy mu byle co, aby tylko urwać się spod władzy pani Tulii. Ale przecież własnemu synowi mógł powiedzieć o swym żalnym położeniu!

Niepomiernie dziwiło mnie, że ta nowa, zgubna i zabobonna wiara rozprzestrzeniła się w Rzymie, kolebce wojowników. Gadania ojca w Antiochii nie traktowałem poważnie. Jeśli chodzi o Klaudię, ta dziewczyna nie miała nic do stracenia, mogła szukać pociechy w nowych wierzeniach. Po raz pierwszy odczułem coś w rodzaju szacunku dla siły chrześcijaństwa, gdy zobaczyłem, że zainteresowała się nim tak wysoko postawiona kobieta jak Paulina Plaucja.

- Tuż przed waszym przyjściem - oświadczyła Plaucja, która z dezaprobatą potrząsała głową, kiedy bez szacunku mówiłem o swoim ojcu - otrzymałam wiadomość, że cesarz, chroniąc reputację mego męża, nie wyraził zgody na publiczny przewód sądowy przeciwko mnie. Aulus Plaucjusz i ja jesteśmy zaślubieni wedle tradycyjnego rytuału, więc Klaudiusz postanowił oddać mnie pod sąd rodzinny, któremu przewodniczyć będzie Aulus po powrocie z Brytanii. Kiedy tu wchodziliście, właśnie zastanawiałam się, w jaki sposób mogłabym go zawiadomić, zanim zaczną do niego docierać różne plotki i wyolbrzymione oskarżenia. Sumienie mam czyste, nie uczyniłam niczego złego, niczego, co przynosi hańbę. Czy mógłbyś niezwłocznie ruszyć do Brytanii? I czy weźmiesz list do mojego męża, Minutusie?

Nie miałem najmniejszej ochoty odgrywać roli posłańca wiozącego słynnemu wodzowi rzymskiemu niemiłe wiadomości rodzinne. Rozumiałem aż za dobrze, że w ten sposób nie zaskarbię sobie jego przychylności. Ale ciepłe spojrzenie starej kobiety oczarowało mnie. Pomyślałem, że chyba jestem jej coś dłużny, bo to właśnie przez ojca popadła w tarapaty, a przecież prawo rodzinne, stosowane wobec małżeństw zawartych według tradycyjnego rytuału, umożliwiało Aulusowi Plaucjuszowi skazanie jej nawet na śmierć.

- Taki chyba mój los - oświadczyłem. - Jestem gotów wyjechać już jutro; wezmę list, jeśli napiszesz w nim, że nie jestem zamieszany w wasze zabobony.

Obiecała to i natychmiast zabrała się do pisania listu. Po namyśle doszedłem do wniosku, że jeśli pojedę wierzchem na Arminii, to podróż będzie trwała bardzo długo, bo przecież od czasu do czasu trzeba dać koniowi wypocząć. Paulina powiedziała, że wyposaży mnie w odznakę kuriera dowódcy legionu, jadącego z ważnymi informacjami. Ta odznaka, zawieszona na puklerzu, upoważnia do korzystania z cesarskich koni i powozów pocztowych, jakbym był podróżującym senatorem. No tak, Paulina była przecież małżonką naczelnego wodza Brytanii i mogła to zrobić. Ale w rewanżu zażądała ode mnie jeszcze jednej przysługi:

- Na zboczu Awentynu mieszka Akwila, rzemieślnik, który szyje namioty. Idź do niego wieczorem, kiedy już będzie ciemno. Powiedz mu, albo jego żonie Prysce, że mnie zdradzono, a już oni będą mieć się na baczności. Gdyby ktoś obcy wypytywał cię, po co tam idziesz, to musisz powiedzieć, że wysłano cię dla odwołania zamówienia. Nie mogę tam wysłać żadnego z niewolników, bo w związku z donosem mój dom jest obserwowany.

W duchu kląłem na to wciąganie mnie w ohydne knowania chrześcijańskie, ale Paulina dotknęła palcami mego czoła i piersi, błogosławiąc w imię

Jezusa Nazarejskiego, więc krępowałem się odmówić. Powiedziałem, że pójdę na Awentyn, a jutro rano, gotów do wyjazdu, wstąpię po list.

Pożegnaliśmy się, wyszliśmy i Klaudia zaczęła ciężko wzdychać, ale ja już żyłem nieoczekiwaną decyzją i perspektywą podróży, która mogła rozwiązać wszystkie moje problemy. Wiedziałem, że powinienem był wstąpić do świątyni Herkulesa i złożyć ofiarę za pomyślność wyprawy, ale nie miałem na to ochoty. Nie czułem przywiązania do tradycyjnych bogów rzymskich, chociaż właściwie jako Rzymianin powinienem być dumny, że należę do najbardziej pobożnego narodu świata. Pocieszałem się myślą, że filozofia pomaga żyć i umierać po męsku bez uciekania się do zabobonów. Pod pojęciem zabobonu rozumiałem wierzenia Żydów i chrześcijan, a nie prastare bóstwa Rzymu.

Mimo oporów Klaudii zażądałem, aby weszła do domu i przedstawiłem ją cioci Lelii jako moją przyjaciółkę.

- Skoro mój ojciec został godnym pogardy chrześcijaninem - powiedziałem - to ty nie masz czego się wstydić w naszym domu. Przecież jesteś córką cesarza i pochodzisz z wielkiego rodu!

Ciotka Lelia potrafiła robić dobrą minę do złej gry. Pokonawszy zdumienie chwyciła Klaudię w ramiona, pilnie się jej przyjrzała i stwierdziła:

- Wyrosła z ciebie zdrowa i dziarska młoda kobieta. Widywałam cię wielokrotnie, gdy byłaś małą dziewczynką i pamiętam, że cesarz Gajusz, ten czarujący chłopak, zawsze nazywał cię kuzynką. Ojciec zachował się w stosunku do ciebie obrzydliwie, ale co na to mogła poradzić Plaucja Paulina? Czy naprawdę własnoręcznie strzyżesz owce w jej posiadłości wiejskiej za murami miasta, jak mi opowiadano?

- Pogadajcie ze sobą - zaproponowałem. - O ile wiem, kobiety zawsze mają sobie coś do powiedzenia. Pójdę zobaczyć się z moim prawnikiem i z ojcem, bo jutro rano wyjeżdżam do Brytanii.

Ciocia Lelia wybuchnęła płaczem i lamentowała, że Brytania jest zamgloną, mokrą wyspą, a jej straszliwy klimat rujnuje zdrowie tych, którzy unoszą cało głowy z bitew z pomalowanymi w niebieskie pasy barbarzyńcami. W czasie triumfu cesarza Klaudiusza widziała w cyrku krwawą i podstępą walkę dwóch oddziałów wojowników brytyjskich. Rozgrabiono i spalono specjalnie odtworzone miasteczko brytyjskie i ciocia wyraziła przekonanie, że jeśli owo miasteczko wiernie odbijało rzeczywistość, to w Brytanii są nikłe szanse na zdobycie łupów wojennych.

Zostawiłem cioci Klaudię, żeby ją pocieszała, poszedłem do prawnika po pieniądze, a później do domu pani Tulii. Przyjęła mnie wyniośle i rzekła:

- Twój ojciec w napadzie chandry jak zwykle zamknął się w swoim pokoju i nie chce nikogo widzieć. Do mnie od wielu dni nie przemówił ani słowa. Polecenia dla służby wydaje kiwnięciem głowy albo ręki. Spróbuj namówić go, żeby przemówił, nim stanie się kompletnym niemową!

Pocieszyłem ją stwierdzeniem, że takie same fochy stroił w Antiochii. Kiedy dowiedziała się o mojej podróży do Brytanii i wstąpieniu do armii, ożywiła się i pochwaliła mój plan:

- To jest mądra myśl! Mam nadzieję, że przysporzysz ojcu splendoru! Na próżno usiłowałam zainteresować go sprawami państwowymi. W

młodości studiował przecież prawo, ale teraz wszystko wywietrzało mu z głowy. Twój ojciec jest zbyt leniwy i nieporadny, żeby zdobyć godną siebie pozycję.

Wszedłem do pokoju ojca. Siedział trzymając się za głowę i popijał wino z ukochanej drewnianej czarki. Spojrzał na mnie przekrwionymi oczyma. Starannie zamknąłem za sobą drzwi i powiedziałem:

- Pozdrowienia od twojej przyjaciółki Pauliny Plaucji! Przez twoje święte pocałunki popadła w tarapaty i została oskarżona o zgubne zabobony! Jadę i wiozę jej mężowi tę wiadomość. Przyszedłem cię prosić, abys mi złożył życzenia szczęśliwej podróży. Nie wiem, czy w ogóle stamtąd wrócę, bo zamierzam wstąpić do armii i odbyć służbę wojskową w Brytanii.

- Nie pragnąłem dla ciebie kariery żołnierza - wyjąkał ojciec - ale może to lepsze niż życie wśród ladacznic w tym Babilonie! Wiem, że Tulia z głupiej zazdrości sprowadziła nieszczęście na Paulinę, a przecież to ja powinienem być oskarżony! Ochrzcilem się i kładli ręce na mojej głowie, jednak Duch na mnie nie zstąpił. Już nigdy ani słowem nie odezwę się do Tulii!

- Ojcze, czego właściwie pani Tulia chce od ciebie?

- Chce, żebym został senatorem - odpowiedział potulnie. - Ciągłe się tego domaga. To prawda, że mam posiadłości ziemskie w Italii i wystarczająco szlacheckie pochodzenie, aby zostać członkiem senatu. Tulia korzysta z przywilejów, jakie odpowiednia ustawa przyznaje matkom trojga dzieci, chociaż nigdy nie pofatygowała się, by urodzić choć jedno. W młodości ją kochałem. Pojechała za mną do Aleksandrii i nigdy mi nie wybaczyła, że wybrałem wówczas twoją matkę, Myrinę. Teraz codziennie wbija szpilki w moje czułe punkty, jak wbija się włócznią w kark byka, i wyrzeka na mój brak ambicji. Zrobi ze mnie nałogowego pijaka, jeśli nie podporządkuję się jej woli i nie postaram się o wejście w skład senatu. Synu mój, Minutusie! Nie ma we mnie wilczej krwi, choć mówiąc prawdę wielu gorszych ode mnie siedzi w krzesłach z kości słoniowej i nosi czerwone buty. Wybacz mi, synu! Chyba rozumiesz, że nie miałem innego wyjścia, jak tylko zostać chrześcijaninem!

Nie mogłem sobie wyobrazić mego ojca w todzie z szerokim purpurowym szlakiem. Z goryczą powiedziałem:

- Cesarz Gajusz mianował senatorem swego konia, że zaś stare rzymskie rody wygasają jeden po drugim, przeto cesarz Klaudiusz zamierza zaliczyć w skład senatu barbarzyńskich Galów. Ale po co robić senatora z takiego mężczyzny-baranka jak ty, tego zupełnie nie rozumiem. Sam mnie ostrzegalesz, że kto się pnie zbyt wysoko, ten prędko spadnie na dół.

Ogarniała mnie coraz większa litość, gdy patrzyłem na opuchniętą twarz i niespokojne oczy ojca. Zrozumiałem, że żyjąc w domu pani Tulii musiał schronić się do swojej skorupy. Ale uważałem, że dla jego zdrowia psychicznego udział w posiedzeniach senatu byłby o wiele korzystniejszy niż zajmowanie się potajemnymi związkami chrześcijan.

Jakby wyczuwając tok moich myśli, ojciec spojrzał na mnie i powiedział:

- Muszę zrezygnować z uczęszczania na agapy, bo mógłbym tylko

przynieść chrześcijanom kłopoty, jak przyniosłem je Paulinie. Rozwścieczona Tulia przysięgła, że jeśli nie zerwę z nimi, doprowadzi do wypędzenia ich z Rzymu. A wszystko przez niewinny pocałunek, który wedle zwyczaju składamy sobie po świętym posiłku. Jedź do Brytanii. - Wyciągnął ku mnie swój ukochany drewniany puchar. - Już czas, abyś przejął spadek po swojej nieboszczce matce. Boję się, że Tulia w złości mogłaby spalić tę czarę. Wkrótce minie osiemnaście lat od czasu, gdy Jezus Nazarejski pił raz z niej po swoim zmartwychwstaniu, kiedy chodził po Galilei na przebitych gwoździemi nogach i z bliznami po chłóście na plecach. Nigdy nikomu nie oddaj tego pucharu! Może matka stanie ci się bliższa, skoro będziesz pił z niego? Ja nie umiałem być dla ciebie takim ojcem, jakim chciałbym być.

Wziąłem drewnianą czarę, o której wyzwoleńcy mego ojca w Antiochii myśleli, że jest naczyniem bogini Fortuny. Pomyślałem, że nie zdołała ustrzec mego ojca przed panią Tulią, mimo że ojciec nie uważał tego wspaniałego domu, luksusu ani nawet tytułu senatora za rzeczy dla niego ważne. Zarazem jednak odczuwałem cichy szacunek do tego starego pucharu, który oto przejąłem na własność.

- Uczyni mi jeszcze przysługę - prosił pokornie mój ojciec. - Na zboczu Awentynu mieszka rzemieślnik, który szyje namioty...

- Nazywa się Akwila - przerwałem mu nie bez ironii. - Właśnie mam mu przekazać wiadomość od Plaucji Pauliny, więc od razu poinformuję, że i ty rezygnujesz z ich towarzystwa.

Cała oschłość i gorzyc spłynęły ze mnie, gdy wziąłem w dłonie drewnianą czarę. Objąłem ojca i przytuliłem się do niego, aby ukryć płynące łzy. On też ścisnął mnie mocno. Potem rozstaliśmy się, nie patrząc już na siebie.

Pani Tulia czekała na mnie, z godnością zasiadając na szerokiej ławie pani domu. Patrząc na mnie z ukosa zaleciła:

- Strzeż swojej drogiej głowy w Brytanii, Minutusie! Dla twego ojca ważne jest, że jego syn służy państwu i dobru ogółu. Nie lubiłam ciebie, bo wyglądasz na przewrotnego i zamkniętego w sobie. Lecz jeśli dasz się poznać w Brytanii z dobrej strony, to po twoim powrocie zorganizuję ożenek, który powiąże cię z jakimś starym rzymskim rodem, a wtedy przyszłość będziesz miał zagwarantowaną. - Dała mi w podarku sakiewkę z pięćdziesięcioma złotymi monetami mówiąc: - Nie bardzo orientuję się w życiu żołnierskim, ale mam wrażenie, że młody rekrut szybciej awansuje, jeśli szczerze częstuje winem i gra w kości w gronie swoich zwierzchników, niż kiedy uczestniczy w niebezpiecznych wyprawach. Nie oszczędzaj zbytnio pieniędzy, raczej zaciągaj długi. Dopiero wtedy uznają cię za prawdziwego mężczyznę!

Oczywiście nie mogła wiedzieć, że zawsze, od dziecka, pragnąłem udowodnić sam sobie, że potrafię coś osiągnąć bez powoływania się na majątek czy pochodzenie. Pięknie podziękowałem za dar i kornie prosiłem, aby dbała o zdrowie mego ojca.

- Zdrowie twego ojca jest dla mnie najważniejszą sprawą na świecie tak długo, jak będzie postępował wedle moich życzeń - zapewniła pani Tulia.

Wracając do domu wstąpiłem do świątyni Kastora i Polluksa i zgłosiłem

kuratorowi konnicy swój wyjazd do Brytanii. W domu ciotka Lelia i Klaudia wybierały mi najlepszą wełnianą bieliznę dla osłony przed chłódami Brytanii. Przygotowały olbrzymią stertę różnego odzienia - musiałbym mieć chyba kolasę do przewiezienia tego wszystkiego! Nie zamierzałem brać ze sobą nawet ekwipunku rycerskiego, oczywiście poza mieczem. Uważałem, że w obcym kraju i nie znanych mi warunkach najlepiej będzie, jeśli wyposażę się na miejscu, zgodnie z tamtejszymi zwyczajami. Barbus przestrzegał mnie przed kpinami, na jakie narażają się rzymscy mamisynkowie, taszczący ze sobą niepotrzebne rupiecie.

W znojny i parny jesienny wieczór, gdy niebo niespokojnie poczerwieniało, odnalazłem rzemieślnika szyjącego namioty, Akwilę. Musiał być zamożnym człowiekiem, miał dużą tkalnię. Podejrzliwie wyszedł do drzwi i rozejrzał się w obawie przed szpiegami. Liczył sobie około czterdziestu lat i wcale nie był podobny do Żyda. Nie nosił brody ani nie miał frędzli przy płaszczu, dlatego wziąłem go za wyzwoleńca Akwili. Klaudia, która uparła się i poszła ze mną, powitała go jak starego znajomego. Gdy Akwila usłyszał moje nazwisko i pozdrowienia od ojca, przestał się bać, chociaż w jego oczach widniał taki sam niespokojny wyraz, jaki miały oczy mego ojca. Czoło Akwili przecinały pionowe zmarszczki, jakby był augurem lub wróżbitą.

Przyjaźnie zaprosił nas do wnętrza domu, a jego żona, Pryska, natychmiast chciała nas częstować owocami i napojem. Sądząc po nosie Pryska była rodowitą Żydówką, kobietą energiczną i gadatliwą, w młodości na pewno piękną. Oboje bardzo się przejęli oskarżeniem Pauliny o zabobony oraz podjętym przez ojca postanowieniem przerwania kontaktów z ich tajnym związkiem, aby im nie przysporzyć kłopotów.

- Mamy wrogów i ludzi zawistnych - przyznali. - Żydzi nas prześladują, wyganiają z synagogi i biją na ulicy. Pewien wpływowy Samarytanin, Szymon mag, także gorąco nas nienawidzi. Ale osłania nas Duch, który wkłada nam w usta właściwe słowa, więc nie musimy się obawiać żadnej mocy ziemskiej.

- Przecież nie jesteś Żydem - zwróciłem się do Akwili.

- Jestem obrzezanym Żydem, urodziłem się w Trapezuncie, w południowo-wschodnim zakątku wybrzeża Morza Czarnego - roześmiał się. - Moja matka była Greczynką, ojciec zaś przyjął chrzest w Jerozolimie podczas święta pięćdziesiątnicy. Mieszkałem w Poncie, ale gdy zaczęły się awantury, bo jedni chcieli składać ofiary cesarzowi przed synagogą, a drudzy byli temu przeciwni, przeniosłem się do Rzymu. Zamieszkałem w dzielnicy ubogich na stoku Awentynu, wśród Żydów, którzy przestali wierzyć, że przestrzeżenie praw Mojżesza uwolni ich od grzechów.

- Najbardziej nienawidzą nas Żydzi z tamtego brzegu, ponieważ ludzie chętniej wybierają naszą drogę, uważając ją za łatwiejszą - wyjaśniała Pryska. - Nie sądzę, aby nasza droga była łatwiejsza. Mamy jednak łaskę i tajemną wiedzę.

Nie byli ludźmi nieprzyjemnymi i nie dostrzegałem w nich tak charakterystycznej dla Żydów pychy. Klaudia przyznała się, że wraz z Pauliną słuchała ich nauk. Podobno niczego nie ukrywali. Każdy mógł do nich przyjść i uczestniczyć w zebraniach, w czasie których często wpadali

w ekstazę i przemawiali nieznanymi językami. Tylko uczestnictwo w agapach było zastrzeżone dla wybranych, ale podobnie było z obrzędami Syryjczyków i Egipcjan, z którymi także można się było zetknąć w Rzymie.

Akwila i Pryska zapewniali, że każdy człowiek, niewolnik czy wolny, biedny czy bogaty, mądry czy głupi jest równy przed ich Bogiem. Wszystkich uważali za swych braci i siostry. Nie uwierzyłem temu tak do końca, bo za bardzo się zmartwili na wieść o zerwaniu z nimi mojego ojca i Pauliny Plaucji. Klaudia stwierdziła, że Paulina w głębi serca nie zrywa z nimi, ale pragnie chronić opinię swego męża.

Zrobiło się późno. Odprowadziłem Klaudię do domu Plaucjuszów. Po drodze powiedziała:

- Może mi nie uwierzysz, ale w głębi serca jestem bardzo wierząca. Bardziej niż kształt moich uszu dowodzi to, że jestem córką Klaudiusza. Bogowie nie są nigdzie tak blisko codziennego życia ludzi, jak u Rzymian. Co chwila przemawiają znakami i sygnałami, jeśli tylko potrafisz odczytać ich tajny język. Mimo to, od kiedy słuchałam chrześcijan, zaczęłam sądzić, że ich Duch jest chyba jeszcze bliżej człowieka. Jeżeli poddasz się jego władzy, to już nie trzeba niczego się bać ani zgadywać. Służąc bogom rzymskim nigdy nie jest się zupełnie pewnym, czy ofiarę złożono w sposób właściwy i czy rytualne słowa, których nawet kapłani nie rozumieją, wyrzeczono prawidłowo. Przepowiednie z lotu ptaków lub kształtu wątroby zależą od umiejętności augurów i wróżbitów. Bardzo wiele razy przebieg późniejszych wydarzeń ujawniał błędność przepowiedni - i po czasie można było tylko dziwić się, że tak źle zinterpretowali wieszce znaki. A pod władzą Ducha wszystko przebiega prosto, słusznie i zgodnie z celem.

Nie miałem zamiaru z nią dyskutować. Klaudia wsunęła dłoń w moją rękę i szczerze przyznała:

- Poza tobą, Minutusie, nie mam nic do stracenia. Chyba dlatego odczuwam skłonność do tej obcej zabobonnej wiary. Być może ten sam powód, dla którego opluwam pomniki Klaudiusza, odstręcza mnie od rzymskich bogów, którym on usiłuje przywrócić dawną chwałę. W czasie wizyty u tych dwojga godnych zaufania ludzi poczułam potrzebę modlenia się do ich niewidzialnego Boga, aby cię osłaniał od niebezpieczeństw w czasie podróży, ochraniał w Brytanii i abyś do mnie kiedyś wrócił.

- O ile wiem - roześmiałem się - żydowskiemu Bogu można składać ofiary tylko w ich świętym mieście, Jeruzalem! Musiałabyś wysłać dużo pieniędzy, aby usłyszał twoje modły.

- Chrześcijanie nie żądają żadnych ofiar - odparła z przekonaniem Klaudia. - Trzeba tylko wypełniać wolę Boga zgodnie z nauczaniem Jezusa Nazarejskiego. Wystarczy oddać się władzy Ducha, a On będzie się modlił za ciebie.

- Rzeczywiście dziwna wiara - stwierdziłem ze śmiechem. - Wydaje się być mniej kosztowna nawet od składania w ofierze glinianych posążków zwierząt, jak to robią najubożsi.

Następnego dnia rano otrzymałem wierzchowca i odznakę kuriera. Paulina wręczyła mi list do Aulusa Plaucjusza, a Klaudia płakała.

Popędziłem przez Italię i Galię starym żołnierskim szlakiem.





Księga 3

Brytania

Przybyłem do Brytanii u progu zimy, przygnębiony mgłą i lodowatymi deszczami. Jak wiadomo wszystkim, którzy tam bywali, Brytania każdemu może popsuć nastrój. Tam w ogóle nie ma miast, nawet takich, jakie istnieją bodaj w północnej Galii. Kto nie zemrze na zapalenie płuc, to z całą pewnością nabawi się dozgonnego reumatyzmu, jeśli wcześniej Brytowie nie poderzną mu gardła gdzieś w zaroślach głogu, albo nie oddadzą druidom, żeby mogli odczytać z rzymskich trzewi losy tubylczych plemion. Tak zapewniali mnie legionieści, którzy przecież służą trzydzieści lat.

Aulusa Plaucjusza zastałem w Londinium - to taki ośrodek handlu nad brzegiem rwącego potoku. Znajdowało się tam kilka domów, wzniesionych w rzymskim stylu, więc wódz obrał go na kwaterę główną. Po przeczytaniu listu od żony wcale nie stracił humoru, choć spodziewałem się tego. Przeciwnie, parsknął śmiechem i ręką trzepnął kolano. Przed dwoma tygodniami otrzymał poufny list od Klaudiusza - cesarz przyznał mu odznaki triumfalne. Teraz więc przygotowywał się do zakończenia swoich spraw w Brytanii: na wiosnę postanowił zrezygnować z dowodzenia i wrócić do Rzymu.

- Ach, więc mam zwołać całą rodzinę, aby osądzić moją ukochaną żonę! - śmiał się tak, aż łzy mu z oczu płynęły. - Będę rad, jeśli Paulina nie wyskubie mi resztek włosów z głowy, gdy się dowie, jakie życie wiodłem w Brytanii. Kłopotów religijnych miałem tu pod dostatkiem, kiedy wycinałem święte gaje druidów. Musiałem pokryć koszty morskiego frachtu posągów bogów, aby odwieść tutejszych mieszkańców od ohydneho zwyczaju składania ofiar z ludzi. Na początku stale niszczyli te posągi, no i ciągle zrywali się do powstań. Wszystkie wschodnie zabobony są całkiem niewinne w porównaniu z tutejszymi. Oskarżenie Pauliny jest intrygą kochanych kolegów senatorów, zazdrosnych o moje wzbogacenie się, jako że od pięciu lat dowodzę czterema legionami. Jakby w tym kraju ktokolwiek mógł się wzbogacić! Jest zupełnie odwrotnie: pieniądze z Rzymu wpadają tu jak w studnię bez dna. Klaudiusz przyznał mi prawo odbycia triumfu, bo chce przekonać wszystkich o podbiciu Brytanii. A tak naprawdę - tego kraju nikt nigdy nie ujarzmi, tli się w nim stale zarzewie buntu. Jeśli w uczciwej bitwie pokonasz jednego z ich królów, to natychmiast jego miejsce zajmuje inny, nie liczy się z zakładnikami ani nie uznaje przymierza, zawartego przez tego pierwszego. To znów jakieś plemię zagarnia zdobytą przez nas ziemię i niszczy garnizon. Nie możemy

też rozbroić sprzymierzonych plemion, bo przecież muszą czymś się bronić przed swymi sąsiadami. Z radością wróciłbym do Rzymu i bez triumfalnych odznak, byle tylko opuścić ten zapomniany przez bogów zakątek ziemi!

Potem spoważniał, spojrzął na mnie srogo i zapytał:

- Czyżby w Rzymie przed twoim wyjazdem zdążyły rozejść się pogłoski o przyznaniu mi triumfu? Bo właściwie dlaczego taki młodziak jak ty miałby dobrowolnie oferować mi swoje służby? Widocznie niewielkim wysiłkiem pragniesz mieć udział w mojej chwale!

Głęboko urażony wyjaśniłem, że aż do tej chwili nie miałem o tym pojęcia, bo w Rzymie powszechnie twierdzono, że Klaudiusz z zawiści nikomu nie przyzna odznak triumfalnych za walki w Brytanii, skoro sam święcił triumf za jej podbicie.

- Przyjechałem do słynnego wodza uczyć się sztuki wojennej jako jego podwładny - powiedziałem. - Znudziło mnie jałowe ćwiczenie się w jeździe konnej.

- Tu nie ma koni o jedwabistej sierści ani zdobionych srebrem puklerzy - burknął nieprzychylnie Aulus. - Ani gorących łaźni czy zdolnych masażystów. Natomiast jest przeraźliwe wycie pomalowanych w niebieskie pręgi barbarzyńców, kryjących się w lasach, jest codzienny dławiący strach przed zasadzką, wieczny katar, nieuleczalny kaszel i stała tęsknota za domem.

I wiele nie przesadził, o czym przekonałem się w ciągu dwóch lat spędzonych w Brytanii. Kilka dni zatrzymał mnie w swoim sztabie, bo chciał się upewnić co do mego pochodzenia i wypytać o najnowsze rzymskie plotki, a także zapoznać mnie z lokalnymi warunkami i usytuowaniem legionów. Podarował mi skórzaną odzież, konia i broń, a także przyjacielską radę:

- Pilnuj swego wierzchowca, by go nie ukradli Brytowie. Oni walczą głównie na rydwanach wojennych, ponieważ ich kuce nie nadają się pod wierzch. My, Rzymianie, chętnie wcielamy plemiona sojusznicze do oddziałów pomocniczych. Mamy oddziały brytyjskich rydwanów wojennych. Ale nigdy nie ufaj Brytom! Nigdy nie odwracaj się do nich plecami! Bardzo chcą zdobyć rosłe konie bojowe i utworzyć własną konnicę. Klaudiusz zawdzięcza swoje zwycięstwo słoniom, których Brytowie nigdy wcześniej nie widzieli. Słonie rozwały brytyjskie zasieki z drewnianych bali i spłoszyły zaprzęgi bojowe. Teraz nauczyli się walczyć ze słoniami: ciskają im oszczepy w oczy albo obrzucają je płonącymi pochodniami. No, a słonie nie czują się tu dobrze, ostatni z tych, które przywiózł Klaudiusz, zdechł przed rokiem na zapalenie płuc. Skieruję cię do legionu Flawiusza Wespazjana, to najbardziej doświadczony i godny zaufania dowódca legionu. Jest powolny, ale nigdy nie traci panowania nad sobą. Pochodzenie ma bardzo niskie, a obyczaje prostackie, mimo to jest porządnym człowiekiem. Nie ma więc szans na osiągnięcie wyższego stanowiska, ale skoro tego pragniesz, nauczysz się przy nim wojować.

Flawiusza Wespazjana spotkałem nad brzegiem rozlewistej rzeki Antona; jego legion budował łańcuch drewnianych warowni mających gwarantować spokój w tej okolicy. Wódz liczył około czterdziestu lat, był

krępy, szerokoczoły, a jego zaciśnięte wargi świadczyły o poczuciu humoru. Stale chodził odęty, ale to była chyba poza, bo chętnie śmiał się głośno i wykpiwał własne wady, co nie jest cechą człowieka słabego. Sama jego obecność dawała poczucie bezpieczeństwa. Chytrze na mnie spojrzął i zawołał:

- Czyżby szczęście się do nas miało uśmiechnąć? No, no, młody ekwita z własnej i nieprzymuszonej woli szuka laurów w ponurych bagnistych lasach Brytanii! Nie, to chyba niemożliwe! Przyznaj się od razu, co nabroiłeś i jakie grzechy chcesz ukryć pod skrzydłami legionowego orła, to szybciej dojdziemy do porozumienia!

Po dokładnym zapoznaniu się z moim rodowodem i kręgami przyjaciół w Rzymie doszedł do wniosku, że może nie przyniosę mu ujmy, ale korzyści ze mnie na pewno mieć nie będzie. Z natury jednak życzliwy podjął się wdrażania mnie do trudów, surowości i wysiłków żołnierskiego życia. Na początek zabrał w podróż inspekcyjną, abym zapoznał się z krajem, i podyktował mi raport do Aulusa Plaucjusza, ponieważ niechętnie brał pióro do ręki. Kiedy się upewnił, że dobrze powoduję koniem i nie potykam się o własny miecz, przekazał mnie pod opiekę technika legionowego, abym zaznajomił się ze sztuką budowania drewnianych fortyfikacji.

Małe, odosobnione garnizony nigdy nie miały pełnej obsady. Część żołnierzy urządziła polowanie lub w inny sposób zdobywała prowiant, inni pracowali przy wyrębie drzew, a pozostali wznosili umocnienia. Na odchodnym Wespazjan przykazał mi pilnować, żeby żołnierze czyścili broń, a wartownicy czuwali, bo próżnowanie rozkłada dyscyplinę w wojsku i jest matką wszelkiego zła.

Po kilku dniach znudziło mnie obchodzenie obozu i wysłuchiwanie starych sprośnych kawałów legionowych. Chwyciłem topór i stanąłem do wyrębu. Przy wbijaniu pali kafarem brałem się do lin i razem z żołnierzami śpiewałem dla utrzymania rytmu uderzeń, nie bacząc na błoto, które nas ochlapywało od stóp do głów.

Wieczorami obydwóch centurionów i technika raczyłem winem, które po nieprzyzwoicie wysokiej cenie można było nabyć u wędrownych kupców. Ale często dołączałem też do grona oszpeconych bliznami weteranów, aby przy ognisku dzielić z nimi kaszę i solone mięsivo. Zmęźniałem, zdziczałem i nauczyłem się kłąć, a także nie przejmować złośliwymi pytaniami, jak dawno odstawiono mnie od matczynej piersi.

W naszym obozie stacjonowało dwudziestu żołnierzy konnicy galijskiej. Kiedy ich dowódca zorientował się, że nie zamierzam rywalizować z nim o władzę, zabrał mnie na wyprawę po prowiant, abym mógł zabić swego pierwszego Bryta. Po sforsowaniu rzeki wjechaliśmy w głąb lasu aż do wioski, której mieszkańcy skarżyli się na napady ościennych plemion. Broń trzymali w ukryciu, ale weterani piechoty, którzy podążyli za nami, umieli ją wykrywać pod polepami chałup albo w kupach nawozu. Skoro zaś znaleźli broń, zarekwirowali zboże i bydło, a mężczyźni, którzy usiłowali bronić dobytku, bezlitośnie zabili: twierdzili, że Brytowie nie nadają się na niewolników. Kobiety, które nie zdążyły się ukryć, zgwałcili sprawnie i z radosnym śmiechem.

Byłem przerażony tym bezmyślnym i bezsensownym wyniszczaniem. Dowódca konnicy śmiał się ze mnie i żądał, bym wziął się w karby i trzymał broń w pogotowiu. Twierdził, że wezwanie żołnierzy do ochrony wioski było zwykłą pułapką, co potwierdzał fakt ukrycia broni. I nie mylił się, bo z nastaniem świtu pomalowani w niebieskie pręgi Brytowie z wyciem zaatakowali wioskę ze wszystkich stron, mając nadzieję na zaskoczenie nas.

Nasze stráže czuwały i łatwo odparliśmy atak barbarzyńców - nie nosili oni żadnych puklerzy ochronnych, jak nasi legioniści. Ci sami weterani, którzy poprzedniego dnia buszowali po wiosce i którym obiecywałem nigdy nie darować ich postępów, teraz otoczyli mnie pierścieniem i troskliwie osłaniali w czasie walki wręcz. Wreszcie Brytowie uciekli, zostawiając jednego rannego. Powalony na kolana Bryt przeraźliwie jęczał, opierając się na skórzanej tarczy, i niemrawo poruszał mieczem. Weterani rozwarli szyk, wypchnęli mnie do przodu i ze śmiechem krzyczeli:

- Oto jest, zabijaj swego Bryta, kruszyno!

To było łatwe zadanie: osłonić się tarczą i zabić rannego, choć zbrojnego człowieka. Ciąłem go po szyi. Kiedy jednak umierał, obficie brocząc krwią, musiałem się odwrócić i zwymiotować. Wstyd mi było tej słabości, więc szybko dosiadłem konia i dołączyłem do Galów, którzy gonili uciekających i kryjących się po zaroślach Brytów, aż głos trąbki wezwał nas do powrotu.

Opuszczaliśmy wioskę zachowując wszelkie środki ostrożności z uwagi na możliwy kontratak, którego centurion był pewien. Teraz musieliśmy doprowadzić bydło i dowieźć upchane w wiklinowych koszach zboże do obozu. Przez całą drogę Brytowie nękali nas niespodziewanymi atakami. Cieszyłem się, że wyszedłem cało i mogę osłaniać innych, siedząc na końskim grzbiecie, ale uznałem, że takie wojowanie nie przyniesie mi zaszczytu.

Wreszcie przeprawiliśmy się przez rzekę i znaleźli pod osłoną naszych warowni. Straciliśmy dwóch żołnierzy i jednego konia, rannych zaś było wielu. Całkowicie wyczerpany poszedłem spać do swojej drewnianej chaty o glinianej polepie, ale co chwila zrywałem się, bo wciąż zdawało mi się, że słyszę wojenne wycie Brytów.

Nie miałem najmniejszej ochoty brać udziału w podziale zdobyczy wojennej, jaki się odbył następnego dnia, ale dowódca konnicy wśród żartów wychwalał moje zachowanie i zapewniał, że machałem mieczem jak dorosły, a ryczałem ze strachu prawie tak samo groźnie jak Brytowie, więc miałem do łupów takie samo prawo jak wszyscy inni. Sądzę, że przez specyficzne poczucie humoru stare wygi wypchnęli przede mnie związaną dziewczynkę, którą pochwycili na brzegu rzeki, wołając:

- To jest twoja zdobycz, żeby ci się nie cniło i żebyś nas nie rzucił, dzielny rycerzu, Minutusię-osesku!

Wściekły zawołałem, że nie chcę się stać pośmiewiskiem ani karmić niewolnicy, ale weterani udawali niewiniątka, wołając:

- Jeśli któryś z nas ją weźmie, to gdy tylko rozwiążemy jej ręce, wpakuje mu nóż w gardło! A ty jesteś dobrze wychowanym młodzieńcem i znasz grekę. Może polubi ciebie prędzej niż nas!

Skwapliwie udzielali rad co do sposobów wychowywania niewolnicy. Miałem ją bić rano i wieczorem dla samej zasady i żeby utemperować jej rogotą duszę. Podali mi jeszcze inne wypróbowane metody, ale nie mam zamiaru brudzić nimi czystego papirusu. Nadal upierałem się, że nie chcę żadnej niewolnicy, ale oni spochmurnieli i mówili:

- Nie pozostaje więc nic innego, jak tylko sprzedać tę dziewczynkę za kilka denarów wędrownemu handlarzowi. Możesz się domyślać, co ją wtedy będzie czekało.

Zrozumiałem, że nigdy bym sobie nie darował, gdyby z mojej winy to wystraszone dziecko biciem i głodem wykierowano na obozową prostytutkę. Niechętnie zgodziłem się przyjąć niewolnicę jako udział w podziale zdobyczy wojennych, wyprosiłem weteranów z chaty i oparłszy ręce na kolanach zacząłem się jej przyglądać. Dziecinna buzia dziewczynki była posiniaczona i brudna od sadzy, a rudawe włosy zlepionymi kosmykami opadały jej na oczy. Spoglądała na mnie spod tej grzywy, przypominając brytyjskiego żrebaka.

Rozśmieszyło mnie to porównanie, więc porozcinałem jej więzy i gestem zachęciłem, aby umyła twarz i zaplotła warkocze. Rozcierała napuchnięte nadgarstki rąk i tylko podejrzliwie patrzyła spode łba. W końcu posłałem po technika, który trochę znał miejscowy język. Technik śmiał się z tarapatów, w jakie się wpakowałem; zauważył też, że dziewczynka wygląda zdrowo i ma proste kończyny. Usłyszawszy znajomy język branka ośmieliła się. Jakiś czas żywo ze sobą rozmawiali, po czym technik powiedział:

- Ona nie chce się myć ani czesać, bo się ciebie boi. Jeśli ją tkniesz, to zaklina się na zajęczą boginię, że zabije cię.

Zapewniłem, że nie żywię wobec niej żadnych złych zamiarów, ale technik radził, aby upić dziewczynkę winem. Niecywilizowani Brytowie nie są przyzwyczajeni do wina, więc upiłaby się szybko i wówczas mógłbym z nią zrobić, co tylko zechcę. Muszę tylko uważać, żeby samemu się nie upić, bo inaczej dziewczyna, gdy wytrzeźwieje, poderżnie mi gardło. To właśnie się przydarzyło obozowemu garbarzowi, który popełnił ten błąd, że upił się razem ze swoją branką. Zniecierpliwiony powtórzyłem, że nie zamierzam tknąć dziewczynki. Technik jednak dalej marudził, że lepiej trzymać ją związaną, bo inaczej przy pierwszej okazji ucieknie do swoich. Wyjaśniłem, że niczego innego nie pragnę i poleciłem mu, by powiedział małej, że wieczorem przeprowadzę ją koło wartowników i puszcę na wolność.

Technik dziwnie mi się przyglądał. Już wcześniej zauważył - oświadczył - że muszę być niespełna rozumu, skoro będąc ekwitą dobrowolnie pracowałem wraz z żołnierzami, ale nie przypuszczał, że jestem aż taki głupi. Porozmawiał znowu z dziewczyną i powiedział:

- Ona nadal ci nie ufa. Boi się, że zaprowadzisz ją do lasu i tam zgwałcisz. Gdyby zaś udało jej się wymknąć z twoich rąk, to tutejsi Brytowie mogliby ją uwięzić jako zakładniczkę, bo pochodzi z innych stron. Nazywa się Lugunda. - Nagle zaśliny mu oczy, oblizał wargi i patrząc na dziewczynkę zaproponował: - Dam ci dwie srebrne monety za dziewczynę i uwolnisz się od niej.

Dziewczynka zauważyła jego spojrzenie, zerwała się na równe nogi i uchwyciła mojej ręki, jakbym był jej ostatnią ostoją. Jednocześnie wygłosiła długie, obfitujące w dziwne syki przemówienie. Technik tłumaczył, krztusząc się ze śmiechu:

- Dziewczyna twierdzi, że jeśli tkniesz ją wbrew jej woli, wówczas ponownie narodzisz się jako żaba. Ale wcześniej jej współplemieńcy rozetną ci brzuch i wyciągną z niego bebechy, a w tyłek wbiją ci rozżarzoną włócznię. Sam widzisz, że najmądrzej postawisz, jeśli odsprzedasz ją bardziej doświadczonemu mężczyźnie.

Była taka chwila, że chciałem ją dać technikowi w prezencie, ale zamiast tego cierpliwie zapewniłem jeszcze raz, że nie mam zamiaru jej tknąć, chcę tylko zatrzymać ją, jakby była brytyjskim żrebięciem. Żrebakom szcnotkuje się grzywy, a w chłodne noce narzuca na grzbiety czapraki. Wielu starych legionistów z nudów hodowało różne zwierzęta. Dziewczyna jest lepsza od psa, bo mogę się od niej nauczyć języka Brytów.

Nie mam pojęcia, czy technik dokładnie przetłumaczył moje słowa i czy w ogóle jego znajomość języka barbarzyńców była wystarczająca, aby mógł w nim wyrazić moją myśl. Prawdopodobnie powiedział jej, że obchodzi mnie tyle samo co koń czy pies, bo odskoczyła ode mnie i przystąpiła do mycia twarzy w drewnianej kadzi, jakby chciała udowodnić, że nie jest żadnym zwierzęciem.

Odprawiłem technika, a dziewczynie podałem kawałek mydła. Zdziwiła się, bo nigdy niczego takiego nie widziała. Prawdę mówiąc ja też poznałem je bardzo niedawno. W czasie podróży do Brytanii jeden z noclegów przypadł mi w galijskim mieście Lutecja, gdzie poszedłem do nędznej miejscowej łaźni. Akurat była to rocznica śmierci mojej matki i moich narodzin. Właśnie ukończyłem siedemnaście lat - ale nie otrzymałem życzeń od nikogo. No, i w tej łaźni doznałem zdziwienia, bo chudy niewolnik nacierał moje ciało mydłem! Miało lepsze właściwości oczyszczające niż pumeks, którym się dotychczas szorowałem. Przypomniałem sobie, że dostałem od pani Tulii pieniądze i za trzy złote monety kupiłem tego niewolnika razem z jego mydłem. Rano, przed wyjazdem z Lutecji, udałem się do urzędu miejskiego, opłaciłem podatek za wyzwolenie i dałem mu zgodę na używanie imienia Minucjusz. Kilka kawałków mydła, jakie od niego otrzymałem, przezornie trzymałem w ukryciu, bo zauważyłem, że takie nowinki wzbudzają pogardę wśród legionistów.

Dziewczynie bardzo spodobało się mydło, zapomniała o swoim strachu, umyła się i uczesała włosy. Nasmarowałem jej opuchnięte nadgarstki odpowiednią maścią. Ubranie miała w strzępach, bo wyrywała się, gdy ją chwytało w kolczastych krzewach. Od handlarza wędrownego kupiłem jej dwa przyodziewki - jeden lżejszy, drugi ciepły, wełniany. Od tej pory zaczęła chodzić za mną krok w krok jak wierny pies.

Szybko zauważyłem, że łatwiej mi przychodziło uczenie jej łaciny niżli poznawanie barbarzyńskiego języka, pełnego syczących dźwięków. W długie zimowe wieczory próbowałem nawet uczyć ją czytać przy świetle ogniska. Robiłem to dla zabicia czasu; kreśliłem litery na piasku, a ona je

odrysowywała. Jedynymi książkami w obozie były kalendarz centuriona i sennik chaldejsko-egipski, własność wędrownego kupca. Bardzo żałowałem, że nie wziąłem ze sobą czegoś do czytania. Za to nauczanie Lugundy przebiegało łatwiej i przyjemniej na podstawie pożyczonego od handlarza sennika, niż gdybym się posługiwał na przykład maleńką książeczką Seneki o spokoju ducha.

Śmiechem zbywałem sprośne uwagi weteranów na temat dziewczyny; wiedziałem, że są mi życzliwi. Uważali, że oswoiłem tę dzikuskę dzięki jakimś czarodziejskim sztuczkom. Oczywiście sądzili, że z nią sypiam, ja zaś nie wyprowadzałem ich z błędu, choć w rzeczywistości nie tknąłem dziewczyny. Wprawdzie miała już trzynaście lat, a w Rzymie wydawane są za mąż dziewczyny dwunastoletnie, ale ja sądziłem, że w północnych krajach barbarzyńskich kobiety rozwijają się wolniej i dłużej zachowują niewinność. Nie sądzę, że jej dziewictwo przeszkadzałoby mi, gdybym chciał ją zniewolić. Myślę jednak, że czuła dla mnie szacunek z powodu mej wstrzemięźliwości, a to sprawiało mi większą radość, niż gdybym się z nią przespał. Może zresztą wstrzymywało mnie również przyrzeczenie, jakie dałem Klaudii, że nie uczynię niczego podobnego bez uprzedzenia jej.

Lodowato zimne strugi deszczu bez przerwy lały się z nieba, drogi, w normalnych warunkach kiepskie, zmieniły się w nieprzejezdne grząskie bagniska, które po nocnych przymrozkach skuwał lód, trzaskający pod nogami. Życie obozowe zamarło.

Dwóch młodych Galów z oddziałów pomocniczych, którzy po trzydziestu latach służby mogli otrzymać obywatelstwo rzymskie, cichcem wkradło się do mej chaty, gdy uczyłem Lugundę. Najpierw tylko się przyglądali z otwartymi ustami, później głośno powtarzali łacińskie słówka. Zanim się spostrzegłem, zacząłem ich uczyć łaciny i sztuki pisania - szło to jakby za jednym zamachem. Awans w legionach jest uwarunkowany znajomością sztuki czytania i pisania; bez tabliczek woskowych nie można przecież prowadzić wojen!

W trakcie takiej lekcji szkolnej zaskoczył nas Wespazjan, który niespodziewanie zwizytował garnizon. Miał zwyczaj przyjeżdżać bez zapowiedzi, nie pozwalał nawet dawać sygnału alarmowego wartownikom, wszystko sam oglądał i badał tok dnia powszedniego w obozie. W ten sposób, uważał, dowódca uzyskuje rzetelniejszy obraz stanu legionu, niż gdyby uprzedził o swoim przybyciu.

Właśnie ze zdartego na strzępy sennika chaldejsko-egipskiego głośno czytałem, co znaczy oglądanie we śnie hipopotama i palcem wskazywałem na odczytywane słowa, zaś Galowie i Lugunda, pochyleni nad księgą, powtarzali za mną łacińskie wyrazy, kiedy wszedł Wespazjan. Ryknął takim śmiechem, że aż przysiadł i bił rękami kolana, a łzy ciurkiem płynęły mu z oczu. Wszyscy przestraszyliśmy się nie na żarty. Natychmiast stanęliśmy na baczność, a Lugunda schowała się za moimi plecami. Po śmiechu Wespazjana szybko zorientowałem się, że wcale nie jest zły.

Wreszcie powstrzymał śmiech i przypatrywał się nam ze zmarszczonymi brwiami. Młodzi Galowie byli schludni, a teraz przyjęli nienaganną postawę - musiał dojść do wniosku, że są dobrymi żołnierzami. Powiedział,

że ceni sobie ich chęć uczenia się łaciny i pisania, bo to lepszy sposób spędzania wolnego czasu niż pijaństwo czy rozróbę. Zniżył się nawet do tego, że opowiedział, jak to za czasów cesarza Kaliguli na własne oczy widział w amfiteatrze hipopotama; obrazowo objaśnił, jakie to potężne bydlę. Galowie oczywiście myśleli, że są to wymysły wodza i teraz oni śmiali się, choć nieco lękliwie. Nie popsuło to humoru Wespazjana, który kazał im przygotować rysz tunek do przeglądu.

Z szacunkiem poprosiłem, aby rozgościł się. Uczynił to z chęcią, rozejrzał się dookoła i zauważył z wyczuwalną zazdrością:

- Ależ umiałeś świetnie się urządzać, chłopcze!

Razem z pomocnikiem technika legionowego własnoręcznie ciąłem grube bale na deski do ułożenia podłogi i na meble. Na ścianach izby wisały ręcznie tkane kolorowe kilimy miejscowej roboty, stało kilka pięknych glinianych naczyń, a łóże z trzciniowym materacem nakrywała skóra niedźwiedzia, którego sam powaliłem włócznią. Do ogrzewania służyły naczynia z rozżarzoną węglą drzewnym.

- Oczywiście najlepiej, gdy wojownik przywyknie spać na gołej ziemi i czuje się dobrze nawet w świńskim chlewie - perorował Wespazjan. - Ale wówczas człowiek niestety nabawia się reumatyzmu do końca życia, przynajmniej tutaj, w Brytanii. Podobno własnoręcznie zabiłeś jednego Bryta, ale nie chciałeś uczestniczyć w innych wyprawach wojennych? Nie przypuszczałem jednak, że masz zacięcie do nauczania, przecież po przyjeździe tak zdecydowanie deklarowałeś chęć zdobycia sławy żołnierskiej. - Zarumieniłem się ze wstydu, a on ciągnął żartobliwie: - Wszyscy dowódcy i trybuni wojenni powinni potrafić wykonać każdą rzecz lepiej niż ich podwładny. Taki Korbulon, którego obecnie uważa się za znakomitego wodza, zyskał sobie renomę dzięki temu, że w pełnym ekwipunku przez pół dnia biegł równo z zaprzęgiem Kaliguli. No, on musiał biec, ale ty nie musiałeś brudzić rąk przy wyrębie drzew czy wbijaniu pali. Nie gniewaj się za te docinki! Żywię głęboki szacunek dla ludzi uczonych i ubolewam, że nie starczyło mi zdolności dla zdobycia porządnego wykształcenia. Gdy byłem edylem, cesarz Gajusz kazał obrzucić gnojem moją togę, bo jego zdaniem nie dopilnowałem dokładnego czyszczenia bocznych zaułków Rzymu. Byłem też pretorem, choć w zasadzie nie dysponowałem odpowiednim majątkiem dla piastowania tak wysokiego stanowiska.

Spytałem, czy mogę zaproponować mu trochę wina. Odrzekł, że chętnie u mnie chwilę wypocznie, bo zwizytował już obóz i rozstawił ludzi do roboty. Wydostałem więc ze skrzyni drewnianą czarę, którą uważałem za najcenniejsze naczynie. Wespazjan zdumiony obracał ją w ręku, mówiąc:

- Przecież masz prawo nosić złoty pierścień!

- Oczywiście posiadam srebrne naczynia, ale ta drewniana czara jest mi najdroższa, bo odziedziczyłem ją po mojej matce.

Wespazjan kiwnął pospiesznie głową i powiedział z aprobatą:

- Dobrze, że szanujesz pamięć matki. Ja mam po swojej babce srebrny kielich i używam go tylko w uroczyste dni, choć są tacy, co podkpiwają ze starego, pogiętego naczynia.

Nie żałował sobie wina, a ja szczerze mu dolewałem; tak już

przywykłem do nędznego życia legionowego, że w myśli obliczałem, ile też zaoszczędzi, pijąc na mój koszt. Te wyliczenia wcale nie wynikały ze skąpstwa, po prostu nauczono mnie, że za dziesięć miedzianych ropo - czyli dwie i pół sestercji - dziennie legionista ma się wyżywić, zadbać o czystą bieliznę i jeszcze coś odłożyć do kufra legionowego na swoje konto; z tego konta będzie mógł czerpać, jeśli zachoruje czy odniesie rany.

- Unikałem służby patrolowej, ale nie jestem tchórzem - wyjaśniłem korzystając z przychylności Wespazjana. - W moim mniemaniu bardziej godne mężczyzny jest powalenie włócznią niedźwiedzia niż zabicie rannego Bryta. Chętnie pójdę na prawdziwą wojnę, ale mordowania bezbronnych barbarzyńców, gwałcenia kobiet i rabowania tych nędznych wiosek nie uważam za uczciwe prowadzenie wojny. Zastanawiam się, czy taka polityka jest korzystna dla Rzymu?

- Koszty utrzymania legionu muszą być choć w części pokryte przez kraj, w którym stacjonuje wojsko - odpowiedział Wespazjan, powoli wstrząsając wielką głową. - Nigdy nie zmusilibyśmy barbarzyńców do szanowania pokoju rzymskiego, rzymskiego prawa i bogów rzymskich, gdybyśmy wcześniej nie wpoili im strachu przed nami. Wkrótce wiosenne słońce rozproszy angielskie mgły i wówczas mogą nastąpić dla nas trudne czasy. Aulus Plaucjusz przygotowuje się do wyjazdu na uroczystości triumfalne i zabierze do Rzymu oddziały najbardziej zasłużone, czyli najlepiej wyszkolone. Tych weteranów czeka ciężki przemarsz, będą więc żądali pieniędzy, aby opłacić kilka dni pijaństwa. Spośród dowódców legionów właśnie ja - zdobywca wyspy Vectis - najbardziej zasługuję na udział w triumfie. Jednakże ktoś musi się zatroszczyć o Brytanię, zanim cesarz nie mianuje nowego wodza na miejsce Aulusa Plaucjusza. Aulus obiecał i przysięgał, że jeśli zgodzę się zostać, wystara się dla mnie przynajmniej o odznaczenia triumfalne.

Pocierając zmęczone czoło, mówił dalej:

- Na ile to ode mnie będzie zależało, wyprawy łupieżcze się skończą i zaczniemy prowadzić politykę pokojową. Wówczas jednak od plemion podbitych i sojuszników będziemy musieli ściągać większe podatki; przecież trzeba utrzymać wojsko! To doprowadzi do wybuchu nowego powstania. No, do tego momentu upłynie trochę czasu, bo przecież Aulus Plaucjusz zabierze do Rzymu jako trofea wojenne zakładników: pokonanych królów i wodzów plemiennych. Zakładnicy przywykną do wygod cywilizowanego życia, a ich dzieci będziemy wychowywać w szkołach na Palatynie - i w rezultacie wyrzekną się ich rodziny i plemiona. W każdym razie możemy spodziewać się pewnego wytchnienia aż do czasu, gdy Brytowie między sobą ustalą, które rody wygrają rywalizację o władzę. Jeśli okażą dobry refleks, to mogą zorganizować powstanie już w czasie przesilenia letniego, na przykład w dzień ich święta religijnego. Tego dnia na kamiennej płycie wszystkie plemiona wspólnie składają ofiarę z jeńców. Ciekawe, że najbardziej żarliwie służą bogom królestwa zmarłych i bogini z twarzą sowy. Ale przecież sowa jest także ptakiem naszej Minerwy? - Zastanowił się chwilę nad tą zbieżnością i mówił dalej: - Stanowczo za mało wiemy o Brytanii, o jej różnych plemionach, języku, zwyczajach i bogach. Mamy niezłe rozeznanie w drogach, rzekach, brodach, górach,

lasach, strumieniach, wygonach i wodopojach, ponieważ zdobycie takich informacji jest pierwszym zadaniem mądrego wodza. Są wprawdzie kupcy wędrowni, którzy spokojnie handlują z różnymi - także wrogimi nam - plemionami, ale zazwyczaj Brytowie ograbiają każdego, kto tylko wyjdzie poza teren kontrolowany przez legiony. Wśród Brytów można spotkać ludzi wykształconych, którzy podróżowali do Galii i Rzymu i którzy znają łacinę, ale nie potrafiliśmy dotychczas dogadać się z nimi. Gdyby teraz ktoś zgromadził odpowiednio wiele prawdziwych informacji o Brytach, ich zwyczajach i wierzeniach; gdyby napisał rzetelną książkę o Brytanii, wyświadczyłby Rzymowi większą przysługę, niż gdyby dokonał podboju całego tego wyspiarskiego kraju. Boski Juliusz Cezar niewiele wiedział o Brytach, wierzył we wszystkie opowiadane o nich brednie; zresztą w swojej książce, pisanej na potrzeby propagandy, wyolbrzymiał własne zwycięstwa, zapominając, że w ten sposób mimo woli składa hołd Galom. Książka, o której myślę, powinna mieć charakter podręcznika informacyjnego, jej autor nie może niczego zmyślać, tylko opowiedzieć, co widział na własne oczy, albo o czym wie na pewno. Na przykład: plemiona, które toczą między sobą krwawe walki, mają tych samych bogów i wspólne miejsca, gdzie składają ofiary. Twierdzą, że ich bogowie i kamienie ofiarne mają tysiące lat i są starsze od naszych! To oczywiście nędzne wymysły, ale w księdze powinno znaleźć się stwierdzenie, że Brytowie naprawdę w to wierzą.

Znowu pociągnął wina z drewnianej czarki, jeszcze bardziej się rozochocił i perorował dalej:

- Na pewno z czasem będą musieli przejść zwyczaje i cywilizację Rzymu, ale podejrzewam, że gdybyśmy znali ich obyczaje, moglibyśmy ich szybciej i łatwiej cywilizować. To byłoby korzystne właśnie teraz, kiedy pragniemy pokojowego etapu podbojów, bo najlepsze oddziały opuszczą Brytanię i będziemy oczekiwać na przyjazd nowego niedoświadczonego wodza. Skoro zabiłeś Bryta, na pewno będziesz chciał wyjechać z Aulusem Plaucjuszem i wziąć udział w triumfie. Twoje pochodzenie upoważnia cię do tego. Dam ci rekomendację. Przynajmniej będę miał w Rzymie jednego prawdziwego przyjaciela. - Nagle zachmurzył się i rzekł z przygnębieniem: - Mój syn, Tytus, wychowuje się na Palatynie jako towarzysz nauki i zabaw Brytanika. Chciałem zagwarantować mu lepszą przyszłość, niż zdobyłem dla siebie. Może kiedyś będzie wodzem, który ostatecznie podbije Brytanię?

Z przyjemnością poinformowałem go, że widziałem Tytusa w towarzystwie Brytanika, kiedy uczyli się jazdy konnej przed uroczystościami jubileuszowymi. Wespazjan odparł, że nie widział swego syna już cztery lata i teraz też go nie zobaczy.

- Wielki szum, a pożytek niewielki z tego całego triumfu - skwitował z goryczą. - Bezsensowne trwonienie pieniędzy dla uciechy rzymskich próżniaków! Nie zaprzeczam, że i ja chętnie przeczłogałbym się kiedyś na klęczkach po stopniach świątyni Jowisza na Kapitolu w wieńcu laurowym na głowie. Któż z legionistów o tym nie marzy? Ale zalać się można i w Brytanii, z pewnością wyniesie to taniej.

Oświadczyłem, że jeśli mógłbym mu się przydać w Brytanii, to chętnie

zostanę pod jego dowództwem. Nie pałam chęcią uczestniczenia w odbyciu triumfu, na który niczym nie zasłużyłem. Wespazjan uznał to za wyraz wielkiego zaufania do swojej osoby, i wyraźnie się wzruszył:

- Im więcej piję z tej twojej drewnianej czarki, tym bardziej cię lubię - powiedział ze łzami w oczach. - Chciałbym, żeby Tytus wyrósł na człowieka podobnego do ciebie. Chyba mogę powierzyć ci tajemnicę?

Wyznał, że przed Aulusem Plaucjuszem, który zbiera jeńców, aby wystąpili w pochodzie triumfalnym i w walkach w amfiteatrze, ukrywa brytyjskiego kapłana. Aulus pragnąłby mieć druida w swym orszaku i pokazać go rzymskiej gawiedzi na arenie.

- Prawdziwy druid nigdy nie przystanie na udział w takiej zabawie - stwierdził Wespazjan. - Raczej niech Aulus przebierze kogokolwiek za kapłana; w Rzymie nikt nie dostrzeże różnicy. Mam zamiar - oczywiście po wyjeździe Plaucjusza - uwolnić kapłana i odesłać go do jego plemienia wraz z zapewnieniem o moich najlepszych zamiarach. Gdybyś był, Minutusie, wystarczająco odważny, mógłbyś udać się wraz z nim i poznać obyczaje Brytów. Dzięki jego pośrednictwu nawiązałbyś przyjacielskie kontakty z brytyjskimi młodymi arystokratami; druid gwarantowałby ci bezpieczeństwo. Podejrzewam, że ci nasi kupcy, którzy z powodzeniem handlują z Brytami, kupują u druidów za wysoką cenę jakieś znaki bezpieczeństwa, chociaż nigdy nie śmieli mi się do tego przyznać.

Wcale nie miałem ochoty na mieszanie się w sprawę obcej, przerażającej religii. Zastanawiałem się, czy nie prześladowuje mnie jakaś klątwa? Przecież i w Rzymie zostałem niemal przemocą wciągnięty w tajniki zabobonów chrześcijańskich! Zaufanie należy odwzajemniać - pomyślałem i opowiedziałem Wespazjanowi okoliczności mego wyjazdu do Brytanii. Strasznie rozśmieszyła go myśl, że małżonka bohatera uroczystości triumfalnych miała być przez niego skazana za udział w bezwstydnym zabobonach. Chcąc wykazać, że jest zorientowany w rzymskich plotkach, powiedział:

- Osobiście znam Paulinę Plaucję. O ile wiem, pomieszało się jej w głowie od czasu, gdy wykryto, że we własnym domu umożliwiała młodemu filozofowi - zdaje się, że się nazywa Seneka - schadzki z Julią, siostrą cesarza Kaliguli. Z tego powodu tamci oboje zostali wydaleny z kraju, a w końcu Julia straciła życie. Plaucja załamała się pod oskarżeniem o stręczycielstwo i dostała bzika; przywdziała żałobę i zamknęła się w samotności. Oczywiście, że w takiej sytuacji różne myśli mogły jej chodzić po głowie.

Lugunda przez cały czas siedziała skulona w kąciu i czujnie na nas patrzyła; uśmiechając się, kiedy ja się uśmiechałem i smutniejąc, gdy stawałem się poważny. Wespazjan spojrział na nią z roztargnieniem i nagle powiedział:

- Kobietom w ogóle mogą wpadać do głowy dziwne pomysły. Mężczyźni nigdy nie mogą być pewni ich zamiarów. Boski Cezar miał złe zdanie o brytyjskich niewiastach, ale on w ogóle nie cenił kobiet. Ja tam uważam, że kobiety są dobre i złe, zupełnie niezależnie od tego, czy i jak wysoko są cywilizowane. Mężczyzna nie może osiągnąć większego szczęścia niż przyjaźń dobrej kobiety. Twoja dzikuska jest jeszcze dzieckiem, ale

kto wie, czy nie będziesz miał z niej więcej pożytku, niż sądzisz. Zwrócili się do mnie przedstawiciele jej plemienia z propozycją wykupu dziewczyny. Czegoś takiego Brytowie nigdy nie robią! Współplemieńców, którzy dostają się do niewoli, uznają za straconych na zawsze.

Przez chwilę z niejakim trudem rozmawiał z dziewczyną w tubylczym języku. Niewiele z tego rozumiałem; Lugunda podeszła i przytuliła się do mego boku, jakby szukając opieki. Odpowiadała Wespazjanowi najpierw ze strachem, potem z ożywieniem; w końcu Wespazjan potrząsnął głową i znów zwrócił się do mnie:

- To też jest u Brytów beznadziejne. Te plemiona, które mieszkają na południowym wybrzeżu, mówią innym językiem niż te ze środka kraju, a ludzie z północy tylko z trudem mogą się porozumieć z mieszkańcami południa. Twoją Lugundę jeszcze jako niemowlę kapłani wybrali, aby pilnowała zajęcy. Jeśli dobrze zrozumiałem, druidzi wierzą, że potrafią prawidłowo określić, czy z małego dziecka wyrośnie kapłan! Organizacja druidów jest wysoce zhierarchizowana, aby osiągnąć kolejne stopnie muszą się uczyć przez całe życie. U nas osiągnięcie urzędu kapłańskiego jest dowodem zdobycia szacunku politycznego, natomiast u Brytów kapłan jest równocześnie lekarzem, sędzią, a nawet poetą - o ile barbarzyńcy mogą mieć poezję. Bardzo bym chciał kiedyś piastować w Rzymie urząd kapłański, aby poznać tajemnice służby naszym bogom. Nie jest to wcale takie proste, jak sądzą uczeni kpiarze. Uważam, że każdy człowiek, nawet taki, który osiągnął wysoką pozycję polityczną, powinien się bać i szanować rzymskich bogów. Ale może się mylę. I nie wiem, czy słusznie czynię, udzielając ci tych informacji, przecież jesteś tylko prostym, zdziczałym żołdakiem.

Sądzę, że Wespazjan wcale nie był taki nieokrzesany, jakiego udawał. Chyba ukrywał się za tą maską, aby w ten sposób zgłębiać pychę i zarozumialstwo innych. Nie wiedziałem dotychczas, że druidzi wyznaczyli Lugundę na kapłankę; oczywiście zauważyłem, że nie mogła przełknąć nawet kęsa zajęczego mięsa i strasznie ubolewała, kiedy chwytałem zające w sidła, ale uważałem to za jej kaprys, wiedziałem też, że różne rody i plemiona brytyjskie uważały rozmaite zwierzęta za święte; przecież u nas też kapłanowi Diany z Nemi nie wolno nie tylko dotknąć, ale nawet oglądać konia.

Pogadawszy jeszcze chwilę z Lugundą Wespazjan parsknął śmiechem, klepnął się po kolanach i zawołał:

- Ona wcale nie chce wracać do swoich, woli zostać u ciebie. Powiada, że nauczysz ją czarów, których nawet ich kapłani nie znają. Na Herkulesa, uważa cię za świętego, bo nawet nie usiłowałaś jej zniewolić!

Zirytowany fuknąłem, że nie jestem świętym, ale wiąże mnie pewna obietnica, zresztą Lugunda jest jeszcze dzieckiem. Wespazjan chytrze na mnie spojrzał, potarł szerokie policzki i zauważył, że żadna kobieta nie jest dzieckiem. Chwilę się namyślał, po czym powiedział:

- Nie mogę jej zmuszać do powrotu do swoich. Chyba powinniśmy pozwolić, aby zasięgnęła rady u zająca.

Nazajutrz Wespazjan przeprowadził przegląd obozu, po czym swoim zwyczajem szorstko przemówił do żołnierzy, żądając, aby odtąd zaprzestali

rozbijania czaszek i prześladowania Brytów.

- Każdy Bryt ma być dla was jak ojciec czy brat, Brytyjka jak matka, a nawet najbardziej kusząca dziewczyna - jak siostra! Czy rozumieliscie, cymbały?! Macie ich tak traktować! Machajcie zielonymi gałązkami, dawajcie podarunki, karmcie ich i dawajcie im pić! Dobrze wiecie, że wedle prawa wojennego za samowolną grabież grozi spalenie na stosie. Czyli strzeżcie się, żebym nie musiał przypalać waszej skóry! Pamiętajcie - ciągnął tocząc groźnym spojrzeniem - że jeszcze gorzej was przypiekę, jeśli pozwolicie Brytom ukraść choćby jeden miecz czy konia! Pamiętajcie, że to barbarzyńcy! Macie ich troskliwie uczyć naszych zwyczajów! Nauczcie ich grać w kości, pić wino, zaklinać się na rzymskich bogów. To będzie pierwszy krok do wyższej kultury! Jeśli Bryt walnie was po gębie, to nadstawcie do bicia jeszcze drugą stronę! Na Marsa, słyszałem o nowej zabobonnej religii, która tak każe czynić, choć w to nie uwierzycie! Jednak nie nadstawiajcie się tak zbyt często, raczej rozstrzygajcie spory w zapasach, biegach z przeszkodami albo ich zwyczajem grajcie w piłkę!

Rzadko słyszałem, aby legioniści tak pokładali się ze śmiechu, jak w czasie przemówienia Wespazjana. Szeregi kołysały się, ktoś nawet upuścił tarczę do błota. Wespazjan własnoręcznie wychłostał niezgrabę pożyczoną od centuriona laską, co wzbudziło jeszcze większą wesołość. Na koniec wódz celebrował przy obozowym ołtarzu, a czynił to tak uroczyście i tak nabożnie przestrzegał całego ceremoniału, że wszyscy przestali się śmiać. Złożył w ofierze wiele cieląt, owiec i świń, więc wszyscy się cieszyliśmy, że dobrze napchamy sobie brzuchy darmową pieczenią i głośno wysławialiśmy jego życzliwość.

Po przeglądzie wysłał mnie, abym od weterana, który dla zabawy trzymał w klatce zające, kupił jedno zwierzątko. Wsadził je za pazuchę i we trójkę - on, Lugunda i ja - poszliśmy głęboko w las. Wespazjan nie wziął eskorty, bo nie bał się niczego, zresztą obydwaj byliśmy w pełnym rynsztunku i z bronią. W lesie dał zająca Lugundzie; dziewczyna schowała go pod płaszcz i zaczęła szukać odpowiedniego miejsca. Tak nami bez wyraźnej przyczyny kręciła, że zacząłem się obawiać, czy nie wpadniemy w brytyjską pułapkę. W pewnej chwili kruk zerwał się przed nami do lotu kracząc głośno, ale na szczęście poleciał w prawo.

W końcu Lugunda zatrzymała się u stóp niebotycznego dębu. Okręciła się wkoło, pomachała rękami w różne strony świata, rzuciła w górę garść zbutwiałych żołędzi i sprawdziła, gdzie upadły, a wreszcie zaczęła mówić zaklęcia. Mówiła i śpiewała monotonnym głosem tak długo, że poczułem senność. Nagle wyrwała zająca z zanadrza, wyrzuciła go w powietrze i stojąc w miejscu, wyciągnięta do przodu, wpatrywała się za nim pociemniałymi z napięcia oczami. Zając co sił pomknął długimi susami wprost na północny zachód i zniknął w lesie. Lugunda rozplakała się, objęła mnie za szyję i przylgnęła do mnie, drząc z płaczu.

- Sam wybrałeś i kupiłeś zająca, Minutusie - powiedział Wespazjan. - Ja nie brałem udziału w tej transakcji. Jeśli dobrze zrozumiałem, zając żąda od Lugundy, aby natychmiast wracała do swego plemienia. Gdyby się zatrzymał i wsadził głowę w krzaki, to byłby zły omen dla wszystkich naszych zamierzeń. Na tyle znam się na wróżbach z użyciem zająca.

Po przyjacielsku poklepał Lugundę po ramieniu i coś do niej powiedział, wskazując na mnie. Lugunda uspokoiła się, zajaśniała uśmiechem i wielokrotnie ucałowała moją rękę.

- Obiecałem, że przeprowadzisz ją bezpiecznie na miejsce - wyjaśnił Wespazjan. - Trzeba pomyśleć jeszcze o kilku sprawach. Nie wyruszyście natychmiast, bo musisz się zaprzyjaźnić z tym więzionym druidem. Jesteś na tyle zwariowanym młodzianem, że możesz się przedstawić jako wędrowny sofista, który poszukuje mądrości w różnych krajach. Proponuję, żebyś przyodział się w kozłą skórę. Dziewucha poświadczy, że jesteś świętym mężem i druid cię ochroni. Oni święcie dotrzymują obietnic złożonych pod przysięgą w imię bogów królestwa umarłych. Jeśli ci to nie odpowiada, będziemy musieli znaleźć jakiś inny, a równie przekonujący sposób budowania podstaw pokojowej polityki.

Razem z Wespazjanem wmaszerowaliśmy do głównego obozu. Bardzo byłem zdziwiony, opuszczając naszą warownię, bo wielu ludzi, z którymi przeżyłem zimę, okazało mi przywiązanie - przecież na początku tak złośliwie się do mnie odnosili! Otrzymałem liczne małe upominki, nigdy nie bronili, bym się odgryzał, kiedy mi dokuczali i zapewniali, że płynie we mnie prawdziwa wilcza krew, mimo że znam grekę. Przykro mi było rozstawać się z nimi.

W chwili gdy weszliśmy do obozu legionu, powinienem zgodnie z regulaminem oddać honory orłu, ale zapomniałem o tym. Wespazjan ryknął z wściekłości, rozkazał haniebnie mnie rozbroić i osadzić w ciemnym karcerze. Zaskoczyła mnie jego srogość - aż do momentu, kiedy sobie uświadomiłem, że przecież chodzi o to, abym miał okazję poznać druida. Okazało się, że brytyjski kapłan nie miał jeszcze nawet trzydziestu lat, ale był ze wszech miar człowiekiem interesującym. Znał niezłe łacinę i nosił rzymskie szaty. Dostał się do niewoli, gdy w drodze powrotnej z wysuniętej najbardziej na zachód i okolonej oceanem części Galii jego statek szukał schronienia przed sztormem na znajdującym się w naszych rękach wybrzeżu Brytanii.

- Twój dowódca, Wespazjan, jest przebiegłym człowiekiem - powiedział z uśmiechem. - Wątpię, by ktokolwiek poza nim dostrzegł we mnie druida; nikt inny nie podejrzewałby nawet, że jestem Brytem, przecież nie maluję twarzy na niebiesko! Obiecał uratować mnie od ponizającej śmierci w rzymskim amfiteatrze; nie uczynię jednak niczego, by go zadowolić. Zrobię tylko to, co mi wyraźnie nakazują moje sny i znaki wieszczce. Oszczędzając moje życie Wespazjan nieświadomie realizuje wolę potężniejszą od swojej. Nie boję się męczeńskiej śmierci, jestem wszak wyświęcony.

U nasady kciuka wbiła mi się drzazga i ręka paskudnie mi spuchła. Druid prawie bezboleśnie wyjął drzazgę jedną ręką, gdy drugą uciskał mi nadgarstek. Po tym zabiegu długo trzymał moją obolałą i rozpaloną rękę między swoimi dłońmi. Nazajutrz stwierdziłem, że gdzieś zniknęło całe zaropienie, a nawet ślad po drzazdze!

- Wespazjan lepiej niż inni Rzymianie rozumie, że obecna wojna toczy się między bogami Brytów a bogami Rzymu - mówił druid. - Dlatego zabiega o zawarcie rozejmu między bogami. Uważam, że to jest bez

porównania mądrzejsze niż zawieranie przez Rzymian sojuszy politycznych z poszczególnymi plemionami. Nasi bogowie mogą sobie pozwolić na rozejm, ponieważ oni nigdy nie umrą; natomiast znaki wieszczce zapowiadają rychłą śmierć bogów Rzymu. Dlatego nigdy cała Brytania nie dostanie się pod władzę Rzymu, chociaż Wespazjan jest taki przebiegły. Oczywiście, każdy musi wierzyć w swoich bogów.

Usiłował również bronić przerażającego obyczaju składania ofiar z ludzi:

- Duszę można kupić tylko za cenę duszy. Gdy zachoruje człowiek ze znamienitego rodu, to dla odzyskania zdrowia składa w ofierze przestępcę albo niewolnika. Dla nas śmierć nie oznacza tego samego co dla was, Rzymian, ponieważ wiemy, że wcześniej czy później ponownie się narodzimy, że śmierć jest tylko zmianą czasu i miejsca, niczym więcej. Nie zamierzam twierdzić, że wszyscy ludzie narodzą się ponownie, ale druid, który zdobył pełne święcenia, doskonale wie, że odrodzi się i na nowo zajmie godną pozycję społeczną. Śmierć jest więc tylko mocnym snem.

Wespazjan wyzwolił druida, przestrzegając wszystkich przepisów prawa, wypłacił z własnej sakiewki podatek od wyzwolenia i pozwolił mu używać swego drugiego nazwiska rodowego Petro; miało to przypominać byłemu niewolnikowi o obowiązkach, jakie prawo rzymskie nakłada na nowo wyzwolonych w stosunku do ich wyzwolicielei. Potem podarował nam trzy muły i wysłał nas na ziemie podbite. W karczerze urosły mi włosy i jasna, rzadka broda; ponadto ubrałem się w kozłą skórę, chociaż Petro śmiał się z tych środków ostrożności.

Gdy już przekroczyliśmy rzekę i dotarliśmy do leśnej głuszy, Petro wyrzucił w krzaki laskę wyzwolenca i wydał z siebie mrozący krew w żyłach skowyt. Po chwili otoczyła nas gromada uzbrojonych i wymalowanych w niebieskie pasy Brytów. Ale ani mnie, ani Lugundzie nie uczynili niczego złego.

Na przełomie zimy i wczesnej wiosny jechałem na grzbiecie muła w towarzystwie Petra i Lugundy wśród różnych plemion aż do ziemi Brygantów. Petro chętnie zaznajamiał mnie z obyczajami i wierzeniami Brytów, ale milczał jak głaz, gdy chciałem się czegoś dowiedzieć o tajemnicach wyświeceń druidów. Nie widzę powodu, aby tu szczegółowo opisywać moją podróż, ponieważ wszystko przedstawiłem w książce, która znajduje się w wielu bibliotekach i nadal cieszy się poczytnością.

Muszę przyznać, że dopiero po wielu latach zrozumiałem, iż przez cały czas tej wędrowki i pobytu wśród Brygantów byłem owładnięty jakimś urokiem. Czy wynikał on z tajemniczego oddziaływania Petra, czy z obecności Lugundy, a może tylko z mojej młodości - nie mam pojęcia. Ale wiem, że wówczas wszystko wydawało się piękniejsze, niż było w rzeczywistości; podobały mi się obyczaje i ludzie, których później zniechęciłem tak samo gorąco, jak sądziłem, że ich lubię. Przez to jedyne brytyjskie lato, w ciągu zaledwie połowy roku, rozwinąłem się i zmadrzałem bardziej, niż wydawało się to możliwe w tak krótkim czasie.

Zimą wróciłem na tereny podbite przez Rzymian, do Londinium, aby napisać pamiętnik, w którym chciałem zawrzeć doświadczenia z podróży. Lugunda została wśród swego plemienia i miała opiekować się zajacami.

Wprawdzie koniecznie chciała jechać ze mną, ale Petro ze swej strony pragnął, abym do nich powrócił, więc przekonał Lugundę, że wrócę tym pewniej, jeśli ona zostanie w swoim - wedle wiary Brytów - znakomitym rodzie.

Stanąłem przed Wespazjanem ubrany w piękne futro, z wymalowaną w niebieskie pręgi twarzą i złotymi kolczykami w uszach. Nie poznał mnie! Uczyniłem najprostszy znak umowny druidów - Petro nauczył mnie tego gestu, abym nie wpadł w jakieś tarapaty w przypadku spotkania z obcym plemieniem brytyjskim - i przemówiłem uroczyście w języku podbitych:

- Jam Ituna z ziemi Brygantów, współplemiennik Rzymianina Minutusa Lauzusa Manilianusa. Przywożę ci wieści od niego. Dał się zabić druidom, aby w ten sposób zdobyć dla ciebie pomyślność. Nie może już wrócić na ziemię we własnej postaci, ja zaś obiecałem, że ufunduję mu pamiątkową tablicę z rzymskimi literami. Czy możesz mi polecić odpowiedniego kamieniarza?

- Na wszystkich bogów Hadesu, z Hekate na czele! - krzyknął osłupiały Wespazjan. - Minutus Manilianus nie żyje? Co ja teraz napiszę jego ojcu?!

- Umierając za ciebie, mądry i zdolny mój pobratymiec widział we śnie hipopotama - ciągnąłem dalej z powagą. - To oznacza dla ciebie powoli wzrastającą władzę, której żadna moc ziemską nie może przeszkodzić. Flawiuszu Wespazjanie, bogowie brytyjscy poświadczają, że przed śmiercią będziesz uzdrawiał chorych dotknięciem dłoni i ogłoszą cię bogiem w ziemi egipskiej.

- Ze strachuomal mnie nie sparaliżowało - wykrzyknął Wespazjan, który dopiero teraz mnie poznał i parsknął śmiechem, wspomniawszy sennik chaldejski. - Co za bzdury tu pleciesz?

Naprawdę miałem taki sen, kiedy przebywałem w kraju Brygantów; po otrzymaniu wysokiego stopnia druidy zapadłem w letarg, podobny do śmierci.

- Może tylko tak przestraszyłem się wtedy, gdy niespodzianie zaskoczyłeś mnie przy czytaniu Lugundzie o hipopotamie, że to zwierzę wróciło we śnie i może to nie ma żadnego znaczenia - stwierdziłem rozsądnie. - Miałem też sen o Egipcie, tak wyraźny, że mógłbym opisać miejsce i świątynię, przed którą się wszystko działo. Siedziałeś otoczony tłumem, gruby i łysy, na fotelu sędziowskim. Ślepiec i chromy błagali cię gorąco, żebyś ich uzdrowił. Długo odmawiałeś, aż w końcu zgodziłeś się splunąć ślepcowi w oczy i kopnąć chromego. Niewidomy natychmiast przewidział, a kaleka stanął na obie nogi. Na ten widok tłum przyniósł ci dary ofiarne i ogłosił bogiem.

Wespazjan śmiał się głośno nienaturalnym śmiechem, a później ostrzegł mnie:

- Żarty są żartami, ale w żadnym wypadku nikomu nie opowiadaj tych snów. Obiecuję zachować w pamięci wymienione przez ciebie metody uzdrowień, jeśli znajdę się kiedyś w przedstawionych przez ciebie okolicznościach. Ale najbardziej prawdopodobne jest to, że nawet jako bezzębny staruszek będę nadal bronił rzymskich przywilejów w Brytanii - ciągle w stopniu dowódcy legionu.

Nie mówił tego tak całkiem poważnie, przecież na todze nosił już

odznaczenia triumfalne. Złożyłem mu gratulacje z tej okazji, ale Wespazjan spochmurniał i powiedział mi najświeższą nowinę z Rzymu: cesarz Klaudiusz zamordował swoją młodą żonę Mesalinę i przed gwardią pretoriańską przysięgał szlochając, że już nigdy się nie ożeni.

- Poinformowano mnie z dobrych źródeł, że Mesalina rozeszła się z Klaudiuszem i wyszła za mąż za konsula Syliusza, z którym jakoby już wcześniej utrzymywała bliskie stosunki - opowiadał. - Zawarli związek małżeński, kiedy Klaudiusz wyjechał z miasta. Podobno planowali przywrócenie ustroju republikańskiego bądź powierzenie przez senat godności cesarza Syliuszowi. Trudno zrozumieć, co się stało naprawdę. Wyzwoleńcy Klaudiusza, Narcyz, Pallas i inni, przekonali cesarza, że Mesalina dybie na jego życie. To by było zgodne z logiką. Tylko że w czasie uczy weselnej spiskowcy popełnili błąd i upili się, przedwcześnie świętując zwycięstwo. Klaudiusz niespodziewanie wrócił do miasta i przeciągnął pretorianów na swoją stronę. Senatorów i rycerzy ścinano masowo, tylko kilku dostało tej łaski, że pozwolono im popełnić samobójstwo. Najwidoczniej spisek miał szeroki zasięg i był dokładnie przygotowany.

- Co za głupia historia! - krzyknąłem. - Na wyjeździe z Rzymu słyszałem, że wyzwoleńcy cesarscy czują się zagrożeni, bo z woli Mesaliny stracono ich kolegę Polibiusza. Nie mogłem jednak uwierzyć w to całe zło, jakie przypisywano Mesalinie; sądziłem raczej, że ktoś specjalnie rozpuszcza plotki, aby jej popsuć opinię.

- Nie będę nic o tym mówił, ponieważ jestem tylko prostym dowódcą legionu i żyję tu jak w skórzanym worku, nie mając pojęcia, co się naprawdę dzieje - Wespazjan pocierał wielką głowę, chytrze na mnie spoglądając. - Powiadają, że po wykryciu spisku ścięto pięćdziesięciu senatorów i dwustu ekwitów. Najbardziej się martwię o mojego Tytusa. Przecież on mieszkał w pałacu Mesaliny. Kształcił się razem z Brytanikiem. Myślałem, że to mu ułatwi zdobycie wysokiej pozycji w przyszłości. Jeśli jednak Klaudiusz tak źle sądzi o matce swoich dzieci, że skazał ją na śmierć, to przy jego kapryśnym charakterze łatwo może się mścić na własnych potomkach.

Już miałem na końcu języka stwierdzenie, że przecież ma pod swoim dowództwem wszystkie cztery legiony stacjonujące w Brytanii i zamiast oczekiwać na wyznaczenie przez cesarza nowego namiestnika, mógłby opanować mroczną wyspę dla siebie. Ale przełknąłem te słowa. Później rozmawialiśmy już tylko o plemionach Brytanii i królach, których poznałem dzięki Petrowi. Wespazjan kazał mi napisać dokładne sprawozdanie z podróży, ale nie wypłacił ze swojej sakiewki grosza ani na papirus, atrament i pióra, ani na pokrycie kosztów pobytu w Londinium. Ponieważ nazwisko moje nie figurowało już na liście wypłat mojego legionu, nie otrzymałem żadnych pieniędzy i czułem się jak śmieć, wyrzucony w lodowatą i mglistą zimą.

Wynająłem mieszkanie w domu galijskiego kupca zbożem i zabrałem się do pisania. Szybko zrozumiałem, że to wcale nie jest takie łatwe! Potrafiłem skomentować lub streścić cudzy utwór, ale tu trzeba było przedstawić własne przeżycia! Zmarnowałem mnóstwo cennego papirusu z masy trzcinowej i wiele razy nerwowo maszerowałem tam i z powrotem

wzdłuż brzegu rzeki Tamesy, owinięty w wełniane okrycia i futra dla ochrony przed lodowatym chłodem. Wespazjan udał się na przegląd legionów, a po powrocie wezwał mnie do siebie i zabrał się do czytania moich wypocin. Po przeczytaniu rzekł zakłopotany:

- Nie potrafię oceniać literatury; zbyt szanuję ludzi uczonych, żeby nawet próbować to robić. Wydaje mi się, że ugryzłeś za duży kawałek i nie potrafisz go przełknąć. Piszesz ładnie, powinieneś się jednak zdecydować, czy to ma być poemat czy fachowy przewodnik po brytyjskiej geografii, religii i plemionach. Miło się czyta opisy zielonych łąk, kwitnięcia jarzębiny i śpiewów małych ptaszków, ale wojownik czy kupiec nie będzie miał pożytku z takich wiadomości. Ponadto za bardzo wierzysz druidom i brytyjskim arystokracjom, gdy opowiadają o tworzeniu się plemion i boskim pochodzeniu ich królów. Z takim zachwytem piszesz o ich osiągnięciach i szlacheckich czynach, jakbyś zapomniał, że jesteś Rzymianinem. Na twoim miejscu nie odważyłbym się też ustami Brytów krytykować boskiego Juliusza Cezara i stwierdzać, że on wcale ich nie podbił, tylko na próżno uganiał się za ich rydwanami. Takie stwierdzenie, niezbyt zresztą dalekie od prawdy, podkreśla wprawdzie zasługi cesarza Klaudiusza, który dzięki systemowi sojuszków z plemionami Brytów potrafił zaprowadzić pokój na tak znacznym obszarze wyspy, ale przecież sam rozumiesz, że nie wypada obrażać boskiego Juliusza Cezara!

To patriotyczne przemówienie wywołało u mnie silniejsze bicie serca. Zrozumiałem, że w trakcie pisania uciekałem od chłodu zimy i bolesnego poczucia samotności do wspomnień lata, więc zupełnie zapomniałem o przeżytych kłopotach i pamiętałem tylko to, co było dobre i urocze. Zrozumiałem też, że tęskniłem za Lugundą i że dzięki braterskiej więzi, jaka połączyła mnie z Brygantami, pisałem, jakbym był Brytem, a nie Rzymianinem. Mimo tego zrozumienia poczułem się - jak każdy autor - dotknięty i obrażony tą krytyką, więc fuknąłem:

- Przykro mi, że zawiodłem twoje oczekiwania! Chyba spakuję manatki i wrócę do Rzymu, jeśli tylko przez wzburzone morze zimowe zdołam przedostać się do Galii.

- Jesteś jeszcze młody, więc wybaczam ci twoją raptowność - rzekł pojednawczo Wespazjan, uspokajająco kładąc mi swoją wielką dłoń na ramieniu. - Czy nie byłoby lepiej, gdybyś mi towarzyszył w podróży służbowej do Komulodunum, miasta weteranów? Później na dwa miesiące otrzymasz dowództwo kohorty i na stanowisku prefekta osiągniesz formalny stopień oficerski. Zapewni ci to większy prestiż wśród Brygantów, do których wrócisz wiosną, zaś jesienią ponownie zabierzesz się do książki:

W ten sposób już wczesną wiosną dosłużyłem się odznaki trybuna wojskowego, chociaż miałem dopiero osiemnaście lat. To schlebiało mojej próżności, więc jak umiałem najlepiej usiłowałem udowodnić, że odczuwam ciężar powierzonej mi odpowiedzialności, chociaż faktycznie ograniczała się ona do kontroli umocnień, postępu prac budowlanych i ćwiczeń marszowych. Trochę później otrzymałem od ojca znaczną sumę pieniędzy i następujący list:

Marek Mezencjusz Manilianus pozdrawia swego syna Minutusa Lauzusa.

Być może słyszałeś o zmianach, jakie zaszły w Rzymie? Raczej dzięki mojej żonie Tulii, bo przez nią byłem zamieszany w wykrycie spisku, niż dla własnych zasług, otrzymałem szerokie purpurowe obramowanie togi i krzesło kurulne. Musisz teraz zachowywać się odpowiednio do godności syna senatora. Wysyłam Ci do Londinium polecenie wypłaty pieniężnej. Tutaj mówi się, że Brytowie ogłosili Klaudiusza bogiem i wzniesli mu świątynię o spiczastym dachu. Postąpisz mądrze, jeśli złożysz w tej świątyni odpowiedni dar. O ile wiem, ciocia Lelia czuje się dobrze. Zamieszkał u niej wyzwolony przez Ciebie Minucjusz, który gotuje i sprzedaje galijskie mydło. Moja żona Tulia pozdrawia Cię. Wypij za moje zdrowie z pucharu Twojej matki.

A więc ojciec otrzymał godność senatora! Nigdy bym w to nie uwierzył! Przestałem się dziwić skwapliwości, z jaką Wespazjan przyznał mi stopień trybuna wojskowego; przecież wcześniej niż ja otrzymał informacje z Rzymu. Sprawilo mi to gorzką satysfakcję, a mój szacunek do senatu zmniejszył się wydatnie.

Dużo później dowiedziałem się, że ojciec został wybrany pretorem i zorganizował kilka przedstawień teatralnych dla ludu, zaś po odpowiednim czasie zrezygnował z funkcji na rzecz kogoś bardziej zasłużonego. Doszedłem do przekonania, że skoro można osiągnąć każdy urząd, nawet zdobione kością słoniową krzesło kurulne, bez przestrzegania zasady precedencji w określonym wieku, a jedynie dzięki bogactwu i przychylności cesarza, to nie ma już niczego, co miałyby wartość. Najbardziej dziwiłem się, że centurioni i ekwici przyjęli przyznanie mi godności trybuna wojskowego za rzecz zupełnie naturalną, skoro byłem synem senatora.

Stosując się do rady ojca, postarałem się, aby w mieście weteranów Brytowie wzniesli drewnianą świątynię na cześć Klaudiusza i ofiarowałem do niej kolorowo pomalowaną drewnianą rzeźbę. Nie ośmieliłem się złożyć bogatszej ofiary, ponieważ Brytowie składali jedynie tanie przedmioty, takie jak tarcze, broń, tkaniny i gliniane stągwie. Wespazjan podarował świątyni swój miecz złamany w walce - twierdził, że nie chciał obrazić brytyjskich królów złożeniem czegoś cenniejszego.

Zdążyłem wpisać swoje nazwisko na listę ofiar, którą kolegium kapłańskie świątyni wysłało do cesarza Klaudiusza, prosząc go jednocześnie gorąco o przysłanie własnego wizerunku do świątyni i oskarżając weteranów, że niewłaściwie odnoszą się do Trynobantów i Ikenów, osiadłych w okolicy Komulodunum. W nowym mieście było na razie niewielu weteranów; zgodnie z prawem wojennym przydzielono im ziemię, a oni traktowali byłych właścicieli pól jak niewolników. Wprawdzie ani Trynobanci, ani Ikenowie nie przystąpili do sojuszu z Rzymem, ale też nie prowadzili przeciwko niemu wojny.

Gdy wiosną zazielenia się wszystko i rozkwitają kwiaty, w rolniczej części Brytanii robi się bardzo ładnie, chociaż brzmi to nieprawdopodobnie, jeśli pamięta się o mrocznych lasach, zatrważających bagnach i

smutnych wrzosowiskach. Przekonałem się naocznie, że Brytania wcale nie jest taka biedna i nieokrzesa, jak się zwykło twierdzić. Wśród Brytów panuje również poszanowanie prawa, ponieważ druidzi wszędzie pełnią rolę bezstronnych sędziów. Dlatego żaden król ani wódz nie może stosować samowoli wobec swoich poddanych.

U progu lata z radością zdjąłem z siebie togę, wojskowy ekwipunek i odznaczenia, pomalowałem twarz w niebieskie pręgi i założyłem pstrokatą opończę będącą dowodem wysokiej pozycji wśród Brygantów. Wespazjan wprawdzie twierdził, że nawet dzicy Brytowie nie mogliby zabić potomka znamienitego rodu i syna senatora, ale dobrze wiedział, że bezpieczniej przemierzać ziemie Brytów pod osłoną druidów.

Z próżności postanowiłem podróżować na własną odpowiedzialność i na własny koszt. Przez próżność też, dla parady, chciałem pojechać na koniu i wziąć ze sobą jakiegoś wysoko urodzonego brytyjskiego młodziana w charakterze honorowej eskorty, ale Wespazjan sprzeciwił się temu kategorycznie. Zachwalał natomiast muły - ich wytrzymałość i przydatność w trudnych warunkach terenowych. Uważał, że konie stanowią ogromną pokusę dla Brytów, którzy pragną uszlachetnić swoje maleńkie koniki i uzyskać rasę przydatną do potrzeb bojowych: dotkliwie odczuli przecież przewagę rzymskiej konnicy nad formacjami rydwanów. Właśnie dlatego skazał na śmierć przez ukrzyżowanie pewnego kupca, który próbował na statku płynącym z Galii przemycić konie, aby za wygórowaną cenę sprzedawać je Brytom.

Ograniczyłem się więc do zakupu odpowiednich darów dla moich przyjaciół i gospodarzy. Przede wszystkim objuczyłem grzbiety mułów dzbanami wina, ponieważ znamienici Brytowie byli na nie jeszcze bardziej łasi niż legionieści. W najdłuższy dzień lata obserwowałem obrządek kultu słońca w uformowanej z potężnych głazów kolistej świątyni. Znalazłem też złote ozdoby i sznur bursztynów w starożytnej mogile i zwiedziłem kopalnię cyny, po którą setki lat temu regularnie przyplýwali tu Kartagińczycy.

Największą niespodziankę sprawiła mi Lugunda, która przez zimę wyrosła z dziecka na młodą kobietę. Spotkałem ją w zajęczym ogrodzie. Miała na sobie biały płaszcz kapłanki i srebrną wstążkę we włosach. Jej oczy błyszczwały jak oczy bogini. Objęliśmy się na powitanie i przestraszeni oboje nagle cofnęliśmy się, nie śmiejąc dotknąć jedno drugiego. Ze względu na obowiązki kapłańskie nie mogła w tym roku towarzyszyć mi w podróży do obcych plemion. Żeby prawdę powiedzieć - wyjechałem z ziemi Ikenów uciekając przed nią! W czasie całej wędrówki stale towarzyszył mi jej obraz! Wbrew sobie myślałem o niej przed snem i rano, tuż po obudzeniu.

Z wycieczki wróciłem szybciej niż zamierzałem, ale nie przysporzyłem sobie przez to radości. Początkowo oboje ucieszyliśmy się ze spotkania, ale zaraz z byle powodu zaczynaliśmy się kłócić i obrażać nawzajem tak dotkliwie, że często kładłem się spać, nienawidząc jej z całego serca i odgrażając się, że nie chcę jej widzieć na oczy. Wystarczyło jednak, aby uśmiechnęła się do mnie albo przyniosła ukochanego zajączka do pogłaskania, a już topniałem jak wosk. Zapominałem, że jestem ekwitą rzym-

skim, że mój ojciec jest senatorem, a ja sam mam prawo nosić purpurowy płaszcz trybuna wojskowego. Kiedy tak siedziałem na ciepłej murawie i trzymałem w objęciach jej opierającego się zajączka, Rzym wydawał mi się czymś dalekim i bladym jak senne widziadło. Lugunda podeszła, przytuliła policzek do mojej twarzy, zabrała mi zająca i kusząco błysnęła lśnącymi oczyma, wzięła zająca na podolek i z wypiekami na twarzy patrzyła na mnie tak wyzywająco, że zacząłem żałować łagodnego postępowania z nią, gdy była moją niewolnicą.

Niekiedy okazywała mi więcej przyjaźni. Oprawadzała mnie po pastwiskach, na których brykały stada bydła, polach i wioskach należących do jej rodziców. W spichrzach i komorach demonstrowała pięknie tkane płótna, ozdoby i różne cenne przedmioty, które w jej rodzie matki przekazywały córkom.

- Dlaczego nie interesujesz się ziemią Ikenów? - pytała chytrze. - Czyż nie jest tu łatwo oddychać? Czy nie smakuje ci nasz jęczmienny chleb i gęste piwo? Mój ojciec podarowałby ci kuce i zdobiony srebrem rydwan. Ziemi dostałbyś tyle, ile w ciągu dnia zdołałbyś objechać, gdybyś go tylko poprosił!

Kiedy indziej znów żądała:

- Opowiedz mi o Rzymie! Chciałabym spacerować po brukowanych ulicach, oglądać wielkie świątynie z kolumnami i nagromadzone w nich trofea wojenne. Chciałabym poznać kobiety, które są inne niż ja, nauczyć się ich obyczajów! Zbyt wyraźnie okazujesz, że widzisz we mnie tylko nieokrzesaną dziewczynę ikeńską.

Pewnego razu, w chwili szczerości, powiedziała:

- Czy jeszcze pamiętasz, jak w zimowe noce trzymałeś mnie w ramionach i ogrzewałeś swoim własnym ciałem, gdy tęskniłam za domem? Teraz jestem w domu i druidzi wybrali mnie na opiekunkę zajęcy. Ty oczywiście nie potrafisz zrozumieć, jaki to ogromny zaszczyt, ale wyznam, że wołałabym teraz być razem z tobą w tamtej drewnianej chacie i uczyć się czytania i pisanie.

- Chodź w me ramiona, Lugundo, chętnie cię ogrzeję i pogładzę twoje włosy! - prosiłem drżącym głosem, z zaschniętymi ustami. Lugunda parsknęła dźwięcznym śmiechem i zawołała drwiąco:

- Złap mnie, jeśli potrafisz! Jestem szybsza od ciebie, ty niezdarny Rzymianinie, który nie potrafi złapać nawet zająca!

Zerwała się lekko i pobiegła przez łąkę, a ja za nią, chociaż nie byłem już dzieckiem. Dogoniłem ją nad brzegiem strumienia, schwytałem w ramiona i oboje upadliśmy na trawę. Szarpała się w mych objęciach i opierała się, wrzeszcząc; nagle odwróciła się, zakryła twarz dłońmi i wybuchnęła płaczem. Próbowałem ją pocieszać, gdy równie nagle zerwała się i pchnęła mnie do wody, wołając:

- Ochłódź sobie głowę w zimnej wodzie, przekłety Rzymianinie!

Byłem jeszcze tak niedoświadczony jako mężczyzna, że nie rozumiałem ani własnych uczuć, ani tego, co się działo między nami. Oświecił mnie dopiero Petro, ten druid wyzwolony przez Wespazjana. Właśnie u progu jesieni wrócił z tajemniczej wyspy, leżącej gdzieś na morzu zachodnim Alivernikus; uzyskał tam najwyższy stopień kapłański. Nie wiedziałem, że

obserwował naszą zabawę, dostrzegłem go później, gdy usiadł na ziemi, zakrył oczy ręką, przytulił głowę do kolan i pograżył się w ekstazie. Nie śmieliśmy go budzić, bo oboje wiedzieliśmy, że teraz wędruje wśród duchów podziemnego królestwa. Usiedliśmy przed nim na kępie trawy i czekali, aż się obudzi.

Ocknął się i patrzył na nas, jakby przybył z innego świata.

- Przy tobie, Minutusie Lauzusie, znajduje się ogromne zwierzę, pies z wielką grzywą - powiedział. - Lugunda ma na obronę tylko zajaca.

- To nie jest pies! - zawołałem urażony. - To prawdziwy lew. Nigdy nie widziałeś na własne oczy takiego szlachetnego zwierzęcia, więc wybaczam ci tę omyłkę.

- Twój pies - ciągnął niezmaczenie Petro - pozbawi życia zajaca, a wówczas serce Lugundy pęknie, jeśli się na czas nie rozstaniecie.

- Ależ ja wcale źle nie życzę Lugundzie! - zapewniłem. - Przecież bawimy się ze sobą jak brat ze siostrą.

- Coś podobnego! - zaprotestowała gwałtownie Lugunda. - Taki Rzymianin miałby mi złamać serce?! Przepędzę jego psa, niech zdechnie! Nie lubię takich złośliwych snów, Petro! A Ituna nie jest moim bratem!

- Może będzie lepiej, gdy porozmawiam o tych sprawach z każdym z was osobno - przyznał Petro. - Najpierw z tobą, Ituno Minutusie, a potem z Lugundą. Lugundo, idź do swych zajęcy.

Dziewczyna popatrzyła na nas oczyma pożółkłymi ze złości, ale nie ośmieliła się sprzeciwić poleceniu druida. Ciągłe siedząc na skrzyżowanych nogach, Petro podniósł jakąś gałązkę i z roztargnieniem zaczął nią rysować na ziemi.

- Kiedyś Rzymian wyrzuci się za morze. Brytania jest ziemią bogów królestwa umarłych; bogowie ziemi nie mogą zwyciężyć bogów podziemi, dopóki ten świat będzie istniał. Choćby nawet Rzymianie wyrabiali nasze uświęcone gaje, rozwalili nasze święte kamienne kręgi, zbudowali drogi i nauczyli nas swojego sposobu gospodarowania, aby jako niewolników podatkowych przywiązać nas do ziemi, to i tak, gdy nadejdzie odpowiednia chwila, Rzymian wyrzuci się za morze. Musi się tylko narodzić mąż, który będzie umiał zjednoczyć samodzielne plemiona i będzie znał wojenną sztukę Rzymian.

- Dlatego stacjonują tu cztery legiony rzymskie - wtrąciłem. - Minie jedno albo dwa pokolenia, a Brytania stanie się cywilizowanym krajem i podporządkuje się zasadom pokoju rzymskiego.

Obydwaj wyraziliśmy więc własne poglądy w kwestii przyszłości Brytanii i nie warto było kontynuować tego tematu. Petro zapytał:

- Czego chcesz od Lugundy, Ituno Minutusie? - mówiąc to, wpatrywał się we mnie tak intensywnie, że spuściłem wzrok i zarumieniłem się. - Czy nigdy nie przyszło ci na myśl, że mógłbyś z nią zawrzeć związek małżeński według rytuału brytyjskiego i zrobić jej dziecko? Nie masz się czego obawiać, takie małżeństwo nie byłoby ważne z punktu widzenia prawa rzymskiego i nie stałoby się przeszkodą w wyjeździe, gdy tego zapragniesz. Lugundzie pozostanie wówczas dziecko jako trwała pamiątka waszego związku. Jeśli nadal będziesz tylko bawił się nią, to serce jej pęknie, gdy odjedziesz.

Przeraziłem się samej myśli o dziecku, choć w głębi serca wiedziałem, czego właściwie chciałem od Lugundy.

- Zawierając małżeństwo Rzymianin mówi: gdzie ty, tam i ja - odparłem.
- Nie jestem szukającym przygód majtkiem czy wędrownym kupcem, który to tu, to tam zawiera związki małżeńskie, jeśli inaczej nie mogę zrealizować swoich zachcianek. Nie mam złych zamiarów wobec Lugundy.

- Gdybyście się pobrali - wyjaśniał Petro - Lugunda nie poniosłaby żadnego uszczerbku na honorze. Wprawdzie jesteś Rzymianinem, ale jednak pochodzisz z patrycjuszowskiego rodu. U nas kobieta ma wiele swobody, może sama wybierać małżonka, a nawet wygnać go z domu, jeśli zawiedzie jej oczekiwania. Kapłanka zajęcy nie jest kapłanką waszej Westy, nie musi zobowiązywać się do zachowania dziewictwa.

- Ukrywasz coś, czego nie śmiesz otwarcie powiedzieć! - krzyknąłem oskarżająco, bo byłem świadomy, jak okrutne są obrzędy druidów i zacząłem coś podejrzewać.

Petro odrzucił gałązkę, szybko wstał i oświadczył:

- Święte ofiary będą potrzebne w przyszłości, gdy zaczniemy przeganiać Rzymian z Brytanii. Ale jeszcze przez wiele lat utrzymanie pokoju będzie dla nas równie ważne, jak dla was. Rzym niczego więcej nie pragnie, jak móc zniewolić kolejne plemię Brytów po każdym nierozważnym powstaniu. Wcale nie przewiduję złożenia twego dziecka w ofierze. Po prostu potrzebujemy wilczej krwi do naszych żył - podobnie jak potrzebna nam jest rasa dużych koni.

Rozśmieszyła mnie myśl, że przebiegły Petro chce mnie wykorzystać do uszlachetnienia gatunku ludzkiego! Z pewnością Wespazjan nie brał tego pod uwagę, gdy wysyłał mnie do Brytów. Powiedziałem:

- Ostudziłeś moją głowę. Teraz rozumiem, jak nieodpowiedzialnie bawiłem się z Lugundą. Nie wierzę jednak, aby Lugunda marzyła o podzieleniu ślubnego łoża ze mną. Tak dziwnie się przy mnie zachowuje.

- Czy nigdy nie widziałeś psów, pędzących za suką w ciecze? A gdy ją dopadną, to suka gryzie psy po karkach i łopatkach. Podobnie wyglądaliście przed chwilą, gdy goniliście się i w objęciach tarzali po ziemi.

Wyobrażałem sobie, co myśli o mnie Lugunda i poczułem wstręt do siebie. Przecież dla Rzymianina i rycerza nie może być nic bardziej godnego wzdargi niż uleganie własnym żądzom i popełnienie dla ich zaspokojenia mezaliansu z prymitywną barbarzyńską dziewczyną, choćby była ona tak piękna jak Lugunda.

- Chcę wrócić do swoich - oświadczyłem oschle. - Brytania łącznie może się stać dla mnie za ciasna!

Okazało się, że Petro rozmawiał na ten temat z Lugundą. Przyszła o zmroku, objęła mnie za szyję i patrzyła mi w oczy - a jej oczy miały barwę bursztynu. Słodko drżała w moich ramionach, gdy mówiła:

- Minutusię Ituno, przecież dobrze wiesz, że jestem tylko twoja! Petro powiedział, że odjeżdżasz i nigdy nie wrócisz. Już sama myśl o tym rani moje serce. Czy naprawdę byłoby wielkim wstydem dla ciebie, gdybyś wziął ze mną ślub wedle obyczaju Brytów?

- To nie byłby wstyd, tylko zły uczynek! - zapewniłem drżącym głosem czując, że nagle ziębnę.

- Jakże to ma znaczenie, dobry czy zły! - krzyknęła niecierpliwie. - Czuję, że twoje serce bije tak samo gwałtownie jak moje!

Trzymając ją za ramiona odsunąłem nieco od siebie i wyjaśniająco powiedziałem:

- Wpajano mi, że panowanie nad sobą jest lepsze niż uleganie chuciom.

- Z punktu widzenia rzymskiego prawa jestem niewolnicą, twoją zdobyczą wojenną - upierała się. - Masz prawo zrobić ze mną, co chcesz. Przecież w zeszłym roku nie zgodziłeś się przyjąć za mnie wykupu od moich rodziców!

Nie mogłem wykrztusić ani słowa, więc tylko pokręciłem głową, a Lugunda prosiła:

- Weź mnie ze sobą. Pójdę, gdziekolwiek zechcesz. Zostawię rodzinę, porzucę zajęcie! Będę twoją służką, niewolnicą! - Osunęła się na kolana i unikając spojrzenia na mnie szepnęła: - Gdybyś wiedział, ile dumy kosztują mnie takie słowa, przeraziłbyś się, Rzymianinie!

Ale we mnie głęboko tkwiło przekonanie, że jestem od niej mocniejszy, więc muszę ją bronić przed słabością. Próbowałem to wytłumaczyć, ale wszystko, co mówiłem, odbijało się o jej upartą, pochyloną głowę. W końcu wstała, popatrzyła na mnie jak na obcego i rzekła sucho:

- Obraziłeś mnie śmiertelnie. Nigdy tego nie zrozumiesz. Od tej chwili nienawidzę cię i stale będę się modliła, żebyś zdechł!

Dotknęło mnie to do żywego, aż rozboleł mnie brzuch. Najchętniej odjechałbym stąd natychmiast, ale właśnie zakończyły się żniwa i obchodzono tradycyjne dożynki, więc gdybym teraz stąd się ruszył, niewątpliwie obraziłbym jej rodziców. Chciałem też opisać obrządki dożynkowe, no i podpatrzeć, gdzie Ikenowie ukrywają zboże.

Następnego wieczoru przypadała pełnia księżyca. Już dobrze szumiało mi w głowie od ikeńskiego piwa, gdy zobaczyłem, że młodzieńcy z okolicznych domów szlacheckich pędzą swoimi rydwanami na skraj ścierniska i rozpalają tam ogromne ognisko. Wybrali sobie cielę ze stada, zabili je jako ofiarę i w ogóle strasznie rozrabiali. Poszedłem do nich. Kilku spośród nich znałem dobrze, ale teraz nie odnosili się do mnie tak przyjaźnie i z zainteresowaniem, jak przedtem. Przeciwnie, zaczęli mi dopiekać:

- Zetrzyj z gęby te niebieskie paski, przeklęty Rzymianinie! Lepiej nam pokaż swój puklerz i miecz, splamiony krwią Brytów!

- Czy to prawda, że Rzymianie kąpią się w gorącej wodzie i dlatego tracą męskość? - zapytał któryś.

- Ależ tak! Dlatego niewiasty rzymskie śpią z swoimi niewolnikami. Ich cesarz musiał zabić swoją żonę za takie kurewstwo - odpowiedział drugi.

W tej zniewadze była tyle prawdy, że zrobiło mi się przykro.

- Wybaczam moim przyjaciółom te złośliwości, widocznie piwo uderzyło im do głowy albo zaszкодziło im mięso z kradzionego cielaka. Mimo to nie przystoi wam nieprzyzwoicie wyrażać się o cesarzu, moim imperatorze!

- Zmierzymy się z nim w zapasach. Przekonamy się, czy tak jak inni Rzymianie nie ma jaj! - wykrzyknął ktoś z tłumu.

Zrozumiałem, że świadomie chcą wywołać awanturę, ale nie mogłem już się wycofać, ponieważ opluwali wdowie łożę cesarza Klaudiusza. Kilku dźwignęło z ziemi ogromny kamień i podniosło go wysoko, demonstrując siłę. Musiałem szybko odskoczyć do tyłu, aby uniknąć zmiżdżenia mi stóp przez upuszczony kamień. Wybuchnęli szyderczym śmiechem, klepali się po kolanach i wołali:

- Patrzcie, Rzymianin podskakuje jak zając! Łacno nauczy się tu zajęczego biegu!

Jakiś inny narwaniec rzucił się do zapasów, usiłując mnie co sił okładać pięściami. Zapasy są obowiązkowo trenowane w legionach, toteż łatwo się z nim rozprawiłem, zwłaszcza że był bardziej ode mnie pijany. Rzuciłem go na ziemię na wznak i przycisnąłem nogą szyję, choć się szarpał, nie chcąc uznać przegranej. Wtedy wszyscy pozostali, jak jeden mąż, rzucili się na mnie i przygnietli do ziemi, mocno trzymając za ręce i nogi.

- Co zrobimy z Rzymianinem? Otwórzmy mu brzuch, żeby sobie powróżyć z jego bebeczków! Wykastrujmy go, żeby więcej nie skakał za naszymi dziewczynami jak zając! Najlepiej wpakować go na stos! Zobaczymy, jaką temperaturę wytrzyma rzymska skóra! - wykrzykiwali jeden przez drugiego.

Nie wiedziałem, czy to poważne pogrożki, czy też po pijanemu chcą mnie nastraszyć, ale gnietli mnie paskudnie, wcale nie na żarty, i tylko ambicja nie pozwalała mi wzywać pomocy. Zresztą wiedziałem, że mego głosu nikt w oddalonym domostwie nie usłyszy, bo ognisko głośno trzaskało, a wokół niego panował okropny harmider. Leżałem więc nieruchomo w milczeniu i tylko czekałem, aż nieco odwróci uwagę ode mnie, a wówczas nagłym zrywem wydostanę się z ich rąk. Ale młodzieńcy podjudzali się wzajemnie i byli coraz bardziej rozwścieczeni. Zacząłem na serio obawiać się o życie.

Nagle ucichli i rozstąpili się, a do mnie podeszła Lugunda. Zatrzymała się, popatrzyła i zaczęła drwić:

- Cieszę się z całego serca, gdy widzę, jak pokorny i bezbronny Rzymianin leży na ziemi. Miałabym ochotę wypróbować twoją skórę i mięśnie ostrzem noża, ale obowiązuje mnie zakaz brudzenia rąk krwią ludzką! - Wykrzywiła się i pokazała mi język, ale potem jąła uspokajając młodzieniaszków, zwracając się do nich po imieniu: - Tylko go nie zabijcie! To wywołałoby krwawą zemstę Rzymian! Lepiej wytnijcie różgę z brzozy, odwróćcie go twarzą do ziemi i mocno trzymajcie, a ja wam pokażę, jak obchodzić się z Rzymianinem!

Na wyścigi jedni szykowali różgi, drudzy zdzierali ze mnie odzież. Lugunda najpierw ostrożnie, jakby na próbę, uderzyła mnie różgą, ale potem siekła bezlitośnie i z całej siły. Zacisnąłem zęby, żeby nie wydać z siebie głosu, a moje milczenie tylko ją rozwścieczało, więc chłostała coraz mocniej, aż moim ciałem targały skurcze, a z oczu strumieniem popłynęły łzy bólu.

W końcu zmęczyła się, odrzuciła różgę i zawołała:

- No, Minutusie! Nie jesteśmy już nic sobie dłużni!

Młodzieńcy, którzy mnie trzymali, odstepili do tyłu z pięściami w pogotowiu na wypadek, gdybym się na nich rzucił. W głowie mi łomotało, z nosa ciekła krew, a plecy płonęły żywym ogniem, ale milczałem, zlizując krew z warg. Musiałem wyglądać przerażająco, bo nikt już ze mnie nie drwił i zrobili miejsce, abym przeszedł. Podniosłem z ziemi porwane odzienie i poszedłem, ale nie w stronę zabudowań, a na oślep w leśną gęstwinę. Po głowie błąkała mi się myśl, że dla wszystkich uczestników zajścia byłoby najkorzystniej, aby nikt mego wstydu nie widział.

Daleko nie zaszedłem, nogi mi się plątały, coraz częściej potykałem się i wreszcie padłem jak długi na ziemię, na wilgotny mech. Po jakimś czasie młodzieńcy zgasili i rozrzucili ognisko. Słyszałem, jak gwizdali na swoje zaprzęgi i jak odjechali, aż ziemia dudniła pod kołami ich rydwanów.

Księżyc świecił przeraźliwie ostro, a las zdawał się zupełnie czarny. Otarłem krew z twarzy garścią mchu i krzykiem wzywałem swego lwa:

- Lwie, jeśli jesteś, zarycz i rzuć się za nimi! Inaczej nigdy już w ciebie nie uwierzę!

Nie przyszedł. Czuję się coraz bardziej samotny. Nagle pojawiła się Lugunda. Jej twarz w świetle księżyca była niesamowicie biała. Ostrożnie odgarniała gałęzie, aż wreszcie dostrzegła mnie i stanęła. Dotknęła moich pleców i spytała:

- Jak się czujesz? Bardzo bolało? Musiałam to zrobić!

Ogarnęła mnie szalona chęć, by rzucić ją na ziemię i wychłostać do krwi. Opanowałem tę chęć, musiałem jednak zapytać:

- Czy to ty wszystko zorganizowałaś, Lugundo?

- A któż by inny? Myślisz, że tamci ośmieliliby się zaatakować Rzymianina?

Uklękła obok mnie i zanim zdołałem przeszkodzić, dotknęła wstydliwych miejsc mego ciała, pytając z troską:

- Chyba nie zdążyli ci zmiążdżyć jąder, jak zamierzali? Byłaby wielka szkoda, gdybyś nie mógł spłodzić dzieci z jakąś patrycjuszką rzymską!

Wtedy straciłem panowanie nad sobą. Trzasnąłem ją w twarz z jednej i drugiej strony, skoczyłem, aż zwała się na ziemię i przygniotłem ją swoim ciężarem, chociaż pięściami okładała mnie po ramionach, kopała i gryzła. Ale nie wzywała pomocy! Nagle jej opór osłabł i przyjęła mnie. Moja energia witalna spłynęła w nią i czułem taką ostrą rozkosz, że musiałem głośno krzyknąć.

Później niejasno uświadamiałem sobie, że mnie obejmuje i bez końca całuje. Wreszcie dotarło do mnie, co zrobiłem. Przerażony odsunąłem się od niej i usiadłem. Za chwilę Lugunda również usiadła i... parsknęła śmiechem.

- Wiesz, co się nam przydarzyło? - spytała kpiąco.

Nadal byłem tak przerażony, że nie mogłem odpowiedzieć, dopiero po chwili krzyknąłem:

- Krew z ciebie płynie!

- Cieszę się, że chociaż to zobaczyłeś, głuptasie! - szepnęła zawstydzona. Dalej milczałem, a ona znowu się roześmiała i wyjaśniła: -Petro mi wszystko podpowiedział, sama bym tego nie wymyśliła. Wcale nie sprawiało mi przyjemności chłostanie cię tak niemiłosiernie. Ale Petro

powiedział, że jest to jedyny sposób postępowania z zahartowanym i wstydlwym Rzymianinem. - Wstała i chwyciła moją rękę - Najlepiej chodźmy zaraz do Petra. Na pewno przygotował już łyżek wina i miarkę mąki.

- O czym ty mówisz?

- Przecież mnie zgwałciłeś, chociaż wrywałam się tak długo, jak mi nakazuje honor - wyjaśniła ze zdziwieniem. - Chyba nie chcesz, żeby ojciec zdjął miecz ze ściany i zaczął szukać mojego honoru w twoim brzuchu? Ma do tego pełne prawo. Rzymianie szanują nasze zwyczaje. Najrozsądniej będzie, jeśli Petro natrze nam włosy oliwą i mąką. Jeśli koniecznie chcesz, to może również włożyć pierścień na mój palec, jak to robią Rzymianie.

- Ależ Lugundo - zawołałem - nie masz chyba zamiaru iść za mną do Rzymu czy choćby do Londinium!

- Nie zamierzam latać za tobą - ton jej głosu był wyniosły i opryskliwy. - Nie obawiaj się! Będziesz mógł wrócić do mnie, jeśli zechcesz, ale równie dobrze mogę, znużona czekaniem, rozbić nasz kubek weselny i twoje imię obrócić w popiół. Wtedy znów będę wolna! Czy twój rozum nie podpowiada ci, że lepiej przestrzegać naszych obyczajów, niż powodować skandale, których echa mogą dotrzeć aż do Rzymu? To nie żarty, w czasie pokoju zgwałcić kapłankę zajęcy! A może temu zaprzeczysz? Przecież rzuciłeś się na mnie jak dzikie zwierzę w rui i przemocą złamałeś mój opór!

- Dlaczego nie krzyczałaś? - oskarżałem ją gorzko. - Nie trzeba było najpierw bezwstydnie dotykać mego najczulszego miejsca, kiedy byłem podniecony tamtą awanturą.

- Bardzo się martwiłam o twoją zdolność rozrodczą - łągała, a jednocześnie spoglądała pogodnym wzrokiem. - Skąd mogłam wiedzieć, że lekkie dotknięcie, wyłącznie w celach leczniczych, doprowadzi cię do ślepego szału?!

Moja szczerza skrucha na nic się nie przydała! Poszliśmy nad strumień i oboje starannie umyliśmy się. Potem, trzymając się za ręce, udaliśmy się do zbudowanego na palach domostwa, gdzie rodzice Lugundy oczekiwali już nas w wielkiej izbie. Petro zmieszał oliwę z mąką i natarł tym nasze głowy, a także dał do wypicia po łyżku wina z glinianego kubka. Kubek ten ojciec Lugundy pieczołowicie schował do skrzyni, po czym zaprowadził nas do przygotowanego już łóża weselnego, popchnął mnie na Lugundę i nakrył wielką skórzaną tarczą.

Gdy już wszyscy domownicy dyskretnie wyszli z izby weselnej, Lugunda zrzuciła tarczę na podłogę i pokornie spytała, czy ze swojej własnej woli nie zechciałbym czule i po przyjacielsku zrobić tego samego, co uczyniłem w lesie wiedziony ślepą wścikłością. Tamto się już przecież stało i nie można temu zapobiec.

Objęliśmy się więc gorąco, a wedle rzymskiego zwyczaju najpierw pocałowałem ją w usta. Później Lugunda wstała i maścią łągodzącą ostrożnie nasmarowała mi plecy, które naprawdę bardzo bolały, gdy sobie o nich przypominałem.

Zanim zapadłem w jeden z najgłębszych snów w moim życiu,

uprzytomniłem sobie, że złamałem obietnicę, jaką dałem Klaudii. Całą odpowiedzialność zwałem na magiczną siłę nowiu i czary druidów. Widocznie nikt nie może uniknąć określonego z góry losu, myślałem, bo nie mogłem wymyślić niczego rozsądnego.

Następnego dnia podjąłem przygotowania do wyjazdu, ale ojciec Lugundy zażądał, abym razem z nim obejrzał pola, stada bydła, pastwiska i lasy, które zamierzał wydzielić Lugundzie i jej spadkobiercom. Na tej wycieczce zeszło nam trzy dni, a po powrocie, nie chcąc okazać się gorszy, podarowałem Lugundzie zdjęty z własnej szyi złoty łańcuch trybuna wojskowego. Chyba jednak ojciec Lugundy uznał, że nie jest to prezent zbyt wartościowy, bo wyjął ze skrzyni złoty naszyjnik grubości dziecięcej ręki i założył swojej córce na szyję. Takie ozdoby noszą tylko królowe i najznamienitsze niewiasty brytyjskie! Tak więc wreszcie, barania głowa, zrozumiałem, że Lugunda wywodzi się ze znacznie wyższego, niż mogłem przypuszczać, rodu; był to ród aż tak znamienity, że jej ojciec nie musiał się przechwalać swym pochodzeniem. Petro wyjaśnił mi, że gdybym nie był rzymskim ekwitą i synem senatora, to w ślubnym łożu otrzymałbym cios mieczem w brzuch, a nie skórzaną tarczę rodową na plecy.

Z pewnością zawdzięczam nie tylko wpływowemu teściowi, ale i Petrowi, który był wszak kapłanem, lekarzem i sędzią, że nie oskarżono mnie o czary. Otóż ten znamienity młodzian brytyjski, który w noc pełni księżyca rzucił się na mnie z pięściami, jeszcze tej samej nocy roztrzaskał sobie głowę. Jego pędzący w pełnym galopie rydwan spłoszyło jakieś zwierzę.

Od czasu do czasu wracałem myślą do złamania obietnicy, jaką złożyłem Klaudii. Stało się to wbrew mojej woli. Dręczyło mnie też wrażenie, że Lugunda byłaby lepszą kochanką niż żoną. W duchu uważałem, że związek małżeński zawarty wedle obyczaju Brytów nie ma mocy prawnej. Ale byłem młody. Moje długo trzymane w ryzach ciało zupełnie się pograżyło w pieszczotach i czułości Lugundy; z dnia na dzień odkładałem wyjazd z kraju Ikenów. Na szczęście okazało się, że nadmierne zaspokajanie żądzzy nudzi się szybciej niż podporządkowana woli dyscyplina ciała. Po kilku dniach coś nas zdenerwowało, wymieniliśmy zapalczywe słowa i we wszystkim innym poza łóżkiem mieliśmy odmienne zdanie. Gdy w końcu wyjeżdżałem, czułem się tak, jakbym się wyrwał z niewoli czy spod uroku czarów. Wylatywałem jak ptak z klatki na wolność i wcale nie robiłem sobie wyrzutów, że porzucam Lugundę! W końcu osiągnęła, czego chciała i niech się tym zadowoli - myślałem.

Wespazjan zwolnił mnie znowu z obowiązków oficera i z ćwiczeń, zasiadłem z powrotem do pisania książki o Brytanii. Wyzwoliłem się z marzycielskiego oczarowania poprzedniego lata i pisałem o wszystkim tak jasno i rzeczowo, jak tylko potrafiłem. Nie patrzyłem już na Brytów przez oszlifowany ametyst, nawet wyśmiewałem niektóre ich obyczaje. Przyznałem Juliuszowi Cezarowi zasługi w cywilizowaniu Brytanii, ale też stwierdziłem, że zawarcie przez boskiego Augusta sojuszu z Brygantami oni sami uznawali jedynie za przyjazną wymianę darów, i to korzystną dla nich, ponieważ - jak twierdzili - za utrzymanie pokoju otrzymali więcej, niż sami dali.

Natomiast wyraziłem pełne uznanie cesarzowi Klaudiuszowi za podporządkowanie sobie południowych części Brytanii, a Aulusowi Plaucjuszowi za ich spacyfikowanie. Wespazjan prosił osobiście, abym nie pisał zbyt wiele o jego zasługach. Nadal na próżno czekał na nowego pełnomocnika albo wodza naczelnego legionów, aby móc formalnie przekształcić podbite ziemie w podległą prawu rzymskiemu prowincję lub jej część. Nic dziwnego, że nie chciał sławą wojenną legionów burzyć w Rzymie złej krwi.

- Nie chcę, aby mnie odwołano do Rzymu przez zbytnią aktywność - wywodził. - Właśnie odwołano Korbulona z Germanii, i to w trakcie wyprawy wojennej! Nie porównuję siebie z nim, ale przecież cesarz Klaudiusz jest zawistny, a Brytania to jego najczulsze miejsce. Zbyt mało mam sprytu i wykształcenia, aby łatwo mi przychodziło dostosowywanie się do zmieniających się warunków. Najchętniej zostałbym w Brytanii, więc nie warto przypominać bez potrzeby moich zasług, abym nie musiał wracać do Rzymu, do starej biedy.

Dowiedziałem się, że cesarz Klaudiusz nie dotrzymał przysięgi, którą z prawą ręką owiniętą białym płótnem i wielkim płaczem składał wobec pretorianów, klnąc się na boginię Fides. Upłynęło ledwie kilka miesięcy od stracenia Mesaliny, a już poinformował senat, że nie potrafi żyć bez żony i że wybrał na małżonkę najznamienitszą z rzymskich niewiast, córkę własnego brata, Agrypinę; tę samą Agrypinę, której syn, Lucjusz Domicjusz, swego czasu zabiegał o moją przyjaźń.

Dla zawarcia małżeństwa z własną bratanicą cesarz złożył projekt ustawy, która dopuszczała kazirodztwo. Senat oczywiście z radością ją uchwalił. Co bardziej przewidujący senatorowie ze łzami w oczach błagali Klaudiusza, by unieważnił swoją przysięgę i dla dobra państwa wstąpił w nowy związek małżeński. W przeciągu krótkiego czasu stosunki w Rzymie zupełnie się zmieniły. Wespazjan mądrze ostrzegał, by nie wtykać palca w gorącą kaszę:

- Agrypina jest piękną i mądrą kobietą - zapewniał obłudnie. - Na pewno gorzkie doświadczenia młodości i dwa poprzednie małżeństwa wiele ją nauczyły. Mam nadzieję, że okaże się dobrą matką dla Brytanika, bo wówczas nie odtrąci Tytusa. Jak się okazuje, popełniłem błąd, powierzając wychowanie mego syna Mesalinie.

Wespazjan doskonale wiedział, że gdy skończę pisać, będę miał dość Brytanii i wyjadę do Rzymu. Trzeba przecież opublikować książkę! Ja zaś nie byłem niczego pewny. W miarę zbliżania się wiosny coraz częściej wspominałem Lugundę. Pamiętałem tylko o tym, jak słodka była w moich ramionach i jak przedziwnie wówczas ciemniał blask jej bursztynowych oczu. Wszystko inne poszło w niepamięć.

Wespazjan po ojcowsku zastanawiał się nad moją przyszłością, bo zauważył mój niepokój i doszedł do wniosku, że przed wyjazdem do Rzymu powinienem nabyć doświadczenia wojennego. Wysłał więc mnie w góry zachodnie w celu spacyfikowania pewnego małego plemienia, które zaatakowało tereny plemion sprzymierzonych z Rzymem i zagrabiło bydło i zboże. Oddał pod moją komendę nadcenturiona, jedną kohortę piechoty oraz oddział konnicy galijskiej.

Pomogła mi znajomość warunków brytyjskich. Udało nam się okrążyć i spalić kilka wiosek, zaś sami ponieśliśmy tylko minimalne straty. Opowiedziałem o tej wyprawie w zakończeniu swojej książki. Przedstawiłem tam taktykę zaskakującego ataku w trudnym dla marszu terenie górskim; oczywiście nie wymieniłem swego imienia. Zabijanie barbarzyńców, którzy nawet nie mają hełmów, gdy samemu siedzi się na rosłym koniu i dysponuje pełnym rynsztunkiem, jest bardzo łatwe, ale uważałem, że osobiste stawanie do walki wręcz nie należy do obowiązków trybuna wojkowego.

Minęło święto Floraliów, gdy wróciliśmy z wyprawy na zachód. W Londinium czekał na mnie pisany kiepską łaciną na brzozonej korze list, w którym proszono, bym przybył do kraju Ikenów i wziął w objęcia swojego nowo narodzonego syna. Ta nieoczekiwana prośba zamiast wzmóc - stłumiła tęsknotę za Lugundą, natomiast pobudziła ochotę do natychmiastowej podróży do Rzymu. Byłem jeszcze taki młody! Wierzyłem, że zmieniając miejsce pobytu uwolnię się od wszystkich win!

Wespazjan zachował się jak przyjaciel; dał mi tabliczkę kurierską i listy do Rzymu. Nie zrażony gwałtownym wichrem, wsiadłem na statek i w czasie przeprawy do Galii obrzygałem grzywy chyba wszystkich spienionych fal całego morza Brytanii. Na wpół martwy wyszedłem na brzeg i nie mam nic więcej do powiedzenia o Brytanii. Powziąłem mocne postanowienie, że nigdy nie wrócę na tę wyspę, jeśli nie będzie można tam przejechać suchą nogą. Jest to jedno z niewielu moich mocnych postanowień, których zdołałem dotrzymać.





Księga 4

Klaudia

Jak wspaniale jest być młodym! Jeżeli w osiemnastym roku życia własnymi zasługami zdobywasz odznakę trybuna wojskowego, to wydaje ci się, że wszyscy cię uwielbiają i bez zająknięcia zdołasz zaprezentować swoją pierworodną książkę najbardziej autorytatywnym słuchaczom!

Teraz, gdy małżonką Klaudiusza po zbyt młodej Mesalinie została Agrypina, Rzym przeżywał swoje najpiękniejsze lato; nawet jego cuchnące powietrze stało się jakby czystsze. Przestały być modne rozpustne hulanki. Obyczaje uległy poprawie, bo plotka głosiła, że Agrypina, ilekroć Klaudiusz na to zezwoli, ściąga do Palatynu wykazy ekwitów i senatorów i bez litości wykreśla nazwiska ludzi wiodących bezwstydną życie lub tonących w długach. Klaudiusz, który nadal pełnił urząd cenzora i ciężko wzdychał uginając się pod brzemieniem obowiązków państwowych, chętnie akceptował wszystkie propozycje swej żony, będącej wszak kobietą o dużym doświadczeniu politycznym.

Klaudiusz zresztą także próbował wziąć się w garść, a jego wyzwoleńcy, zwłaszcza sekretarz Narcyz i prokurator finansów państwowych Pallas, znowu cieszyli się największymi łaskami. Podobno Pallas, chociaż zmęczony ciężką pracą, całymi nocami naradzał się z niestrudzenie aktywną i nieustępliwą Agrypiną.

Gdy po powrocie do Rzymu złożyłem uszanowanie Agrypinie, wydało mi się, że stała się bardziej serdeczna i jakby promienna. Pofatygowała się, by osobiście zaprowadzić mnie do szkoły na Palatynie, przywołała ośmioletniego syna Wespazjana, Tytusa, i tkliwie pogłaskała po głowie pasierba. Jak na dziewięciolatka Brytanik wyglądał niepozornie, był zamknięty w sobie i miał nieprzychylny wyraz twarzy; nic dziwnego, skoro tak tragicznie stracił piękną matkę. Nawet największa czułość macochy nie zrekompensuje takiej straty! Po wyjściu ze szkoły Agrypina skarżyła się, że ku rozpaczycy swego ojca Brytanik miewa od czasu do czasu ataki padaczki i dlatego nie może uprawiać ćwiczeń fizycznych. Szczególnie w czasie pełni księżyca chłopiec bywa bardzo niespokojny i wymaga troskliwej opieki.

Tym chętniej zaprowadziła mnie do bardziej słonecznej części Palatynu, bym powitał jej syna, pięknego i zdrowego Lucjusza Domicjusza.

Przedstawiła mnie także jego nauczycielowi. Pierwszym krokiem Agrypiny po osiągnięciu władzy było ściągnięcie z banicji Seneki i mianowanie go wychowawcą Lucjusza. Pobyt na Korsyce najwidoczniej był korzystny dla zdrowia filozofa: stan jego płuc, na który tak skarżył się

w listach z wygnania, uległ wyraźnej poprawie. Seneka miał około czterdziestu pięciu lat i był korpulentny. Przywitał mnie serdecznie. Nosił buty z czerwonej skóry ze sprzączkami - widomy znak osiągnięcia godności członka senatu.

Lucjusz Domicjusz zaskoczył mnie - rzucił mi się na szyję i ucałował, jakby spotkał dawno utraconego przyjaciela. Trzymając mnie za rękę posadził obok siebie, wypytywał o moje przeżycia w Brytanii i podziwiał, że rada rycerska świątyni Kastora i Polluksa zatwierdziła mi godność trybuna wojskowego, mimo że byłem taki młody.

Ośmielony tak żywiołowo okazywaną mi życzliwością, odważyłem się wspomnieć o mojej małej książeczce i pokornie prosiłem Senekę, by zechciał ją przeczytać i udzielić rad stylistycznych, zanim zostanie wydana. Seneka po przyjacielsku wyraził zgodę i głównie z tego powodu zacząłem bywać na Palatynie. Po przeczytaniu tekstu oświadczył, że mojej relacji wprawdzie brakuje patosu, ale zastosowanie stylu surowego i rzeczowego uznał za zasadne, skoro chodziło głównie o przedstawienie geografii, historii, obyczajów różnych plemion, zabobonów religijnych i sztuki wojennej Brytów. Lucjusz zapalił się do głośnego odczytywania mojego dzieła; chciał mi zademonstrować, jak dobrze deklamuje. Miał wyjątkowo piękny głos i głęboko wczuwał się w czytany tekst, jakby mój utwór był szczególnie ważny i godny pochwały. Szczerze oświadczyłem:

- Gdybyś czytał publicznie, miałbym zagwarantowany sukces.

W wykwintnej atmosferze Palatynu rychło doszedłem do wniosku, że na długi czas będę miał dość prostego życia obozowego i surowych obyczajów wojskowych. Z ogromną ochotą poddawałem się wpływowi Lucjusza, który uczył mnie pięknej gestykulacji potrzebnej pisarzowi, który publicznie odczytuje swój utwór. Za jego radą zacząłem uczęszczać do teatru, często też towarzyszyłem mu w jego spacerach po ogrodach Lukullusa na wzgórzu Pincjo, które jego matka odziedziczyła po Mesalinie, gdy została małżonką cesarza. Lucjusz miał zwyczaj biegać i cieszyć się jak chłopiec, ale przez cały czas pilnie zwracał uwagę na grację ruchów. Zdarzało się, że nagle przystawał, jakby głęboko nad czymś zadumany, po czym tak pięknie formułował myśl, która przyszła mu wówczas do głowy, że nie chciało się wierzyć, aby zdolny był do tego chłopiec, który jeszcze nie przeszedł mutacji. Lucjusza musiało się polubić, ponieważ dokładał wielu starań, aby się przypodobać. Odnosiło się wrażenie, jakby z powodu pozbawionego uciech dzieciństwa czuł potrzebę obdarowania radością każdego, choćby był niewolnikiem. Seneka zdążył go już nauczyć, że niewolnik też jest człowiekiem. Ja nauczyłem się tego od mego ojca jeszcze w Antiochii.

Wydawało mi się, że atmosfera powszechnej życzliwości zapanowała w całym Rzymie. Nawet pani Tulia przyjęła mnie serdecznie i nie broniła spotykać się z ojcem, kiedy tylko chciałem. Ubierała się teraz z godnością, jak przystoi matce trojga dzieci i małżonce senatora; nie zakładała też na siebie tyle biżuterii co przedtem.

Ojciec sprawił mi niespodziankę. Nie był już spuchnięty, zasapany i przygnębiony, jak przed moim wyjazdem do Brytanii. Pani Tulia kupiła greckiego lekarza, który odbył studia w Aleksandrii. Lekarz miał stale

opiekować się ojcem; oczywiście natychmiast został wyzwolony. Przepisał ojcu kąpiele, masaże oraz ograniczenie ilości pitego wina. Zalecił też codzienne rzucanie piłką, aby schudł i godnie wyglądał w todzie z szerokim pasem purpurowym. Opinia o ojcu jako człowieku bogatym i dobrodusznym tak się w Rzymie rozpowszechniła, że codziennie w przedsionku domu kłębił się tłum klientów i ludzi zanoszących prośby o pomoc. Wielu osobom pomógł, ale stale odmawiał rekomendacji starającym się o przyznanie obywatelstwa rzymskiego, choć jako senator miał prawo udzielania takich zaleceń.

- Twój ojciec jest za dobry i za potulny - mówiła pani Tulia - ale chyba jego przykład dobrze na mnie wpłynął. O wielu sprawach zaczęłam teraz myśleć inaczej. Niewiasta czwarty raz zamężna musi się zastanowić nad swoją przeszłością i wysnuć z niej właściwe wnioski. Wyuzdanie Mesaliny wiodło do pogrzebania w błocie starej rzymskiej cnoty, bo jej zły przykład kusił do naśladownictwa. Jestem wrażliwą kobietą, łatwo przejmuję aktualnie obowiązujące obyczaje. Na szczęście w porę zdołałam się ustatkować. Jestem teraz szczęśliwsza niż wtedy, gdy spełniałam wszystkie swoje zachcianki i codziennie rano budziłam się z bólem głowy. Niczego się nie boję, chyba tego, że nadto utyję, wiodąc tak spokojne i cnotliwe życie.

Poprawiwszy swe obyczaje, pani Tulia zaczęła bardziej troszczyć się o majątek. Ojcu wcale się nie podobało, że wraz z doświadczonymi zarządcami i prokuratorami wtyka nos także w sprawy jego własnego majątku. Musiał posiadać dużo ziemi w Italii, był to przecież warunek utrzymania godności senatorskiej. Chętnie by podniósł wydajność swych dóbr przez osuszanie i drenowanie gleby oraz wprowadzanie nowych metod gospodarowania, ale pani Tulia potrafiła udowodnić, że przy korzystaniu z pracy niewolników nie można zrobić nic więcej, jak tylko stosować stare metody: gospodarność i bezwzględną srogość.

- Zmniejszenie obciążenia niewolników jest sentymentalizmem i rychło zemści się na właścicielach - twierdziła. - Wieloletnie doświadczenie dowodzi, że prasy do wyciskania oleju, pługi i wszelkie narzędzia rolnicze, łącznie z motykami, muszą być tak masywne, żeby niewolnicy nie mogli ich połamać. Zatrudniłam surowych zarządców i dzięki temu twój ojciec osiąga znaczne dochody z uprawy ziemi, choć dotychczas ponosił tylko straty.

Ojciec musiał przyznać, że to prawda, lecz z goryczą dopowiedział:

- Ale równocześnie straciłem wszelką ochotę na odwiedzanie moich dóbr.

Pani Tulia rzekła ugodowo, że biorąc pod uwagę drogę wszystkim zdrowie ojca, ma on wystarczająco dużo obowiązków w Rzymie, więc nie powinien obciążać sobie głowy sprawami, które ona rozumie dużo lepiej.

Muszę wreszcie opowiedzieć o Klaudii. Poszedłem powitać ją niechętnie i nękany wyrzutami sumienia. Zewnętrznie wcale się nie zmieniła. Mimo to patrzyłem na nią jak na osobę obcą. Najpierw promiennie się uśmiechnęła na mój widok, wnet jednak usta się jej wykrzywiły, a oczy pociemniały.

- Miałam paskudne sny o tobie - powiedziała. - Widzę, że się

sprawdzają. Nie jesteś tym samym Minutusem, jakim byłeś.

- Jak mogłaś sobie wyobrazić - zawołałem ze złością - że po spędzeniu dwóch lat w Brytanii, zabijaniu barbarzyńców i zasłużeniu na czerwony pióropusz na hełm i napisaniu książki w ogóle się nie zmienię! Żyjesz jak w stojącej sadzawce, ale nie możesz tego samego żądać ode mnie!

- Wiem dobrze, co masz na myśli, Minutusie - Klaudia spojrzała mi w oczy i wyciągnęła rękę, by dotknąć mej twarzy. - Byłam głupia, nie powinnam żądać od ciebie obietnicy, której mężczyzna prawdopodobnie nie jest w stanie dotrzymać.

Chyba zrobiłbym najmądrzej, gdybym się wtedy uniósł honorem, poszedł w swoją stronę i w ten sposób zakończył naszą przyjaźń. Najłatwiej przecież obrazić się, gdy człowiek wie, że popełnił błąd. Ale gdy ujrzałem, jak gorzko przeżywa swoje rozczarowanie, zamknąłem ją w ramionach, całowałem i głaskałem. Nagle ogarnęła mnie nieprzeparta ochota, aby bodaj jednemu człowiekowi na świecie opowiedzieć o Lugundzie i o tym wszystkim, co mi się przydarzyło.

Usiedliśmy na kamiennej ławce na pobliskim zboczu w cieniu starego drzewa. Opowiadałem jak mogłem najszczerzej, jak Lugunda dostała się w moje ręce, jak uczyłem ją czytać i jak bardzo była mi pomocna w czasie pobytu wśród Brytów. Potem język zaczął mi się plątać i musiałem coraz częściej spoglądać w ziemię. Klaudia oburącz schwyła moje dłonie, potrząsała nimi, zaglądała mi w oczy i zachęcała, bym mówił. Opowiedziałem więc tyle, ile pozwolił mi szacunek dla siebie samego - jednak nie odważyłem się wyznać, że Lugunda urodziła mi syna. Natomiast z głupiej młodzieńczej próżności wychwalałem swoją męskość i niewinność Lugundy, choć nie miało to żadnego sensu.

Ku mojemu zdumieniu Klaudia najbardziej poczuła się dotknięta tym, że Lugunda była kapłanką zajęcy.

- Obrzydło mi obserwowanie lotu ptaków na Wzgórzu Watykańskim - powiedziała. - Nie wierzę już w przepowiednie. Rzymscy bogowie stali się dla mnie tylko kamiennymi posągami, które nie mają żadnej władzy. Oczywiście istnieją złe siły i nie dziwię się, że na obcej ziemi i przy braku doświadczenia padłeś ofiarą czarów. Lecz jeśli szczerym sercem będziesz żałował swego upadku, to mogę ci wskazać nową drogę. Człowiek potrzebuje czegoś więcej niż czarów, przepowiedni i kamiennych posągów. W czasie twej nieobecności doświadczyłam czegoś, o czym nie sądziłam, by mogło być przeżyte przez kogokolwiek.

Nie podejrzewając niczego złego gorąco poprosiłem, aby o tym opowiedziała. Serce stanęło mi w piersi, gdy z jej słów wywnioskowałem, że Paulina, żona Aulusa Plaucjusza, wykorzystywała ją do utrzymywania kontaktu z chrześcijańskimi przyjaciółmi. W ten sposób Klaudia dała się wciągnąć w haniebne tajne stowarzyszenie bardziej nawet, niż była w nie wciągnięta Paulina!

- Oni mają moc uzdrawiania chorych i odpuszczania grzechów - zapewniała podniecona Klaudia. - Niewolnik i najbiedniejszy wyrobnik jest w czasie ich świętego posiłku równy najbogatszem i najznamienitszem. Witamy się ze sobą pocałunkiem miłości. Na wezwanie ducha całe zgromadzenie ogarnia święty dreszcz, prości ludzie mówią obcymi

językami, a twarze stają się świetlane w ciemności.

Patrzyłem na nią, jakby była chora. Ona zaś schwyciła moją rękę w obie dłonie i prosiła:

- Nie osądzaj, zanim ich nie poznasz. Wczoraj był dzień Saturna i żydowski szabat. Dzisiaj jest święty dzień chrześcijan, ponieważ następnego dnia po szabacie ich król powstał z martwych. Zresztą każdego dnia niebo może się otworzyć i on wróci na ziemię, by założyć tysiącletnie Królestwo, w którym ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi.

Gdy Klaudia to mówiła, była wówczas tak piękna i jednocześnie przerażająca, jak wieszcząca w ekstazie kapłanka wyroczni. Oczywiście jest, że mówiła przez nią jakaś tajemnicza i przemożna siła. Ta sama siła zapewne sparaliżowała moją wolę i zaciemniła umysł, bo gdy zaproponowała, abyśmy udali się na spotkanie z chrześcijanami - wbrew własnej woli wstałem i poszedłem za nią. Sądziła, że się boję, więc zapewniała mnie, że nie muszę robić niczego, czego nie zechcę, mam tylko patrzeć i słuchać. W głębi duszy usprawiedliwiałem siebie: skoro w Brytanii usiłowałem poznawać religię druidów, to przecież warto zorientować się w nowych religiach Rzymu.

Do Zatybrza, żydowskiej dzielnicy miasta, dotarliśmy w chwili, gdy trwały tam rozruchy. Po ulicach biegały wrzeszczące kobiety, a mężczyźni bili się na pięści, a także rzucali kamieniami. Nawet szacowni Żydzi o siwych brodach, w uroczystych szatach z frędzlami w rogach, brali w tych rozruchach udział, a policja prefekta miasta nie była w stanie poradzić sobie z tym wszystkim. Gdy tylko rozpędziła pałkami jedną grupę, to natychmiast wybuchała bójka w innym zaułku.

- Na wszystkich bogów rzymskich, co tu się dzieje? - zapytałem zdyszanego policjanta, który ocierał krew z czoła.

- Jakiś zbiegły niewolnik Chrestos napuszcza na siebie Żydów - odpowiedział. - Jak widzisz, mostem wali tutaj chmara hołoty z innych części miasta. Lepiej zwiewaj ze swą dziewuchą. Ogłoszono alarm w obozach pretorianów. Wkrótce poleje się tu krew i z innych, nie tylko z mojej gęby.

- Wczoraj - mówiła Klaudia, która pilnie rozglądała się dookoła i wykrzykiwała z radości - Żydzi wygnali z synagogi wszystkich wyznawców Chrystusa i strasznie ich sponiewierali. Teraz chrześcijanie oddają im tą samą miarką. Z pomocą im spieszą również tacy chrześcijanie, którzy nie są Żydami.

W wąskich zaułkach rzeczywiście kłębili się potężnie zbudowani niewolnicy, kowale, tragarze z portów na Tybrze: tworzyli grupę uderzeniową, rozbijali zamknięte sklepy i wdzierali się do domów, z których dochodziły żalosne lamenty. Fanatyczni Żydzi są nieustraszonymi bojownikami w imię swego niewidzialnego Boga. Zebrali się przed synagogami i dzielnie odpierali ataki. U nikogo nie widziałem prawdziwej broni. Posiadanie jej jest Żydom wzbronione, podobnie jak wszelkiej hołocie, która napływała do Rzymu ze wszystkich stron świata, a szczególnie ze Wschodu.

To tu, to tam widziałem, jak mężczyźni w średnim wieku wznosili ręce do góry i wołali: „Pokój, pokój, w imię Jezusa Chrystusa!” Udało im się

uspokajać poszczególnych awanturników, którzy wypuszczali kamienie z garści i umykali z placu boju. Tyle że miano Chrystusa wzbudziło istną furję szacownych Żydów, stojących przed piękną synagogą Juliusza Cezara. Zaczęli oni rwać włosy z bród i rozdzierać szaty oraz miotać przekleństwa.

Miałem pełne ręce roboty, aby osłaniać Klaudię i jednocześnie powstrzymywać ją przed wmieszczeniem się w awanturę, bo z uporem parła do domu, w którym wieczorem miały się odbyć tajne obrzędy. Roznamietniona gromada fanatycznych Żydów kładła pokotem wszystkich, którzy usiłowali tam dotrzeć, i wyrzucała ze środka tych, którzy się ukryli wewnątrz. Rozrywali niesione przez biedaków węzłki i wywracali kobiałki z jedzeniem, wdeptywali żywność w błoto, przewracali na ziemię, kopali i bili tych ludzi, jakby byli zwierzętami.

Nie wiem właściwie, jak to się wszystko stało - czy opanowała mnie wrodzona Rzymianom chęć utrzymania porządku, czy próbowałem bronić słabszych przed poniewieraniem ich przez atakujących, czy Klaudia pociągnęła mnie za sobą? Nagle zorientowałem się, że ciągnę jakiegoś Żyda za twardą brodę i chwytem zapaśniczym wrywam mu z rąk drag - ten Żyd z furią kopał po głowie przewróconą przez siebie dziewczynę. Trochę później z zapalem biłem się wręcz - widocznie po stronie chrześcijan, bo Klaudia entuzjastycznie zagrzewała mnie, bym z całej siły grzmocił w imię Jezusa Nazarejskiego, którego Żydzi nie uznawali za Chrystusa.

W rozruchach wzięło udział tysiące ludzi, mężczyzn i kobiet, młodych i starych, nawet dzieci. Prawowierni Żydzi mieli ogromną przewagę i niewątpliwie pognębiliby chrześcijan, gdyby nie nadeszła pomoc zza Tybru i ze strony gnieżdżącej się w porcie hołoty, którą cieszy każda awantura. Zamieszki skończyłyby się szybciej, niż na dobre wybuchły, gdyby rzeczywiście pretorianie wkroczyli do akcji.

Wokół kwestii zdławienia zamieszek wszakże wywiązał się prestiżowy spór między prefektem gwardii a prefektem miasta, jako że jurysdykcja i utrzymywanie ładu w obrębie murów należą do obowiązków prefekta miasta. W końcu zagrały trąby i policja miejska w największym pośpiechu w hełmach ochronnych z tarczami i mieczami szybko, ale w sposób zorganizowany, weszła w obręb dzielnicy żydowskiej. Zabito kilku najgorszych awanturników wywołując ogólną panikę. Ulice opustoszały. Gdzieniedzie czołgali się poszkodowani, którzy nie mogli stanąć na nogach. Przyjaciele i krewniacy unosili z placu boju nieprzytomnych, aby ich ukryć po domach.

Rozum mi wrócił, gdy Klaudia wciągnęła mnie do wnętrza domu. Wpuściłem z rąk zakrwawiony drag: z przerażeniem pojąłem, co by było, gdyby mnie zatrzymano za mieszanie się w żydowską bójkę na tle różnic religijnych. Mogłem przecież stracić nie tylko godność trybuna wojskowego, ale i purpurowe obramowanie togi! Klaudia zaprowadziła mnie do wielkiego suchego podziemia, w którym ochrzczeni Żydzi w najlepsze wykrzykiwali do siebie z zaczerwienionymi twarzami, wiodąc spór o winnych wybuchu zamieszek, zaś szlochające kobiety przewiązywały poszkodowanym rany i maściami smarowały guzy. W

podziemiu schroniło się kilku trzęsących się ze strachu staruszków, którzy - sądząc po odzieniu - nie byli Żydami. Moim zdaniem byli po prostu pogubieni w tym wszystkim i zastanawiali się tylko, jak najlepiej wybrnąć z tarapatów.

W pewnej chwili do podziemi wszedł mężczyzna, w którym dopiero gdy wytarł krew i błoto z twarzy rozpoznałem rzemieślnika szyjącego namioty, Akwilę. Był w strasznym stanie, bo Żydzi wytarzali go w kloace i rozbili mu nos. Mimo to zaczął gorączkowo wykrzykiwać:

- Wy, psubraty, których nie chcę więcej nazywać braćmi! Czy wolność w Chrystusie jest tylko osłoną waszego własnego zła?! Biją was za wasze grzechy! Gdzie wasza wytrzymałość? Przecież nam kazano być uległym wobec każdego ludzkiego ładu i zamykać gęby głupim oszczercom czynieniem dobra!

- Teraz nie chodzi o pogan, wśród których bez szemrania żyjemy i staramy się, aby nauczyli się chwalić Boga widząc nasze dobre uczynki! - negowali mu inni. - Nie, teraz idzie o Żydów, którzy nas biją i znieważają naszego pana, Chrystusa! O Niego i o Jego cześć powstaliśmy, wcale nie w obronie naszego nędznego żywota, ale chcieliśmy przeciwstawić się złu.

Przepchnąłem się do Akwili, potrząsnąłem go za rękę i próbowałem szepnąć, że muszę ulotnić się z tego towarzystwa. Lecz kiedy Akwila mnie poznał, twarz mu pojaśniała z radości, pobłogosławił mnie i zawołał:

- Minutusie, synu Marka Manilianusa, a więc i ty wybrałaś jedyną drogę! - Chwycił mnie w objęcia, ucałował, wpadł w ekstazę i zaczął nauczać: - Chrystus cierpiał i za ciebie! Weź z niego przykład i pójdź w jego ślady! On na oszczerstwa nie odpowiadał kalumniami i cierpiąc nie odgrażał się i Ty więc także nie odpłacaj złym za zło. Skoro cierpisz dla Chrystusa, wychwalaj za to Boga!

Nie jestem w stanie powtórzyć wszystkiego, co plótł. Wcale nie docierały do niego moje repliki, a niewątpliwie pogrążony w ekstazie miał dużą siłę oddziaływania na ludzi. Stopniowo prawie wszyscy zaczęli się modlić, prosząc o odpuszczenie grzechów, i tylko kilka osób wciąż przez zaciśnięte zęby mruczało, że Królestwo nigdy nie przyniesie owoców, jeśli Żydzi bez przeszkód będą ubliżać, ujarzmić i poniewierać poddanych Chrystusa.

Policja zatrzymała dużą gromadę ludzi, wcale nie zważając, czy byli wśród niej prawowierni Żydzi, Żydzi ochrzczeni czy zwykła hołota. Ponieważ pretorianie pilnowali mostów, wielu ludzi uciekało do miasta łodziami; odczepiali je od pomostów, aby z prądem wody spłynęły do portu. Miasto było bezbronne, bo całą policję odkomenderowano do dzielnicy żydowskiej. Motłoch krążył po ulicach, wykrzykując jako hasło poznane na tamtym brzegu imię Chrystusa. Zaczęto grabić sklepy i podpalać domy, więc prefekt, uspokoiwszy nieco żydowską dzielnicę, musiał z powrotem odprawić policję do obrony centrum. To mnie uratowało, bo wcześniej otrzymali rozkaz sprawdzenia całej dzielnicy dom po domu, żeby znaleźć i zatrzymać Chrystusa, który podjudzał Żydów do swawoli.

Nastał wieczór. Przygnębiony siedziałem na ziemi, ręką podparłszy brodę, i poczułem głód. Chrześcijanie zebrali razem tę część żywności,

której nie zniszczono w czasie rozruchów i podzielili ją między obecnych bacząc, aby nikogo nie ominąć. Był tam chleb i olej, cebula, gotowany groch i nawet wino. Zwyczajem chrześcijan Akwila pobłogosławił chleb i wino jako ciało i krew Chrystusa Nazarejskiego. Wziąłem, gdy mi podano, i podzieliłem się z Klaudią tym chlebem ubogich. Otrzymałem także ser i suszone mięso. Piłem też wino z tego samego naczynia co inni. Po skończonym posiłku wszyscy serdecznie się ucałowali. Klaudia też mnie pocałowała i zawołała:

- Och, Minutusie, jakże się cieszę, żeś i ty jadł ciało i pił krew Chrystusa, aby otrzymać odpuszczenie grzechów i żywot wieczny! Czy nie odczuwasz w głębi serca zmiany ducha, jakbyś zdjął z siebie łańcuchy dawnego życia i przywdział nowe szaty?

Powiedziałem zgryźliwie, że jeśli nastąpiły we mnie jakieś zmiany, to są one rezultatem wypicia taniego kwaśnego wina. Dopiero po pewnym czasie pojąłem jej słowa - oto uczestniczyłem w tajnym posiłku chrześcijan! Tak mnie to przeraziło, że aż poczułem gwałtowne nudności, choć dobrze wiedziałem, że w naczyniu nie było żadnej krwi.

- Bzdury opowiadasz! - zdenerwowałem się. - Gdy człowiek jest głodny, to chleb jest chlebem, a wino winem. Jeśli między wami nie dzieje się nic gorszego, to nie rozumiem, dlaczego o waszym zabobonie opowiadają takie idiotyczne brednie! A jeszcze mniej rozumiem, w jaki sposób te niewinne posiłki doprowadzają do krwawych rozruchów? Żydzi wierzą, że są lepsi od innych ludzi, ponieważ mają swoje święte księgi, zakon i Świątynię w Jerozolimie. Drażnią ludzi swoją śmieszoną pychą, bo nie chcą nawet jadać razem z innymi. A wy, chrześcijanie, przez ten niedorzeczny posiłek chcecie jeszcze bardziej się wyróżniać niż Żydzi!

- Jezus Chrystus, Syn Boga - krzyknęła rozzłoszczona Klaudia - nie robi różnicy między Żydami i gojami. Jeśli ktoś w niego wierzy i zanurzy się w wodzie albo pozwoli polać się wodą w jego imieniu, to otrzyma przebaczenie grzechów i wieczny żywot! Musisz przecież przyznać, że człowiek oczyszczony z grzechów jest lepszy od grzesznika, podobnie jak czysty chiton jest lepszy od brudnego!

Z całą powagą zaproponowała, abym zaczął słuchać nauk Akwili i innych ludzi, którzy znają tajemnice Chrystusa, i abym się zgodził polać swoją głowę wodą. Widziałem przecież na własne oczy, jak odnosili się do siebie ochrzczeni po spożyciu świętego posiłku. Byłem chyba ślepy, że nie dostrzegąłem w nich ducha, którym się różnią od innych ludzi.

Nie miało sensu kłócić się z nią, kiedy była taka podniecona, więc w końcu zgodziłem się zainteresować ich naukami. Może i było w nich coś rozsądnego. Nie uważałem, że źle postępują, broniąc się przed Żydami. Ale podejrzewałem, że będą srogo ukarani, jeśli zamieszki się przedłużą, i to niezależnie od tego, czy wina była po ich, czy też prawowiernych Żydów stronie.

Akwila przyznał, że konflikty zdarzały się już wcześniej, choć nie na tak szeroką skalę. Zapewniał, że chrześcijanie usiłowali tak organizować swoje spotkania, by nie skupiać na sobie zbytnej uwagi, i że na złe słowo odpowiadali dobrym. Ale przecież ochrzczeni Żydzi mają pełne prawo chodzić do synagogi, żeby posłuchać czytanych ksiąg i żeby przemawiać.

Przecież wielu z nich uczestniczyło w kosztach budowy tych synagog!

W gorącą letnią noc poszedłem odprowadzić Klaudię do jej chaty koło Watykanu. Po drugiej stronie rzeki widać było łuny pożarów i dochodził stamtąd szum gawiedzi. Niezliczone wozy, które dowoziły żywność na bazy i hale targowe, zatarasowały drogę. Zaniepokojeni wieśniacy wypytывali jedni drugich, co się dzieje w mieście. Z ust do ust krążyła pogłoska, że jakiś przerażający Chrestos podburzał Żydów do morderstw i podpaleń. Nie słyszałem, aby ktokolwiek powiedział o Żydach dobre słowo.

W trakcie marszu rozbolała mnie noga, aż zacząłem utykać, a i guz na głowie bolał coraz bardziej. Dziwiłem się, że wcześniej wcale nie odczuwałem obrażeń, jakich doznałem w czasie bijatyki. Wreszcie dotarliśmy do chaty Klaudii. Byłem w tak oplakanyim stanie, że nie puściła mnie do domu i zaprosiła na nocleg. Opierałem się, ale wpakowała mnie do swojego łóża i sama też się położyła. Tak się wierciła koło mnie i wdychała, że w końcu spytałem, co jej właściwie dolega.

- Nie jestem czysta ani bezgrzeszna - wyznała. - Krople ognia padały na moje serce za każdym słowem, gdy opowiadałeś o tej bezczelnej brytyjskiej dziewczusze, chociaż nie chciałam nawet zapamiętać jej imienia.

- Wybacz mi, że nie dotrzymałem obietnicy - poprosiłem.

- Co mnie obchodzi twoja obietnica! Przeklinam sama siebie! Mam w sobie gorącą krew mojej matki, a moim ojcem jest rozpustny Klaudiusz. Nic na to nie poradzę, że płonę strasznym niepokojem, kiedy leżysz w moim łóżku.

Miała ręce zimne jak lód, a i usta też zimne, co wyczułem, gdy nachyliła się i pocałowała mnie.

- Och, Minutusie! - szepnęła. - Z trudem przychodzi mi to wyznanie: mój kuzyn, Kaligula, zgwałcił mnie, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Dlatego nienawidziłam wszystkich mężczyzn, ale nie ciebie, od momentu gdy przyjąłeś mnie za przyjaciółkę taką, jaką jestem.

Nie ma sensu więcej wyjaśniać. Chciałem ją pocieszyć, więc przyciągnąłem do siebie, bo drżała z zimna i wstydu. I nie będę się usprawiedliwiał, że przecież była pięć lat ode mnie starsza. Szczerze przyznam, iż poniosła mnie namiętność, gdy płacząc i śmiejąc się padła mi w ramiona. Zrozumiałem też, że ją kocham.

Rano obudziliśmy się oboje tak szczęśliwi, że o niczym innym nie chcieliśmy myśleć, jak tylko o sobie. Promieniejąca radością Klaudia w moich oczach była piękna mimo grubych rysów twarzy i mocnych, szerokich brwi.

Lugunda zmieniała się w daleki cień. W porównaniu z tą nieletnią kapryśną dziewczynką Klaudia była dojrzałą kobietą.

Nie składaliśmy sobie żadnych obietnic, nawet nie chcieliśmy myśleć o przyszłości. Kiedy niejasne poczucie winy dręczyło moją świadomość, wówczas myślałem, że przecież Klaudia wiedziała, co robi. Przynajmniej miała teraz coś innego niż tajne obrządki zabobonnych chrześcijan. Co moim zdaniem było pozytywne.

Po powrocie do domu zostałem cierpko powitany przez ciocię Lelię. Martwiła się o mnie, przecież nie było mnie w domu całutką noc i jeszcze

pół następnego dnia, a nikogo o tym nie uprzedziłem. Pilnie przyjrzała się zaczerwienionym oczom i gderła:

- Twarz ci tak promienieje, jakbyś ukrywał wstydlive tajemnice. Chyba nie zabłądziłeś do syryjskiego lupanaru? - Podejrzliwie wachała moje szaty. - Nie, nie śmierdzisz burdelem. Gdzieś ty spędził noc? Tylko nie zapłacz się w jakąś głupią historię miłosną! To by przysporzyło tylko kłopotów tobie i innym. - Trafiła celnie: spłonąłem rumieńcem. Na szczęście miała też inne powody do zmartwienia. - Wyobraź sobie, że mój przyjaciel, Szymon mag, wczoraj wieczorem omal nie padł ofiarą mordu! Poszedł jak zwykle na drugą stronę Tybru, aby miłosiernie uzdrawiać chorych, a tam jacyś wyposażeni w pióropusze napadli na niego i prawie na śmierć go pobili.

Nie mogłem zrozumieć, co ciocia Lelia miała na myśli, mówiąc o pióropuszech: okazało się, że pomieszała łaciński wyraz *cristatus* z greckim terminem oznaczającym ochrzczonego. Gdy wytłumaczyłem jej tę różnicę, zdenerwowała się:

- A nazywaj jak chcesz tych żądnych krwi ludzi, którzy czatują na życie Szymona od czasu, gdy konkurował o władzę z chrześcijańskim rybakiem Szymonem. Ci ludzie przyciągali do tajnego stowarzyszenia bogate niewiasty, które należały do kręgu przyjaciół Szymona, rzucali na nie czary i przez pojenie ich krwią nakłaniali do obrzydliwego rozpustnego całowania. Szymon dowiedział się o miejscu ich zebrań, chociaż chytrze usiłowali je zmienić. Toteż zemścili się na nim i nawet Żydzi go nie bronili, bo jest Samarytaninem.

Powiedziałem, że nie wierzę w picie krwi ani w pożądliwe pocałunki, ale ciocia Lelia zapewniała, że wie o tym wszystkim od naocznych świadków, których Szymon mag wysłał na szpiegowanie tajemnic „czubatych”. Nie mogłem spierać się w tej materii, żeby nie wszedł na jaw mój udział w żydowskich rozruchach.

Mój przyjaciel Lucjusz Pollio - jego ojciec tego roku sprawował urząd konsula - przyszedł do mnie bardzo podniecony i wywodził:

- Żydzi stają się coraz bardziej bezczelni! Prefekt miasta przez cały ranek przesłuchiwał zatrzymanych i ostatecznie ustalił, że Żyd o nazwisku Chrestos podburza niewolników i pospólstwo do buntu. Ten Chrestos nie był poprzednio gladiatorem, jak swego czasu był nim Spartakus: w Jerozolimie skazano go na ukrzyżowanie jako przestępcę politycznego, ale w jakiś sposób ocalał. Prefekt zarządził poszukiwania Chrestosa i wyznaczył nagrodę za jego głowę; co do mnie, podejrzewam, że skoro bunt został stłumiony, to podżegacz ulotnił się z miasta.

Miałem ochotę wyjaśnić temu molowi książkowemu, że Żydzi przez Chrystusa rozumieją przepowiedzianego im mesjasza, ale nie mogłem przecież ujawnić, że sporo wiem o nowym buntowniczym nauczaniu żydowskim. Przejrzeliśmy jeszcze raz rękopis mojej książki, aby wygładzić język i styl. Pollio obiecał, że jeśli książka przebrnie przez próbę ogniową czytania publicznego, znajdzie wydawcę. Uważał, że mój utwór powinien zyskać duże powodzenie. Klaudiusz chętnie przypomni sobie swoją zwycięską wyprawę do Brytanii. Zawsze można mu było schlebić, wykazując zainteresowanie sprawami wyspy.

Spory wokół własności synagog, od których zaczęły się żydowskie rozruchy, prefekt miasta rozwiązał w ten sposób, że przyznał prawo do korzystania z nich tym, którzy partycypowali w kosztach budowy. Przecież własne synagogi posiadali zarówno Żydzi ortodoksyjni, jak i postępowi. Lecz kiedy żydowscy wyznawcy Chrystusa mieli przejąć synagogę w swoje władanie, ortodoksi zabrali drogocenne zwoje świętych tekstów i w nocy podpalili budynek, aby raczej go zniszczyć, aniżeli oddać. Z tego wyniknęły nowe awantury. W końcu prawowierni Żydzi popełnili w swym zuchwalstwie wielki polityczny błąd, bo odwołali się do cesarza.

Klaudiusz od dawna był rozgniewany na te rozruchy, które mu przeszkadzały w miodowym miesiącu. Wściekł się jeszcze bardziej, kiedy zadufana rada żydowska ośmieliła się przypomnieć mu, że bez ich pomocy nie zostałby cesarzem. Rzecz miała się tak, że swego czasu Herod Agrypa, hulaszczy kolega Klaudiusza, pożyczył od bogatych Żydów rzymskich znaczne kwoty, których nowy cesarz potrzebował na opłacenie pretorianów po śmierci Kaliguli. Klaudiusz musiał zapłacić lichwiarski procent od tej pożyczki, a w ogóle w swej próżności nie chciał pamiętać o całym tym wydarzeniu.

Nic dziwnego, że stary pijak nie posiadał się ze złości. Jąkając się bardziej niż zwykle wyprosił za drzwi delegację i zagroził wyrzuceniem z miasta wszystkich Żydów, jeśli jeszcze raz usłyszy o jakichś zamieszkach. Nakazał również Żydom, aby przekazali prefektowi Rzymu Chrestosa; policja uważała, że ukryli go gdzieś na Zatybrzu, ponieważ mimo obiecanej nagrody dotychczas go nie schwytano.

W Rzymie mieszkało dwadzieścia pięć tysięcy Żydów. Niektórzy osiągnęli bogactwo i prestiż społeczny, a nawet obywatelstwo rzymskie. Aż do czasu przesiedlenia Żydów do Pompei religia mojżeszowa wzbudzała zainteresowanie wśród Rzymianek. Święto szabatowe weszło w rzymski obyczaj na wiele pokoleń - liczni obywatele traktowali dzień Saturna wręcz jako ogólnie przyjęty dzień wolny. Niewolnicy dobrodusznych panów żądali tego wolnego dnia, aby poleniuchować.

Rada żydowska, której zadaniem było sądzenie spraw jej współplemieńców, zbieranie podatku na Świątynię w Jerozolimie i troska o utrzymanie własnych przywilejów, postanowiła szukać poparcia wśród senatorów. Przecież uwolnili od zajmowania się handlem bądź od prowadzenia spraw finansowych wielu senatorów, którzy - dzięki wrażliwości kobiet - odczuwali sympatię dla Żydów. Niektórzy bali się nawet obrazić Żydów, gdyż uważali, że wśród nich jest mnóstwo czarowników. Chociaż więc Żydzi nie uwierzyli w groźby cesarza, to postanowili na wszelki wypadek mieć w senacie przyjaciół, gdyby pod obrady kurii postawiono sprawę wydalenia Żydów.

Senatorowie zupełnie nie mogli zrozumieć wyjaśnień rady. Większość rozsądnie proponowała, aby Żydzi skupili swą energię i przedsiębiorczość na schwytaniu Chrestosa, który nadal ukrywał się w Rzymie, i wydanie go prefektowi, co wyjaśni sprawę. Żydzi wywodzili, że chodzi o człowieka, który przed prawie dwudziestu laty został ukrzyżowany w Jerozolimie, a gadanie o jego zmartwychwstaniu jest wierutnym kłamstwem. Wtedy już senatorowie machnęli na wszystko ręką i oświadczyli:

- Każda religia ma swój święty posiłek, nawet rzymskie gildie rzemieślnicze czczą w ten sposób bogów, którzy okazują względy danemu rzemiosłu. Wy sami także spożywacie posiłek w wigilię dnia Saturna, kiedy zapala się gwiazda wieczorna, i zapraszacie nań ubogich. Skoro jest wśród was tak dużo zwolenników Chrestosa, to choćby byli oni okropnie głupi i zabobonni - trudno im zabronić urządzania świętego posiłku, dopóki przekonywająco się nie udowodni, że równocześnie naruszają dobre obyczaje albo wicherzą przeciwko państwu.

Ochrzczeni Żydzi i przyłączająca się do nich hołota mieli swoich przywódców. U ojca, w domu pani Tulii, spotkałem - ku mojemu zdziwieniu - Akwilę ze złamaną w ożywionej polemice chrząstką nosową, jego energiczną żonę Pyskę i kilku innych, skądinąd szanowanych obywateli, którzy nie mieli innych wad poza tą, że zaakceptowali tajne nauczanie chrześcijan. Poszedłem do ojca, bo chciałem w cztery oczy pomówić z nim o Klaudii. Już dwa razy w tygodniu bywałem u niej i zostawałem także na noc. Odnosiłem wrażenie, nie - miałem pewność, że coś należy w tej sprawie uczynić, chociaż Klaudia nie występowała z żadnymi roszczeniami.

Nie ukrywałem swego zaskoczenia gośćmi ojca, ale on powiedział:

- Nie odchodź, Minutusie! Wiesz, że dysponuję bardzo dokładnymi wiadomościami o królu żydowskim, ponieważ po jego ukrzyżowaniu wędrowałem po Galilei i nawet mogę osobiście zaświadczyć, że powstał z martwych. Jego uczniowie odtrącili mnie od siebie, ale wiem z całą pewnością, że On nie podburzał do takich zamieszek, jakie wydarzyły się w Rzymie.

To wszystko słyszałem już dawniej. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego mój ojciec, człowiek skądinąd rozsądny, na starość ciągle przeżywał tę starą historię. Krzywonosy Akwila usprawiedliwiał się:

- Urodziłem się Żydem, chodzę do synagogi i przestrzegam prawa, na ile względy praktyczne pozwalają, bym nie obraził innych Żydów. Ale prawo mnie nie zbawi. Człowiek nie jest w stanie wypełniać go do końca. Chrystus rozkazał nam kochać innych, nawet naszych wrogów. Jest to równie trudne jak wypełnianie prawa. Wynika to ze słabości natury ludzkiej. W naszej gromadzie jest wielu takich, którzy znowu zaczynają żądać, aby ci, którzy do nas dołączają, z samej miłości dali się obrzezać, aby w ten sposób osiągnąć ugodę z Żydami.

- Jestem tylko niewiastą - dorwała się do głosu Pyska - ale tyle rozumiem, że narodziny Jezusa Chrystusa, syna Boga, który przyszedł na ziemię i złożył siebie w ofierze, abyśmy otrzymali odpuszczenie grzechów, dało nam nowe przymierze. Popełnilibyśmy przestępstwo przeciwko niemu, gdybyśmy od tych, którzy Boga uznają i każdego dnia pobożnie oczekują jego powrotu, żądali zjednoczenia ze starym przymierzem.

- Nie mielibyśmy nic przeciwko temu, żeby ścierpieć ten wprawdzie nieprzyjemny, ale przemijający ból - oświadczyli inni - gdyby to rzeczywiście było wyrazem miłości. Ale istnieje obawa, że to tylko próba naszej wytrzymałości. Będziemy musieli oddalić z naszej gromady słabych braci. Obrzezanie niczego nie da. Kiedy w synagodze ktoś wstanie, aby zaświadczyć o Pomazańcu, każą mu zamilknąć i poddadzą chłóście, jeśli

nie w szabat, to następnego dnia.

- Tak, tak, cokolwiek byśmy robili, zawsze jesteśmy solą w oku - nachmurzył się Akwila. - Nienawidzą nas bardziej niż bałwochwalców. Nawet we własnym gronie nie potrafimy skoncentrować się na samej miłości i pokorze, bo każdy jest pewien, że wie najwięcej. A najgorliwszymi nauczycielami są ci, którzy dopiero teraz znaleźli drogę i uznali Chrystusa.

- Powiadają - dodała Pryska - że On sam dolał oliwy do ognia, rozłączył mężów i żony i podniósł rękę dziecka na rodziców. Właśnie tak dzieje się teraz w Rzymie, chociaż my chcemy dobrze. W jaki sposób kłótnia, niezgoda, nienawiść, żal i zawiść może być owocem miłości, tego nie rozumiem.

Słuchając ich zawrzałem słusznym gniewem. Krzyknąłem:

- Czego chcecie od mego ojca?! Dlaczego dokuczacie mu tak, że łamie ręce i kręci głową? To potulny i dobroduszny człowiek! Nie pozwolę, byście go wciągnęli w swoje idiotyczne swary!

- Zamilcz, Minutusie! - rozkazał ojciec, wyprostowując się. Zapatrzył się wstecz w daleką przeszłość, aż w końcu rzekł: - W zasadzie wszystko należy wyjaśniać przez rozmowy, ale te niewyjaśnione sprawy płaczą się jeszcze bardziej, kiedy się o nich mówi. Ponieważ prosicie mnie o radę, proponuję: odraczajcie! W Antiochii, za czasów cesarza Kaliguli, dzięki skorzystaniu z takiej właśnie rady, Żydzi bardzo dużo zyskali.

Zmieszani goście patrzyli na ojca, nie rozumiejąc, co ma na myśli. Ojciec uśmiechnął się z roztargnieniem:

- Odłączcie się od Żydów, zrezygnujcie z synagogi, przestańcie płacić podatki na Świątynię. Jeśli chcecie, zbudujcie dom zgromadzenia. Są przecież w waszej gromadzie ludzie bogaci. Ponadto możecie otrzymać wsparcie od mężczyzn i kobiet, których stać na kupno spokoju ducha przez otaczanie opieką różnych wyznań. Nie drażnijcie Żydów. Milczcie, kiedy wam ubliżają. Zajmijcie się swoimi własnymi sprawami, tak jak to ja czynię, nikogo nie obrażając.

- To nie jest mądra rada! - wykrzyknęli jednogłośnie. - Przecież musimy zaświadczać o naszym Królu i głosić nadejście jego Królestwa! Inaczej nie będziemy Jego godni!

- Jego Królestwa długo nie widać - rzekł ojciec, rozkładając ręce i głęboko wzdychając - ale niewątpliwie jego duch jest w was, a nie we mnie. Róbcie co chcecie. Jeśli nad waszą sprawą będzie obradował senat, postaram się was wesprzeć. Chyba przyszliście do mnie po taką obietnicę. Lecz, jeśli pozwolicie, nie będę mówił o Królestwie. To wzbudziłoby tylko polityczne podejrzenia co do waszych celów.

Tym się zadowolili i poszli swoją drogą. Czas był po temu najwyższy, w portyku wpadli wprost na wracającą z wizyty panią Tulię.

- Och, Marku - zawołała zdenerwowana - ileż to już razy prosiłam cię, byś nie przyjmował w domu Żydów! Nie sprzeciwiam się, gdy chodzisz słuchać filozofów. Jeśli cię to bawi, pomagaj biednym, wysyłaj lekarstwa chorym i obdarowuj wianem dziewczyny-sieroty. Każdy może wykorzystywać swój wolny czas jak chce. Ale w imię bogów, dla twojego własnego zdrowia, trzymaj się z dala od Żydów!

A skoro już miała zepsuty humor, to skupiła uwagę na mnie i jęła wypominać mi marne obuwie, nieumiejętne ułożenie togi i niezdarnie, zbyt krótko ostrzyżone włosy.

- Nie jesteś już prostym żołnierzem - wyrzekła. - Z uwagi na stanowisko twego ojca powinieneś bardziej troszczyć się o wygląd zewnętrzny. Muszę ci chyba podarować fryzjera i garderobianą. Ciocia Lelia jest zbyt staroświecka i ma za krótki wzrok, aby odpowiednio zadbać o ciebie.

Gburowato odpowiedziałem, że już mam fryzjera, bo nie chciałem, żeby jej niewolnik szpiegował moje kroki. To zresztą było prawdą, bo na swoje urodziny kupiłem i wyzwoliłem jednego godnego pożałowania niewolnika-fryzjera, a także pomogłem mu w założeniu zakładu w Suburze. Doskonale zarabiał na wytwarzaniu damskich peruk i na stręczycielstwie. Ponadto dopowiedziałem, że przecież ciocia Lelia na śmierć by się obraziła, gdyby obcy niewolnik zaczął się wtrącać do mojej odzieży, a także że z niewolnikami więcej kłopotów niż pociechy.

Pani Tulia zwróciła uwagę, że to tylko kwestia utrzymania dyscypliny, po czym zmieniła temat:

- A właściwie to czy ty masz jakiś cel w życiu, Minutusie? Słyszałam, że całe noce spędzasz w domach publicznych i zaniedbujesz ćwiczenia wymowy. Jeśli rzeczywiście zamierzasz czytać publicznie swoją książkę, to musisz się wziąć w karby. Już najwyższy czas, abyś zawarł odpowiedni dla twego stanu związek małżeński.

Tłumaczyłem, że chciałbym z umiarem nacieszyć się swoją młodością, i że nie popadłem w żadne kłopoty z powodu pijaństwa czy rycerskiej fantazji. Powiedziałem też:

- Mam oczy otwarte. Ćwiczę jeździectwo. W pretorium przysłuchuję się ciekawym rozprawom sądowym. Czytam książki. Nawet filozof Seneka jest mi przychylny. Oczywiście, z czasem będę zabiegał o urząd kwestora, ale na to jestem jeszcze za młody i zbyt niedoświadczony, choć zapewne przyznano by mi pewne ulgi.

- Zrozum - pani Tulia patrzyła na mnie z politowaniem - że najważniejsze jest poznawanie odpowiednich ludzi. Zorganizowałam ci zaproszenia do dobrych domów, ale skarżono mi się, że jesteś nadęty, milczący i nie odwzajemniasz przyjaźnią za przyjaźń.

- Kochana macocho - oświadczyłem. - Ze wszech miar doceniam twe zdolności! Ale wszystko, co w Rzymie słyszałem i widziałem, odstrasza mnie od nawiązywania zbyt bliskich stosunków z ludźmi, którzy w chwili obecnej wydają się odpowiedni. Zaledwie rok temu dwustu ekwitów, nie mówiąc o senatorach, stracono albo zmuszono do popełnienia samobójstwa tylko dlatego, że byli w tamtej chwili właściwymi ludźmi albo utrzymywali z takimi bliskie kontakty.

- Wszystko się zmieniło dzięki Agrypinie - powiedziała z wielkim pośpiechem pani Tulia. Zastanowiła się nad moimi słowami i zaproponowała: - Chyba najmądrzej by było, gdybyś zaczął zawodowo uprawiać jeździectwo i przystąpił do któregoś stronnictwa cyrkowego. One nie prowadzą działalności politycznej, ale uczestnictwo w nich umożliwia kontakty przyjacielskie z ludźmi znajdującymi się na najwyższych

szczeblach społecznych. Ty przecież lubisz konie.

- Mam dosyć koni! - zaproponowałem.

- Konie są bezpieczniejsze niż kobiety - złośliwie ripostowała pani Tulia.

Ojciec w zamyśleniu spojrział na nią, i przyznał, że i tym razem ma rację. Pani Tulia trochę złagodniała:

- Niepotrzebnie zwróciłbyś na siebie zbyt dużą uwagę, gdybyś nagle zaczął wystawiać na wyścigach własne rydwany, chociaż ojciec mógłby sobie na to pozwolić. Zresztą jest tylko kwestią czasu, a będziemy musieli przekształcać pola w pastwiska. Od chwili zakończenia budowy portu w Ostii rolnictwo w Italii będzie przynosiło same straty. Ale wątpię, czy z ciebie będzie dobry selekcjoner koni. Zostań raczej przy zakładach na gonitwy rydwanów.

I bez cyrku miałem wystarczająco dużo na głowie. Był przecież stary dom na Awentynie, był swarliwy na starość Barbus, którym trzeba się było opiekować. Była ciocia Lelia, do tego musiałem bronić mego galijskiego wyzwolenca; smród, jaki się rozchodził w trakcie gotowania mydła, wywołał awanturę ze strony sąsiadów. W sądzie obroniłem go z łatwością, bo garbarnie i farbiarnie, do których przywożono wielkie kadzie uryny z naroży ulic, śmierdziały jeszcze bardziej. Gorzej, że stosowanie mydła zamiast pumeksu przyjmowało się bardzo opornie jako sprzeczne z obyczajami przodków. Opłacony przez sąsiadów ekspert żądał wręcz wprowadzenia zakazu używania mydła. Powoływał się na praprapradziadków aż od Romulusa, którzy wszak poprzestawali na skrobaniu się zdrowym i hartującym ciałem pumeksem. Broniąc swego wyzwolenca wychwalałem Rzym jako światowe imperium. Wołałem patetycznie:

- Romulus nie palił przywiezionych ze wschodu kadzideł przed posągami bogów! Nasi surowi praojcowie nie sprowadzali na swoje posiłki ani ikry jesiotra znad Morza Czarnego, ani dzikich ptaków stepowych, ani jęczyczków flamingów czy ryb indyjskich, teraz jednak Rzym stał się piecem, w którym w jedno stapiają się narody i ich obyczaje. Rzym najlepiej włada wszystkim i przyswaja sobie obce obyczaje.

Tak więc mydło nie zostało w Rzymie zakazane i mój wyzwoleniec udoskonalił swoje wyroby, perfumując je i nadając produktom przepiękne nazwy. Na oryginalnym egipskim mydle „Kleopatra” zarobiliśmy na zakup małej posiadłości przy jednym z bocznych zaułków Subury. Muszę jednak przyznać, że najlepszymi klientami poza kobietami byli zamieszkujący w Rzymie Grecy i ludzie Wschodu. W łaźniach publicznych stosowanie mydła ciągle jeszcze było uznawane za oznakę rozwiązłości.

Dużo więc miałem roboty, a jednak wieczorami, przed snem, ogarniało mnie nieokreślone uczucie wątpliwości; po co właściwie przyszedłem na ten świat? Niekiedy cieszyłem się z małych sukcesów, a czasami pogrążałem w smutku, bo wszystko wydawało się bezsensowne. Życiem rządził Przypadek i bogini Szczęścia. Nieubłaganą częścią losu ludzkiego, wcześniej czy później, była śmierć. Mnie dotychczas sprzyjało szczęście, ale radość z każdego sukcesu szybko gasła i znowu byłem niezadowolony z siebie.

Gdzieś w połowie zimy nadszedł dzień, do którego tak gorliwie się

przygotowywałem. W sali wykładowej biblioteki cesarskiej na Palatynie miałem publicznie czytać swoją książkę. Dzięki wstawiennictwu mego przyjaciela Lucjusza Domicjusza sam cesarz kazał oznajmić, iż po południowym posiłku przyjdzie posłuchać mego odczytu. W rezultacie wszyscy, którzy zabiegali o przychylność cesarza, na wyścigi jęli rezerwować miejsca na sali.

Przybyli oficerowie, którzy służyli w Brytanii, członkowie komisji senackiej, roztrząsającej sprawy brytyjskie, a nawet Aulus Plaucjusz, który podbojem wyspy zasłużył na uroczystości triumfalne. Część słuchaczy została nawet za drzwiami i kiedy przybył Klaudiusz, skarżyła się na zbytnią szczupłość sali, przez co nie mogli uczestniczyć w odczycie mimo ogromnego zainteresowania.

Zacząłem odczyt z samego rana i - mimo zrozumiałego napięcia - czytałem bez zająknięcia. Wciągnąłem się w temat, jak każdy pisarz, który poświęcił wiele troski i uwagi swemu dziełu. W trakcie czytania wcale mi nie przeszkadzało, że nie kto inny, tylko Lucjusz Domicjusz stale coś szeptał i wymachiwał rękami, próbując mi w ten sposób podpowiadać, jak mam czytać. W połowie dnia podano aż nazbyt wykwintny posiłek, który przygotowała pani Tulia, a ojciec zapłacił. Gdy doszedłem do opisu brytyjskich bogów i tajnych obrzędów, wiele osób drzemało, chociaż moim zdaniem to był najciekawszy fragment książki.

Potem musiałem przerwać czytanie, ponieważ Klaudiusz wraz z Agrypiną rzeczywiście przyszli posłuchać. Zasiedli na honorowych miejscach i zawołali Lucjusza Domicjusza, by usiadł między nimi. Sala wykładowa była pełna po brzegi. Skarżącym się na ciasnotę Klaudiusz powiedział z chichotem:

- Jeśli książka jest tego warta, niech autor ją jeszcze raz przeczyta! Ale uważajcie, macie naprawdę przyjść i pilnie słuchać! A teraz zejście mi z oczu, żebym was nie widział! Inaczej nie będzie tu czym oddychać!

Gwoli uczciwości trzeba powiedzieć, że cesarz był lekko pijany i głośno bekał. Nie zdążyłem przeczytać nawet kilku wierszy, gdy przerwał mi: - Mam już kiepską pamięć. Może pozwolisz, że ze względu na mój wiek i urząd pierwszego obywatela będę się wtrącał, aby stwierdzić, kiedy masz rację albo kiedy się mylisz.

Zaczął rozwlekłe relacjonować ważne spostrzeżenia na temat składania ofiar przez druidów i opowiadać, jak to bezskutecznie poszukiwał w Brytanii wielkich plecionych z gałęzi wierzby posągów bogów, do środka których miano wciskać jeńców, aby ich złożyć na ofiary całopalne.

- Wierzę, że znajdują się naoczni świadkowie, którzy to zaświadczą - zapewniał. - Ale najbardziej wierzę własnym oczom, więc nie przełknę łatwo tej historyjki. Lecz bądź tak dobry i czytaj dalej, młody Lauzusie!

Nie zdołałem czytać zbyt długo, bo znów sobie przypomniał coś, co widział w Brytanii na własne oczy i musiał to koniecznie natychmiast opowiedzieć. Wybuchy śmiechu słuchaczy strasznie mnie peszyły. Klaudiusz miał też rzeczowe uwagi o mojej książce.

W końcu cesarz i Aulus Plaucjusz, zapomniawszy o meritum sprawy, zagłębili się w szczegóły wspomnień z wyprawy wojennej. Publiczność zachęcała ich okrzykami „Słuchajcie, słuchajcie!”. Musiałem zamilknąć.

Jedynie powstrzymujący gest ręki Seneki pozwolił mi rozładować irytację. Do rozmowy wmieszał się senator nazwiskiem Ostoriusz, któremu zdawało się, że o Brytanii wszystko wie najlepiej. Stwierdził, że cesarz popełnił błąd polityczny, przerywając swą wyprawę przed ujrzeniem wszystkich plemion brytyjskich.

- Ujarzmić Brytów! To łatwiej powiedzieć, niż zrobić! - odciął ostro Klaudiusz, który poczuł się obrażony. - Aulusie, pokaż mu swoje blizny! A właśnie, przypomniałem sobie, że zaniedbałem sprawy Brytanii i nie mianowałem prokuratora po twoim odejściu ze stanowiska naczelnego wodza. No, ale mam ciebie, Ostoriuszu! Nie jestem w tej sali jedyny, który ma dość słuchania, że zawsze wszystko wiesz najlepiej. Szykuj się do wyjazdu do Brytanii! Niechaj Narcyz wypisze ci pełnomocnictwa!

Cesarz zapewne oczekiwał, że moja książka udowodni słuchaczom, jak trudnym zadaniem jest cywilizowanie Brytanii. Jego wystąpienie słuchacze przyjęli głośnym rechotaniem. Gdy zmieszany Ostoriusz wyszedł z sali, pozwolono mi w spokoju przeczytać książkę do końca. Klaudiusz życzliwie wyraził nawet zgodę, bym kontynuował przy świetle lampy, ponieważ sam mi przeszkadzał i zabrał wiele czasu. Koniec lektury Klaudiusz przyjął oklaskami, wobec czego publiczność zgotowała mi gorącą owację. Nikt nie miał ochoty na proponowanie poprawek, ponieważ było późno i wszyscy byli głodni.

Część słuchaczy była zaproszona do domu mego ojca na przyjęcie zorganizowane przez panią Tulię, która miała doskonałego kucharza. Klaudiusz zaś powiedział:

- Mnie wprawdzie nie zaproszono, ale poszedłbym i bez zaproszenia, gdyby moja ukochana małżonka nie zaplanowała na ten wieczór przyjęcia na cześć posła Partów. Właśnie przyjechał, na nasze utrapienie. Skoro mowa o kłopotach, przypomniałem sobie, że jako dziękczynienie za szczęście małżeńskie postanowiłem odbudować świątynię Wenus w mieście Eryks na Sycylii. Podobno runął dach tej świątyni. Z pewnością zechcecie wesprzeć prace budowlane, aby w ten sposób zasłużyć sobie na takie samo szczęście, jakie osiągnąłem teraz po wszystkich wcześniejszych rozczarowaniach.

Puścił w obieg listę i zebrał solidną sumkę, bo każdy krępował się wyjść z sali bez wpisania godnej siebie kwoty, chociaż w duchu klął go za głupotę i nietakt.

W domu pani Tulii nie rozmawiano o mojej książce. Seneka przedstawił mnie swojemu wydawcy. Był to starszy mężczyzna, wyblakły od ślęczenia nad czytaniem, miał krótki wzrok i zgięty kark. Zadeklarował chęć wydania książki w nakładzie - na początek - pięciuset egzemplarzy.

- Oczywiście mógłbyś sam ponieść koszty wydania swego dzieła - ocenił przyjaźnie. - Nazwisko znanego wydawcy zwiększy popyt na książkę. Mój wyzwoleniec ma stu doświadczonych niewolników-skrybów, którzy pod dyktando niemal bezbłędnie przepisują książkę za książką.

Seneka w górnoIotnych słowach wychwalał wydawcę jako człowieka, który nie odstąpił go w żadnych tarapatach, nawet w czasie wygnania, tylko wiernie wydawał liczne jego publikacje, pisane na Korsyce. Wydawca powiedział życzliwie:

- Najwięcej zarabiam na przekładanych z języka greckiego miłosnych historyjkach i przygodach podróżniczych, lecz żaden utwór Seneki nie przyniósł mi straty.

Kaszlnąłem porozumiewawczo i powiedziałem, że chętnie będę uczestniczył w kosztach publikacji mojego utworu. Przecież to ogromny zaszczyt, że wybitny wydawca daje swoje cenne nazwisko jako rękojmię jakości książki. Później musiałem witać przychodzących gości. Było ich tak wielu, że w głowie mi się mąciło. Niepotrzebnie wypilem za dużo wina. W końcu ogarnęła mnie wielka depresja, bo uświadomiłem sobie, że tak naprawdę to nikogo z obecnych nie interesuję ani ja, ani moja przyszłość. Książka była tylko pretekstem, dzięki któremu mogli najeść się rarytasów i napić najlepszego kampanijskiego wina, złośliwie obgadać się wzajem i na stronie dziwić się sukcesom ojca, do których jakoby nie miał żadnych osobistych predyspozycji.

Tym bardziej zateśniłem za Klaudią, którą uważałem za jedyną osobę na świecie, która mnie naprawdę rozumie i życzy jak najlepiej. Oczywiście nie ośmieliła się przyjść na odczyt, ale wiedziałem, z jakim napięciem go oczekiwała. Na pewno nie mogła zasnąć, prawdopodobnie wyszła z chaty, patrzyła na gwiazdy bądź w stronę Rzymu. Wokół trwała noc, na oddalonej drodze turkotały chłopskie wózki z warzywami i ryczało prowadzone na ubój bydło. W czasie naszych wspólnych nocy tak przywykłem do tych odgłosów, że je pokochałem. Sama myśl o nich tak mi się kojarzyła z Klaudią, że ciało zaczęło mi płonąć.

Nie ma niczego bardziej przygnębiającego niż widok domu po wielkiej uczcie. Kopcające kadzidła dogorywają w ozdobnych kloszach, podtrzymywani przez niewolników ostatni goście wsiadają do lektyk, lampy gasną, a służba czyści plamy z wina na mozaikach podłóg i zmywa rzygowiny z marmurowej ściany. Pani Tulia była oczywiście nadal pochłonięta reminiscencjami z przyjęcia, które uznała za własny sukces, i zapamiętałe rozprawiała z ojcem o tym lub innym gościu, co który powiedział czy zrobił. Ja zaś z goryczą uznałem, że jestem tu zupełnie zbyteczny.

Gdybym był bardziej doświadczony, zwaliłbym to na karb przepicia, ale ponieważ byłem młody, poważnie traktowałem swoje uczucia. Dlatego nie interesowało mnie nawet towarzystwo ojca, który razem z panią Tulią popijał dla orzeźwienia lekkie wino i zajadał świeżutkie *frutti di mare*. Podziękowałem im i przez nikogo nie odprowadzany poszedłem w swoją stronę. Nie myślałem o niczym, tylko tęskniłem do Klaudii.

W jej chacie było ciepło, a łóżko pachniało owczą wełną. Dosypała do naczynia węgla drzewnego. Twierdziła, że wcale nie oczekiwała mego przyjścia, bo i czemuż miałbym porzucić dobre towarzystwo po osiągnięciu sukcesu literackiego. W jej czarnych oczach błysnęły łzy, gdy szepnęła:

- Och, Minutusie, dopiero teraz wierzę, że naprawdę mnie kochasz!

Po długich pieszczotach i niespokojnym śnie wkradł się do chaty chłód zimowego poranka. Słońca nie było widać, a zimowa szarżyzna działała przygnębiająco. Patrzyliśmy na siebie wyczerpani i bladzi.

- Klaudio, co będzie z tobą i ze mną? Bez ciebie czuję się

nieprawdziwie, jak zagubiony w świecie zimnych gwiazd. Szczęśliwy jestem tylko z tobą. Ale tak dalej być nie może!

Egoistycznie żywiłem chyba skrytą nadzieję na jej odpowiedź, że właśnie tak jest najlepiej i że tak będzie dalej, bo inaczej nie można. Ale Klaudia, westchnąwszy z głęboką ulgą, zawołała:

- Kocham cię jeszcze bardziej, Minutusie, skoro sam podjąłeś ten bolesny temat. Oczywiście, że tak dalej być nie może! Wątpię, czy będąc mężczyzną rozumiesz, z jakim ogromnym strachem czekam na każdą zmianę fazy księżyca! Nie godzi się, bym ciągle tylko czekała, że jakiś kaprys przywiedzie cię tutaj. Moje życie stało się jeno obawą i bolesnym wyczekiwaniem.

- Udało ci się doskonale skrywać swoje uczucia - zauważyłem z ironią, bo uraziły mnie jej słowa. - Dotychczas dawałaś mi do zrozumienia, że jesteś jedynie szczęśliwa, gdy tu przychodzę. Co więc proponujesz?

Klaudia opanowała się i nie tylko nie rozgniewała, lecz powiedziała ulegle:

- Rozkosz potrafi tak rozdrażnić umysł, że zakochani wywołują kłótnie, aby po awanturze i łzach móc przeżyć tym słodsza zgodę. Ale dzisiaj mnie nie zdenerwujesz. - Zaciskając ręce ciągnęła: - Wszystko byłoby proste, gdybym była niewolnicą; mógłbyś mnie kupić i zamieszkałabym u ciebie. Ta pozycja nawet by mnie zadowolila, bylebyś mnie tylko kochał. Ale jako odtrącona córka Klaudiusza znajduję się poza wszelkim prawem. Wszyscy znają jego straszliwe kaprysy, więc żaden szanowany obywatel nie ośmielił się wystąpić w mojej obronie. Kazał przecież zamordować małżonka mej przyrodniej siostry, Antonii, aby ze względów politycznych wydać ją za Korneliusza Sullę. Antonia nawet nie chce o mnie słyszeć, aby nie odświeżyć w pamięci ojca przykrych wspomnień. Przecież Klaudiusz rozszedł się z moją matką, bo chciał się ożenić z jej matką. Paulina gorliwie namawiała swego męża, aby mnie adoptował, ale Aulus Plaucjusz nie chce wpaść w niełaskę. Od razu po powrocie z Brytanii musiał przecież zwołać zgromadzenie rodzinne, aby zmusić ciocię Paulinę do rezygnacji z uczestniczenia w posiłkach chrześcijańskich. Jedynym wyjściem byłoby znaleźć jakiegoś zubożałego ekwite, aby za pieniądze wziął mnie w objęcia i uznał za swoją córkę.

- Ależ taki człowiek równocześnie stałby się winnym zdrady małżeńskiej z twoją matką w czasie, kiedy była jeszcze małżonką Klaudiusza. Dla niego byłaby to publiczna kompromitacja! Klaudiusz jest cesarzem i nie może sobie na to pozwolić.

Mimo całego uczucia, jakie żywiłem do Klaudii, zimny dreszcz przebiegł mi po plecach, gdy sobie uzmysłowiłem, że przez cały czas ona skrętnie ukrywała zamiar zawarcia ze mną prawnego związku małżeńskiego! Oczywiście, kochałem ją i życia sobie bez niej nie wyobrażałem, ale przeraziła mnie myśl, że przedwcześnie zawarłbym związek, który w perspektywie byłby dla mnie tylko balastem.

- Gdyby tak Klaudiusz umarł - szepnęła Klaudia, rozglądając się ze strachem dookoła.

- Pohamuj się! Czegoś takiego w ogóle nie wypada mówić! To jest zdrowe byczysko. Nic mu nie dolega poza sporadyczną zgagą i wzdęciami

po przeżarciu i przepiciu. Nie przypuszczam też, że Brytanik, gdy zostanie cesarzem, uzna cię za siostrę przyrodną. Ma i tak dość upokorzeń z powodu własnej matki.

- Kaligula oficjalnie uznał mnie za kuzynkę, chociaż tylko dlatego, że chciał zakpić ze swego stryja. Ale wtedy byłam dzieckiem, przerażonym tym wszystkim, do czego mnie zmuszał. Gdybym okazała się taką wszeteczną, jaką chciał ze mnie uczynić, na pewno zmusiłby Klaudiusza do uznania mnie. Przecież wtedy nikt sobie nawet nie wyobrażał, że Klaudiusz mógłby zostać cesarzem! Gajusz trzymał go w pałacu jako dozorcę lupanarium. Ale ja brzydziłam się nim do tego stopnia, że nie chciałam takiego uznania. Zresztą wszyscy rozsądni ludzie wierzyli wówczas, że po śmierci chorego umysłowo Gajusza nastąpi powrót do ustroju republikańskiego, a w takim wypadku moje pochodzenie nie miałoby większego znaczenia.

Nie chciałem dalej dyskutować nad wstydliwą przeszłością Klaudii, więc chwyciła mnie mocno za ręce, zajrzała głęboko w oczy i zaproponowała:

- Jest tylko jedno wyjście, Minutusie. Wyjedźmy z Rzymu! Porzuć myśli o karierze urzędniczej! Gdzieś daleko za morzem w jakiejś wiosce czy mieście będziemy mogli żyć, nie przeszkadzając nikomu! - Nie mogłem patrzeć jej w oczy i wyrwałem się z jej rąk. Klaudia wzdrygnęła się, ale ciągnęła: - Z wyraźną przyjemnością trzymałeś owieczki, gdy je strzygłam i łamałeś gałęzie na ognisko, wychwalałeś też źródlaną wodę i przygotowywane przeze mnie proste potrawy jako smaczniejsze od ambrozji niebiańskiej. Właśnie takie szczęście możemy odnaleźć na każdym skrawku świata, byle dość daleko od Rzymu.

- Nie zaprzeczę swoim słowom - powiedziałem poważnie po chwili zastanowienia. - Ale taka decyzja miałaby charakter ostateczny. Nie możemy wyruszać na dobrowolne wygnanie bez zastanowienia! - I już z samej złośliwości dodałem: - A co wtedy będzie z Królestwem, którego oczekujesz, i z tajnymi posiłkami chrześcijan?

- Odkąd grzeszę z tobą - powiedziała ze smutkiem - nie odczuwam w kręgu chrześcijan już takiego jasnego uniesienia jak dawniej. Wydaje mi się, że oni wszystko o mnie wiedzą i boleją nad tym. Dlatego zaczęłam ich unikać. Z każdym spotkaniem wzrasta moje uczucie winy. Jeśli wszystko będzie tak jak dotychczas, to wiara i nadzieja opuszczą mnie zupełnie.

Po powrocie do domu czułem się tak, jakby mi kark oblano zimną wodą. Zrozumiałem, że czyniłem źle, wykorzystując Klaudię jak ulicznicę i w dodatku nie płacąc jej za to. Uważałem jednak małżeństwo za zbyt wysoką cenę. Nie miałem też ochoty na opuszczenie Rzymu, dobrze pamiętałem, jak tęskniłem za tym miastem i jako chłopiec w Antiochii, i jako mężczyzna w Brytanii.

W rezultacie coraz rzadziej odwiedzałem Klaudię i wyszukiwałem sobie przeróżne zajęcia, aż poządliwość ciała znowu zmuszała, bym szedł do niej. Czuliśmy się szczęśliwi jedynie w łóżku, bo poza nim dokuczaliśmy sobie i oskarżaliśmy się wzajem dopóty, dopóki nie znalazłem pretekstu, aby ją opuścić.

Następnej wiosny Klaudiusz wygonił Żydów z Rzymu, ponieważ nie było jednego dnia bez bójek i zamieszek, niepokojących całe miasto. W

Aleksandrii Żydzi i Grecy zabijali się nawzajem, a w Jerozolimie fanatycy wzniesli tak straszliwe zamieszki, że Klaudiusz w końcu miał dość tego wszystkiego.

Jego wpływowi wyzwoleńcy gorliwie poparli tę decyzję, bo zyskali okazję sprzedawania najbogatszym Żydom za ogromne sumy zwolnień od wygnania. Sprawy wydalenia Żydów nawet nie przekazano senatowi do zatwierdzenia, mimo że wielu Żydów już od kilku pokoleń mieszkało w mieście, a nawet uzyskało rzymskie obywatelstwo. Cesarz uważał, że wszystko jest w porządku, ponieważ nikogo nie pozbawił obywatelstwa. Krążyła również pogłoska, że Żydzi przekupili wielu senatorów.

Po tamtej stronie Tybru opustoszały budynki, synagogi zaś zamknięto. Liczni Żydzi, którzy nie mieli pieniędzy na wykup zwolnienia, ukrywali się w Rzymie. Zarządcy poszczególnych dzielnic mieli pełne ręce roboty. Zdarzało się nawet, że na środku ulicy policja zatrzymywała podejrzanego i zmuszała go do pokazania członka, aby stwierdzić, czy nie jest obrzezany. Często ujawniano Żydów w ubikacjach publicznych, bo obywatele rzymscy ich nie kochali. Nawet niewolnicy mieli do nich ukryty żal. Aresztowanych Żydów wysyłano do robót portowych w Ostii albo do kopalni na Sardynii. Z punktu widzenia gospodarki państwa było to marnotrawstwem - Żydzi należeli do najzdolniejszych rzemieślników. Ale Klaudiusz był bezlitosny.

Między Żydami rozgorzał gniewny i jeszcze bardziej zacięty od poprzedniego spór o to, kto właściwie doprowadził do wygnania. Przy drogach wychodzących z Rzymu znajdowano zwłoki Żydów, a czy byli to chrześcijanie czy prawowierni - tego nie sposób było stwierdzić. Straż miejska nie przykładała się do chwytania zabójców, chyba że zbrodni dokonywano na jej oczach. Gdy znalezione zwłoki ujawniały obrzezaniem swe pochodzenie, wartownicy powiadali, że „najlepszy Żyd to Żyd martwy.”

Nie obrzezani chrześcijanie ze smutkiem rozprawiali o wygnaniu swych nauczycieli i odprowadzali ich, osłaniając przed przemocą. Byli to ludzie prości, niskiego stanu, często niewolnicy; na skutek przeżytych rozczarowań odczuwali głęboką gorycz. Po wypędzeniu Żydów zapanowało wśród nich zamieszanie i panika. Byli jak stado bez pasterzy. Odnosili się do siebie ze współczuciem i zbierali się na wspólne ubogie posiłki. Lecz jedni nauczali tak, a drudzy inaczej, więc wkrótce rozdzielili się na dwie spierające się frakcje. Starsi trzymali się ściśle na własne uszy słyszanych opowiadań o życiu i naukach Jezusa Nazarejskiego, natomiast inni podawali własne warianty tych opowieści.

Byli i tacy, którzy próbowali swych sił w uzdrawianiu ludzi. Wprowadzali się w stan ekstazy i kładli ręce na chorych, ale nie zawsze uzyskiwali pożądany rezultat.

Szymona maga nie objęła ekspulsja z miasta. Może wykupił sobie zwolnienie, a może uważano, iż skoro jest Samarytaninem, to nie jest Żydem. Ciocia Lelia opowiadała, że nadal uzdrawiał niezawodnie, ponieważ była w nim boska moc. Wykryłem, że leczył tylko tych, na których działała jego energia. Nie miałem ochoty się z nim spotkać. Szymon przeciągał na swoją stronę bogate i ciekawe kobiety z grupy

ochrzczonej. Wierzyły one w niego znacznie bardziej niż te, które nawoływały do pokornego i prostego życia oraz wzajemnej miłości i które oczekiwały rychłego nadejścia syna Bożego. Mag rychło się ośmielił i ponownie podjął próby latania: zniknął nagle z oczu patrzących i pokazywał się w innym miejscu.

Wielu kłopotów przysparzał mi Barbus, ponieważ lekceważył obowiązki wartownika przy bramie i gdzieś się ulatniał. Ciotka Lelia obawiała się włamania i żądała, abym robił Barbusowi wymówki. Ten zaś tłumaczył się:

- Jestem obywatelem, jak inni. Gdy rozdzielają zboże, przynoszę do domu pełen kosz. Wiesz, że nie bardzo obchodzą mnie bogowie. Gdy istniała gwałtowna potrzeba, składałem ofiarę Herkulesowi. Lecz kiedy lata zaczynają człowiekowi ciążyć, trzeba zastanowić się nad przyszłością. Kilku strażaków i starych żołnierzy stworzyło tajne stowarzyszenie - przyjęto mnie do niego i dzięki temu nigdy nie umrę.

- Łąki królestwa zmarłych są ponure - przyznałem. - Gdy już zostaniesz cieniem, wystarczy ci do szczęścia zlizywanie krwi z podnóża ołtarza ofiarnego. Czyż nie jest rozsądniej poddać się swemu losowi i stać się cieniem i popiołem, gdy czas życia minie?

- Nie mam prawa zdradzać tajemnic wtajemniczonych - mówił Barbus potrząsając głową - ale tyle mogę ci powiedzieć, że nowy bóg ma na imię Mitra. Urodził się ze skały. Pasterze go znaleźli i pokłonili się mu. On zabił byka i przyniósł na ten świat wszelkie dobro. Tym, którzy otrzymali chrzest z krwi, wtajemniczonym, zapewnia nieśmiertelność. Jeśli dobrze zrozumiałem, otrzymam po śmierci nowe członki i zamieszkać we wspaniałych koszarach, gdzie będzie łatwa służba, a wina i miodu w bród.

- Barbusie! - powiedziałem ostrzegawczo. - Myślałem, że skoro w życiu doświadczyłeś wiele, to nie uwierzysz w takie bzdury! Powinieneś zastosować zimne kąpiele! Bardzo się boję, że masz przywidzenia w następstwie nadużywania wina.

- Nie, nie! - zaklinał się Barbus, wznosząc uroczyście trzęsące się ręce. - Kiedy kończą czytać modlitwy, w ciemności zaczyna lśnić blask jego korony i dzwoni święty dzwoneczek. Wtedy człowiek wewnątrz drży aż do szpiku kości, włosy na głowie stają dęba i nawet niedowiarek wierzy w boskość Mitry. Później zjemy razem święty posiłek. Jeśli akurat jakiś centurion przechodzi oczyszczający chrzest z krwi, to jemy mięso wołowe i pijemy wino, po czym razem śpiewamy.

- Żyjemy w ciekawych czasach - zauważyłem. - Ciotka Lelia zapada w błogość przy pomocy samaryjskiego maga, mój własny ojciec trapi się o chrześcijan, a ty, stary wojownik, zaciągasz się do tajnej sekty wschodniej!

- Słońce wstaje wszak na wschodzie - rezolutnie odparł Barbus. - Wprawdzie zabójcą byka jest bóg słońca, a więc patron koni, ale nie gardzi podobnymi do mnie starymi piechurami. Nie ma też żadnych przeszkód, żebyś i ty poznał początki nauki Mitry, jeśli mi obiecasz milczenie. W naszej gromadzie jest wielu starych i młodych ekwitów, którym się przejadły zwykłe ofiary i posągi bogów.

Właśnie wtedy byłem zmęczony wyścigami i zakładami, bezsensownymi zabawami w towarzystwie pyszałkowatych i samolubnych

aktorów i nie kończącymi się dysputami z przyjaciółmi tego mola książkowego, Polliona, wokół filozofii i nowej poezji. Obiecałem więc, że będę towarzyszył Barbusowi, gdy pójdzie na tajny posiłek. Barbus był bardzo zadowolony i dumny. Ku mojemu zdziwieniu przed ucztą naprawdę pościł, starannie się umył, nie wziął nawet do ust wina i założył czyste szaty.

O zmierzchu zaprowadził mnie krętymi i śmierdzącymi uliczkami do podziemnej świątyni w dolinie między wzgórzami Eskwilin i Celius. Zeszliśmy po schodach do skąpo oświetlonej kamiennej sali, gdzie powitał nas kapłan Mitry w narzuconej na ramiona lwiej skórze. Bez zbędnych pytań pozwolił mi uczestniczyć w tajnym obrzędzie.

- Nie mamy się czego wstydzić - wyjaśnił. - Od tych, którzy uznają naszego boga, Mitrę, wymagamy czystości, uczciwości i męskości, to są warunki uzyskania spokoju ducha i dobrego życia po śmierci. Masz czyste oblicze i godną postawę, więc wierzę, że nasz bóg ci się spodoba. Ale proszę, byś bez potrzeby nie opowiadał o nas postronnym.

Zgromadziło się już wielu starych i młodych mężczyzn. Ku mojemu zdumieniu rozpoznałem wśród nich kilku pretorianów gwardii, trybunów wojskowych i centurionów, ale przeważali weterani i inwalidzi wojenni. Wszyscy mieli na sobie czyste szaty i odznaki, które świadczyły o osiągnięciu określonego stopnia wtajemniczenia. Wydaje się, że dla poziomu wtajemniczenia nie miały znaczenia ani stopień wojskowy, ani posiadany majątek. Barbus wyjaśnił, że jeśli jakiś dzielny i nienagannie postępujący weteran otrzymuje oczyszczający chrzest z krwi byka, to za tego byka płacą już ochrzczeni zamożni członkowie stowarzyszenia. On sam zadowolił się niskim stopniem misteryjnym, ponieważ nie zawsze postępował bez zarzutu i czasami mijał się z prawdą w swych opowiadaniach.

W podziemnej sali było tak mroczno, że nie można było dobrze rozróżnić twarzy uczestników. Jednakże dostrzegłem na ołtarzu posąg ukoronowanego bóstwa, które zabijało byka. Nastąpiła absolutna cisza. Najstarszy z gromady zaczął głośno czytać święte teksty. Czytał je po łacinie i tylko kilku bardziej świętych zdań nie mogłem zrozumieć. Zorientowałem się, że według ich nauczania na świecie panuje ciągła walka między światłem a ciemnością, dobrem i złem. W końcu zgasły ostatnie światła, usłyszałem tajemniczy plusk wody i rozległ się srebrzysty dźwięk dzwonka. Wiele osób ciężko wzdychało, a Barbus mocno ścisnął moją rękę. Światło, wydobywające się z ukrytego otworu, zaczęło powoli oświetlać koronę i posąg Mitry.

Nie wypada mi opowiadać szczegółów o tych tajnych obrzędach; upewniłem się co do istnienia prawdziwej nabożności wyznawców Mitry i ich wiary w przyszłe życie. Po decydującym zwycięstwie sił dobra i światła zapalono pochodnie i podano prosty posiłek: kawałek żyłastej wołowiny i tanie wino, jakie się pija w obozach wojskowych. Uczestnicy misterium byli pogodni, ich twarze błyszczały radością i rozmawiali między sobą przyjaźnie, nie bacząc na pozycję czy stopień wtajemniczenia.

Słuchałem żarliwych śpiewów i opowiadań uczestników misterium i odniosłem wrażenie, że wszyscy oni są uczciwymi, choć prostymi ludźmi,

k którzy mają szczerą chęć żyć nienagannie. Najwięcej było tu wdowców albo kawalerów; tak od zwycięskiego boga słońca, jak i z towarzystwa ludzi sobie podobnych czerpali radość i poczucie bezpieczeństwa. W każdym razie nie bali się czarów i nie uznawali żadnych znaków wieszczych poza tymi, które przypisywali Mitrze.

Uznałem, że uczestnictwo w zebraniach wyznawców Mitry dobrze wpływało na Barbusa, ale osobiście nie czułem się nimi zainteresowany. Być może byłem zbyt wykształcony i za młody. Wprawdzie pod koniec zebrania opowiadali różne anegdoty, ale takie same można usłyszeć przy ogniskach obozowych na dowolnej granicy imperium rzymskiego. Nie powtórzyłem wizyty w przybytku Mitry.

Nadal byłem niespokojny. Sądzę, że dzięki wyznawcom Mitry zacząłem bardziej zastanawiać się nad siłami dobra i zła. Może człowiek rzeczywiście podobny jest do liścia unoszonego na wietrze? Nie wierzyłem, aby jakimiś ofiarami można było zjednać sobie bogów i kupić ich przychylność. Z drugiej strony nie rozumiałem, w jaki sposób polanie głowy wodą czy nawet byczą krwią może uwolnić człowieka od mocy zła.

Doszedłem do wniosku, że pogardzani przez wszystkich chrześcijanie są szczęśliwsi w swej prostocie, ponieważ wierzą, że przez położenie ręki na głowie otrzymują ducha, który pomaga im odróżnić dobro od zła. Uważają, że wystarczy odwołać się do imienia Zbawiciela świata, a będą wolni od władzy złych mocy.

Pełen niepokoju i z obolałą duszą myślałem też o ojcu. Przecież nie był człowiekiem prostym, a jednak w czasie swego pobytu wśród Żydów na własne oczy widział i doświadczył czegoś, od czego nigdy nie był w stanie się uwolnić. W swojej młodzieńczej pysze uważałem się za mądrzejszego od niego, ale to jednak on był ode mnie mądrzejszy.

W momentach takich zamyśleń wyciągałem z zamkniętego kuferka wytartą drewnianą czarę, tuliłem ją w dłoniach i myślałem o matce, Greczynce, której nigdy nie znałem. W końcu, wstydząc się własnego postępowania, które uważałem za przesadne, wypijałem z niej odrobinę wina w intencji matki. Czułem się wówczas tak, jakby jej dobroć i tkliwość była tuż przy mnie. Wstydziłem się o tym komukolwiek powiedzieć. Zacząłem również zameczać się jazdą konną w nadziei, że okiełznanie narowistego konia i krańcowe wyczerpanie fizyczne sprawią mi większe zadowolenie niż kłótnia noc z Klaudią. I chyba tak było, bo nie nękały mnie wyrzuty sumienia ani poczucie winy.

Młody Lucjusz Domicjusz ciągle doskonalił swe umiejętności jeździeckie, ponieważ dążył do pełnego opanowania pięknej jazdy na grzbiecie dobrze wyszkolonego wierzchowca. Oficjalnie był najlepszy spośród młodzików i aby ucieszyć Agrypinę, stan ekwitów postanowił wybić złotą monetę na jego cześć. Że zaś ledwie przed rokiem cesarz Klaudiusz adoptował Lucjusza, przeto na awersie monety wytłoczono jego ładną chłopięcą głowę, a naokoło nowe imiona po adopcji: „Na cześć Nerona Klaudiusza Druzusa oraz jego dziadka brata Klaudiusza Germanika”. Na rewersie napisano: „Stan rycerski cieszy się swym księciem”. Koszty wybicia monety pokryła sama Agrypina, a nie ekwici; we wszystkich prowincjach rozdawano ją jako pamiątkę, chociaż

równocześnie była monetą obiegową, podobnie jak wszystkie inne wybijane w mennicy przy świątyni Juno Monety.

Agrypina dysponowała swobodnie znacznymi funduszami na polityczną propagandę swojego syna. Po drugim mężu, Passienusie Kryspusie, który nader krótko był ojczymem Lucjusza Domicjusza, odziedziczyła dwieście milionów sestercji, a jako małżonka cesarza i serdeczna przyjaciółka prokuratora skarbu państwa Pallasa, potrafiła ten majątek jeszcze pomnożyć.

Nadane Lucjuszowi dodatkowe imię Germanik miało lepsze tradycje i brzmiało wspanialej niż imię Brytanik. Nie lubiliśmy Brytanika, bo był chory na epilepsję i nie mógł uprawiać jeździectwa. Zresztą na temat jego pochodzenia nadal krążyły różne pogłoski; przecież Kaligula nagle i zupełnie nieoczekiwanie wydał piętnastoletnią Mesalinę za podstarzałego Klaudiusza.

Jako przyjaciel Lucjusza uczestniczyłem w uroczystości adopcyjnej i związanych z nią obrzędach ofiarnych. Cały Rzym przyznawał zgodnie, że Lucjusz Domicjusz zasługuje na swoją nową pozycję syna cesarza tak przez arystokratyczne - ba, cesarskie! - pochodzenie, jak i przez wrodzony mu wdzięk i grację. Od chwili adopcji nazywaliśmy go tylko Neronem. Imiona adopcyjne wybrał na pamiątkę swego dziadka, młodszego brata cesarza Tyberiusza.

Lucjusz Domicjusz, czyli Neron, był najbardziej wszechstronnie uzdolniony ze wszystkich znanych mi chłopców, a fizycznie i umysłowo bardziej rozwinięty, niż wskazywałby na to jego wiek. W walkach zapaśniczych pokonywał każdego równolatka, chociaż trzeba przyznać, że nikt nie chciał go pokonać, aby nie urazić jego wrażliwej natury. Neron potrafił nagle zalać się łzami, gdy jego matka albo retor Seneka zbyt ostro go upomnieli. Miał najlepszych w Rzymie nauczycieli, a Seneka uczył go krasomówstwa. Nie miałem nic przeciwko przyjaźni nauczyciela i ucznia, ale zauważyłem, że Neron potrafi sprytnie i przekonująco kłamać, gdy zrobi coś zdaniem Seneki złego. Ale przecież tak robią wszyscy chłopcy, zresztą nikt nie mógł długo gniewać się na Nerona.

Agrypina dbała, aby Neron uczestniczył w oficjalnych przyjęciach i siadał u podnóża sofy Klaudiusza, równie blisko jak Brytanik. W ten sposób zarówno arystokracja rzymska, jak i przedstawiciele prowincji poznawali Nerona i mogli porównywać obu chłopców: czarującego, radosnego Nerona i ponurego Brytanika.

Agrypina zapraszała do siebie na obiady przedstawicieli arystokratycznej młodzieży rzymskiej. W trakcie tych obiadów funkcję gospodarza pełnił Neron, zaś Seneka podpowiadał tematy, na które każdy młodzieniec wygłaszał mowę. Wydaje mi się, że przed takim obiadem zaznajamiał Nerona z tematem i razem z nim opracowywał wystąpienie, ponieważ jego pupił zawsze zwyciężał w tym współzawodnictwie.

Często bywałem zapraszany na te obiady; sądzę, że Neron szczerze mnie lubił. Co najmniej połowa gości nosiła już męskie togi. Znudziło mi się słuchać, jak każdy dla większego efektu powtarzał wyświechtane wersety Wergiliusza, Horacego albo poetów greckich. Zacząłem przygotowywać się do tych imprez obiadowych: czytałem dzieła Seneki i uczyłem się na

pamięć jego ulubionych zwrotów o hamowaniu gniewu, kruchości życia i mądrym, nieugiętym zachowaniu spokoju niezależnie od osiąganego powodzenia. Wprawdzie już wtedy, gdy osobiście poznałem Senekę, nabrałem do niego szacunku, ponieważ nie było na świecie takiej sprawy, o której by nie mógł dobrze wyszkolonym głosem, mądrze i ciepło wyrazić swego przemyślanego poglądu. Mimo to miałem zamiar wypróbować, czy niewzruszoność mędrca wygra z naturalną ludzką próżnością.

Seneka natychmiast przejrzał mnie na wylot, ale czuł się pochlebiony, że cytowałem jego własne myśli na równi z aforyzmami zaczerpniętymi z dzieł klasycznych autorytetów. A muszę tu dodać, że chytrze nie przytaczałem w ogóle jego nazwiska - to byłoby pochlebstwo szyte zbyt grubymi nićmi - tylko cytując dopowiadałem: „Gdzieś to właśnie wyczytałem” albo „na zawsze utkwiło mi w pamięci”.

Pewnego razu Seneka podsunął temat: wielcy ludzie. Wszyscy po kolei przywoływali Aleksandra Wielkiego, Juliusza Cezara Augusta lub starodawnych bohaterów Rzymu. Kiedy przysła moja kolej, powiedziałem:

- Sława wojenna i wielkość człowieka nie zawsze idą w parze. Kiedyś czytałem pewną książkę, nie pamiętam niestety jej tytułu, i napotkałem zdanie: „Nikt nie może być wielki, jeśli nie jest dobry”. Ta myśl poraziła mnie jak uderzenie pioruna.

A Neron i tym razem nas zaskoczył. Nieśmiało, udając skromność i starannie dobierając słowa, powiedział, że myślom o wielkości człowieka musi towarzyszyć myśl o jego cierpieniach i niepowodzeniach. W jego pamięci - mówił - utrwalił się obraz pewnej kobiety, bo nikt nie może zaprzeczyć, że i kobieta może się wznieść na piedestał wielkości. Myślał więc o kobiecie, na którą wygnanie i prześladowanie podziałały tak jak ogień, który oczyszcza szlachetny metal, bo zamiast goryczy i nienawiści wyniosła z nich czułość, sprawiedliwość i dobroć. Nie chce być stronniczy - prawil - ale musi ulec wzruszeniu i wznieść toast za wielkiego, znanego człowieka. W tym miejscu dla zwiększenia napięcia słuchaczy zawiesił głos i po chwili przerwy powiedział:

- Za moją matkę Agrypinę! Niech nikt nie waży się spełnić tego toastu, jeśli jest innego zdania. Może to miłość synowska zaślepiła moje oczy i mimo woli jestem stronniczy!

Oczywiście wszyscy z radością wznieśli w górę puchary i jednogłośnie wychwalali rozum i krasomówstwo Nerona, który tak nieoczekiwanie i nowatorsko ujął problem ludzkiej wielkości. Uważam zresztą, że kobieta, która za młodu uczestniczyła w rozwiązłości swego brata cesarza Kaliguli, którą skazano na wygnanie za zdradę państwa i zdradę małżeńską popełnioną z własnym szwagrem, która zdołała utrzymać się ze sprzedaży wyłowionych na dzikiej wyspie gąbek, a która mimo to zachowała tyle szlachetności i kobiecego wdzięku, że senat jednomyślną uchwałą zezwolił jej na korzystanie w czasie wielkich igrzysk z powozu westalek, posuwającego się tuż za procesją posągów bóstw Rzymu - uważam, że taka kobieta zaiste zasługiwała na uwielbienie. Agrypina nie chciała nikogo prześladować ani na nikim mścić się, wręcz przeciwnie: wypraszała łaskę dla wygnanych! Na własne uszy słyszałem, że mówiła:

- Co wieczór przebiegam myślami wydarzenia całego dnia. Czuję się źle, jeśli zauważę, że nie udało mi się dokonać niczego dobrego. Zachęcała wszystkich, i młodych, i starych, aby zwracali się do niej ze swymi troskami, ponieważ brzemień spraw państwowych było już za ciężkie dla cesarza i nie wypadało zwracać mu głowy sprawami prywatnymi. Zdarzało się, że Agrypina spłacała długi jakiegoś zubożałego senatora, któremu groziła utrata kurulnego krzesła, że aranżowała stosowne małżeństwa, a także załatwiała posady mężczyznom, którym zależało na zrobieniu kariery.

I właśnie dlatego, mimo całej absurdalności tego pomysłu, owładnęła mną myśl, że Agrypina jest jedyną istotą ludzką, która potrafi rozwiązać problem Klaudii! Nie mogłem przecież powiedzieć o Klaudii ani cioci Lelii, ani tym bardziej pani Tulii. Postanowiłem poczekać na sprzyjającą okazję rozmowy z Agrypiną w cztery oczy.

Neron przeszedł mutację głosu, która go strasznie złościła, a zaraz później otrzymał męską togę. Już jako dorosły mężczyzna składał ofiarę Jupiterowi: ani razu nie zająknął się ani nie pomylił przy powtarzaniu słów uroczystej litanii ofiarnej. Z okazji pełnoletnia urządził przyjęcie dla całej rzymskiej młodzieży, a senat bez jednego głosu sprzeciwu uchwalił przyznanie mu po skończeniu dwudziestu lat godności konsula. Uchwała ta oznaczała, że jaka wybrany konsul ma prawo zasiadania i głosu w senacie.

W tym czasie przyjechali do Rzymu delegaci słynnej dzięki szkole filozofów wyspy Rodos, aby starać się o przywrócenie dawnych wolności i samorządu. Nie wiem, w jakiej komitywie był Klaudiusz z mieszkańcami wyspy. Wiem natomiast, że Seneka uznał ten przyjazd za sprzyjającą okazję dziewiczego wystąpienia Nerona w kurii. W tajemnicy starannie przygotował Nerona do tego wystąpienia.

Ojciec opowiedział mi o powszechnym zaskoczeniu senatorów, gdy po zrelacjonowaniu sprawy przez delegatów z Rodos i po kilku ironicznych uwagach słuchaczy wstał młody Neron i nieśmiało wypowiedział tradycyjną formułę: „Szanowni ojcowie!” Wszyscy spojrzeli ze zdumieniem, ale skoro Klaudiusz kiwnął potakująco głową, Neron wszedł na mównicę. W podniosłych zwrotach przypomniał historię wyspy i najślawniejszych jej filozofów; przywołał też nazwiska znanych Rzymian, którzy na Rodos szlifowali swoje wykształcenie. Czy wyspa, kwitnąca różami mędrców, uczonych, poetów i mówców, nie dość już wycierpiała za swoje błędy? Czy ze względu na swoją sławę nie zasługuje na wolność? - mówił.

Wszyscy spojrzeli wówczas na Klaudiusza jak na mordercę, bo przecież to właśnie on odebrał wolność uroczej wyspie. Klaudiusz z jednej strony poczuł się winny, z drugiej - rozczulony pięknym przemówieniem Nerona. Nie omieszkał jednak przypiąć senatowi łatki:

- Przestańcie się na mnie gapić jak woły na malowane wrota, ojcowie! Postanówcie sami! Przecież jesteście senatem Rzymu!

Zarządzono głosowanie i zgłoszona przez Nerona propozycja ułaskawienia wyspy zyskała prawie pięćset głosów poparcia. Ostatnie słowo pozostało przy Klaudiuszu, który w trakcie rozmowy z delegatami Rodos oświadczył:

- Niech więc będzie wedle waszej woli, tylko na przyszłość nie

wyrażajcie zgody na krzyżowanie obywateli rzymskich.

Ogólny śmiech zakończył zgodne i jednomyślne rozpatrzenie sprawy. Najstarsi i najbardziej opozycyjnie nastawieni senatorowie gratulowali Neronowi wystąpienia i odniesionego sukcesu politycznego.

Ojciec wyznał, że najbardziej ujęła go skromność Nerona, który cały czas powtarzał gratulującym:

- Mnie nie chwalcie! Pochwały należą się mojemu nauczycielowi! - Podszedł do Seneki i na oczach wszystkich go uściskał. Seneka uśmiechał się i głośno powiedział:

- Nawet najlepszy retor nie zdoła wykrzesać dobrego mówcy z tępego młodziana.

Starsi senatorowie nie lubili Seneki, ponieważ zachowywał się jak człowiek światowy i ponieważ w swych utworach stare, dobre zasady stoicyzmu przekształcał w letnią kaszę. Twierdzili również, że zbyt gorliwie gromadzi wokół siebie dorodnych chłopców jako uczniów. Nie sądzę, aby to była wina wyłącznie Seneki, bo Neron do tego stopnia nienawidził zewnętrznej brzydoty, że nieregularne rysy twarzy lub znamiona na czyimś ciele pozbawiały go apetytu. Do mnie Seneka nigdy się nie zalecał; byłem też świadkiem, jak odtrącił Nerona, gdy ten chciał go ucałować.

Po otrzymaniu urzędu pretora Seneka zajmował się głównie sprawami cywilnymi, które same przez się są trudniejsze i bardziej skomplikowane od spraw karnych, ponieważ najczęściej dotyczą majątku, prawa władania, rozwodów i testamentów. Przyznał kiedyś, że jego charakter nie pozwala mu nikogo skazywać na chłostę lub na ścięcie. Zauważył, że gorliwie uczęszczam do pretorium i słucham ciekawych rozpraw, więc pewnego dnia podszedł do mnie i powiedział:

- Jesteś zdolnym młodzieńcem, Minutusie Lauzusie, znasz nie tylko łacinę, ale i grekę, wykazujesz też duże zainteresowanie zagadnieniami prawniczymi, jak przystoi prawdziwemu Rzymianinowi. Dlaczego nie miałbyś zostać pomocnikiem pretora? Udzielałbym ci odpowiednich rad i wskazywał sprawy precedensowe w zapomnianych tabulariach.

Podbechtał tym moją próżność, więc rozgorączkowany zapewniłem go, że byłoby to dla mnie największym zaszczytem. Seneka zaś sposepniał i od niechcienia zauważył, że wielu młodzieńców oddałoby nawet własne oko, gdyby otrzymali tak znakomitą okazję rozpoczęcia obiecującej kariery. Natychmiast zrozumiałem, co miał na myśli i oświadczyłem, że do końca życia będę mu wdzięczny za tę nieporównywalną przychyłność. Seneka uściślił:

- Wiesz, że jak na warunki rzymskie nie jestem człowiekiem bogatym. Właśnie buduję sobie własny domek, aby po jego ukończeniu zawrzeć nowy związek małżeński i skończyć z niepotrzebnymi plotkami. Jesteś bogaty, więc stać cię na zapłacenie mi wynagrodzenia za to, że będę cię uczył.

Udałem zmieszanie i pospiesznie prosiłem o wybaczenie, że go nie rozumiałem. Spytałem też, ile sobie życzy. Seneka uśmiechnął się, poklepał mnie po ramieniu i poradził:

- Czy nie byłoby rozsądniej, abyś w tej sprawie porozumiał się ze swoim

zamożnym ojczulkiem, Markiem Mezencjuszem?

Zaraz poszedłem porozmawiać z ojcem, a po drodze zastanawiałem się, czy dziesięć złotych monet nie będzie za dużym prezentem dla filozofa, który tak sławi skromność i proste życie. Ojciec wybuchnął śmiechem i zawołał:

- Znam ja to skromne życie! Sam załatwię tę sprawę, nie martw się o to!

Dużo później dowiedziałem się, że ojciec wysłał Senecę tysiąc złotych monet, a więc sto tysięcy sestercji. Moim zdaniem była to suma niewyobrażalnie wielka, ale Seneka wcale się nie obraził i odnosił się do mnie jeszcze bardziej życzliwie; może chciał mi w ten sposób wynagrodzić przejawioną przez ojca nowobogacką chęć popisywania się.

Wiele miesięcy pracowałem jako pomocnik Seneki w pretorium. Pozwalał mi robić podsumowania przemówień obrońców, a niekiedy dyktował werdykty, więc czułem się doceniony i ważny. Razem z Neronem chodziliśmy do tabularium, aby wśród nagromadzonych tam tabliczek woskowych wyszukiwać prawa ustanawiane setki lat temu, nieraz zapomniane, niespójne ze sobą, często anulowane. Obaj robiliśmy notatki, aby niespodziewanie móc z nich skorzystać w odpowiedniej chwili. Na przykład gdy jakiś zarozumiały adwokat robił się zbyt ważny.

Seneka był w swoich orzeczeniach bezstronny i sprawiedliwy. Żaden adwokat nie mógł go zwieść piękną retoryką, bo przecież sam był najlepszym mówcą swoich czasów! Mimo tego niektórzy przegrywający rozsiewali plotki, że bierze łapówki. Zawsze tak plotkowano na temat każdego pretora. Seneka zapewniał, że nigdy nie godził się przyjąć żadnego podarunku przed ogłoszeniem wyroku. Gdy jednak spór toczy się o prawo władania parcelą wartości miliona sestercji, to jeśli po rozprawie wygrywający wręczy sędziemu jakiś upominek, wówczas wszystko jest w porządku. Nikt nie wyżyje z pensji pretora - mawiał - zwłaszcza że w czasie swego urzędowania musi organizować darmowe przedstawienia dla ludu.

Znowu nadeszła wiosna, a wraz z zielonością ziemi, ciepłem słońca i melodią cytry teksty prawnicze w mojej głowie przekształcały się w lekkomyślne strofy Owidiusza i Propercjusza. W ciepły wieczór, kiedy chmury rozzarzyły się złotem, trafiła się w końcu od dawna oczekiwana przeze mnie okazja. Neron zaprowadził mnie do ogrodów na wzgórzu Pincjo; zastaliśmy tam jego matkę, wydającą dyspozycje ogrodnikom. Twarz Agrypiny pojaśniała, a oczy promieniały radością jak zawsze, gdy ujrzała swego pięknego syna. Zwróciła się do mnie po matczynemu:

- Co cię gnębi, Minutusi Manilianusi? Zupełnie jakby pożerał cię jakiś robak! Twarz masz niespokojną i nawet w oczy nie możesz mi patrzeć...

Musiałem spojrzeć w jej jasne i wszystkowiedzące oczy bogini. Mamrocząc spytałem:

- Czy mógłbym porozmawiać z tobą o swoim zmartwieniu?

Po przyjacielsku odprowadziła mnie nieco dalej od ogrodników i kopiących ziemi niewolników, zachęcając, bym mówił szczerze i bez obawy. Opowiedziałem jej o Klaudii: już po pierwszych moich słowach zdrząła, chociaż ani jeden rys się nie zmienił w jej spokojnej twarzy.

- Reputacja Plaucji Urgulanii zawsze budziła zastrzeżenia - oświadczyła.

- Znałam ją, gdy byłam młodą dziewczyną, chociaż wolałabym nigdy jej nie znać. Jak to się stało, że poznałeś Klaudię? Przecież, o ile wiem, jej nie wolno wchodzić w obręb murów miasta! Ten bękart powinien zajmować się wypasem kóz w którymś gospodarstwie rolnym Aulusa Plaucjusza!

Opowiedziałem okoliczności naszego pierwszego spotkania, gdy usiłowałem mówić dalej, Agrypina przerwała mi, stawiając wciąż nowe pytania, aby - jak powiedziała - dojść do sedna sprawy. W końcu jednak udało mi się wykrztusić z siebie:

- Kochamy się i ożeniłbym się z nią, gdybyśmy tylko wymyślili, jak to można przeprowadzić.

- Minutusie, takich dziewczyn nie bierze się za żony! - oburzyła się Agrypina.

Najlepiej jak umiałem, próbowałem uwypuklać dobre cechy Klaudii, ale wątpię, aby Agrypina mnie słuchała. Ze łzami w oczach patrzyła na krwawo zachodzące nad Rzymem słońce; zdawało się, że przeze mnie straciła dobry nastrój. W końcu przerwała potok mojej wymowy:

- Czy sypialiście ze sobą? Odpowiedz wprost!

Musiałem powiedzieć prawdę. Chyba nawet trochę koloryzowałem, bo opowiadałem o naszym obopólnym szczęściu i o tym, jak nam było dobrze razem, a przecież ostatnio przez te ciągłe kłótnie wcale tak nie było. Agrypina pytała dalej:

- Czy dawałeś jej prezenty?

Oczywiście, dawałem Klaudii jakieś drobiazgi; każdy zakochany młodzieniec dla własnej przyjemności daje dziewczynie podarunki, które ją uszczęśliwiają. Gorliwie przytaknałem.

- Pieniądze też?

Po namyśle przyznałem, że dałem Klaudii kilka srebrnych monet na kupno prowiantów i wina.

- A ona jest pięć lat od ciebie starsza - stwierdziła Agrypina. W zamyśleniu kręciła głową o szlachetnych rysach i spoglądała na mnie przezrzystymi jak szkło oczami.

Spytałem zażenowany, czy nie ma żadnej możliwości, żeby jakaś uczciwa rodzina zaadoptowała Klaudię.

- Nieszczęsny Minutusie, w coś ty się wpakował?! W całym Rzymie nie znajdziesz ani jednej uczciwej rodziny, która nawet za najwyższą cenę zechciałaby adoptować twoją Klaudię. Gdyby jakaś była gotowa dać jej nazwisko, byłoby to dowodem, że rodzina ta nie zasługuje na miano uczciwej.

Próbowałem jeszcze bronić sprawy, ale Agrypina była niewzruszona:

- Moim obowiązkiem jako opiekunki stanu rycerskiego jest troska o to, co będzie najlepsze dla ciebie, a nie dla tej nieszczęsnej ladacznicy. Ty nie masz pojęcia o jej opinii! Nie będę cię przekonywać, jesteś tak zaślepiiony, że wątpię, czybyś mi uwierzył. Zastanowię się nad waszą sprawą. Może będę zmuszona powiedzieć o wszystkim nieszczęsnemu Klaudiuszowi, choć nie chciałabym przysparzać mu kłopotów. Przestań się martwić, Minutusie, i nie zaprzataj więcej tą sprawą swojej zdolnej głowy. Postąpiłeś słusznie i mądrze, że zwróciłeś się do mnie o radę. Jaka szkoda, że nie pomyślałeś o tym wcześniej, zanim ta zdeprawowana dziewczucha cię

uwiodła!

Usiłowałem wyjaśnić, że źle mnie zrozumiała. Klaudia wcale nie była zdeprawowana ani zepsuta. Przecież gdyby taka była, nawet bym nie pomyślał o małżeństwie. Należy przyznać, że Agrypina odniosła się do mnie z wielką cierpliwością. Dokładnie wypytała o wszystko, co robiliśmy w łóżku, Klaudia i ja, i dała mi do zrozumienia, jaka jest różnica między cnotliwością a zepsuciem; dowodziła też, że w tych sprawach Klaudia była bardziej doświadczona ode mnie.

- Sam boski August skazał na wygnanie poetę Owidiusza, który w nieprzyzwoitej księdze próbował udowodnić, że miłość jest sztuką - tłumaczyła. - Chyba nie wątpisz w słusność werdyktu Augusta? Takie zabawy dobre są w domach publicznych! Sam musisz przyznać, że nie możesz patrzeć mi w oczy bez rumieńca na twarzy.

Mimo tak nieprzyjemnego toku rozmowy odczułem, że powierzając sprawę mądrej i szlachetnej Agrypinie zrzuciłem z serca ogromny ciężar. Pospieszyłem za mury miasta, aby opowiedzieć wszystko Klaudii. Wcześniej nie wspominałem jej o swym planie, aby nie wzbudzić w niej przedwczesnych nadziei.

Wysłuchawszy mej relacji Klaudia osłupiała; zbladła tak straszliwie, że piegi po obydwu stronach jej grubego nosa stały się całkiem brązowe.

- Minutusie, Minutusie, coś ty narobił? Czy jesteś zupełnie szalony?! - zawołała.

Uczułem się obrażony takim brakiem zrozumienia dla starań, które podjąłem przecież dla jej dobra! Nie lada odwagi moralnej wymagało wszak ode mnie poruszenie tak drażliwej kwestii z niewiastą z najwyższych sfer. Spytałem teraz, co Klaudia ma przeciwko tak szlachetnej kobiecie jak Agrypina? Klaudia nie chciała nic wyjaśniać, tylko siedziała zgaszona, z rękami na kolanach, i nawet nie spoglądała na mnie.

Nie pomogły też pieszczoty. Klaudia stanowczo mnie odsunęła - nie mogłem tego zrozumieć inaczej, jak tylko że ma na sumieniu coś, czego nie chciała albo nie mogła powiedzieć. Nie usłyszałem żadnego argumentu, powtarzała tylko, że nie warto mi niczego tłumaczyć, skoro jestem taki naiwny, że zawierzyłem Agrypinie.

Wyszedłem od Klaudii rozgniewany. To ona zniszczyła nasz związek swoimi stałymi awanturami o małżeństwo i o przyszłość. Odszedłem już spory kawałek, gdy Klaudia wyszła na próg chaty i zawołała za mną:

- Czy tak się mamy rozstać, Minutusie? Być może nigdy się już nie zobaczymy!

Byłem rozczarowany, że nie pozwoliła mi na pieszczoty: dotychczas w ten sposób zawsze dochodziliśmy po kłótni do zgody. Z wściekłością wrzasnąłem:

- Mam nadzieję, że nigdy się już więcej nie spotkamy!

Jednak gdy doszedłem do mostu na Tybrze, poczułem skruchę i zawróciłbym, gdyby nie męska duma.

Upłynął w spokoju cały miesiąc. Pewnego dnia Seneka wziął mnie na bok i oświadczył:

- Minutusie Lauzusie, masz już dwadzieścia lat! Czas, abyś poznał zarządzanie prowincjami. To ważne dla twojej przyszłej kariery. Jak

zapewne wiesz, w tym roku mój młodszy brat otrzymał za swe zasługi urząd Achaja. Napisał do mnie niedawno, że potrzebuje pomocnika, który oprócz znajomości prawa dysponowałby doświadczeniem wojskowym. Jesteś wprawdzie bardzo młody, ale sądzę, że znam cię dobrze. Twój ojciec był dla mnie tak hojny, że postanowiłem dać ci tę wspaniałą szansę na awans. Ruszaj w drogę od razu. Jedź niezwłocznie do Brundyjum, a stamtąd pierwszym statkiem do Koryntu.

Zrozumiałem, że jest to rozkaz, a nie tylko oznaka sympatii. Ale czy taki młody człowiek jak ja mógł otrzymać przyjemniejszy rozkaz wyjazdu do prowincji? Korynt był miastem słynnym z umiejętności życia jego mieszkańców, leżał w pobliżu starych Aten, mogłem przy okazji wyjazdów służbowych zwiedzić wszystkie najbardziej uświęcone miejsca Grecji. Za kilka lat, po powrocie, będę już chyba mógł starać się o dobry urząd. Gdzieś w granicach trzydziestu lat często się to udawało, gdy w grę wchodziły zasługi albo dobre układy. Z szacunkiem podziękowałem Senece i zacząłem natychmiast szykować się do drogi.

W gruncie rzeczy ta delegacja przyszła w samą porę! Do Rzymu dotarły wieści, że plemiona brytyjskie podniosły bunt, może dla zabawy chciały wypróbować zdolności Ostoriusza? Wespazjana dobrze znano na wyspach, a Ostoriusz jeszcze się nie oswoił z warunkami brytyjskimi. Już nawet zacząłem się bać, że znowu skierują mnie do Brytanii, a wcale nie miałem ochoty tam wracać. Nawet dotychczas najspokojniejsze i najbardziej godne zaufania plemię sojusznicze, to znaczy Ikeni, zaatakowali nas na pozostającym we władaniu Rzymu brzegu rzeki. Trudno by mi było walczyć z Ikenami ze względu na Lugundę.

Uważałem, że chociaż Klaudia ostatnio odnosiła się do mnie zupełnie niewłaściwie, to jednak powinienem się z nią pożegnać przed wyjazdem. Podążyłem więc za rzekę, lecz domek Klaudii był pusty i zamknięty na cztery spusty. Na moje wołania nikt nie odpowiadał. Nie widziałem też jej stadka owiec. Pobiegnę do pobliskiego dworku Plaucjuszów z pytaniem, gdzie się podziała Klaudia. Spotkałem się z nader nieprzychylnym przyjęciem. Nikt niczego o Klaudii nie wiedział; wyglądało na to, że ktoś wydał surowy zakaz wymieniania jej imienia.

Byłem zaszokowany. Z pośpiechem wróciłem do miasta i udałem się do domu Aulusa Plaucjusza. Poprosiłem o rozmowę z Pauliną. Stara kobieta, wiecznie odziana w żałobne szaty, była jeszcze bardziej niż dawniej zapłakana, ale nie chciała mi udzielić żadnych informacji o Klaudii.

- Im mniej będziesz wiedział o tej sprawie, tym lepiej - powiedziała, spoglądając na mnie z wrogością. - Doprowadziłeś Klaudię do zguby, ale może i bez ciebie, wcześniej czy później, byłoby tak samo. Jesteś jeszcze taki młody! Nie mogę uwierzyć, że wiedziałeś, co robisz. Mimo tego nie mogę ci wybaczyć. Modlę się, aby Bóg ci to darował.

Zagadkowość tej wypowiedzi zaniepokoiła mnie. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Czułem się zupełnie niewinny, przecież cokolwiek zaszło między mną a Klaudią, to wszystko stało się z jej własnej woli.

Na dłuższe rozważania nie miałem czasu. Zmieniłem szaty i pobiegłem na Palatyn, aby pożegnać się z Neronem, który zapewniał, że mi zazdrości okazji poznania na miejscu cywilizacji greckiej. Przyjaźnie trzymając mnie

za rękę zaprowadził do swojej matki, chociaż ona właśnie razem z posepnym Pallasem sprawdzała stan finansów państwowych. Pallasu uważano za najbogatszego człowieka w Rzymie. Był tak nadęty, że nigdy nie wydawał niewolnikom poleceń głosem - gestem ręki pokazywał, czego chce, i żądania takie musiały być natychmiast spełnione.

Agrypina wyraźnie nie była zadowolona, że jej przeszkadzamy, ale na widok syna jak zawsze uśmiechnęła się. Życzyła mi sukcesów, ostrzegła przed lekkomyślnymi obyczajami Koryntian i wyraziła nadzieję, że choć będę się napawał kulturą grecką, to jednak wrócę Rzymianinem.

Coś tam mamrotałem w odpowiedzi i patrząc jej w oczy dawałem ręką znaki odwołujące ją na bok. Szybko pojęła, o co mi chodzi. Znamienity wyzwoleniec Pallas nie miał nawet zamiaru spojrzeć na mnie, niecierpliwie szeleścił papirusowym zwojem, z którego przepisywał jakieś liczby na woskową tabliczkę. Agrypina zachęciła Nerona, aby popatrzył, jak błyskawicznie Pallas sumuje olbrzymie liczby, a mnie zaprowadziła do drugiej sali.

- Lepiej żeby Neron nie słyszał, o czym rozmawiamy - wyjaśniła. - On jest jeszcze cnotliwy, chociaż nosi męską togę.

To nie była prawda, bo Neron przechwalał się nam, że sypiał z jakąś niewolnicą i że dla zabawy próbował stosunku z pewnym chłopcem. Oczywiście nie mogłem tego powiedzieć Agrypinie! Ta zaś spojrzała na mnie swymi jasnymi oczami, z wyrazem boskiego spokoju na twarzy westchnęła i rzekła:

- Wiem, że chcesz usłyszeć coś o Klaudii. Nie chciałabym przysparzać ci rozczarowań. Młodzi ludzie ciężko przeżywają takie sprawy. Ale dla ciebie będzie lepiej, jeśli w porę otworzysz oczy, choćby to nie wiem jak bolało. Wyznaczyłam Klaudii opiekę. Przecież musiałam poznać prawdę o jej sposobie życia. Nie obchodzi mnie, że złamała wyraźny zakaz poruszania się w obrębie murów. Ani to, że uczestniczyła w tajnych posiłkach niewolników, w czasie których mają miejsce różne bezceństwa. Ale jest niewybaczalne, że poza murami miasta, bez niezbędnego nadzoru zdrowotnego sprzedawała swoje ciało za pieniądze woźnicom, pastuchom i komu tylko się dało!

Na to straszne, nieprawdopodobne oskarżenie otworzyłem szeroko usta. Agrypina spojrzała na mnie z politowaniem:

- Sprawę wyjaśniono w policji, nie robiono wokół niej szumu. Świadców było wielu. Lepiej, żebyś nie wiedział, kim oni byli. Z litości dla niej, za bardzo byś się wstydził. Klaudii nie ukarano zgodnie z prawem, nie wychłostano jej, ani nawet nie obcięto jej włosów. Dla poprawy obyczajów wysłano ją na rok do zamkniętego domu w pewnym małym miasteczku. Nie podam ci adresu, żebyś nie narobił jakichś głupstw. Gdybyś po powrocie z Koryntu nadal chciał ją zobaczyć, to jeżeli poprawi swoje obyczaje, zorganizuję ci spotkanie. Ale musisz mi obiecać, że teraz nie będziesz próbował się z nią skontaktować. Tyle mi jesteś dłużny.

Jej wyjaśnienia były dla mnie tak niezrozumiałe, że w głowie mi się mąciło, a kolana się ugięły. Przypomniałem sobie jednak wszystko, co w Klaudii było dziwne, doświadczone i nienaturalnie namiętne. Agrypina położyła swą piękną dłoń na moją i zachęciła:

- Zastanów się dobrze, Minutusie! Tylko młodzieńcza próżność powstrzymuje cię od tego, byś uwierzył, jak bardzo cię oszukano. Traktuj to jako naukę, abyś w przyszłości nie ufał zepsutym kobietom, choćby nie wiadomo co próbowały ci wmówić. Szczęściem w nieszczęściu na czas zwróciłeś się do mnie i wyrwałeś się z jej sideł. To było mądre posunięcie!

Wpatrywałem się w nią, próbując znaleźć bodaj najmniejszą oznakę zmieszania na jej gładkiej twarzy i w jasnych oczach. Lekko pogładziła ręką moją twarz i poprosiła:

- Spójrz mi w oczy, Minutusie Lauzusie! Komu bardziej wierzysz, mnie czy taniej dziewczynie, która tak straszliwie wykorzystwała twój brak doświadczenia?!

Rozum i zraniona ambicja podpowiadały mi, że bardziej powinienem wierzyć tej dobrej kobiecie i małżonce cesarza. Pochyliłem głowę, bo piekące łzy płynęły mi z oczu, tak bolesne było moje rozczarowanie. Agrypina przyciągnęła moją twarz mocno do swojej miękkiej piersi. I nagle, wśród szalonej burzy uczuć, poczułem, jak gorący dreszcz przenika moje ciało! Zrobiło mi się jeszcze bardziej wstyd za samego siebie.

- Nie proszę, abyś mi dziękował, chociaż dużo zrobiłam dla ciebie w sprawie, która dla mnie osobiście była ohydna - szeptała mi do ucha, w którym czułem rozkoszne ciepło jej oddechu. - Wiem, że kiedyś, gdy dokładnie wszystko przemyślisz, będziesz mi wdzięczny. Wyrwałam cię z największego zagrożenia, jakie może spotkać młodego człowieka na progu życia.

Uważając, aby nikt nie widział, odepchnęła mnie od siebie i uroczo się do mnie uśmiechnęła. Twarz miałem rozpaloną, a oczy pełne łez. Nie chciałem, by ktokolwiek mnie zobaczył. Agrypina wskazała mi tylne wyjście z Palatynu. Zszedłem na dół po stromym zboczu zaułkiem Wiktorii z pochyloną głową i potykając się o białe kamienie.





Księga 5

Korynt

Korynt jest najżywszym i najbardziej spragnionym życia miastem na świecie; tak przynajmniej zapewniają jego mieszkańcy. Dwieście lat temu Mummiusz doszczętnie spalił go; dzięki dalekowzroczności boskiego Juliusza Cezara w mieście dźwigniętym z popiołów żyje obecnie pół miliona mieszkańców, pochodzących ze wszystkich krajów świata. Wieczorami z góry zamkowej dobrze widać, jak światła ogromnego miasta jarzą się do późnych godzin nocnych. Dzięki swemu barwnemu życiu Korynt może być dobrym miejscem rekonwalescencji posępnego młodzieńca, który ciężko przeżywa swą łatwowierność.

Mój nowy sługa Hieraks wielokrotnie żałował, że gdy stał na podium handlarza niewolników, bardzo gorąco ze łzami w oczach błagał, abym go kupił. Umiał czytać i pisać, przygotowywać posiłki, robić zakupy i masaże oraz mówić po grecku i prostą łaciną. Zapewniał, że w towarzystwie swojego poprzedniego właściciela podróżował po wielu krajach i zdobył umiejętności łagodzenia trudów podróży.

Cena, jaką handlarz wyznaczył, była bardzo wysoka, miała dowodzić znakomitej jakości niewolnika; oczywiście istniała możliwość uzgodnienia jej. Sam Hieraks nalegał jednak, abym się nie targował zbyt, ponieważ poprzedni właściciel wbrew własnej woli musiał go sprzedać, gdy w następstwie niesprawiedliwego wyroku sądowego popadł w kłopoty finansowe. Domyślałem się, że mój przyszły sługa miał obiecaną prowizję, jeśli jego gadanina pomoże utrzymać cenę. Nie miałem wówczas nastroju do targowania się.

Hieraks wyraźnie obawiał się, że dostanie się do rygorystycznego domu wyniosłych starych ludzi i namawiał mnie do kupna w nadziei, że otrzyma przyjaznego młodego pana. Z uwagi na moją mrukliwość i melancholijność nauczył się milczeć, choć go to dużo kosztowało, bo był urodzonym gadułą. Podróż morska wcale mnie nie ożywiła, nadal nie miałem ochoty na żadne rozmowy. Polecenia wydawałem jak prokurator Pallas - jedynie ruchem ręki. Hieraks wszelkimi sposobami przypodobał mi się w obawie, że pod zewnętrzną powłoką ponuractwa ukrywam okrutny charakter i że będę czerpał radość z umartwiania niewolnika.

Mój sługa niewolnikiem się urodził i na niewolnika został wychowany. Nie wyglądał na mocarza, ale kupiłem go, bo nie chciało mi się szukać niczego lepszego - zresztą nie miał żadnych widocznych wad ciała, a zęby zdrowe, choć skończył trzydzieści lat. Oczywiście domyślałem się, że musi mieć jakąś wadę, skoro wystawiono go na sprzedaż, ale przecież nie

mogłem jechać bez sługi. Początkowo był dla mnie jednym wielkim utrapieniem, ale szybko nauczyłem go milczeć i wyglądać tak samo ponuro jak ja; dobrze też dbał o moje rzeczy, odzienie i żywność. Umiał golić moją ciągle jeszcze miękką brodę i nawet mnie przy tym zbyt nie zaciął.

Był już swego czasu w Koryncie; wybrał nam znajdującą się w pobliżu Neptuna gospodę pod nazwą „Statek i latarnia”. Zdziwił się, że po szczęśliwym zakończeniu niebezpiecznej podróży morskiej nie pobiegnę natychmiast złożyć ofiary dziękczynnej, tylko zaraz po umyciu się i przebraniu poszedłem na forum, aby się zameldować u prokonsula.

Rezydencja prokonsula mieściła się w pięknym budynku z kolumnadą frontową. Dziedziniec zewnętrzny otaczał mur, do którego przylegała budka wartownicza. Przy bramie dwaj dyżurujący legionieści dłubali w zębach, gawędzili z przechodniami, a tarcze i włócznie oparli o mur. Złośliwie spojrzeli na wąski czerwony pas mojej togi, ale o nic nie pytając wpuścili mnie do środka.

Prokonsul Lucjusz Anneusz Gallio przyjął mnie ubrany w greckie szaty, pachnący wonnościami i w wieńcu z kwiatów na głowie: wyglądał, jakby właśnie wybierał się na ucztę. Był człowiekiem pogodnym i natychmiast kazał mi poczęstować winem z Samos, sam zaś zabrał się do odczytywania listów od starszego brata Seneki i innych osób. Listy te przywiozłem ze sobą jako kurier senatu. Wypiłem tylko pół zawartości szklanego pucharu, ponieważ głęboko gardziłem całym światem, na który przyszedłem ku swemu nieszczęściu, i w ogóle niczego dobrego o ludziach nie myślałem.

Po przeczytaniu listów Gallio spoważniał. Dłuższą chwilę mi się przyglądał i powiedział:

- Togę zakładaj tylko na posiedzenia sądu. Musimy pamiętać, że Achaja jest Achają. Jej cywilizacja jest starsza, a przynajmniej nieporównywalnie bardziej uduchowiona od rzymskiej. Grecy przestrzegają swego prawa i podtrzymują tradycję. Polityk rzymski powinien jak najmniej mieszać się w ich sprawy, trzeba pozwalać, aby toczyły się one własnym trybem, jeśli nikt się do nas nie zwraca bezpośrednio. Przepiękstw przeciw życiu jest tu bardzo niewiele. Największym utrapieniem, jak to w mieście portowym, są kradzieże i oszustwa. W Koryncie nie ma jeszcze amfiteatru, mamy natomiast wspaniały cyrk, w którym organizowane są wyścigi. Teatry grają co wieczór, a ich repertuar jest urozmaicony. Innych rozrywek jest aż za dużo dla przyzwoitego młodego rycerza.

- Nie przyjechałem do Koryntu dla zabawy - odparłem ze złością. - Chcę się przygotować do piastowania urzędów państwowych.

- Tak, tak, wiem o tym z listu mojego brata. Chyba najlepiej będzie, jeśli najpierw zgłosisz się do dowódcy kohorty. Jest nim Rubriusz, bądź dla niego uprzejmy. Możesz zwiększyć wymiar ćwiczeń wojskowych, bo pod jego komendą żołnierze strasznie zgnusnieli. Później pojedziesz na lustrację innych obozów. Nie ma ich wiele. Nawet nie wypada, aby do Aten czy innych miast świętych Rzymianin wkraczał w wojskowym ubiorze - już raczej owinięty w gałgany filozofa. Raz w tygodniu odbywam posiedzenie sądu przed moim domem, oczywiście powinieneś być na nich obecny. Sądy odbywają się tu nie wczesnym rankiem, ale po południu. Co

kraj to obyczaj! Teraz przedstawię cię szefom mojej kancelarii.

Przyjaźnie rozmawiając o pogodzie poszliśmy w głąb domu, gdzie poznałem szefa finansów i prawnika, naczelnika urzędu podatkowego Achai, oraz przedstawiciela handlowego Rzymu.

- Chciałem cię zaprosić do zamieszkania w moim domu - powiedział życzliwie Gallio. - Ale dla Rzymu będzie korzystniej, jeśli zamieszkasz w dobrej gospodzie albo założysz własny dom. Będiesz mógł wówczas nawiązać bliskie kontakty z Grekami, poznasz ich życzenia, zwyczaje i skargi. Pamiętaj, że Achaję należy trzymać w garści bardzo ostrożnie, jak bańkę mydlaną. Właśnie oczekuję pewnych uczonych i filozofów, których zaprosiłem na obiad. Zaprosiłbym i ciebie, ale widzę, że jesteś zmęczony podróżą, więc jedzenie by ci nie smakowało, skoro i wina prawie nie spróbowałeś. Wypocznij po trudach podróży, poznaj miasto i kiedy ci będzie pasowało, zamelduj się Rubriuszowi. Nie ma żadnego pośpiechu.

Przedstawił mnie też swojej żonie. Małżonka prokonsula nosiła haftowany złotem grecki peplos, na nogach miała sandały ze złotej skóry, a w pięknie uczesane włosy wplotła złotą wstążkę. Najpierw spojrzała na mnie figlarnie, potem zerknęła na Gallia, nagle spoważniała i powitała mnie takim posepnym głosem, jakby przygniatała ją smutek całego świata. Niemal w ten samej chwili zakryła usta ręką, parsknęła śmiechem, odwróciła się i uciekła z pokoju.

Pomyślałem, że urodzona w Iberii pani Helwia mimo stanowiska jej męża zachowywała się zupełnie dziecinnie.

Gallio skrył uśmiech, popatrzył poważnie w ślad za żoną i potwierdził moją opinię:

- Ach, Lauzusie, ona jest jeszcze taka młoda! Nie potrafi dostosować się do obowiązków wynikających z jej pozycji. Na szczęście w Koryncie nie ma to żadnego znaczenia.

Następnego dnia rano długo łamałem sobie głowę, czy posłać do garnizonu po wierzchowca i honorową asystę, aby uroczyście przedstawić się zwierzchnikowi. Miałem prawo po temu, ale - ponieważ nie znałem Rubriusza - doszedłem do wniosku, że lepiej się nie pysznić. Tak więc zgodnie z wojskowym obyczajem założyłem puklerz ze srebrnym orłem, wzułem nagolenniki i podkute gwoździami buty, na głowę zaś wsadziłem hełm z czerwonym pióropuszem. Hieraks pomógł mi zarzucić na ramiona krótką purpurową chlamidę trybuna wojskowego i spał ją na barku kłamrą.

Już moje wyjście wzbudziło ogromne zainteresowanie; w drzwiach gospody nawet kucharze i sprzątaczkę cisnęli się, żeby popatrzeć. Ruszyłem energicznym marszem. Po pewnym czasie ekwipunek zaczął głośno stukać, ludzie tłoczyli się, aby mnie podziwiać. Mężczyźni wykrzykiwali wskazując na mój pióropusz, kobiety usiłowały macać puklerz, a niedorostki, krzycząc i nawołując się, starały się maszerować równo ze mną. Dopiero po pewnym czasie zorientowałem się, że kpią sobie z ceremoniału wojskowego.

Znalazłem się w tak przykrym położeniu, że ogarnęła mnie szalona ochota na wyrwanie z pochwy miecza i płazowanie nim dookoła. Purpurowy z obrazy nakłoniłem do interwencji nadchodzącego właśnie policjanta miejskiego, który za pomocą trzciny rozproszył zbiegowisko na

tyle, że uzyskałem przejście. Ale i tak przynajmniej sto osób odprowadziło mnie aż do bram koszar.

Ujrzawszy hałaśliwy tłum, klusem wałący w ich stronę, wartownicy chyżo złapali z podcieni tarcze i włócznie, a jeden z nich nawet zatrąbił na alarm. Ludzie jednak nie mieli najmniejszej ochoty na wkroczenie w obręb obozu i zarobienie w ten sposób na chłostę. Zatrzymali się półkolem przed ostrzami włóczy, ironicznie życząc mi szczęścia i z wdzięcznością zapewniając, że od lat nie mieli tak pysznego widowiska.

Z głębi obozu przybiegł centurion, odziany w samą jeno tunikę. Zwołana sygnałem trąbki alarmowej garstka legionistów dzierżąc włócznie i tarcze ustawiła się w coś w rodzaju szeregu. Chyba należy mi wybaczyć młodzieńczą głupotę, bo ryknąłem na nich i zacząłem ich musztrować, do czego jeszcze nie miałem prawa, bo przecież nie zameldowałem się oficjalnie u Rubriusza. Po wydaniu komendy biegiem marsz pod mur i z powrotem i zajęcia postawy w należytych szyku, poprosiłem o meldunek centuriona. Stojąc na rozkraczonych nogach centurion wziął się pod boki i oświadczył:

- Dowódca Rubriusz śpi po ciężkich ćwiczeniach nocnych i nie wypada go budzić. Żołnierze także są wyczerpani ćwiczeniami. Może wpadnij do mego pokoju na łyżeczek wina, a przy okazji opowiesz, kim jesteś, skąd pochodzisz i czemu się nam tak nagle objawiasz jak bóg wojny, Mars, co spadł z nieba marszcząc gębę i zgrzytając zębami.

Miał na ciele liczne blizny i zużytą twarz, był więc weteranem. Nie mogłem zrobić nic innego, tylko przyjąć jego zaproszenie. Młody ekwita łatwo może stracić wszelki autorytet u centuriona, a nie miałem ochoty, aby mnie zawstydził wobec tych wszystkich żołnierzy.

Poszedłem więc do jego pokoju, woniejącego skórą i środkami do czyszczenia metalu. Chciał nalać mi wina z glinianej amfory, ale odmówiłem; tłumaczyłem, że złożyłem ślubowanie, piję wyłącznie wodę, a jem tylko warzywa. Patrzył na mnie ze zdziwieniem i rzekł:

- Koryntu nie można traktować jako miejsca zesłania! Musisz mieć znakomite pochodzenie, skoro za jakiegoś skandalicznego sprawki w Rzymie odkomenderowano cię za karę tutaj.

Bez skrzepowania drapał się po brodzie, aż zarost chrzęścił, ziewał od ucha do ucha i żłopał wino. Na mój rozkaz przyniósł rulon notatek kancelisty Rubriusza, wyjaśniając:

- W mieście mamy tylko punkty wartownicze na dziedzińcu rezydencji prokonsula i przy głównej bramie. W portach, to znaczy w Kenchrze i w Likejonie, trzymamy warty stałe. Pełniący je żołnierze mają tam swoje kwatery, więc nie muszą biegać w tę i nazad między koszarami a portem. W sumie na garnizon Koryntu składa się kohorta piechoty, a oprócz tego technicy, zaopatrzeniowcy i inni fachowcy. Gdyby wybuchła wojna, możemy stanowić samodzielną jednostkę.

Spytałem o konnicę. Centurion odpowiedział:

- Obecnie nie mamy ani jednego jeźdźca. Wprawdzie jest kilka koni na potrzeby dowódcy i namiestnika, ale oni najchętniej korzystają z lektyk. Oczywiście będziesz mógł wybrać sobie wierzchowca, jakiego zechcesz, jeśli nie potrafisz obejść się bez niego. W razie potrzeby korzystamy z

pomocy miejskiego oddziału konnicy.

Spytałem o obsługę urzędzeń, harmonogram zajęć i program ćwiczeń; centurion spojrział na mnie ze zdziwieniem i zaproponował:

- Może raczej porozmawiaj o tych sprawach z Rubriuszem. Jestem tylko jego podwładnym!

Dla zabicia czasu skontrolowałem zaśmiecone i zasnute pajęczyną sale sypialne, arsenał broni i ołtarz. Nie było na nim orła, tylko tradycyjny symbol wojenny kohorty, ozdobiony pióropuszem i pamiątkową tablicą. Inspekcja wprawiła mnie w zdumienie i przerażenie.

- Na Herkulesa i duchy opiekuńcze cesarza! - krzyknąłem. - Gdzie są wszyscy żołnierze? Jak myślisz, co by było, gdyby nagle zatrąbiono do boju?!

- Zapytaj o to mojego przełożonego, Rubriusza! - odburknął ze złością znudzony centurion.

Koło południa Rubriusz wreszcie wezwał mnie przed swoje oblicze. Był zupełnie łysy, gębę miał spuchniętą, cerę pokrytą popękkanymi żyłkami i sinawe wargi; przy chodzeniu powłóczył lewą nogą. Kwatera dowódcy była pięknie urządzona w greckim stylu, obsługiwały co najmniej trzy młode kobiety. Rubriusz przyjął mnie serdecznie; ziejąc w twarz odorem przetrawionego wina zapraszał, bym bez żadnych ceregieli siadał i czuł się jak u siebie w domu.

- Na pewno jesteś zdumiony luzem, w jakim żyjemy w Koryncie - powiedział. - To bardzo dobrze, że młody rycerz przyjeżdża robić ruch w interesie. Naprawdę masz prawo do odznaki trybuna wojskowego? Aha, zdobyłeś ją w Brytanii! No tak, rozumiem. To jest odznaka honorowa, a nie symbol władzy!

Poprosiłem go o instrukcje służbowe, co wprawiło go w zakłopotanie. Po wielokrotnych westchnieniach wyjaśnił:

- Tu, w Koryncie, nie ma potrzeby utrzymywania gotowości bojowej. Rajcowie i mieszkańcy miasta mogliby to przyjąć za obrazę. Wielu żołnierzy się pozeniło. Pozwoliłem im mieszkać z rodzinami i zająć się handlem lub rzemiosłem. Od czasu do czasu, szczególnie w dni oficjalnych świąt państwowych, robimy paradę. Ale tylko tutaj, w obrębie murów, żeby nie wzbudzić w mieście zbytnej sensacji.

Ośmieliłem się gniewnie wtrącić, że żołnierze, których widziałem, są niemrawi i niezdiscyplinowani, w arsenale broń i tarcze pokrywa gruba warstwa kurzu, a kwatery żołnierzy są po prostu brudne, na co spokojnie odpowiedział:

- Bardzo możliwe. Dawno nie robiłem inspekcji żołnierskiej części obozu. Życie towarzyskie w Koryncie wiele wymaga od mężczyzny w moim wieku. Na szczęście mam godnego zaufania centuriona. On odpowiada za wszystko. Jego pytaj, jeśli czegoś nie będziesz wiedział. Biorąc rzecz formalnie, ty powinieneś być moim najbliższym podwładnym, ale on by się poczuł dotknięty, gdybym go odsunął. Uzgodnijcie między sobą takie wykonywanie obowiązków, żeby jeden na drugiego niepotrzebnie się nie skarżył. Dość w życiu miałem przykrości! Teraz pragnę tylko spokojnie doczekać zakończenia służby. Niewiele już lat pozostało! - Spojrział na mnie niespodziewanie ostro i jakby w roztarg-

nieniu dodał: - Chyba ci wiadomo, że moja siostra, Rubria, jest przełożoną westalek?

Udzielił mi także życzliwych porad:

- Zawsze pamiętaj, że Korynt jest miastem greckim, choć nie brak przybyszów z obcych krajów. Tutaj zasługi wojskowe się nie liczą. Dużo ważniejsza jest umiejętność współżycia towarzyskiego. Najpierw dobrze się rozejrzyj, a potem ułóż sobie wygodny rozkład dnia. Tylko nie forsuj zbyt wiele moich żołnierzy!

Z tą przestrogą wyszedłem. Na dziedzińcu spotkałem centuriona; spojrzął na mnie z ukosa i zapytał:

- Wyjaśniliście sobie sprawy?

Dwóch legionistów przechodziło właśnie przez bramę. Nieśli tarcze na plecach i włócznie na ramionach. Centurion spokojnie powiedział, że żołnierze idą na zmianę warty. Najpierw oniemiałem, po chwili zaś wrzasnąłem:

- Przecież nikt ich nie sprawdzał! Tak ich puszczacie, z brudnymi nogami, długimi włosami, bez podoficera i eskorty?!

- My tu w Koryncie nie mamy zwyczaju robić paradnej zmiany warty. Ty też powinieneś zrezygnować z grzywiastego hełmu i przyjąć obyczaje tego kraju!

Wezwałem żołnierzy i kazałem posprzątać koszary, oczyścić broń, zgolić brody, obciąć włosy i w ogóle upodobnić się do Rzymian. Oświadczyłem, że nazajutrz rano po wschodzie słońca dokonam przeglądu ekwipunku. Na wszelki wypadek kazałem także wyszorować karcer i przygotować świeże różgi. Centurion nic nie mówił. Doświadczeni żołnierze spoglądali ze zdumieniem to na mnie, to na jego surowo zmarszczoną twarz, ale doszli do wniosku, że lepiej zamknąć gęby na kłódki. Ja zaś skorzystałem z udzielonych mi rad o tyle, że po powrocie do zajazdu powiesiłem na kołku swój reprezentacyjny strój; postanowiłem, że jutro założę zwykły skórzany kubrak, a na głowę okrągły hełm ćwiczebny.

Hieraks kazał ugotować dla mnie kapusty i fasoli. Po posiłku napiłem się wody i wyciągnąłem w swoim pokoju na łóżku. Byłem w tak ponurym nastroju, że nie miałem najmniejszej ochoty na zwiedzanie miasta.

O świcie następnego dnia wróciłem do koszar. Coś tu się jednak zmieniło. Wartownicy przy bramie trzymali włócznie w rękach; na mój widok wyprężyli się i wznieśli okrzyk powitalny. Centurion w pełnym ekwipunku przygotowywał się do ćwiczeń polowych i ochryplym głosem zwoływał zaspanych maruderów do kąpieli w basenie. Fryzjer miał pełne ręce roboty. Przed okopconym ołtarzem paliło się trzaskające ognisko i w ogóle z koszarowego dziedzińca czuć było zdrowy żołnierski pot, a nie chlew świński.

- Wybacz, że nie odtrąbiliśmy twego powitania - zakpił centurion - ale Rubriusz jest rano bardzo wrażliwy na hałasy. Przejmij komendę, ja sobie popatrzę z boku. Żołnierze z niecierpliwością oczekują, że złożysz ofiary bogom. Chyba im nie pożałujesz dwóch świń, jeśli uznasz, że byk jest za drogi.

Tak byłem wychowywany, że nie miałem dużego doświadczenia w składaniu ofiar. Nie chciałem też narazić się na pośmiewisko przy zabijaniu

kwiczących wieprzków.

- Za wcześnie na ofiary! - zawołałem. - Muszę wpierw zobaczyć, czy w ogóle warto tu zostać? A może zrezygnuję z dowodzenia?

Rozpoczęliśmy ćwiczenia w szyku zwartym. Rychło zorientowałem się, że bardzo nieliczna grupa dobrze rozumie komendy i potrafi, jeśli tylko chce, maszerować z werwą. Większość żołnierzy fatalnie sapała w czasie marszu biegiem, ale w szyku bojowym potrafili jednak rzucać włócznią - no, powiedzmy w pobliżu wypchanego słomą worka. W czasie ćwiczeń na tępe miecze ujawniło się kilku bardzo zdolnych szermierzy. Spocony centurion zaproponował:

- Może daj komendę „spocznij” i pochwal się swoimi umiejętnościami szermierzymi. Wprawdzie jestem już stary i otyły, ale chętnie ci zademonstruję, jak posługujemy się mieczem w Panonii. Bo właśnie w Panonii, w Karnuntum otrzymałem łaskę centuriona.

Ku mojemu zaskoczeniu miałem z nim sporo kłopotów! Prawdopodobnie udałoby mu się przyprzeć mnie tarczą do muru, ale się zasapał. Zawstydzilem się swojego zadufania, gdy uświadomiłem sobie, że wszyscy ci ludzie są ode mnie dużo starsi i służą w wojsku co najmniej dwadzieścia lat dłużej niż ja. Wszyscy też mieli jakąś rangę wojskową. Przecież w przeciętnym legionie jest prawie siedemdziesiąt różnych grup uposażeń plus dodatki za gorliwość w służbie.

Postanowiłem dogadać się z centurionem, więc zaproponowałem:

- Jestem gotów ofiarować byka, kupię też w twoim imieniu dorodnego barana, abyś go złożył w ofierze. Najstarszy z weteranów może ofiarować wieprzka. W ten sposób zapewnimy sobie wybór dobrego mięsa. Nie chcę, żeby ktokolwiek czuł do mnie żal z powodu słabej znajomości musztry!

- Natychmiast poślę na targ najlepszych znawców, aby wybrali godne sztuki na ofiary! - zawołał udobruchany. - Wina chyba też postawisz?!

- Może lepiej by było powiesić mięso w przewiewnym miejscu do jutra? Przecież trzeba zaprosić wszystkich żołnierzy legionu!

- Rubriusz się na to nie zgodzi! - odrzekł centurion bez namysłu. - Nie ma przecież jutro żadnego święta państwowego. Jeśli chcesz poznać wszystkich żołnierzy, to chętnie zaprowadzę cię do nich jutro. Dzisiaj zaś nikt nie odmówi świeżej pieczeni. Jesteśmy przecież legionistami!

Po południu wrócili z targu delegowani tam żołnierze. Zdziwiony byłem widząc, jak ciągną potężnego byka, któremu przysłonili oczy, a nogi spętali linami. Wiedli także barana - też w przepasce na ślepiach. Na wozie prowiantowym przywieźli w drewnianej skrzyni świniaka. Z niepokojem myślałem, ile też mnie to wszystko będzie kosztowało, ale w chwilę później już nie miałem czasu myśleć o niczym innym, jak tylko o ratowaniu własnej skóry.

Żołnierze bowiem zamknęli bramę, rozpętali byka i barana, a świniaka wypuścili ze skrzyni. Przerażliwie kwiczący wieprzek zaczął ganiać po dziedzińcu. Byk uniósł ogon i runął prosto na mur. Rozzłoszczony baran beczał przeraźliwie, a żołnierze w panice szukali ratunku w zabudowaniach bądź na okalającym murze. Na domiar Rubriusz wyszedł przed drzwi swojej kwatery i jał się wydzierać na cały głos:

- Bądź przeklęty, Minutusie Manilianusie! Co za demony tobą kierują,

że burzysz mój spokój?! Przecież jeszcze nie czas na saturnalia!

Najodważniejsi żołnierze skoczyli ratować wozy, gdyż obawiali się, że rozjuszony byk rozwali gliniane amfory z winem. Jakiś dowcipny legionista ciągnął byka za ogon; ponoć chciał go w ten sposób uspokoić. Centurion popatrzył na mnie i oświadczył:

- Zwierzę ofiarne nie może mieć wad, ale na ofiarę musi iść potulnie. Ciekaw jestem, jak założysz bykowi wieniec na głowę i zaprowadzisz go przed ołtarz ofiarny? Pamiętaj, że złe znaki będą dla nas wszystkich złą wróżbą!

- Lepiej martw się o swego barana, bo żołnierze już ostrzą noże, żeby zakłuć swojego prosiaka! - zawołałem ze śmiechem.

Z wieńcem w ręku zbliżyłem się do byka. Przemawiałem do niego łagodnie w imię Jupitera Kapitońskiego. Byk rył ziemię kopytami, aż tuman kurzu się unosił, i opuścił w dół rogaty łeb. Ledwo zdołałem uskoczyć z bok, kiedy mnie zaatakował. Rogi miał niewątpliwie duże, wyrosnięte, wygięte w symetryczne łuki! Piękny okaz ofiarnego zwierzęcia, ale wolałbym nie oglądać tych rogów z bliska. Jakimś cudem udało mi się zarzucić wianek na rogi byka, ale właśnie wtedy potrzęsnał on łbem, więc wieniec zawisnął na jednym rogu i przesłonił mu lewe ślepie, co jeszcze bardziej go rozzłościło. Zrozumiałem, że legionieści zrobili mi szpetny kawał, ale przecież w grę wchodził mój honor! Złapałem z kuźni ogromny młot kowalski. Uskakując jak zając przed atakiem byka, usiłowałem skierować go bodaj w pobliże ołtarza. Udało się; podskoczyłem z lewej strony i młotem uderzyłem w nasadę łba, aż zwierzę się zakołysało, przechyliło i zważyło na kolana, ryjąc kopytami. Wołałem żołnierzy, aby mi pomogli, ale jakby ogłuchli. Ogarnięty ślepą wściekłością zmiażdżyłem młotem czoło byka, chwyciłem topór ofiarny i zadałem mu cios w gardło, aż krew trysnęła z tętnic. Tym samym toporem rozplątałem mu brzuch i wyciągnąłem wątrobę.

Niezbyt pewnym głosem wyrecytowałem z pamięci modły ofiarne do boga wojny i uniosłem wysoko wątrobę byka, aby wszyscy zobaczyli, że nie ma na niej skazy. Wtedy nadeszła pomoc. Żołnierze w mgnieniu oka odarli zwierzę ze skóry i pocięli na kawałki. Kości goleniowe i wnętrzności wrzucili w płonący przed ołtarzem ogień. Tymczasem centurion złapał barana za rogi i skręcił mu kark, a żołnierze zakłuli przerażonego zapachem krwi świniaka, który ze strachu przestał kwiczeć. Od stóp do głowy zakrwawiony jak rzeźnik musiałem stanowić przerażające widowisko, gdy donośnym rykiem przyzywałem Jupitera, Marsa i Herkulesa, aby rozdzielili między sobą ofiary łaskawie i sprawiedliwie, czyli tak, jak będą uważali za najlepsze.

Rubriusz uspokoił się, tudzież z werwą zapewniał, że nigdy, nawet w czasie bitwy nie widział tylu krwawych ofiar i że na przyszłość wolałby ich nie oglądać. Pozwolił swoim służebnym kobietom wziąć udział w ćwiartowaniu mięsa i udzielał im wskazówek co do przyprawiania go ziołami w czasie duszenia w glinianych naczyniach. Kucharz szybko przygotowywał gary, a ja osobiście dorzucałem dREW do ofiarnego ogniska, aby nadmiar zwierzęcych flaków nie zdusił płomieni.

Nie mogłem odmówić udziału w uczcie. Żołnierze prześcigali się w

wyszukiwaniu dla mnie najlepszych kęsów. Musiałem także pić wino. Po męczącym dniu już samo mięso mnie zmogło, a wino natychmiast podcięło mi nogi, bo nie piłem go od dawna. Po zmroku na dziedziniec wślizgnęły się kobiety wiadomej profesji; były wśród nich nawet młode i pełne wdzięku dziewczyny. To przypomniało mi własne przypadłości. Gorzko zapłakałem i jałem przekonywać centuriona, że nie można ufać żadnej kobiecie na świecie, bo każda jest tylko fałszem i zdradą. Majaczy mi jeszcze w pamięci, że żołnierze obnosili mnie na ramionach wokół dziedzińca na postumencie posągu boga wojny i śpiewali na moją cześć stare i sprośne legionowe pieśni. Nie wiem, co było dalej.

Obudziłem się w czasie ostatniej warty nocnej; leżałem na twardej drewnianej ławie. Chwyciły mnie torsje. Trzymając się oburącz za głowę wybiegłem na dwór. Żołnierze leżeli na dziedzińcu, jak i gdzie popadło. Czułem się podle, a gdy spróbowałem spojrzeć do góry, gwiazdy na porannym niebie tańczyły mi w oczach. Poszedłem się choć trochę umyć. Tak potwornie wstydziłem się swego zachowania, że gdyby wieczorem nie zabrano nam broni, chyba rzuciłbym się na własny miecz.

Długo błąkałem się po ulicach Koryntu, oświetlonych dogorywającymi pochodniami lub smołą w glinianych naczyniach, w końcu jednak znalazłem mój zajazd. Hieraks oczekiwał mnie z niepokojem, a gdy zobaczył, w jak opłakanym stanie się znajduję, rozebrał mnie, wytarł wilgotnym ręcznikiem, napoił czymś gorzkim i położył do łóżka, okrywając wełnianym kocem. Obudziłem się, przeklinając dzień swych narodzin, a on ostrożnie nakarmił mnie żółtkiem, rozbełtanym w winie, a później podał pyszną potrawę z siekanego mięsa, którą wrzuciłem do wyposzczonego brzucha, zanim zdążyłem sobie przypomnieć o swym ślubowaniu.

- Dziękuję wszystkim znanym i nieznanym bogom - przemówił Hieraks, wzdychając z ulgą - przede wszystkim bogini Szczęścia! Martwiłem się już o ciebie, bałem się, że rozum ci się miesza! Nie jest przecież rzeczą normalną, żeby młodzieniec w twoim wieku i o twojej pozycji patrzył na świat z tak ponurą miną, jadł tylko kapustę i popijał ją czystą wodą! Ciężar spadł mi z serca, gdy zobaczyłem cię śmierdzącego winem i obrzyganego, bo to oznacza, że ulegasz człowieczym słabościom.

- Obawiam się, że po wsze czasy jestem zhańbiony w oczach mieszkańców Koryntu! - odparłem z żalością. - Jak przez mgłę pamiętam, że współzawodnicząc z legionistami tańczyłem grecki taniec kozłów! Jeśli prokonsul Gallio dowie się o tym, to podejrzewam, że odwrotną pocztą wręczą mi zawiadomienie, że wobec utraconej reputacji nadaję się jedynie na marnego kancelistę albo pośledniego obrońcę w Rzymie.

Hieraks skłonił mnie do odbycia spaceru po szerokich ulicach miasta; zapewniał, że taka piesza wędrówka dobrze mi zrobi. Razem oglądaliśmy zabytki Koryntu: zbutwiały dziób statku Argo w świątyni Neptuna, źródelko Pegaza i ślad jego kopyta odcisnięty w skale. Mój sługa próbował też namówić mnie do wdrapania się na stromą górę, gdzie wznosi się słynna świątynia Wenus, ale zostało mi jeszcze w głowie dość rozsądku, by mu stanowczo odmówić.

Za to poszliśmy obejrzeć inną sławną niezwykłość Koryntu: drewniany,

obficie natłuszczony tor, po którym niewolnicy przeciągali nawet duże statki z Kenchry do Likejonu lub w drugą stronę. Wydawać się mogło, że taka praca wymaga olbrzymiej liczby niewolników, a także wielu śmigających batami dozorców. Tymczasem greccy armatorzy tak znakomicie zorganizowali to całe przedsięwzięcie za pomocą bloków i podnośników, że patrzący odnosił wrażenie, jakby statki same pędziły po drewnianym torze. Jeden z greckich majtków, który zauważył nasze zainteresowanie, zaklinał się na imiona nereid, że przy pomyślnym wietrze żagle statków rozwijają się. Byłem skłonny uwierzyć mu, ale Hieraks doradził mi zachowanie większego dystansu wobec opowieści Greka.

Po zachodzie słońca mój sługa zaprowadził mnie do sympatycznej knajpy, z tarasu której roztaczał się wspaniały widok na miasto, purpurowe morze i siniejące góry. Sam zamówił posiłek, nie pytając mnie o zdanie. Pozwoliłem mu jeść razem ze mną; przecież nie mogłem przed nim chełpić się własnym dostojenstwem! Znowu zjadłem jakieś mięso i wypilem nieco orzeźwiającego wina przyprawionego żywicą. Poczulem się dużo lepiej, a i moje kłopoty jakby zmały. Hieraks opowiadał o różnych swoich przeżyciach, wielokrotnie doprowadzając mnie do śmiechu.

Mimo to następnego dnia po przyjeździe do koszar odczuwałem spore zakłopotanie. Na szczęście wszystkie ślady orgii były uprzątnięte, wartownicy w należytej postawie stali na właściwych miejscach, a obozowy porządek dnia przebiegał bez najmniejszych zakłóceń.

- Jesteś jeszcze młody i niedoświadczony - oświadczył centurion. - Nie ma sensu podjudzanie pokrytych bliznami żołnierzy do bitek między sobą ani do ryczenia po nocach w pijanym widzie. Mam nadzieję, że to był ostatni taki przypadek! Nie dawaj się ponosić wrodzonemu rzymskiemu barbarzyństwu! Próbuj naśladować delikatniejsze obyczaje Koryntu!

Zgodnie z wcześniejszą obietnicą poszedł ze mną, abym mógł poznać źródła utrzymania oraz profesje i miejsca pracy legionistów. Byli oni kowalami, garbarzami, tkaczami, nawet garncarzami. Inni przez wieloletnią służbę uzyskiwali obywatelstwo rzymskie, a wykorzystując je żenili się z córkami bogatych kupców. W ten sposób zyskiwali przywileje i gwarancje prowadzenia komfortowego życia. Ich ekwipunek żołnierski dawno zjadły szczury, ostrza włóczni przeżarła rdza, a tarcze nikt od lat nie czyścił. Niektórzy w ogóle nie wiedzieli, gdzie jest ich broń!

Wszędzie przyjmowano nas gościnnie, częstowano jadłem i winem, a nawet usiłowano wciskać w garść srebrne monety. Pewien trudniący się handlem wonnościami legionista, który zgubił tarczę, usiłował wepchnąć za mną do pokoju młodą ładacznice. Zwymyślałem go, on zaś powiedział z goryczą:

- Dobrze, masz władzę i możesz mnie ukarać. Ale przecież tyle płacimy Rubriuszowi za prawo wykonywania wolnego zawodu, że nie mam już czym wypełnić twojej sakiewki!

Dopiero wtedy przejrzałem na oczy! Zapewniłem go szybko, że wcale nie usiłuję wycisnąć z niego łapówki, natomiast mam obowiązek sprawdzenia, czy wpisani na listę kohorty żołnierze są zdolni do noszenia broni i czy dbają o swój ekwipunek. Handlarz rozpogodził się i obiecał, że najszybciej jak to możliwe kupi na targu staroci nową tarczę i że będzie

brał udział w ćwiczeniach wojskowych, aby nabrać tężyzny.

Doszedłem do wniosku, że skoro siostra Rubriusza pełni w Rzymie funkcje kapłanki Westy, to lepiej nie wtrącać się w jego interesy. Dobrych rad udzielił mi także centurion:

- We wszystkim najlepszy jest umiar. W interesie Rzymu leży, aby nie przejawiać nadgorliwości w sprawach wojskowych. W Koryncie stacjonuje zaledwie dziesiąta część legionu. Nie mamy orła ani nawet numeracji. Jesteśmy tylko jednostką wydzieloną, choć tradycje naszego obozu sięgają czasów Sulli i Pompejusza. W czasie służby każdy musi zatroszczyć się o swoją przyszłość, nie ma tu dość ziemi, którą można by przydzielić weteranom. Zresztą ludzi przywykłych do Koryntu przeraża sama myśl, że musieliby uprawiać dziewicze tereny, leżące gdzieś daleko od wielkomijskich wygód.

Odeszła mi całkowicie ochota mieszania się do spraw, które nie należały do mnie.

Centurion był zgodnym człowiekiem. Ustaliliśmy program ćwiczeń, które przynajmniej pozornie zapewniłyby załodze utrzymanie kondycji fizycznej. Przeprowadziliśmy przegląd działających posterunków wartowniczych i uzgodniliśmy, że zmiany warty będą przeprowadzane zgodnie z ruchem zegara słonecznego i wodnego. Wartownikowi nie wolno odtąd było leżeć ani siedzieć i musiał utrzymywać swój ekwipunek w jak najlepszym stanie. Wprawdzie nie rozumiałem, czego strzegą wartownicy przy bramie wjazdowej do miasta, ale centurion oświadczył, że posterunek ten istnieje od lat i nie można go znieść. Mieszkańcy Koryntu uznaliby to za obrazę, przecież płacąc podatki łożą na utrzymanie rzymskiego garnizonu.

Uważałem, że dobrze spełniam obowiązki trybuna wojskowego w Koryncie. Legioniści wkrótce wyzbyli się uprzedzeń wobec mnie i wesoło mnie witali. W dzień rozpatrywania spraw sądowych przez prokonsula stawilem się przed nim ubrany w togę. Grecki kancelista wstępnie zreferował mające się odbyć sprawy, a Gallio ziewając pozwolił wynieść swoje sędziowskie krzesło między kolumny portyku, gdzie wznosiło się podium pretora.

Gallio jako sędzia okazywał dobroduszość i poczucie sprawiedliwości. Pytał o zdanie innych sędziów, żartował, kiedy była ku temu okazja, sam dokładnie przesłuchiwał świadków i odraczał każdą sprawę, jeśli jego zdaniem wystąpienia obrońcy i świadków nie dały wystarczających wyjaśnień. Przy rozpatrywaniu spraw błahych wcale nie wydawał wyroków, tylko żądał, aby strony doszły do porozumienia i zgody pod groźbą ukarania obydwu stron za lekceważenie sądu. Po rozprawie zaprosił mnie na obiad, w czasie którego mówił wiele o brązach korynckich, których kolekcjonowanie było obecnie w Rzymie bardzo modne.

- Kocham piękne przedmioty i chętnie gromadzę je wokół siebie - opowiadał. - Oryginalne stuletnie naczynie brązowe, pokryte płaskorzeźbami, może być niezrównanym dziełem sztuki i mieć większą wartość niż pieniądze. Ale kolekcjonowanie nie powinno być celem samym w sobie. W tym przypadku zgadzam się z poglądem mego brata. Bogaty próżniak może poświęcać takim rzeczom swój czas, bo przecież

bywa, że zajmuje się znacznie gorszymi zajęciami. Człowieka mierzy się jego czynami! Dlatego budowa w ubogiej dzielnicy wodociągu, aby zapobiec chorobom, budowa mostu czy choćby ofiarowanie ludowi dobrego przedstawienia, jest moim zdaniem o wiele cenniejsze, niż stworzona z pazerności kolekcja brązów.

Po obiedzie zaprowadził mnie do swojej biblioteki, pokazał rzadko spotykane egzemplarze książek i szczerze zapraszał do korzystania z tego księgozbioru. Mogłem czytać, co tylko zapragnę, aby w ten sposób poznać dzieje panowania rzymskiego w prowincji i zrozumieć tradycje tych rządów.

- Samo czytanie lub słuchanie filozofów nie jest pełnią życia - powiedział Gallio. - Młodość nie będzie trwała wiecznie. Każdy człowiek dożywa takiej chwili, w której żałuje utraconych szans. Nie należy jednak bez umiaru korzystać z uciech Koryntu. Absurdalne są też ofiary, składane bogu wojny. Przecież w całych Achajach Ares nie ma już ani jednej świątyni! A Afrodyta skłania swoje uroczę muszelkowate uszka w kierunku zamożnych armatorów!

Domyśliłem się, że wie o kawale, jaki mi splatali żołnierze w koszarach, ale doszedłem do wniosku, że lepiej się nie tłumaczyć. Wróciłem do zajazdu przybity jałową mądrością Galliona i szarzyzną rozpraw sądowych.

- Na pewno stać cię na życie według własnego widzimisię - oświadczył Hieraks. - Mieszkanie w zajeździe przez cały rok jest głupim marnotrawstwem! Korynt to miasto sukcesu! Dużo mądrzej ulokowałbyś swoje pieniądze, gdybyś kupił własny dom z ogrodem i przy mojej pomocy wygodnie się urządził. Jeśli brak ci gotówki, na pewno możesz pożyczyć ile zechcesz od namiestnika Rzymu.

- Domy wymagają stałych remontów - wykręcałem się. - Ze służbą są tylko kłopoty. Jako właściciel nieruchomości muszę płacić podatki. Po co mam ściągać sobie na głowę zmartwienia? Dużo prościej będzie przenieść się do tańszego zajazdu, jeśli uważasz, że tutaj zdzierają ze mnie skórę.

- Jestem twoim niewolnikiem także po to, aby uwalniać cię od wszelkich trosk dnia powszedniego. Daj mi tylko pełnomocnictwo, a wszystko zorganizuję jak należy. Do ciebie będzie należało jedynie złożenie podpisu w księgach notarialnych w świątyni Merkuriusza. We własnym domu będziesz mógł się odwzajemniać gościna za gościna. Zastanów się, ile kosztuje w zajeździe obiad na sześć osób z winem? A w domu sam będę robił zakupy na targowisku, wino do piwnicy zakupię po cenach hurtowych, no i odpowiednio pouczę kucharza. Przestanieś też żyć na cenzurowanym; teraz każdy postronny może jak sęp obserwować, gdzie sikasz albo jak nos wycierasz.

Była to roztropna propozycja. Po kilku dniach stałem się właścicielem dość dużego, piętrowego domku z ogrodem. Salon posiadał piękną posadzkę mozaikową, a pokoi - jak na moje potrzeby - było aż za dużo. Okazało się, że mam również kucharkę i odźwiernego Greka. Dom był wyposażony w stare wygodne meble, więc nie kłuło w oczy nowobogactwo. Nawet greckie duchy opiekuńcze, okopcone i namaszczone oliwą pozostały na swoich miejscach w ołtarzykach po obu stronach wnęki ściennej. Hieraks miał jeszcze ochotę na zakupienie z jakiejś licytacji

woskowych portretów przodków, ale nie chciałem sobie fundować obcych praszczurów.

Pierwsze przyjęcie urządziłem dla Rubriusza, nadcenturiona i greckiego prawnika prokonsula. Hieraks wynajął mistrza ceremonii i dobrą tancerkę oraz flecistę, którzy zapewнили nam lekki program rozrywkowy. Potrawy były doskonałe. Goście na lekkim rauszu wyszli koło północy. Później się okazało, że kazali się zanieść w lektykach do najbliższego domu publicznego: przysłano mi stamtąd słony rachunek. W ten sposób pouczono mnie o obyczajach lokalnych: byłem kawalerem, więc powinienem każdemu gościowi zapewnić towarzyszkę ze świątyni Wenus. Po- stanowiłem jednak, że nie przejmę tego obyczaju.

Na dobre zadomowiłem się w mojej posiadłości, zaś czas spędzałem na studiowaniu protokołów ze skomplikowanych spraw sądowych, które prowadził Gallio. W jakimś - jego zdaniem stosownym - momencie Hieraks powiedział:

- Młody kawaler, który posiada własny dom, powinien rozsądnie rozejrzeć się za dobrze ubraną, zadbaną i muzykalną przyjaciółką. Wartość takiej dziewczyny podnosi znaczenie młodzieńca, a mądra kobieta potrafi rozwijać człowieka nie tylko w łóżku. Mieszkańcy Koryntu mogą pomyśleć, że zajmuje cię twoja płeć, bo Grecy są skłonni do takich przywar.

- Hieraksie! - zawołałem. - Czy nikt na tym świecie nie jest w stanie myśleć dobrze o mężczyźnie, który z własnej woli nie pragnie kobiety i stara się żyć cnotliwie?

- Nie - odparł zdecydowanie Hieraks po chwili głębokiego namysłu. - Przynajmniej tutaj, w Koryncie, nikt dobrze nie pomyśli o takim mężczyźnie. Ludzie będą podejrzewać, że skrywa inne skłonności. - I pospieszył dodać, bo zauważył gniew na mej twarzy: - Oczywiście, jest w mieście kilku pitagorejczyków i uczniów Apolloniusza z Tiany, ale ci zalecający ascezę filozofowie dawno przeżyli swój najlepszy wiek i teraz mają słabe żołądki.

- Hieraksie! Jeśli powiesz jeszcze słowo na ten temat albo spróbujesz wpakować mi do łóżka jakąś wyrozumiałą przyjaciółkę, gdy będę pijany, wtedy powieszę cię za kciuki i każę odźwiernemu wymierzyć ci chłostę! Nie mam litości, gdy obraża się moje dobre intencje!

Hieraks konsekwentnie, krok za krokiem, kształtował mnie na takiego pana, który odpowiadałby jego upodobaniom.

I znowu nadszedł dzień rozpraw sądowych. Zaledwie Gallio, jeszcze trochę odczuwający skutki wczorajszej uczty, zdołał zasiąść na sędziowskim fotelu i ładnie udrapować togę wokół kolan, kiedy stugłowy tłum Żydów wpakował się na dziedziniec, wlokąc za sobą dwóch mężczyzn, sądząc po strojach - także Żydów. Zgodnie z obyczajem tego narodu oskarżenia wykrzykiwało jednocześnie wiele osób, aż Gallio, który przez chwilę się uśmiechał, krzyknął ostro, aby jeden mówił za wszystkich. Przez moment naradzali się nad sprecyzowaniem oskarżenia i wreszcie jeden wystąpił do przodu:

- Ten człowiek namawia ludzi, aby czcili Boga niezgodnie z prawem!

Pomyślałem z przerażeniem, że nawet tutaj mogę być wmieszany w żydowskie awantury, a przecież jestem członkiem składu sędziowskiego!

Zapatrzyłem się w płomienne źrenice łysiejącego mężczyzny z wielką brodą, który nawet w charakterze oskarżonego zachowywał się z godnością i szczerze zaciskał wokół siebie zniszczoną oponę z koziej skóry. Jak przez sen przypomniałem sobie, że widziałem go wiele lat temu, w domu mego ojca w Antiochii. Przestraszyłem się jeszcze bardziej, bo za jego przyczyną wybuchły wówczas w Antiochii takie konflikty, że nawet ci Żydzi, którzy uznali Chrystusa, bardzo chętnie pozbyli się go, aby rozbijać jedność ich narodu w innych miejscach.

Mężczyzna otworzył już usta, aby zacząć mówić, ale Gallio, który odgadł, na co się zanoszą, nakazał mu milczenie i zwrócił się do Żydów:

- Gdyby chodziło o jakieś przestępstwo albo zły uczynek, zająłbym się wami jak należy. Lecz skoro spór toczy się o słowa, nazwy i o wasze prawo, sami musicie go rozwiązać. Nie chcę być sędzią w takich sprawach!

Rozkazał Żydom, aby odeszli, odwrócił się ku nam i wyjaśnił:

- Gdybym dał Żydom choćby mały palec, już bym się od nich nie uwolnił.

Żydzi nie zadowolili się orzeczeniem Galliona. Naradzili się między sobą i na naszych oczach rzucili się na przewodniczącego synagogi i mocno go poturbowali. Oskarżonego nie ośmielili się bić, ponieważ był obywatelem rzymskim. Ale Gallio i teraz nie zareagował. Odwrócił się do nas ze śmiechem:

- Na własne oczy możecie się przekonać, jak - dzięki rzymskim przywilejom - Żydzi wypełniają swoje własne prawo. Możemy na to pozwalać, dopóki jeden drugiego nie zabije albo trwale nie uszkodzi ciała.

Żydzi zorientowali się wreszcie, że ich zachowanie wywołuje tylko śmiech Rzymian, więc poszli swoją drogą, wznosząc okrzyki i obelgi. Rubriusz zapytał:

- Czy nie warto pogonić ich drzewcami włóczni, żeby oduczyć wszczynania awantur przed sądem?!

- Po co dobrowolnie pchać rękę w gniazdo os? - stanowczo odradzi Gallio. - Zwróciliby wtedy swoją nienawiść przeciwko nam. Lepiej nic o nich nie wiedzieć. Jeszcze by doszło do tego, że musiałbym wyrzucić Żydów z Koryntu, a miasto nie może sobie pozwolić na taki uszczerbek w gospodarce!

Po rozprawie prokonsul zaprosił nas na obiad, ale był roztargniony i zajęty swoimi myślami. Po obiedzie zawołał mnie na bok i w zaufaniu wyjaśnił:

- Znam dobrze mężczyznę, którego dziś oskarżono. Mieszkał przez rok w Koryncie, wiódł wtedy nienaganne życie, utrzymując się z szycia namiotów. Nazywa się teraz Paweł. Podobno przejął imię poprzedniego prokonsula Cypru, Pawła Sergiusza, żeby ukryć własną przeszłość. Jego nauczanie wywarło na Sergiuszu głębokie wrażenie. Sergiusz nie jest prostakiem, prowadził badania astrologiczne, miał nawet własnego maga. Tak więc ten Paweł nie może być człowiekiem tuzinkowym. Gdy tak stanął śmiało przede mną, odniosłem wrażenie, że jego wzrok przenika mnie do głębi.

- To jest największy pieniacz ze wszystkich Żydów - powiedziałem - Już w Antiochii, kiedy byłem chłopcem, usiłowałem wpakować mego

dobrotliwego ojca w żydowskie awantury.

- Pewno byłeś jeszcze za młody, aby rozumieć jego nauki - zauważył delikatnie Gallio. - Przed przybyciem do Koryntu nauczał podobno w Atenach. Mieszkańcy Aten tłumnie go słuchali i obiecywali, że będą go słuchać w przyszłości. Chyba nie uważasz się za mądrzejszego od Ateńczyków? Zaprosiłbym go po kryjomu do swego domu, aby dokładnie poznać podstawy jego nauki, ale mógłbym w ten sposób wywołać plotki i obrazić bogatych Żydów. A przecież muszę być absolutnie bezstronny! O ile wiem, Paweł założył własną synagogę i korzystnie odróżnia się od innych Żydów tym, że się nie wywyższa i naucza wszystkich bez wyjątku, nawet Greków chętniej niż Żydów.

Gallio musiał wiele rozmyślać nad tymi sprawami, bo kontynuował: - W Rzymie nie uwierzyłem w tę głupią historię o zbiegłym niewolniku Chrestosie. W naszych czasach świat jest zupełnie pozbawiony głębszych idei. Nawet nie wspominam o bogach - przecież to tylko bajeczki, wymyślane dla uciechy prostaczków. Ale i mądrość nie czyni człowieka dobrym ani nie przynosi mu prawdziwego spokoju ducha - spójrz tylko na stoików i epikurejczyków! Może przed tym ubogim Żydem naprawdę odkryła się jakaś boska tajemnica? Bo niby dlaczego jego nauczanie stało się powodem takich nieprawdopodobnych konfliktów, gniewu i zawiści wśród Żydów?!

Nie będę dalej streszczał wypowiedzi skacowanego Galliona, powiem tylko, że na zakończenie wydał mi rozkaz:

- Idź i zbadaj nauczanie tego człowieka, Minutusie! Jesteś najlepszym kandydatem do takich zleceń, ponieważ znasz go od dawna i sporo wiesz o żydowskim Jehowie, prawie i zwyczajach tego ludu. Podobno twój ojciec służył w Antiochii z udanych inicjatyw rozjemczych w sprawach między Żydami a radą miasta.

Czułem, że wpadłem w potrzask. Gallio udawał, że nie słyszy moich kontrargumentów.

- Przewycięż swoje uprzedzenia - zażądał. - Poszukujący prawdy musi być na tyle otwarty, na ile nie przeszkodzą temu obowiązki, wynikające z pełnienia funkcji administracyjnej. Jesteś wolny. Mógłbyś dużo głupiej spędzać czas, niżli badając mądrość nieszczęśliwego Żyda, który chce zbawić cały świat.

- A co będzie, jeśli ulegnę jego czarom?! - spytałem, ale Gallio nie uznał mojego pytania za godne odpowiedzi.

Rozkaz to rozkaz. Postanowiłem wykonać go najlepiej, jak potrafię. Prokonsul przede wszystkim pragnął zrozumieć zasady nauk tyle niebezpiecznych, co i wpływowych wicherzycieli. W dzień Saturna, odziany w zwykłe greckie szaty, odnalazłem przeto żydowską synagogę i wszedłem do budynku obok. Był to dom pewnego spokojnego kupca, który przekazał go Pawłowi na użytek jego wyznawców.

Górną salę zebrań wypełniali prości ludzie, w oczach których żarzyła się radość oczekiwania. Witali się ze sobą po przyjacielsku. Mnie także przywitano i nikt nie spytał o moje imię. Sądząc po odzieży, w tłumie przeważali rzemieślnicy, drobni kupcy i niewolnicy, choć trafiały się i starsze, przystrojone srebrnymi ozdobami kobiety. Żydów była tylko

niewielka garstka.

Paweł przybył w otoczeniu wielu uczniów. Obecni powitali go co najmniej jak wysłannika Boga, a kilka kobiet rozplakało się na sam jego widok. Mówił mocnym donośnym głosem, z ogromną wiarą i przekonaniem; wydawało się, że spoconą gromadę zebranych przenikło gorące tchnienie wiatru. Ten głos przyprawiał ludzi o dreszcz. Staralem się dokładnie słuchać i robić notatki na tabliczce woskowej: powoływał się na święte księgi żydowskie i cytując je udowadniał, że ukrzyżowany w Jeruzalem Jezus Nazarejski jest prawdziwym, zapowiedzianym przez proroków Mesjaszem, czyli Chrystusem.

Ciekawe, że zupełnie szczerze opowiadał o swej przeszłości. Był to niewątpliwie mąż znamienity; zapewniał, że studiował w swoim rodzinnym mieście, Tarsie, w znanej szkole filozoficznej, a potem w Jeruzalem pod kierunkiem znanych mistrzów. Był jeszcze młodzieńcem, gdy już wybrano go członkiem Najwyższej Rady Żydowskiej. Opowiadał, że był fanatykiem prawa żydowskiego i prześladował uczniów Jezusa. To właśnie on pilnował szat tych, którzy bezprawnie ukamienowali pierwszego członka gminy ubogich. On prześladował, chłostał i włókł przed sąd pielgrzymów nowej drogi i na własną prośbę otrzymał pełnomocnictwa do aresztowania tych zwolenników Nazarejczyka, którzy w obawie przed prześladowaniem uciekli do Damaszku.

I oto w drodze do Damaszku wokół Pawła rozblęskło tak niezmiernie światło, że oślepl. Wówczas objawił mu się sam Jezus. Od tego momentu stał się innym człowiekiem. W Damaszku niejaki Ananiasz, który już dawniej uznał Chrystusa, położył rękę na jego głowie i przywrócił mu wzrok. Nazarejczyk chciał mu pokazać, że wiele musi wycierpieć, aby mógł wyjaśniać i rozświetlać ludziom imię Jezusa.

I rzeczywiście cierpiał. Wielokrotnie otrzymywał chłostę. Raz go kamienowano i był bliski śmierci. Zapewniał, że nosi na swym ciele stygmaty śmierci Chrystusa. Słuchacze wszystko to już kilkakrotnie słyszeli, a mimo to słuchali nabożnie, wydając z siebie okrzyki radości.

Paweł kazał im rozejrzeć się wokół siebie i na własne oczy upewnić, że pośród nich jest niewielu mędrców, możnych czy szlachetnie urodzonych. Co wedle niego miało być dowodem, że Bóg wybrał właśnie to, co jest głupie w oczach świata, aby zawstydzić mędrców, wybrał to, co słabe, aby mocnych poniżyć i to, co nie jest szlachetnie urodzone, aby się żadne stworzenie nie chełpiło wobec Boga.

Natchniony duchem mówił o badaniach naukowych i o igrzyskach sportowych. Także o miłości i - moim zdaniem - to było najbardziej przekonujące z wszystkiego, co na ten temat kiedykolwiek słyszałem. Człowiek - powiedział - musi kochać bliźniego jak siebie samego, i to do tego stopnia, że gdyby uczynił coś dla innego człowieka bez miłości, to czyn taki będzie bezużyteczny. Twierdził, że choćby człowiek rozdał cały swój majątek, by nakarmić biednych, choćby nawet wydał swe ciało na całopalenie, lecz nie uczynił tego z miłości bliźniego - niczego by nie uczynił.

To jego twierdzenie najbardziej mnie uderzyło. Przecież Gallio też powiedział, że sama mądrość nie czyni człowieka dobrym. Zacząłem się

nad tym zastanawiać i nie słuchałem już dokładnie, co mówił dalej. Jego słowa przelatywały nade mną jak łoskot burzy. Niewątpliwie przemawiał w natchnieniu i przeskakiwał z jednego tematu na drugi, zgodnie z tym, co duch mu podpowiadał. Ale doskonale pamiętał, co mówił. Tym się różnił od spotykanych przeze mnie w Rzymie chrześcijan; każdy z tamtych mówił raz to, a kiedy indziej zupełnie coś innego. W porównaniu z płomienną nauką Pawła wszystko, czego dotąd słuchałem, wydało mi się dziecinnym gaworzeniem.

Starłem się wyłowić z jego nauki najważniejsze sprawy, a także odnotować na woskowej tabliczce problemy sporne, aby - jak to zwykli czynić Grecy - móc je z nim przedyskutować. Było to trudne, ponieważ przelatywał z jednego tematu na drugi jak na skrzydłach wiatru. W głębi duszy byłem mu przeciwny, choć musiałem przyznać, że nie jest przeciętnym człowiekiem.

Zakończył naukę błogosławieństwem, a wówczas kilku słuchaczy ogarnęła ekstaza, zaczęli szybko i z przekonaniem mówić w jakichś obcych językach, chociaż nikt nie rozumiał ich słów. Paweł cierpliwie ich wysłuchał, przyznał, że mają duchową więź z Bogiem, ale zgañił, że nie potrafią wyjaśnić swoich słów. Oświadczył, że kilka zrozumiałych słów, które mogą pouczyć innych, ma większą wagę niż dziesięć tysięcy słów wypowiedzianych w obcej mowie.

Cały tłum zgromadził się wokół Pawła. Wiele osób próbowało ukradkiem dotknąć jego szat, aby zaczerpnąć z nich moc. Paweł cierpliwie odpowiadał na pytania, udzielał rad, ale w końcu się zmęczył. Jego natchnioną duchem twarz naznaczyło cierpienie. Otoczyli go uczniowie i w imię Chrystusa poczęli błagać ludzi, aby go więcej nie trudzili błahymi pytaniami, na które oni sami mogą odpowiedzieć.

Potem kazano wyjść wszystkim, którzy nie byli ochrzczeni. Kilka osób prosiło, aby ich Paweł ochrzcił i położył rękę na ich głowach, ale on kategorycznie odmawiał i zachęcał, by przyjęli chrzest od jego uczniów, którzy otrzymali dar łaski. Na początku swego pobytu w Koryncie Paweł udzielał chrztu. Ale ponieważ ludzie przechwalali się, że otrzymali chrzest w imię Pawła i ducha z jego ducha, nie chciał tego czynić teraz, bo podobne gadanie mogło stać się przyczyną konfliktów. Wyraźnie nie miał manii wielkości.

Wróciłem do domu pogrążony w głębokich rozmyślaniach i zamknąłem się w pokoju. Oczywiście nie wierzyłem w to, co mówił Paweł - przeciwnie, wyszukiwałem argumenty przeciwko jego tezom. Wzbudził jednak moje zainteresowanie jako człowiek. Nie mogłem się nie zgodzić, że przeżył jakiś nieprawdopodobny wstrząs, po którym radykalnie zmienił swoje życie.

Prorocze sny nie są wcale rzadkością, a kiedy dochodzą do tego tajne obrzędy, wówczas zwykły człowiek odczuwa tchnienie boskości zbliżone do objawienia. Właśnie po to istnieją misteria. Lecz przypadek Pawła był zupełnie inny. Z całej jego osobowości wyczuwało się, że na ziemi zaczęła działać jakaś nowa, tajemnicza moc.

Za Pawłem przemawiało również to, że nie usiłował zyskiwać sobie sympatii arystokracji czy bogaczy i nie zabiegał o otrzymanie od nich

darów, jak to czynią wędrowni kapłani bogini Izydy czy kuglarze. Wedle Pawła najlichszy niewolnik, nawet półgłówek, był równie ważny - jeśli nie ważniejszy - od człowieka mądrego i szlachetnie urodzonego. Wprawdzie Seneka też nauczał, że niewolnik jest człowiekiem, ale Seneka nie miał ochoty przyjaźnić się z niewolnikami i dobierał sobie inne towarzystwo.

Rozmyślałem i rozmyślałem, aż się zorientowałem, że wyszukuję argumenty przeciwko Pawłowi, a nie za nim. Przemawiał przez niego potężny duch, więc nie mogłem chłodno, obiektywnie i z uśmiechem na ustach roztrząsać jego bezsensownego zabobonu. Rozum podpowiadał mi, że gdyby jego myśli nie wywarły na mnie wrażenia, nie odczuwałbym tak głębokiego sprzeciwu w stosunku do jego niezachwianej pewności. Zmęczyły mnie te wszystkie rozważania i nagle zapragnąłem napić się wina ze starego matczynego pucharka drewnianego, do którego ojciec przywiązywał tak ogromne znaczenie. Wygrzebałem go z kufierka, napełniłem winem i wypilem. Właśnie się ściemniało, ale nie zapalałem lampy. I nagle moje myśli jakby oderwały się od rzeczywistości.

Do moich obowiązków służbowych należało asystowanie przy egzekucjach. Więc wiem, że gdy człowiekowi ucinają głowę, to jego ciało przez chwilę jeszcze drga, a potem człowieka już nie ma. Pamiętam też, jak kiedyś w Brytanii spaliliśmy wioskę, a pewien legionista podkutym buciorem odwrócił ciało Bryta i chichocząc zapytał: - Czy sądzisz, że istnieje jakaś różnica między zwłokami człowieka a ścierwem bydłęcia? Wyjaśnij mi tę różnicę, mądralo w czerwonym pióropuszu!

Współczesna filozofia racjonalna odmawia człowiekowi wszelkiej nadziei. Może on wybierać między umiarkowanym korzystaniem ze zmysłów albo surową dyscypliną życia, którego głównym celem jest służba państwu czy dobru publicznemu. Życie każdego może niespodzianie przerwać zaraza, spadająca z dachu cegła lub przypadkowy upadek. Jeśli życie staje się nie do zniesienia, człowiek mądry popełnia samobójstwo. Rośliny, kamienie, zwierzęta i ludzie są tylko ślepa, bezcelową grą atomów. Równie mądrą rzeczą jest być człowiekiem złym, jak i dobrym. Bogowie, ofiary, proroctwa - to tylko usankcjonowane przez państwo zabobony, które zadowalają kobiety i prostaczków.

Oczywiście istnieją osobnicy podobni do Szymona maga czy druidów, którzy rozwijając swoją duchowość mogą skłonić innego człowieka do pogrążenia się w śnie, podobnym śmierci; mogą też opanować kogoś o słabej woli. Ale moc takich osobników tkwi w nich samych, nie przychodzi do nich z zewnątrz. Jestem o tym głęboko przekonany, nie wierzę wcale w opowieści druidów o ich wędrowkach po podziemnym królestwie umarłych i oglądaniu namacalnych zjaw.

Mędrzec może własnym życiem dawać przykłady innym, a spokojną śmiercią udowodnić znikomość życia i śmierci. Ale uważam, że nie warto szczególnie dążyć do realizacji takiego ideału żywota.

Siedziałem w ciemności, snując jakieś oderwane myśli. Obejmowałem rękami gładką drewnianą czarzę, a jednocześnie przedziwnie wyczuwałem miłosierną bliskość mojej matki. Wspominałem także ojca, który wierzył, że ukrzyżowany król żydowski wstał z martwych i który zapewniał mnie, że widział go na własne oczy wtedy, gdy razem z mamą wędrowali po

Galilei. Kiedy byłem małym chłopcem - i nawet później - bałem się, że się skompromituje, jeśli będzie wygłaszał takie absurdalne twierdzenia w przyzwoitym towarzystwie.

A właściwie wobec bezsensu życia co mnie obchodzą poglądy przyzwoitych i bardziej ode mnie znamienitych ludzi?! Przecież szlachetnie urodzony ekwita powinien służyć państwu, którego głównym celem jest zachowanie pokoju i podporządkowanie systemowi rzymskiemu całego świata. Ale czy dobre drogi, wspaniałe wodociągi, potężne mosty i niezniszczalne kamienne budowle mogą być ostatecznym celem życia? Dlaczego w ogóle właśnie, ja, Minutus Lauzus Manilianus, żyję i istnieję?

Pytałem o to wówczas i nadal wciąż pytam tutaj, w kąpielisku gdzie lecę dolegliwości żołądkowe i dla zabicia czasu opisuję moje życie, abys był tego świadomy, mój synu, który właśnie przywdziałeś męską togę.

Następnego dnia udałem się do zaułka rzemieślników szyjących namioty, aby odszukać Pawła i porozmawiać z nim w cztery oczy. Był przecież nie tylko Żydem, ale i obywatelem Rzymu.

Kierownik gildii rzemieślniczej od razu wiedział, o kogo mi chodzi. Parsknął śmiechem i powiedział:

- Myślisz o tym uczonym Żydzie, który zerwał z prawem, stworzył nową sektę, grozi, że krew spadnie Żydom na głowy i żąda nie tylko obrzezania, ale i kastracji? Morowy z niego chłop! A jaki zapamiętały w pracy! Jego nie trzeba specjalnie prosić, wygłosi kazanie choćby i przy krosnach. Dużo się z niego naśmiałem! Dzięki jego sławie sporo klientów do nas wali! A tobie potrzebny namiot czy zimowa oponcza?

Wreszcie uwolniłem się i poszedłem zakurzoną i zasypaną kozią sierścią dróżką do otwartego na oścież warsztatu: nie bez zaskoczenia ujrzałem obok Pawła tkającego na krosnach... krzywonosego Akwilę, którego poznałem w Rzymie. Żona Akwili, Pryska, poznała mnie; krzyknęła z radości, przedstawiła Pawłowi i opowiedziała, jak w Rzymie po drugiej stronie Tybru dzielnie broniłem chrześcijan, gdy ścierali się z prawowiernymi Żydami.

- Ale to stare dzieje! - dodała szybko. - Teraz wstydzimy się naszej pychy i zarozumiałości. Nauczyliśmy się obecnie nadstawiać drugi policzek bijącemu i modlić za tych, którzy nam ubliżają.

Mówiła z tą samą żywością co dawniej, a jej mąż był nadal milczący i witając się ze mną nie przerywał swej monotonnej pracy. Zapytałem o ich przymusowy wyjazd z Rzymu i jak się im ułożyło życie w Koryncie. Nie narzekali. Pryska tylko rozplakała się, gdy wspomniała tych, których ciała zostawały w przydrożnych rowach.

- Ale oni otrzymali już wieńce zwycięzców, wieńce nieśmiertelności - zapewniła. - Nie zginęli z przekleństwem na ustach, tylko sławiąc Jezusa Chrystusa, który uwolnił ich od grzechów i władzy śmierci i doprowadził do życia wiecznego.

W ogóle nie odezwałem się do niej, przecież była tylko dziarską żydowską babą, która dużo złego przyczyniła w Rzymie zarówno chrześcijanom, jak i prawowiernym Żydom. Z szacunkiem zwróciłem się do Pawła:

- Słuchałem wczoraj twojej nauki. Chcę uzyskać dokładne wyjaśnienie

drogi, jaką proponujesz. Z twojego wystąpienia wyłuskałem kwestie sporne, które mogą być początkiem dyskusji. Ale dyskusja w tym miejscu nie jest możliwa. Czy nie zechciałbyś przyjść do mnie na wieczorny posiłek? O ile wiem, w twoich naukach nie ma żadnych tajemnic, a także nic nie stoi na przeszkodzie, byś spożył posiłek z Rzymianinem.

Bardzo byłem zaskoczony, gdy okazało się, że Paweł nie docenił wagi mego zaproszenia. Ze zmęczonej twarzy spojrzały na mnie jego przeszywające oczy. Powiedział krótko, że mądrość Boga obali wszystkie kwestie sporne jako głupstwa, jego zaś nie powołano na dyskutanta, lecz aby świadczył o Jezusie Chrystusie w związku z objawieniem, jakie przeżył.

- Wszakże słyszałem, że występowałeś na forum w Atenach - odparłem.
- Bez dyskusji z Ateńczykami na pewno się nie obeszło. Wydaje się, że Paweł niechętnie wspominał swoją wizytę w Atenach.

Widocznie spotkał się tam z bolesnymi drwinami. Powiedział, że na ateńskim akropolu widział ołtarz, wzniesiony nieznanemu bogu. Jeśli dobrze zrozumiałem, przekonywał Ateńczyków, iż Bóg nieba i ziemi po stworzył rodzaj ludzki, aby ten szukał Boga. Powoływał się na poetów, aby wykazać, że nie jest prostakiem i że wszelki człowiek pochodzi od Boga.

Powiedział im też, że obecnie ludzie nie muszą szukać na oślep Boga; wprawdzie przez jakiś czas Bóg tolerował ignorancję swojej istoty, ale obecnie oznajmił, że wszyscy ludzie na całym świecie muszą się poprawić. Ustanowił już dzień sądu nad całym światem i wyznaczył do tego zadania Jezusa Nazarejskiego. Aby zaś Jezusowi zawierzono - obudził Go z martwych po Jego ukrzyżowaniu.

Wyobraziłem sobie wrazenia Ateńczyków, gdy słuchali takiego wykładu! Paweł zapewniał wprawdzie, że wśród ludzi, którzy mu uwierzyli, był nawet jeden sędzia sądu miejskiego, ale czy oni rzeczywiście uwierzyli, czy też przez uprzejmość nie chcieli obrazić obcego mówcy, który przemawiał z takim przekonaniem - tego już nie dociekałem.

- Może jednak zgodzisz się szczerze odpowiedzieć na moje pytania, a jeść przecież i tak musisz, jak każdy z nas - nalegałem. - Obiecuję, że nie będę ani przerywał ci retorycznymi pytaniami, ani polemizował z tobą, tylko słuchał.

Akwila i Pryska zachęcali Pawła do przyjęcia zaproszenia i zapewniali, że nie mogą o mnie powiedzieć niczego złego. Prawdopodobnie widzieli, że uczestniczyłem - zresztą przez pomyłkę - we wspólnym posiłku chrześcijan. Także mój ojciec - mówili - pomagał biednym i ludzie uważali go za bogobojnego. Nie sądzą też, aby mogli mieć wobec mnie jakieś polityczne podejrzenia.

Przyjrzałem się Pawłowi w trakcie żmudnej pracy przy krosnach; zdawało mi się, że jest wyczerpany i jakby niezupełnie zdrowy. I nagle coś się stało, chyba olśniła go jakaś myśl. Twarz mu pojaśniała i cały promieniał uśmiechem; oznajmił, że z chęcią przyjdzie i odpowie na moje pytania.

Pryska wzięła mnie na bok i powiedziała, że Pawła często zapraszają bogaci i ciekawscy, a jego to męczy. Zwykle je tylko warzywa i pije wodę; w ogóle - zdaniem Pryski - za dużo pości. Przede wszystkim powinienem

zrozumieć, że Paweł nie jest żadnym magiem ani cudotwórcą, chociaż zdarza się, że dzięki duchowi uzdrawia chorych. Prosiła, żebym starał się nie denerwować Pawła. Chociaż kazania wygłasza w wielkim natchnieniu, to łatwo go urazić, a wtedy wpada w przygnębienie. Nie jest też zdrowy. Nie bez powodu mówi, że jest słabszy niż najsłabsi. Pojawienie się zła, kłamstwa czy obłudy wśród tych, którzy, jak mniemał, zrozumieli dobrą nowinę, poskramiało jego ducha, ale dzięki objawieniu czerpał siły z własnej słabości.

Nie zdziwiły mnie uwagi Pryska, bo często się zdarza, że ludzie wybitni są z natury kontrowersyjni i mają takie słabości, o które trudno by ich podejrzewać. Żaden człowiek nie może być stale taki, jakim chciałby być. Inaczej byłby nie człowiekiem, a bogiem.

Po powrocie do domu wydałem odpowiednie dyspozycje co do posiłku i rozejrzałem się wokoło. Dziwne, lecz meble i przedmioty wydały mi się obce. Podobnie obcy wydał się też Hieraks, choć sądziłem, że już dobrze go znam. Cóż zaś wiedziałem o odźwiernych albo kucharkach? Rozmowy z nimi niczego by nie dały, bo mówiliby tylko to, co - jak sądzili - pragnąłem usłyszeć.

Powinienem być szczęśliwy i cieszyć się z życia. Miałem pieniądze, dobre imię i dobrą pozycję w służbie państwowej, arystokratycznych protektorów, zdrowe ciało. Przeważająca większość ludzi nigdy w życiu nie zdobędzie tego, co ja osiągnąłem w młodym wieku. Mimo tego wcale nie byłem radosny.

Paweł przybył w licznej eskorcie, gdy zabłysła pierwsza gwiazda, ale pożegnał swych uczniów przed progiem domu. Przez uprzejmość dla gościa zasłoniłem posążki domowych bożków, ponieważ wiedziałem, że wizerunki postaci ludzkich obrażają uczucia religijne Żydów. Poleciałem też Hieraksowi, aby na cześć mojego gościa zapalił świece z pszczelego wosku.

Po potrawach jarskich podano mięsne; powiedziałem, że nie musi ich jeść, jeśli jego nauka tego zabrania. Paweł jadł bez oporów i z uśmiechem powiedział, że nie chce przyprawiać mnie o straty, więc nie pyta, gdzie kupiono mięso. Oświadczył, że chce być Grekiem dla Greków i Żydem dla Żydów. Wypił nieco rozcieńzonego wina, choć dodał, że zamierza wkrótce złożyć ślubowanie wstrzemięźliwości.

Wcale nie miałem zamiaru zastawiać na niego pułapki przez serwowanie nieodpowiednich potraw czy też zadawanie podchwytliwych pytań. W trakcie rozmowy dbałem o możliwie oględne formułowanie wypowiedzi. Wszak leżało w interesie Galliona - no i Rzymu - aby dokładnie wyjaśnić stosunek Pawła do państwa rzymskiego i dobra ogółu.

Szczerze zapewnił, że wszystkim radzi, żeby byli posłuszni ziemskim zwierzchnikom, przestrzegali ładu i wystrzegali się zła. Nie buntował niewolników przeciwko ich panom. Uważał, że każdy powinien zadowolić się własną pozycją. Niewolnik musi spełniać wolę swego pana, a pan musi się dobrze odnosić do swoich sług, ponieważ i on ma swego Pana.

Czy miał na myśli cesarza? Nie. Miał na myśli żywego Boga, stwórcę nieba i ziemi, i Jezusa Chrystusa, jego Syna, który zgodnie z zapowiedzią przyjdzie sądzić żywych i umarłych.

Poniechałem chwilowo tej drażliwej kwestii, natomiast spytałem, jakie wskazania życiowe dawał nowo nawróconym. Widać było, że wiele się nad tym zastanawiał, ale odpowiedział krótko:

- Zgnębieni, nabierzcie odwagi, opiekujcie się słabymi, we wszystkim bądźcie wyrozumiali! Nikomu złem za zło nie odpłacajcie, lecz starajcie się dobrze czynić wobec wszystkich ludzi. Bądźcie zawsze radośni. Bez przerwy się módlcie. Dziękujcie przy każdej okazji!

Jeszcze mówił, że zachęca braci, aby pędzili spokojne życie i zarabiali pracą własnych rąk. Nie do nich należy osądzanie cudzołożników, skąpców, zaborców i bałwochwalców. Własnym życiem powinni dawać przykład innym. Gdyby jednak cudzołożnikiem, skąpcem, bałwochwalcą, szydercą, pijakiem lub uzurpatorem okazał się ktoś z ich wspólnoty, wówczas trzeba go skarcić, jeśli się zaś nie poprawi - nie należy z nim obcować ani nawet jeść w jego towarzystwie.

- A więc mnie nie skarcisz, chociaż w twoich oczach jestem z pewnością bałwochwalcą, cudzołożnikiem i pijakiem? - spytałem z uśmiechem.

- Jesteś obcy. Nie moją sprawą jest ciebie osądzać. Upominamy tylko tych, którzy należą do naszego kręgu. Ciebie osądzi Bóg.

Powiedział to tak poważnie, jako sprawę oczywistą, że w głębi duszy zadrzałem. I chociaż obiecywałem sobie, że go nie urażę, musiałem ironicznie zapytać:

- A kiedyż to, wedle ciebie, nadejdzie dzień sądu?

Odpowiedział, że nie czuje się powołany do przepowiadania. Dzień ten nadejdzie niespodzianie, jak złodziej w nocy. Domyśliłem się, iż wierzy w powrót Jezusa jeszcze za swego życia.

- Wyjaśnij, jak to się stanie? - prosiłem.

- Sam Pan zstąpi z nieba na hasło i na głos archanioła, i na dźwięk trąby Bożej, a zmarli w Chrystusie powstaną pierwsi. Potem my, żywi i pozostawieni wraz z nimi będziemy porwani w powietrze, na obłoki naprzeciw Pana i w ten sposób zawsze będziemy z Panem.

- A sąd? Tak wiele o nim mówisz?

- Jezus ukaże z nieba swoją moc z aniołami w płomieniach ognistych. I zapłaci tym, którzy nie znają Boga i nie słuchali dobrej nowiny naszego Pana. Spotka ich kara wiecznego odtrącenia od oblicza Boga i mocy Jego światłości.

Przyznaję, że głosząc swoją naukę wcale nie usiłowałem mi schlebiać. Łagodnie radził, bym nie nadużywał dobroci i cierpliwości Boga, gdyż Bóg nienawidzi srogości i zatwardziałości serca. Jego gniewu nie wolno lekceważyć.

Paweł osobiście do nikogo nie czuje urazy, ale myśl, iż gniew Boży spadnie na tych, którzy nie wierzą, przeraża go do tego stopnia, że gotów jest poświęcić własne szczęście, aby ich ocalić. Tak mocno przeżywał wizję przyszłego sądu.

Zapytał mnie wprost, czy uważam, że on na próżno znosił chłosty i kamienowanie, niebezpieczeństwa podróży, pracę, wysiłek, posty, czuwanie, chłód i nagość ciała, codzienną natarczywość drugich i stały niepokój o gminy, które założył w różnych prowincjach Wschodu, po to aby ludzie nie zawiedli się, nie zeszli z właściwej drogi i nie ulegali

naukom, głoszonym przez fałszywych proroków.

Te słowa poruszyły mnie, czułem ich szczerość. Delikatnie zwróciłem uwagę, że wielu jest wędrownych mędrców, a niektórzy z nich mają upodobanie w wiecznej tułaczce i nigdzie nie mogą znaleźć swojego miejsca, inni zaś rozkoszują się własnymi krzywdami i cierpieniami, ponoszonymi z niesprawiedliwości.

Nie poczuł się urażony moimi słowami, wręcz przeciwnie, rozpromienił się i z wielką pewnością stwierdził:

- Mam upodobanie w moich słabościach, w obelgach, w niedostatkach, w prześladowaniach, w uciskach z powodu Chrystusa. Albowiem ilekroć niedomagam, tylekroć jestem mocny.

Opowiedział mi jeszcze - choć się nie dopytywałem - o aniołach i władzy duchowej, o podróżach po wielu krajach i pełnomocnictwie, jakie uzyskał od najwyższych zwierzchników gminy chrześcijańskiej w Jeruzalem. Najbardziej dziwiło mnie to, że w ogóle nie przejawiał ochoty, aby mnie nawrócić.

Pod koniec naszej rozmowy uczułem, że ulegam mocy i władzy jego głosu. Odczuwałem silnie jego obecność, zapach świec, aromat potraw i woń czystej koziej sierści. Dobrze się czułem w jego obecności, ale mimo tego na wpół świadomie chciałem odejść. Wyrwałem się z odrętwienia i głośno zawołałem:

- Na jakiej podstawie sądzisz, że wiesz wszystko lepiej niż inni ludzie?

Rozłożył ręce i po prostu powiedział: - Jestem współpracownikiem Boga.

Nie było to bluźnierstwo, tylko spokojne stwierdzenie.

Pocierałem czoło ręką i jak oczadzony chodziłem tam i z powrotem po pokoju. Wszak jeśli racja była po jego stronie, to miałem życiową szansę znalezienia sensu i celu życia! Drżącym głosem powiedziałem:

- Nie rozumiem twych słów. Lecz połóż ręce na moją głowę, skoro taki macie zwyczaj, aby twój duch i na mnie zstąpił i oświecił mnie!

Nie dotknął mnie. Obiecał tylko modlić się za mnie, abym pojął, że Jezus jest Chrystusem. Czasu bowiem pozostało niewiele, świat zbliża się ku upadkowi.

Po opuszczeniu przez Pawła mojego domu cała rozmowa wydała mi się absurdem. Krzyczałem głośno. Urażałem swej łatwowierności. Kopałem meble i rozbijałem o podłogę gliniane naczynia.

Hieraks wpadł do pokoju, zobaczył, w jakim jestem stanie i wezwał do pomocy odźwiernego. Wspólnymi siłami wpakowali mnie do łóżka. Głośno szlochałem i ryczałem jak szaleniec. Czułem, że jakaś obca moc potrząsa mną i wrywa się ze mnie tym straszliwym rykiem.

Krańcowo wyczerpany zapadłem wreszcie w sen. Rano głowa mnie paliła, a całe ciało miałem obolałe; znużony pozostałem w łóżku i pokornie zażyłem gorzkie lekarstwa, przygotowane przez Hieraksa, który pytał:

- Czemu zaprosiłeś tego osławionego maga żydowskiego? Od Żyda nie oczekuj niczego dobrego! Nawet mądrego potrafią zmienić w wariata!

- On nie jest czarownikiem! - zaprotestowałem. - Albo jest szaleńcem, albo najmocniejszym duchowo człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Obawiam się, że istotnie jest powiernikiem nieznanego Boga.

- Urodziłem się niewolnikiem i na niewolnika mnie wychowano - Hieraks patrzył na mnie zmartwiony. - Nauczyłem się oceniać sprawy z pozycji niewolnika. Ale jestem od ciebie starszy, dużo podróżowałem, na własnej skórze poznałem dobro i zło i potrafię oceniać ludzi. Jeśli chcesz, pójdę posłuchać tego Żyda i potem szczerze powiem, co o nim myślę.

Wzruszyłem się jego oddaniem i pomyślałem, że gdyby Hieraks spróbował zebrać informacje o Pawle, mogłoby to okazać się korzystne. - Dobrze, idź, posłuchaj, jak Paweł naucza i dowiedz się o nim wszystkiego, co się da.

Sporządziłem dla Galliona krótką notatkę, używając możliwie najbardziej oficjalnego stylu.

Minutus Lausus Manilianus o Pawle-Żydzie.

Słuchałem jego nauki w sekciarskiej synagodze. Przesłuchiwałem go w cztery oczy. Mówił szczerze. Nie udawał. Niczego nie zatajał.

Jest Żydem, jego rodzice byli Żydami. Studiował w Tarsie, potem w Jerozolimie. Od urodzenia posiada obywatelstwo rzymskie. Z domu zamożny.

Rabin. Poprzednio był członkiem Najwyższej Rady Żydowskiej w Jerozolimie. Prześladował uczniów i zwolenników Jezusa Nazarejskiego. Doznał objawienia. W Damaszku uznał Jezusa za Mesjasza. Żył na pustyni. W Antiochii miał konflikt z najzdolniejszym uczniem Jezusa, Szymonem, później się z nim pogodził. Otrzymał pełnomocnictwa głoszenia dobrej nowiny o Jezusie Chrystusie, również nie obrzezany.

Podróżował po prowincjach Wschodu. Wielokrotnie karany. Taktyka: idzie najpierw do żydowskiej synagogi. Głosi, że Jezus jest Mesjaszem. Otrzymuje baty. Nawraca słuchaczy, którzy interesują się żydowskim Bogiem. Obrzezanie nie jest potrzebne. Nie musi się przestrzegać żydowskiego prawa. Kto wierzy, że Jezus jest Chrystusem, otrzymuje łaskę z życia wieczne.

Nie jest podżegaczem ludu. Nie nakłania niewolników do powstania. Zachęca do spokojnego życia. Nie znieważa postronnych, tylko swoich. Ma ogromny autorytet osobisty. Oddziałuje najbardziej na tych, którzy poprzednio zetknęli się z żydostwem.

Uwaga: zapewnia, że Jezus Nazarejski wróci któregoś dnia, aby osądzić świat i wówczas gniew Boga będzie skierowany na wszystkich postronnych. Czyli jest wrogiem zwyczajnego rodzaju ludzkiego.

Politycznie, z punktu widzenia interesów Rzymu, całkowicie nieszkodliwy. Powoduje kłótnie i rozłam wśród Żydów. Co jest działaniem pozytywnym dla Rzymu.

Nie znalazłem w tym człowieku niczego godnego napiętnowania.

Zaniósłem notatkę do prokonsula. Przeczytał i spojrzał na mnie spoode łba. Drżał mu miękki podbródek, gdy ostro rzucił:

- Jesteś bardzo lakoniczny.

- To tylko *pro memoria*, jeśli chcesz, mogę ci więcej opowiedzieć o tym człowieku!

- Jaka jest jego boska tajemnica? - spytał z wyraźnym zmęczeniem.

- Nie wiem - powiedziałem ze złością. Potem pochyliłem się i z drżeniem przyznałem:

- Gdybym nie był Rzymianinem, zrzuciłbym odznakę trybuna, zostawił urząd i poszedł za nim!

Gallio przyjrzał mi się badawczo, wyprostował, uniósł brodę i surowo zawołał:

- Zrobiłem błąd, wysyłając cię na zwiady! Jesteś jeszcze za młody! - Ciągnął smętnie potrząsając głową: - Tak, tak, mądrości świata i rozkosze życia jeszcze cię nie przeżarły. Chyba nie jesteś chory, choć tak dygoczesz? Wprawdzie mamy tu dobre wodociągi, ale czasem przypadkowo można się napić zepsutej wody, a wówczas zapada się na chorobę zwaną gorączką Koryntu. Sam przez to przeszedłem. Ale nie bój się! Nie sądzę, żeby ich Nazarejczyk jeszcze za naszych czasów wrócił, aby dokonać sądu nad ludzkością! Widzę, że Paweł głosi starą jak świat naukę Wschodu. Naukę o nieustającej walce dobra ze złym i światła z ciemnością. Ostatecznie światło zwycięży, a świat pograży się w praogniu. Tę naukę zrodziła prymitywna potrzeba utworzenia systemu, według którego światem rządzi przypadek i Szczęście, wobec czego często ginie człowiek cnotliwy, a zły odnosi sukcesy. Jeśli dobrze rozumiem, twój Paweł naucza, że nawet człowiek małuczki, nawet niewolnik, może osiągnąć szczęśliwość na tamtym świecie. Przeprowadzając prymitywne rozumowanie zaleca więc, aby pokornie zadowalał się swą podrzędną rolą i nie burzył przeciw niesprawiedliwości tego świata. To nauka nie dla nas, rozsądnie trzymajmy się od niej z daleka! Niech nam wystarczy pełnienie rządów na ziemi.

- Żydów najbardziej oburza twierdzenie Pawła, jakoby Jezus Nazarejski był Chrystusem, którego Królestwo nie jest z tego świata - pouczał Gallio.

- Przecież Żydzi stale marzą, że przyjdzie mesjasz, który będzie królem i władcą świata. Mesjasz ma utworzyć tysiącletnie królestwo i oddać w nim rządy Żydom. To marzenie stale wywołuje zamieszki polityczne! W Jeruzalem przynajmniej raz w każdym pokoleniu zjawiają się fałszywi mesjasze! Jezus Nazarejski nie był jedynym ukrzyżowanym czy inaczej zgładzonym takim przestępcą politycznym. Dawniej Żydzi sami kamienowali mesjaszów, teraz Rzym zmusił ich do respektowania swego systemu prawnego.

- On jedyny wstał z martwych i po śmierci objawił się wielu ludziom - zaoponowałem. - Chrześcijanie w to wierzą.

- Sny i mrzonki! - zakrzyczał Gallio. - Zostaw to niewiastom!

Chyba jednak siły nadprzyrodzone nie były mu całkiem obce, przecież wiele o nich mówił. Zresztą czy można znaleźć Rzymianina, który by nie był zabobonny? Chcąc zmienić temat rozmowy Gallio zaproponował, aby napić się wina. Zawołał swoją żonę i zaczął nam czytać sztukę teatralną, którą przetłumaczył z greki na łacinę. Niektóre fragmenty czytał w oryginale, aby udowodnić, że łaciną można doskonale oddać rytm języka greckiego - oczywiście jeśli się ma odrobinę talentu.

Tematykę sztuki zaczerpnięto z opowieści o Troi. Powinno to mnie zainteresować, przecież Trojanin Eneasza był protoplastą Rzymian. A tymczasem - jako że podchmieliłem sobie - zamiast chwalić tłumacza,

powiedziałem:

- Literacki język grecki jest piękny, ale odbieram go dziś, jakby był językiem martwym. Paweł naucza w żywym, współczesnym dialekcie.

- W dialekcie można pisać tylko pospolite błazeńskie farsy, wykorzystując jego efekt komiczny - Gallio patrzył na mnie z politowaniem. - Zupełnie tak samo postępują rzymscy aktorzy farsowi, którzy posługują się językiem jarmarcznym. Filozofia w dialekcie? Co za bzdura!

Stanowczym ruchem zwinął rulon rękopisu. Twarz mu poczerwieniała i rzekł rozkazującym tonem:

- Musisz wyrzucić z siebie tę żydowską truciznę! W Delfach trwa spór graniczny, który trzeba dokładnie wyjaśnić. W Olimpii powstały kontrowersje wokół programu igrzysk. Weź się do roboty! W kancelarii otrzymasz potrzebne informacje i pełnomocnictwa!

Uroczą Helwia koniuszkami palców musnęła skroń Galliona i pogładziła jego grube policzki, mówiąc pojednawczo:

- Czemu skazujesz tego zdolnego młodziana na uciążliwe podróże? Przyjdzie właściwy czas i Grecy sami zwrócą się do ciebie o rozsądzenie tych spornych kwestii. Przecież jesteśmy w Koryncie! Zawarcie przyjaźni z doświadczoną kobietą korzystniej wpłynie na chłopca niż jazdy konne tam i z powrotem!

Roześmianymi oczami spoglądała na mnie ponad głową Galliona, poprawiając peplos zsuwający się z białego ramienia. Gdybym był bardziej doświadczony, zachwyciłbym się mistrzowskim ułożeniem fałd jej szat, misternym uczesaniem i noszonymi przez nią oryginalnymi ozdobami indyjskimi. Ale nie! - zignorowałem spojrzenie Helwii, zerwałem się na równe nogi, stanąłem w rozkroku i krzyknąłem:

- Wedle rozkazu, prokonsulu!

Tak więc spór wewnątrzżydowski, a raczej tkwiący u jego podstaw Paweł, stał się przyczyną rozbieżności między mną a Gallionem. Zostawiłem dom pod opieką Hieraksa i w eskorcie legionistów i w towarzystwie greckiego przewodnika wyjechałem z Koryntu.

Za dużo zachwycających wrażeń z podróży po Delfach, Olimpii i Atenach już opublikowano, abym mógł z nimi konkurować. Nawet Rzym nie był w stanie zagrabirć więcej niż maleńką cząstkę tamtejszych skarbów sztuki, choć trzeba przyznać, że począwszy od Sulli wielce staraliśmy się wzbogacić Rzym cudownościami Grecji. A Sulla znał się na sztuce!

Zmuszałem się, wręcz przymuszałem, do oglądania osobliwości, ale ani kolorowe marmury, ani kość słoniowa i złoto w najwspanialszych dziełach sztuki rzeźbiarskiej wszech czasów nie przemawiały do mego serca.

Napisałem dokładny protokół w sprawie konfliktu granicznego w Delfach. Dla zachowania bezstronności uczestniczyłem w przyjęciach wydanych przez obydwie strony sporu. W wyroczni poznałem Pytię. Z wymawianych przez nią bezładnych słów kapłani ułożyli pochlebny dla mnie dwuwiersz. Nie chcę go tutaj cytować.

W pobliżu Olimpii znajduje się teren i świątynia, którą przed ponad czterystu laty wielki wódz grecki Ksenofont poświęcił Artemidzie. Swego czasu dziesięciny z plonów, zebranych na poświęconym obszarze, wyko-

rzystywano na organizowanie uroczystości dożynkowych dla okolicznych mieszkańców. Owoce z wiekowych drzew oliwkowych sanktuarium mogli zbierać wszyscy. Ale z biegiem lat przesuwano kamienie graniczne, teren świątynny kurczył się, a świątynia straszliwie niszczała. Nawet posągi bóstw zagrabiono do Rzymu w czasach Pompejusza. Mieszkańcy skarżyli się, że ten, kto gospodaruje na poświęconym terenie, nie wywiązuje się ze swych obowiązków. Starannie przechowywano kamienną tablicę, na której można było wyraźnie przeczytać: „To miejsce jest poświęcone Artemidzie. Właściciel ma co roku płacić dziesięcinę. Z nadwyżek ma utrzymywać świątynię. Jeśli ktoś tego zaniedba, bogini zachowa to w pamięci!”

Na zgromadzeniu ludowym kilku starych mieszkańców wspominało z żalem, jak za dawnych czasów w dni święta Artemidy rozdzielano mąkę, wino i słodycze. Na świętym terenie każdy miał prawo polować. Pozwoliłem im spokojnie mówić. Właściciel terenu w końcu zapewnił, że będzie respektować tradycje dożynkowe, ale utrzymanie świątyni w należytym stanie przerasta jego możliwości.

Podjąłem następującą decyzję: Powyższa kwestia nie podlega orzecznictwu rzymskiemu. Według tablicy fundacyjnej sprawę należy wyjaśnić z boginią!

To orzeczenie nikogo nie zadowoliło. Do tego zdarzyło się, że jeszcze w czasie mego pobytu w Olimpii właściciel terenu świątynnego w czasie polowania na kozła spadł do przepaści i zabił się. Mówiono, że to Artemida zażądała spłaty długu. Ponieważ nie miał spadkobierców w linii prostej, okoliczni mieszkańcy solidarnie rozdzielili między siebie świętą ziemię. Odnotowałem to wydarzenie, aby opowiedzieć je Klaudiuszowi, jeśli jeszcze kiedy będę się mógł przed nim stawić. Cesarz uwielbiał takie starożytne tablice i mógłby spowodować odnowienie świątyni.

W końcu dotarłem do Aten. Przestrzegając przyjętych obyczajów przed murami miasta zdjąłem z siebie ekwipunek, narzuciłem białą chlamidę, włożyłem wieniec na głowę i wkroczyłem do miasta w towarzystwie jedynie przewodnika. Żołnierzom dałem wolne, aby wypoczęli lub zabawili się w Pireusie, gdzie stacjonował rzymski garnizon.

Zgodnie z tym, co wcześniej słyszałem, w Atenach jest więcej posągów bogów niż żywych ludzi. Są tam wspaniałe budowle, fundowane przez monarchów ze Wschodu, a na forum od rana do wieczora przechadzają się filozofowie ze swoimi uczniami. W każdym zakątku istnieją sklepiki z pamiątkami, gdzie można nabyć straszne śmieci, ale i drogocenne miniaturowe kopie posągów bóstw i świątyń ateńskich.

Po złożeniu oficjalnych wizyt i odbyciu spotkania z areopagiem w sali kolumnowej ratusza miejskiego rozlokowałem się w najlepszym zajeździe i poznałem kilku młodzieńców, którzy uzupełniali tu wykształcenie.

Niektórzy wychwalali swych nauczycieli, inni wyliczali imiona słynnych heter z domów publicznych i podawali ceny ich usług, a także wymieniali restauracje, które warto odwiedzić. Mnóstwo ludzi wyrażało chęć podjęcia się roli przewodnika po Atenach i pokazania mi miasta. Wystarczyło jednak, że przez kilka dni pokazywałem się na forum i słuchałem wykładów filozofów - przywykli do mnie i nie naprzykrzali się. Jeżeli dobrze zrozumiałem, to wszyscy filozofowie ateńscy uczyli osiągnięcia

spokoju ducha. Przemawiali z zapałem i zwykle wiele moralizowali przy użyciu trafnych porównań; chętnie też prowadzili między sobą dysputy.

Wśród nich pojawiali się ludzie noszący długie włosy i odziani w kozłe skóry. Ci chwalili się, że studiowali tajemną mądrość w Indiach lub Etiopii. Opowiadali takie brednie o swoich wojażach, że słuchacze pokładali się ze śmiechu. Podobno kilku takich szczególnie bezwstydnym włóczęgów członkowie areopagu wypędzili z Aten, ale w zasadzie wolno było pleść, co ślina na język przyniesie, byle tylko nie obrażać bogów i nie mieszać się do polityki.

Jadłem, piłem i próbowałem rozkoszować się życiem. Miło było siadać w słoneczny dzień na rozgrzanej marmurowej ławeczce na skraju forum i z pełnym żołądkiem obserwować żywo gestykujące cienie mówców na marmurowej posadzce. Prawdą jest, że anegdoty attyckie cechuje dosadność. W polemice zwykle bierze górę ta opowiadka, która wywoła najwięcej śmiechu. Odnosiłem jednak wrażenie, że ten śmiech jest pozbawiony radości, a wynikające z nauk myśli wcale nie drażą umysłów, jak musiałyby się dziać, gdyby wysnuto je z prawdziwej mądrości. Wywnioskowałem więc, że obecnie w Atenach uczą raczej wyrafinowanej sztuki życia - jako przeciwwagi dla rzymskiego barbarzyństwa - niż rzetelnej filozofii.

Któregoś dnia przysiadł obok mnie bystrooki kapłan Dionizosa. Zaczęliśmy rozmawiać i w pewnej chwili powiedziałem, że mądrość, głoszona na ateńskim forum, nie jest prawdziwą mądrością, a jedynie retoryką; sama w sobie jest piękna, ale pusta. Mój rozmówca był zdziwiony:

- Czy nie wiesz, cudzoziemcze, że boskość można pojąć jedynie w korybanckiej ekstazie? Najwyższy stopień pojmowania jest związany z misteriami i orgiami. Prawdziwego wtajemniczenia może dokonać wyłącznie mistagog lub hierofanta, przynigdy zwykły filozof.

Prawdopodobnie chciał przez to powiedzieć, iż uczonych ateńskich różni pojmowanie sztuki życia, nad czym z zapałem dyskutują, a także tajemnica boskości, ale o tym mówić nie wolno, ponieważ nikt nie potrafi wyrazić tego słowami; jest to kwestia przeżycia wewnętrznego. Nie miałem ochoty na wtajemniczenie w misteria. Jeszcze w Rzymie słyszałem, że związane jest to z chłostą, zamroczeniem alkoholowym, spółkowaniem i spożywaniem świętego posiłku. Kapłan bez protestu przyjął ode mnie kilka drachm i poszedł szukać bardziej podatnej ofiary.

Na przekór samemu sobie postanowiłem studiować w Atenach, dopóki prokonsul Gallio nie wezwie mnie z powrotem do Koryntu. Ale w obecnym stanie ducha nie pociągały mnie księgi w bibliotece; nie znalazłem też nauczyciela, którego uczniem chciałbym zostać. Dzień za dniem stawałem się coraz bardziej ponury i czułem się obco. Kilkakrotnie jadłem i piłem w towarzystwie młodych Rzymian tylko po to, aby rozmawiać po łacinie zamiast w perlistej grece.

Któregoś razu wraz z nimi poszedłem do słynnego domu publicznego pewnej hetery. Słuchałem gry na flecie, oglądałem występy tancerek i akrobatów, z przyjemnością rozmawiałem z właścicielką domu, która z uśmiechem zapewniała, że potrafi podnieść rozkosze zmysłowe do rangi

sztuki. Nie uwiodła mnie, zresztą w jej domu nikogo nie zmuszano do uprawiania rozkoszy. Powiedziała, że woli rozmawiać z gościem, niż iść z nim do łóżka. Za usługi miłosne żądała tak niebotycznej ceny, że tylko najbogatsi starzy rozpustnicy mogli ją uścić. Była zamożna i nie chciała nas, młodych Rzymian, narażać na stratę przeznaczonych na podróż pieniędzy. A na koniec rzekła:

- Może moja sztuka rozkoszy przeznaczona jest dla zniechęconych starców? Mimo to jestem z niej dumna. Ty jesteś młody. Czujesz autentycznie głód i pragnienie. Wino z żywicą i czarny chleb bardziej smakują głodnemu niż cypryjskie wino i języczki flamingów sytemu. Jeśli pokochasz jakąś dziewczynę, to sam widok jej nagiego ramienia będzie ci miłszy niż zaspokojenie żądz. Wygładź zmarszczki na czole i ciesz się życiem, póki jeszcze jesteś młody!

- Powiedz mi raczej o boskich tajemnicach - powiedziałem szorstko. - Swoją sztuką służysz przecież Afrodycie!

Spojrzała na mnie pięknie wymalowanymi oczyma i z roztargnieniem powiedziała:

- Afrodyta jest wprawdzie kapryśną i bezlitosną, ale doskonałą boginią. Im bardziej starasz się o jej względy i im więcej składasz jej ofiar, tym bardziej jest niezadowolona. Urodziła się z morskiej piany i jest do niej podobna. Piana wzdyma się, pryska i znika. Ona też pryska i znika każdemu, kto namiętnie pożąda jej cudownych członków.

Uniosła obie ręce i w zamyśleniu przyglądała się swym czerwono pomalowanym paznokciom; na jej gładkim czole osiadła zmarszczka. - Mogę ci dać przykład kaprysu bogini - ciągnęła. - Do naszego cechu należy kobieta, której piękności nie zniszczyły lata. Ma ciągle gładką skórę bez zmarszczek i bezbłędnie ukształtowane ciało. Rzeźbiarze korzystali z jej usług jako modelki. W ten sposób zyskała sobie wielką sławę. Bogini nawiedziła ją takim kaprysem, że uwodziła każdego sławnego filozofa, który przybywał do Aten nauczać cnót wstrzemięźliwości. Przez próżność doprowadzała mędrców do hańby, żeby pokonani szlochali w jej ramionach. Udawała, że pokornie słucha ich nauk i wielu twardych mężów udało się jej nabrać. Umiała tak zarliwie wsłuchiwać się w ich słowa, że mędracy wychwalali ją ponad wszystkie spotykane kobiety. Lecz ona wcale nie była ciekawa ich filozofii. Wysilała cały swój kunszt tylko po to, żeby zdeptać ich zasady! Gdy to osiągała, szydząc uciekała od nich i nie chciała ich więcej widzieć, chociaż wielu czołgało się przed nią na kolanach, a jeden przed jej progiem popełnił samobójstwo. Ale jakieś półtora roku temu przybył do Aten pewien uczony Żyd-tułacz.

- Żyd! - krzyknąłem i zerwałem się na równe nogi. Głowa zaswędziała, jakby wszystkie włosy stawały mi dęba. Hetera opacznie przyjęła moje zdumienie.

- Wiem, że Żydzi są potężnymi czarownikami. Ale ten był inny. Nauczał na forum. Zgodnie ze zwyczajem najpierw przesłuchiwał go areopag. Mąż to był krzywonosy, łysy i koślawy, lecz pasjonujący. Kobietę, o której ci opowiadam, ogarnęła przemożna chęć upokorzenia go. Zaprosiła go wraz z innymi gośćmi do swego domu, rzekomo aby wysłuchać nauki. Ubrała się skromnie i na cześć gościa nakryła głowę. Ale, choć sama już nie wiem, co

wyprawiała, nie tylko nie udało się jej go uwieść, lecz nawet zbliżyć do niego! Wreszcie straciła nadzieję i naprawdę zaczęła wsłuchiwać się w jego nauki. Kiedy ten Żyd opuścił miasto, pogrzyżała się w żałobie i zamknęła swój dom przed ludźmi. Teraz utrzymuje kontakty jedynie z kilkoma osobami, na których ta nauka również wywarła duże wrażenie. Bo każda, nawet najdziwniejsza filozofia znajdzie w Atenach swoich zwolenników. Tak oto bogini ukarała jej próżność, choć przecież wiele przysporzyła bogini splendoru, strącając z piedestału tych wszystkich filozofów. Ja uważam, że ten Żyd wcale nie był aż taki mądry, ale że bogini zaczarowała go, by oparł się pokusie. Nasza przyjaciółka czuje się tak bardzo upokorzona, że grozi odejściem z cechu i zamierza prowadzić przyzwoite życie czerpiąc z nagromadzonych oszczędności.

Roześmiała się i pytająco spojrzała na mnie, czy też się roześmiałem. Ale mnie nie było wesoło. Spoważniała i przyznała:

- Młodość umyka, znika uroda, ale siłę prawdziwego wdzięku przy poparciu bogini można zachować do późnego wieku. Przykładem seniorka naszego cechu, która nawet w wieku siedemdziesięciu lat potrafiła oczarować każdego młodzieniaszka.

- Jak się nazywa i gdzie jej szukać?

- Jest już prochem. Bogini dała jej umrzeć we własnym łóżu. Zmarła na atak serca w trakcie uprawiania sztuki.

- Nie o nią pytam, ale o tę kobietę, która kuszyła Żyda!

- Nazywa się Damaris. Łatwo znajdziesz jej dom. Ale, jak już mówiłam, jest rozgoryczona i nie przyjmuje żadnych gości. A jak ci się mój dom podoba?

Przypomniałem sobie dobre obyczaje, pochwaliłem jej dom, występy artystyczne, aromatyczne wina i niezrównaną urodę gospodyni. Uspokoila się i zapomniała o dąsach. Przez grzeczność chwilę odczekałem, wstałem, położyłem na tacy podarunek i w fatalnym ponurym nastroju wróciłem do zajazdu. Osoba Pawła jak przekleństwo dopadła mnie nawet w Atenach! Bo to przecież o niego chodziło.

Długo nie mogłem zasnąć. Aż do brzasku, który wdarł się przez szpary okiennic, wsłuchiwałem się w odgłosy zajazdu. Chciałbym w ogóle nie żyć albo nigdy się nie narodzić. Niczego nie żałowałem. Młodość miałem udaną. Byłem zdrowy, tylko lekko utykałem, ale to byłoby przeszkodą jedynie w osiągnięciu stanowiska w kolegium pontyfików w Rzymie. Dlaczego wydarło mi radość? Czemu Klaudia tak straszliwie mnie oszukała? Dlaczego spotkanie z Pawłem doprowadziło mnie do rozpaczki?!

W końcu zapadłem w głęboki sen i spałem do południa. Zaraz po obudzeniu się wiedziałem, że śniło mi się coś uroczonego, ale nie pamiętałem co. Miałem jednak zupełną pewność, że uzyskanie informacji o heterze Damaris nie było kwestią przypadku. Tak mnie to ucieszyło, że zjadłem z apetytem obiad, udałem się do fryzjera i pozwoliłem sobie utrefić włosy, tudzież jak mogłem najstaranniej ułożyłem fałdy mej greckiej szaty.

Szybko znalazłem piękny dom Damaris. W drzwiach tkwiła kołatka z korynckiego brązu w kształcie jaszczurki. Wielokrotnie stukałem. Jakiś przechodzień zrobił nieprzyzwoity gest ręką i pokręcił głową; dawał do zrozumienia, że stukam na próżno. Wreszcie drzwi otworzyła młoda

zapłakana niewolnica. Próbowwała zatrzasnąć mi je przed nosem, ale zdążyłem wetknąć nogę w szparę i powiedziałem, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy:

- W Koryncie spotkałem Żyda Pawła. Chcę z twoją panią o nim porozmawiać. O nic innego mi nie chodzi.

Po chwili wahania dziewczyna wpuściła mnie do sali wypełnionej kolorowymi rzeźbami, zdobnymi sofami i wschodnimi kilimami. Po krótkiej chwili wpadła do sali Damaris. Była bosa i na wpół ubrana. Jej twarz promieniała nadzieją. Pozdrowiła mnie, wznosząc obie ręce i spytała:

- Kim jesteś, panie? Czy naprawdę przynosisz mi pozdrowienia od apostoła Pawła?

Jąłem wyjaśniać, że niedawno spotkałem Pawła w Koryncie i długo z nim rozmawiałem. Wywarł na mnie tak ogromne wrażenie, że nie mogę o nim zapomnieć. Więc kiedy usłyszałem, że ona również wpadła w kłopoty z powodu nauk Żyda-tułacza, postanowiłem się z nią spotkać i porozmawiać.

Mówiąc to przyglądałem się kobiecie; stwierdziłem, że jej najlepszy wiek już przeminął. Była jednak nadal piękna, a jej zgrabnej figurze nic nie można było zarzucić. Gdyby się ubrała w kuszące szaty, utrefiła włosy i umalowała się, wówczas w przyćmionym świetle mogłaby robić wrażenie na mężczyznach.

Radość zniknęła z jej twarzy. Odsunęła się szybko ode mnie, słuchała ze słabnącym zainteresowaniem. Usiadła na skraju sofy i zaprosiła mnie, abym także usiadł. Chyba zauważyła mój badawczy wzrok, bo - jak to kobieta - poprawiła włosy, otuliła się szczelniej szatą i próbowała okryć bosc stopy narzutą. Rozszerzonymi oczyma patrzyła pytająco na mnie. A mnie ogarnęło przyjemne uczucie zadowolenia, że na nią patrzę. Uśmiechnąłem się i powiedziałem:

- Przez tego straszego Żyda czuję się jak mysz w pułapce. Czy i ty, Damaris, odnosisz podobne wrażenie? Może zastanówmy się wspólnie, jak wy dostać się z tej pułapki i odzyskać radość życia!

- Czemu jesteś przestraszony? - uśmiechnęła się, ale jednocześnie zaprzeczyła ręką. - Paweł jest zwiastunem zmartwychwstałego Chrystusa i głosi radosną nowinę. Teraz, po spotkaniu z nim, pojęłam, że nigdy dotychczas nie zaznałam prawdziwej radości!

- Czy to naprawdę ty rzuciłaś na kolana mędrców?! - krzyknąłem zdumiony. - Mówisz jak szalona!

- Dawni przyjaciele mówią, że straciłam rozum - przyznała bez wahania. - Ale wolę postradać rozum dzięki jego nauce, niż żyć tak, jak żyłam dawniej. On przejrzał mnie na wskroś, czego nie zrobili tamci rozpustni mędracy o białych brodach. Odczułam wstyd i przeraziłam się sama sobą. Dzięki Chrystusowi uzyskałam odpuszczenie grzechów. Z zamkniętymi oczami idę nową drogą, jakby mnie duch prowadził.

- Skoro tak - powiedziałem rozczarowany - to chyba nie mamy sobie dużo do powiedzenia.

- Nie odchodź! To nie był przypadek, że przyszedłeś do mnie, ale sygnał serca! Jeśli chcesz, poznam cię z braćmi, którzy go słuchali i wierzą w dobrą nowinę!

Tak oto poznałem Damaris i kilkoro Greków, którzy wieczorami przychodzili tylnym wejściem do jej domu, aby dyskutować o Pawle i jego nauczaniu. Już wcześniej przez ciekawość ludzie ci interesowali się żydowskim Bogiem, czytali księgi i bywali w synagodze. W wywodach Pawła oczarowało ich to, że nie żądał obrzezania ani przestrzegania żydowskiego prawa, tylko głosił nowe przymierze z Bogiem. Wierzyli, że Jezus Nazarejski jest Chrystusem i synem Boga, który przyszedł na świat, aby przez swoje cierpienie, śmierć i zmartwychwstanie wybawić ich od grzechów.

Ponieważ pochodzili z Attyki i byli ludźmi wykształconymi, próbowali w sposób skomplikowany wyjaśnić, jak to jest możliwe, że Jezus był równocześnie człowiekiem i synem Boga. Mogli na ten temat dyskutować bez końca z pałającymi oczyma. Z ich dyskusji wynioskowałem, że uważali siebie za dużo mądrzejszych od samego Pawła, którego przecież uznawali za głosiciela słowa Bożego. Ale wiara im nie wystarczała. Chcieli posiadać wiedzę tajemną.

Spośród nich najwyższym wykształceniem wyróżniał się Dionizjusz. Był członkiem areopagu i przesłuchiwał Pawła po jego przyjeździe do Aten. Z Tessalonik i Berei, gdzie Paweł wcześniej przebywał, dotarły pogłoski, że wraz ze swoimi uczniami wywoływał różne zamieszki i niepokoje. Występując przed areopagiem Paweł odwołał się do poetów greckich, a jego twierdzenia o zmartwychwstaniu umarłych wzbudziły wielkie zainteresowanie Dionizjusza, więc skontaktował się z Pawłem, żeby dogłębniej zbadać tę kwestię.

Swego czasu Dionizjusz studiował pisma Żyda Filona z Aleksandrii, traktujące o poczwórnej symbolice świętych ksiąg, którą utożsamiał z czterokołowymi wozami, wożącymi naturę boską. Dionizjusz uważał, iż Filon dokonał połączenia mądrości starożytnego Egiptu i orfików z egzegezą żydowskiego pisma. Niegdyś interpretorami wiedzy boskiej byli Pitagoras, Platon, Pindar i Ajschylos. Dionizjusz uznawał połączenie całej dotychczasowej wiedzy za oryginalną i pełną wiedzę o Bogu; dysponując tą tajemną wiedzą duch ludzki mógł, wyrwawszy się ze świata zmysłów, połączyć z wieczną, niezmaconą światłością Boga.

Gwoli uczciwości muszę przyznać, że Dionizjusz mówił ogromnie zawile i nie rozumieli go nawet jego przyjaciele, cóż więc mówić o mnie! Ale intencje miał chyba dobre. Damaris przysłuchiwała się z daleka; na jej twarzy błąkał się uśmiech - chyba taki sam jak ten, z którym słuchała uwodzonych przez siebie mędrców.

Po dyskusji Damaris podała skromny posiłek i wszyscy obecni, w tym i ja, łamali się chlebem i pili cienkie wino w imię Chrystusa, ponieważ Paweł wprowadził taki zwyczaj. Nawet tak prostemu posiłkowi Ateńczycy potrafili przypisać poczwórą symbolikę: miał on być materialnym, etycznie konstruktywnym oraz mistycznym połączeniem się z Chrystusem, a także osiągnięciem wzajemnego braterstwa obecnych.

Przyznaję, że w czasie dyskusji patrzyłem tylko na Damaris. Po posiłku pocałowałem ją - taki zwyczaj mają chrześcijanie - co sprawiło mi dużą przyjemność. Nigdy nie widziałem, aby jakaś kobieta zachowywała się równie uroczo, a równocześnie tak naturalnie jak ona. Każdy jej gest był

piękny, a głos czarujący; słuchało się raczej jego brzmienia niż słów. Poruszała się z taką gracją, że miło było przyglądać się wszystkim jej czynnościom.

Wszystko wskazywało na to, że Paweł zostawił Grekom wiele twardych orzechów do zgryzienia. Oni naprawdę żyli polemikami. Owszem, uwierzą Pawłowi, ale pod warunkiem, że do jego nauk zastosują własne metody badawcze. A ja - ja jak zaczarowany wpatrywałem się w Damaris i puszczałem mimo uszu wszystkie ich wywody.

Grecy potwierdzali, że sama istota człowieka tęskni za światłością Boga, ale zaraz zaczęli się zastanawiać, czy aby w kamieniu, roślinie lub zwierzęciu nie istnieje w prostej, wciąż rozwijanej formie, taka sama tęsknota. Dionizjusz zapewniał, że Paweł dysponował zaskakująco obfitą tajemną wiedzą o dominacji ducha - sędzę jednak, że on sam był głęboko przekonany o wyższości własnych przekonań o duchowym ładzie kosmosu.

Wszystkie te dyskusje były dla mnie jeno szumem rwącego strumienia. Przywykłem obdarowywać Damaris drobiazgami - kwiatami, owocami smażonymi w cukrze, ciasteczkami czy przejrzystym fiołkowym miodem z gór Hymettu. Przyjmowała te prezenty patrząc mi prosto w oczy jasnym wzrokiem doświadczonej kobiety; byłem przy niej jak byle pęta i niezdarą. Zanim się zorientowałem, poświęcałem jej wszystkie swoje myśli i tylko wyczekiwałem na chwilę, gdy mogłem znowu iść do niej.

Czasem spotykaliśmy się tylko my dwoje. Opowiadała mi wówczas o sobie. Wspominała swoje dzieciństwo, kwiaty rosnące na stepie północnego wybrzeża Morza Czarnego, mówiła o tym, jak ją, gdy była jeszcze małą dziewczynką, sprzedano na dorocznym targu niewolników w Delos. Ale o swoim szkoleniu i doświadczeniu hetery nie chciała opowiadać, chociaż kobiety jej autoramentu chętnie chełpią się swymi osiągnięciami. A przecież miała wiele powodów do chwalenia się!

Zauważyłem, że wcale nie byłem ciekaw jej mrocznej przeszłości. Gdy spoglądałem w jej twarz, widziałem, jak spoza oblicza dojrzałej kobiety wyziera mała dziewczynka, która umykała z domu, by splatać wianuszki ze stepowych bylin, a potem stała się łupem zwyrodnialców. Z wartkim prądem w dół rzeki wieziono małe, bezbronne dziecko, z którego wyrosła słynna Damaris, uwieczniona przez artystów w marmurze i kości słoniowej jako Afrodyta z Aten.

Nadszedł moment, kiedy sam sobie musiałem wyznać, że zakochany w niej jestem po uszy. Bardziej niż czegokolwiek w życiu pożądałem jej bliskości, dotyku, pocałunku. Moje wcześniejsze przeżycia erotyczne straciły wszelkie znaczenie wobec tego, co wyobrażałem sobie odnaleźć w jej ramionach. Gdy myślałem o tym, wszystko inne przestawało istnieć.

Przeraziłem się. Czyżby przeznaczeniem moim miało być zakochanie się w starszej ode mnie o dwadzieścia lat, sponiewieranej heterze? Kiedy uprzytomniłem sobie, że ją kocham, powinienem był natychmiast czmychać z Aten. Ale nie mogłem na to się zdobyć. Zrozumiałem mędrców, którzy modlili się do niej. Zrozumiałem nawet tego, który popełnił samobójstwo na progu jej domu, gdy zrozumiał, że pożąda jej bez nadziei.

Nie mogłem uciekać. Musiałem ją zobaczyć. Znowu siedzieliśmy razem i znowu na nią patrzyłem. Nagle usta mi zadrżały i gorące łyzy pożądania

popłynęły mi z oczu. Szepnąłem:

- Damaris, wybacz mi! Boję się, że do szaleństwa się w tobie zakochałem!

Damaris spojrzała na mnie jasnym wzrokiem, wyciągnęła rękę i koniuszkami palców dotknęła grzbietu mojej dłoni. To muśnięcie przeszło mi paraliżującym dreszczem, spazmatycznie westchnąłem.

- Tego i ja się obawiałam - powiedziała. - Widziałam, jak to nadchodzi. Najpierw miało postać niewinnego białego obłoku na nieboskłonie. Teraz stało się czarną burzową chmurą, która w tobie szaleje. Powinnam była wcześniej cię stąd wyprosić, ale jestem tylko kobietą, mimo wszystko. - Podparła ręką podbródek, aby wygładzić zmarszczki na szyi, wpatrywała się przed siebie i dodała: - Tak jest zawsze. Usta zasychają, język dygoce, łzawią oczy.

Mówiła prawdę. Język w zaschniętych ustach tak mi drżał, że słowa nie mogłem wykrztusić. Padłem na kolana i próbowałem ją objąć. Ale Damaris nadzwyczaj łatwo mi się wywinęła i powiedziała oschle:

- Za jedną, jedyną noc ze mną płacono tysiąc monet w złocie. Swego czasu jeden bogacz stracił przeze mnie kopalnię srebra i biedny jak mysz kościelna musiał dorabiać się od początku.

- Mogę ci dać tysiąc monet złota, nawet dwa tysiące, tylko pójde do bankiera - obiecałem porywczo, drżąc z podniecenia.

- Jeśli młody chłopiec podobał mi się, wystarczały mi fiołki w prezencie - odrzekła kapryśnie. - Ale nie mówmy o tym. Nie chcę od ciebie prezentów. Sama ci dam upominek. Będzie nim rozpaczliwe podsumowanie wszystkich moich doświadczeń: rozkosz fizyczna jest torturą. Zaspokojenie ciała nigdy nie jest pełnym zaspokojeniem, ono wzbudza większą żądzę. Oddawanie się rozkoszom cielesnym jest dorzucaniem żaru do ognia. Mój ogień już się wypalił. Nigdy nie zapalę płomienia ofiarnego na niczyją zgubę. Czy nie rozumiesz, że wstydzę się dawnego życia?!

- Czubkami palców dotknęłaś mojej dłoni - wyszeptałem, pochylając głowę, a lzy kapąły mi na marmurową posadzkę.

- Źle zrobiłam - przyznała. - Chciałam cię dotknąć, abyś nigdy o mnie nie zapomniał. Tęsknota znaczy o wiele więcej niż jej spełnienie! Jest to przykra, ale rzetelna prawda. Wierzaj mi, Minutusie, mój drogi! Jeśli teraz się rozstaniemy, obojgu nam zostanie piękne wspomnienie. Nigdy źle o sobie nie pomyślimy. Ja mam nową drogę. Ale dróg jest wiele. Być może kiedyś i twoja droga będzie cię wiodła do tej samej szczęśliwości, co moja.

Ogarnięty żądzą modliłem się, zebrałem, poniżałem i przysięgałem, że poza nią nic na świecie nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Ani majątek, ani godność rycerska, ani honor Rzymianina. Byłem gotów wszystko dla niej poświęcić, jeśli tylko raz weźmie mnie w ramiona i odda mi się. I mówiłem to serio.

Damaris westchnęła i zadrżała; z jej oczu także popłynęły łzy. Leciuteńko dotknęła ręką mych włosów; mnie się zdawało, że owionął mnie żar ognia.

- Twoje włosy pachną miętą - szepnęła. Natychmiast cofnęła rękę, zacisnęła dłonie i powiedziała: - A więc wyłącznie dla zaspokojenia swojej żądz gotów jesteś odrzucić całą swoją przyszłość? Dlaczego nie chcesz

zrozumieć, że gotowa jestem ofiarować wszystko, co posiadam, aby odnaleźć jedyną prawdziwą radość? Czy nie pojmujesz tego, Minutusie?! Niewytłumaczalny Bóg tak bardzo ukochał świat, stworzony przez siebie, że jako człowiek tu się narodził, by dla prawdziwej miłości człowieka z Bogiem cierpieć za wszystkich i uwolnić rodzaj ludzki od grzechu?

- Przestań mi wygłaszać kazania, przekłeta dziewczko! - krzychałem głosem ochryplym z pożądania. - Zapłacę, ile żadasz!

Damaris ochłonęła i patrzyła na mnie z pobladłą twarzą. Po długim namyśle rzekła arogancko:

- Niech będzie, jak chcesz! Przyjdź jutro wieczorem, abym mogła przygotować się dla ciebie! Tylko żebyś potem mnie nie szkalował!

Ta obietnica mnie odurzyła, chociaż w tonie jej głosu kryło się coś złowieszczonego. Wyszedłem na chwiejnych nogach. Zziębnięty ze zniecierpliwienia cały dzień łąziłem po mieście. Wdrapywałem się na Akropol, aby patrzeć na morze o barwie wina i zabijać w ten sposób czas. Następnego dnia rano udałem się do łaźni i do gimnazjonu, gdzie ćwiczyłem pilnie, chociaż gdy tylko wspomniałem Damaris, wszelki gwałtowny ruch powodował przepływ ognia przez moje ciało.

W końcu zapadł ametystowy zmierzch, a na niebie zaśniła wieczorna gwiazda. Porywczco zapukałem do drzwi Damaris. Nikt nie otwierał. Pomyślałem, że w ostatniej chwili postanowiła odwołać swoją decyzję i ze zdenerwowania aż kolana ugięły się pode mną. Pchnąłem drzwi i ku swej radości stwierdziłem, że nie były zamknięte. Wszedłem do środka. W sali paliło się jasne światło.

Poczułem odrażający smród zjełczałego kadzidła. Sofka była nakryta porwanymi łachmanami. Prymitywne lampy okopciły ściany. Bezmyślnie rozglądałem się po tym niedawno tak pięknym pokoju i niechcący uderzyłem łokciem w tacę. Brzęk rozniósł się po całym domu. W chwilę później powłóczyłym krokiem wsunęła się Damaris. Patrzyłem z przerażeniem. To nie była Damaris, którą znałem!

Wargi pokrywała wyzywająco krwista, jakby brudna szminka, zmierzwione włosy zwisały w kosmykach, jak u portowej dziewczki, okrywały ją cuchnące winem i rzygowinami strzępy łachmanów. Wokół oczu wymalowała okropne czarne kręgi, barwiczka uwydatniła wszystkie zmarszczki. Była to twarz zgrzybiałej, zużytej ulicznicy.

- Oto jestem, Minutusie, twoja Damaris! - powiedziała obcym głosem. - Jestem taka, jakiej mnie pożadasz. Bierz mnie! Wystarczy pięć miedzianych asów!

Przerażony osunąłem się przed nią na kolana. Pochyliłem głowę i płakałem z bezradnej tęsknoty. Wreszcie wykrztusiłem:

- Wybacz mi Damaris, moja ukochana!

- Zrozumiałeś, widzę - rzekła swoim zwykłym głosem - że taką chciałeś mnie uczynić. Pragnąłeś mnie poniżyć. To wszystko jedno, czy miałoby to miejsce w łożu pachnącym fiołkami, czy też we wnęce portowego muru w smrodzie świńskiego łajna i uryny.

Straszliwie rozczarowany płakałem, opierając głowę na jej ramieniu. Pożądanie odpłynęło. Pociuszająco gładziła mnie po głowie i czule do mnie przemawiała. Odeszła na chwilę, aby się umyć, przyodziać czyste szaty i

uczesać się. Gdy wróciła, twarz jej promieniała taką radością, że mimo drżenia warg musiałem się uśmiechnąć.

- Dziękuję ci, Minutusie, mój kochany! - powiedziała. - W ostatniej chwili cofnąłeś się przed zepchnięciem mnie w przeszłość. Przez całe życie będę ci wdzięczna za tę dobroć, za to, że nie pozbawiłeś mnie radości nowej drogi, jaką chcę kroczyć. Kiedyś zrozumiesz, że radość w Chrystusie jest cudowniejsza od wszystkich ziemskich uciech!

Długo rozmawialiśmy, trzymając się za ręce jak brat z siostrą, albo raczej jak matka z synem. Usiłowałem ostrożnie zasugerować jej, że być może prawdą jest tylko to, co można zobaczyć na własne oczy, a wszystko pozostałe - złudną grą wyobraźni. Lecz ona, nie spuszczać ze mnie swych pięknych, błyszczących oczu, mówiła:

- Moje uczucia oscylują między głębokim przygnębieniem a ogromną radością; w najlepszych chwilach odczuwam radość, która przekracza ziemskie granice. To jest dla mnie łaska, prawda i miłosierdzie. W nic innego nie chcę wierzyć ani niczego rozumieć!

Na koniec zaś powiedziała:

- Najrozsądniej zrobisz wracając do swych obowiązków w Koryncie. Przemyśl to, co cię spotkało, mój kochany! Być może nigdy w życiu już się nie zobaczymy. Nie wiem jeszcze, co zrobię. Najchętniej poszłabym za Pawłem, ale kobieta o tak kiepskiej reputacji wstyd by mu tylko przyniosła. To prawda, ten, który go posłał, Jezus Chrystus, nie osądzał grzesznych niewiast, ale Pawła szpiegują i wiecznie o coś podejrzewają. Gdybym poszła za nim, to wedle opinii tego świata stanąłby w złym świetle. Jeśli go spotkasz w Koryncie, przekaz mu pozdrowienia od Damaris!

Kiedy zupełnie odrętwiały, nie wiedząc już w co wierzyć ani o czym marzyć, wróciłem do zajazdu, zastałem tam oczekującego na mnie żołnierza z mojej eskorty. Nie miał miecza, a na ramionach nosił brudną opończę. Wyobrażałem sobie, z jakim niepokojem przemykał obok niezliczonych pomników i posągów bogów. Żołnierz padł przede mną na kolana i błagał:

- Przebacz, trybunie, że złamałem twój rozkaz, ale mój towarzysz i ja nie zniesiemy dłużej takiego życia. Twój wierzchowiec usycha z tęsknoty i każdego z nas zrzuca z grzbietu, kiedy próbujemy go przejeżdżać. Z wartownikami portowymi mamy stałe awantury o żołd. Ale przede wszystkim przekłeci Ateńczycy obskubują nas tak zdradziecko, że w ich rękach jesteśmy jak spętane barany, chociaż uważamy się za mężów zahartowanych w utarczkach z korynckimi oszustami. Najgorszy jest sofista, który do cna nas oskubał, udowadniając, że Achilles nigdy nie doścignie zółwia. My wyśmiewamy korynckich spryciarzy, którzy chowają trzy kolorowe kulki pod czarkę od wina i każą odgadywać, gdzie która jest. Ale ten straszliwy sofista wierci nam dziury w brzuchach! Twierdzi, że Achilles nigdy nie wygra z zółwem! I oto dzieli drogę na pół, potem znowu na pół i jeszcze na pół, w nieskończoność i udowadnia, że Achilles ma wciąż malusieńki kawałek do mety i nigdy nie zdąży do celu przed zółwem. Sami stanęliśmy do biegu z zółwem i oczywiście wygraliśmy, ale jego dowodu nie byliśmy w stanie obalić, chociaż wiele razy podejmowaliśmy zakład. Na rzymskie orły, wiedz nas z powrotem do Koryntu,

nim ostatecznie postradamy rozum!

Skarżył się tak żałośnie i elokwentnie, że nie dał mi dojść do głosu. Oczywiście skarciłem go, ale nie próbowałem rozwiązać zagadki z żółwem, bo nie byłem w nastroju po temu. Kazałem mu wziąć mój bagaż na plecy i opuścić Ateny przez nikogo nie żegnany i z takim pośpiechem, że zapomniałem odebrać z pralni dwa chitony.

Ostro ganiłem sam siebie, że oczarowany przez Damaris zaniedbałem obowiązki dowódcy. Po moim przybyciu do portu żołnierze usiłovali się domyc i trzęsącymi rękami jeden drugiemu strzygli włosy i brody. W tanich portowych spelunach zastawili nawet swoje miecze, a za to groziła śmierć na krzyżu!

Całą winę wziąłem na siebie. Kupiłem im mięsa i wina, żeby zjedli i nabrali sił. Zresztą miałem powody do wdzięczności, bo nie sprzedali mojego siodła ani konia, ale paśli go na miejscowych łąkach i nawet kupowali mu owies.

Sprawę ich zadłużenia wyjaśniłem z wartownikami portowymi. Z ich raportów wynikało, że były wystarczające powody do przetrzymywania żołnierzy w karcerze i że skargi na surowe traktowanie nie mają sensu. Z sowitym naddatkiem wypłaciłem mej eskorcie zaległy żołd z własnej kieszeni. Ci głupcy natychmiast udali się do owego sofisty; chcieli kupić rozwiązanie zagadki żółwia i Achillesa, żeby móc zarabiać na zakładach w Koryncie!

Powołując się na wszystkich bogów Ateńczyk twierdził, że rozwiązanie zagadki stanowi boską tajemnicę, której niedorozwinięte umysły nie są w stanie pojąć, podobnie jak nie pojmą słowa nieskończoność. Obiecywał natomiast nauczyć ich pitagorejskiego działania matematycznego, w którym sumuje się wiele liczb i w końcu nic nie zostaje. Ale żołnierze nie mogli skorzystać z tej propozycji, bo nie umieli liczyć.

Wszyscy wyjechaliśmy z Pireusu w ponurych nastrojach i drogę, którą sam przebyłbym w jeden dzień, pokonywaliśmy trzy dni. Nocowaliśmy w Eleusis i Megarze. Żołnierze na tyle się ożywili, że w marszu śpiewali i pohukiwali. W końcu dotarliśmy do Koryntu.

W koszarach przekazałem ich centurionowi, który najbardziej się ucieszył z faktu, że może zatrzymać w kieszeni ich zaległy żołd. Rubriusz przyjął mnie w chitonie mokrym od wina i w przekrzywionym wieńcu z liści laurowych na głowie. Nie bardzo wiedział, kim jestem, i wielokrotnie pytał o moje imię. Speszony tłumaczył, że doznał urazu głowy w Panonii, a także że jest stary i cierpiący i tylko czeka, żeby przejść na wysłużony odpoczynek.

Potem udałem się do rezydencji prokonsula. Od sekretarza usłyszałem, że mieszkańcy Delf odwołali się do cesarza ze swoimi sporami granicznymi i zapłacili za to odwołanie. Z kolei mieszkańcy świętych terenów Artemidy w pobliżu Olimpu wysłali skargę, jakobym wyśmiewał boginię i w ten sposób spowodował śmiertelny wypadek. Oczywiście uczynili to dla ratowania własnej skóry, ponieważ ziemię podzielili między siebie, a świątynię doprowadzili do ostatecznej ruiny. Z Aten nie nadeszły żadne zażalenia na moje postępowanie. Dowódca wartowni portowej w Pireusie był prawie analfabeta, nie lubił więc używać tabliczek

woskowych.

Chodziłem z opuszczoną głową, ale Gallio przyjął mnie serdecznie, nawet uściskał i od razu zaprosił na obiad, mówiąc:

- Zapewne to od nadmiaru ateńskiej mądrości wzdychasz jak napeężniały bukłak wina. Ale porozmawiajmy o sprawach Rzymu.

W czasie obiadu streścił list Seneki. Neron rozwija się z dnia na dzień i z takim szacunkiem odnosi się do senatorów i zwykłych ekwitów, że ci uważają go za radość i szczęście całego społeczeństwa. Klaudiusz ożenił go z Oktawią, swoją ośmioletnią córką z poprzedniego małżeństwa z Mesaliną, aby udowodnić Agrypinie, że kocha ją bardziej od tamtej.

Z punktu widzenia prawa małżeństwo Nerona było kazirodztwem, bo przecież Klaudiusz adoptował Nerona, więc Oktawia stała się jego siostrą. Ale przeszkodę prawną usunięto, bo jeden z senatorów adoptował Oktawię przed ślubem.

Brytanik nie wykazywał takich zdolności jak Neron. Często chorował, przebywał w swoich pokojach w Palatynie i odnosił się nieprzychylnie do swojej macochy, Agrypiny. Na miejsce dwóch poprzednich prefektów wyznaczono jednego dowódcę pretorianów, jednorękiego niedźwiedzio-watego weterana, Burrusa, który był dobrym przyjacielem Seneki i wielkim szacunkiem darzył Agrypinę jako córkę Germanika.

- Cesarz czuje się dobrze - relacjonował Gallio, zerkając do otrzymanego listu i równocześnie ułał nieco wina z pucharu na podłogę. - Zachowuje się wciąż po cesarsku, jak dotychczas, i cierpi tylko na nieszkodliwą zgagę. Jeśli zaś chodzi o sprawy gospodarki, to wkrótce oddany będzie do użytku port w Ostii, który stanie się bezpiecznym schronieniem dla statków ze zbożem. Miliony złotych monet utopiono w błotach i mieliznach, ale już nigdy w Rzymie nie trzeba będzie obawiać się rozruchów, spowodowanych wstrzymaniem rozdziału zboża. Swego czasu na forum zbuntowana grupa ludzi tak przyciskała Klaudiusza do muru, że był w strachu o własną skórę. Cena afrykańskiego zboża spadnie i uprawa zboża w Italii przestanie się opłacać. Dalekowzroczni senatorowie przerzucili się na hodowlę bydła rzeźnego i na licytacjach sprzedają niewolników rolnych do innych krajów.

Uspokoilem się, ponieważ Gallio paplał po ojcowsku i nie wypominał przedłużonego pobytu w Atenach. A prokonsul badał mnie wzrokiem i jednocześnie ciągnął lekkim tonem:

- Jesteś blady i tylko oczy ci błyszczą. Studiowanie w Atenach wielu uczciwym rzymskim młodzianom zawróciło w głowie! Słyszałem, że pobierałeś nauki u pewnej mądrej niewiasty. To niewątpliwie wyczerpuje fizycznie i nadwęża kieszeń. Mam nadzieję, że nie zadłużyłeś się po uszy. Wiesz co, Minutusie? Świeży morski wiatr dobrze by ci zrobił!

Zanim zdążyłem podjąć niezdarne tłumaczenie się, ostrzegawczo wznosił rękę i powiedział z uśmiechem:

- Twoje prywatne życie mnie nie interesuje. Najważniejsze, że za pośrednictwem mego brata serdecznie cię pozdrawiają młody Neron i piękna Agrypina. Neron wypytywał o ciebie. Możemy tylko sławić Fortunę, że taka wspaniała kobieta jak Agrypina dzieli troski władzy z Klaudiuszem. Podobno wysłałeś piękny brązowy wazon koryncki w podarunku dla Agrypiny? Bardzo ją to ucieszyło.

Przez moment poczułem tęsknotę za Rzymem. Życie tam wydawało się proste i biegło w utartych koleinach. W tym samym momencie uświadomiłem sobie, że przez zmianę miejsca pobytu nie uwolnię się od żadnych problemów. Westchnąłem.

- O ile wiem, miałeś po drodze konflikt z Artemidą - Gallio uśmiechał się roztargniony. - Powinieneś osobiście złożyć odpowiedni dar ofiarny w świątyni w Efezie. Muszę wysłać poufny list do prokonsula Azji. Gdy go spotkasz, możesz mu opowiedzieć o nadzwyczajnych zdolnościach Nerona, jego pięknym zachowaniu w senacie i o mądrym wychowaniu go przez Agrypinę. Małżeństwo Nerona z Oktawią ma duże znaczenie polityczne, zastanów się nad tym, to zrozumiesz. Oczywiście mieszkają teraz osobno, boć to jeszcze mała dziewczynka.

Czułem w głowie taki zamęt, że mogłem jedynie bezmyślnie potakiwać. Gallio zaś roztaczał przede mną całą gamę swoich rozmyślań:

- Mówiąc między nami, styl życia Mesaliny narzuca co najmniej podejrzenie co do pochodzenia zarówno Brytanika, jak i Oktawii. Ale Klaudiusz uważa je za własne dzieci, są też nimi z punktu widzenia prawa, więc nawet Agrypina nie waży się boleśnie ranić męża wysuwaniem jakichkolwiek podejrzeń.

Powiedziałem, że jeszcze przed wyjazdem do Brytanii słyszałem o tym, ale sądziłem, że specjalnie rozpuszcza się te straszliwe plotki o Mesalinie, więc nie wierzyłem w nie. Ona była taka młoda, piękna i lubiła się bawić, Klaudiusz zaś był staruchem. Nie wierzę, by była aż taka zła.

- Pamiętaj, że przez lekkomyślność Mesaliny skrócono o głowę lub dano łaskę podcięcia sobie żył pięćdziesięciu senatorom i dwustu ekwitom - Gallio machnął niecierpliwie ręką, w której dzierżył puchar wina. - Wątpię, czy gdyby nie to, twój ojciec otrzymałby szeroki pas purpurowy.

- Jeśli cię dobrze zrozumiałem, prokonsulu - powiedziałem z wahaniem - Klaudiusz ma kłopoty z żołądkiem i otępiąły umysł. Kiedyś będzie musiał zapłacić za swoje błędy, mimo składania wysokich ofiar swemu bóstwu opiekuńczemu.

- Niechaj przepadną złowieszcze słowa! - krzyknął Gallio. - Uznajmy, żeś tego nigdy nie powiedział. Mimo swoich słabości Klaudiusz tak dobrze włada Rzymem, że po jego śmierci senat bez żadnego problemu będzie mógł ogłosić go bogiem, choćby to miało wzbudzić sporo śmiechu. Człowiek dalekowzroczny musi jednak zastanowić się, kto będzie jego następcą.

- Czyżby Neron?! - szepnąłem z nadzieją w głosie. - Przecież to jeszcze podrostek!

Po raz pierwszy pomyślałem o tym i byłem przejęty, przecież od dawna, zanim jeszcze Agrypina została małżonką Klaudiusza, byłem jego przyjacielem.

- Nie bój się swoich myśli, trybunie Minutisie! - poradził Gallio. - Niebezpiecznie jednak o tym mówić, jak długo Klaudiusz żyje i oddycha. Zrozumienie rozwoju wypadków miałoby szczególne znaczenie, gdyby ta sama znakomita myśl na czas narodziła się w kręgach rządów wielu prowincji. Nie będę miał nic przeciwko temu, żebyś z Efezu pojechał do Antiochii. To przecież twoje rodzinne miasto! Podobno tamtejsi

wyzwoleńcy twojego ojca zgromadzili ogromne bogactwa i wpływy. Trzeba tylko, byś dobrze mówił o Neronie, nic więcej! Ani słowa o przyszłości. Tego się wprost wystrzegaj. Niechaj każdy sam wyciągnie wnioski z rozmowy! Ludzie na Wschodzie są bieglejsi w rachunkach politycznych niż Rzymianie!

Zostawił mi trochę czasu na zastanowienie się i podjął dalej:

- Oczywiście sam poniesiesz koszty podróży, chociaż formalnie otrzymasz listy, w których raczej będę rekomendował cię, aniżeli przedstawiał administracyjne problemy sporne między prowincjami. Wszystko co powiesz, będzie pochodziło wyłącznie od ciebie, nie ode mnie. Jesteś szczerzy i jeszcze tak młody, że wątpię, aby ktokolwiek cię podejrzewał o intrygi polityczne. I nie w tym rzecz. Rozumiesz. W prowincjach wschodnich żyją banici, którzy cierpią trudy wygnania z powodu podejrzliwości Klaudiusza. Mają oni licznych przyjaciół w Rzymie. Nie unikaj tych ludzi, bo po śmierci Klaudiusza nawet Żydzi zostaną ulaskawieni. Gwarantuje to mój brat, który sam przez osiem lat był banitą. Możesz wzmiankować o dolegliwościach żołądkowych Klaudiusza, ale nigdy nie omieszkaj dodawać, że najprawdopodobniej to zwykła zgaga, choć rak żołądka daje takie same objawy. Mówiąc między nami, Agrypina jest głęboko zaniepokojona stanem zdrowia Klaudiusza. A ponieważ jest on żarłokiem, nigdy nie będzie przestrzegał żadnej rozsądnej diety.

Przemknęło mi przez myśl, że prokonsul Gallio musi mieć dobrze z czubie, skoro ośmiela się głośno mówić do mnie takie rzeczy. Sądzę, że przeceniał moją żądzę sławy, ponieważ uważał, że każdemu młodemu Rzymianinowi wrodzone są wysokie ambicje. We mnie także płynęła kropla wilczej krwi.

Odważyłem się wspomnieć o stanie Rubriusza, ponieważ bałem się, że wobec jego pijaństwa będę musiał przejąć odpowiedzialność za garnizon w Koryncie. Gallio odparł:

- Rubriusz już taki jest i nic na to nie poradzę. Ale także z tego powodu lepiej będzie, jeśli wyjedziesz. Garnizonem zajmie się centurion. Finanse, zdaniem cenzora, są w porządku, należały do moich obowiązków. Niczego więcej zrobić nie mogłem. Wprawdzie jestem hegemonem Achajów nie z wyboru senatu, ale mam osobiste pełnomocnictwa cesarza. Możesz podróżować, jak długo zechcesz, nawet rok!

I odesłał mnie, polecając, abym się dobrze wyspał. Był późny wieczór. Mimo tego przed moim domem płonęły pochodnie, a z budynku dochodziły śpiewy i nawoływania. W jaki sposób Hieraks dowiedział się o moim powrocie i przygotował mi huczne powitanie? Wszedłem do domu i ujrzałem tłum mężczyzn i kobiet, którzy w najlepsze kończyli wieczerzę. Wszyscy byli pijani. Jakiś gość wybałuszając oczy skakał po pokoju, inny wykrzykiwał niezrozumiałe wyrazy. Hieraks w roli gospodarza kolejno obcałowywał wszystkich. Zmieszał się na mój widok, ale po chwili odzyskał pewność siebie i zawołał:

- Niech będzie błogosławiony twój przyjazd, panie mój, Minutusie! Jak widzisz, ćwiczymy naukę świętych pieśni. Zgodnie z twoim poleceniem zaznajomiłem się z nową żydowską nauką. Jak ułał pasuje takiemu mizernemu niewolnikowi jak ja!

Odźwierny i kucharka szybko się opamiętali i padli przede mną na kolana. Hieraks, ujrawszy gniew na mej twarzy, odciągnął mnie na bok i szybko wyjaśniał:

- Nie gniewaj się! Wszystko jest na dobrej drodze. Surowy Paweł z jakiegoś powodu załamał się, obciął włosy i pożegłował do Azji i do Jeruzalem, aby zdać relację starszyźnie. Po jego wyjeździe między chrześcijanami zaczęły się spory, kto jest powołany do udzielania rad innym. Żydzi jak zawsze są samolubnie przekonani o własnej, najwyższej kompetencji we wszystkim, także w sprawach Chrystusa. Dlatego wykorzystałem twój dom na zgromadzenie gojów podzielających moje poglądy. Najlepiej jak potrafiemy ćwiczymy się w nowej nauce i możemy zjeść lepiej, niż na wspólnych biesiadach, na które przychodzi wielu nieproszonych i ubogich gości. Przyjęcie opłacam z własnej kieszeni. Mam na widoku pewną bogatą i jeszcze kwitnącą wdówkę! Nawiązałem także z chrześcijanami bardzo korzystne kontakty. Jest to niewątpliwie najlepszy tajny związek, o jakim słyszałem!

- Zostałeś chrześcijaninem, przyjąłeś chrzest, odpokutowałeś i robiłeś wszystko, co z tym związane?! - pytałem osłupiały.

- Przecież sam mi kazałeś! - tłumaczył się Hieraks. - Bez pozwolenia nie mieszałbym się, jestem tylko twoim niewolnikiem. Ale wśród chrześcijan zrzuciłem z siebie piętno niewolnictwa. Wedle ich nauki wobec Chrystusa ty i ja jesteśmy sobie równi. Ty masz być dla mnie dobry, a ja muszę ci wiernie służyć. Gdy pozbedziemy się wrogich i ograniczonych Żydów, to nasze stowarzyszenie miłości stanie się ozdobą całego Koryntu.

- Ozdobą czy straszakiem? - spytałem podejrzliwie. Byłem jednak zmęczony i głowa mnie bolała, więc poszedłem spać i pozwoliłem im spokojnie odmawiać modlitwy, śpiewać pieśni, mówić różnymi językami i skakać z radości.

Nazajutrz Hieraks okazywał większą skruchę. Wpadł w popłoch, gdy mu powiedziałem, że wyjeżdżam do Azji i mam zamiar wziąć go ze sobą, ponieważ dłuższy czas nie poradzę sobie bez służby.

- To straszne! - krzyczał, rwąc włosy z głowy. - Ledwo się zdomowiłem i podjąłem różne korzystne interesy! Jeśli teraz przerwiesz, to poniesiesz niepowetowane straty! Nie mogę zostawić korynckich chrześcijan na lodzie, gdy po wyjeździe Pawła są skłócenia i rozbicia. A wdowy i sieroty?! Trzeba się nimi zająć, to nakazuje ich wiara, a ja jedyny mam rozeznanie w sprawach gospodarczych. Opowiedziano mi pouczającą historyjkę o gospodarzu, który powierzył swoim sługom złote talenty, a potem zażądał rozliczenia z ich wykorzystania. Nie chciałbym w dniu wypłaty okazać się niezdatnym sługą.

W czasie mej nieobecności Hieraks utył i zważniał. W czasie trudów długiej podróży nie miałbym z niego wielkiego pożytku. Byłby wiecznie skwaszony z żalu za wygodnym życiem w Koryncie.

- Wkrótce będzie rocznica śmierci mojej matki - oświadczyłem. - Wyzwolę cię i będziesz mógł zostać w Koryncie, aby prowadzić mój dom. Wiem, że poniósłbym straty, gdybym nagle musiał sprzedać to wszystko, co zakupiłeś dla mojej wygody.

- Właśnie to samo myślałem! - zawołał Hieraks z entuzjazmem. - Z

pewnością Bóg chrześcijan cię natchnął! Tyle sobie zaoszczędziłem, że mogę zapłacić połowę sumy wykupu. Z pewnymi prawnikami z ratusza miejskiego podjąłem nawet pertraktacje o niską wycenę mojej osoby. Przecież grubas nie bardzo się nadaje do czarnej roboty, a ponadto mam także ukryte wady, które na licytacji bardzo obniżają wartość niewolnika.

Nie przyjąłem propozycji jego udziału finansowego, bo oszczędności przydadzą mu się, gdy zacznie rozwijać jakąś działalność gospodarczą. Poniosłem wszystkie koszty i wręczyłem mu pstrokatą laskę wyzwolenca. Podpisałem także otwarte pełnomocnictwo na zarządzanie domem i ruchomościami w Koryncie. I przyznam, że byłem rad, bo w ten sposób uwolniłem się i od niego, i od załatwiania wszelkich formalności administracyjno-gospodarczych. Nie byłem zadowolony, że tak szybko przystał do chrześcijan i wołałem odpowiadać za niego tylko jako za wyzwolenca.

Hieraks Lauzjusz odprowadził mnie do portu w Kenchry, gdzie wsiadłem na płynący do Efezu żaglowiec. Dziękował mi, że pozwoliłem mu używać imienia Lauzjusz, ponieważ jego zdaniem było ono ładniejsze i dostojniejsze aniżeli skromne Minucjusz. Jego pożegnalne łzy były niemal szczere, ale sądzę, że odetchnął z ulgą, gdy żaglowiec odpłynął, a on uwolnił się od zbyt młodego i nieobliczalnego pana.

Pod wieczór morze miało barwę czerwonego wina. Gorąco pragnąłem, aby słony morski wiatr jesienny wywiał mi z głowy wspomnienia niepotrzebnej miłości. Damaris, Damaris!





Księga 6

Sabina

Troksobor, wódz górskiego plemienia Klitów, wykorzystał fakt, że w Armenii wybuchły rozruchy i stacjonujące w Syrii legiony ruszyły ze swych garnizonów; uformował sprawną bandę i robił wypadki na przybrzeżne miasta Cylicji, które grabił i zakłócał żeglugę. Dochowujący sojuszu z Rzymem król Cylicji, wiekowy już Antioch, był bezradny, ponieważ jego własną armię także wysłano do Armenii jako oddziały posiłkowe legionów. Klitowie tak się rozzuchwalili, że oblegli portowe miasto Anemurium. Właśnie jechałem z Efezu do Antiochii, gdy spotkałem oddział syryjskiej jazdy konnej pod dowództwem prefekta Kurcjusza Sewera, który spieszył temu miastu na pomoc. Uważałem, że powinienem się do nich przyłączyć, skoro znaleźli się w potrzebie.

Przed bramami Anemurium ponieśliśmy sromotną klęskę. Sam teren nie był zbyt korzystny dla działań naszego szwadronu konnicy, a nie bez winy był i Sewer, który uważał, że jeśli dostatecznie głośno każe dać w trąby i pełnym galopem ruszy do ataku, to przerazi i zmusi do ucieczki niewyszkoloną grupkę bandytów. Nie znał jednak ani terenu, ani faktycznej liczby bojowników Troksobora.

Zostałem ranny w bok, w rękę i nogę. Założono mi pętlę na szyi i ze związanymi z tyłu rękami zaciągnięto w trudno dostępne góry Klitów. Przez dwa lata przebywałem w niewoli u Troksobora. Wyzwoleńcy ojca z Antiochii chcieli mnie wykupić, ale Troksobor miał wojowniczą naturę i był sprytny, więc wolał trzymać kilku wysoko postawionych Rzymian jako zakładników, niż gromadzić po schowkach złoto.

Prokonsul Syrii i król Antioch w informacji, wysłanej do senatu, zbagatelizowali powstanie górali i chcieli je stłumić własnymi siłami, obawiali się bowiem gniewu Klaudiusza.

- Kiedy mnie przycisną do muru - mawiał Troksobor - złotem się nie wykupię. Ale was, rycerze rzymscy, mogę na końcu ukrzyżować i w ten sposób zapewnię sobie wspaniałą asystę w drodze do królestwa zmarłych.

W zależności od swego kaprysu odnosił się do nas to dobrze, to znów źle. Bywało, że wzywał nas na swoje dzikie biesiady, karmił, poił i po pijanemu ze łzami w oczach mamił swoją przyjaźnią. Ale po takiej uczcie zamykał nas w straszliwej norze, zamuroвывał wejście i przez otwór wielkości pięści karmił najgorszymi ochłapami. Ledwie oddychaliśmy w smrodzie własnych fekaliów. W czasie niewoli dwóch żołnierzy popełniło samobójstwo, otwierając sobie żyły ostrym kamieniem.

Moje rany jątrzyły się i straszliwie dokuczały. Ociekałem ropą i

myślałem, że umrę. Przez dwa lata niewoli nauczyłem się żyć w skrajnie prymitywnych warunkach, gotowy w każdej chwili na tortury albo na śmierć. Synu mój, Juliuszu! Mój jedyny chłopcze! Jeśli przeczytasz to kiedyś po mojej śmierci, dowiesz się, że niektóre blizny na mojej twarzy nie pochodzą z walk w Brytanii, jak Ci mówiłem w swej próżności. Na dwa lata przed Twoim urodzeniem bezsilnie biłem głową o chropowatą ścianę skalną, kiedy uczona mnie cierpliwości. Pamiętaj o tym, gdy będziesz krytykował swojego staromodnego i chciwego ojca.

Już w pierwszych klęskach Troksobor stracił tylu wojowników, ilu w dni sukcesów zgromadził wokół siebie i przeszkolił. Popęnił bowiem ten kardynalny błąd, że zaślepiony początkowymi osiągnięciami parł do walki na terenie otwartym, a jego niezdyscyplinowane oddziały nie dotrzymywały pola regularnym jednostkom.

Król Antioch prowadził pełną łagodności politykę wobec jeńców z band: uwalniał ich i obiecywał łaskę dla wszystkich, którzy odstąpiliby od Troksobora. Większość jego wojowników, którzy zdobyli już niezłe łupy, uznała grę za skończoną, dezercerowała z bandy i wracała do swoich rodzinnych wiosek, aby przeżyć resztę żywota jako ludzie na skalę Cylicji zamożni. Troksobor tropił i mordował takich dezercerów, co nie przysparzało mu popularności wśród Klitów. W końcu najbliżsi mu ludzie, którzy dość mieli jego okrucieństwa i kaprysów, uwięzili go, aby zyskać łaskę dla siebie. Ten zamach stanu miał miejsce w ostatniej dla nas, zakładników chwili: oddziały króla Antiocha podchodziły już blisko, niewolnicy Troksobora burzyli mury, zamykające wejścia do naszych nor, a pale dla naszych ciał były już wbite w ziemię. Moi towarzysze niewoli prosili gorąco, aby wykorzystać chociaż jeden z nich i ukrzyżować Troksobora, ale król Antioch kazał mu natychmiast poderżnąć gardło.

Z towarzyszami niewoli rozstałem się nader chętnie. Dość mieliśmy siebie nawzajem w ponurej norze, w głodzie i nędzy. Nasi wyzwolicieli wracali do Antiochii, ja zaś w Anemurium wsiadłem na rzymski żaglowiec wojenny, który płynął do Efezu. Król Antioch sownie wynagrodził wszystkie nasze cierpienia, abyśmy tylko trzymali język za zębami. Zresztą sami doszliśmy do przekonania, że przebywanie w tak haniebnej niewoli nie jest powodem do chluby.

Ówczesny prokonsul Efezu, Juniusz Sylan, przyjął mnie po przyjacielsku. Zaprosił do swej podmiejskiej posiadłości i polecił osobistemu lekarzowi, by się mną zajął. Sylan miał około pięćdziesięciu lat, był może tępawy, ale opinię miał nieposzlakowaną; podobno swego czasu cesarz Kaligula z uwagi na jego zamożność przezwał go złotą baranią głową.

Kiedy zacząłem mówić o Agrypinie i Neronie, Sylan ostro zaprotesutował, aby w jego obecności padło bodaj słowo na temat dolegliwości żołądkowych cesarza Klaudiusza. Właśnie z Rzymu wydano kilka osobistości, które dopytywały się astrologów o długość życia cesarza. Senat uchwalił ustawę, na podstawie której wygnano z Rzymu wszystkich Chaldejczyków.

Sylan żywił głębokie przekonanie, że Agrypina była główną przyczyną śmierci jego brata Lucjusza, podobnie jak swego czasu Mesalina doprowadziła do zguby Appiusza Sylana, rozgłaszając złe sny, jakie miała

o nim.

- Jak możesz tak źle myśleć o najznamienitszych kobietach Rzymu?! - zapytałem zirytowany, bo rozgniewały mnie jego głupie podejrzenia. - Agrypina jest szlachetną kobietą. Jej brat, Gajusz, był cesarzem, zaś ona sama jest małżonką cesarza i wywodzi się od boskiego Augusta.

Sylan uśmiechnął się głupkowato i oświadczył:

- Nawet pochodzenie nikogo już w Rzymie nie chroni. Pamiętasz zapewne Domicję Lepidę, siostrę ojca Nerona? Tę, która wychowywała Lucjusza Nerona, kiedy Agrypinę skazano na wygnanie za jawne kurewstwo i zdradę ojczyzny? Domicja zawsze tkliwie opiekowała się chłopcem, zaś Agrypina bywała dla niego sroga. Właśnie teraz oskarżono Lepidę, że czarami usiłowała zaszkodzić Agrypinie, i skazano na śmierć. Ona także pochodziła z rodu Augusta, podobnie jak jej mąż, nieboszczyk Appiusz. A poza tym - ciągnął chytrze - jeśli rzeczywiście śmierć nie zapomniała o Klaudiuszu, choć nie wolno o tym mówić głośno, to przecież i ja w czwartym pokoleniu jestem potomkiem boskiego Augusta. Nie zdziwiłbym się, gdyby senat wolał doświadczonego męża niż dorastającego chłopca. Cieszę się dobrą opinią i nie mam żadnych wrogów.

Miał rację, bo Sylana uważano za tak naiwnego, że nawet nikt nie pomyślał, aby go znienawidzić.

- Na serio zamierzasz być imperatorem? - spytałem zaskoczony i zdumiony jego egoizmem.

- Nie rozgłaszaj tego publicznie - poprosił Juniusz Sylan, skromnie się rumieniając. - Przecież o następstwie tronu decyduje senat. Ale mówiąc szczerze - naprawdę nie mogę popierać Nerona. Jego ojciec miał okropną reputację, był też tak okrutny, że kiedyś na Forum wybił kciukiem oko pewnemu rycerzowi za to tylko, że nie ustąpił mu z drogi z oznakami szacunku.

Dzięki swoim bogactwom Sylan żył i zachowywał się w Azji jak król. Od niego dowiedziałem się, że prokonsul Gallio po skończeniu swego urzędowania zachorował na tradycyjną dla rodu Anneuszy chorobę płuc i udał się na leczenie do Rzymu, a potem pojechał szukać zdrowia w suchym klimacie Egiptu.

Podejrzewam, że w Egipcie poza pielęgnowaniem zdrowia miał jeszcze inne sprawy do załatwienia. Uznałem, że nie mogę mu pisać o zaskakujących marzeniach Sylana, ale że trzeba kogoś poinformować, iż poparcie dla Nerona w prowincjach nie jest tak oczywiste, jak to sobie wyobrażali jego matka i Seneka.

Po długim namyśle napisałem w końcu list bezpośrednio do Seneki. Szeroko rozwiódłem się o swojej niewoli, w zakończeniu zaś dodałem:

Prokonsul Juniusz Sylan okazuje mi wielką gościnność i nie chce, abym stąd wyjechał, zanim lekarze nie zlikwidują ropnych wycieków z moich ran. Zasmuciło mnie to, że on nie myśli tak dobrze jak ja o Agrypinie i Neronie, tylko chęłpi się, że jest potomkiem boskiego Augusta i mocno wierzy, że ma w senacie wielu przyjaciół. Oczekuję twojej rady, czy mam wrócić do Rzymu, czy na razie tu zostać?

Niewola przytępiła mój umysł i osłabiła mnie fizycznie. Pozwoliłem, by czas upływał mi na niczym. Obserwowałem wyścigi i obstawiałem rydwany Sylana. W Efezie działał też wspaniały teatr. Jeśli brakowało innych rozrywek, można było znakomicie spędzić czas w świątyni Diany, która jest jednym z cudów świata i zamyka w sobie mnóstwo dzieł sztuki i pamiątek przeszłości.

Dzięki dobremu jedzeniu, wygodnemu spaniu i opiece zdolnych lekarzy wracałem do zdrowia. Zacząłem znowu jeździć konno i uczestniczyć w polowaniach na dziki, urządzanych dla podległych Sylanowi trybunów wojennych.

Grecki lekarz Sylana był wierny tradycjom wyspy Kos. Gdy spytałem o wysokość honorarium, powiedział ze śmiechem:

- Dla prowadzenia praktyki lekarskiej Efez jest najgorszym miejscem pod słońcem. Tu uzdrawianiem zajmują się niejako zawodowo kapłani Artemidy, a poza tym setki czarowników, przybywających z całego świata. Aktualnie modny jest jeden Żyd, który dotknięciem ręki leczy i uzdrawia nawet umysłowo chorych. Jego zużyte ręczniki i bieliznę sprzedają w całym kraju jako najlepsze lekarstwo na każdą chorobę. Ale on uważa, że to jeszcze za mało! Wynajął cały budynek szkolny, aby nauczać o potędze, dzięki której dokonuje uzdrowień. Jest zawistny o kolegów po fachu i pogardliwie wyraża się o księdze czarów i uzdrawiających amuletach.

- Żydzi są zawsze powodem wszelkiego zamętu - powiedziałem z goryczą. - Nie wystarcza im, gdy we własnym gronie służą własnemu Bogu, ale kryjąc się za przywilejami zarażają jeszcze Greków!

- Obaj jesteście ludźmi oświeconymi - odrzekł lekarz. - Wiemy, że istnieje tylko jeden Bóg, którego objawioną postacią jest wszystko co żywe. Posągi bogów wykonane ludzką ręką są tylko symbolami. Uważam, że żydowski Bóg nie ma nic wspólnego z jedynym Bogiem nieba i ziemi.

- Myśli o bogach nękały mnie - roześmiałem się - kiedy głodowałem i tarzałem we własnych fekaljach i brudzie w ciemnej norze, bez żadnej nadziei na przyszłość. O Żydach zaś nie chcę w ogóle słuchać. Wystarczy, że mnie masujesz i leczysz.

Jońska jesień jest ciepła. Heliusz, wyzwoleniec Juniusza Sylana i administrator jego majątków w Azji, rozpieszczał mnie ponad miarę. Organizował występy teatralne i pantomimy dla ożywienia posiłków, a jeśli wyglądałem na zasmuconego, posyłał do mego łóża piękne niewolnice. Płynęły złote dni i ciemnogrnatowe noce. Myślałem, że niczego już poza zwykłym życiem nie pożądam. O niczym nie marzyłem, stałem się nieczuły i obojętny nawet na własną przyszłość.

U progu zimy kurierską galerą przyplłynął do Efezu leciwy przedstawiciel stanu rycerskiego, Publiusz Celer. Przywiózł żalobną wiadomość: cesarz Klaudiusz zmarł na dolegliwości żołądkowe, co było od dawna przewidywane. Prefekt pretorianów, Afraniusz Burrus, poparł Nerona. W obozie pretoriańskim Neron wygłosił piękną mowę i obiecał żołnierzom nagrody pieniężne. Przy ogólnym aplauzie okrzyknięto go imperatorem. Senat jednomyślnie zatwierdził tę godność.

Prokonsul Juniusz Sylan dokładnie zbadał przywiezione przez Celera pełnomocnictwa. Mimo swego wieku Celer był mężem postawnym i

wyglądał na człowieka, który wie, czego chce. Cios miecza zostawił w kąćku jego warg bliznę, która wykrzywiła mu usta i nadała szydery wyraz jego twarzy.

Dla mnie przywiózł podziękowanie Seneki za list i zachętę, bym wracał do Rzymu, bo młody Neron pragnie skupić wokół siebie prawdziwych przyjaciół. Dawne przestępstwa, konflikty i błędy zostały zapomniane i wybaczone. Banici mogą wracać do Rzymu. Wspierany przez ojców senatu Neron chce być dawcą szczęścia dla całego rodzaju ludzkiego.

Przeprowadzono niezbędne czynności urzędowe. Władze prowincji Azja postanowiły zamówić posąg Nerona u najlepszego rzeźbiarza Rzymu. Juniusz Syllan nie urządził żadnej oficjalnej uczty, tylko zaprosił najbliższych przyjaciół do swojej posiadłości podmiejskiej. Uczestniczyliśmy w niej w liczbie nie większej niż trzydzieści osób. Po wylaniu kilku ofiarnych kropli wina za cesarza Klaudiusza, który decyzją senatu został ogłoszony bogiem, Juniusz Syllan zwrócił swą nalaną twarz w stronę Celera i zawołał:

- Przestańmy gadać o bzdurach! Opowiedz, co naprawdę wydarzyło się w Rzymie!

- Czyżby znużyło cię pełnienie urzędu? - krzywo uśmiechnął się Celer, unosząc w górę brwi. - Czym się podniecasz? Twój wiek i postura nie wytrzymają zbędnych wzruszeń!

Juniusz Syllan rzeczywiście ciężko oddychał i zachowywał się agresywnie, jak człowiek oszukany w swych nadziejach. Celer zaś próbował wszystko obrócić w żart i opowiadał:

- W dniu pogrzebu Klaudiusza Neron jako jego syn wygłosił na Forum mowę pożegnalną. Nie wiem, czy przygotował ją sam, czy też z pomocą Seneki. Mimo młodego wieku Neron jest zdolnym poetą. Przemawiał donośnym głosem i pięknie gestykułował. Ojcowie senatorzy, stan rycerski i zwykli ludzie słuchali z zapartym tchem, jak Neron wysławiał znamienity ród Klaudiusza, jego triumfy wojenne i osiągnięcia naukowe, a także fakt, że w czasie jego panowania żadne nieszczęścia nie dotknęły państwa. Później Neron znakomicie zmienił ton i zaczął wychwalać rozum, mądrość i sztukę kierowania państwem zmarłego w taki sposób, jakby wypełniał narzucony przez obyczaj przykry obowiązek. Wtedy już nikt nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Potężne rechoty przerywały mowę. Ludzie chichotali nawet wtedy, gdy Neron mówił o niepowetowanej stracie, żałobie i smutku. Pogrzeb zmienił się w farsę. Nikt już nie skrywał ulgi, że Rzym uwolnił się od samowoli srogiego, żądnego rozkoszy użycia, żarłocznego władcy.

Juniusz Syllan rąbnął złotym pucharem o krawędź sofy tak mocno, że wino obryzgało mi twarz, i wrzasnął:

- Klaudiusz był moim przyjacielem i nie pozwolę, by znieważano pamięć o nim! Ojcowie senatorzy szybko się zorientują, że sterowany przez żadną władzę mamusię siedemnastolatek nie nadaje się do rządzenia światem.

- Klaudiusza ogłoszono bogiem - stwierdził Celer - a o żadnym bogu nie przystoi źle mówić. Znajdując się na ukwieconych polach elizejskich Klaudiusz jest już ponad ludzkimi ocenami i oszczerstwami. To chyba rozumiesz, prokonsulu. Wprawdzie brat Seneki, Gallio, zauważył

zartobliwie, że Klaudiusza zaciągnięto do nieba za brodę na haku, podobnie jak z więzienia Tullianum ciągnie się do Tybru ciała przestępców politycznych, ale ten żart jest jedynie świadectwem tego, że w Rzymie znowu ludzie ważą się myśleć swobodnie.

Ponieważ Juniusz Syllan był nadal rozwścieczony i ciężko oddychał, Publiusz Celer zmienił ton:

- Ogłoszony imperatorem Neron oddał cześć Agrypinie, podając strażom hasło „Najlepsza matka”. Do senatu zwrócił się z pokorną prośbą o rady, które ma nadzieję otrzymać, by mógł dobrze rządzić. W młodości - oświadczył - nie mieszał się do żadnych wojen ani konfliktów narodowościowych. Żadnej nienawiści, żadnego odwetu za błędy nie chce wnieść do Palatynu. Nie chce nawet władzy sądowniczej. Dwór cesarski ma być oddzielony od państwa. Senatowi przywraca jego dawne uprawnienia. Sprawy sporne Italii i prowincji będzie rozstrzygał trybunał konsulów. Neron zgodził się jedynie zatroszczyć o oddane jego opiece wierne senatowi legiony.

Syllan wybuchnął tak potężnym śmiechem, że jego nalana twarz zrobiła się fioletowa i zawołał:

- Czy usiłujesz nam wmówić, że senat nie poznał się na takiej obłudzie? Większego zakłamania nie można sobie wyobrazić. Ja znam Agrypinę!

- Wypij raczej za zdrowie imperatora i zapomnij o swym skrywanym żalu, prokonsulu! - rzekł ostrzegawczym tonem Publiusz Celer. Wezwany jego gestem Heliusz przyniósł nowy złoty puchar. Celer na oczach wszystkich zmieszał wino, spróbował i podał Syllanowi, który jak zwykle wychylił kilka haustami do dna, bo nie mógł odmówić toastu za nowego cesarza, choćby mu się to nie podobało. Po wypiciu chciał jeszcze powiedzieć jakąś złośliwość, ale nagle żyły na skroniach mu nabrzmiały, chwycił się ręką za gardło; nie wykrztusił słowa, tylko jęknął, a twarz mu zsiniała i szerniała. Patrzyliśmy na to przerażeni, ale zanim ktokolwiek zdołał mu przyjść z pomocą, zwałił się z sofę na ziemię. Opuchnięte ciało drgnęło kilka razy i na naszych oczach Syllan wydał z siebie ostatnie rżące tchnienie.

Stało się to tak szybko, że wszyscy zerwaliśmy się z miejsc na równe nogi i sparaliżowani strachem ust nie mogli otworzyć. Tylko Publiusz Celer zachował równowagę.

- Ostrzegałem, żeby się nie podniecał - powiedział. - Zabiła go niespodziewana wiadomość o zmianie rządów oraz wzięcie gorącej kąpieli tuż przed obiadem. Trzeba jednak uznać, że ten atak serca przyszedł w dobrej porze. Sami słyszeliście, że żywił złe uczucia wobec imperatora i jego matki. Jego młodszy brat, Lucjusz, popełnił samobójstwo, aby popsuć wesele Klaudiusza z Agrypiną, ponieważ Klaudiusz zerwał jego zaręczyny z Oktawią.

Wszyscy zaczęli mówić równocześnie. Zgodnie stwierdzili, że nadmierna irytacja może spowodować pęknięcie serca u otyłego mężczyzny, a w takim przypadku twarz ofiary szybko czernieje. Heliusz wezwał lekarza, który przestrzegając zdrowych zasad z wyspy Kos udał się już na spoczynek, ale zaalarmowany przybiegł szybko, przewracał ciało, prosił o więcej światła i podejrzliwie oglądał gardło Syllana, po czym, nie mówiąc

ani słowa, nakrył głowę połą opończy.

Publiusz Celer zasypał go pytaniami; przyznał zdławionym głosem, że wielokrotnie ostrzegał gospodarza, by nie jadł za dużo. Przyznał też, że symptomy są właściwe dla paraliżu serca.

- Przygotuj orzeczenie lekarskie i oficjalny raport o tym wstrząsającym wypadku - zażądał Celer. - My wszyscy podpiszemy jako świadkowie. Dobrze wiem, że po nagłym zgonie znamienitej osoby złe języki szybko idą w ruch. Dlatego żądam, aby wszyscy poświadczyli, że sam próbowałem z tego pucharu, który mu podałem.

Zmieszani patrzyliśmy na siebie. To prawda, widzieliśmy, że Celer próbował wina, ale gdyby w pucharze była trucizna, mógłby tylko udawać, że pije. Opowiedziałem dokładnie cały przebieg wydarzenia, ponieważ później krążyły pogłoski, jakoby Agrypina wysłała Celera z poleceniem otrucia Sylana. Jego śmierć zaprawdę nastąpiła w odpowiedniej dla niej chwili.

Chodziły także słuchy, że Celer przekupił Heliusza i lekarza. I mnie, jako przyjaciela Nerona, wmieszano w ten przykry incydent. Na żądanie senatu wniesiono powództwo sądowe przeciwko Celerowi, aby sprawę dokładnie zbadać, ale odraczano przewód z roku na rok, aż w końcu umorzono, gdy Celer umarł ze starości. Byłem gotów świadczyć na jego korzyść, bo całe wydarzenie oglądałem na własne oczy. Dodam, że Heliusz objął znaczące stanowisko w służbie Nerona.

W Efezie i wszystkich prowincjach azjatyckich nagła śmierć prokonsula wzbudziła spore zamieszanie. Aby przeciwdziałać rozruchom, nie urządziliśmy dużych uroczystości pogrzebowych, tylko spaliliśmy zwłoki Sylana w jego ukochanym parku, w pobliżu dworu. Kiedy stos pogrzebowy ostygł, zebraliśmy popioły do drogocennej urny, aby odesłać je do Rzymu, do szybko wypełniającego się rodzinnego mauzoleum Syłanów. Publiusz Celer wykorzystał swoje pełnomocnictwo, aby do czasu wylosowania w senacie kolejnego prokonsula Azji spełniać tu jego obowiązki. Nawiasem mówiąc, ustawowy okres pełnienia tej służby przez Sylana zbliżał się ku końcowi.

Już sama zmiana władzy wywoływała w Efezie sporo zamieszania. Sytuację dodatkowo zaostrzyła niespodziewana śmierć prokonsula. Zjechała tu niezliczona gromada wróżów, cudotwórców i handlarzy przepowiedni i amuletów, przede wszystkim srebrnych miniaterek świątyni Artemidy. Ta zbieranina wykorzystywała każdą okazję do rozrabiania na rogach ulic i do bójek z Żydami.

Głównym winowajcą był oczywiście Paweł, który, jak się wtedy dowiedziałem, od kilku lat siał niepokój i wzbudzał kontrowersje w Efezie. To właśnie on był cudotwórcą, o którym tak ironicznie napomykał lekarz Sylana; że też sam na to wtedy nie wpadłem! Zwolennikom Pawła udało się zebrać wiele znajdujących się w prywatnym posiadaniu kalendarzy astrologicznych oraz senników i demonstracyjnie spalić je na forum miasta. Spalone zwoje miały wartość około dwustu tysięcy sestercji. Demonstracja oburzyła zabobonnych mieszkańców Efezu, zaś ludzie wykształceni uznali palenie ksiąg za zły omen. Wprawdzie nie przejmowali się specjalnie przepowiedniami dobrych czy złych dni ani wyjaśnianiem snów, ale

obawiali się, że po spaleniu dzieł astrologicznych przyjdzie kolej na wzniesienie stosu całopalnego z ksiąg filozoficznych i poetyckich.

Tak więc znów usłyszałem o Pawle jako o mącieliu pokoju. Ogarnęła mnie bezsilna złość. Najchętniej wyjechałbym natychmiast z Efezu, ale Publiusz Celer zażądał, abym objął dowództwo nad szwadronem konnicy miejskiej i rzymskim garnizonem, gdyż obawiał się większych niż dotychczas rozruchów.

Nie minęło kilka dni, gdy z rady miasta nadeszła alarmująca informacja: ogromne masy ludzi zalewają wszystkie ulice, wiodące do greckiego teatru, gdzie zbiera się nielegalne zgromadzenie ludowe. Rzemieślnicy ciągną na to zgromadzenie dwóch zwolenników Pawła: on sam został przez radę ostrzeżony, aby nie szedł do teatru, bo może dojść do rozruchów, a nawet do mordów.

Ponieważ rada miasta nie panowała nad sytuacją, Publiusz Celer postawił w stan gotowości bojowej konnicę miejską, a kohortą piechurów obsadził stanowiska w środku teatru. Wykrzywiając usta chłodno się uśmiechał i zapewniał, że tylko szuka okazji, aby zbuntowanemu motłochowi dać lekcję dyscypliny na modłę rzymską.

W eskorcie trębacza i dowódcy kohorty udałem się do teatru miejskiego, w którym panował harmider i niepokój. Tylko niewielu wiedziało, o co właściwie chodzi. Czy szukali jedynie - jak to Grecy - możliwości wykorzystania swoich strun głosowych? U nikogo nie zauważyłem broni. Domyślałem się, jaka by powstała panika, gdybym dał rozkaz opuszczenia teatru.

Przedstawiciel cechu złotników przepychał się przez tłum do mównicy. Zapewne już wcześniej musiał dużo krzyczeć, bo miał głos zupełnie zachrypnięty i nie mógł dokończyć swej mowy. Zdołałem jednak usłyszeć, że oskarża Pawła-Żyda nie tylko o działania w Efezie, ale w ogóle w całej prowincji azjatyckiej, że oszukuje naród negując boski charakter bożków wykonanych ręką ludzką.

- Istnieje niebezpieczeństwo - chrypiał z mównicy - że nie będzie się szanować świątyni wielkiej Artemidy, a sama bogini straci swoją wszechwładzę. Ona, której cała Azja i cały świat jest posłuszny!

- Wielka jest Artemis z Efezu - zaczęła skandować potężna grupa ludzi, a trwało to tak długo, że mój zdenerwowany trębacz podniósł trąbkę, by dać sygnał alarmu. Przeszkodziłem mu skinieniem ręki.

Do mównicy przepychała się grupka Żydów z frędzlami w narożach płaszczy. Wypchnęli do przodu pewnego kotlarza, Aleksandra, i wołali, aby dopuszczono go do głosu. Podobno Aleksander chciał oświadczyć, że prawowierni Żydzi wcale nie popierają Pawła, który zresztą nie cieszy się pełnym zaufaniem nawet wśród chrześcijan. Ludzie nie pozwolili mu przemawiać; mieli rację o tyle, że prawowierni Żydzi w ogóle nie uznają posągów bogów i nie pozwalają na ich wytwarzanie. Aby uniemożliwić Aleksandrowi zabranie głosu, tłum znowu zaczął skandować: - Wielka jest Artemis z Efezu! - i krzyczał tak co najmniej przez dwa odstępy czasu na zegarze wodnym.

Tuż koło mnie stanął Publiusz Celer z obnażonym mieczem w ręku i głośno zapytał:

- Czemu nie każesz trąbić na alarm? Szybko rozpedzimy to zgromadzenie!

- W panice rozdepczą setki ludzi! - ostrzegłem, ale taka ewentualność chyba odpowiadała Celerowi, więc szybko dodałem: - Oni tylko wysławiają swoją Artemidę! Byłoby bluźnierstwem i politycznym błędem, gdybyśmy z tego powodu rozpedzili zgromadzenie!

W pewnym momencie kanclerz rady miejskiej zaczął nam przysyłać rozpaczliwe wezwania do zachowania spokoju. Wszedł na mównicę, a miał taki autorytet, że tłum ucichł. Może zresztą tak zdarli już gardła, że nie mogli dłużej krzyczeć.

Obydwóch chrześcijan wypchnięto do przodu. Byli pobici, porwano na nich szaty, ale w gruncie rzeczy nic złego im się nie stało. Żydzi demonstracyjnie ich opluwali. Kanclerz zabronił nie przemyślanych wybryków i przypomniał, że Efez jest miastem otoczonym szczególnie łaską Artemidy. Uznał, że uczniowie Pawła nie są ani grabieżcami świątyni, ani bluźniercami. Demetriusz i jego bracia cechowi mogą ich pozwać przed sąd, a jeśli ktoś ma do nich inne pretensje czy skargi, to można rozstrzygnąć je zgodnie z prawem na posiedzeniu ludowym.

- Dzisiejsze wydarzenia mogą być zinterpretowane jako próba buntu, chociaż wcale nimi nie są - przestrzegali kanclerz, wskazując wyraźnie w kierunku nas, Rzymian. Prosił, aby ludzie rozeszli się w spokoju i w należytym porządku, bo nie bierze odpowiedzialności za ewentualne konsekwencje.

Ludzie rozrabiali dalej. Najroztropniejsi przysunęli się ku nam, niby to po to, aby oglądać trębacza i mój czerwony pióropusz, ale tak naprawdę w nadziei, że w ten sposób łatwiej wyjdą z teatru, jeśli nie zapanuje spokój. Przez moment wszystko wisiało na włosku. Publiusz Celer zgrzytał zębami; pragnął pod pozorem tłumienia rozruchów palić i grabić sklepy złotników. Na szczęście wielu ludzi pamiętało przerażające lekcje historii i szybko opuszczali teatr. Aby wyładować swą wściekłość, Celer rozkazał żołnierzom zająć teatr i wychłostać kilku opieszłych fanatyków i Żydów. Poza tym nic złego się nie wydarzyło.

- Obaj bylibyśmy bogaczami - zwymyślał mnie później - gdybyś umiał ryzykować! Stłumienie buntu wyniosłoby nas na szczyty stanu rycerskiego. Jako powód buntu podalibyśmy złe rządy Sylana. Takie okazje trzeba chwycić w lot, bo inaczej bezpowrotnie znikają!

Uważałem, że osiągnie większą korzyść polityczną, uspokajając ludzi bez użycia przemocy, ale nie wdałem się z nim w spór, bo nie miało to sensu, więc każdy z nas został przy swoim. Paweł przez jakiś czas się ukrywał, a później uciekł z miasta. Wysłałem do niego przez pośredników ostrzeżenie; dowiedziałem się, że wyjechał do Macedonii. Bez przechwałek powiem, że tym razem uratowałem mu życie, bo rozczarowany Celer pałał żądzą krwi. Jeśli Paweł istotnie był towarzyszem pracy Boga, to ja stałem się narzędziem ocalenia jego życia. Wiele jest rzeczy nie wyjaśnionych na ziemi, a co dopiero w niebie!

Po wyjeździe Pawła miasto uspokoiło się, a Żydzi zaczęli się zastanawiać nad inną sprawą. Otóż wielu spośród nich przybyło tu z Rzymu po edyktie Klaudiusza. Teraz dywagowali, czy nie skorzystać z

powszechnego ulaskawienia i z nadejściem wiosny powrócić do Rzymu.

Tymczasem w najlepsze szalały sztormy zimowe i w porcie nie było ani jednego żaglowca, który by płynął do Italii. Publiusz Celer wciąż żywił skrywaną pretensję do mnie. Aby uniknąć niepotrzebnej, a wiszącej w powietrzu awantury, znalazłem w końcu maleńką łajbę, która z ładunkiem posągów bogów odważyła się wyruszyć do Koryntu pod opiekuńczymi skrzydłami Artemidy. Fortuna sprzyjała nam na tyle, że uniknęliśmy wiatru północnego, chociaż musieliśmy wielokrotnie zawijać na dłuższe postoje do portów wysp przybrzeżnych.

W Koryncie Hieraks Lauzjusz już mnie opłakiwał; przecież długo nie dawałem znaku życia. Jeszcze bardziej utył, zadzierał nosa i mówił mentorskim tonem. Ożenił się z grecką wdówką w kwiecie wieku i wziął na wychowanie jej dwóch osieroconych synków, zabezpieczając im majątek. Z dumą pokazywał mi nowy sklep mięsny, do którego doprowadził górską wodę źródlaną zachowującą niską temperaturę nawet latem. Zakupił też udziały w przedsiębiorstwie armatorskim, a ostatnio także niewolników do własnej odlewni brązu.

Kiedy mu opowiedziałem o rozruchach w Efezie, wyrozumiale pokiwał głową i powiedział:

- U nas też jest niespokojnie. Pamiętasz, że Paweł wyjechał stąd do Jeruzalem, aby przedłożonym tamtejszej gminy zdać sprawozdanie ze swojej działalności i nauk? W Jeruzalem uznano jego metodę za zbyt skomplikowaną i - o ile mi wiadomo - nie otrzymał poparcia. Nic dziwnego, bo im bardziej był niecierpliwy, tym gorliwiej głosił swoje przekonania. Skoro osiągał sukcesy w uzdrawianiu, musiał cieszyć się łaską Chrystusa. Ale zrównoważeni chrześcijanie raczej stronią od niego.

- Więc nadal jesteś chrześcijaninem? - spytałem zdumiony.

- Bardziej niż dawniej! Osiągnąłem równowagę ducha. Mam dobrą żonę i prowadzę korzystne interesy. Przyjechał tu do nas pewien nauczyciel, Apollos, który w Aleksandrii solidnie studiował święte żydowskie księgi, a w Efezie uczyli go Akwila i Pryska. Przemawiał z żarem i znalazł wielu zwolenników. Założyliśmy więc gminę Apollosa, która zbierała się we własnym gronie, oddzielnie spożywała posiłki i stroniła od innych chrześcijan. Niepotrzebnie został tu tak gorąco przyjęty, ale Pryska go polecała, więc skąd mieliśmy wiedzieć, że Apollosowi chodzi o zdobycie władzy? Na szczęście gości u nas obecnie najlepszy uczeń Jezusa Nazarejskiego, Piotr-Kefas. Podróżował po wielu miejscach, żeby uspokajać ludzi, a na wiosnę wybiera się do Rzymu, bo chce zapobiec ewentualnym ekscesom, gdy Żydzi będą wracać do Miasta. Jemu wierzę bardziej niż komukolwiek innemu, bo jego nauka pochodzi bezpośrednio z ust Jezusa Nazarejskiego.

Hieraks wyrażał się o Piotrze z takim szacunkiem, że ogarnęła mnie chęć ujrzenia go, chociaż zarówno chrześcijan, jak i Żydów miałem po uszy. Okazało się, że jakieś dwadzieścia pięć lat przed moim urodzeniem Piotr był rybakiem galilejskim, któremu Jezus kazał łowić ludzi. To było naprawdę trudne zadanie dla Piotra, człowieka prostego. Zaledwie parę słów umiał po grecku, więc w podróże zabierał ze sobą tłumacza. Uznałem, że skoro udało mu się zmienić Hieraksa w człowieka pobożnego, to warto

go poznać. Przecież nie zdołał tego dokonać żarliwy i wykształcony na księgach żydowskich Paweł, mimo całej swej uczoności!

Piotr zatrzymał się w domu pewnego niezbyt zamożnego Żyda, który zajmował się przetwórstwem i handlem rybami w oleju. Zaprowadził mnie tam Hieraks. W domu unosił się ostry zapach ryb, a pod stopami trzeszczał piasek, który wnosili na nogach liczni klienci. Ciasne pomieszczenie było prawie ciemne. Żydowski gospodarz powitał nas przestraszony i zdenerwowany; zapewne obawiał się, że sama moja obecność mogła strefić jego mieszkanie.

Domyślałem się, że należał do tej gminy wyznawców Chrystusa, którzy nadal usiłowali przestrzegać żydowskiego prawa i unikali kontaktów z nie obrzezanymi Grekami, którzy także przyswoili sobie Chrystusa. Sytuacja takiej gminy była szczególnie trudna: z jednej strony ortodoksyjni Żydzi nienawidzili jej członków jeszcze bardziej niż chrześcijańskich Greków, gdyż widzieli w nich renegatów, z drugiej strony oni sami żywili stałe wyrzuty sumienia, wynikające ze świadomości żydowskiego prawa.

Piotr był mężem wysokim i dobrze zbudowanym. W jego brodzie połyskiwały już srebrne pasma. Szerokie, stwardniałe dłonie świadczyły, że kiedyś zajmował się pracą fizyczną. Nosił płaszcz z frędzlami. Twarz miał opanowaną i zdecydowaną, a w jego spojrzeniu dostrzegłem sympatyczny rys chłopskiego sprytu. Już sama jego obecność wносиła jakieś poczucie bezpieczeństwa, zupełnie odwrotnie niż Paweł, który był ucieleśnieniem niepokoju i który rozpalał kontrowersje.

Przyznam, że niewiele z naszej rozmowy pamiętam. Dyskutowali Hieraks - który schlebiał Piotrowi - i tłumacz, znacznie młodszy od Piotra-Kefasa szczupły Żyd imieniem Marek. Piotr mówił po aramejsku spokojnie, krótkimi zdaniami. Usiłowałem sobie przypomnieć dawną znajomość tego języka, aby zrozumieć sens jego wypowiedzi przed ich przetłumaczeniem. W gruncie rzeczy Piotr nie powiedział niczego, co byłoby warte zapamiętania. Najważniejsza była atmosfera bezpieczeństwa, jaką wokół siebie roztaczał. Cytował święte księgi żydowskie i jak dziecko popisywał się swoją wiedzą. Z wielką godnością omijał pochlebstwa Hieraksa i zachęcał, by wysławiać Boga i Jezusa Chrystusa, który przez swe miłosierdzie sprawił, iż Hieraks ponownie narodził się dla żywej wiary.

Hieraks wzruszył się do łez i szczerze przyznał, że być może w głębi duszy istotnie narodził się na nowo, ale jego ciałem nadal włada żądza i egoizm. Piotr go nie osądzał, tylko spoglądał na niego dobrotliwie i zarazem chytrze, jakby na wylot widział wszystkie ludzkie słabości, ale dostrzegał też okrucy najlepszych intencji w jego niewolniczej naturze.

Zapytałem, czy Piotr w duchu stronił ode mnie, Rzymianina. Zapewnił, że gotów jest zawsze odpowiedzieć każdemu, kto chce poznać ziarno prawdy. On pierwszy ochrzcił nie obrzezanego Rzymianina i jego rodzinę. Ów mąż był rzymskim centurionem, zauważył z dumą. A więc - pomyślałem - udzielanie chrztu gojom nie było indywidualnym pomysłem Pawła.

Spytałem zniecierpliwiony, jakie błogosławieństwo może zawierać woda? Woda jest tylko wodą! Ktokolwiek przygotowuje się do udziału w jakichkolwiek misteriach, oczyszcza się w kąpieli!

Piotr - moim zdaniem bardzo naiwnie - zacytował starodawną żydowską przypowieść o Noem, który zbudował ogromną arkę i uratował się z potopu. Teraz woda ratuje człowieka przez chrzest w imię zmartwychwstałego Jezusa Chrystusa. Dla mnie to było tylko czeze gadanie! Piotr-Kefas dodał, że chrzest sam przez się nie obmywa ciała z brudu, tylko symbolizuje prośbę do Boga o czystość sumienia.

Hieraks zauważył, że nudzę się, więc zaczął gorąco prosić, aby Piotr opowiedział, jak uratował się z rąk króla Heroda i jakich cudów dokonał w imię Jezusa Chrystusa. Ale Piotr wciąż bacznie mi się przyglądał i nie chciał się przechwalać cudami. Zaczął natomiast sam siebie oskarżać, że zbyt mało rozumiał Chrystusa, kiedy chodził za nim przed śmiercią Jezusa na krzyżu.

Właściwie nie miał czym się chełpić poza tym, że jako pierwszy uznał w nim Chrystusa, choć wówczas nie wszystko rozumiał, a nawet do dziś nie wszystko jest dla niego jasne. Jezus mu powiedział swego czasu: „Idź precz, szatanie!” Więc teraz, gdy czasem próbuje popisywać się mądrością, te słowa ponownie dźwięczą mu w uszach. Nawet podczas ostatniej wieczerzy, kiedy Jezus schylił się, aby umyć nogi swoim uczniom, Piotr spytał, czy nie mógłby im jeszcze umyć głów. Sam nie wie, czy powiedział to serio czy na żarty? Zresztą i jego wiara była słaba, bo gdy próbował naśladować Jezusa i chodzić po powierzchni Morza Galilejskiego, wpadł do wody i omal nie utonął.

- Więc Jezus spacerował po głębinie? - spytałem z ironią w głosie. Hieraks szybko potwierdził, bo Piotr opowiadał już o tym. Właśnie ta relacja przypieczętowała wiarę Hieraksa, że Jezus był prawdziwym Chrystusem. Przecież zwykły człowiek takiego wyczynu nie dokona!

- A Szymon mag latał w Rzymie między chmurami - mruknąłem zmienionym głosem. - Czy to ty swoją magią ściągnąłeś go na ziemię, aż pękła mu rzepka w kolanie?

Piotr-Kefas nie odpowiedział wprost, ale przyznał, że swego czasu Szymon mag próbował za pieniądze kupić od niego moc czynienia cudów, a w swojej działalności nadużywał imienia Chrystusa. Ludzie bardzo naiwni brali go nawet za Piotra, który także nazywał się Szymonem, gdy jeszcze był rybakiem. Dopiero Jezus nadał mu imię Piotra, czyli Kefasa, czyli skały. Teraz najchętniej używa tego imienia, aby nikt go nie mylił z Szymonem magiem, który był popularny szczególnie w dużych miastach, gdzie uprawiał magię. Piotr niechętnie wspominał Szymona maga.

Wrócił natomiast do swoich opowieści. Mówił, że w czasie ostatniej modlitwy Jezusa Nazarejskiego nie potrafił czuć ze swym mistrzem. Kiedy Jezusa aresztowali, on pozostał z tyłu; ogrzewał się na dziedzińcu przy piecyku węglowym i aż trzy razy się zaparł, że nie zna Jezusa. Tak właśnie, jak mu to Jezus przepowiedział, gdy Piotr przechwalał się, że gotów będzie dzielić z nim jego cierpienia.

Sądzę, że siła Piotra kryła się właśnie w tych prostych opowieściach, które powtarzał przez lata i znał je na pamięć. Przecież był prostym rybakiem, nie umiał czytać ani pisać, ale pamiętał dokładnie każde słowo Jezusa. Własną pokorą pragnął dawać przykład chrześcijanom, którzy niejednokrotnie - jak choćby Hieraks - na podobieństwo żab nadymali się

w imię Chrystusa.

Nie, Piotr nie wzbudzał antypatii, chociaż widać było, że w gniewie może być groźny. Słyszałem, że woził ze sobą żonę, ale jej nie widziałem, gdyż była w głębi domu razem z innymi niewiastami. Piotr dokładnie mnie obejrzał, ale wcale nie usiłował nawracać. Uznałem to za obraźliwe. Bo opowiadał wszystko w taki sposób, jakby ocenił, że ja się nie nadaję do wybranej grupy. Wprawdzie nie czułem potrzeby przyłączenia się do nich, ale chętnie bym skorzystał z okazji, aby oświadczyć wyniośle, że zbyt szybko chce ze mnie uczynić chrześcijanina.

Zauważyłem, że nie chciał powiedzieć ani jednego złego słowa o Pawle, chociaż podsuwałem mu pewne sugestie. Być może nie chciał odsłaniać wewnętrznych sporów przed osobami postronnymi.

- My, chrześcijanie, uważamy się za braci - wykladał swoje poglądy Hieraks, gdy wracaliśmy do domu. - Ludzie różnią się między sobą, więc i my jesteśmy różni. Dlatego powstało stronnictwo Pawła, stronnictwo Apollosa, stronnictwo Piotra, no i jeszcze nasze - jesteśmy po prostu zwolennikami Chrystusa i pragniemy zgody ze wszystkimi. Znaleźliśmy się jakby między młotem a kowadłem, gniewem i zawiścią. Ci, którzy dopiero teraz uwierzyli, są nastawieni wojowniczo wobec ludzi hołdujących innym obyczajom. Po spotkaniu i rozmowie z Piotrem nie będę się chciał różnić od innych ani udawać od nich lepszego.

Przymusowy dłuższy pobyt w Koryncie rozdrażnił mnie okropnie; nie mogłem wprost usiedzieć we własnym domu. Kupiłem miniaturową rzeźbę z kości słoniowej, przedstawiającą rydwan w zaprzęgu; przeznaczyłem ją dla Nerona. Pamiętałem, że jako dziecko chętnie bawił się takimi miniaturowymi, jako że matka nie pozwalała mu uczestniczyć w prawdziwych wyścigach rydwanów.

Kiedy w końcu po długim rejsie, nie wolnym od sztormów, wróciłem przez Puteoli do Rzymu, było już po uroczystościach Saturnaliów. Ciocia Lelia zmizerniała, kłóliwie wypominała, że ją porzuciłem i niemal przez trzy lata nie dawałem znaku życia. Barbus szczerze się ucieszył moim powrotem; oświadczył, że kupił byka na ofiarę dla Mitry, bo miał o mnie kiepskie sny. Kiedy w kilku słowach opowiedziałem mu o swych przeżyciach, wyraził przekonanie, że właśnie dzięki tej ofierze udało mi się wyrwać z więzienia w Cylicji.

Miałem zamiar przede wszystkim udać się na Wiminal, aby przywitać się z ojcem, bo już zupełnie zapomniałem, jak wygląda. Ciocia Lelia powstrzymała mnie, odwołała na bok i szepnęła:

- Lepiej nie chodź nigdzie, zanim się nie dowiesz, co się w Rzymie dzieje!

Zadyszana z niezdrowego podniecenia opowiadała, że cesarz Klaudiusz na krótko przed zgonem chciał pozwolić Brytanikowi, aby mimo młodego wieku przywdział męską togę. Kiedy nadużył wina, bardzo źle mówił o Agrypinie, zarzucając jej żądzę władzy. A ona z zemsty nakarmiła go trującymi grzybami. Ludzie w Rzymie mówili o tym zupełnie otwarcie. Także Neron wiedział o wszystkim i podobno z drwiącym uśmiechem kpił, że spożycie dania z grzybów zmienia człowieka w boga. Bo Klaudiusza obwołano bogiem. Agrypina buduje właśnie nieboszczykowi świątynię, ale

niewielu chętnych się zgłosiło do nowego kolegium kapłańskiego.

- A więc Rzym po staremu jest gniazdem plotek i intryg! - powiedziałem z goryczą. - Przecież od kilku lat było wiadomo, że Klaudiusz choruje na raka żołądka, chociaż się do tego nie przyznawał. Czemu koniecznie chcesz zepsuć mi humor? Znam osobiście Agrypinę i jestem przyjacielem Nerona. Jak mógłbym o nich źle myśleć?!

- Narcyz, sekretarz Klaudiusza, też dostał rozkaz udania się do Hadesu! - ciągnęła ciocia Lelia, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi. - Na jego dobro należy zapisać, że zanim popełnił samobójstwo, osobiście spalił tajne archiwum Klaudiusza, którym Agrypina za wszelką cenę usiłowała zawładnąć. Uratował tym życie wielu znamienitych ludzi. Agrypina musiała zadowolić się stoma milionami sestercji, które odziedziczyła po zmarłym wyzwolencu. Możesz mi wierzyć albo nie, ale w Rzymie zaczęłyby się krwawa łaźnia, gdyby Agrypina przeforsowała swoje zamierzenia. Na szczęście Seneka i prefekt gwardii Burrus są ludźmi mądrymi i zdołali zapobiec jej knowaniom. Seneka uzyskał godność konsula, bo dobrze wyczuł życzenie senatu i napisał taki panegiryk na cześć Klaudiusza, że każdy, kto usłyszy o jego boskości, pokłada się ze śmiechu. Uważam to za akt trywialnej zemsty za długą banicję. My, mieszkańcy Rzymu, doskonale wiemy, że Seneka zasłużył sobie na wygnanie, wywołując publiczny skandal cudzołóstwem z siostrą Agrypiny. W rezultacie biedna Julia straciła życie. Wątpię, by po tym filozofie-lekkoduchu można się było spodziewać jakiejś zmiany na lepsze w sprawach państwa! Co za czasy nastały! Odkąd Klaudiusz przestał zmuszać do noszenia togi, nawet młodzież ubiera się nieprzyzwoicie wedle modły greckiej!

Zanim zdołałem się uwolnić od ciotki Lelii, zdążyła mi napleść mnóstwo innych głupot. Wreszcie szybkim krokiem udałem się na wzgórze Wiminal do domu ojca; zauważyłem, że mieszkańcy Rzymu czynią wrażenie swobodniejszych niż dawniej. Dowcipkowali, na posągach stojących na forum ktoś nabazgrał satyryczne strofy, a przechodnie głośno czytali je i zaśmiewali się. Nikt napisów nie ścierał. Mimo wczesnej popołudniowej pory w zaułkach kręcili się podpici długowłosi młodzieńcy, brzdąkający na cytrach.

W przedsionku domu pani Tulii jak zwykle tłoczyli się klienci z petycjami o wsparcie, przysługi i porady. Ku memu utrapieniu było wielu Żydów, od których widać mój ojciec nigdy się nie uwolni. Na mój widok pani Tulia przerwała ożywioną rozmowę z dwiema znanymi plotkarkami i - ku mojemu zdumieniu - podeszła, aby mnie uściskać. Na jej pulchnych paluszkach lśniły pierścienie, a wiotczającą szyję próbowała osłaniać wieloma naszyjnikami z drogocennych kamieni.

- Najwyższy czas wracać z manowców na rodzime ścieżki, Minutusie! - zawołała. - Twój ojciec rozchorował się ze zgryzoty, gdy się dowiedział, że zaginałeś, chociaż przypominałam mu jego zachowanie w młodości. Na szczęście, jak widać, jesteś cały i zdrowy, zbereźniku! Czy w Azji biłeś się po pijanemu, że nosisz na twarzy takie paskudne blizny? Bałam się, że ojciec na śmierć się zamartwi o ciebie!

Ojciec postarzał się, ale wyglądał dostojnie, jak przystoi senatorowi.

Długo patrzyłem na niego po kilkuletniej przerwie, i zauważyłem, że oczy miał bardziej zatroskane niż dawniej. Nie mogliśmy rozmawiać bez świadków, ale był ogromnie szczęśliwy, gdy mnie zobaczył. Zdołałem mu krótko zrelacjonować moje przejścia w niewoli i dyskretnie zapytać, dlaczego w jego domu wciąż jest pełno Żydów? Ojciec, jakby w poczuciu winy, zaczął się usprawiedliwiać:

- Brat skarbnika Pallasa, Feliks, jest obecnie prokuratorem Judei. Wiesz, ten sam, który się ożenił z wnuczką Kleopatry. Mieszkańcy Judei bardzo się skarżą na jego zachłanność. Choć może te skargi wynikają z malkontenctwa Żydów, którym trudno dogodzić. Znowu tam kogoś zamordowano. Właściwie Judeę chyba rządzi banda zbójów. Tylko palą i grabią. Feliks nie potrafi utrzymać porządku. Żydzi będą chcieli oskarżyć go przed senatem. Ale który z senatorów zechce się w to mieszać?! Pallas jest za mocny, żeby mu się narażać! Poza tym Armenia i Brytania przysparzają nam dość kłopotów! Obecnie zgromadzenia senatu nie odbywają się w kurii, ale na Palatynie, gdzie nas zapraszają. Właściwie tu jest wygodniej, bo w przestarzałej kurii część senatorów musiała stać, gdy zebrał się pełny skład. Poza tym nogi tam zimą marzły. Ale na Palatynie Agrypina przysłuchuje się naszym dyskusjom zza kotary.

- A jak Neron? - spytałem z zapartym tchem. - Jakiego wywarł na tobie wrażenie?

- Podobno kiedy miał podpisać swym imieniem pierwszy wyrok śmierci, powiedział, że wolałby nie umieć pisać. Może naprawdę wyrośnie z niego chluba rodzaju ludzkiego? Wielu w to wierzy. W każdym bądź razie zwrócił konsulom i senatowi część władzy sądowniczej. Nie mogę odgadnąć, czy w ten sposób honoruje senatorów, czy też chce się pozbyć jurysdykcji, aby mieć więcej czasu na przyjemniejsze zajęcia.

Czoło ojca było porwane zmarszczkami. Patrzył z roztargnieniem i mówił nie przywiązując wagi do swoich słów. Nagle spojrzał mi prosto w oczy i zapytał:

- Minutusie, synu mój. Do czego zmierzasz w życiu?

- Dwa lata nędznej poniewierki w pieczarze! - wykrzyknąłem, bo przekora wzięła we mnie górę. - Kapryśna Fortuna dwa lata wydarła mi z życia! Jeśli w ogóle mogę mieć jakieś marzenia, to tylko takie, aby te dwa lata wydrzeć jej z gardła, cieszyć się nimi do syta i pełnymi garściami czerpać z życia, nie odmawiając sobie niczego!

- A może to ja żyję w ciemnej pieczarze - powiedział ojciec z niezmiernym smutkiem i ruchem ręki wskazał na pokój, jakby czyniąc aluzję do blasku i przepychu domu pani Tulii. - Piastuję ważne stanowisko i odbieram hołdy, choć o to nie prosiłem. Ale ty jesteś krwią swojej matki i nie możesz się zgubić! Czy masz jeszcze czarkę mamy?

- Tego drewnianego kubka nawet banda z Cylicji nie miała ochoty mi zagrabieć. Kiedy przez wiele dni nie dawano nam pić i języki przysychały do gardła, a oddechy cuchnęły jak u bydła, wówczas wyobrażałem sobie, że czarka jest pełna i podnosiłem ją do ust. Ale nie była pełna.

Nie wspominałem ojcu o Pawle ani o Piotrze, bo chciałem zapomnieć o nich tak dokładnie, jakbym ich nigdy w życiu nie spotkał. A ojciec powiedział:

- Pragnąłbym być biednym i nieznanym niewolnikiem, byłem tylko mógł swe życie zacząć od nowa. Dla mnie już jest za późno na wszystko. Okowy przeżarły moje ciało!

Osobiście nie byłem zwolennikiem filozoficznych mrzonek o prostocie życia. Seneka głosił przepiękne teorie o dobrodziejstwach ubóstwa i spokoju ducha, ale oddał się czarowi sławy i bogactwa; wszem wobec twierdził przy tym, że człowieka mądrego nie mogą one zniewolić.

Zaczęliśmy rozmowę o sprawach bytowych. Po naradzie z Tulią, która miała własne propozycje odnośnie do mego życia, ojciec obiecał przekazać mi milion sestercji, abym mógł żyć zgodnie z wymogami mojej społecznej pozycji, urządzać przyjęcia i nawiązywać pożyteczne kontakty. Prócz tego obiecał mnie wspierać w razie potrzeby. Chwilowo nie mógł mi więcej ofiarować.

- Twemu ojcu brak czegoś, co by go zainteresowało i wypełniło mu życie - skarżyła się pani Tulia. - Nie ciekawią go nawet odczyty, jakie organizuję w naszym domu, chociaż specjalnie wybudowałam audytorium; myślałam zresztą, że będziesz pisarzem. Mógłby bodaj kolekcjonować stare instrumenty muzyczne albo greckie malowidła. Tacy ludzie też cieszą się sławą. Niektórzy pasjonują się hodowlą rzadkich ryb, inni szkołą gladiatorów. Mógłby pozwolić sobie na wystawianie koni w wyścigach. Jest to wprawdzie najdroższe, ale równocześnie najciekawsze zajęcie dla mężczyzny w średnim wieku. Ale on jest uparty! Nic mu nie odpowiada! Od czasu do czasu wyzwala jakiegoś niewolnika albo rozdaje dary próżniakom. Na szczęście nie ma gorszych skłonności. Dzięki obopólnym ustępstwom znaleźliśmy zadowalający nas *modus vivendi*!

Oboje zapraszali mnie na wieczerzę, ale pragnąłem jak najszybciej zameldować się na Palatynie, zanim skądinąd dotrze tam informacja o moim przybyciu do miasta. Taki byłem w sobie zadufany!

Czasy zmieniły się o tyle, że wartownicy wpuścili mnie do pałacu nawet nie sprawdzwszy, czy mam broń przy sobie. Ale naprawdę osłupiałem, gdy zobaczyłem, ilu ludzi próbowało szukać szczęścia w kolumnowym przedsionku. Seneka tak był zavalony obowiązkami, że w ogóle nie mógł mnie przyjąć. Natomiast Neron zamknął się w swoim gabinecie, aby pisać wiersze. Nie wolno mu było przeszkadzać, bo przebywał tam w towarzystwie białogłów-poetek.

Poczułem się niezręcznie, gdy spostrzegłem, jak niezliczona rzesza ludzi za wszelką cenę stara się zyskać sobie przychylność cesarza. Już zamierzałem odejść, gdy podszedł do mnie jeden z licznych sekretarzy Pallasa i zaprowadził do Agrypiny. Roztrącając meble i kopiąc nogami drogę wschodnie kobierce krążyła tam i z powrotem po swoich pokojach.

- Czemu od razu nie zgłosiłeś się do mnie?! - krzyknęła ostro. - A może i ty nie czujesz już szacunku wobec mnie? Nie ma w świecie nic gorszego niż człowiek niewdzięczny! Wątpię, czy któraś z matek ofiarowała swojemu synowi i jego przyjaciółom równie dużo jak ja!

- *Augusto, mater patriae!* - zawołałem, choć dobrze wiedziałem, że tego tytułu jej nie przyznano. Oficjalnie była tylko kapłanką boskiego Klaudiusza. - Jak możesz posądzać mnie o niewdzięczność?! Nie śmiałem w dniach ciężkiej żałoby zwracać ci głowy głupstwami!

Agrypina spojrzała na mnie nieufnie i zaczęła zaraz wzdychać i załamywać ręce, zapewniając:

- Jako matka nowego cesarza nie mogę okazywać uczuć żalu, jaki dręczy mnie po śmierci Klaudiusza. Neron jest taki młody! Potrzebuje rad matki, aby dobrze wypełniać swoje trudne obowiązki. Ja wiem lepiej od innych, jak załatwiać sprawy z korzyścią dla ojczyzny i *pro publico bono*. Moją rozpacz zmniejsza fakt, że biedny Klaudiusz był już bliski obłędu. Nie mogliśmy ogłosić nawet jego ostatniej woli, bo nosi ona wyraźne oznaki pomieszania zmysłów. Śmierć była wybawieniem dla biednego starca! Teraz jest mu dobrze między bogami, choć obawiam się, że boski August będzie zaskoczony, gdy trzęsąc głową do niebiańskich wrót zastuka Klaudiusz-jąkała!

- Dobrze, że wróciłeś, Minutusie Lauzusie! - mówiąc to Agrypina ujęła moją rękę i przycisnęła ją do swego wydatnego biustu; owionęła mnie silna woń fiołkowych pachnideł. - Mimo błędu, jaki z braku doświadczenia popełniłeś swego czasu, nie jesteś lekkoduchem! A właśnie teraz Neron najbardziej potrzebuje prawdziwych przyjaciół. Mój syn ma słaby charakter i łatwo nim manipulować. Być może zbyt ostro z nim postępowałam. Początkowo siadał przy mnie w tej samej lektyce albo z szacunkiem szedł za mną, a teraz specjalnie mnie unika. Czy wiesz, że ja mam prawo wjeżdżać w lektyce nawet na Kapitol?! Neron traci nieprawdopodobne sumy na próżniaków, grajków, aktorów, woźniców wyścigowych, poetów, pochlebców - zupełnie jakby nie rozumiał wartości pieniądza! Pallas jest bardzo tym zaniepokojony. To przecież on doprowadził do ładu finanse państwowe za czasów nieszczęsnego Klaudiusza! Fiskus cesarski oddzielono od finansów państwowych! Neron tego nie zauważa! Na dodatek upodobał sobie pewną niewolnicę. Masz pojęcie?! Neron gania do białoskórej niewolnicy chętniej niż do własnej matki! Takie zachowanie nie licuje z godnością cesarza! Zakłamanymi przyjaciółmi jeszcze podbechtują lekkomyślnego chłopca! A przecież matczyne pieszczoty mogłyby mu zastąpić brudne przelotne miłostki!

Piękna, harda Agrypina, która umiała trzymać się w ryzach i zachowywać dumnie jak bogini, teraz, zbyt ufając w moją przyjaźń, tak się zagalopowała, że odkryła swoje karty.

- Seneka niktę mnie zawiódł! - wołała. - To jest podstępny obłudnik! Ściągnęłam go z banicji, dałam mu miejsce w senacie, zatrudniłam w charakterze retora Nerona. Wszystkie swoje sukcesy jedynie mnie zawdzięcza! A czy wiesz, że w Armenii też wybuchły zamieszki? Kiedy Neron przyjmował delegację Armenii, weszłam do sali, żeby zgodnie z prawem usiąść przy nim. Wówczas za radą Seneki Neron wyszedł mi naprzeciw i wyprowadził z sali tak czule, jak tylko syn potrafi! To była publiczna zniewaga! Niewiasty mają się trzymać z dala od spraw wagi państwowej. A przecież bez tej niewiasty Neron nigdy nie zostałby imperatorem!

Wyobraziłem sobie, co mogli pomyśleć delegaci Armenii, gdyby zobaczyli występującą publicznie u boku cesarza białogłową! Neron nie błysnął tu dyplomacją większą niż Agrypina. Ale tego jej oczywiście nie mogłem powiedzieć. Patrzyłem na nią ze strachem, jak na zranioną lwicę.

Zrozumiałem, że w decydującej fazie walki o władzę będę się musiał opowiedzieć za nią albo za doradcami Nerona. Rezultat tej walki niełatwo przewidzieć, bo dobrze znałem całkowitą zależność Nerona od swojej matki!

Zakłopotany próbowałem coś napomknąć o swoich przeżyciach, ale Agrypina nie miała ochoty mnie słuchać. Okazała zainteresowanie opowiadaniem o nagłym ataku Sylana.

- Tak było najlepiej! Bez tego w przyszłości znowu trzeba by było szukać pretekstu i oskarżać go o udział w spisku! Wszyscy Sylanowie przez swoje rodowe zadufanie okazywali się gadami!

W tym momencie wszedł sługa z informacją, że Neron siada do jak zwykle spóźnionej wieczerzy. Agrypina trąciła mnie w ramię i zachęciła:

- Idź, głuptasie, idź do niego! Nie pozwól, żeby cię odtrącił!

Mówiła to tak przekonywająco, że pogalopowałem, wmawiając powstrzymującemu mnie słudze, że zostałem zaproszony na wieczerzę. Neron siedział w małej sali stołowej, obliczonej na jakieś pięćdziesiąt osób, ale wypełnionej takim tłumem, że nie starczyło miejsc na sofach, choć ludzie cisnęli się po troje na jednej. Większość obecnych musiała się zadowolić zwykłymi stołkami. Neron był spocony i ubrany niedbale, ale na jego sympatycznej młodej twarzy malowało się zadowolenie. Początkowo wpatrywał się we mnie wzrokiem krótkowidza, ale zaraz chwycił mnie w objęcia i ucałował; kazał przynieść dla mnie krzesło i postawić je tuż koło siebie.

- Muzy są dla mnie przychylne! - zawołał i natychmiast pochylił się, żeby mi tajemniczo szepnąć do ucha: - Minutusie, Minutusie, czyś kiedy kochał bez opamiętania? Kochać i być kochanym! Czy można pragnąć więcej?!

Ja dął szybko i łapczywie, co chwila wychwalając muzyka Terpnosa, odzianego w powłóczystą opończę, który, jak się dopiero dowiedziałem, był najlepszym artystą naszych czasów. Taki byłem zacofany! W czasie trwania wieczerzy Terpnos skomponował muzykę do lirycznych strof Nerona, a potem wśród absolutnej ciszy śpiewał dla gości.

Głos miał wyszkolony i tak majestatyczny, że przenikał człowieka do głębi. Kiedy skończył, akompaniując sobie na cytrze, zgotowaliśmy mu ogromną owację. Nie potrafię powiedzieć, czy strofy Nerona były oryginalne, czy też naśladowały innych poetów, ale z całą pewnością robiły duże wrażenie w wykonaniu Terpnosa. Prawdę mówiąc nie jestem zbyt muzyczny. Udając skromność Neron podziękował za oklaski, wziął instrument od Terpnosa i smętnie zabrzdakał melodię, ale śpiewać się nie odważył, choć wielu go o to prosiło.

- Kiedyś zaśpiewam - powiedział. - Jak Terpnos mnie nauczy i przez ćwiczenia wzmocni mój głos. Wiem, że mam zdolności! Jeśli kiedyś wystąpię, będę rywalizował z najlepszymi! To jedyna pasja mego życia!

Wciąż ponawiał prośby, aby Terpnos śpiewał. Ze złością mrucał na tych, którzy znudzeni muzyką rozmawiali między sobą i popijali wino. Ja, mówiąc uczciwie, z trudem powstrzymywałem ziewanie. Obserwowałem gości i zauważyłem, że przy dobieraniu przyjaciół Neron nie zwracał szczególnej uwagi na ich pochodzenie; widocznie kierował się własnym upodobaniem.

Z rodu patrycjuszowskiego wywodził się jedynie Marek Othon, którego ojciec, podobnie jak i mój, wywodził się od królów etruskich; senat nawet ustawił jego popiersie na Palatynie, choć miał fatalną opinię. Był bezczelny i prymitywny, a syna bił bezlitośnie nawet wtedy, gdy ten otrzymał już męską togę. Był tu Klaudiusz Senecjo, którego ojciec był wyzwoleniem cesarza Kaliguli. Zarówno Othon, jak i Klaudiusz, byli przystojnymi młodzianami i jeśli chcieli, potrafili zachowywać się czarująco. Widziałem też bogatego krewnego Seneki, Anneusza Serena, któremu Neron szeptał coś na ucho, kiedy Terpnos przerwał występ, aby odświeżyć głos surowym jajkiem.

Słuchając muzyki Neron zasnął; z tymi ładnymi rysami i czerwonymi włosami wyglądał jak marmurowy relief śpiącego Endymiona. Gdy się zbudził, kazał gościom opuścić salę; zostało tylko dziesięć osób, w tym i ja, bo wyraźnie mnie nie wyprosił. Kazał nam wdziać dziwne szaty i tylnym wyjściem udaliśmy się na dalszy ciąg zabawy do miasta. Neron przebrał się za niewolnika i nakrył głowę kapturem. Wszyscy na tyle mieliśmy w czubie, że byle psota nas cieszyła. Z szumem i hałasem zbiegaliśmy po stromej ścieżce na Forum i tu, obchodząc wkoło atrium kapłanek Westy, głośno sykaliśmy na siebie, żeby zachować spokój. Othon opowiadał bezwstydną historię o westalkach - widomy dowód jego bezbożności.

Gdy dochodziliśmy do ulicy złotników; naprzeciwko nas wyjechał pijany ekwita, który wyrzekał, że zgubił swoich kompanów. Neron wszczął z nim awanturę, a rycerz aż palił się do bójki. Othon zdjął swoją oponczę i pohnęliśmy w niej pijanego, po czym Senecjo wrzucił go dla zabawy do kloaki, ale wyciągnęliśmy go stamtąd, żeby się nie utopił. Tłukąc i waląc w okiennice sklepów lub zrywając je i ciągnąc za sobą w charakterze łupów, dotarliśmy w końcu do cuchnących zaułków Suburry.

Tutaj przemocą wyrzuciliśmy gości z małej spelunki, która była jeszcze czynna, i zmusiliśmy właściciela, aby nas ugościł winem. Wino, jak należało się spodziewać, było podłe, więc wytoczyliśmy kadzie na ulice i wylali. Bezradny gospodarz wybuchnął płaczem wiedząc, że nic nam nie może zrobić, więc Seren obiecał za wszystko zapłacić. Neron obnosił się dumnie z raną na policzku, jaką odniósł w bójce z pastuchem z Lacjum, bowiem, jak twierdził, udział w bójce przynosi mężczyźnie zaszczyt. Kategoriecznie też zabronił ukarania tego pastucha. Senecjo miał ochotę na swawole z nierządnicami, ale Neron powiedział, że jego surowa matka nie pozwala mu spotykać się nawet z najlepszą ladacnicą. Wtedy Seren z tajemniczą miną kazał nam przysiąc, że pary z ust nie puścimy, i zaprowadził nas do pięknego domu na zboczu Palatynu. Powiedział, że kupił go i urządził dla najpiękniejszej kobiety na świecie. Neron udawał, że jest zmieszany i co chwila pytał, czy wypada przeczytać napisane dla niej wiersze.

To wszystko była wyreżyserowane, bo w tym domu mieszkała przepiękna niewolnica, Greczynka imieniem Akte, w której Neron był po uszy zakochany. Seren grał rolę kochanka, który niby to od siebie obsypywał ją prezentami, w rzeczywistości kupowanymi przez Nerona. Muszę przyznać, że Akte miała przepiękną figurę i rzeczywiście była śliczna. Ona też musiała kochać Nerona, skoro bardzo się ucieszyła, gdy

nad ranem, obudzona ze snu, ujrzała go pijaniutkiego w gronie hałaśliwych kompanów .

Neron przysięgał, że Akte jest spokrewniona z królem Attalosem i obiecał to jeszcze kiedyś światu udowodnić. Ja byłem oburzony, że domagał się, by dziewczyna stanęła przed nami naga, bo chępił się jej śnieżnobiałą skórą. Dobrze wychowana, wykształcona Akte mocno się wzbraniała, a Neron zachwycał się jej skromnością i rumieńcem wstydu na policzkach; upierał się jednak, że nie może niczego odmówić swoim przyjaciołom, którzy na własne oczy muszą się przekonać, że jest najszcześliwszym i godnym zazdrości młodzianem.

W ten sposób zaczęło się moje nowe życie w Rzymie. Nie było to życie godne. Po pewnym czasie Neron oświadczył mi gotowość poparcia w staraniach o jakieś stanowisko. Chciał zapewnić mi dowództwo kohorty w gwardii pretoriańskiej. Nie przyjąłem tej propozycji i zapewniłem go, że pragnę tylko być jego przyjacielem i uczyć się przy nim sztuki życia.

- Masz rację, Minutusie! - powiedział, bo spodobała mu się ta odpowiedź. - Nie ma takiego urzędu, który nie marnowałby czasu mężczyzny!

Trzeba przyznać, że jeśli już musiał zasiąść w sądzie, bo nie udało się danej sprawy zepchnąć ani na prefekta miasta, ani na pretora Burrusa, to rozstrzygał spory w sposób przemyślany i sprawiedliwy. Ograniczał gadulstwo prawników i - aby wyeliminować pochlebców - żądał pisemnych opinii od bezstronnych sędziów. Podejmował decyzje dopiero po zapoznaniu się z ich orzeczeniami i po przemyśleniu sprawy. Publicznie występował z wielką godnością, pomimo że był taki młody i że na ogół ubierał się niedbale i na wzór artystów nosił długie włosy.

Mieć siedemnaście lat, pozycję imperatora - władcy świata, a równocześnie żyć pod kuratelą zazdrosnej i żadnej władzy matki! Nie zazdrościłem mu. Wydaje mi się, że jedynie pełna namiętności miłość do Akte ocaliła Nerona przed agresją Agrypiny. Neron cierpiał z powodu obraźliwych słów, jakimi matka obrzucała jego ukochaną. A przecież mógł wpaść znacznie gorzej! Akte nie mieszała się do polityki i nie żądała dla siebie prezentów, choć na pewno cieszyła się z ich otrzymywania. Stopniowo wyciszała w Neronie rodzinne okrucieństwo Domicjuszy i z wielkim szacunkiem odnosiła się do Seneki. Prawdopodobnie z tego powodu Seneka po cichu popierał ten związek miłosny. Uważał, że znacznie gorsza byłaby miłość Nerona do jakiejś panny czy młodej mężatki ze sfer arystokratycznych. Małżeństwo Nerona z Oktawią, z uwagi na jej nieletniość, było czysto formalne; Neron odczuwał zresztą wstręt do swej tytularnej żony, ponieważ była siostrą Brytanika. By prawdę powiedzieć - Oktawia nie odznaczała się sympatycznymi cechami. Była skryta i zarozumiała, niewiele też miała do powiedzenia. Niestety, po matce, Mesalinie, nie odziedziczyła ani wdzięku, ani urody.

Agrypina miała dużo rozsądku, więc rychło doszła do wniosku, że ataki złości coraz bardziej oddalają ją od Nerona. Natychmiast przyjęła pozę tkliwej matki, namiętnie całowała i pieściła Nerona, nawet zapraszała go do własnej sypialni - wszystko po to, aby stać się jego najlepszą i

najwierniejszą powiernicą. Takie sytuacje wprawiały Nerona w niepokój. Zdarzyło się, że szukał w pałacowych garderobach jakiegoś nowego prezentu dla Akte i kierując się najlepszymi intencjami wybrał też najpiękniejszą szatę i drogocenny naszyjnik, który kazał posłać swojej matce. Agrypinaomal nie oszalała ze złości; wyjąc z nienawiści krzyczała, że wszystkie skarby w pałacu są spadkiem po Klaudiuszu, a więc jej własnością i Neron może z nich korzystać tylko za jej przyzwoleniem.

Ja także stałem się obiektem ataku wściekłości Agrypiny, ponieważ uważała, że zbyt oględnie opowiadam jej o politycznych poglądach i młodzieńczych wyskokach Nerona i jego przyjaciół. Prawdopodobnie ta kobieta, która tak wiele lat musiała maskować swą żądzę władzy, licząc na zdobycie jej przez zdominowanie syna, teraz przeżywała gorycz porażki i czuła, że traci grunt pod nogami. Twarz jej brzydko wydłużyła się, oczy przypominały Meduzę, a używała słów tak wulgarnych, że trudno było ich słuchać bez wstydu. Coraz bardziej traciłem dobre zdanie o niej.

W największą rozterkę popadł Neron z powodu ogromnej miłości do matki; miłości większej, niż przystoi synowi. I to Agrypina doprowadziła do takiego związku! Dlatego Neron równocześnie tęsknił za matką i unikał jej, uciekając w objęcia Akte albo wyładowując się w nocnych bójkach na ulicach Rzymu. Ponadto złe strony jego charakteru trzymały na uwieczni pouczenia Seneki. Przecież Neron ze wszystkich sił starał się przynajmniej zewnętrznie udowodnić, że spełnia pokładane w nim przez cały świat nadzieje. Błąd Agrypiny polegał na tym, że przez głupią zazdrość nie potrafiła już nad sobą panować.

Między młotem a kowadłem znalazł się Afraniusz Burrus, człowiek stary, bez wątplenia nieposzlakowany i godny zaufania, który stanowisko prefekta gwardii pretoriańskiej zawdzięczał Agrypinie. Był nader rzadko spotykanym typem Rzymianina: nie marzył o osobistej sławie, tylko o spłaceniu długu wdzięczności wobec swoich dobroczyńców. Miał kaleką rękę i własnymi siłami nigdy by nie osiągnął takiego urzędu. Starał się udowodnić, że jest go godzien. Przyjmował więc na siebie całą masę niepotrzebnej roboty, ba nie miał zmysłu organizacyjnego i nie potrafił sobie dobrać zręcznych pomocników. Do zakresu jego władzy sędziowskiej należały waśnie i sprawy karne międzynarodowe; kwestie wewnętrzne rozstrzygał prefekt miasta.

To Burrus proklamował Nerona cesarzem i on zaprowadził go do obozu pretorianów - tę chwilę uważał zapewne za najbardziej zaszczytny moment życia. Młodocianego imperatora traktował jak swego podopiecznego, po ojcowsku, więc żeby uniknąć zjadliwych uwag Agrypiny, dyskretnie zniknął z Palatynu, tłumacząc się nawałem pracy.

Jedynym - ale rzeczywiście potężnym - oparciem Agrypiny był grecki wyzwolieniec Pallas, który uzurpował sobie pochodzenie z rodu legendarnych władców Arkadii. Służąc Rzymowi kolejno pod panowaniem trzech cesarzy stał się tak przebiegły, że swoje decyzje wydawał tylko na piśmie, aby nikt nie mógł wypaczyć jego słów. Kto chce, niech wierzy w plotkę, że łączyły go z Agrypiną stosunki płciowe. W każdym razie pewne jest, że to Pallas pierwszy zalecał Klaudiuszowi małżeństwo z Agrypiną. Byłemu niewolnikowi oczywiście musiała schlebiać przyjaźń, okazywana

otwarcie przez pierwszą damę Rzymu!

Pallas odnosił się do Neronu jak do nastolatka, co ma zielono w głowie. Przy każdej okazji starał się demonstrować swoje bezcenne doświadczenie w sprawach finansów państwowych. Kiedy Neron, chcąc zdobyć popularność wśród ludu miasta i prowincji, zaproponował obniżenie podatków, Pallas natychmiast go poparł, ale równocześnie spytał, skąd zamierza czerpać potrzebne fundusze i z ryzykiem w rękę udowodnił, że przy obniżeniu podatków państwo zbankrutuje. Neron miał rozliczne talenty, ale nigdy nie interesował się matematyką; liczenie nie przystoi cesarzowi, bo należy do obowiązków niewolnika.

Pallas był człowiekiem bardzo odważnym. Ćwierć wieku temu ryzykując życiem wyjechał na Capri, aby zdemaskować przed Tyberiuszem spisek Sejana. Zgromadził ogromny majątek - ponoć trzysta milionów sestercji - i równie duże wpływy. Szanował Brytanika i Oktawię, bo byli dziećmi Klaudiusza; nie był też bezpośrednio zamieszany w niešťczęsną śmierć Mesaliny. Gdy przed laty zgodził się kierować finansami państwa, postawił Klaudiuszowi warunek, że nigdy nie będzie się rozliczał ze swojej pracy. Ten sam warunek postawił Neronowi w pierwszym dniu jego panowania, kiedy młody cesarz kazał Pallasowi wypłacić obiecane pretorianom premie.

Ale Pallas był już podstarzałym, zmęczonym życiem człowiekiem. Za jego czasów zarządzanie finansami zastygło w starych modułach i tradycjach. Wierzę, że tak istotnie było, bo zapewniali mnie o tym ludzie znający się na rzeczy. Pallas stale sądził, że jest niezastąpiony. Przy wszelkich konfliktach z Neronem stale groził, że złoży rezygnację ze stanowiska, co automatycznie pociągnąć miało za sobą ruinę finansów państwowych. Powoływał się przy tym na taką właśnie opinię Agrypiny.

W trakcie szczególnie burzliwych awantur z Neronem Agrypina straszyla go:

- Należy otworzyć testament Klaudiusza i przeczytać go na tajnym posiedzeniu senatu! Najwyższy czas, aby Brytanik przywdział męską togę i zaczął ci pomagać w rządzeniu!

- Rzucę wszystko i na zawsze wyjadę ze swą ukochaną na Rodos, aby żyć jak poeta i artysta! Mam już dosyć wiecznych przekleństw i kłopotów!
- wrzeszczał na to Neron.

Ta myśl go zresztą nie opuszczała. Bardzo często wracał do tego tematu i wymieniał imiona przyjaciół, których chciałby zabrać na Rodos. Nie zamierzał dzielić się z Brytanikiem władzą, raczej wołał zrezygnować z pozycji imperatora. Dobrze wiedział, że wspierany przez Pallasa Brytanik w każdej chwili może stać się jego rywalem w sprawowaniu władzy, co przecież ustanawiał ukryty przez Agrypinę testament Klaudiusza.

Wreszcie Seneka w trosce o własne stanowisko przedsięwziął odpowiednie działania. Przy współdziałaniu najznamienitszych bankierów Rzymu przygotował szczegółowy projekt reformy systemu finansowo-podatkowego państwa. Skłonił Burrusa do otoczenia pretorianami Palatynu i Forum, a Neronowi zaproponował, aby wezwał Pallasa i zawiadomił go, że udziela mu dymisji.

Neron czuł taki respekt wobec Pallasa, że próbował się wymigać:

- Może lepiej uczynić jak on i wysłać mu rozkaz na piśmie?

Seneka odrzucił ten pomysł; chciał zahartować Nerona, bo wiedział, jak trudno będzie mu spojrzeć Pallasowi w oczy. Do Pallasu docierały wprawdzie pogłoski o przygotowywanych projektach reform, ale zbyt sobie lekceważył filozofa i nauczyciela Senekę, żeby je poważnie traktować. Neron stale chciał mieć wokół siebie przyjaciół, bo potrzebował duchowego wsparcia i sympatii. Dzięki temu stałem się mimowolnym świadkiem tego arcynieprzyjemnego spotkania.

Rozkaz Nerona dotarł do Pallasu w chwili, kiedy Palatyn był już otoczony, więc nie udało mu się uprzedzić Agrypiny. Stawił się przed Neronem i trzeba przyznać, że zachował się jak udzielny książę. Jego zniszczone troskami i odpowiedzialnością za sprawy finansowe rysy nawet nie drgnęły, gdy teatralnie gestykulujący Neron przemawiał do niego, wspominając o królach Arkadii i ze wzruszeniem dziękując za osiągnięcia w służbie państwowej.

- Nie zniosę, byś zestarzał się przedwcześnie i żeby złamał cię ciężar odpowiedzialności, na który nieraz się skarżyłeś - zakończył Neron swoją mowę. - By dać wyraz mej nadzwyczajnej życzliwości, pozwalam ci bezzwłocznie wyjechać do twojej wiejskiej rezydencji, o której przepychu i wspaniałościach krążą legendy, abyś do końca życia mógł cieszyć się bogactwem, które zgromadziłeś, nie plamiąc swego honoru najmniejszą skazą.

- Chyba mi pozwolisz, bym przed odejściem złożył na Kapitolu przysługującą memu stanowisku przysięgę oczyszczającą? - to było jedyne pytanie Pallasu.

Neron odparł, że zgodnie z własną obietnicą nie może takiej przysięgi żądać od tak oddanego i cieszącego się zaufaniem sługi, jeśli jednak Pallas chce ją złożyć dla spokoju własnego sumienia, to on oczywiście nic nie ma przeciwko temu. Przeciwnie. Uważa, że przysięga położy kres nie kończącym się plotkom na temat uczciwości Pallasu.

Wszyscy potwierdziliśmy to gorącymi oklaskami, śmiechem i głośnymi okrzykami. Neron w purpurowym płaszczu na ramionach puszył się jak kogut i uśmiechał, bardzo z siebie zadowolony. Pallas zimnym wzrokiem mierzył kolejno każdego z nas. Nigdy nie zapomnę tego spojrzenia! Pełne było lodowatej pogardy dla nas, najbliższych druhów Nerona! W późniejszych latach odczułem wstyd, gdy wreszcie zrozumiałem, że trzysta milionów sestercji to naprawdę nie było nadmierne wynagrodzenie za prowadzenie przez dwadzieścia pięć lat - i to zupełnie sensownie! - finansów gigantycznego imperium. Seneka zgromadził taką samą kwotę w ciągu pięciu lat jako rekompensatę za wygnanie! Nie wspomnę już o moim własnym majątku, którego wielkość muszę Ci kiedyś, Juliuszu, udokumentować w zapisie spadkowym. Przez całe lata nie zdołałem tego zrobić.

Przemarsz pretorianów przez miasto spowodował zbiegowiska na Forum i w innych miejscach publicznych. Wiadomość, że Pallas popadł w niełaskę, wzbudziła powszechny zachwyt. Nic bowiem bardziej nie może ucieszyć motłochu niż upadek człowieka bogatego lub sprawującego władzę. Uliczni aktorzy w spektaklach satyrycznych, wystawianych na rogach ulic, od razu zaczęli wykpiwać zarozumiałstwo Pallasu i prześcigali

się w kleceniach złośliwych przyśpiewek na jego temat.

Ale gdy Pallas w otoczeniu ośmiuset wyzwolenców i pomocników uroczystym pochodem schodził pieszo z Palatynu, tłum zamilkł i zrobił mu przejście. Pallas zachowywał się jak monarcha ze Wschodu. Jego świta oślepiła ludzi wykwentem szat i mnogością złota, srebra i drogich kamieni. Nikt bardziej od byłego niewolnika nie chęłpi się bogactwem ubiorów, nic więc dziwnego, że Pallas rozkazał swoim ludziom przywdziać najbogatsze szaty.

Wstępując na Kapitol narzucił na siebie białą togę. Najpierw udał się do mennicy w świątyni Junony Monety, a stamtąd do skarbcza w świątyni Saturna. Przed każdym z bogów złożył przysięgę oczyszczającą i potwierdził ją jeszcze w świątyni Jupitera.

Odchodząc ze stanowiska, Pallas zabrał ze sobą swoich wyzwolenców, latami szkolonych w różnych specjalnościach. Sądził, że w ten sposób spowoduje chaos w finansach państwowych i że po kilku dniach Neron będzie zmuszony wystąpić o ich powrót do pracy. Ale Seneka przewidział wszystko. Pięciuset przyuczonych niewolników, wypożyczonych przez bankierów, natychmiast zapełniło dom rządowy. Zresztą skoro tylko był skarbnik imperium opuścił miasto, wielu jego protegowanych skwapliwie wróciło do pracy. Seneka przejął najważniejsze decyzje w sprawach finansowych. Utworzył też swego rodzaju bank państwowy, który udzielał ogromnych pożyczek władcom ościennych państw. Pieniądze więc nie leżały bezczynnie w skarbcu, lecz przynosiły obfite odsetki, których lwia część zgarniał Seneka.

Neron przez wiele dni nie odważył się na spotkanie z matką. Agrypina czuła się śmiertelnie obrażona; zamknęła się w swoich pokojach i wzywała do towarzystwa jedynie Brytanika i jego nauczycieli. Czyżby chciała zademonstrować, kogo teraz zamierza faworyzować? Druhem Brytanika był syn Wespazjana, Tytus, a przez jakiś czas także dalszy kuzyn Seneki, Anneusz Lukanus, który mimo młodego wieku potrafił - ku zadowoleniu Nerona - układać piękne wiersze. Neron zawsze szukał towarzystwa poetów i artystów, a nawet organizował konkursy poetyckie, choć niechętnie uznawał kogokolwiek za lepszego od siebie.

Neron znakomicie odegrał swoją rolę przy odsunięciu Pallasa, ale nie mógł znaleźć spokoju, gdy tylko pomyślał o matce. Wydawało się, że zadał sobie pokutę: zaczął pod kierunkiem Terpnosa szkolić swój głos, pościł i godzinami leżał z ołowianą płytą na piersiach, co miało wzmocnić jego śpiew. Ogromnie nas to krępowało, wręcz wstydziliśmy się jego postępowania tak bardzo, że pilnowaliśmy, aby ktoś przypadkowy nie usłyszał, jak ćwiczy.

Z dnia na dzień młody cesarz posepniał i coraz częściej kazał sobie opowiadać o urokach życia na Rodos. Uskarżał się na surowe obyczaje patrycjuszy i robiło mu się niedobrze, kiedy zauważył jakiegoś senatora starej daty, który nie używał chustki do nosa i bezceremonialnie smarkał przez palce. Aby się rozerwać, codziennie chodził do teatru, ale krył się przed tłumem w głębi swojej łoży. Już wtedy zdolny pieśniarz albo tancerz pantomimy mógł liczyć na wysokie honorarium, jeśli potrafił niepodzielnie zapanować na scenie i zdominować innych aktorów, chór i zespół

muzyków. Neron miał zwyczaj powtarzać, że nie ma piękniejszej melodii niż przeciągły odgłos oklasków albo tupot nóg tysięcy widzów podziwiających artystę.

Bywało, że publiczność wszczyniała awantury, domagając się ulubionego aktora; na widowni wybuchały wówczas bójki. W takich razach Neron pokazywał się publicznie i okrzykami podżegał awanturników. Kiedyś nawet cisnął krzesłem z łoża; przez przypadek trafił jednego z pretorów w głowę. Wszyscy chyłkiem szybciotko opuściliśmy teatr.

Samopoczucie Nerona w pewnym stopniu poprawiały dobre wieści nadchodzące z Armenii. Za radą Seneki i Burrusa cesarz odwołał z Germanii najślawniejszego dowódcę wojennego Rzymu, Korbulona, i polecił mu poprowadzenie wyprawy przeciw Partom, którzy zagarnęli Armenię - państwo buforowe, utworzone zgodnie z tradycyjną polityką rzymską.

Rywalizując między sobą Korbulon i prokonsul Syrii dotarli z legionami aż na brzegi Eufratu i wykazali się taką determinacją, że Partowie uznali za rozsądniejsze wycofanie się z Armenii, aby uniknąć niechybnej klęski. Z tego powodu senat postanowił zarządzić w Rzymie uroczystości dziękczynne, a także przyznał Neronowi odznaki zasłużonego obywatela i prawo przybierania liśćmi lauru pęków różeg jego liktorów.

Kampania Korbulona zmoderowała powszechne nastroje; wcześniej wiele osób obawiało się rychłej wojny z Partami. Pogłoski o jej wybuchu zakłóciły gospodarkę imperium, a szczególnie handel.

Pod koniec roku bardziej niż dotychczas okazale, bo przez cztery dni, obchodzono święto Saturnaliów. Ludzie prześcigali się w obdarowywaniu się wzajem drogimi podarkami; powszechnie wyśmiewano starych skąpców, którzy wysyłali jedynie tradycyjne gliniane figurki i świąteczne chleby. Całą ogromną salą pałacu na Palatynie zajęły prezenty przysłane Neronowi, bowiem patrycjusze z bogatych prowincji konkurowali między sobą w wyszukiwaniu dla niego rzeczy najdroższych i najbardziej wymyślnych. Kanceliści mieli pełne ręce roboty z wyceną wartości darów i kompletowaniem informacji o darczyńcach, ponieważ Neron uważał, iż jego pozycja nakazuje, aby w zamian wysyłał dar jeszcze wspanialszy.

Ulicami przewalały się gromady prześmiewców, błaznów i śpiewaków. Wszędzie słyhać było dźwięki cytr, śpiewy i okrzyki. Niewolnicy przebierali się w szaty swoich panów i odgrywali ich rolę, a panowie pokornie im usługiwali i cierpliwie spełniali ich zachcianki przez ten jeden jedyny dzień w roku, w którym Saturn zrównuje panów ze sługami.

Z okazji święta Neron urządził na Palatynie tradycyjną ucztę dla młodych patrycjuszy; los wskazał na niego jako na króla Saturnaliów, a tym samym dał mu prawo nakazania każdemu realizacji jakiejś psoty. Zdażyliśmy już wypić tyle wina, że słabsi kondycyjnie obrzygiwali ściany, kiedy Neron - niewątpliwie złośliwie - zaproponował, aby Brytanik coś nam zaśpiewał. Wargi Brytanika zadrżały, ale musiał spełnić rozkaz króla Saturnaliów. Wszyscy czekaliśmy na świetną zabawę, a tymczasem Brytanik wziął do ręki cytrę i przy jej wtórze pięknym głosem zaśpiewał skargę „Matko, Ojczyzno moja, ziemio Priama!”. Słuchając tej

najsmutniejszej ze wszystkich pieśni musieliśmy spuszczać oczy i nawzajem unikać swego wzroku. Brytanik skończył śpiewać, a w sali zapanowała grobowa cisza. Nie mogliśmy go oklaskiwać, bo wyborem pieśni chłopiec jasno dał do zrozumienia, że jest świadomy obrabowania go z władzy. Nie mogliśmy też wyśmiać go, bo śpiewem oddał głębię tragedii nie tylko własnej, ale i ginącej Troi!

Piękny głos Brytanika i jego udany występ był niemiłą niespodzianką dla Nerona. Potrafił jednak ukryć swoje uczucia, nawet pochwalił zdolności Brytanika, który zresztą zaraz wyszedł, skarżąc się na złe samopoczucie. Prawdopodobnie obawiał się, że ze wzruszenia może dostać ataku padaczki. Razem z nim wyszli jego młodzi druhowie demonstrując otrzymane w domu dobre wychowanie. Ta demonstracja - choć może nie tylko ona? - wywołała gniewną furję Nerona.

- Ta pieśń jest wezwaniem do wojny domowej! - krzyknął nagle. - Pamiętajcie, że Pompejusz miał osiemnaście, a boski August dziewiętnaście lat, kiedy dowodzili legionami w wojnie domowej! Długo nie będziecie czekać! A jeśli Rzym woli mieć ponurego i chorego na padaczkę chłopca cesarzem, to ja zrzekam się tronu i wyjadę na Rodos! Nie dopuszczę do spustoszeń, jakie pociąga za sobą wojna domowa! Historia daje tego wymowne przykłady! Lepiej podciąć sobie żyły albo wypić truciznę, aniżeli przyzwolić na ruinę, jaka czeka ojczyznę!

Chociaż wszyscy byliśmy solidnie zalani, przerażiliśmy się. Jeszcze parę osób pożegnało się i szybko wyszło. A my, pozostali, wychwalaliśmy Nerona i twierdzili, że przy nim Brytanik nie ma żadnych szans. Wtedy Neron powiedział:

- Najpierw będzie tylko pomagał w rządzeniu, a za nim będzie stała moja matka. Potem wywoła wojnę domową. Kto wie, czy nie układa w tajemnicy list proskrypcyjnych? Może i wasze nazwiska są już na nich?!

To były przerażające słowa! Neron mówił głosem tragicznym, ale miał rację, choć my próbowaliśmy obrócić wszystko w żart i twierdziliśmy, że plecie duby smalone, jak przy stoi królowi Saturnaliów. Rozweseliliśmy go w końcu, zaczął żartować i poszczególnym osobom wydawał polecenia dokonania różnych psot. Komuś na przykład rozkazał, aby ukraść westalce sandały. Senecjo miał ściągnąć z łóżka i przyprowadzić starą damę dworu, dzięki której swego czasu dostał się na Palatyn, choć nie był patrycjuszem. Neron koniecznie chciał wymyślić coś bardziej nieprawdopodobnego. Niewielu druhów zastało już koło niego, kiedy nagle zawołał:

- Moje liście laurowe temu, kto przyprowadzi Lokustę!

Wyglądało na to, że poza mną wszyscy obecni wiedzieli, o kim mowa. Z całą naiwnością spytałem:

- Kto to jest Lokusta?

Nikt słowem nie odpowiedział, dopiero Neron rzekł:

- To kobieta, która dużo przeszła i potrafi ugotować boską potrawę z grzybów. Może i ja zechcę skosztować potrawy bogów, skoro mnie obrażono śmiertelnie?

Nie zwróciłem uwagi na te tajemnicze słowa i krzyknąłem:

- Dla mnie twoje laury! Nie dałeś mi jeszcze żadnego polecenia!

- Tobie, Minutusie, najlepszy mój druhu - przyznał Neron - przypadło

najtrudniejsze zadanie! Minutus zostanie bohaterem Saturnaliów!

- A po nas już tylko chaos! - zabełkotał Othon.

- Nie, chaos już za naszych czasów! - ryczał Neron. - Czemu mamy go nie oglądać?

W tym momencie weszła do sali stara dama dworu, pijana jak bachantka. Była na wpół ubrana i rozrzucała wokół siebie gałązki mirtu, choć zażenowany Senecjo próbował ją powstrzymać. Ta kobieta wiedziała o Rzymie wszystko, więc zapytałem ją, gdzie mogę znaleźć Lokustę. Wcale się nie zdziwiła, tylko zachichotała, zakrywając usta, i poradziła, abym poszukał jej koło wzgórza Celius. Natychmiast ruszyłem w drogę. Miasto było tak oświetlone, że było widno jak w biały dzień; nie musiałem też długo pytać, ad razu wskazano mi maleńki domek Lokusty. Zastukałem - i niespodziewanie otworzył drzwi gburowaty pretorianin, który nie chciał mnie wpuścić do środka. Dopiero kiedy dostrzegł wąski pas purpury na mojej todze, stał się bardziej uprzejmy i wyjaśnił:

- Niewiasta imieniem Lokusta znajduje się pod strażą, obwiniana jest bowiem o ciężkie przestępstwa. Nie może się z nikim spotykać ani rozmawiać. Przez nią ja nieszczęsny nie mogę cieszyć się Saturnaliami!

Musiałem udać się do obozu pretorianów, żeby odnaleźć przełożonego tego żołnierza. Na szczęście okazał się nim Juliusz Pollio, brat mego przyjaciela z młodości, mola książkowego Lucjusza Pollio. Juliusza znałem osobiście, ostatnio awansował i był już trybunem wojskowym. Nie tylko nie sprzeciwił się rozkazowi króla Saturnaliów, ale wręcz wykorzystał go jako okazję dla dostania się w pobliże Nerona. Oświadczył:

- Odpowiadam za Lokustę! Muszę iść razem z nią, aby jej pilnować!

Lokusta nie była jeszcze stara, ale jej twarz przypominała maskę pośmiertną; nogi miała tak straszliwie okaleczone w wyniku tortur, że musieliśmy sprowadzić lektykę, żeby ją dostarczyć na Palatyn. Przez cały czas podróży nie przemówiła ani słowem, tylko palącym wzrokiem wpatrywała się gdzieś w dal. Czaiło się w niej coś przerażającego, jakiś zwiastun zła.

Neron z pozostałymi druhami przeniósł się do małej salki przyjęć i odprawił wszystkich niewolników. Ku mojemu zdumieniu okazało się, że w środku nocy przybyli do niego Seneka i Burrus. Nie wiem, czy to Neron ich zaprosił, czy może wezwał ich Othon, zaniepokojony nastrojem Nerona. Po radosnym uniesieniu Saturnaliów nie zostało już śladu. Wszyscy jakby przygnieceni straszliwym ciężarem unikali wzajem swoich spojrzeń.

Gdy wprowadziliśmy Lokustę, Seneka powiedział do Nerona:

- Jesteś władcą i decyzja należy do ciebie. Tak chce los. Pozwól jednak, że ja się oddalę - i wyszedł nakrywając głowę kapturem.

- Czyżbym był gorszy od mojej matki? - krzyknął ostro Neron. - Chyba mogę porozmawiać z jej oddaną przyjaciółką i spytać, jak się przyrządza potrawę bogów?!

W swojej naiwności pomyślałem, że Lokusta była zapewne dawniej kucharką na Palatynie. Burrus posepnie wymamrotał:

- Jesteś władcą. Sam wiesz najlepiej, co robisz - i z opuszczoną głową i luźno zwieszoną u boku kaleką ręką wyszedł z sali.

- Niechaj każdy idzie w swoją stronę - rozkazał Neron, wytrzeszczając oczy - i zostawi mnie sam na sam z ukochaną przyjaciółką mojej matki. Musimy wyjaśnić wiele ważnych zagadnień sztuki kulinarnej!

Uprzejmie zaprowadziłem Juliusza Polliona do pustej już wielkiej sali, aby poczęstować go pozostałym z uczyty winem i smakołykami. Wykorzystałem okazję i z ciekawością spytałem:

- O co oskarżają Lokustę? Co ona ma wspólnego z Agrypiną?!

- Czyżbyś nie wiedział, że Lokusta jest słynną na cały świat trucicielką?
- Juliusz Pollio spojrział na mnie zdziwiony. - Już dawno by ją skazano na podstawie *lex Iulia*, ale Agrypina spowodowała bezterminowe odroczenie rozprawy. Przeprowadzono jednak surowe śledztwo, poddano ją zwyczajowym torturom i osadzono w areszcie domowym. Podobno miała tyle do opowiadania, że przesłuchującym ją zabrakło oddechu w piersiach.

Teraz na mnie przysła kolej osłupienia. Nie mogłem wykrztusić słowa. Juliusz Pollio mrugnął do mnie znacząco, pociągnął łyk wina i zapytał:

- Może jednak słyszałeś o potrawie z grzybów, która przemieniła Klaudiusza w boga? Cały Rzym aż huczy, że Neron osiągnął tron cesarski dzięki bliskiej współpracy jego matki z Lokustą!

- Podróżowałem po prowincjach i z zasady nie wierzę we wszystkie plotki, które krążą po Rzymie! - palnąłem ze złością, bo wszystko we mnie się burzyło. Moją pierwszą myślą była obawa, że Neron zechce spełnić swoje pogroźki i otruje się. Dopiero potem w głowie mi troszkę przejaśniało. Przecież obecność Seneki i Burrusa musiała o czymś świadczyć! Widocznie Neron, obrażony prowokacyjnym zachowaniem Brytanika, postanowił osobiście przesłuchać Lokustę, aby oskarżyć Agrypinę o otrucie Klaudiusza. W ten sposób mógłby łącznie zamknąć matce usta albo na tajnym posiedzeniu senatu skazać ją na wygnanie z Rzymu. Bo oczywiście nie mógł matki oskarżyć publicznie. Ten tok rozumowania trochę mnie uspokoił, choć bardzo trudno było mi uwierzyć w otrucie Klaudiusza przez Agrypinę. Przecież już na kilka lat przed śmiercią Klaudiusza słyszałem, że ma raka żołądka.

- Sądzę, że będzie najlepiej - powiedziałem po namyśle - jeśli obaj zatrzymamy dla siebie to wszystko, co się tu dzisiejszej nocy wydarzyło!

- Nie sprawi mi to żadnej trudności - parsknął śmiechem Juliusz. - Jestem żołnierzem i bez szemrania wykonuję rozkazy!

I tak posępnie zakończył się ten wieczór, który zapowiadał się zupełnie inaczej. Wróciłem na Awentyn pogrążony w mrocznych rozmyślaniach. Czuję, że niechcący wmieszałem się w polityczne rozgrywki na najwyższym szczeblu. Oczywiście Neron mógł wezwać Lokustę bez mojej pomocy, ale Agrypina na pewno wpadnie w szal, gdy się dowie, że pośredniczyłem w tej sprawie. A gniew Agrypiny jest trudny do zniesienia, bo w złości wyraża się o ludziach bezwstydnie i zjadliwie.

Spałem kiepsko i miałem bardzo złe sny. Nazajutrz, męczony kacem, postanowiłem wziąć nagi za pas. Wyjechałem do wiejskiej posiadłości ojca w pobliżu Cerei i zabrałem ze sobą tylko Barbusa. Była najchłodniejsza i najmroczniejsza pora roku; w wiejskim zaciszu zamierzałem zrealizować od dawna kiełkujący we mnie pomysł napisania książki o przeżyciach w Cylicji.

Byłem świadom, że żaden ze mnie poeta. Nie mogłem też napisać prawdziwej historii powstania w Cylicji, bo w ten sposób oskarżyłbym króla Cylicji i prokonsula Syrii. Natomiast przypomniałem sobie, że gdy byłem w gościnie u Sylana, to dla zabicia czasu czytywałem awanturnicze opowiastki; na ich wzór postanowiłem napisać groteskową historyjkę o bandytach, uwypuklając komiczne aspekty mojej niewoli i bagatelizując wszystkie momenty tragiczne. Przez kilka dni pochłonięty byłem realizacją tego pomysłu i zapomniałem o całym świecie. Przez tę pisaninę chciałem uwolnić się od ohydnych wspomnień upokarzającej niewoli i wszystkie te przeżycia obrócić w żart.

Właśnie rozpryskując inkaust dopisywałem ostatnie wiersze, gdy dotarła do mnie najświeższa wiadomość z Rzymu: oto w trakcie rodzinnego obiadu Brytanik dostał ostrego ataku padaczki i przeniesiony do łóżka wkrótce skonał. Nikt się tego nie spodziewał, bo zazwyczaj po takim ataku szybko wracał do zdrowia.

Aby skrócić bolesne przeżycia, Neron zwyczajem przodków jeszcze tej samej nocy kazał spalić ciało Brytanika na Polu Marsowym. Odbyło się to w czasie zimowej zamieci. Po kremacji bez paradnej eskorty i uroczystych przemówień złożono prochy zmarłego w mauzoleum Augusta. W oficjalnym komunikacie dla senatu i narodu Neron odwoływał się do Ojczyzny, która stała się teraz jego jedyną ostoją, skoro tak nagle utracił bratnią pomoc w życiu i władaniu krajem. „Ojcowie senatorowie, Rzymianie! Z tym większym oddaniem zaufajcie księciu, który samotnie dźwiga brzemię władzy jako ostatni z męskiej linii potomek patrycjuszowskiego, cesarskiego rodu!” - tak kończył się ten komunikat, którego krasomówcza retoryka wskazywała na naśladowanie stylu Seneki.

Człowiek chętnie daje wiarę temu, w co chce uwierzyć. Dlatego w pierwszej chwili poczułem ulgę. Nagła śmierć Brytanika, sądziłem, najfortunniej rozwiąże konflikty zarówno Nerona, jak i Rzymu. Agrypina nie będzie już mogła odwoływać się do Brytanika, aby oskarżać swego syna o niewdzięczność. Zmniejszy się też prawdopodobieństwo wojny domowej.

Ale w głębi duszy gryzło mnie podejrzenie, że może nie dopuszczam do siebie prawdy? Więc siedziałem w Cerei i wcale nie miałem ochoty wracać do Rzymu. Doszły mnie słuchy, że ogromny majątek odziedziczony po Brytaniku Neron podzielił między przyjaciół i wpływowych członków senatu. Podobno szastał niezmiernymi darami, jakby nimi chciał kupić ludzką życzliwość. Nie miałem zamiaru uczestniczyć w podziale spadku po Brytaniku.

Kiedy wreszcie na wiosnę przyjechałem do Rzymu, dowiedziałem się, że Neron pozbawił Agrypinę honorowej warty i kazał się jej przenieść z Palatynu do zniszczonego domu starej Antonii, ciotki Klaudiusza. Wprawdzie odwiedzał ją czasem w tej siedzibie, ale wyłącznie w obecności świadków, jakby chciał ją nauczyć opanowania wybuchów złości.

Agrypina zaczęła wznosić Klaudiuszowi świątynię na wzgórzu Celius. Neron rozkazał zburzyć rusztowania, twierdząc, że właśnie tej działki potrzebuje na swoją rezydencję, poczynił bowiem rozległe plany rozbudowy Palatynu. Oczywiście godność Agrypiny jako kapłanki Klaudiusza

bardzo na tym ucierpiała. Od ciotki Lelii dowiedziałem się, że znowu unikano Agrypiny jak za najtrudniejszych jej dni za życia Mesaliny.

- Jestem niewiastą staroświecką - wyjaśniała ciotka Lelia - nie będę się uczyła greckich tańców. Neron buduje na Polu Marsowym olbrzymi drewniany amfiteatr; podobno ma zażądać, aby występowały w nim żony i córki patrycjuszy. Senatorowie ekwici zobowiązali się łowić dzikie zwierzęta na igrzyska. Cesarz wydał ustawę zakazującą wykonywania wyroków śmierci w amfiteatrze. Gladiatorzy mają dostać drewniane miecze.

- Jednej rzeczy zupełnie nie rozumiem - ciągnęła, przyglądając mi się złośliwie. - Być może śmierć Brytanika była koniecznością polityczną, ale ty zupełnie niepotrzebnie się w to wmieszałeś. Powiadają, że to właśnie ty przyprowadziłeś Neronowi tę wiedźmę Lokustę. Nic dziwnego, że uciekłeś do Cerei! Podobno Brytanik miał całkiem siną twarz; zupełnie jak ten Sylan z Efezu, o którym opowiadałeś. Ubielono go kredą, ale rześista ulewa zmyła kredę, kiedy go składano na stos całopalny. Dziwne tylko, że Neron nie obsypał cię majątkiem, nawet domu ci nie podarował! Chyba sobie na to zasłużyłeś! Podobno Lokuście podarował mały dworek i kilku zdolnych niewolników, żeby wykształciła ich w swej szczególnej sztuce kulinarnej.

Byłem tak przerażony tym straszliwym oskarżeniem, że zacząłem się jękać. Ciotka Lelia położyła mi rękę na ramieniu i powiedziała ze współczuciem:

- Po tej historii masz, Minutusie, bardzo zszarganą opinię! Jesteś mi niezmiernie drogi, jak własne dziecko. Dla nas, którzyśmy przeżyli panowanie cesarza Gajusza, morderstwa polityczne nie są niczym nadzwyczajnym. Jeśli jednak jesteś taki, za jakiego cię mają, to powinieneś przynajmniej mieć z tego jakieś korzyści. Bo jeżeli wystawiasz na szwank swoją opinię zupełnie bezinteresownie, to jest to zwykła głupota!

Przysięgałem ciotce, że jestem niewinny i pytałem ze strachem, czy ojciec wie o tych pogłoskach. Ciotka Lelia odparła:

- Twój ojciec jakby nie chodził po ziemi! On żyje w swoim świecie, chociaż niby jest senatorem. To my, stare matrony, rozprawiamy między sobą, wymieniamy poglądy i wysnuwamy wnioski. Oczywiście zawsze staję w twojej obronie. Tłumaczę, że masz zbyt prostolinijną naturę, aby się mieszać w jakieś trucicielskie afery. Najmądrzejsze, co mógłbyś teraz zrobić, to zawrzeć przyzwoity związek małżeński i tym zamknąć ludziom gęby! To by ci podreperowało reputację. Inaczej musisz znaleźć w sobie dużo siły!

Zupełnie nie rozumiałem, w jaki sposób małżeństwo mogłoby poprawić moją opinię, skoro ludzie rozpowszechniają o mnie haniebne i niesprawiedliwe pogłoski. Ogarnęła mnie pasja dojścia prawdy, niezależnie od tego, czy będzie ona dla mnie dobra czy zła!

Po tamtym fatalnym posiłku, w trakcie którego Brytanik zmarł na atak padaczki, rozchorował się też druh Brytanika, syn Wespazjana, Tytus. Postanowiłem zobaczyć się z nim, ponieważ znałem dobrze jego ojca; dotychczas raczej unikałem Tytusa, bo przecież zadeklarowałem się po stronie przyjaciół Nerona.

Tytus był bardzo blady i wyniszczony chorobą. Był wyraźnie zdumiony i pełen podejrzeń co do przyczyn mojej niespodziewanej wizyty i przyniesienia podarunków. Jego prostokątna twarz i kształt brody i nosa bardziej niż u jego ojca przypominały rysy starego etruskiego rodu Flawiuszów. Wystarczyło je tylko porównać z jakimkolwiek etruskim posągiem nagrobnym. To podobieństwo szczególnie rzuciło mi się w oczy, jako że dopiero co wróciłem z Cerei.

- Od święta Saturnaliów przebywałem poza Rzymem i pisałem powieść sensacyjną, którą być może przerobię na sztukę teatralną. Nie wiem dokładnie, co działo się w mieście. Doszły mnie tylko różne słuchy. Podobno i moje imię jest zamieszane w nagłą śmierć Brytanika. Znasz mnie na tyle dobrze, że chyba nie podejrzewasz o złe intencje?! Powiedz prawdę! Jak umarł Brytanik?!

- Brytanik był moim najlepszym, jedynym przyjacielem. Kiedy postawią mu złoty posąg wśród bogów na Kapitolu. Kiedy wyliżę się z choroby, wyjadę z Rzymu do Brytanii, do ojca. Przy obiedzie siedziałem obok Brytanika, bo Neron nie pozwolił jego druhom zająć miejsc na sofach. Był chłodny wieczór i piliśmy gorące napoje. Degustator Brytanika podał mu puchar z tak gorącym winem, że gdy spróbował - sparzył sobie język. Kazał sobie dolać zimnej wody, wypił już bez degustacji i natychmiast stracił mowę i oślepl. Wyrwałem mu puchar z ręki i spróbowałem napoju. Zakreśliło mi się w głowie i pociemniało w oczach, więc natychmiast zmusiłem się do wymiotów. Od tego czasu jestem chory. Gdybym nie rzygał, prawdopodobnie także straciłbym życie.

- Przypuszczasz więc, że Brytanika otruto i że sam także spróbowałeś tej trucizny? - pytałem dalej, nie dowierzając własnym uszom.

- Ja nie przypuszczam, ja wiem! - Tytus patrzył z powagą większą, niż przystoi jego wespół dziecinnemu wiekowi. - Nie pytaj mnie o imię mordercy. Nie była to Agrypina, bo ją też przeraziła śmierć pasierba!

- Jeśli mówisz prawdę, zacznę wierzyć w to, co ludzie opowiadali - że Agrypina otruła Klaudiusza!

- Czyżbyś i tego nie wiedział? - zapytał, patrząc z politowaniem migdałowymi oczami. - Przecież nawet psy gromadziły się wokół Agrypiny i wyły, czując śmierć, kiedy wyszła na Forum w czasie obwoływania Nerona imperatorem przez pretorianów.

- A więc władza jest większym złem, niż przypuszczałem! - wykrzyknąłem.

- Brzemie władzy jest zbyt ciężkie dla jednego człowieka, choćby miał nie wiem jak zdolnych doradców - oświadczył Tytus. - Żaden z rzymskich imperatorów nie zachował czystych rąk i sumienia. Dlatego czasy republiki, mimo prześladowań, wojen domowych i krzywdy ludzkiej w prowincjach, były mimo wszystko lepsze. Brytanik zachwycał się republiką. Na pewno nigdy by nie dzielił władzy z kobietą podobną do Agrypiny! Przecież celowo rozpowszechniane przez nią plotki stały się pośrednią przyczyną śmierci jego matki, przecież to ona otruła jego ojca! Ale Brytanik, podobnie jak Oktawia, musiał się nauczyć kryć swoje uczucia. Jedynym jego błędem był zbyt jawnie okazywany żal do Nerona. Jego błędy są dla nas nauką!

Tytus mówił bardzo mądrze. Zauważyłem to głośno, on zaś odrzekł ze skromnym uśmiechem:

- Miałem dużo czasu w czasie choroby, aby dobrze się nad wszystkim zastanowić. Wolę myśleć o ludziach dobrze niż źle. O tobie również mam teraz lepsze zdanie, bo ze szczerego serca tu przyszedłeś i chcesz poznać prawdę. Masz rację, władza tworzy obłudników, ale nie sądzę, żebyś dociekał prawdy o śmierci mego najlepszego druha z poduszczenia Nerona. Znam dobrze cesarza. Wydaje mu się, że podarkami przekupi ludzi, aby o wszystkim zapomnieli. Najchętniej sam by zapomniał. Ale to niemożliwe! Powiem ci: na wszelki wypadek miałem przy sobie nóż, gdybyś chciał mnie zabić!

Wyciągnął nóż spod poduszki i demonstracyjnie odrzucił go, jakby chciał mi okazać pełne zaufanie. Ale nie sądzę, że uwierzył mi do końca; zbyt starannie przemyślanych słów używał w dalszej rozmowie. W pewnym momencie obaj drgnęliśmy; do pokoju niespodziewanie weszła młoda, odziana w piękne szaty dziewczyna, a za nią niewolnica, niosąca koszyki. Dziewczyna miała zgrabną figurę, szerokie jak u Diany ramiona, piękną twarz o surowych rysach i włosy uczesane według greckiej mody, w krótkie loczki. Spojrzała na mnie pytająco zielonymi oczami. W tym spojrzeniu było coś znajomego i przyglądałem się jej wprost natrętnie.

- Zapewne nie znasz mojej kuzynki Flawii Sabiny? - rzekł Tytus. - Codziennie przynosi mi ze swego domu jedzenie sporządzone wedle przepisu lekarza pod jej osobistym nadzorem. Przyjacielu, czy zechcesz podzielić ze mną posiłek?

Tak więc dziewczyna jest córką starszego brata Wespazjana, Flawiusza Sabina, konsula i prefekta Rzymu! Zapewne spotkałem ją na jakimś przyjęciu albo w procesji, bo wydawała mi się dziwnie znajoma. Przywitałem ją z szacunkiem, przyznam jednak, że zaschło mi w ustach i jak zaczarowany wpatrywałem się w jej gładką buzię. Ona zaś, wcale nie speszona, przygotowała nam obiad, który był wręcz spartański. W koszyku nawet nie znalazł się dzban z winem. Przez grzeczność coś tam zjadłem, chociaż każdy kęs stawał mi w gardle, tak natarczywie przyglądałem się dziewczynie. Zdawało mi się, że żadna kobieta nie zrobiła na mnie dotychczas takiego wrażenia!

Dziewczyna nie przejawiała najmniejszej kokieterii; była zimna, nieprzystępna i milcząca, ale równocześnie pewna siebie i zarozumiała, jak przystało na córkę prefekta Rzymu. W czasie obiadu zdawało mi się, że albo to wszystko mi się śni, albo się upiłem, chociaż piliśmy tylko wodę. W końcu spytałem:

- Czemu nic nie jesz?

- Przygotowałam wam posiłek - odpowiedziała z ironią - ale nie jestem waszą degustatorką. Zresztą nie mam ochoty dzielić się z tobą chlebem i solą, Minutusie Manilianusie. Za dobrze cię znam!

- Jak możesz mnie znać, skoro ja ciebie nie znam?! - odparłem urażony.

- Nie widać żadnej blizny ani skazy! - rzekła z niezadowoleniem, bez zażenowania wyciągając szczupły paluszek i dotykając mego lewego oka. - Gdybym miała większe doświadczenie, wybiłabym ci to oko i dotarła do mózgu.

- Czy pobiliście się jako dzieci? - spytał Tytus, który słuchał ze zdumieniem.

- Nie, ja dzieciństwo spędziłem w Antiochii - powiedziałem odruchowo. Przypomniałem sobie w tym momencie coś, co wywołało rumieniec wstydu na mojej twarzy. Sabina, która badawczo mnie obserwowała, ucieszyła się z mego zażenowania i zawołała:

- Aha, przypomniałeś sobie?! Rozrabiałeś nocą po pijanemu z niewolnikami i łażęgami! Uprawialiście gwałty w publicznych miejscach! Ojciec ustalił waszą tożsamość, tylko z wiadomych względów postanowił nie pociągać cię do odpowiedzialności.

To było jesienią. Towarzyszyłem Neronowi w hałaśliwej nocnej eskapadzie i spróbowałem wziąć w objęcia nadchodzącą z naprzeciwka dziewczynę. Dostałem jednak od niej takiego szturchańca łokciem w oko, że jak długi runąłem na plecy. Prawie przez tydzień miałem później ogromnego siniaka na oku. Eskorta dziewczyny wdała się z nami w bijatykę i Othon od smagnięcia pochodnią miał na twarzy pęcherze od poparzeń. Byłem wtedy tak pijany, że niewiele zapamiętałem.

- Nie zrobiłem ci nic złego, chciałem tylko chwycić cię w objęcia, gdy po ciemku wpadłaś na mnie! - próbowałem się tłumaczyć. - Gdybym wiedział, kim jesteś, następnego dnia rano stawilibym się przed tobą i twoim ojcem i prosił o wybaczenie.

- Łżesz! - krzyknęła. - Drugi raz nie próbuj wziąć mnie w ramiona, bo skończy się gorzej niż za pierwszym razem!

- Nie ośmielę się nawet próbować! - zażartowałem. - Teraz będę uciekał na twój widok, bo zrobiłaś na mnie paskudne wrażenie!

Ale nie uciekłem przed nią. Przeciwnie. Odprowadziłem z Palatynu aż do domu prefekta. Jej zielonkawe oczy drwiły sobie ze mnie, a naga dłoń była gładka jak marmur. Po tygodniu mój ojciec prowadzony przez niewolnika w otoczeniu dwustu klientów wszedł do domu Flawiusza Sabina z prośbą o rękę jego córki dla mnie.

Pani Tulia i ciotka Lelia być może układały inne projekty małżeńskie, ale i to wesele było wystawne.

Na życzenie narzeczonej ceremonie ślubne odbywały się według najsurowszego rytuału, choć nie zamierzałem prosić o członkostwo w żadnym kolegium kapłańskim. Lecz Sabina oświadczyła, że małżeństwo zawiera na całe życie, a nie po to, żeby się zaraz rozejść. Oczywiście uległem. Prawdę mówiąc nie musieliśmy długo być małżeństwem, abym się zorientował, że znajduję się pod jej pantoflem.

Ale uroczystości weselne były wspaniałe. Za pieniądze mego ojca - choć pod szyldem prefekta miasta - zaserwowano darmowe jadło wszystkim obecnym, nie tylko senatowi i ekwitom. Neron także był na przyjęciu weselnym; koniecznie chciał wystąpić jako družba panny młodej i zgodnie ze zwyczajem śpiewał przy akompaniamencie fletu sprośną piosenkę weselną, którą sam ułożył. Dość szybko odwrócił pochodnie w dół i wyszedł, nie wszczynając żadnych awantur.

Zdjąłem z głowy Sabiny płomienny welon, zsunąłem złotą ślubną szatę. Kiedy jednak chciałem rozwiązać mocno zasupłany lniany pasek, zaczęła się bronić wołając:

- Jestem Sabinką! Bierz mnie, jak porywano Sabinki!

Przecież nawet nie miałem konia! Cóż za kaprysy? Nie nadawałem się na takiego porywacza, o jakiego jej chodziło. Nie wiedziałem nawet, czego ode mnie chce - przecież kiedy kochałem się z Klaudią, to obydwójce byliśmy dla siebie czuli i zgodni.

Sabina była okropnie rozczarowana, ale zacisnęła zęby, zamknęła oczy i pozwoliła zrobić, co chciałem i do czego zobowiązywał mnie płomienny welon panny młodej. Gdy skończyłem, objęła mnie za szyję, szybko pocałowała i odwróciła się plecami, aby zasnąć. Myślałem, że oboje jesteśmy tak szczęśliwi, jak tylko może być szczęśliwymi dwoje młodych zakochanych ludzi po własnej uczcie weselnej. Zasnąłem zadowolony, choć może też westchnąłem...

Dopiero dużo później dowiedziałem się, czego Sabinki oczekują od miłości cielesnej. Blizny na mojej twarzy zmyliły ją, sądziła, że jestem zupełnie inny. Pierwsze nasze spotkanie, kiedy to próbowałem użyć wobec niej przemocy, podsycało jej marzenia o tym, że będę ją brał siłą. Niestety, pomyliła się w swoich rachubach.

Nie czuję do niej żalu. Rozczarowała mnie jeszcze bardziej niż ja ją. Jak i dlaczego taka się stała? Nie wiem i dziś jeszcze nie jestem w stanie tego wyjaśnić. Wenus jest boginią kapryśną i nieraz srogą. Juno jest bardziej godną zaufania, ale z biegiem lat staje się nudna.





Księga 7

Agrypina

Wnajgorętszej porze roku przebywaliśmy nad morzem, w Cerei. Moja żona, Flawia Sabina, ogarnięta szalem działania, zbudowała nowoczesny domek letni na miejscu dawnej, krytej trzcina chatki rybackiej. Przez cały czas po kryjomu mnie obserwowała, wyłapując moje słabostki; wnet przestała wypytywać mnie o przyszłość, bo zorientowała się, że każda rozmowa na temat kariery urzędniczej rozstraja mnie nerwowo. Po naszym powrocie do miasta porozmawiała na mój temat ze swoim ojcem. Flawiusz Sabin zaprosił mnie do siebie i oznajmił:

- Drewniany amfiteatr na wzgórzu Celius wkrótce będzie gotowy i Neron osobiście go otworzy. Problem polega na tym, że z całego świata przysyłają nam drogie dzikie zwierzęta, a stare bestiarium przy Via Flaminia jest okropnie ciasne. Neron pragnie zademonstrować takie pokazy tresury zwierząt, jakich jeszcze nigdy Rzym nie oglądał. Senatorowie i konni ekwicy będą na arenie popisywać się sztuką łowiecką, więc zwierzęta nie mogą być zbyt rozjuszony. Widzowie zaś oczekują emocji w rodzaju walki zwierząt między sobą. Potrzebny mi jest zaufany zwierzchnik bestiarium, który będzie dbał o zwierzęta i organizował przedstawienia z ich udziałem. Neron wyraził zgodę, aby na to stanowisko mianować ciebie, ponieważ masz już doświadczenie ze zwierzętami. Jest to zaszczytna funkcja w służbie miasta.

Chyba sam sprowokowałem tę propozycję, bo głupkowato przechwalałem się, że w młodości schwytałem lwa, w Koryncie ogłuszyłem rozwścieczonego byka, a w Cylicji ocaliłem życie współtowarzyszowi niedoli, kiedy przywódca bandytów dla zabawy wrzucił nas do pieczary, w której mieszkał niedźwiedź. Ale opieka nad setkami dzikich bestii i organizowanie spektakli w amfiteatrze jest zadaniem tak odpowiedzialnym, że - oświadczyłem teraz - nie mam po temu ani kwalifikacji, ani zdolności.

Oświadczenie to zirytowało mego teścia, który ostro powiedział:

- Potrzebne pieniądze dostaniesz z kasy cesarskiej. Najlepsi pogromcy z całego świata będą chcieli u nas pracować. Twoim zadaniem będzie tylko ocena zwierząt i podejmowanie decyzji. Sabina ci pomoże, od dziecka biegała do bestiarium i uwielbia tresurę.

Klnąc swój los wróciłem do domu i rozgorączony wyrzekałem:

- Wolałbym już zostać urzędującym kwestorem, jeśli to miałoby ci sprawić przyjemność, ale przecież nie pogromcą dzikich zwierząt!

- Konsulem to już ty, nieszczęśniku, na pewno nigdy nie będziesz! -

wycedziła Sabina, patrząc na mnie z wyrzutem. - Dlaczego więc nie chcesz prowadzić ciekawego życia zwierzchnika bestiarius? Jeszcze nigdy tego stanowiska nie zajmował przedstawiciel stanu rycerskiego!

Wyjaśniałem, że interesuje mnie raczej pisarstwo, ale Sabina gwałtownie zaoponowała:

- Jaką wartość ma działanie, które może ściągnąć do czytelnicy pięćdziesięciu albo najwyżej stu ludzi, klaszczących z radości, że skończyłeś czytać? Jesteś leniem i oferumą! Nie masz odrobiny ambicji, aby zrobić karierę!

Sabina była tak wściekła, że wolałem jej więcej nie drażnić, chociaż zdobywanie sławy wśród dzikich śmierdzących zwierząt wcale mi nie odpowiadało. Poszliśmy do bestiarius. Nawet pobieżna lustracja wystarczyła do stwierdzenia, że stan zwierząt jest znacznie gorszy, niż mówił prefekt.

Przywiezione ze wszystkich krain świata zwierzęta nie otrzymywały odpowiedniej karmy, nic dziwnego, że wychudły. Wspaniały tygrys był w stanie agonialnym. Nikt nie wiedział, co jedzą sprowadzone z Afryki za ogromne pieniądze nosorożce, ponieważ w czasie transportu zginął znajdujący się na rzeczy ich nadzorca. Woda pitna była zepsuta. Słonie nie chciały nawet tknąć podawanej paszy. Żyrafy umierały ze strachu, bo ulokowano je tuż obok pomieszczeń lwów.

W głowie mi szumiało od skowytu i ryku umęczonych zwierząt. Nozdrza zatykał smród bijący z ciasnych i w ogóle nie czyszczonych klatek. Kierownik bestiarius i podlegli mu niewolnicy od wszystkiego umywali ręce. „To nie należy do moich obowiązków!” - brzmiała zwykła odpowiedź, kiedy usiłowałem coś wyjaśnić. Płatali się też w odpowiedziach i twierdzili, że zwierzęta są zmęczone po walkach na arenie, chociaż tak naprawdę tylko podtrzymywano je przy życiu do dnia występu.

Sabinę szczególnie zachwyciły dwie wielkie jak człowiek kosmate małpy, które przywieziono statkiem z odległego zakątka Afryki. Nie chciały pić ani jeść podawanego im mięsa.

- Bestiarius należy całkowicie przebudować - powiedziałem stanowczo.
- Pogromcy muszą mieć odpowiednio dużo miejsca na ćwiczenia. Klatki i pomieszczenia mają być tak obszerne, aby nawet duże zwierzęta mogły się w nich swobodnie poruszać. Trzeba doprowadzić bieżącą wodę. Każdy gatunek zwierząt ma być dogładany i karmiony przez płatnego dozorcę, który zna jego zwyczaje.

Ludzie, którzy mnie oprowadzali, kiwali głowami i z powątpiewaniem pytali:

- Po co to wszystko? Zwierzęta i tak zginą na arenie!

Rozgniewany tą odpowiedzią zachowałem się typowo dla ludzi słabych: rzuciłem jabłkiem w klatkę z goryłami i wrzasnąłem:

- Czy mam was wychłostać, abyście zaczęli dobrze wykonywać swoją pracę?

Sabina uspokajająco położyła rękę na mojej dłoni, ale nie odrywała wzroku od małpy. O dziwo, kosmata ręka goryla podniosła ciśnięte przeze

mnie jabłko i bestia pożałała je jednym kłapnięciem potężnych szczęk. Zmarszczyłem brwi i wyszczerzyłem zęby - sędzę, że wyglądałem równie groźnie jak goryl - i rozkazałem:

- Dajcie im kosz owoców i świeżą wodę w czystym naczyniu!

- Te dzikie bestie są mięsożerne! Przecież to widać po ich zębach! - parsknął śmiechem dozorca.

- Jak śmiesz tak mówić do swego pana?! - krzyknęła Sabina, wyrwała mu bicz z ręki i smagnęła po twarzy.

Dozorca przestraszył się i rozzłościł, ale chcąc mnie ośmieszyć przyniósł kosz z owocami i wsypał je do klatki goryli. Małpy natychmiast się ożywiły i mlaszcząc zaczęły zajadać owoce; ku mojemu zdumieniu jadły nawet winogrona. Cała obsługa zbiegła się, żeby to zobaczyć; więcej już nikt nie wyśmiewał moich poleceń.

Wkrótce nie tylko zyskałem autorytet wśród moich podwładnych, ale i zorientowałem się, że głównym powodem krytycznego położenia zwierząt był nie brak doświadczenia tych ludzi, lecz ich całkowite zobojętnienie na los niemych stworzeń, a także chciwość i brak zdolności organizacyjnych. Od kierownika po niewolnika wszyscy uważali, że mogą bezkarnie przywłaszczać sobie środki przeznaczone na utrzymanie zwierząt. Bezczelnie twierdzono, że zwierzęta zdychają z powodu jakichś chorób, podczas gdy faktycznie zdychały z głodu. Najbardziej oburzało mnie to, że dozorca nienawidził zwierząt i drażnił je dla zabawy.

Architekt, który zaprojektował i nadzorował budowę drewnianego amfiteatru, obawiał się obniżenia rangi swego zawodu, jeśli będzie projektował klatki i wybiegi dla zwierząt. Kiedy jednak z moich rysunków i wyjaśnień Sabiny zorientował się, że zakres robót będzie olbrzymi, bo praktycznie trzeba będzie wznieść nową dzielnicę miasta, zmienił zdanie, zwłaszcza że skłaniali go do tego dostawcy i wykonawcy, którzy dostrzegli możliwość ogromnych zarobków, jeśli tylko pracę wykonają możliwie jak najszybciej.

Wszystkich dozorców, którzy dla zabawy rozjuszali zwierzęta albo nie umieli się nimi zajmować, zwolniłem lub przenieśliem do innych zajęć. Razem z Sabina zaprojektowaliśmy jednakową odzież dla kilkusetosobowej załogi. Wybudowaliśmy tuż obok bestiariusz mieszkanie dla nas, bo szybko zrozumiałem, że jeśli mam dobrze opiekować się tymi drogocennymi zwierzętami, to muszę być przy nich w dzień i w nocy.

Musieliśmy tyle czasu i uwagi poświęcać zwierzętom, że zapomnieliśmy o życiu towarzyskim i wszelkich rozrywkach. W naszym małżeńskim łóżu Sabina trzymała lwie kocięta, które kazała mi karmić przez smoczek, bo ich matka zdechła przy porodzie. W ciągłym pośpiechu zapomnieliśmy nawet o pożyciu małżeńskim, ale też prowadzenie bestiariusz naprawdę było pracą frapującą i odpowiedzialną!

Kiedy już zapewniliśmy załodze właściwe warunki pracy, a zwierzętom dostawę karmy, systematyczne karmienie i dobrą opiekę, trzeba było się zabrać za przygotowanie występów na arenie. Dzień otwarcia amfiteatru zbliżał się zatrważająco szybko.

Oglądałem w życiu tyle przedstawień, że dobrze wiedziałem, jak

urządzić na arenie polowanie, aby jak najmniej zagrażało łowczym, ale równocześnie trzymało widzów w napięciu. Trudniejsza była decyzja co do walk zwierząt między sobą, bo już wcześniej prezentowano na arenie bardzo dziwnych przeciwników. Chciałem też pokazać wiele występów dobrze wytresowanych zwierząt, ponieważ bez specjalnej zachęty zgłaszali się do mnie doświadczeni specjaliści tresury z całego świata.

Dużo kłopotliwsze od samej tresury było utrzymanie w tajemnicy programu występów. Nie można się było opędzić od ludzi, którzy stale odwiedzali bestiarium. Wreszcie nakazałem pobierać opłaty za wstęp. Pieniądze z opłat przeznaczyłem na potrzeby bestiarium, chociaż miałem prawo zatrzymać je dla siebie, bo przecież to ja wymyśliłem opłaty. Dzieci i niewolników, jeśli nie było ich zbyt wielu, wpuszczaliśmy za darmo.

Spotykałem się z różnymi pomysłami. Najżałośniejszy przypadek stanowił mężczyzna, który wytresował pchły, aby sprzęgnięte w czwórkę ciągnęły maleńki rydwan. Za niewielką opłatą demonstrował pchle wyścigi na prywatnych pokazach w zamożnych domach. W żaden sposób nie mógł zrozumieć, że taki pokaz jest niemożliwy w amfiteatrze dla stu tysięcy widzów! Nachodził mnie tak namolnie, że wreszcie odmówiłem dalszych rozmów. Wtedy popełnił samobójstwo przed bramą bestiarium, oskarżając mnie o zatwardziałość serca i brak zrozumienia dla jego sztuki.

Na tydzień przed premierą zgłosił się do mnie brodaty kulawy mężczyzna. Dopiero w trakcie rozmowy zorientowałem się, że był to Szymon mag! Ponieważ formalnie nadal obowiązywał zakaz uprawiania astrologii, przeto nie mógł nosić chaldejskiej peleryny usianej gwiazdami. Wzrok miał błędny, był zabiedzony i opuszczony. Przedłożył mi tak niecodzienną prośbę, że zacząłem go podejrzewać o utratę rozumu. Otóż dla odzyskania dawnej sławy chciał wzbić się w powietrze w amfiteatrze, na oczach widzów.

Jeśli dobrze rozumiałem jego poplątane opowiadanie, zmniejszyła się jego moc uzdrowicielska i przestał być modny. Na skutek machinacji wrogich mu czarowników zmarła jego córka. Oskarżał chrześcijan, że ich nienawiść sprowadziła na niego nędzę na starość.

- Ja wiem, że potrafię latać - tłumaczył. - Swego czasu unosiłem się w powietrzu na oczach całego tłumu i łagodnie lądowałem na ziemi. Pewien chrześcijanin rzucił na mnie czary, spadłem na Forum i pękło mi kolano. Teraz chcę sam sobie udowodnić, że nadal potrafię latać. Pewnej nocy, kiedy szalała burza, rozpostarłem poły mej peleryny jak skrzydła i skoczyłem z wieży na Awentynie. Poszybowałem bez kłopotu i bez żadnego szwanku spadłem na nogi na ziemię.

- A mnie się wydaje, że tak naprawdę to ty nigdy nie latałeś, tylko mąciłeś wzrok widzów, którzy myśleli, że lecisz - powiedziałem podejrzliwie.

- Może i mąciłem - Szymon wykręcał kościste palce i rwał brodę - ale równocześnie musiałem głęboko wierzyć i nadal wierzę, że naprawdę frunę. W obłoki już nie potrafię wzlecieć, ale wystarczy mi, jeśli uda się raz albo dwa przelecieć dookoła amfiteatru. Wtedy uwierzę we własną moc i moi aniołowie będą mnie podtrzymywać.

- Jeśli jeszcze masz swoją moc, to zaczaruj te olbrzymie afrykańskie goryle. Sam nie wiem, co mam z nimi zrobić. To są wściekłe bestie! Chciałem, żeby walczyły na arenie ze zgrają psów, ale kiedy psy ujadają przed ich klatką, wpadają w prawdziwy szał. Żadne ogrodzenie ich nie utrzyma na arenie. Publiczność wpadnie w panikę!

Żeby zyskać moją przychylność, Szymon zgodził się spróbować zaczarować małpy. Wlepiął w nie wzrok, machał rękami i mamrotał zaklęcia w języku Samarytan. Nic to nie dało: jedna z małp złapała garść błota i przez kraty cisnęła mu między oczy, a druga wyrwała grubą gałąź i zaczęła nią tłuc z całej siły w żelazne pręty klatki. Szymon potrząsnął głową i powiedział:

- One nie są nawet półludźmi! Gdyby były, okazałyby mi posłuszeństwo!

Wszystkie jego myśli zajmowało wyłącznie latanie. Spytałem go, jak sobie wyobraża swój występ. Wyjaśnił, że należy wznieść na środku amfiteatru wysoki maszt, na szczyt którego wciągnie się go w koszu, aby mógł szybować z dużej wysokości. Z ziemi nie wzbije się w górę, kiedy sto tysięcy ludzi będzie na niego patrzeć. Spoglądał na mnie płonącym wzrokiem i mówił z takim przekonaniem, że w głowie mi się mąciło. Uświadomiłem sobie, że nigdy nie słyszałem o takim występie. Szymon ryzykuje własnym życiem i jest to jego osobista sprawa! Zresztą kto wie?! A nuż mu się uda?!

Neron właśnie odwiedził amfiteatr i oglądał próbę tańca z mieczami, który wykonywała zaproszona grupa młodych tancerzy greckich. Był upalny dzień jesienny. Neron miał na sobie tylko przepocony chiton, ponieważ entuzjastycznie oklaskiwał tancerzy, zagrzewał ich do tańca, a nawet osobiście powtarzał z nimi fragmenty występów. Propozycja Szymona maga przypadła mu do gustu, lecz zauważył:

- Taki lot może być wydarzeniem niezwykłym, ale trzeba mu nadać odpowiednią oprawę artystyczną. Może przebrać go za Ikara? Ale wtedy potrzebny byłby Dedal... A może zainscenizować Pazyfae, żeby widzowie się pośmiali?!

Fantazja Nerona nie miała granic i dziękowałem losowi, że rychło sobie poszedł. Zdążyliśmy jednak ustalić, że Szymon zgoli brodę i przebierze się za młodego Greka, a u ramion umocujemy mu lśniące złociste skrzydła.

Przekazałem Szymonowi te ustalenia, ale mag ostro zaoponował przeciwko zgoleniu brody. Twierdził, że mógłby przez to stracić swoją moc. Skrzydła mu nie przeszkadzały.

Opowiedziałem mu mity o Dedalu i drewnianej krowie Pazyfai, on z kolei przypomniał żydowską opowieść o Samsonie, który stracił swą moc, gdy chytra niewiasta obcięła mu włosy. Zacząłem go wyśmiewać, że nie jest pewien swojej mocy. Wtedy z wahaniem przystał na żądanie Nerona. Zapytałem, czy chce, aby mu zaraz zbudować maszt, na którym mógłby trenować. Szymon nie życzył sobie żadnych prób, bo nie chciał nadużywać swojej mocy. Oświadczył, że woli pościć i odmawiać zaklęcia, a całą moc zatrzymać na dzień igrzysk.

Neron wyraźnie powiedział, że przedstawienia amfiteatralne mają ludzi

uszlachetniać i rozweselać. Po raz pierwszy w historii widowisk nie przewidziano przelewu ludzkiej krwi. Natomiast w antraktach między pełnymi napięcia, mistrzowskimi pokazami, można będzie się śmiać, ile dusza zapagnie. W tym celu miano rzucać ludowi rozmaite dary: pieczone ptactwo, owoce, słodycze i wykonane z kości słoniowej bilety loteryjne, na które można było wygrać zboże, złoto, srebro, zwierzęta pociągowe, niewolników, a nawet majątki ziemskie.

Cesarz postanowił zrezygnować z występów gladiatorów. Wyzaczył natomiast czterystu senatorów i sześciuset ekwitów, którzy otworzyli igrzyska, podnosząc ich rangę. Lud z wielką ochotą oglądał sławnych mężów ze znamienitych rodów, szturchających się drewnianymi mieczami i tępymi włóczniami. Występujące w szyku bojowym grupy walczących rycerzy demonstrowały też mistrzowskie pokazy sztuki wojennej. Tłum jednak był wyraźnie niepokieszony, bo nic się nikomu nie stało, i zaczął głośno wyrażać swoje niezadowolenie. Wartownicy spełniając swe obowiązki wystąpili, by interweniować, ale Neron rozkazał im wycofać się, aby - jak to określił - lud przywykał do wolności.

To posunięcie cesarza wzbudziło entuzjazm i przychylność tłumu. Szemrający się uspokoili, aby pokazać, że doceniają zaufanie Nerona. Następny numer programu, pojedynek dwóch opasłych, zasapanych senatorów na sieci i trójzęby był tak idiotyczny, że ludzie pokładali się ze śmiechu. Obaj dostojni panowie tak się rozjuszyli, że z pewnością przynajmniej jeden z nich padłby trupem - ale trójzęby nie miały ostrzy, a z sieci usunięto ołowiane ciężarki, które służyły do ogłuszania przeciwnika.

Później trzech chłopców wzbudziło przerażenie tłumu, bo demonstrując olbrzymie węże pozwolili im owijać się dookoła własnych ciał. Neron posmutniał, ponieważ widzowie wyraźnie nie zrozumieli, że ten występ był ilustracją legendy o Laokoonie i jego synach. Nastąpiły pokazy łowów na lwy, tygrysy i tury, które - ku niezadowoleniu widzów - obyły się bez ofiar wśród ludzi. Młodzi łowcy zawdzięczali to głównie mnie, bo kazałem ustawić na arenie ambony. Osobiście nie gustowałem w tych łowach; polubiłem moje zwierzęta i nie było przyjemnie patrzeć, jak giną.

Potężne owacje zebrała zwinna dziewczyna, pogromczyni lwów, która nagle wybiegła z ciemnej bramy, deptając niemal po piętach trzem bardzo groźnie wyglądającym lwom. Widzowie zerwali się z miejsc, a dziewczyna trzasnęła biczem, zatrzymała lwy na środku areny; były jej posłuszne jak pieski, siadały na rozkaz i przeskakiwały przez obwód. Jednak szum w amfiteatrze i owacje tłumu zdenerwowały lwy. W finale występu pogromczyni demonstrowała najbardziej ryzykowny numer: zmuszała potężną lwicę, by otworzyła paszczę, w którą wkładała głowę. Podniecona lwica z ociąganiem rozwarła paszczę, i nagle zatrzasnęła szczękę, odgryzając głowę pogromczyni. Pojawienie się ludzkiej krwi na arenie wzbudziło taki aplauz widowni, wrzawę i burzę oklasków, że musiałem czym prędzej usunąć lwy. Gromada niewolników, uzbrojonych w rozżarzone pręty i płonące pochodnie, otoczyła bestie i zagnała z powrotem do klatek. Gdyby się to nie udało, wówczas konni łucznicy musieliby je wystrzelać. Bałem się, że nie da się tego uniknąć, więc nie bacząc, że nie

mam żadnej broni, biegałem po arenie i osobiście dowodziłem akcją niewolników. W zdenerwowaniu kopnąłem lwicę pod brodę podbitym gwoździami butem, żeby wypuściła z pyska głowę pogromcy. Lwica ostrzegawczo warknęła, ale widocznie była wystraszona, bo nie skoczyła na mnie.

Po numerze polegającym na rozwścieczeniu nosorożca, na środek areny wniesiono drewnianą krowę i aktor pantomimy, Parys, przedstawił historię Dedala i Pazyfai. Kiedy potężny byk podchodził do drewnianej krowy, większość widzów naprawdę wierzyła, że w środku jest ukryta Pazyfae.

Szymon z olbrzymimi, mieniącymi się złotem skrzydłami u ramion, zaskoczył widownię całkowicie. Parys usiłował gestami zachęcić go do tańca, ale Szymon zlekceważył te namowy i tylko z godnością poruszał skrzydłami. Marynarze błyskawicznie wciągnęli go na pomost zbudowany na samym szczycie zawrotnie wysokiego masztu. Kilku Żydów, siedzących na najwyższej położonych miejscach, wszczęło awanturę i miotali przekleństwa, ale widownia ich uciszyła.

W najbardziej uroczystym momencie swego życia Szymon mag pozdrowił ze szczytu masztu cały świat. Jestem przekonany, że do ostatniej chwili był pewien, że zwycięży i zaćmi wszystkich konkurentów.

Machając skrzydłami skoczył przepięknie w dół, w kierunku łoża cesarza, i spadł tuż przed nią. Jego krew opryskała Nerona. Oczywiście Szymon zginął na miejscu. Później jeszcze długo dyskutowano, czy latał naprawdę. Niektórzy twierdzili, że kiedy w koszu wciągano go na maszt, lewe skrzydło uległo uszkodzeniu. Inni opowiadali, że upadek spowodowały żydowskie czary. Może by do niego nie doszło, gdyby zachował brodę?!

W każdym razie igrzyska trzeba było kontynuować. Marynarze przeciągnęli i napięli bardzo grubą linę od balkonu pierwszego piętra do podnóża masztu. Ku ogromnemu zdumieniu widzów z balkonu zszedł po linie na arenę słoń, kierowany przez siedzącego na jego grzbiecie znanego z męstwa ekwite. Zebrał olbrzymie oklaski za numer, którego nikt dotąd nie oglądał, a który sam wymyśliłem.

Jeszcze nie przebrzmiały te oklaski, gdy wypuściliśmy na arenę drugiego słonia, który chodził chwiejąc się i potykając. Był kompletnie pijany, bo wypił cały ceber słodkiego wina. Kiedyś przypadkowo zauważyłem, że bardzo lubi wino.

Na słoni siedział doskonały aktor, który gestami i głosem zachęcał swego wierzchowca, aby szedł po linie. Słoń chwiał się i przecząco potrząsał głową. Wobec tego podsunęto mu następny ceber wina. Wypił go łapczywie, jakby chciał udowodnić, że jest nałogowym pijakiem.

Teraz był już zupełnie zalany i zaczął się popisować, jak to czynią ludzie przy wzrastającym podchmieleniu. Stał na tylnych łapach, ale się przewrócił i niezgrabnie wstał; wyraźnie był zdziwiony, że mu tak głupio wyszło. Potem przeszedł kilka kroków po linie, zadziwiająco utrzymując równowagę, ale zsunął się z niej i spadł, aż gruchnęło. Kierujący nim jeździec jeszcze go poderwał, dolewając mu wina, więc słoń balansował na linie jak najlepszy błazen; wyglądało na to, że salwy śmiechu widzów

dodawały mu sił. I chociaż wydaje się to nieprawdopodobne - nawet my nie byliśmy na to przygotowani - pijany słoń chwiejąc się poszedł po linie aż do balkonu, gdzie zmordowany wysiłkiem przewrócił się ciężko, aż część amfiteatru zadrżała, po czym zapadł w głęboki pijacki sen. I bardzo dobrze się złożyło, bo dosiadający słonia aktor bał się dłużej na nim jechać; przecież upadając słoń mógł go zgnieść grubym cielskiem! Na balkonie nie było nikogo, kto by zabrał słonia, bo nikt z nas nie przypuszczał, że aż tam dojdzie. Ten numer programu naprawdę najbardziej ze wszystkich zasługiwał na oklaski, ale tylko ja byłem tego świadomy.

Kiedy wieczorem ludzie opuszczali amfiteatr, słoń się obudził. Z pochyloną głową i zwieszoną trąbą pokornie wykonywał polecenia swojego tresera i zszedł po schodach z pierwszego piętra nie rozglądając się nawet po bokach; zachowywał się jak trzeźwiejący pijaczyna, który ogromnie wstydził się swych wcześniejszych wybryków.

Właśnie obserwowałem sprowadzanie słonia na dół, a jednocześnie podsłuchiwałem, co sądzą widzowie o programie przedstawienia, gdy spotkałem architekta, który budował amfiteatr. Miał twarz szarą jak ołów i bez przerwy ocierał pot z czoła.

- Dotychczas nie wznoszono tak olbrzymiej budowli drewnianej. Robiliśmy próby wytrzymałościowe, ale mimo tego z drżeniem serca myślałem, że amfiteatr runie, gdy publiczność zaczęła tupać na galeriach. A jak ten twój słoń zwał się na balkonie, to już myślałem, że umrę ze strachu! Dlaczego wcześniej nie uprzedziłeś mnie, że wystąpi takie obciążenie?! Tysiące ludzi mogło zginąć, gdyby galeria runęła!

Na ogół jednak ludzie byli zadowoleni. Najwyższe notowania miały śmiertelny skok Szymona maga i niespodziewana śmierć pogromczyny lwów. Żałowano tylko, że stało się to za szybko! Senatorowie i ekwici, którzy występowali w charakterze łowczych, cieszyli się, że wyszli z opresji cało. Co bardziej konserwatywni widzowie żalowali, że na arenie nie poleła się krew ludzka ku czci rzymskich bogów i z rozrzewnieniem wspominali czasy Klaudiusza.

Pocziwy ludek mężnie zniósł ten niedostatek atrakcji, bo w antraktach Neron lekką ręką rzucał w tłum nader hojne dary. Z uznaniem przyjęto też wycofanie z widowni pretorianów. Mimo ich braku zaledwie stu ludzi odniosło obrażenia w bijatyce o bilety loteryjne.

Małżonka cesarza, Oktawia, bez szemrania zniosła upokarzające sąsiedztwo: obok niej w cesarskiej łoży siedziała piękna Akte, oddzielona jedynie ścianką z otworem okiennym. Dla Agrypiny miejsca w łoży zabrakło. Neron poinformował, że jego matka źle się czuje. Podobno ktoś z widowni głośno zapytał, czy przypadkiem Agrypina nie jadła grzybów. Cesarz raczył okazać z tego powodu zadowolenie; uznał za dobry znak, że w jego obecności w amfiteatrze naród głośno wyraża swoją opinię.

Moje bestiarium bardzo opustoszało, ale nadal wszystkie gatunki zwierząt miały swych przedstawicieli. Rozpocząłem planowe uzupełnianie pogłowia, ściągając zwierzęta z różnych stron świata. Nie chciałem być zdany na przypadek przy organizowaniu igrzysk. Jeśli się ma zwierzęta, to wystarczą krótkie przygotowania i gdy Neron zażąda igrzysk dla ludu z

okazji jakichś świąt, będzie można zapewnić efektowne widowisko. Neron na pewno miał ważne powody dla organizowania widowisk; w ten sposób poprawiał nastroje polityczne. Innymi słowy skłaniał społeczeństwo, aby zapomniało o przykrych sprawach.

Pewnego dnia przygotowano mi specjalne danie: galaretę z racic nosorożca. Postanowiłem ten rarytas zanieść osobiście na stół cesarza, bo chyba jeszcze nie próbował takiego przysmaku. Ze smutkiem spoglądałem na opustoszałe klatki, na niewolników, wykonujących codzienne obowiązki, i na prosty dom, w którym razem z Sabiną wiedliśmy intensywny, lecz - sędzę - szczęśliwy żywot.

- Sabino! - zawołałem, chcąc wyrazić swą wdzięczność. - Bez twojej znajomości zwierząt i niezmordowanej energii nigdy bym z honorem nie zakończył tej trudnej pracy. Teraz wrócimy do normalnego życia, ale kiedyś, po latach, na pewno będziemy mile ten okres wspominać!

- Wrócimy?! - rzuciła opryskliwie moja żona, zwracając ku mnie skrzywioną złością twarz. - Co chcesz przez to powiedzieć, Minutusie?!

- Przecież ku zadowoleniu twego ojca i cesarza zakończyłem pomyślnie zadanie, jakie mi powierzono! Zaniosę teraz Neronowi ten afrykański przysmak, a nasz prokurator dokona rozrachunków z cesarskim finansistą. Neron nie ma głowy do liczenia, a i ja się do tego nie nadaję, bo tylko pobieżnie rozeznaję się w tak skomplikowanych rozliczeniach. Wydaje mi się, że są w porządku i nie żałuję poniesionych kosztów. Być może Neron zechce wynagrodzić mnie w jakiś sposób, chociaż oklaski tłumu są dla mnie najwyższą nagrodą. O nic nie będę go prosił, ale dłużej bym tego stałego napięcia nie wytrzymał!

- Kto z nas musiał więcej wytrzymać? - spytała szybko Sabina. - Uszom własnym nie wierzę! Zrobiłeś przecież dopiero pierwszy krok na drodze kariery! Czy mógłbyś porzucić lwy, które straciły swą opiekunkę, albo te olbrzymie, przypominające człowieka goryle, z których jeden wymaga leczenia, bo kaszle, że aż za serce ściska? Nie mów tak, Minutusie! Jesteś tylko zmęczony i masz zły humor! Ojciec mi obiecał, że pod jego pieczęcią zachowasz swoje stanowisko. To zaoszczędzi mu wiele kłopotów, bo nie będzie się wyklócał o marne grosze!

- Flawio Sabino! - zawołałem, bo teraz ja przestałem wierzyć własnym uszom. - Nie mam najmniejszego zamiaru całe życie pielęgnować zwierząt, choćby nie wiem ile kosztowały i były najpiękniejsze na świecie! Przypomnij sobie, że ze strony ojca mój ród wywodzi się równie wysoko, jak takiego Othona, bo od królów etruskich!

- Twoje wysokie pochodzenie jest kwestią co najmniej sporną, nie wspominając już o greckiej mamusi! - ironicznie odparowała Sabina. - Te barwne maski woskowe w domu twojego ojca to protoplaści nie jego, ale pani Tulii! Mój ród, Flawiuszowie, wiele razy obejmował stanowiska konsulów! Żyjemy jednak w nowych czasach. Wiele przemawia za tym, że na dworze Nerona dobry kierownik bestiarium będzie zajmował pocześniejsze miejsce niż jakiś tam dowódca wojenny z Armenii czy mój wuj z mglistej Brytanii. Zwolennicy cyrkowego stronnictwa zielonych postawili na publicznych miejscach pomniki swym zawodnikom i nie

wątpię, że najzdolniejsi aktorzy i śpiewacy też wkrótce będą mieli swoje pomniki. Ale nikomu jeszcze nie wystawiono godnego pomnika za zasługi literackie!

- A Seneka? - udało mi się wtrącić, ale rozgorączkowana Sabina przerwała:

- Senece wystawiono pomnik jako nauczycielowi i człowiekowi władzy. Czyżbyś nie rozumiał, że zwierzchnik bestiarium to stanowisko państwowe, którego wielu ci zazdrości, chociaż głośno do tego się nie przyzna?!

- Nie chcę konkurować z woźnicami i grajkami na cytrze - odparłem szorstko. - Po nazwisku mogę wymienić kilku starych patrycjuszów, którzy już teraz unoszą do nosa skraj swojej togi przy spotkaniu ze mną, aby dać mi do zrozumienia, że cuchną bestiarium. Jakies pięćset lat temu pewien wybitny patrycjusz dumny był z końskiego gówna. Ale tamte czasy już minęły! Mówiąc poważnie, mam dość lwich kociąt w naszym małżeńskim łóżu! Okazujesz im więcej czułości niż mnie, swojemu małżonkowi!

- Nie chciałabym cię obrażać, wypominając twoje walory małżeńskie! - powiedziała pospiesznie zzieleniała ze złości Sabina, z trudem się opanowując. - Mężczyzna mądry i taktowny dawno by z tej sytuacji wyciągnął wnioski odnośnie do swojej męskości. Z różnej jesteśmy ulepieni gliny! Ale małżeństwo jest małżeństwem i nie łóżko jest najważniejsze! Na twoim miejscu byłabym zadowolona, że zamiast szukać sobie kogoś na boku, znalazłam uczciwe zajęcie. Zresztą podjęłam już w twoim imieniu decyzję, że bestiarium nie zostawimy! Mój ojciec jest tego samego zdania!

- Ale mój ojciec - odpowiedziałem z dziecinną pogrózką - może mieć w tej sprawie odrębną opinię. Jego możliwości dokładania pieniędzy do bestiarium nie są nieograniczone! - Ale mówiłem to bez przekonania, bo czułem się boleśnie dotknięty oskarżeniem Sabiny o brak walorów małżeńskich.

Trzeba było zadbać o to, by egzotyczną potrawę z opuszek racic nosorożca dostarczyć na Palatyn w odpowiedniej temperaturze. Musiałem więc przerwać naszą kłótnię. Nie była ona pierwsza w naszym pożyciu, ale jak dotychczas najgorsza. Z opuszczoną głową prowadziłem kucharza do pałacu i nie poprawiły mi humoru nawet gromkie radosne powitania przypadkowych przechodniów, którzy mnie poznawali i z uśmiechem dopytywali się, jakie niespodzianki szykują na najbliższe igrzyska w amfiteatrze.

Nowy przysmak zyskał akceptację, chociaż oczywiście znalazł się mądrala, którego zdaniem należało użyć więcej indyjskich przypraw. Neron zaprosił mnie na wspólny posiłek, co było rzeczą naturalną. Kiedy wspomniałem o rozliczeniach, obojętnym tonem odesłał mnie do swoich finansistów.

- Mój drogi mistrz, Seneka, tak chytrze zmieszał pieniądze państwowe i cesarskie, że sam nie wiem, kiedy i do kogo muszę się zwracać po pieniądze - dodał ze śmiechem. - Jednak nie podejrzewam, abyś dużo wsunął do własnej kieszeni, bo przecież wtedy miałbyś do czynienia z

rozwścieczonymi zwierzętami, czego ci nigdy nie życzę.

Aby okazać mi swoją szczodrość, rozkazał niezwłocznie wypłacić mi pół miliona sestercji nagrody. Co dobitnie świadczyło, że nie miał najmniejszego pojęcia o kosztach prowadzenia bestiarium. Zresztą nawet tej sumy nikt mi nigdy nie wypłacił. Nie upomniałem się o nią, ponieważ ojciec nie potrzebował wsparcia finansowego.

W czasie rozmowy z Neronem wtrąciłem niby mimochodem, że dla mnie byłoby istotne, aby stanowisko szefa bestiarium podnieść do rangi urzędu państwowego, abym mógł pełnienie tych obowiązków zaliczyć sobie jako służbę ojczyźnie. Mój teść szybko zdezawuował tę propozycję. Powiedział, że tak dużego majątku nie można wystawić na łaskę nieuczciwych konkursów i kaprysów senatu. Uważał, że z punktu widzenia prawa jest to urząd dany z łaski cesarza, podobnie jak urząd kucharza, garderobianego czy koniuszego, i że nie można go utracić inaczej, jak tylko popadając w niełaskę.

- Z zadowolonej twarzy imperatora widzę, że nadal cieszysz się jego zaufaniem - dodał na zakończenie Flawiusz Sabin. - Będziesz nadal kierował bestiarium przynajmniej tak długo, jak długo będzie to zależało ode mnie, prefekta Rzymu! A teraz nie przeszkadzaj, rozmawiamy bowiem o sprawach, które wymagają koncentracji!

Neron zaczął z ożywieniem rozwijać swój projekt organizowania co pięć lat igrzysk na modłę grecką.

- Możemy powiedzieć, że czynimy to ku wiecznej chwale i sławie cesarstwa - roztrząsał głośno. - Osobiście zapewnię, by po wsze czasy zwały się one Wielkimi Igrzyskami. Początkowo możemy je skromnie nazywać jedynie Igrzyskami Nerona, aby ludzie do nich przywykli. Podzielimy je na igrzyska muzyczne, atletyczne i tradycyjne wyścigi. Zamierzam również zaprosić kapłanki Westy do oglądania igrzysk atletycznych. Wyjaśniono mi, że kapłanki bogini Ceres na Olimpie mają taki przywilej. Dlatego widzowie będą od razu łączyć moje imię z Igrzyskami Olimpijskimi. Ale w Rzymie dodamy jeszcze szlachetniejsze dyscypliny. Ma to uzasadnienie polityczne, ponieważ pod naszą pieczę przekazano dziedzictwo starożytnej Hellady. Musimy udowodnić, że jesteśmy tego godni. Przede wszystkim należy zbudować łaźnie i gimnazjon do uprawiania ćwiczeń fizycznych. Senatorom i ekwitom zapewnię bezpłatną oliwę i mam nadzieję, że będzie szeroko stosowana.

Nie mogłem się za bardzo entuzjasmować tym planem; rozum mi podpowiadał, że takie wzorowane na greckich igrzyska znacznie obniżą rangę widowisk i pokazów zwierząt w amfiteatrze, a tym samym moją pozycję urzędową. Lud oczywiście zawsze będzie wolał amfiteatr od śpiewów, muzyki i zawodów atletycznych. Na tyle znam Rzymian! Ale górnolotne zainteresowanie Nerona sztuką zepchnie amfiteatr do roli rozrywki moralnie podejrzaną.

Do naszego mieszkania obok bestiarium wróciłem w nie najlepszym humorze. Ku mojemu strapieniu zastałem ciocię Lelię, która zdążyła się już pokłócić z Sabiną. Ciocia przyszła zabrać zwłoki Szymona maga, ponieważ chciała je pochować bez kremacji, zgodnie z żydowską tradycją. Biedny

Szymon nie miał już żadnych przyjaciół, którzy by mu oddali ostatnią przysługę. Żydzi dysponowali poza miastem rozległymi katakumbami - ciocia Lelia straciła wiele czasu, zanim uzyskała wiadomość o tych ukrywanych miejscach pochówku nie kremowanych zwłok.

- Nie rozumiem, jaki sens mają tego rodzaju tajemnice? - uzalała się. - Mnie osobiście odpowiada tradycyjny rzymski stos całopalny. Ale Szymon mag uważał, że kiedy pewnego dnia trąby wezwą Żydów i Samarytan, by wstali z grobów, potrzebne mu będzie nieskremowane ciało. Szymon był moim starym przyjacielem i kiedy cierpiałam na kłopoty starzejącej się niewiasty, on swoją mocą je łagodził. Może by mu się udało latać, gdyby całe gromady Żydów nie modliły się o coś zupełnie przeciwnego.

Zdażyłem się dowiedzieć, że ponieważ nikt nie zgłosił się po zwłoki Szymona, przeto Sabina poleciła rzucić je na pożarcie dzikim bestiom. Podobnie postępuje się z niewolnikami, którzy ulegają wypadkowi. Wprawdzie nie pochwalam tego zwyczaju, ale to nieco obniża koszty utrzymania dzikich zwierząt, jeśli tylko zadba się, aby mięso nie uległo zepsuciu. Natomiast wydałem kategoryczny zakaz karmienia drogocennych zwierząt zwłokami ludzi zmarłych od choroby.

W tym przypadku Sabina działała jednak zbyt pochopnie. Przecież Szymon mag był człowiekiem szanowanym w swoim środowisku i w pełni zasługiwał na pochówek zgodny z obyczajami swego narodu. Poleciłem niewolnikom odebranie ciała lwom, ale znaleźli jedynie obgryziony czerep i kilka kawałków kości. Kazałem szybko zamknąć te szczątki w trumnie i przekazałem cioci Lelii, błagając ją na wszystko, aby dla własnego spokoju już jej nie otwierała. Sabina okazywała milczącą pogardę dla takiego sentymentalizmu.

Od tego wieczora sypialiśmy z Sabiną oddzielnie. Muszę powiedzieć, że spałem znacznie lepiej niż w ostatnim czasie, bo nie musiałem opędać się od lwiątek, które miały zęby ostre jak stalowe szpile.

Wkrótce po śmierci Szymona maga ciocia Lelia straciła chęć do życia i resztki rozumu. Od dawna już była starą kobietą, ale dotychczas starała się maskować swój wiek za pomocą szat, peruk i szminek. Obecnie zrezygnowała z walki z czasem i przesiadywała w domu, kryjąc się po kątach, mrucząc coś do siebie lub w kółko opowiadając o dawnych latach, które pamiętała znacznie lepiej niż dzień dzisiejszy.

Gdy stwierdziłem, że nie ma pojęcia, kto jest cesarzową, a mnie myli z moim ojcem, postanowiłem nocować w starym domu na Awentynie. Sabina nie miała nic przeciwko temu. Łatwiej jej było zaspokajać swoją żądzę władzy, gdy mogła samodzielnie panować w bestiarium.

Czuła się doskonale w gronie treserów zwierząt, chociaż oni, nie ubliżając tej godnej szacunku sztuce, byli na ogół ludźmi prymitywnymi i nie umieli rozmawiać o niczym innym jak tylko o zwierzętach. Sabina doskonale radziła też sobie przy wyładunku zwierząt ze statku i targowaniu się o ich ceny. Robiła to lepiej ode mnie. Przede wszystkim zaś potrafiła utrzymywać bezlitosną dyscyplinę wśród załogi bestiarium.

Szybko zorientowałem się, że tak naprawdę jedynym moim zadaniem jest dostarczenie Sabinie odpowiednich sum pieniędzy. Kwoty wyznaczone

przez cesarski fiskus nie pokrywały nawet części kosztów utrzymania zwierząt, nie mówiąc już o możliwościach prowadzenia inwestycji. Właśnie dlatego dano mi do zrozumienia, że moje szefostwo jest urzędem honorowym i wymaga dokładania z własnej kieszeni. Z finansami państwowymi nie chciałem mieć nic do czynienia, bowiem przedstawienia cyrkowe i amfiteatralne w zasadzie mają charakter przedsięwzięć prywatnych, jedynie wyścigi konne organizowane są pod kuratelą państwa i rzymskich bogów.

Od mojego galijskiego wyzwolenca napływały pieniądze z wytwórni mydła, wyzwoleniec egipski sprzedawał kobietom drogie maści, a Hieraks przysyłał z Koryntu bogate prezenty. Ale moi wyzwolenicy najchętniej lokowali dochody w inwestycjach. Producent mydła wznosił nowe zakłady w wielkich miastach imperium, a Hieraks zajmował się w Koryncie sprzedażą domów. Mój ojciec stwierdził mimochodem, że bestiarium nie jest wcale przedsięwzięciem opłacalnym.

Na początku rządów Nerona panował spokój, a drobni wytwórcy i przedsiębiorcy mieli niezliczone możliwości prowadzenia korzystnych interesów. Zdaniem mego ojca zdobyta dzięki bestiarium sława i sympatia ludzi nie miała większego znaczenia wobec braku wymiernych korzyści. Ojciec stale dawał mi pieniądze, a pani Tulia stała się posępna i biadoliliła, że jeśli tak będzie dalej i wciąż będę powolny kaprysom Sabiny, to ja, Tulię, czeka śmierć w biedzie i poniewierce.

Dzięki rozwojowi handlu w ciągu kilku lat wyzwolenicy bardzo się wzbogacili, a jeszcze lepiej powodziło się przesiedlonym do Rzymu mieszkańcom Wschodu. Wielkie miasta prowincji rywalizowały z przepychem Rzymu, a mówiąc uczciwie - przyćmiły go, bowiem Rzym stał się przeludniony.

Wykorzystując niedostatek mieszkań w Rzymie zbudowałem kilka sześciopiętrowych domów czynszowych, dzięki namowiem mego teścia udało mi się bowiem zakupić po niskich cenach kilka parceli. Zarabiałem też na organizowaniu wycieczek na polowania do Tessalii, Armenii i Afryki oraz na sprzedaży zwierząt na przedstawienia cyrkowe w miastach prowincji. Oczywiście najlepsze sztuki zostawiliśmy sobie.

Największe jednak dochody uzyskiwałem z udziałów w statkach kursujących przez Morze Czerwone do Indii. Otrzymały one prawo wyłączności na przywóz rzadkich zwierząt. W tych latach rozpoczęła się także sprzedaż do Indii galijskich wyrobów rzemieślniczych i wina z Kampanii.

Rzym zawarł z książętami arabskimi umowę, na podstawie której zyskał prawo utworzenia własnej bazy na południowym cyplu wybrzeża Morza Czerwonego i utrzymywania tam stałego garnizonu. Było to niezbędne już choćby dlatego, że wobec rozkwitu państwa wzrastało zapotrzebowanie na towary luksusowe, a Partowie nie zezwalali na przemarsz rzymskich karawan przez swoje ziemie, ponieważ sami chcieli zarabiać jako pośrednicy handlowi.

Aleksandria wygrała na tym systemie, lecz inne, równie duże miasta, jak Antiochia czy Jeruzalem, ucierpiały na obniżce cen artykułów indyjskich.

Dlatego też możni syryjscy kupcy zaczęli rozgłaszać pogłoski, że wojna z Partami jest nieunikniona, bo konieczne będzie otwarcie bezpośredniej drogi lądowej do Indii.

Po ustabilizowaniu się sytuacji w Armenii, Rzym nawiązał stosunki z Hyrkanami panującymi na północy Partii, nad słonym Morzem Kaspijskim. Dzięki temu można było otworzyć drogę do Chin z pominięciem pośrednictwa Partów i transportować przez Morze Czarne do Rzymu zarówno jedwab, jak i wyroby porcelanowe. Mówiąc uczciwie, my, patrycjusze rzymscy, mieliśmy o tych sprawach stosunkowo mgliste wyobrażenie. Mówiono, że transport towarów na grzbietach wielbłądów z Chin do wybrzeży Morza Czarnego trwa dwa lata. Większość rozsądnych ludzi nie wierzyła, aby jakikolwiek kraj mógł być położony tak daleko, i uważała takie twierdzenia za wymysły kupców z karawan, dbających o utrzymanie wygórowanych cen na ich towary.

W chwilach małżeńskich nieporozumień Sabina radziła, abym wyruszył do Indii po tygrysy, do Chin po legendarnego smoka, albo wzdłuż Nilu do mrocznej Nubii po nosorożce. W momentach rozgoroczenia miewałem ochotę na taką długą podróż, ale rozsądek zwyciężał; wiedziałem, że są ludzie, którzy lepiej ode mnie potrafią chwycić dzikie zwierzęta i dobrze znoszą trudy podróży. Dlatego przez wiele lat w rocznicę śmierci mojej matki wyzwaliałem jednego z wyróżniających się niewolników bestiarium, wyposażałem go w potrzebny sprzęt i wysyłałem w drogę. Pewnego chętnego do podróży Greka po wyzwoleniu wysłałem do kraju Hyrkanów, skąd miał się udać do Chin. Posiadał tę zaletę, że umiał pisać.

Miałem nadzieję, że sporządzi ze swej podróży relację, która stanie się kanwą mojej nowej powieści. Ale dotychczas nie dał o sobie znaku życia.

Po śmierci Brytanika i po zawarciu przeze mnie małżeństwa zacząłem stopniowo odsuwać się od Nerona. Dużo później doszedłem do wniosku, że moje małżeństwo było swego rodzaju ucieczką z kręgu jego najbliższych przyjaciół. Niewykluczone, że tylko dlatego tak szybko i lekkomyślnie wybrałem Sabinę na żonę.

Skoro odzyskałem nieco czasu do własnej dyspozycji, jałem organizować we własnym domu skromne spotkania poetów. Bratanek Seneki, Anneusz Lukan, był oczarowany moim towarzystwem, ponieważ chętnie oddawałem hołd jego zdolnościom poetyckim. Znacznie ode mnie starszy Petroniusz cenił sobie wysoko napisaną przeze mnie małą książeczkę o zbójach z Cylicji, zwłaszcza ze względu na użycie w niej prostackiego języka. Ten Petroniusz był znanym bawidamkiem i wyznawał zasadę, że jeśli człowiek spełni swe obowiązki wobec państwa, powinien poświęcić się bez reszty sztuce życia. Był przyjacielem o tyle uciążliwym, że we dnie sypiał, a żył wyłącznie nocą; twierdził, że straszliwy hałas uliczny Rzymu przeszkadza mu spać.

Zacząłem myśleć o napisaniu nowej książki. Sporządzałem notatki o polowaniach na dzikie zwierzęta, ich transporcie, hodowli i tresurze. Dla uatrakcyjnienia lektury kolekcjonowałem opowieści o krew w żyłach mrozących przygodach, które bądź to oglądałem na własne oczy, bądź o nich usłyszałem. Staralem się jednak fantazjować tylko tyle, ile było

niezbędne dla podtrzymania zainteresowania czytelnika. Petroniusz twierdził, że z tego materiału może powstać doskonała, wartościowa poznawczo książka. Sam chętnie cytował wybrane z moich notatek ordynarne powiedzonka widzów z amfiteatru.

Ponieważ teść mój był prefektem Rzymu, zrezygnowałem z udziału w nocnych eskapadach Nerona, który w przebraniu włóczył się po cieszących się złą sławą ulicach. Postąpiłem mądrze; te szalone wybryki zakończyły się tragicznie.

Neron nigdy nie odczuwał żalu, jeśli w trakcie takiej włóczęgi oberwał - uznawał, że był to rezultat rzetelnej bijatyki. Pewien nieszczęsny senator stanął w obronie czci swej małżonki i mocno uderzył Nerona w głowę - po czym palnął okropne głupstwo: gdy dowiedział się, kogo uderzył, napisał do cesarza pokorny list z przeprosinami. Neron nie miał innego wyjścia, jak tylko wyrazić zdziwienie, że człowiek, który uderzył swego władcę, nie tylko śmie jeszcze żyć, ale nawet pisać list, przechwalając się swoim wyczynem. Senator popełnił samobójstwo przez podcięcie tętnic.

Incydent ten Seneka ostro potępił. Pragnął, aby Neron inaczej rozładowywał swój temperament. Kazał więc przebudować cyrk Kaliguli, leżący w pobliżu wzgórza Watykanu, na prywatny teren rozrywkowy Nerona. Tutaj młody cesarz mógł spędzać czas wedle swego upodobania, ćwicząc umiejętność powożenia kwadrygą w gronie zaufanych przyjaciół i rzymskich patrycjuszy. Także Agrypina oddała mu swój ogród, wychodzący na wzgórze Janikulum, wraz z zabudowaniami.

Seneka miał nadzieję, że zainteresowanie się sportem ograniczy namiętność Nerona do śpiewu i muzyki. Młody cesarz bardzo szybko stał się zapalonym i nieustraszonym woźnicą. Nic dziwnego - przecież od dziecka kochał konie.

Oczywiście na własnym torze wyścigowym nie musiał oglądać się za siebie ani się obawiać, że ktoś na niego wpadnie czy przewróci jego kwadrygę. Samo utrzymanie zaprzęgu na wirażu areny cyrkowej jest jednak wyczynem nie lada! Wielu amatorów toru wyścigowego łamało sobie karki albo zostawało na całe życie kalekami, jeśli na czas nie zdołało odciąć cugli zza pasa.

Ja wołałem ostrożnie trzymać się raczej w kręgu poetyckich i muzycznych zainteresowań Nerona. Kiedyś poprosiłem go, aby podarował mi zerwaną strunę z cytry; dałem ją jakiemuś śpiewakowi wędrującemu po knajpach, którego nauczyłem kilku pieśni miłosnych, ułożonych przez Nerona. Wywołało to sensację i dziękował mi gorąco, że sława o nim jako o pieśniarzu, muzyku i poecie, rozchodzi się między prostym ludem. Nicco mnie to zakłopotало, bo zrobiłem to jedynie dla kpiny.

Flawiusz Wespazjan, który ostro skłócił się z Ostoriuszem, otrzymał w końcu rozkaz powrotu z Brytanii. Młody Tytus zdążył pod jego dowództwem zdobyć sławę, kiedy na czele szwadronu jazdy i skoczył na pomoc ojcu, który znalazł się w okrążeniu. Wespazjan jednak twierdził, że również bez pomocy syna wy dostałby się z zasadzki.

Seneka uważał, że prowadzenie w Brytanii działań wojennych jest bezsensowne i niebezpieczne, ponieważ przyznanie przez niego wysoko

oprocentowanych pożyczek brytyjskim królom skuteczniej uspokoiło wyspę niż wielce obciążające finanse państwa ekspedycje karne. Neron przyznał Wespazjanowi godność konsula na kilka miesięcy, później mianował go członkiem najwyższego kolegium kapłańskiego, a wreszcie polecił go wybrać na określony czas prokonsulem prowincji Afryka.

Spotkałem się z Wespazjanem. Popatrzył na mnie z chytrym uśmieszkiem i zauważył:

- Bardzo się zmieniłeś, Minutusie Manilianusie. Nie mam na myśli blizn na twarzy. Gdy ujrzałem cię w Brytanii, na myśl mi nie przyszło, że kiedyś spowinowacimy się. Bądź co bądź ożeniłeś się z moją bratanicą. Młody człowiek łatwiej może zrobić karierę w Rzymie niż szukając dożywotniego reumatyzmu w Brytanii, albo wedle obyczaju brytyjskiego zawierając kilka związków małżeńskich...

Zupełnie zapomniałem o swoim brytyjskim małżeństwie! Wespazjan ożywił wspomnienie bolesnych doświadczeń. Poprosiłem go, aby przemilczał całą tę sprawę. Obiecał i pocieszał mnie:

- A któryż z legionistów nie ma bękarta? Rozsiewają ich po całym świecie! Ta twoja kapłanka zajęcy, Lugunda, nie zawarła powtórnego małżeństwa, a twojego syna wychowuje wedle obyczaju rzymskiego. W przyszłości będzie ikeńskim patrycjuszem.

Poczułem bolesne ukłucie w sercu, bo Sabina w ogóle nie przejawiała uczuć macierzyńskich i nie miała ochoty na urodzenie dziecka. Był to jeden z powodów, dla których od dawna nie spaliśmy ze sobą. Wespazjan chętnie obiecał utrzymać moje brytyjskie małżeństwo w tajemnicy, bo dobrze znał charakter swojej bratanicy.

Uczestniczyłem w uczcie, wydanej przez mojego teścia na cześć Wespazjana, i wtedy po raz pierwszy spotkałem Lolię Poppeę. Podobno jej matka była swego czasu najpiękniejszą kobietą w Rzymie i zwróciła na siebie uwagę Klaudiusza, więc Mesalina wolała pozbawić ją życia. Przyznam, że nadal nie wierzyłem w to całe zło, które o Mesalinie ciągle powtarzano.

Ojciec Poppei, Lolliusz, był w młodości przyjacielem Sejana i popadł w niełaskę cesarza. Lollia Poppea była żoną pewnego przeciętnego przedstawiciela stanu rycerskiego, Kryspina, i zamiast nazwiska kiepskiej sławy ojca używała nazwiska ojca swojej matki, Poppeusza Sabina. Mąż ten piastował godność konsula, a swego czasu otrzymał odznaczenia triumfalne.

Zgodnie z obyczajem rodów rzymskich Poppea uważana była za krewną Flawiusza Sabina, ale było to pokrewieństwo tak skomplikowane, że nigdy nie mogłem dociec, na czym polegało. Nie mogłem też zasięgnąć w tej kwestii informacji u cioci Lelii, bo całkowicie straciła już pamięć. Witając Poppeę wyraziłem żal, że Sabina poza imieniem nie może się pochwalić żadną z nią cechą wspólną.

Poppea zwróciła na mnie ogromne, zamglone oczy niewiniątka. Barwa tych oczu, jak zauważyłem później, zmieniała się w zależności od światła i nastroju.

- Czy uważasz, że po jednym porodzie jestem już tak stara i zniszczona,

że nie można mnie porównać z tą kuzynką dziewicy Artemidy, Sabina? - spytała prowokacyjnie interpretując moje słowa wbrew ich intencji. - Jesteśmy w tym samym wieku, twoja Sabina i ja!

- Ależ nie! - zaprzeczyłem szybko. Spojrzałem w jej oczy i żar uderzył mi do głowy. - Chciałem powiedzieć, że jesteś najskromniejszą i najcnotliwszą młodą kobietą. Zaskoczyła mnie twoja uroda, wszak po raz pierwszy ujrzałem twą twarz bez zasłony.

- Muszę nosić woalkę, przysłaniającą twarz przed słońcem, bo mam bardzo wrażliwą cerę - powiedziała Poppea z nieśmiałym uśmiechem. - Zazdroszczę twojej Sabinie, której muskularne ciało bezkarnie smagają najostrzejsze promienie, jak Dianę na rozgrzanym piachu.

- Nie jest to moja Sabina, chociaż poślubiłem ją wedle pełnego ceremoniału - powiedziałem sarkastycznie. - Jest raczej Sabiną lwów i treserów dzikich zwierząt. Nie jest wstydliva. Odpowiada jej niezbyt przyzwoite towarzystwo i z roku na rok używa coraz gorszego języka.

- Pamiętaj, że to moja kuzynka! - roześmiała się Poppea Sabina. - Ale muszę przyznać, że nie ja jedna dziwię się, że mężczyzna tak wrażliwy jak ty pojął za żonę właśnie Flawię Sabinę, choć mógł wziąć każdą inną!

Ponuro rozejrzałem się dookoła i powiedziałem, że można zawrzeć małżeństwo niekoniecznie z powodu obustronnej sympatii. Ojciec Flawii Sabiny jest prefektem miasta, a stryj ma prawo noszenia laurów triumfalnych. Nie mam pojęcia, jak do tego doszło, ale zachęcony nieśmiałością Poppei zacząłem jej opowiadać o sobie. Nie upłynęło wiele czasu, gdy Poppea wyznała mi bojaźliwie, że jest nieszczęśliwa w małżeństwie z tępyim centurionem gwardii pretoriańskiej.

- Od prawdziwego mężczyzny oczekuję czegoś więcej niż wyniosłość, lśniący puklerz i czerwony pióropusz na hełmie. Byłam niewinnym dzieckiem, gdy wydali mnie za niego. Sam widzisz, że jestem delikatna. Mam tak wrażliwą skórę, że muszę codziennie kłaść na nią kompresy z pszennego chleba, rozmoczonego w oślim mleku.

Wcale nie była aż taka krucha - sam to mogłem stwierdzić, gdy przypadkowo wsparła się piersią o mój łokieć. Skórę miała rzeczywiście olśniewająco białą, nigdy nie widziałem takiej, a nie wiem, do czego mógłbym ją porównać, bo nie jestem poetą. Mruczałem coś o przysłowiowym złocie, kości słoniowej i chińskiej porcelanie; moje spojrzenia wymownie świadczyły o urzeczeniu jej pięknnością.

Nie mogliśmy długo rozmawiać sam na sam, musiałem przecież pamiętać o obowiązkach zięcia gospodarza. Byłem jednak roztargniony, bo nie mogłem myśleć o niczym innym jak tylko o zamglonych oczach barwy dymu i olśniewająco białej cerze Poppei. Nawet pomyliłem się, recytując stare jak świat teksty modłów do duchów opiekuńczych.

Wreszcie Sabina odprowadziła mnie na bok i bez ogródek wypaliła:

- Wlepiasz ślipia w tę Poppeę, gęba ci poczerwieniała, jakbyś był pijany, chociaż wcale nie wypileś dużo! Nie daj się nabrać na jej sztuczki! To znana wyrafinowana suka! Ma swoją cenę, ale obawiam się, że dla takiego jak ty cymbała jest za droga!

Obraziłem się za Poppeę. Całe jej zachowanie świadczyło o ogromnej

skromności, nie mogłem się co do tego mylić! Równocześnie jednak obraźliwe słowa Sabiny rozbudziły w podświadomości nadzieję, że jeśli tylko bardzo się postaram, to będę mógł zbliżyć się do Poppei.

Udało mi się na moment uwolnić od obowiązków i znowu podszedłem do Poppei. Nie było to zresztą trudne, bo kobiety najwyraźniej od niej stroniły, a mężczyźni zgromadzili się wokół honorowego gościa, aby słuchać jego relacji o sytuacji Brytanii.

Moje zaślepienie oczy postrzegały Poppeę jako małą dziewczynkę, która mimo swego osamotnienia usiłuje dumnie nosić jasną główkę. Ogarnęła mnie fala gorącej tkliwości dla niej. Kiedy jednak spróbowałem dotknąć jej nagiego ramienia, drgnęła, cofnęła się i spojrzała na mnie z głębokim rozczarowaniem.

- A więc i tobie tylko o jedno chodzi, Minutusie! - szepnęła z wyrzutem. - Jesteś taki sam jak wszyscy mężczyźni! A tak marzyłam, że zyskam w tobie przyjaciela! Teraz rozumiesz, czemu wolę zasłaniać twarz kwefem? Nie chcę znosić pożądliwych spojrzeń mężczyzn! Przecież jestem zameżna! Co innego gdym była wolna, gdybym uzyskała rozwód!

Przepraszalem ją i zapewniałem, że prędzej utworzyłbym sobie żyły, niżlibym śmiał ją obrazić swoim zachowaniem. Była bliska płaczu i lekko oparła się o mnie, niemalże miałem ją w ramionach. Z jej chaotycznej wypowiedzi dotarło do mnie, że nie ma pieniędzy na przeprowadzenie sprawy rozwodowej i że jedynie sam cesarz może rozwiązać jej małżeństwo, gdyż Poppeusz pochodził z rodu patrycjuszowskiego. Nie zna nikogo, kto miałby wpływy na Palatynie i mógłby przedłożyć Neronowi jej sprawę.

- Poznałam już dobrze nikczemność mężczyzn - mówiła. - Jeżeli zwrócę się o pomoc do obcych, będą chcieli mnie wykorzystać. Ach, gdybym miała prawdziwego przyjaciela, któremu by wystarczyła moja dozągonna wdzięczność, który nie nastawałby na moją skromność!

Pozwoliła, abym ją odprowadził do domu. Jej małżonek, Kryspin, skwapliwie na to przystał, bo dzięki temu mógł się swobodnie upić. Okazało się, że nie byli zamożni i nie posiadali lektyki. Zaproponowałem Poppei skorzystanie z naszej. Po namyśle pozwoliła mi usiąść koło siebie, więc przez całą drogę czułem jej bliskość.

W rezultacie nie udaliśmy się wprost do obozu pretorianów. Noc była piękna i gwiazdzista, Poppea miała dość zapachu obozowego potu, a ja smrodu bestiarium. Ze wzgórz oglądaliśmy uspione miasto i światła targowisk. Jakimś dziwnym trafem znaleźliśmy się w moim domu na Awentynie; Poppea chciała skorzystać z okazji i spytać o coś ciocię Lelię. Ciocia jednak spała, a Poppea wzdragała się przed budzeniem jej w środku nocy. Siedzieliśmy więc we dwoje i chyba wypiliśmy trochę wina, oglądając brzask poranku nad Palatynem. Snuliśmy marzenia, jak by to było, gdybyśmy oboje byli wolni...

Poppea z ufnością oparła się na moich ramionach i opowiadała, że przez całe życie szukała czystej, bezinteresownej przyjaźni, ale nigdy jej nie znalazła. Musiałem długo błagać i nalegać, aby zgodziła się przyjąć wysoką pożyczkę, przeznaczoną na przeprowadzenie rozwodu z

Kryspinem.

Aby dodać Poppei otuchy, wiele opowiadałem jej o niezwykle pozytywnym nastawieniu Nerona wobec wszystkich ludzi i o jego szlachetności wobec przyjaciół. Opisywałem zalety cesarza; Poppea, jak to kobieta, była wszystkiego ciekawa, zwłaszcza że osobiście nie zetknęła się z Neronem. Mówiłem więc o Akte, jej urodzie i dobrym wychowaniu, oraz o innych kobietach, z którymi Neron miał do czynienia. Potwierdziłem, że nie skonsumował małżeństwa z Oktawią, ponieważ odczuwał wstręt do rodzonej siostry Brytanika, będącej też jego siostrą przez adopcję.

Poppea Sabina tak subtelnie mi schlebiała i zaskakiwała pytaniami, że zacząłem zachwycać się nie tylko jej urodą, ale i rozumem. Uznałem za niezwykle, że ta piękna i wrażliwa kobieta, matka dziecka, może odczuwać wstręt do pałacowego zła, jakby była nietkniętą dziewicą. Coraz głębiej byłem nią oczarowany, a im bardziej czułem, że jest nieosiągalna, tym mocniej jej pragnąłem.

Rozstaliśmy się o świcie; tuż przed oznajmującym nowy dzień rykiem trąb pocałowała mnie po przyjacielsku. Gdy jej miękkie usta topniały pod moimi wargami, ogarnęła mnie tak gwałtowna euforia, że przysięgłem uczynić wszystko, aby jej pomóc w szybkim uzyskaniu rozwiązania bezsensownego małżeństwa.

W następnych dniach żyłem jak we śnie lub jakbym był odurzony. Wszystkie barwy stały się wyrazistsze, słońce świeciło bardziej promiennie, a noc była puszyście ciemna. Byłem stale jakby lekko podchmielony i nawet próbowałem pisać wiersze.

Spotkaliśmy się w świątyni Minerwy i razem oglądaliśmy dzieła malarstwa i rzeźby greckich mistrzów. Poppea Sabina wyznała, że rozmawiała ze swoim mężem. Kryspin jest skłonny zgodzić się na rozwód, ale domaga się odpowiedniego odszkodowania. Poppea nadzwyczaj rozsądnie doszła do wniosku, że lepiej by było zapłacić Kryspinowi, niż tracić pieniądze na adwokatów i narazić na proces, który sam w sobie jest kompromitujący. Przerazała ją jedynie myśl, że musiałyby pożyczyć ode mnie więcej pieniędzy. Oświadczyła, że posiada jakieś odziedziczone klejnoty, które można sprzedać, choć stanowią cenną pamiątkę rodzinną. Ale wolność jest jeszcze droższa!

Niemal przemocą wmusiłem jej przekaz do mojego bankiera, aby jej wypłacił większą kwotę. Była bardzo zażenowana, więc - aby udowodnić mi, że nadal żywi do mnie sympatię - pozwoliła zaprowadzić się na drugą stronę rzeki do dzielnicy żydowskiej i kupić w prezencie bardzo drogie pachnidła i kremy, które tylko Żydzi potrafią wytwarzać wedle odwiecznych przepisów króla Salomona i królowej Saby.

Ze zdumieniem zauważyłem, że Poppea zna żydowskiego Boga i święte żydowskie księgi. Ta dziecinna ciekawość świata czyniła ją w mych oczach jeszcze bardziej niewinną.

Do załatwienia pozostała więc jedynie sprawa rozwiązania małżeństwa przez Nerona. Mógł to uczynić wyłącznie cesarz, występując w godności najwyższego kapłana. Neron nie przyjął na stałe tego stanowiska, aby uniknąć powiększenia brzemienia obowiązków władcy.

Nie mogłem się zwrócić z tą sprawą do Seneki. Po swym owdowieniu zawarł związek małżeński z kobietą o połowę młodszą od siebie i stał się zażartym wrogiem wszelkich rozwodów. Poza tym był tak zapracowany, że na spotkanie z nim trzeba by czekać miesiącami. Nie chciałem też zwrócić się wprost do Nerona; łącznie mógłby nie wierzyć w moje czyste intencje. Sam przecież zawarłem związek małżeński wedle pełnego ceremoniału! Zresztą Neron przyzwyczał się już ironicznie pouczać mnie, że zamiast pchać nos do filozofii czy muzyki, powinienem zająć się tym, na czym się znam, to jest bestiariusz. Co zresztą doprowadzało mnie do szału!

Przyszedł mi do głowy Othon, obecnie najlepszy przyjaciel Nerona, przy tym tak bogaty i wpływowy, że nie bał się nawet z nim kłócić. Do jego słabostek należało bardzo skrupulatne golenie twarzy. Wymyśliłem, że powiem mu o kobiecie, która wrażliwą cerę pielęgnuje oślim mlekiem.

Othon zainteresował się natychmiast. Postanowił zrobić sobie okłady z pszennego chleba, rozmoczonego w oślim mleku, gdy będzie przepity i zmęczony. W zaufaniu opowiedziałem mu o Poppei Sabinie i jej niefortunnym małżeństwie. Oczywiście zapragnął osobiście poznać Poppeę, zanim podejmie się interweniować w jej sprawie.

Tak więc to ja sam, patentowany cymbał, zaprowadziłem Poppeę do wspaniałego domu Othona! Uroda Poppei, jej skromne zachowanie i olśniewająca cera wywarły na naszym gospodarzu tak piorunujące wrażenie, że skwapliwie zgodził się być rzecznikiem jej sprawy u Nerona. Oświadczył jednak, że musi dokładnie zaznajomić się z wszystkimi okolicznościami, które mogą być istotne.

Z miłym uśmiechem wypytywał Poppeę o mnóstwo szczegółów dotyczących jej pożycia małżeńskiego. Rychło zauważył moje skrepowanie - bo nie wiedziałem, gdzie oczy podziać - poradził mi więc delikatnie, abym wyszedł z pokoju. Chętnie to uczyniłem, jako że ze względu na skromność Poppei uznałem za właściwe, aby rozmawiała sam na sam z doświadczonym i wyrozumiałym Othonem.

Za zamkniętymi drzwiami naradzali się do późnego popołudnia, w końcu Poppea wyszła, chwyciła mnie za rękę, zalękniony wzrok opuściła na ziemię i zasłoniła się welonem. Othon podziękował mi za przedstawienie go tak czarującej kobiecie i obiecał uczynić wszystko co w jego mocy, by uzyskała rozwód. W trakcie drażliwego przesłuchania na białej szyi Poppei wystąpiły czerwone plamy. Taką delikatną miała skórę!

Othon spełnił swoją obietnicę. W obecności sędziów i na podstawie przedstawionych mu dokumentów Neron oficjalnie ogłosił rozwód Poppei z Kryspinem, pozwalając jej zatrzymać syna. Po kilku tygodniach, nie czekając nawet zwyczajowych dziewięciu miesięcy, Othon w absolutnej tajemnicy zawarł z nią związek małżeński. Początkowo nie mogłem w to uwierzyć. Zdawało mi się, że niebo wali się na mnie, a świat pociemniał mi w oczach. Owładnął mną tak straszliwy ból głowy, że kilka dni musiałem leżeć w ciemnym pokoju.

Gdy poczułem się lepiej, na domowym ołtarzu ofiarnym spaliłem napisane przez siebie strofy i postanowiłem nigdy więcej nie pisać wierszy. Tej obietnicy dotrzymałem do dziś! Doszedłem do wniosku, że nie mogę

obwiniac Othona. Sam na sobie doświadczyłem wszak potęgi uroku Poppei. Właściwie znany z miłostek Othon nie powinien przypaść do gustu kobiecie tak skromnej i cnotliwej jak Poppea. Może Othon postanowił zmienić styl życia? Poppea mogła mieć dobry wpływ na niego!

Otrzymałem od Poppei osobiste zaproszenie na wesele i zawczasu posłałem im w prezencie ślubnym najpiękniejszą jaką mogłem nabyć srebrną zastawę do wina. Na samym weselu czułem się jak zjawa z zaświatów. Poppea, piękniejsza niż kiedykolwiek, podeszła do mnie, objęła białą jak śnieg ręką za szyję i za pozwoleniem Othona ucałowała, dziękując w ten sposób za swoje szczęście. Obiecała też, że jak najszybciej spłaci dług, ale ma nadzieję, że rozumiem, jak niechętnie na początku małżeństwa podjęłaby z Othonem rozmowę o sprawach finansowych. Dodam, że później zupełnie zapomniała o pożyczce. Nigdy nie przejmowałem się pieniędzmi i nie chciałem być natrętny, więc nie upominałem się o zwrot długu.

Z uwagi na niedawny rozwód wesele odbyło się w ścisłym gronie. Othon z jakichś sobie znanych powodów nie chciał zaprosić Nerona, chociaż ten był ciekaw kobiety, która potrafiła zakuć w kajdany mężczyznę znanego z rozpustnego życia. Na weselu piłem więcej niż zazwyczaj i w jakimś momencie lejąc łzy powiedziałem Poppei, że przecież i ja mogłem otrzymać rozwód.

- Och, czemuś mi o tym ani słowem nie wspomniał?! - zawołała ze smutkiem. - Ale przecież nie mogłabym zrobić takiej przykrości mojej kuzynce Flawii Sabinie! Othon ma oczywiście swoje wady. Jest nieco zniewieściały i powłóczy nogą przy chodzeniu. Twojego utykania prawie nie widać. Ale obiecał, że się poprawi i zerwie z tymi przyjaciółmi, którzy namawiają go do złego. Biedny Othon ma bardzo delikatną naturę i jest podatny na wpływy! Mam nadzieję, że dzięki mnie stanie się porządnym człowiekiem!

- Prócz tego jest ode mnie bogatszy, pochodzi z prastarego rodu i jest najbliższym przyjacielem cesarza! - dodałem, nie ukrywając rozgoryczenia.

- Czyżbyś aż tak źle o mnie myślał, Minutusie? - wyszeptła drżącymi wargami Poppea, patrząc na mnie oskarżająco. - Powinieneś wiedzieć, iż jeśli jestem do kogoś przywiązana, to sława i bogactwo nie mają dla mnie najmniejszego znaczenia. Wcale nie gardzę tobą, choć jesteś tylko zarządcą bestiarium!

Była tak piękna w swym smutku, że zupełnie się rozczuliłem i prosiłem ją o wybaczenie.

Trzeba przyznać, że Othon zupełnie się zmienił. Trzymał się z dala od uczt Nerona, jeśli zaś cesarz specjalnie posyłał po niego, wówczas wymykał się wcześniej pod pretekstem chęci dotrzymania towarzystwa młodej i pięknej żonie. Przy tym tak bezceremonialnie wychwalał słodką sztukę miłosną Poppei, że ciekawość Nerona wzrastała coraz bardziej. Zaczął natarczywie prosić Othona, by przyprowadził młodą małżonkę do Palatynu. Othon wykręcał się twierdzeniami, że Poppea jest zbyt nieśmiała i dumna. Wymyślał coraz nowe preteksty zwłoki, a równocześnie popisывał się pięknnością żony i opowiadał, że nawet sama Wenus, gdy narodziła

się z piany morskiej, nie mogła być bardziej zachwycająca od Poppei wychodzącej z kąpeli w oślim mleku. Othon zakupił dla niej całą stajnię dojnych oślic. Oboje prześcigali się w pielęgnacji swych ciał, ale mieli też mnóstwo czasu na pieszczoty.

Pałała mnie męcząca zazdrość, unikałem wszelkich przyjęć, na które zapraszany był Othon. Przyjaciele literaci stroili sobie żarty z moich kłopotów. Wreszcie pocieszyłem się myślą, że jeśli naprawdę kocham Poppeę, to powinienem się cieszyć jej szczęściem. A obiektywnie przyznać trzeba, że Poppea zrobiła tak zawrotną karierę małżeńską, jaka tylko w danej chwili była w Rzymie możliwa.

Równocześnie Flawia Sabina stawała się dla mnie coraz bardziej obca. Za każdym spotkaniem dochodziło do awantur. Zacząłem na serio myśleć o rozwodzie, chociaż bardzo się obawiałem gniewu rodu Flawiuszów.

Zdrady gruboskórej Sabiny nawet sobie nie mogłem wyobrazić, bo stale twierdziła, że dokumentnie obrzydziłem jej małżeńskie pieszczoty. Wcale nie reagowała, gdy czasem przespałem się z jakąś niewolnicą, bylebym ją zostawił w spokoju. Nie miałem więc żadnych podstaw prawnych do rozwiązania małżeństwa zawartego wedle najściślejszego rytuału. Nie ważyłem się nawet wspomnieć o rozwodzie! Jeden jedyny raz, kiedy podjąłem ten temat, Sabina wpadła niemal w furję ze strachu, że straci swoje zwierzęta. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko marzyć, że kiedyś rzucą się na nią lwy, rozwścieczone stałym naginaniem ich do jej woli; z pomocą doświadczonych pogromców i Epafrodyta zmuszała je do wykonywania niewiarygodnych sztuczek.

W ten sposób minęło mi pierwszych pięć lat panowania Nerona. Był to chyba najszcześniejszy i najpomyślniejszy okres, jaki świat przeżył przedtem lub potem. Ale ja sam czułem się jak zwierz osaczony w klatce. Zaniedbałem swój wygląd zewnętrzny, nie interesowałem się jeździectwem, zacząłem przybierać na wadze. Niewiele różniłem się od innych młodych Rzymian. Ulice roiły się od długowłosych mężczyzn, niechlujnie ubranych w przepocone chitony, którzy brzdąkali na różnych instrumentach i śpiewali nowoczesne piosenki młodego pokolenia, wykpiwając dawne skostniałe obyczaje. Byłem zubożniały, bo najlepsze lata mego życia niepostrzeżenie przemykały - a przecież jeszcze nie skończyłem trzydziestu lat!

Neron i Othon zaczęli kłócić się ze sobą. Wyłącznie na złość cesarzowi Othon przyprowadził kiedyś Poppeę na Palatyn. Neron oczywiście nieprzytomnie się w niej zakochał. Rozpieszczony jak dziecko przyzwyczaił się dostawać wszystko, czego zapragnął. A tu Poppea odrzuciła jego zaloty, twierdząc, że Neron nie jest w stanie dać jej więcej, niż otrzymuje od Othona. Kiedyś po uczcie cesarz otworzył flakon najdroższych pachnideł i udzielił z niego gościom po kropelce. W kilka dni później Neron przyszedł na ucztę do Othona - gospodarz kazał rozpylić identyczne pachnidło na głowy wszystkich gości. Krążyły plotki, że opanowany miłosną żądzą Neron w środku nocy udał się lektyką do domu Othona i na próżno kołatał do drzwi. Nie wpuszczono go do środka, bo zdaniem Poppei pora nie była odpowiednia na składanie wizyt. Inna plotka

głosiła, że kiedyś Othon w obecności kilku świadków beczelnie krzyknął do Nerona:

- We mnie widzisz przyszłego cesarza!

Nie wiem, czy tę mrzonkę ktoś mu wywróżył, czy też sam wbił ją sobie do głowy. W każdym razie Neron zachował zimną krew, parsknął śmiechem i odparł:

- W tobie nie widzę nawet przyszłego konsula!

Bardzo się zdziwiłem, gdy w pewien piękny wiosenny dzień, kiedy w ogrodach Lukullusa na wzgórzu Pincjo zakwitły czereśnie, Poppea zaprosiła mnie do siebie. Sądziłem, że już wywietrzała mi z głowy zupełnie, ale widać się myliłem, bo natychmiast pobiegłem, bardzo poruszony. Poppea była jeszcze piękniejsza niż dawniej. Miała przy sobie maleńkiego synka i występowała w roli czulej matki. Jedwabna szata raczej odślaniała niż kryła kuszące piękno jej ciała.

- Och, Minutusie, jakże tęskniłam za tobą! - zawołała. - Jesteś jedynym przyjacielem, jakiego posiadam. Koniecznie potrzebuję twojej rady!

Natychmiast przypomniałem sobie, jak mnie urządziła, gdy byłem jej doradcą, i stałem się podejrzliwy. Ale Poppea uśmiechała się tak niewinnie, że wnet pozbyłem się podejrzeń.

- Słyszałeś zapewne, w jakie kłopoty się wpakowałam przez Nerona - powiedziała. - Nie pojmuję, jak to się stało?! Nie ponoszę tu żadnej winy! Przecież mnie znasz! Neron prześladuje mnie swoimi uczuciami do tego stopnia, że kochany Othon znalazł się w niebezpieczeństwie. Może popaść w niełaskę, broniąc mej czci.

Badawczo mi się przyglądała. Jej oczy koloru dymu zmieniły nagle barwę na fiołkową. Złote włosy miała upięte tak pięknie, że wyglądała jak grecka rzeźba ze złota i kości słoniowej. Wyłamując wykwintne palce wyznała:

- Najgorsze jest to, że nie mogę być zupełnie obojętna wobec Nerona. On jest taki przystojny, a jego czerwone włosy i gwałtowność uczuć wprost mnie zniewalają! Jest też szlachetny, a śpiewa jak prawdziwy artysta. Gdy słucham jego gry i śpiewu, jestem tak oczarowana, że oczu od niego nie mogę oderwać! Gdyby był bezinteresowny, jak na przykład ty, to starałby się osłonić mnie przed żarem moich własnych uczuć! Może jednak nie rozumie, ile namiętności wzbudza we mnie jego obecność? Naprawdę, Minutusie, cała drzę, gdy go widzę! Nigdy dotąd nie drżałam z powodu żadnego mężczyzny. Na szczęście potrafię to skrywać. Będę też starała się unikać spotkań z cesarzem, o ile tylko to będzie możliwe w mojej obecnej sytuacji!

Nie wiem, czy zdawała sobie sprawę, jakie przeżywałam katusze, kiedy to wszystko mówiła z nieśmiałością i rozrzewnieniem. Przerażony zawołałem:

- Jesteś w okropnym niebezpieczeństwie, najdroższa Poppeo! Musisz uciekać! Poproś, aby Othon objął stanowisko prokonsula jakiejś prowincji! Musicie wyjechać z Rzymu!

- Jakże mogłabym mieszkać poza Rzymem? - Poppea spojrzała na mnie jak na głupiego. - Przecież umarłabym z tęsknoty! Ale jest jeszcze coś

gorszego i dziwniejszego! Gdybym tak bezgranicznie nie ufała, że będziesz milczał, nie odważyłabym się nawet tego powiedzieć. Wyobraź sobie, że już przed laty pewien jasnowidz żydowski - wiesz chyba, że oni są w tych sprawach bardzo uzdolnieni - oświadczył mi, że zostanę żoną cesarza!

- Ależ moje słoneczko, kochana Poppeo! - powiedziałem ugodowo. - Czy nie czytałaś, co pisał Cynceron o przepowiedniach?! Nie zawracaj sobie głowy takimi głupotami!

- A czemu wedle ciebie ma to być głupota? - spytała i nagle spochmurniała. - Othon pochodzi z prastarego rodu, ma wielu przyjaciół w senacie. Powiem ci, że Neron mógłby zapobiec realizacji tej przepowiedni tylko przez unieważnienie mojego małżeństwa. On sam jest żonaty z Oktawią, chociaż zaklina się, że nigdy nie pójdzie z nią do łóżka, bo czuje głęboki wstręt do tej głupiej dziewczyny! Z drugiej strony nie mogę zrozumieć, dlaczego młody władca może i chce mieć niewolnicę za kochankę! Moim zdaniem to takie niskie i godne pożałowania, że na samą myśl o tym cała się trzęsę!

Próbowałem tłumaczyć, że Akte jest śliczną i spokojną dziewczyną, która nie miesza się do spraw państwowych. Nikt nigdy nie słyszał, aby kiedykolwiek próbowała wykorzystać swoją pozycję dla uzyskania jakichś przywilejów. Poza tym - dodałem - myślę, że ona szczerze kocha Nerona.

Poppea rozzłościła się tak, że zaczęła tupać o podłogę złotymi sandałkami, dała klapsa synkowi i chlapiącego odesłała z pokoju.

- Zakochana niewolnica! - krzyczała pogardliwie. - Neron jeszcze nie spotkał równej sobie, szlachetnie urodzonej kobiety! Dlatego tak się mną zachwyił! Ale niech nie myśli, że skłoni mnie do zdrady małżeńskiej, choćby moje uczucia do niego były nie wiem jak gorące. Taka słaba nie jestem!

- Czego właściwie chcesz ode mnie? - spytałem podejrzliwie po chwili zastanowienia.

Poppea delikatnie pogłaskała mnie po policzku, lekko westchnęła i spojrzała na mnie pałającym wzrokiem, po czym rzekła ze skargą w głosie:

- Och, Minutusie, naprawdę nie grzeszysz mądrością, ale może właśnie dlatego cię lubię. Przecież kobieta musi mieć przyjaciela, z którym o wszystkim może szczerze porozmawiać. A może ja chcę tylko otworzyć swoje serce przed tobą? Już samo to przyniesie mi ulgę!

Swoim słodkim zwyczajem bez żenady przytuliła się do mnie, oparła głowę na moim ramieniu i oddychała mi w twarz przez otwarte usta: widziałem jej ząbki, białe jak perły, i koniec języka.

- Czemu drżysz, czyżby ci było zimno?! - spytała z udawaną niewinnością. - Gdybyś był moim prawdziwym przyjacielem, to poszedłbyś do Nerona i wszystko mu opowiedział. Na pewno cię przyjmie, jeśli powiesz, że przychodzisz ode mnie. Jest okropnie zadurzony, bo trzymam go w niepewności!

- Co za „wszystko” mam opowiadać? Przecież dopiero co prosiłaś, żebym nikomu nic nie mówił.

- Powiesz, żeby mnie zostawił w spokoju, ponieważ czuję się przy nim za słaba! Jestem tylko kobietą, a jemu nie można się oprzeć! Lecz jeśli

przez swoją słabość ulegnę, będę musiała popełnić samobójstwo, aby nie stracić szacunku dla siebie. Nie mogę znieść myśli, że Othon mógłby mi zrobić jakąś krzywdę. Z głupoty wspomniałam Othonowi o tej żydowskiej przepowiedni i głęboko tego żałuję. Nie miałam pojęcia, że w głębi serca jest tak bardzo żądny władzy!

Byłem oburzony, że znowu chce ze mnie zrobić swego chłopca na posyłki, ale jej bliskość czyniła mnie uległym, a bezgraniczne zaufanie, jakie do niej żywiłem, skłaniało mnie do bronienia jej. Prawdę mówiąc - gdzieś w środku czaiła się podejrzliwość, że Poppea nie potrzebuje żadnej obrony, ale przecież nie mogłem się mylić co do jej manier, skromności i nieskazitelności, przebijającej z jej oczu o barwie dymu! Obawiam się, że gdyby wiedziała, jakie dreszcze wywołuje w moim bezwstydnym ciele, raczej by się nie opierała o moje ramiona!

Po długich poszukiwaniach znalazłem Nerona w cyrku Kaliguli. Właśnie w najlepsze ćwiczył jazdę na iberyjskim rydwaniu. W pełnym galopie starał się wyprzedzić na wirażu zaprzęg Gajusza Sofoniusza Tygellina, którego odwołał z wygnania i ustanowił koniuszym. Wszystkich wejść do cyrku pilnowały warty, ale mimo to na widowni siedziała cała chmara próżniaków, którzy ponaglali Nerona okrzykami, okazując mu swoją sympatię.

Długo czekałem, zanim umorusany pyłem i potem Neron ściągnął z głowy hełm i pozwolił zdjąć z gołeni lniane bandaże. Tygellin chwalił jego szybkie postępy, ale równocześnie ostro krytykował błędy popełnione na wirażu oraz przy kierowaniu końmi przyprzężnymi. Neron słuchał pokornie i starał się zapamiętać wszystkie uwagi. Miał pełne zaufanie do Tygellina w kwestiach powożenia zaprzęgami.

Tygellin z nikim się nie liczył. Wysoki, muskularny, miał pociągłą twarz, zachowywał się arogancko, jakby uważał, że w życiu nie ma niczego, czego nie można załatwić twardą ręką. Był srogim panem dla niewolników. Swego czasu wszystko mu zabrano, ale jako wygnaniec potrafił dorobić się nowego majątku na hodowli ryb i koni. Powiadają, że nie przepuścił żadnej kobiecie ani chłopcu, którzy znaleźli się w jego zasięgu.

Ponieważ gestami i mimiką dawałem Neronowi do zrozumienia, że mam ważną sprawę, polecił mi iść ze sobą do łaźni. Udało mi się szepnąć mu imię Poppei Sabiny. Natychmiast odesłał eskortę i w dowód przychylności pozwolił, abym pumeksem szorował jego wybrudzone kurzem ciało. Zadając dociekliwe pytania wydusił ze mnie chyba wszystko, o czym mówiła Poppea. Na zakończenie szczerze do niego zaapelowałem:

- Ona prosi, abyś ją zostawił w spokoju, bo znalazła się w rozterce. Chce być uczciwą małżonką. Przecież sam znasz jej skromność i nieskazitelność!

Neron parsknął śmiechem, ale zaraz spoważniał i przytakiwał mi wielokrotnie, a potem powiedział:

- Najchętniej kazałbym tobie nosić liście laurowe na ostrzu włóczni, heroldzie. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko podziwiać twoją doskonałą znajomość kobiecej natury. Ale ja mam dość babskich kap-

rysów! Na świecie poza Lollią Poppeą są jeszcze inne. Zostawię ją w spokoju, tylko niech przestanie pchać mi się stale przed oczy! Zanieś jej takie przesłanie i powiedz, że stawia zbyt ciężkie warunki.

- Ależ ona żadnych warunków nie stawiała! - rzekłem zmieszany.

- Zajmij się dzikimi zwierzętami i swoją małżonką! - zaśmiał się Neron, spozierając na mnie z politowaniem. - I przyślij tu Tygellina, żeby mi umył głowę!

Właśnie tak arogancko wyprosił mnie za drzwi! Zdołałem się jednak zorientować, że jest bez pamięci zakochany w Poppei i boleśnie odczuł, że go odtrąca. Uradowany pobiegłem natychmiast do Poppei, żeby jej zanieść dobre wieści. Tymczasem Poppea wcale się nie ucieszyła. Przeciwnie. Cisnęła na ziemię szklane naczynie, które trzymała w ręku. Naczynie rozprysło się w kawałki, pachnidło zaplamiło posadzkę, a jego odurzająca woń doprowadziła mnie do mdłości. Złość zniekształciła jej rysy, kiedy krzyknęła:

- Jeszcze zobaczymy, kto ostatecznie wygra!

Pamiętam dobrze, że dalszy ciąg nastąpił jesienią. Siedziałem właśnie u zarządcy akweduktów i solidnie się z nim kłóciłem na temat przeprowadzenia szerokich przewodów wodociągowych do bestiarium. Od wielu dni wiał gorący wiatr, który przynosił ze sobą czerwony pył i powodował mocny ból głowy.

Wiecznie były jakieś awantury o podział wody, ponieważ bogacze i patrycjusze na własną rękę czerpali ją z akweduktów do swoich prywatnych kąpielisk, ogrodów i stawów. Z uwagi na duży przyrost ludności wody stale brakowało. Rozumiałem trudną sytuację zarządcy akweduktów. Jego urząd był nie do pozazdroszczenia, chociaż dzięki niemu stał się nie lada bogaczem. Ale bestiarium było bardzo ważne i nie widziałem powodu, aby wciskać mu łapówki, żeby realizował moje polecenia.

Sporu nie rozstrzygnęliśmy. On się wzbraniał, ja żądałem. Trudno nam już było w czasie rozmowy zachować bodaj pozory uprzejmości. Zostawiłbym całą sprawę i poszedł swoją drogą, ale gniew mojej żony byłby jeszcze trudniejszy do zniesienia. W końcu zirytowany powiedziałem:

- Znam na pamięć dekrety edylów i decyzje senatu w kwestii podziału wody. Nie mogę zrobić nic innego, jak tylko odwołać się do Nerona, chociaż on najczęściej nie zajmuje się takimi drobiazgami. Obawiam się jednak, że wyjdiesz na tym gorzej, niż gdybyś spełnił moją prośbę.

- Rób jak chcesz, ale na twoim miejscu nie spieszyłbym w tych dniach molestować Nerona sprawą podziału wody w Rzymie - odparł zarządca z ironią i wyraźnym brakiem sympatii dla mnie. - Naprawdę nie wiesz, że od dzisiaj zawieszono na czas nieokreślony wszelkie odwołania do cesarza, a także audiencje dla posłów? A Seneka zgodzi się raczej dać wodę niewolnikom niż twoim zwierzętom! Senat jest wściekły, że wolni obywatele muszą kupować wodę od wędrownych handlarzy, podczas gdy fontanny w twoim ogrodzie koło bestiarium dzień i noc tryskają wodą!

Przez dłuższy czas nie miałem okazji posłuchać, o czym plotkują

Rzymianie. Dlatego spytałem, o czym on właściwie mówi?

- Naprawdę nie wiesz? - spytał z niedowierzaniem. - Othon został prokonsulem hiszpańskiej Luzytanii i wręczono mu rozkaz natychmiastowego wyjazdu. Dzisiaj rano Neron rozwiązał jego małżeństwo, podobno na prośbę Othona. Wszystkie sprawy państwowe wstrzymano, ponieważ Neron spieszy wziąć pod swoją pieczę Poppeę Sabinę.

- Znam Poppeę Sabinę! - krzyknąłem. Czułem się tak, jakby ktoś walił mnie potężnym obuchem po obolałej głowie. - Ona nigdy by się na to nie zgodziła! Neron musiał ją siłą zaciągnąć na Palatyn!

- Boję się, że na miejsce starej dostaliśmy nową Agrypinę! - powiedział zarządca akweduktu, potrząsając siwą głową. - Podobno poprzednia musi wynieść się z domu Antonii na wieś, do Ancjum.

Nie docierały do mnie jego złośliwości. W głowie utkwiło jedno słowo: Agrypina! Zapomniałem o spragnionych zwierzętach i o wysychającym basenie hipopotama. Agrypina, tylko Agrypina mogła ocalić Poppeę Sabinę przed rozpustnymi zapędami Nerona! Jeszcze chyba posiada tyle władzy macierzyńskiej nad swoim synem, aby nie dopuścić do publicznej hańby najpiękniejszej kobiety Rzymu! Muszę ratować Poppeę, skoro ona sama już nie może siebie obronić!

Nie kryjąc wzburzenia pognałem do starego domu Antonii na Palatynie. W związku z przeprowadzką panował tam straszliwy bałagan. Nikt mnie nie zatrzymywał. Zobaczyłem Agrypinę ogarniętą furją. Była u niej Oktawia, milcząca dziewczyna, której z całego splendoru cesarskiej małżonki pozostał tylko symboliczny tytuł. Jej przyrodnia siostra, Antonia, córka Klaudiusza z drugiego małżeństwa, wyróżniająca się szlachetnymi rysami twarzy, także była w pokoju wraz ze swym drugim mężem, powolnym i niezdarnym Korneliuszem Sullą. Umilkli, kiedy mnie niespodzianie zobaczyli. Agrypina zawołała złośliwie:

- Co za bogi sprowadzają cię po latach?! Myślałam, że już zapomniałeś, ile dobrego dla ciebie zrobiłam, podobnie jak mój niewdzięczny syn. Tym większa moja radość, że jako jedyny przedstawiciel stanu rycerskiego przybywasz pożegnać wygnaną nieszczęśnicę!

- Może i zawiodłem naszą przyjaźń, ale nie mam czasu na próżne gadanie! - zawołałem. - Musisz wyrwać Poppeę z pożądlivych rąk Nerona i wziąć ją pod swoją opiekę. Przecież taka przemoc zhańbi w oczach całego Rzymu nie tylko dziewczynę, ale i Nerona!

- Uczyniłam wszystko, co mogłam, wylałam morze łez i miotałam przekleństwami, aby wyrwać mego syna z rąk tej zepsutej i przebiegłej baby! Wynagrodzono mnie rozkazem opuszczenia Rzymu! Poppea osiągnęła, co chciała! Jak wesz wpila się pod pachę Nerona!

Usiłowałem zapewniać, że Poppea chciała jedynie, aby Neron zostawił ją w spokoju. Agrypina jednak uśmiechała się ironicznie. Nie ufała żadnym kobietom!

- To babsko rozwiązłymi sztuczkami w łóżu doprowadziło Nerona do obłędu! - krzyczała. - Neron ma do tego skłonności, które ukrywałam przed wszystkimi. Poza tym chyba ma zaćmę na oczach i powinien ratować swój

wzrok. Świadczy o tym choćby jego chorobliwa skłonność do spędzania wolnego czasu w sposób, jaki nie przystoi władcy. Ale zaczęłam pisać wspomnienia i uzupełnię je w Ancjum. Poświęciłam wszystko mojemu synowi, nawet popełniłam dla niego zbrodnię! Powiem to wreszcie publicznie, bo i tak wszyscy o tym wiedzą!

Zapatrzyła się przed siebie dziwnym wzrokiem i odpychała coś rękami, jakby ujrzała widmo. Po chwili ocknęła się, spojrzała na Oktawię, pogładziła ją po twarzy i rzekła proroczo:

- Widzę już cień śmierci na twych jak lód zimnych licach. Choć jeszcze wszystko może się odmienić, jeśli Neron wyleczy się ze swojego obłędu! Nawet cesarz nie ma prawa sprzeciwić się ogółowi Rzymu, senatu i narodu! Przeliczy się ta gładkoskóra, mała kurwa! A Neronowi nie wolno ufać! To jest człowiek o dwóch obliczach!

A ja spojrzałem na piękną, pobladłą Antonię i w mej pamięci zjawił się nieprzyjemny cień z dawnych lat. Przypomniałem sobie jej przyrodnią siostrę, Klaudię, która zhańbiła moją miłość! Nie rozumiałem, o czym mówi Agrypina, uznałem, że bezsensownie oskarża Poppeę. Mimowolnie wyrwało mi się:

- Mówiłaś o przeszłości! Pamiętasz jeszcze Klaudię?! Jak ona się miewa? Czy poprawiła swoje obyczaje?!

Gdyby Agrypina nie znajdowała się w stanie furii, zapewne zbyłaby moje pytanie milczeniem. Ale była wściekła, więc bez namysłu odparła drwiąco:

- O to zapytaj w lupanarze floty rzymskiej w Misenum! Obiecałam, że zamknę Klaudię do domu, w którym ją odpowiednio wychowają! Dom publiczny to właściwe miejsce dla bękarta! Jesteś najbardziej naiwną oferą, jaką kiedykolwiek spotkałam - dodała wpatrując się we mnie wzrokiem Meduzy. - Przedstawiono ci sfałszowane świadectwa jej rozpusty. Wystarczającym powodem jej zesłania było to, że bez niczyjej zgody ośmieliła się pchać do łóża rzymskiego rycerza! Gdybym przewidziała twoją niewdzięczność, nie poświęciłabym tyle zachodu, żeby cię bronić przed nią!

- Naprawdę wsadziłaś Klaudię do lupanaru, kochana macocho?! - parsknęła wesołym śmiechem Antonia. - A ja się dziwiłam, że tak nagle przestała mnie zamęczać, bym ją uznała za przyrodnią siostrę! - Nozdrza Antonii drżały. Ręką przesuwiała po gładkiej szyi, jakby opędzając się od much.

Słowa nie mogłem z siebie wydobyć. Wstrząśnięty do głębi duszy patrzyłem na te dwie nienormalne kobiety. Nagle przejaśniało mi w głowie. Jakby we mnie piorun uderzył - uwierzyłem w całe zło, jakie przypisywano Agrypinie.

Zrozumiałem również, że Poppea Sabina bezwstydnie wykorzystała moją przyjaźń dla realizacji swoich planów. To wszystko stało się w mgnieniu oka i było jak objawienie. Poczulem się nagle o wiele starszy, a równocześnie zubożniały. Być może nieświadomie dojrzywałem do zmiany. Kraty mojej klatki opadły i stałem się wolny jak ptak.

Największą głupotą było opowiadanie Agrypinie o Klaudii. To więcej

niż głupota. To była zdrada Klaudii! Muszę to w jakiś sposób naprawić. Trzeba od nowa zacząć życie, od momentu kiedy Agrypina zniszczyła moją miłość! Nigdy więcej nie będę taki głupi!

- Skoro już mowa o przeszłości - powiedziałem - jak to właściwie było ze śmiercią Juniusza Sylana? Czy wysłałaś mu truciznę przez Publiusza Celera? Myślałem, że naprawdę umarł na atak serca.

- Uczyniłam to dla dobra mego syna - odrzekła Agrypina. - Ale on gryzie pierś, która go wykarmiła!

Co nie było prawdą, bo Neron od urodzenia miał mamkę. Syna tej mamki Agrypina wyniosła na stanowisko prokuratora Egiptu.

Los lubi nam płatać figle. W momencie nagłego objawienia pojąłem całą prawdę o przeszłości, a nie domyśliłem się, że Antonia stanie się wielką namiętnością mego życia. Ale skąd mogłem to wówczas odgadnąć?!

Postanowiłem działać rozważnie. Wyjechałem do Misenum - oficjalnie po to, aby zbadać, czy nie udałoby się wykorzystać statków tamtejszej floty do przewożenia dzikich zwierząt z Afryki. Dowódcą tej floty był Anicet, dawny golibroda, który był pierwszym nauczycielem Nerona. Rycerz rzymski niechętnie podejmuje służbę we flocie. Obecnie naczelnym dowódcą floty cesarskiej jest jakiś autor słowników, Pliniusz, który wykorzystuje załogi statków do zbierania rzadkich okazów roślin i zwierząt w różnych krajach. Czemu nie?! A i nieczynną flotę można wykorzystać - na przykład do uszlachetniania barbarzyńskich narodów krwią Rzymian!

Anicet był typowym nuworyszem, więc przyjął mnie z ogromnymi honorami. Przecież pochodziłem z dobrej rodziny, byłem członkiem stanu rycerskiego i synem senatora Rzymu. Poza tym klienci mego ojca wykonywali jakieś roboty w dokach Misenum, a Anicet otrzymywał od nich cenne prezenty. Najpierw chępił się uzyskanym w Grecji wykształceniem i posiadanymi dziełami sztuki, a potem, kiedy się upił, zaczął opowiadać ordynarne kawały i ujawnił swoją prawdziwą naturę.

- Wszyscy ludzie są źli. To jest naturalne i oczywiste. Nie ma się czego wstydzić. Cnota jest tylko obłudą. Tę prawdę wbiłem swego czasu Neronowi do głowy. Niczego bardziej nie nienawidzę niż ludzi, którzy udają cnotliwych. Jaką chcesz, grubą czy chudą, czarną czy białą, a może wolisz chłopców? Wszystko załatwię, byleś był zadowolony. Doświadczoną małą dziewczuszkę czy starą babę, akrobatkę czy nietkniętą dziewicę? Może lubisz oglądać chłostę albo sam podniecasz się biciem? Zorganizuję ci misteria Dionizosa według wszelkich reguł tego obrządku! Powiedz tylko słowo! Daj znak, a spełnię każde twoje skryte marzenie w dowód szczerzej przyjaźni! Rozumiesz? Tu jest Misenum, niedaleko są Baję, Puteoli i Neapol, które dobrze znają aleksandryjskie sztuczki. Z Capri przejęliśmy fantazje cezara-boga Tyberiusza! W Pompei są urocze lupanary. Możemy tam popłynąć.

Udawałem bojaźliwość, on zaś odczuwał gorącą chęć udowodnienia, że wszyscy ludzie są równie zepsuci. Zachęcał, bym ujawnił swoje preferencje. Beztróska opowiadał:

- Sam się najbardziej podniecam, kiedy uda mi się uwieść jakąś młodą niedoświadczoną mężatkę, przybyłą z Rzymu do kąpieliska. Dolewam do

wina mirrę i wywar z much hiszpańskich, a jeśli to nie wystarczy, używam środka nasennego. Rano budzi się nieprzytomna i nie jest pewna, czy coś się stało. Ta moja namiętność do kobiet z lepszych sfer bierze się chyba stąd, że sam pochodzę z nizin społecznych. Jak dobrze wiesz, byłem niewolnikiem, choć bez przechwałki mogę się uważać za dobrze wykształconego. Gdybyś wiedział, kogo ostatnio miałem w łóżku! Ale sza! O tym lepiej nie mówić! Nazwiska to rzecz niebezpieczna!

- Swego czasu podniecało mnie przebieranie się i rozrabianie po nocach na ulicach Suburry razem z twoim zdolnym uczniem, Neronem - powiedziałem, aby okazać, że doceniam jego zaufanie. - Nie sędzę, abym gdziekolwiek indziej odczuwał większą rozkosz niż w najgorszym lupanarze, takim, z którego korzystają niewolnicy. Sam rozumiesz, człowiekowi obrzydłą przysmaki, jeśli ma ich nadmiar, i wtedy bardziej smakuje mu czarny chleb i zjełczały olej. Jak widzisz, ze mną jest odwrotnie niż z tobą. Odkąd się ożeniłem, zaprzestałem tamtych praktyk. Teraz jednak czuję palącą potrzebę poznania lupanarów floty, bo podobno zorganizowałeś je znakomicie!

Anicet lubieżnie się uśmiechnął, porozumiewawczo pokiwał głową i wyjaśnił:

- Mamy trzy zamknięte domy publiczne, najlepszy dla kierownictwa, drugi przeznaczony dla załóg, a trzeci - dla niewolnych wioślarzy. Możesz mi wierzyć, albo nie, z Bajów przyjeżdżają do nas prawdziwe arystokratki i znudzone zbytkiem pracują w naszych domach. Podstarzałe baby szczególnie gustują w wioślarzach, a jakość ich usług jest wyższa niż najbardziej doświadczonych heter. Mamy taką organizację, że nowe pracownice najpierw obsługują zwierzchnictwo, potem idą do domu dla załóg, a po trzech latach do tego najgorszego. Niektóre kobiety wytrzymują w tym ciężkim zawodzie dziesięć lat, ale muszą przyznać, że średnio wystarczy pięć. Bywa, że nie wytrzymują i wieszają się, albo nabawiają się chorób i nie nadają do pracy, albo stają się pijaczkami i tylko przysparzają kłopotów. Ale stale otrzymujemy uzupełnienia z Rzymu i innych miast italskich. Burdele floty są miejscem kary dla niewiast, które żyły nieprzyzwoicie, to znaczy kradły albo waliły dzbanem po głowie zbyt ordynarnych mężczyzn.

- A co się dzieje z tymi, które przeżyją, ale nie nadają się już do pracy?

- Och, to długo trwa, zanim kobieta stanie się niezdolna do obsługiwania niewolnych wioślarzy - chełpił się Anicet. - Ale ogólnie ci powiem, że z naszych domów żadna nie wychodzi. Ostatecznie zatrudniamy też takich, którzy z zamiłowaniem mordują od czasu do czasu jakąś kobietę. Mamy tu jednego dobrego sternika, który raz na kilka miesięcy lubi sobie wyssać krew z czyjejś tętnicy szyjnej. Z powodu tej małej słabostki stale jest przykuty łańcuchem do ławy wioślarzy. Musimy takich ludzi trzymać krótko, bo przecież nasze domy mają osłaniać przed majtkami przyzwoite mieszkanki okolicznych miejscowości. A wiesz, co jest najśmieszniejsze? Otóż po każdym takim ekscesie okropnie żałuje i prosi, żeby go na śmierć wychłostać!

Nie bardzo chciało mi się wierzyć w te wszystkie historyjki opowiadane

przez Aniceta. Na pewno się przechwalał i usiłował mi zaimponować stopniem swego zepsucia. Naprawdę był człowiekiem słabym i nie budzącym zaufania. Rozumiałem też, że jako dowódca floty przejął marynarski sposób podbarwiania relacji.

Zaprowadził mnie do wykwintnej świątyni Wenus, z której roztaczał się przepiękny widok na srebrzyste morze - wiodło do niej z koszar podziemne ukryte przejście. Domy publiczne były otoczone murem; dwa pierwsze niczym nie różniły się od schludnych rzymskich mieszkań nierządnic czy lupanarów. Była w nich nawet bieżąca woda. Natomiast dom przeznaczony dla niewolnych wioślarzy przypominał więzienie, a na jego podopieczne trudno było patrzeć, wyglądały jak otepiałe zwierzęta.

Chociaż dokładnie przyglądałem się każdej napotkanej kobiecie, to nigdzie nie dostrzegłem Klaudii. Ogarniało mnie ponure uczucie ulgi, że być może Klaudia powiesiła się, by uniknąć takiego życia.

- Czy nie było u was kobiety imieniem Klaudia, którą kilka lat temu wygnano z Rzymu za złe prowadzenie się? - spytałem.

Pomieszczenia sypialne oddzielały od korytarza zasłony z trzciny. Anicet wskazał dumnie na wymalowane niezdarnie nad drzwiami kolorowe kwiaty i wyjaśnił:

- Każda kobieta otrzymuje imię jakiegoś kwiatu i nie wolno jej używać innego imienia. Nowicjuszki dziedziczą imię swojej poprzedniczki. Inaczej musielibyśmy zatrudnić uczonego botanika!

Kiedy uznałem, że dostatecznie wychwaliłem użyteczność tego systemu, wróciłem do poprzedniego pytania. Anicet niechętnie powiedział:

- Gdzieś tu jest zwój, na którym rejestruje się przyjmowane, ich prawdziwe nazwiska, imiona i znaki rozpoznawcze. To jest konieczne ze względu na cenzora, bo przecież widzisz, że nie znakujemy ani czoła, ani nawet tyłka tych kobiet rozpalonym żelazem, co mogłoby przeszkadzać w uprawianiu przez nie ich fachu.

- Wspomniana przeze mnie Klaudia - wtrąciłem apatycznie - twierdziła, że jest bękartem samego boskiego Klaudiusza. Dlatego ciekawi mnie, co z nią się tutaj stało?!

- Ach, tak - Anicet przysłonił usta ręką i zachichotał jak stara baba - o to ci chodzi. Mieliśmy tu córkę Kaliguli, Liwię, i sobowtóra Agrypiny. Kiedyś zabawiał się z nią sam Neron, bo chciał spróbować, jak smakuje kazirodztwa. Oczywiście to były wariatki i nie cackaliśmy się z nimi. Jeśli nie dało się wykorzystać ich jako popisowych numerów i jeśli solidna chłosta nie pomagała, to kierowano je jako niewolnice do roboty w kuchni lub pralni.

Aby mi sprawić przyjemność, Anicet kazał przynieść zwój i za pomocą wskazującego palca wyszukiwał nazwiska sprzed lat.

- Klaudia Urgulanilla - odczytał zdumiony. - Z Rzymu. Akcja policyjna. Najpierw Róża, potem Amarylis. To było jeszcze zanim przybyłem do Misenum. Przy jej nazwisku nie ma symbolu, jakim oznacza się śmierć pensjonariuszki. Wygląda na to, że została przeniesiona do innych zadań jako niezdatna do pracy w burdelu.

Następnego dnia znalazłem Klaudię w Puteoli, w pomieszczeniach

kuchni dla marynarzy. Ujrzałem kobietę przedwcześnie postarzałą, odzianą w porwane łańchmany niewolnicy i krzątającą się przy garach. Głowę i brwi miała ogolone dla ochrony przed wszawicą.

Z dawnej Klaudii zostały jedynie oczy. Ona poznała mnie natychmiast, choć niczym nie okazała tego po sobie. Gdybym poprosił Aniceta, na pewno pozwoliłby mi ją zabrać, bo bardzo chciał mi się przypodobać. Niosło to jednak w sobie element ryzyka - sprawą mógłby się zainteresować cenzor. Dla zatarcia śladów wolałem załatwić sprawę dyskretnie, czyli za pieniądze.

Kiedy wreszcie znaleźliśmy się we dwoje w najlepszym zajeździe w mieście, Klaudia gderliwie burknęła:

- Musiałeś mnie bardzo gorliwie szukać, skoro tak szybko znalazłeś. Od naszego ostatniego spotkania upłynęło zaledwie siedem lat! Czego chcesz ode mnie?

Na moje gorące prośby zgodziła się włożyć przyzwoite szaty i perukę oraz namalować sobie brwi. Przez tę pracę w kuchni bardzo utyla, ale nie narzekała na zdrowie.

Nie chciała opowiadać o swoich przeżyciach w Misenum. Dłonie jej stwardniały jak drewno, a stopy zrogowaciały. Słońce spaliło ją na ciemny brąz i mimo szat i peruki wyglądała jak niewolnica. Im dłużej się jej przyglądałem, tym bardziej wydawała mi się obca.

- Wszystkiemu winna jest Agrypina! - zawołałem z rozpaczą. - Chciałem jak najlepiej, byłem naiwny i młody, rozmawiałem z nią o tobie, a ona mnie oszukała!

- Przecież ani jednym słowem nie skarżyłam ci się na swój los. Co się stało, stało się z woli Boga, abym wyzbyła się wyniosłości i spokorniała. Gdyby moc Chrystusa nie umocniła mego serca, dawno bym już nie żyła!

Skoro zabobonna wiara chrześcijańska pomogła jej przetrwać hańbę lupanaru i niewolnictwa - niech tak będzie! Ponieważ chciałem odzyskać jej zaufanie, opowiedziałem o swoich spotkaniach z Pawłem i Piotrem w Koryncie, o rozmowach z nimi oraz o Lauzjuszu Hieraksie, który stał się ich zwolennikiem. Klaudia podparła ręką brodę i słuchała, patrząc na mnie ze spokojem, po czym powiedziała:

- Tutaj, w Puteoli, znajduje się wielu naszych braci i sióstr, którzy uznali Jezusa Chrystusa. Wielu marynarzy nawróciło się, kiedy usłyszeli o Jezusie Nazarejskim, chodzącym po głębinie. Gdyby nie ich pomoc, nigdy bym się nie wydostała z domu publicznego w Misenum!

- Życie ludzkie jest pełne zagrożeń. Puteolę i Neapol słusznie nazwać można śmietnikiem krain wschodnich. Nic dziwnego, że nowa wiara rozwinęła się wraz z dopływem Żydów - przyznałem.

- A ty, Minutusie - Klaudia spojrzała na mnie badawczo - ty w nic nie wierzysz?!

- Nie, Klaudio - potrząsnąłem głową po chwili zastanowienia. - Ja w nic nie wierzę. Jestem jak drewno!

- W takim razie - powiedziała stanowczo, zaciskając swoje stwardniałe dłonie - muszę choćby przemocą pomóc ci wejść na właściwą drogę. Chyba właśnie po to odnalazłeś mnie po tylu latach i wyrwałeś z niewoli.

Choć po Misenum niewola była dla mnie istną łaską Boga!

- Nikt mnie nie prowadził! - zawołałem gniewnie. - Z własnej woli udałem się na poszukiwanie ciebie natychmiast po tym, gdy z ust Agrypiny dowiedziałem się, że mnie oszukała!

- Minutusie, ty nie masz własnej woli i nigdy jej nie miałaś! - spojrzała na mnie z politowaniem. - Gdybyś miał, wszystko wyglądałoby inaczej! Niechętnie opuszczę gminę chrześcijańską w Puteoli, ale widzę, że muszę iść za tobą do Rzymu i tak długo oddziaływać na ciebie we dnie i nocy, aż ukorzysz się przed tajemnicą Królestwa Chrystusowego. Tylko nie udawaj przestraszonego! Wraz z Chrystusem w piekło tego skazanego na zagładę świata przyjdzie prawdziwy spokój i radość!

Tragiczne przeżycia wyraźnie osłabiły jej umysł, więc nie chciałem się jej sprzeciwiać. Razem z transportem dzikich zwierząt popłynęliśmy żaglowcem, najpierw do Ancjum, a stąd do Ostii. Ukradkiem przewiozłem Klaudię do domu na Awentynie. Tu przydzieliłem jej stanowisko służebnej. Ciocia Lelia polubiła ją natychmiast i uznała za swą guwernantkę; ciocia cofnęła się do lat dziecięcych i była szczęśliwa, mogąc bawić się lalkami.

Nie było dnia, żeby Klaudia nie zanudzała mnie opowiadaniem o Jezusie Nazarejskim. Uciekałem przed nią do drugiego domu, tego przy bestiarium. Tam z kolei Sabina uprzykrzała mi życie swoją złośliwością. Stała się jeszcze bardziej zarozumiała, odkąd jeden z jej krewnych podjął pracę w urzędzie finansów państwowych. Dzięki temu Sabina nie była już finansowo zależna jedynie ode mnie. Faktycznie to ona kierowała całym bestiarium, planowała zakupy i organizowała widowiska w amfiteatrze, w trakcie których występowała publicznie, demonstrując na arenie swój kunszt pogromczyni lwów.

W tym czasie życie Nerona - podobnie jak moje - stało się nie do zniesienia. Gdy wygnał swoją matkę do Ancjum i oficjalnie wziął Poppeę jako swoją nałożnicę na Palatyn, wpadł z deszczu pod rynnę. Naród szemrał, niezadowolony z jego postępowania wobec Oktawii. Poppea Sabina przy użyciu ataków hysterii i szlochów żądała, aby rozwiódł się z Oktawią i straszyla knowaniami Agrypiny, które zresztą były całkiem prawdopodobne. Na wszelki wypadek Neron wygnał aż do Marsylii małżonka Antonii, Korneliusza Sullę. Oczywiście Antonia towarzyszyła mężowi; nie widziałem jej przez następnych pięć lat.

Seneka ostro sprzeciwiał się rozwodowi Nerona. Stary Burrus publicznie oświadczył, że gdyby cesarz rozwiódł się z Oktawią, to musiałby też zrzec się jej wiana, czyli pozycji imperatora. A Lollia Poppea nie miała ochoty na przeniesienie się na Rodos w roli żony artysty. Poppea nie pozwalała Neronowi spotkać się z Akte, a on niczym nie mógł jej uspokoić, bo darami i zbytkami obsypał już ją Othon. Najbardziej rozdrażniały go oskarżenia Poppei o niedojrzałość, lęk przed matką i niewolnicze podporządkowanie się wszelkim poleceniom swego nauczyciela. I jest prawdą, że za życia Agrypiny Neron nie miał ani chwili spokoju i nawet nie śmiał sobie wyobrazić, że mógłby oficjalnie rozwieść się z Oktawią.

Aby znaleźć ujście dla swej wściekłości, Neron zaczął znowu

organizować nocne wyprawy, aby w przebraniu bić się i awanturować po ulicach Rzymu. Poppeę kochał do szaleństwa, ale ona karmiła go skąpym jadłem uczuć i każdą chwilę czułości zatruwała łzami i oskarżeniami.

Mówiąc szczerze ja sam także byłem zmęczony sytuacją w obu moich domach, więc kilka razy poszedłem z Neronem na te nocne wypadki. Którejś nocy w zrujnowanej spelunie, wśród połamanych krzeseł i potłuczonych naczyń, kompletnie pijany Neron wybuchnął płaczem i skargami, że nikt nie rozumie jego wrażliwej natury. Doprawdy, nikt by wówczas nie uwierzył, że jest cesarzem Rzymu i władcą świata!

Być może Agrypina sama sprowokowała swój los nadmierną żądzą władzy i zazdrością. Przecież była bogata - olbrzymi majątek wyniosła już z drugiego małżeństwa, a jeszcze doszedł spadek po Klaudiuszu - i mimo wygnania Pallasa ciągle cieszyła się dużym autorytetem. Brakowało jej tylko prawdziwego przyjaciela. Bardziej niż zorganizowania spisku politycznego Neron obawiał się ogłoszenia przez matkę wspomnień, które pono pisała w Ancjum: pisała własnoręcznie, bo nie odważyła się ich powierzyć nawet najbardziej zaufanym niewolnikom. Nieostrożnie po całym mieście rozpuszczała informacje o pisaniu tego pamiętnika. Wielu ludzi jakoś powiązanych z popełnionymi w przeszłości przez nią czy innych przestępstwami zaczęło gorąco życzyć sobie jej śmierci.

Co do mnie, oskarżałem Agrypinę o zmarnowanie mi życia, gdy młody, szczery i przywiązany do Klaudii zwróciłem się do niej o pomoc. Obarczałem ją odpowiedzialnością za wszystko zło, jakie mnie spotkało. Nawet kilkakrotnie złożyłem wizytę Lokuście w jej małej wiejskiej posiadłości. Wystrojona Lokusta uśmiechała się do mnie, o ile twarze upodobnione do pośmiertnych masek mogą się uśmiechać; powiedziała, że nie ja pierwszy zjawiam się u niej w tej sprawie. Właściwie nic nie miała przeciwko przygotowaniu trucizny dla Agrypiny. To zależało tylko od ceny. Ale trzęsąc głową twierdziła, że wyczerpała już wszystkie swoje możliwości. Po prostu: Agrypina jest zbyt ostrożna. Sama przygotowuje sobie posiłki, nie zjada nawet jabłek, zerwanych we własnym sadzie, bo owoce na drzewie łatwo można zatruć. Tak więc i życie Agrypiny nie było spokojne, gdy tak szykowałą zemstę, pisząc wspomnienia.

Gdy Neron postanowił zamordować swoją matkę, wówczas osiągnął spokój ducha i słodką harmonię w pożyciu z Poppeą. Ze względów politycznych śmierć Agrypiny była mu zupełnie obojętna, jak swego czasu śmierć Brytanika. Nigdy też nie słyszałem, aby Seneka sprzeciwił się temu morderstwu bodaj jednym słowem, chociaż osobiście nie chciał się w nie angażować.

Pozostawał tylko problem takiego sposobu dokonania morderstwa, aby można było upozorować samobójstwo lub nieszczęśliwy wypadek. Wyobraźnia Nerona żądała możliwie efektownej, wręcz teatralnej oprawy, i w tej sprawie naradzał się z zaufanymi przyjaciółmi.

Tygellin, który miał osobiste powody do nienawidzenia Agrypiny, proponował przejechać jej czterokonną kwadrygą, jeśli tylko ktoś wywabi ją na otwartą drogę. Ze swojej strony oferowałem dzikie zwierzęta, ale nie znaleźliśmy sposobu na wprowadzenie ich do mocno strzeżonej

willi Agrypiny.

Neron sądził, że jestem po jego stronie wyłącznie z przywiązania do niego i Poppei. Nie podejrzewał, że kieruje mną jedynie chęć zemsty. Agrypina tysiącrotnie zasłużyła na śmierć i uważałem za sprawiedliwe, że zginie z rozkazu swojego syna. W Tobie, Juliuszu, także płynie wilcza krew, i to gorętsza niż moja. Staraj się trzymać ją bardziej w ryzach, niż potrafił to zrobić Twój ojciec.

Moja żona Sabina miała doskonale pomysły widowiskowe. Pewien technik grecki pokazał jej model żaglowca; wyposażony był w pomysłową maszynę, za pomocą której jeden człowiek mógł w określonej chwili spowodować katastrofę. Jeśli statek przewoziłby zwierzęta, znalazłyby się one w wodzie.

Sabina postanowiła wykorzystać ten pomysł do urozmaicenia naumachii, czyli widowiska naśladowującego bitwę morską. Ze względu na wysokie koszty do ostatniej chwili sprzeciwiałem się wciąganiu do tej imprezy drapieżników morskich. Ale upór Sabiny zwyciężył. Jej pomysł wzbudził wielkie zainteresowanie, nawet Anicet przyjechał z Misenum specjalnie na pokaz.

W kulminacyjnym punkcie widowiska zgodnie z planem statek rozleciał się. Widownia wpadła w zachwyty, obserwując walkę turów i lwów z bestiami morskimi; te, którym udało się dopłynąć do brzegu, stały się łupem myśliwych. Neron klaskał i zachwycony krzychał do Aniceta:

- Musisz mi zbudować taki żaglowiec, tylko musi być większy i tak piękny, żeby był godny matki cesarza!

Obiecałem Anicetowi, że dostarczę mu projekty tego greckiego technika, ale równocześnie pomyślałem, że w takim teatralnym widowisku musi wziąć udział zbyt wielu ludzi, aby sprawę dało się utrzymać w tajemnicy.

W nagrodę za pomysł Neron zaprosił mnie do Bajów na wiosenne święto Minerwy, abym mógł na własne oczy zobaczyć przygotowywaną naumachię. Zaczął też w większych skupiskach ludzi - również w senacie - udawać skruszonego syna, który pragnie pogodzić się z matką. Jeśli tylko obydwie strony wykażą wystarczająco dużo dobrej woli, to można załagodzić wszystkie spory i konflikty - wyjaśniał.

Informatorzy, których Agrypina miała w mieście, czym prędzej donieśli o tym do Ancjum, więc nie była zdziwiona ani nie podejrzewała niczego złego, gdy otrzymała piękny list z zaproszeniem do Bajów. W liście znalazła się wzmianka o temacie uroczystości. Wydawało się rzeczą naturalną, aby budowanie zgody rozpocząć z dala od Rzymu i kłóliwej Poppei.

Dzień narodzin Minerwy, patronki małych chłopców, jest dniem pokoju, w którym obowiązuje zakaz noszenia broni, nie mówiąc o przelewaniu krwi. Początkowo Neron zamierzał posłać nowy żaglowiec z załogą do Ancjum, żeby Agrypina mogła nim przypląć do Bajów. Składając ten dowód synowskiego szacunku chciał udowodnić, że zamierza przywrócić matce jej dawną pozycję. Ale za pomocą zegara wodnego obliczyliśmy, że gdyby katastrofa miała miejsce w czasie podróży w tę stronę, wydarzyłaby się w biały dzień. Zresztą Agrypina, której podejrzliwość była ogólnie znana,

mogłaby odrzucić tę propozycję i przyjechać łądem. Ostatecznie przyплыnęła trójrzędowcem, otoczona przez swoich zaufanych niewolników. W Misenum na brzegu czekał na nią Neron w asyście wielu arystokratów; zażądał nawet przybycia z Rzymu Seneki i Burrusa, aby ich obecność podkreślała polityczną wagę projektowanej narady.

Musiałem podziwiać aktorski kunszt Nerona, który rzucił się do matki, obejmował ją i witał z oznakami skruchy. Agrypina również świetnie zagrała rolę najlepszej z matek. Ubrała się z przepychem i tak wymalowała twarz, że z powodu grubej warstwy kosmetyków i wspaniałego stroju przypominała powabny, lecz otepiały posąg bogini.

W dzień Minerwy panuje lekki, swawolny nastrój, więc ludzie, którzy nie interesują się polityką, radośnie powitali Agrypinę, kiedy w uroczystej procesji przechodziła na wybrzeże jeziora Lokrinus. W zatoce przy majątku Bauli przycumowała grupa statków wojennych przystrojonych flagami. Wśród nich szczególnie wyróżniał się wspaniałą dekoracją jeden żaglowiec. Z rozkazu Nerona Anicet przekazał go do dyspozycji Agrypiny. Ale Agrypina kazała zanieść się z powrotem do Bajów, ponieważ chciała nacieszyć się oznakami sympatii społeczeństwa, jaką okazywano jej po drodze.

W czasie oficjalnych uroczystości religijnych Neron wysuwał matkę na honorowe miejsce, sam zaś jako pokorny syn i uczeń trzymał się z boku. Obiad, przygotowany przez miejscowych urzędników, ozdabiały liczne przemówienia, co wraz z późniejszą sjestą przedłużyło uroczystości i już się dobrze ściemniało, gdy zasiedliśmy do kolacji. Wzięli w niej udział Seneka i Burrus. Agrypina spoczywała na honorowej sofie, a Neron siedział przy jej stopach i prowadził z nią ożywioną rozmowę. Podawano dużo wina. W pewnej chwili Agrypina zauważyła, że czas szybko leci; Neron spoważniał i po cichu zaczął się jej radzić w sprawach państwowych. Jeśli dobrze słyszałem, mówili o Lollii Poppei. Agrypina wykazała iście ośli upór. Zwiedziona pokorą Nerona twardo obstawała przy tym, że nie stawia żadnych innych warunków, ale Poppea musi być odesłana do męża, do Luzytanii. Dopiero wtedy Neron odzyska poparcie Agrypiny i jej matczyną miłość. Ona chce tylko jego dobra.

Neron uronił kilka gniewnych łez, ale dał do zrozumienia, że matka jest mu droższa niż jakakolwiek kobieta na świecie. Wygłosił nawet kilka strof wiersza, jaki ułożył na jej cześć.

Agrypina upiła się winem i wygraną, bo człowiek łatwo wierzy w to, co pragnie osiągnąć. Dobrze widziałem, że ani razu nie tknęła pucharu, jeśli Neron z niego pierwszy się nie napił; potrawy brała z półmisków, z których korzystał czy to syn, czy jej przyjaciółka Aceronia. Myślę jednak, że takim jej postępowaniem wcale nie kierowała podejrzliwość, lecz że był to utrwalony zwyczaj, do którego z biegiem lat przywykła.

Anicet też popisał się zdolnościami aktorskimi, gdy przybiegł i z przerażeniem powiedział, że uczestniczące w uroczystości okręty wojenne przypadkowo tak fatalnie uszkodziły trójrzędowiec Agrypiny, że bez poddania go naprawie w doku nie ma mowy o wypłynięciu w drogę powrotną do Ancjum. Zaofiarował równocześnie Agrypinie ten

wyróżniający się żaglowiec oraz eskortę marynarzy.

Wszyscy odprowadziliśmy Agrypinę do wspaniale oświetlonego portu. Żegnając się z matką Neron ucałował jej oczy i piersi i podtrzymał ją, kiedy na chwiejnych nogach wchodziła na statek, po czym świetnie wyszkolonym głosem wyrecytował:

- Bądź zdrowa, matko! Tyś mnie urodziła. Tylko dzięki tobie jestem władcą!

Noc była spokojna, niebo wygwieżdzone. Kiedy żaglowiec zniknął nam z oczu, Seneka i Burrus udali się na nocleg, natomiast my, spiskowcy, wróciliśmy do sali biesiadnej.

Neron był milczący. Nagle zbiełał na twarzy i zaczął rzygać. Przez moment podejrzewaliśmy, że może Agrypina wsypała mu po kryjomu truciznę do pucharu, ale później zrozumieliśmy, że była to reakcja na całodzienne udawanie przed matką. Neron ciężko znosił każde oczekiwanie, chociaż Anicet zapewniał, że jego plan nie ma żadnych uchybień. Wszystko było zapięte na ostatni guzik.

Dopiero później, od centuriona floty Obaryta, któremu Anicet powierzył dowództwo paradnego żaglowca, dowiedziałem się o przebiegu wydarzeń. Agrypina udała się wprost do kajuty, ale nie mogła zasnąć. Na pełnym morzu, gdy uświadomiła sobie, że znajduje się na łasce obcych majtków i pod opieką jedynie Aceronii oraz prokuratora Krepejusza Gallusa, obudziły się w niej podejrzania. Wysłała Gallusa do nawigatora, żądając natychmiast skierowania statku do Bauli. Tam chciała spędzić noc, a do Ancjum wyjechać dopiero nazajutrz, przy świetle dnia.

Anicet dobrze pamiętał, że gdy Agrypina żyła na wygnaniu na wyspach Pantarii, trudniła się nurkowaniem dla połowu gąbek. Dlatego zaplanował dwuetapową katastrofę żaglowca. Miała ją spowodować celowo zaplanowana awaria urządzenia do naciągania żagli. Rozpadające się urządzenie uderzyło najpierw w górny pokład statku, który był obciążony ołowiem. Drugie uderzenie miało doprowadzić do całkowitego przełamania żaglowca. Statek jednak wyposażali ludzie, którzy nie mieli pojęcia o planowanym zamachu. Świadomych tego zamiaru było jedynie kilka osób z floty. W kajucie Agrypiny jakiś cymbał wyposażył cesarskie łóżko w potężny baldachim z frontonem. Ten właśnie fronton uratował Agrypinę, raniąc ją jedynie w ramię. Ocalała też Aceronia, która w momencie wypadku klęczała przy łóżku Agrypiny i masowała jej stopy. Natomiast Gallus zginął na miejscu.

W chwili załamania się górnego pokładu na żaglowcu zapanował straszliwy popłoch. Agrypina momentalnie zrozumiała sytuację, bo morze było spokojne, a żaglowiec o nic nie uderzył. Wysłała więc Aceronię, aby wypełzła na pokład i wołała:

- To ja, Agrypina! Ratujcie matkę cesarza!

Centurion natychmiast rozkazał komuś wtajemniczonemu zabić ją ciosem wiosła w głowę. Podejmował próbę uruchomienia drugiej fazy katastrofy, ale coś się zepsuło i statek nie chciał się przełamać. Obciążony ołowiem zarwany pokład spowodował duży przechył, więc centurion wysłał marynarzy, aby swoim ciężarem przewrócili statek. Majtkowie

oczywiście nie byli wtajemniczeni, więc równocześnie druga ich grupa rzuciła się na drugą burłę, aby statek nie zatonął. Wśród tego zamieszania i zgiełku Agrypina po cichu wysunęła się z kajuty, ześliznęła do wody i popłynęła w stronę brzegu. Była wprawdzie pijana i ranna, ale wykorzystywała umiejętność nurkowania, wobec czego nikt jej nie dostrzegł w świetle gwiazd na powierzchni morza. Po pewnym czasie napotkała łódź rybacką, która wypływała w morze na ranny połów. Rybacy wciągnęli ją do łodzi i na jej prośbę zawieźli do Bauli.

Centurion floty był człowiekiem niezwykle opanowanym - gdyby było inaczej, Anicet nie powierzyłby mu tego zadania. Kiedy więc stwierdził, że martwą kobietą jest Aconia, a po Agrypinie nie został ślad, popłynął przełamanym i przechylonym statkiem z powrotem do Bajów, aby natychmiast złożyć meldunek Anicetowi. W tym czasie, gdy szybko biegł do kwatery Nerona, nie wtajemniczeni majtkowie przekazali do miasta wiadomość o strasznej tragedii.

Przerażeni mieszkańcy Bajów tłoczyli się na pomoście, wchodzili do wody lub do łodzi rybackich, pragnąc ratować Agrypinę. Wkrótce wrócili rybacy, którzy wyciągnęli ją z wody, i donieśli o ocaleniu matki cesarza. Zostali za to sownie wynagrodzeni. Tłum natychmiast chciał ruszać dziękczynną procesją do Bauli, by pogratulować Agrypinie.

Neron był oczywiście zdenerwowany, ale nie podejrzewał fiaska. Podtrzymywany na duchu przez wiernych przyjaciół to szlochał, to znów wybuchał śmiechem. Planował zarządzenie żałoby po tragicznej śmierci matki w całym imperium, przygotowywał też odpowiedni komunikat dla senatu i narodu. Miotany skrupułami wypytywał nas, czy może Agrypinę ogłosić boginią. Była przecież córką wielkiego Germanika, siostrą cesarza Kaliguli, wdową po cesarzu Klaudiuszu, no i matką jego, cesarza Nerona, a więc kobietą bardziej zasłużoną dla Rzymu niż Liwia. Zakrawało to na potworną bzdurę! Wśród kpín i żartów proponowaliśmy sobie nawzajem stanowiska w kolegium kapłańskim nowej bogini.

I właśnie w środek tego wesołego rozgardiaszu wpadł centurion Obaryt z wieścią, że rozbicie żaglowca udało się tylko połowicznie, a sama Agrypina zniknęła bez śladu. Nadzieję na jej utonięcie rozwiała zaraz procesja mieszkańców Bajów - idący na jej czele rybacy radośnie krzyczeli o ocaleniu Agrypiny, ponieważ widzieli światła w sali bankietowej i sądzili, że Neron ich wynagrodzi. A on wpadł w panikę i jak smarkacz, co po splątaniu figła leci z płaczem do nauczyciela, pobiegł ściągać z łóżek Senekę i Burrusa.

Byłem na tyle przytomny, że poleciłem Anicetowi natychmiast zamknąć rybaków, niby go to, żeby w bezpiecznym miejscu oczekiwali na nagrodę, a naprawdę żeby zapobiec pogorszeniu sprawy. Na szczęście dla Nerona Agrypina nie wyjawiała rybakom swoich podejrzeń, więc tylko chełpili się swoim bohaterskim wyczynem.

Seneka i Burrus przybyli jednocześnie. Seneka stawiał się boso, w samym tylko chitonie. Anicet zwięźle zrelacjonował przebieg wydarzeń. Ogarnięty wyrzutami sumienia Neron jak wariat biegał po sali, drżąc o własną skórę. Bujna wyobraźnia podsuwała mu obrazy Agrypiny uzbrajającej

niewolników, podburzającej przeciwko niemu żołnierzy i udającej się do Rzymu, aby senatowi pokazać ranę, opowiedzieć o strasznej śmierci swojej przyjaciółki i złożyć skargę o usiłowanie zabójstwa.

Seneka i Burrus byli doświadczonymi politykami i nie trzeba im było długo tłumaczyć. Seneka spojrzał pytająco na Burrusa, a ten wzruszył ramionami i powiedział:

- Dla zamordowania córki Germanika nie wysyłałbym ani pretorianów, ani Germanów ze straży przybocznej! - Odwrócił się, aby z obrzydzeniem spojrzeć na Aniceta i dodał: - Niechaj Anicet wykona do końca, co obiecał. Umywam od tego ręce!

Anicet nie czekał na powtórzenie rozkazu. Bał się. Wściekły Neron zdążył już potraktować go pięścią, więc łatwo przystał na to, by doprowadzić sprawę do końca. Neron błędnym wzrokiem przyjrzał się Senece i Burrusowi i zawołał oskarżającym tonem:

- Teraz wyzwolę się spod kurateli matki i zagarnę pełnię władzy! Będę to jednak zawdzięczał wyzwoleniowi, byłemu fryzjerowi, a nie wam, polityku Seneko czy dowódcu Burrusie! Idź, Anicecie, idź szybko i weź ze sobą wszystkich, którzy chcą wyświadczyć swemu władcy największą przysługę!

W tej chwili poinformowano go, że wyzwoleniec Agrypiny Ageryn prosi o rozmowę, gdyż pragnie przekazać jej słowa. Neron zbladł, zerwał się na równe nogi z okrzykiem:

- Chcą mnie zabić! - chwycił miecz i ukrył pod chlamidą.

W rzeczywistości nie było się czego obawiać, bo Agrypina zdążyła przeanalizować własną sytuację. Zmęczona wpływem krwi i wyczynem pływackim doszła do wniosku, że musi robić dobrą minę do złej gry i udawać, że nie ma pojęcia o próbie zamachu na jej życie. Dlatego Ageryn, który rozdygotany wszedł do środka, lekko się jękając przekazał tylko takie posłanie: „Dobroć bogów i Fortuna cesarów ocaliła mnie od przypadkowej śmierci. Chociaż przerazi cię wypadek, jaki mnie spotkał, na razie nie przychodź. Potrzebuję wypoczynku!”

Neron szybko zrozumiał, że nic mu nie grozi ze strony Ageryna i odzyskał pewność siebie. Wyciągnął miecz spod chlamidy, rzucił go tak, że upadł pod nogi Ageryna, cofnął się i oskarżająco wskazując na miecz dramatycznie zawołał:

- Niechaj wszyscy zaświadczą, że własna matka przysłała swego wyzwolenca, aby mnie zabił!

Skoczyliśmy wszyscy i mimo rozpaczliwego oporu ujęliśmy Ageryna. Neron kazał go zakuć w kajdany, ale Anicet uważał za rozsądniejsze, by zaraz za drzwiami wbić mu miecz w gardło. Tak więc Anicet zakosztował krwi. Uważałem, że trzeba pójść z nim, żeby w ostatniej chwili znowu czegoś nie popsuł. Neron skoczył za nami, pośliznął się na krwi, bluzgającej z Ageryna, i zawołał:

- To moja matka usiłowała mnie zabić. Nikt nie będzie wątpił, że sama targnie się na swoje życie, kiedy jej zbrodnia wyjdzie na jaw. Róbcie, co do was należy!

Towarzyszył nam centurion floty, Obaryt, aby doprowadzić do końca, co

zaczął. Anicet rozkazał swemu najbliższemu podwładnemu, Herkuleuszowi, ogłoszenie alarmu w koszarach floty. Znaleźliśmy wierzchowce. Za nami podążali bosonodzy majtkowie, to gromadą, to w rozproszeniu, machając bronią i przeraźliwie wrzeszcząc, że próbowano zamordować cesarza Nerona. W ten sposób rozpraszały tłumy ludzi, które tarasowały drogę spiesząc do Bauli, by gratulować Agrypinie ocalenia.

Przybyliśmy do Bauli bladym świtem. Anicet rozkazał otoczyć budynek. Wyłamaliśmy drzwi i rozproszyli niewolników, którzy próbowali oporu. Kilku z nich, nie rozumiejąc o co chodzi, chciało osłaniać sypialnię, ale gdy ich zaatakowaliśmy, uciekli. Panowało takie ogólne zamieszanie, a my byliśmy tak rozgorączkowani, że raniliśmy się wzajem. Miałem paskudnie skaleczoną dłoń między kciukiem a palcem wskazującym, i wcale nie wiem, kiedy to się stało.

Sypialnia była słabo oświetlona. Agrypina z przewiązanim ramieniem, obłożona ciepłymi kompresami, wypoczywała na łożu. Pielęgnowająca ją służąca od razu uciekła. Na próżno Agrypina wyciągała za nią ręce, krzycząc przeraźliwie:

- I ty mnie opuszczasz?!

Anicet zamknął drzwi, aby nie wtargnęło zbyt wielu świadków. Agrypina mówiła słabnącym głosem:

- Jeśli przybyliście, aby zobaczyć jak się czuję, to powiedzcie memu synowi, że już dochodzę do siebie!

Wtedy dostrzegła nasze miecze. Głośno zawołała groźnym tonem:

- Jeśli przyszlście, aby mnie zabić, to nigdy nie uwierzę, że to z rozkazu mego syna! On by się nigdy nie zgodził na zamordowanie matki!

Zgodził się.

Anicet, Herkuleusz i Obaryt, nieco skonsternowani, stali wokół łoża, nie wiedząc od czego zacząć, bo Agrypina nawet w łożu wyglądała majestatycznie. Ja podpierałem plecami zamknięte drzwi. Wreszcie Herkuleusz uderzył Agrypinę laską w głowę, ale zrobił to tak niezdarnie, że nie ogłuszył jej. Planowano, że gdy tylko Agrypina straci przytomność, przetnie się jej żyły, aby uprawdopodobnić samobójstwo.

W ostatecznym, pozbawionym nadziei geście, Agrypina odsłoniła brzuch i krzyknęła do Aniceta:

- Przebij łono, które wy dało na świat Nerona!

Centurion spełnił rozkaz. Potem wszyscy trzej jeden przez drugiego zadali Agrypinie wiele ciosów mieczami, aż rżąc wyzionęła ducha. Upewniwszy się, że nie żyje, Anicet polecił służbie, by obmyła ciało i przygotowała je do spalenia na stosie. Z sypialni wzięliśmy kilka drobnostek - ja maleńki złoty posążek Fortuny, bo myślałem, że jest to ten, który Kaligula wszędzie woził ze sobą. Później okazało się, że to był inny posążek i byłem tym bardzo rozczarowany.

Wysłaliśmy konnego gońca z wiadomością, że Agrypina popełniła samobójstwo. Neron natychmiast udał się do Bauli. Zdażył już razem z Seneką przygotować komunikat dla senatu, że matka groziła popełnieniem samobójstwa. Chciał na własne oczy upewnić się, że Agrypina nie żyje, bo nie dowierzał Anicetowi.

Przybył tak szybko, że służba jeszcze myła i namaszczała ciało. Podszedł do nagich zwłok matki, palcem dotknął ran i zawołał:

- Patrzcie, jaka piękna była moja matka aż do końca!

W ogrodzie znoszono drewno na stos całopalny. Przepędzono gapiów i na sofie z jadalni wniesiono ciało Agrypiny. Kiedy dym wzbił się w górę, zauważyłem ze zdziwieniem, że poranek był doprawdy przepiękny. Błękitne morze mieniło się perłowo, ptaki śpiewały, a w ogrodzie kwitły wiosenne kwiaty. Tylko nigdzie nie widziałem ludzi. Oszołomieni wydarzeniami pochowali się w swoich domach, ponieważ nikt nie wiedział, co jeszcze będzie się działo.

Stos płonął pełnym ogniem, gdy nadszedła galopem grupa trybunów wojskowych i centurionów. Neron usłyszał tętent kopyt końskich i zobaczył, że łańcuch marynarzy załamuje się przed jeźdźcami. Zdaje się, że w tym momencie chciał uciec. Rycerze zsiadli z koni i jeden przez drugiego jęli ścisnąć Neronowi ręce i gratulować mu, że zapobiegł zbrodnicyznanym matki.

Jeźdźców wysłał Burrus, aby pouczyć ogłupiałych ludzi, jak należy podchodzić do wydarzeń. Sam jednak nie przybył, bo uznał, że byłoby to postępowanie haniebne.

Stos przygasł, popioły Agrypiny zebrano, zakopano i wyrównano ziemię. Neron nie obdarzył matki bodaj najmniejszym wzniesieniem, aby nikt nie mógł organizować pobożnych czy politycznych pielgrzymek do tego miejsca.

Postanowiliśmy pójść do świątyni, aby złożyć bogom ofiary dziękczynne za cudowne uratowanie Nerona. W świątyni Neron na własne uszy usłyszał dźwięki trąb i przejmujące głosy skargi. My też usłyszeliśmy dziwny żałosny głos, który przesywająco roznosił się ponad wzgórzami. Neron twierdził, że w oczach mu ciemnieje, chociaż słońce jasno świeciło.

Zaczęliśmy wspólnie obliczać i doszliśmy do przekonania, że Klaudiusz zrobił błąd w swych obliczeniach i przedwcześnie wyznaczył uroczystości jubileuszowe. Ten dziwny, przejmujący krzyk mógł być tylko nadludzkim głosem, który oznajmia zmianę epoki.

Dodaliśmy Neronowi otuchy, zapewniając go, że oto zaczyna się nowa, wspaniała era jego pełnej władzy. Ale cesarz zatkał uszy rękami i kazał się zanieść do Neapolu, aby się oddalić od miejsca straszliwej śmierci matki.

We wszystkich świątyniach Neapolu entuzjastycznie składano ofiary dziękczynne. Delegacje z gratulacjami ze wszystkich miast Kampanii zgłaszały się do Nerona do późnego wieczora. Tymczasem on ciągle był przerażony, wpatrywał się przed siebie i wzdrygał na każdy niespodziewany odgłos. Nawet gdy położył się już na spoczynek, co chwila zrywał się na równe nogi i mokry od potu to wydawał okropne krzyki, to znów mamrotał, że bogini zemsty go prześladowuje.

Zamiast nas wynagrodzić za to wszystko, co dla niego zrobiliśmy, przepędził sprzed swoich oczu Aniceta i mnie. Twierdził, że nie może ścierpieć naszego widoku, ponieważ zmarnowaliśmy dobre przedstawienie. Chętnie opuściłem go, bo obserwowanie, jak dostaje pomieszania zmysłów, nie było niczym przyjemnym.

Ostatnie słowa Agrypiny i mnie zaczęły prześladować. Dotychczas w myśleniu przeszkadzało mi napięcie nerwowe. No tak, zrealizowałem swoje postanowienie, zemściłem się. Ale choć Agrypina za swoje czarne jak smoła zbrodnie zasługiwała na śmierć, to przecież matkobójstwo zawsze pozostaje matkobójstwem. Agrypina zażądała, by przebić mieczem jej łono, które wydało na świat Nerona. To była zła wróżba na przyszłość. Pocieszałem się myślą, że może Seneka i Burrus będą mocniej niż dotychczas trzymać Nerona w cuglach.

Śmierć Agrypiny nie zaskoczyła ani rzymskiego senatu, ani ludu. W Rzymie podobno wręcz oczekiwano, że stanie się coś wstrząsającego. W noc śmierci Agrypiny rozszalała się nad miastem nie spotykana o tej porze roku burza. We wszystkich czternastu dzielnicach biły pioruny. Senat wydał polecenie złożenia ofiar prześlagałnych. Gdy przyszła wiadomość o śmierci matki cesarza, zmieniono intencje na dziękczynne. Wśród ludu tliła się tak wielka nienawiść do Agrypiny, że decyzją senatu dzień jej urodzin wpisano na listę dni przynoszących nieszczęście.

Neron niepotrzebnie bał się rozruchów. Gdy w końcu wrócił do Rzymu, witano go jak bohaterskiego zwycięzcę. Senatorowie przywdziali uroczyste szaty. Najznamienitsze niewiasty i dzieci witały go hymnami pochwalnymi i rzucały kwiaty pod nogi. Po obydwu stronach świętej drogi pośpiesznie wzniesiono podesty dla widzów.

Cesarz wstąpił na Kapitol, aby złożyć bogom ofiary dziękczynne, a wszystkim wydawało się, że oto Rzym uwolnił się spod władzy czarnego demona. W słoneczny wiosenny dzień wszyscy chcieli uwierzyć w prawdziwość sporządzonego przez Senekę kłamliwego komunikatu o samobójstwie Agrypiny. Sama myśl o matkobójstwie była tak potworna, że nikt nawet nie chciał sobie tego wyobrazić.

A ja udałem się wprost do Klaudii. Rozpierany pychą, zawołałem:

- Klaudio! Zemściłem się za ciebie! Agrypina zginęła. Byłem świadkiem jej śmierci. Własny syn wydał rozkaz zamordowania jej! Na Herkulesa, spłaciłem mój dług! Już nie musisz opłakiwać hańby, jaką znosiłaś!

Dla potwierdzenia mych słów podałem jej zabrany z sypialni Agrypiny złoty posążek Fortuny. Ale Klaudia patrzyła na mnie jak na dziką bestię, odpychała mnie obiema rękami i z wielką trwogą wołała:

- Masz ręce we krwi, Minutusie! Wcale nie prosiłam, żebyś mnie pomścił!

Miałem rzeczywiście dłoń zawiniętą zakrwawionym bandażem. Spezszony zapewniłem Klaudię, że nie skalałem rąk krwią Agrypiny, tylko przypadkowo skaleczyłem się własnym mieczem. Ale to nie pomogło. Klaudia dostała dreszczy, przyzywała mnie na sąd Jezusa Nazarejskiego i zachowywała się ze wszech miar jak pomyłona. W końcu zdenerwowałem się i wybuchnąłem:

- Przyjmij, że byłem tylko narzędziem twego Boga, a śmierć Agrypiny jako wymierzoną przez twojego Chrystusa karę za jej zbrodnię! Żydzi są najbardziej mściwym narodem na świecie, sam to wyczytałem w ich świętych księgach. Jeśli płaczesz po Agrypinie, to wylewasz łzy na próżno.

- Mają uszy, a nie słyszą! - krzyknęła Klaudia. - Minutusie, czy ty ani

słowa nie zrozumiałeś z tego, co ci próbowałam tłumaczyć?!

- Jesteś najgorszą niewdzięcznicą na świecie, przekłeta Klaudio! - wrzasnąłem w gniewie. - Dotychczas znosiłem twoje głędzenie o Chrystusie, ale teraz nic ci już nie jestem dłużny! Zamknij pysk i wynoś się z mojego domu!

- Chryste, zmiłuj się. Ach, ten mój cholerny charakterek! - syczała Klaudia przez zęby. - Ale już nie panuję nad sobą! - i twardą jak decha ręką trzasnęła mnie z obydwu stron po twarzy, aż mi przeraźliwie zadzwoniło w uszach, złapała za kark i przygniotła do podłogi, choć jestem od niej wyższy, i rozkazała: - Módl się, Minutusie, aby niebiosa wybaczyły ci twój straszliwy grzech!

Z szacunku dla samego siebie nie wdałem się w bijatykę z nią. Zresztą przez niewolniczą pracę nabrała wielkiej siły... Wyczołgałem się z pokoju, a Klaudia wyrzuciła za mną złoty posążek Fortuny. Kiedy się podniosłem, gniewnym głosem poleciłem służbie, aby zebrano rzeczy Klaudii i wyniesiono je za bramę. Podniosłem z ziemi posążek Fortuny ze skrzywionym lewym skrzydłem i poszedłem do bestiarium, aby pochwalić się swoim wyczynem bodaj przed Sabina.

Sabina przyjęła mnie tak przychylnie, że aż się zdziwiłem. Nawet poklepała po policzkach, spuchniętych od uderzeń Klaudii. Z wdzięcznością przyjęła w darze posążek i chętnie, choć z niejakim roztargnieniem, wysłuchiwała opowieści a wydarzeniach w Bajach i Bauli.

- Jesteś mężczyzną odważniejszym, niż sądziłam! - pochwaliła mnie w końcu. - Jednak nie rozpowiadaj ludziom, jak to się wszystko stało. Najważniejsze, że Agrypina nie żyje. Nikt po niej nie będzie płakał. Na tyle znam się na polityce, że ci powiem: po tym wszystkim Neron nigdy nie odważy się na rozwód z Oktawią. I dobrze tak tej ladacznicy Poppei! - Powiedziawszy to Sabina czule zamknęła mi usta ręką i szepnęła: - Jest wiosna, Minutusie! Ptaki szczebioczą, paki się rozwijają, a lwice w rui ryczą, aż drży ziemia. Ogarnia mnie dziwna tęsknota, ciało płonie gorączką. Minutusie! Tak dla Flawiuszy, jak i dla twojego rodu ważne jest, abyśmy mieli dziecko. Nie sądzę, abym była bezpłodna, to ty grubiańsko omijasz moje łóżko!

To było niesprawiedliwe oskarżenie! Może jednak uznała, że zmieniłem się? A może wieść o krwawych wydarzeniach pobudziła jej zmysły? Podobno są kobiety, które podnieca widok szalejącego pożaru albo krwi spływającej na piasek areny.

Patrzyłem na Sabinę i nie widziałem w niej żadnych wad, choć oczywiście nie miała tak śnieżnobiałej cery jak Lollia Poppea. Tak więc po długiej przerwie spaliśmy ze sobą, ale rozkosz, jaką odczuwałem na początku naszego małżeństwa, już nie wróciła. Sabina zachowywała się jak kłoc drewna; zgodziła się na podjęcie obowiązków małżonki chyba tylko dla dobra swego rodu.

Osiem miesięcy później urodził się nasz syn. Obawiałem się, że będziemy go musieli odrzucić jako przedwcześnie urodzonego. Ale dziecko było duże i zupełnie zdrowe, więc w całym ogrodzie przy bestiarium zapanowała ogromna radość. Na cześć pierworodnego urządzi-

liśmy wielką ucztę dla kilkusetosobowej załogi. Nigdy nie sądziłem, że treserzy, których uważałem za okrutnych, mogą z taką czułością odnosić się do nowo narodzonego dziecka. A już zupełnie nie mogliśmy uwolnić się od śniadego Epafrodyta. Bez przerwy pchał się, aby dotknąć dziecka, zaniedbywał przy tym karmienie zwierząt. Koniecznie chciał z własnych pieniędzy opłacić małemu mamkę. W końcu się zgodziłem na to, widząc w tej propozycji oznakę szacunku, jakim cieszyłem się w bestiarium.

Ale od Klaudii nie udało mi się uwolnić. Kiedy nie podejrzewając niczego złego po kilku dniach od ponownego podboju Sabiny wróciłem na Awentyn, zastałem całą służbę ze starym Barbusem włącznie zgromadzoną w dużej jadalni. Na honorowym miejscu siedział Kefas Piotr, ten Żyd-cudotwórca, otoczony młodymi, zupełnie nieznanymi ludźmi. Jeden z nich tłumaczył na łacinę aramejską mowę Piotra. Zachwycona ciocia Lelia podskakiwała i gorąco klaskała w kościste dłonie. Rozgniewałem się straszliwie, i miałem ochotę wychłostać wszystkich tam obecnych, ale Klaudia pośpieszyła wyjaśnić, że Piotr znajduje się pod opieką senatora Pudensa Publikolusa i mieszka w jego domu po drugiej stronie rzeki, dzięki czemu nie wzbudza konfliktów między Żydami a chrześcijanami. Pudens był wprawdzie starym głupcem, ale pochodził ze starego rodu Waleriuszy. A więc rozsądniej było przymknąć oko.

Kefas Piotr dobrze pamiętał nasze spotkanie w Koryncie. Zwrócił się do mnie po imieniu i bardzo mile. Nie wiem, co opowiedziała mu o mnie Klaudia, ale odniosłem wrażenie, że uważa mnie za straszliwego grzesznika. Mimo to zapewnił mnie o miłosierdziu boskim i darowaniu grzechów, ponieważ Bóg w osobie Jezusa Nazarejskiego zstąpił na ziemię. Nie żądał ode mnie, abym w to uwierzył, ale zrozumiałem, że chce, żebym pogodził się z Klaudią i pozwolił jej nadal mieszkać w moim domu. Jakoż tak się stało! Ku własnemu zdumieniu podałem Klaudii rękę i pocałowałem ją, ba! nawet uczestniczyłem w ich wspólnym świętym posiłku jako gospodarz we własnym domu.

Nie będę więcej opowiadać o tym wstydlivym wydarzeniu. Później spytałem Barbusa nie bez ironii, czemu skończył z Mitrą i został chrześcijaninem. Barbus nie odpowiedział wprost, tylko zamruczał:

- Jestem stary. Reumatyzm z lat służby wojskowej dokucza mi po nocach tak straszliwie, że gotów jestem zrobić wszystko, aby się od niego uwolnić. I wystarczy, abym patrzył na byłego rybaka Piotra, a bóle ustają. Gdy jem jego chleb i piję wino, wówczas przez wiele dni czuję się dobrze. Kapłani Mitry nie potrafili mi pomóc, choć pono dysponują najlepszą wiedzą o leczeniu żołnierskiego reumatyzmu.



KONIEC
tomu drugiego

Księgozbiór DiGG



2008